

# WYZNANIA KATARZYNY MEDYCEJSKIEJ

Wpływowa władczyni, zdradzana żona,  
niespełniona kochanka i matka królów.

C.W. GORTNER

»Książnica«

Jako czternastolatka Katarzyna Medycejska, księżna z rodu włoskich Medyceuszy, zostaje poślubiona Henrykowi, następcy tronu francuskiego. Z rodzinnej Florencji udaje się do ojczyzny męża, gdzie przez wiele lat pozostaje w cieniu jego kochanki, Diany de Poitiers. Los nie szczędzi jej tragedii. Jednakże to właśnie przeciwności losu zmuszają Katarzynę do decydowania i działania. Staje się jedną z najbardziej wpływowych kobiet XVI-wiecznej Europy. Powieść odsłania przed nami intymny świat Katarzyny Medycejskiej, kobiety, która dla dobra rodziny i państwa podjęła zabójczą walkę o władzę, poświęcając swoje uczucia na ołtarzu powinności królowej.

*Wyznania Katarzyny Medycejskiej* to niezwykła podróż od baśniowej doliny Loary, przez bitewne pola wojen religijnych, po wypełnione motłochem ulice Paryża – podróż, której bohaterką jest jedna z najbardziej oczernianych i niedocenianych władczyń świata.

www.publicat.pl



ISBN 978-83-245-7888-7



9 788324 578887 >

P.KS.HIS054.1.01

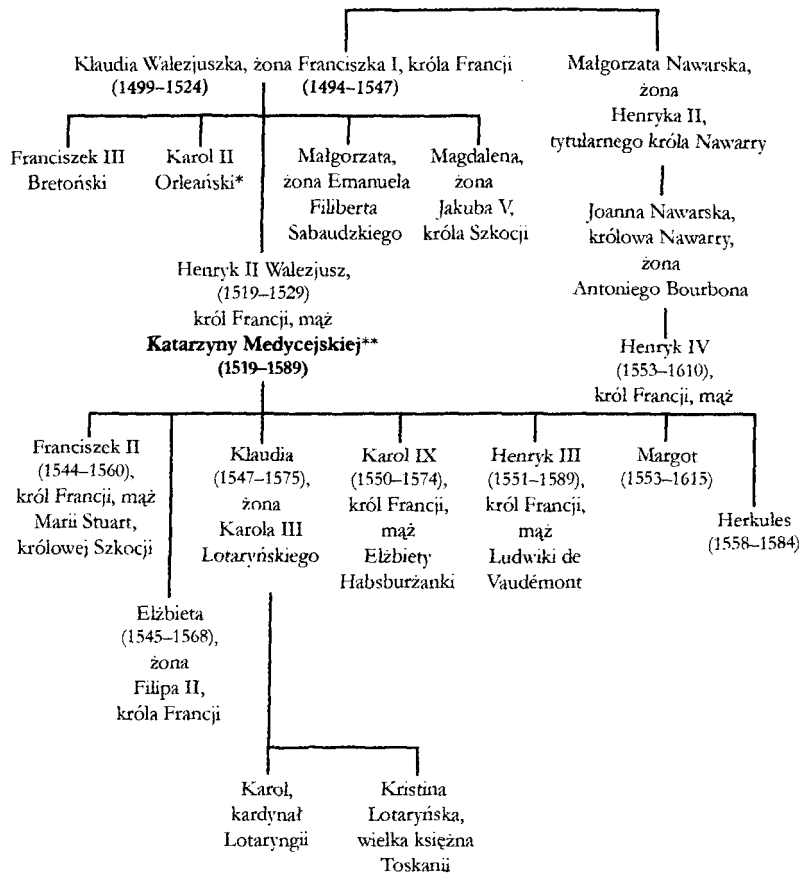
cena 38,00 zł

C.W. GORTNER  
WYZNANIA  
KATARZYNY  
MEDYCEJSKIEJ

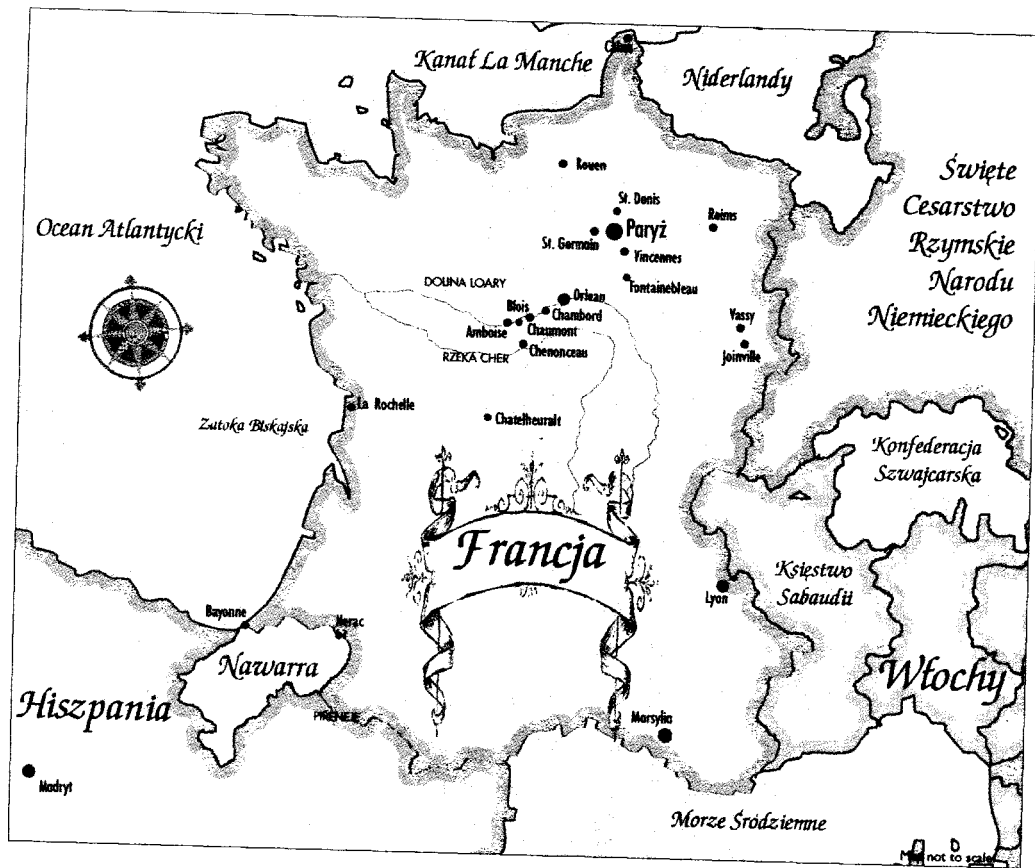
Przełożył z angielskiego  
Paweł Korombel

*Wydawnictwo „Książnica”*





\* niewspomniany w powieści  
 \*\* wymieniono tylko te dzieci, które przetrwały



## BLOIS, ROK 1589

Nie jestem kobietą skłonną do cikliwych wzruszeń.

Nawet za młodu nie wiedziałam, co to łzawe smutki czy żal. Rzadko spozieram wstecz, rzadko jestem gotowa znaczyć bieg czasu. Niektórzy powiedzieliby, że nie znam skruchy. Więcej, jeśli wierzyć moim wrogom, zawsze bez drgnienia powieką wyglądałam przed siebie, skupiona na przyszłości, na wojnie, którą należało stoczyć, na synu, którego należało wynieść na tron, na wrogu, którego należało zmiażdżyć.

Jak niewiele o mnie wiedzą. Jak niewiele ktokolwiek o mnie wie. Może moim przeznaczeniem było zawsze zamieszkiwać mit mego żywota, być świadectwem legendy, która rozkwitała wokół mnie trującym zieleń. Zwano mnie morderczynią i łowczynią okazji, zbawczynią i ofiarą. Z czasem osiągnęłam dużo więcej, niż kiedykolwiek się po mnie spodziewano, mimo że nieznużenie towarzyszyła mi samotność, wierny brytan, zawsze przy nodze.

Prawda wygląda tak, że nikt z nas nie jest niewinny.

Wszyscy mamy grzechy do wyznania.

CZĘŚĆ I

1527—1532

*Waty liść*

## R O Z D Z I A Ł 1

Miałam dziesięć lat, gdy odkryłam, że mogłabym być jasnowidzem.

Siedziałam, haftując pod okiem ciotki Klarysy. Promienie słońca kładły się na podłodze galerii. Zza okna słyszałam plusk fontanny na dziedzińcu, okrzyki sprzedawców na *via Larga* i *staccato* końskich kopyt na nierównym bruku. W głowie wirowała mi myśl, że nie wytrzymam chwili dłużej w czterech ścianach.

— Katarzyno Romano Medycejska, czy to możliwe, że już skończyłaś?

Poderwałam wzrok znad haftu. Siostra mojego świętej pamięci ojca, Klarysa Medycejska Strozzi, przyglądała mi się ze swojego krzesła. Otarłam rękawem czoło.

— Strasznie tu gorąco — jęknęłam. — Nie mogę wyjść na dwór?

Uniosła brew. Nie musiała nic mówić. Potrafiłabym za nią wyrecytować, co chce powiedzieć. Takie rzeczy wiecznie wbijała mi do głowy: „Jesteś księżną Urbino, córką Wawrzyńca Medyceusza i Magdaleny de la Tour d'Auvergne, damy szlchetnego francuskiego rodu. Ile razy mam ci powtarzać, że musisz trzymać w karbach swoją impulsywną naturę? Jeśli będziesz sobie folgować, nigdy nie dorośniesz do przyszłości, która cię czeka”.

W zadku miałam swoją przyszłość. W głowie dudniło mi jedno: jest lato, a ja siedzę w naszym *palazzo* jak kura w kurniku, od świtu do nocy przymuszana do nauki i haftowania, i lada chwila się roztopię od słońca.

Odrzuciłam tamburek.

— Nudzi mi się. Chcę do domu.



— Florencja jest twoim domem; tu się urodziłaś — odparła ciotka. — Zabrałam cię z Rzymu, bo wiecznie gorączkowałaś. Masz szczęście, że w ogóle możesz tu siedzieć i wykłócać się ze mną.

— Już nie jestem chora — odburknęłam. Żółć się we mnie gotowała. Nie wolno tego, nie wolno tamtego, bo masz słabe zdrowie! I tak na okrągło. — W Rzymie *papa* Klemens przynajmniej dał mi służących. I kucyka.

Złość zaiskrzyła jej w oku, jak zawsze gdy napomykałam o stryju.

— Może kiedyś tak było, ale teraz jesteś tu, pod moją opieką, i masz się trzymać tego, co ja ci każę. Jest południe. W taki skwar nie ma wychodzenia na dwór. Nawet nie chcę o tym słyszeć.

— Nałożę czepek i będę się trzymać cienia. Cioteczko... tak cię proszę... Sama możesz iść ze mną.

Widziałam, że ledwo powstrzymuje się od uśmiechu, który nieproszony wypływał jej na usta. Wstała.

— Jeśli popracujesz igłą jak należy, możemy przed kolacją przejść się loggią i zerknąć, co się dzieje na ulicy.

Podeszła do mnie, chuda niewiasta w prostej popielatej sukni. Okrągłą twarz wyróżniały tylko wielkie czarne, błyszczące oczy — oczy Medyceuszy, nasze wspólne dziedzictwo, tak jak kędzierzawe kasztanowe włosy i kształtne dłonie.

Zdecydowanym ruchem sięgnęła po mój haft. Słyszając chichot, zesnurowała usta.

— To ma być śmieszne? Zrobić Matce Boskiej zielone oblicze? Doprawdy, Katarzyno...! To bluźnierstwo. — Oddała mi tamburek.

— Wypruj to zaraz. Haftowanie to sztuka, musisz ją opanować jak inne umiejętności. Nie chcę słyszeć, że Katarzyna Medycejska haftuje jak wieśniaczka.

Pomyślałam, że lepiej będzie się nie śmiać i wypruć obrażliwą nitkę. Ciotka wróciła na miejsce. Patrzyła w dal. Zastanawiałam się, jakie próby mi szykuje. Tak po prawdzie kochałam ją, ale wiecznie wierciła mi dziurę w brzuchu, biadoliła, że prestiż rodziny upadł od śmierci mojego wielkiego dziada, Wawrzyńca Wspaniałego, że kiedyś nasz patronat pomógł Florencji stać się sławnym ośrodkiem nauki, a teraz jesteśmy tylko gośćmi w mieście, które pomogliśmy zbudować. Klarowała mi, że to ja odpowiadam za wskrzeszenie

chwały naszej familii, jako że jestem ostatnią prawą potomkinią rodu // *Magnifico*.

Strasznie ciekawe, jakim cudem miałabym dokonać tego wiekopomnego dzieła. Rodzice odumarli mnie zaraz po tym, jak przyszłam na świat; nie miałam braci ani siostr i byłam na łasce stryja, ojca świętego. Wystarczyło, że o tym wspomniałam, a ciotka zaraz wypaliła:

— Klemens Siódmy to bastard! Łapówkami otworzył sobie wrota do Stolicy Apostolskiej. Zhańbił nasz ród. Daleko mu do prawdziwych Medyceuszy. To człowiek bez czci i honoru.

Jeśli Klemens z całym papieskim prestiżem nie potrafił przywrócić chwały naszemu rodowi, to jak zdaniem ciotki ja miałabym to zrobić...?! Jednakże nie wiedzieć czemu była święcie przekonana o moim przeznaczeniu i miesiąc w miesiąc pakowała mnie w sztywne, uwierające, choć śliczne i wystawne suknie, obwieszała klejnotami jak święty obraz wotami i nakazywała pozować do nowego portretu. Potem miniatury tego cuda wędrowały do wszystkich zagranicznych książąt, którzy dobijali się o moją rękę. Byłam zbyt młoda do zamążpójścia, lecz nie miałam wątpliwości, że ciotka już wybrała katedrę, w której stanę przed ołtarzem, ustaliła liczbę dam w orszaku...

Nagle dopadły mnie skurcze brzucha. Złapałam się za pas. Najświętsza Panienko, co za ból! W oczach mi się zamgliło, jakby *palazzo* poszło pod wodę. W ustach poczułam wstrętny kwaśny smak rzygowin. Wstałam prawie ślepa, słysząc trzask przewracającego się krzesła. Ogarnęła mnie przerażająca ciemność. Czułam, że rozwieram usta do krzyku, ale nie mogłam wydusić słowa. Mrok jak wielka, rosnąca plama inkaustu połknął wszystko wokół. Już nie byłam w galerii, nie kłóciłam się z ciotką, nie, nie, byłam w nieznanym miejscu, bezsilna wobec mocy, która we mnie rosła...

*Stoję niewidziana między obcymi. Płaczę. Widzę Izy na ich twarzach, chociaż nie słyszę lamentów. Przede mną łoże z czarnym baldachimem. Wiem, że za materia jest coś straszliwego, coś, czego lepiej nie oglądać. Chcę się odsunąć, ale nogi ciągną mnie dalej z nieubłaganą logiką koszmaru, rozkazującą wyciągnąć pokrytą plamami napuchniętą rękę, której nie rozpoznaję. Rozsuwam zasłony i widzę...*

— *Dio mio*, nie! — W końcu krzyk uwolnił mi się z piersi. Czulałam objęcie ciotki, jej niespokojną rękę na czole. W brzuchu rżnęło mnie strasznie. Leżałam jak długa na podłodze, omotana nitkami.

— Katarzyno, dziecko moje — jęczała ciotka. — Błagam, byle nie ta gorączka znowu...

Dziwne wrażenie, że opuściłam swoje ciało, zaczęło ustępować. Usiadłam z wysiłkiem.

— To chyba nie gorączka — wymamrotałam. — Widziałam coś: trupa mężczyzny na łożu. Był tak prawdziwy, *zia*... Przeraził mnie.

Wytrzeszczyła oczy. Po chwili szepnęła głosem pełnym lęku, który zdawał się w niej żyć od dawna:

— *Una visione*. — Uśmiechnęła się słabo, pomagając mi wstać. — Chodź, dość na dzisiaj. Przespacerujemy się, *sil* Jutro złożymy wizytę mistrzowi Ruggieriemu. On będzie wiedział, co czynić.

## R O Z D Z I A Ł 2

Pokojówka obudziła mnie przed świtem. Szybko zjadłam skromne śniadanie, chleb z serem. Ubrała mnie w prostą suknię, przewiązała mi z tyłu włosy i narzuciła na ramiona opończę. Zaprowadziła mnie z pośpiechem na podwórzec, na którym czekali ciotka Klarysa i wielgachny sługa, który towarzyszył jej, gdy opuszczała *palazzo*.

Nie mogłam się doczekać wyjścia do miasta, jednak byłam pewna, że wsiądziemy do lektyki. Tymczasem ciotka też nałożyła opończę, nasunęła na głowę kaptur, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na *via Larga*. Sługa nie odstępował nas na krok.

— Czemu idziemy na piechotę? — spytałam ją, chociaż lubiałam swobodnie się rozglądać, a nie zerkać zza kurtynek lektyki.

— Tak nikt nie zwróci na nas uwagi — odparła ciotka. — Jesteśmy Medyceuszami i ludzie będą gadać. Nie chcę, żeby pół Florencji mówiło, że *madama*\* Strozzi zaprowadziła bratanicę do jasnowidza. — Mocniej ścisnęła mnie za rękę. — Rozumiesz? Może ludzie bardzo cenią Ruggieriego za jego umiejętności, ale zawsze to nawrócony żyd.

Kiwnęłam głową, nie wiedząc, co myśleć. Ciotka często wzywała mistrza Ruggieriego i zamawiała u niego ziołowe napary; nawet pomógł mi wyjść z gorączki, tak po prawdzie jednak nigdy nie widziałam go na oczy. Czy nie mógł nas odwiedzać, bo był żydem?

Szliśmy w dół *via Larga*. Przybyłam do Florencji trzy lata temu, ale opuściłam *palazzo* dokładnie cztery razy, wyłącznie na uroczyste

\* *M a d a m a* (wt.) — wielmożna pani, jaśnie pani (ten przypis i następne pochodzą od tłumacza).

nabożeństwo w Duomo. Zawsze asystował mi orszak, zasłaniając widok, jakbym mieszając się z ludem, mogła się zarazić jakąś chorobą. Kiedy ciotka prowadziła mnie przez miasto, czułam się jak wypuszczona z więzienia.

Wysoko wiszące słońce oblewało miasto szafranem i różem. W otaczających *palazzo* dzielnicach nadal cuchnęło po nocnych wybrykach. Szliśmy wąskimi krętymi uliczkami, omijając kałuże nieczystości. Chętnie bym przystanęła, aby podziwiać wyrastające nade mną w niszach posagi, odlane w brązie kwatery na drzwiach baptysterium i ceglana fasadę Duomo, lecz ciotka poganiała mnie dalej, omijając ruchliwy plac targowy i wybierając zaułki, w których stare domy garbiły się niczym wiekowe drzewa, zasłaniając światło.

Zauważyłam, że sługa zacisnął rękę na nożu, który miał za pasem. Ubyło światła, cuchnęło łajnem. Przytuliłam się do ciotki. Zabiedzona dziatwa uciekała w coraz to węższe zaułki, goniona przez wyniszczone psy. Okryte porwanymi szalami, przygięte wiekiem staruchy wystawały na stopniach domów, wlepiając w nas oczy. Nie spodziewanie skręciliśmy kilka razy i dotarliśmy przed rachityczny dom z drewna i cegły, wyglądający tak, jakby lada chwila miał się zawalić. Ciotka się zatrzymała. Sługa uderzył pięścią w krzywe drzwi.

Uchyliły się i stanął w nich szczupły chłopiec o zmierzwionych oczach i sennych piwnych oczach. Nisko się skłonił na nasz widok.

— Witaj, *duchessina*\*, jestem Karol Ruggieri. Mój ojciec cię oczekuje.

Ciotka wcisnęła mi do ręki płócienny worek. Spojrzałam na nią zaskoczona.

— Idź — powiedziała. — Sama musisz się spotkać z mistrzem. Zapłać mu, kiedy skończy. — Kiedy się zawahałam, popchnęła mnie. — Nie zwlekaj. Nie mamy całego dnia.

Uznałam, że Karol to pewnie najstarszy z synów mistrza Ruggieriego; zza jego pleców wyglądał mały chłopczyk. Uśmiechnęłam się do niego zachęcająco i malec podsunął się do mnie bokiem, usmoloną rączką łapiąc za moją suknię.

— To mój brat Kosma — przedstawił go Karol. — Ma cztery lata i lubi łakocie.

\* *Duchessina* (wl.) — księżna.

— Ja też lubię łakocie — powiedziałam Kosmie. — Ale dzisiaj nie mam żadnych. — To go chyba ośmieliło i trzymał się mojej ręki, gdy Karol prowadził mnie w głąb domu wypełnionego dziwnym ostrym zapachem. Zanim starszy chłopiec powiodł mnie w górę skrzypiących schodów, dojrzałam pożółkłą czaszkę na stosie zapleśniałych pergaminów. Zapach stał się jeszcze mocniejszy; rozpoznałam kamforę, zioła i słodko-kwaśną woń jesieni, pory świniobicia.

— Ojczy! Medyceuszka przyszła! — krzyknął Karol, gdy doszliśmy na podest i otworzył wąskie drzwi. — Chce się z tobą spotkać sam na sam — dodał i nakazał młodszemu braciszкови: — Musisz ją zostawić, Kosma.

Ten wydał wargi i puścił moją rękę. Wyprostowałam się i weszłam do pracowni. Była pełna światła. Płynęło strumieniami przez otwarte okno w suficie poddasza, oświetlając pokój nie większy niż moja sypialnia. Na ścianach półki pełne książek i szklanych słoików z mętnym płynem, w którym coś się unosiło. W kącie krąg poduszek wokół krytego brązem stolika. Środek zajmował gruby marmurowy blat na kozłach. Zdziwiłam się, widząc na nim trupa. Częściowo okrywała go płachta, spod której sterczały bosa stopy. Przystanęłam. Głos, który zdawał się rozlegać znikąd, rzekł:

— Ach, witaj, moje dziecko, jesteś! — Szurając kapturami, przyczłapał mistrz Ruggieri. Siwa broda obramowywała wpadnięte policzki. Na czarnej szacie nosił poplamiony fartuch. Wskazał ciało. — Masz ochotę obejrzeć?

Przeszedł do wielkiego blatu. Musiałam stanąć na palcach, żeby coś dojrzeć. To był trup kobiety. Miała ogoloną głowę, rozcięty od szyi do miednicy tors. Nie było krwi ani brzydkiego zapachu. Czułam tylko woń ziół. Chyba powinno było mnie ogarnąć obrzydzenie i strach. Nic z tych rzeczy. Widok białych pomarszczonych płuc i skurzonego serca, ukrytego w klatce połamanych żeber, jedynie budził we mnie fascynację.

— Co robisz? — spytałam cicho, jakby trup mógł mnie usłyszeć. Mistrz Ruggieri westchnął.

— Szukam duszy.

Zmarszczyłam brwi.

— Można zobaczyć duszę?

Uśmiech zmarszczył mu twarz.

— Czy zawsze musisz zobaczyć, żeby uwierzyć? — Wziął mnie za rękę i zaprowadził w kąt pokoju, pod obniżony dach, na poduszki. — Siądź, proszę. Mów, co cię do mnie sprowadza.

Do tej pory nie miałam pojęcia, co mogłabym mu wyznać, lecz łagodność jego obejścia sprawiła, że otworzyłam przed nim serce.

— Wczoraj... wczoraj coś zobaczyłam. I przestraszyłam się.

— Czy to był sen?

— Nie, nie spałam. — Przerwałam, wracając myślami do tego, co ujrzałam. — Chociaż to było jak sen.

— Opowiedz mi o tym.

Opowiedziałam. Tamto straszliwe poczucie bezradności powróciło. Głos mi drżał. Kiedy skończyłam, mistrz złożył dłonie.

— Pojmuję. Czy w łóżu leżał ktoś ci znany? — Uśmiechnął się, gdy potrząsnęłam głową. — Pojmuję. To dlatego tak się przestraszyłaś. Spodziewałaś się, że ujrzysz kogoś bliskiego, a zobaczyłaś nieznanego. Czy tamten mąż nosił oznaki gwałtownej śmierci?

Mróz przebiegł mi po plecach.

— Skąd wiesz?

— Widzę to po tobie. Och, nie powinnaś się obawiać, moje dziecko. Nie ma powodu do lęku, jeśli tylko zrozumiesz, że niewielu otwarłoby oczy na to, co mi wyznałaś. — Przysunął się bliżej. — To czego wczoraj doświadczyłaś, jest nazywane przeczuciem. Może to być zapowiedź przyszłości lub echo przeszłości. Starożytni wierzyli, że jest darem bogów; czcili tych, którzy osiągnęli w nim maestrię. W tej epoce ciemnoty często jest uważane za dowód czarostwa.

Wytrzeszczyłam oczy.

— Ciotka powiedziała, że to była wizja. Dlatego przysłała mnie do ciebie? Bo jestem przeklęta, naznaczona złem?

Roześmiał się hucznie.

— Widziałem wiele tajemniczych zjawisk, jednak do tej pory nie udało mi się napotkać niczego, co nosiłoby znamiona klątwy. — Sękatymi palcami szczytnął mój podbródek. — Myślisz, że jest w tobie zło?

— Nie. Codziennie uczęszczam na mszę świętą i czczę naszych świętych. Ale czasem nawiedzają mnie niegodziwe myśli.

— Jak nas wszystkich. I zapewniam cię, to nie świadczy o żadnej klątwie. Kiedy jeszcze byłaś niemowlęciem, sporządziłem twój horoskop i nie natrafiłem tam na żadne zło.



Sporządził mój horoskop? Ciotka nigdy o tym nie wspomniała.

— Czemu miałam tę... tę wizję? — spytałam go.

— Och, tylko Bóg zna odpowiedź na to pytanie, chociaż muszę cię ostrzec, że to może nie ostatnia. W przypadku niektórych ludzi wizje są rzeczą codzienną. Inni miewają je w czasach niebezpieczeństw. I jest to dar napotykanym w twojej rodzinie. Mówiło się, że twój wielki dziad, // *Magnifico*, czasem widział przyszłość.

Wcale mi się to nie podobało.

— A jak nie zechcę tego daru? — spytałam. — Czy się rozwieje? Uniósł brwi.

— Daru widzenia nie da się odrzucić. Nie masz pojęcia, jak wielu oddałoby duszę za coś, czego tak beztróska chcesz się zrzec.

— A ty go masz? — spytałam poruszona myślą, że mam coś tak pożądanego.

Westchnął, unosząc wzrok i przebiegając nim po izbie.

— Gdybym go miał, czy potrzebowałbym tego wszystkiego? Nie, *duchessina*. Mam tylko umiejętność czytania w gwiazdach, widzę w ich układach ludzkie losy. Atoli niebiosa nie zawsze przemawiają jasno. „*Quod defuturis non est determinata omnino veritas, względem przyszłości żadna prawda nie jest określona*”.

Zastanawiałam się długo i w końcu rzekłam:

— Jak chcesz, mogę ci odstąpić swój dar.

Zaśmiał się, klepiąc mnie po ręce.

— Moje dziecko, nawet gdybyś mogła mi go odstąpić, nie zdołałbym nad nim zapanować w tym krótkim czasie, jaki mi pozostał. Ale ty możesz — dodał po chwili i zniżył głos. — Żyłem długo i cierpiałem wiele. U twych narodzin przewidziałem, że będziesz żyć jeszcze dłużej. I też będziesz cierpieć. Nigdy jednak nie doświadczysz tego co ja. Nigdy nie zaznasz bólu, jaki niesie poszukiwanie czegoś, co całe życie ci umyka. Twoje przeznaczenie się spełni. Może nie będzie takie, jakiego pragniesz, Katarzyno Medycejska, ale się spełni.

Pogładził mnie po twarzy. Uściskałam jego kościstą postać. Przez chwilę wydawał mi się tak mały jak ja. Odsunął się ode mnie.

— Zaszczycasz mnie swoją miłością, *duchessina*. W zamian pragnę ci coś ofiarować.

Sięgnął do kieszeni, a następnie ujął moją rękę i złożył na niej fiołkę ze ślicznym srebrnym łańcuszkiem u koreczka — drobiazg bursztynowej barwy, mieszczący się w mojej dłoni.

— Tu masz płyn o potężnej mocy. Wolno ci go użyć tylko w ostateczności. Jeśli zastosujesz go w niewłaściwy sposób w niewłaściwym czasie, może być zabójczy. Dla ciebie lub innych.

— Co to jest? — Wydało mi się niemożliwe, aby taka odrobina mogła mieć wielką moc.

— Niektórzy nazwaliby to oswobodzeniem, inni trucizną. Byłam zaskoczona.

— Na co mi trucizna?

— Miejmy nadzieję, że nigdy nie będzie ci potrzebna. Niemniej jednak to mój podarek dla ciebie. — Zamilkł, skłoniwszy głowę na ramię. Potem rzekł: — Ukryj fiołkę w bezpiecznym miejscu. A teraz musisz iść. Twoja ciotka pewnie się niecierpliwi.

Nauczono mnie, że niegrzecznie jest odrzucać prezenty, więc założyłam na szyję łańcuszek z fiołką, chowając ją pod suknię.

— Chciałabym za jakiś czas znów cię odwiedzić, maestro — powiedziałam. Przypomniałam sobie o sakiewce i wyjęłam ją z kieszeni opończy. — A to dla ciebie.

Przyjął pieniądze obojętnie, jakby nic dla niego nie znaczyły.

— Idź z Bogiem, *duchessina*.

Ruszyłam do drzwi, gdy nagle odezwał się bezbarwnym tonem:

— Jeszcze jedno. — Obejrzałam się przez ramię. Stał w cieniach. — Powiedz wielmożnej pani Strozzi, że musi pomyśleć o twoim bezpieczeństwie. Powiedz jej, że Rzym upadnie. — Skinęłam głową, niezbyt go rozumiejąc, i wyszłam na korytarz, gdzie czekał Karol. Oglądając się po raz ostatni, ujrzałam, że światło zgasło. Mistrz Ruggieri siedział w ciemności, ale jakimś cudem wiedziałam, że się uśmiecha.

Karol odprowadził mnie do wyjścia i chciał się pożegnać. Kosma wybuchnął płaczem.

— Nie odchodź!

Karol musiał go przytrzymać, gdyż próbował się do mnie przytulić.

Uśmiechnęłam się.

— Nie ma rady, muszę wracać do domu. Przyjdę niebawem, obiecuję.

— Nie przychodź — powiedział i łzy spłynęły mu po ubrudzonych policzkach. — Wszyscy umrą.

— Umrą? — Spojrzałam na Karola. — Co on plecie?

Starszy chłopak przewrócił oczami.

— Zawsze wygaduje dziwności. Kosma, przestań. Ona się boi.

Malec patrzył na mnie z rozpaczą w oczach. Kiedy się pochyliłam, aby go pocałować, poczułam nagłą pustkę.

— Niebawem się zobaczymy — powtórzyłam i posłałam mu wymuszony uśmiech. — Bądź grzeczny i słuchaj brata.

Ciotka czekała na mnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłam. Kiedy sługa opuścił posterunek przy ścianie domu i podszedł do nas, ciotka spytała:

— Odpowiedział na twoje pytania?

— Chyba tak — odparłam i przypomniałam sobie słowa mistrza: „Niewielu otwarłoby oczy na to, co mi wyznałaś”. Dodałam: — Powiada, że za dużo się uczę i dlatego omdlałam.

Nie wiem, skąd te słowa przyszły mi na język, ale najwyraźniej zabrzmiały właściwie w uszach ciotki, bo twarz jej pojaśniała, pełna wyraźnej ulgi.

— *Bene* — rzekła. — Bardzo dobrze. — Ujęła moją dłoń i po chwili spytała: — Czy mówił coś jeszcze?

Powtórzyłam jej dziwną zapowiedź mistrza.

— Wiesz, o co mu chodziło? — spytałam.

Wzruszyła ramionami.

— Jak go słucham, co i rusz się zastanawiam, czy sam wie, co plecie.

Bez dalszych pytań pociągnęła mnie za sobą i wróciłyśmy do *palazzo*.

Przez całą drogę trzymałam rękę na staniku, tam gdzie blisko serca spoczęła fiołka od mistrza.

## R O Z D Z I A Ł 3

— Katarzyno, dziecko moje, obudź się!

Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą pochyloną pokojówkę. Drżąca świeca rzucała na ściany ogromne cienie.

— *Madama Strozzi* nakazuje ci przyjść do holu — powiedziała. — Ubieraj się!

Kiwnęłam głową i poddałam się rękonom służki, która zdjęła ze mnie nocną koszulę i nałożyła suknię. Podczas gdy pośpiesznie zaplatała mi włosy, zastanawiałam się, czego też ciotka ode mnie chce. Ostatnio w *palazzo* panowało wyczuwalne napięcie, zwłaszcza gdy przekazałam ciotce, że mistrz Ruggieri zapowiedział upadek Rzymu. Poza tym zaczęłam się zmieniać. Odkąd odkryłam swój tajemniczy dar, w duchu zaczęłam kwestionować wszystko. Chociaż wtedy nie byłam tego świadoma, teraz widzę, że przestałam być łatwowiernym dzieckiem. Starałam się obudzić swój dar, żywiąc nadzieję, że zobaczę przyszłość, ale nie miałam wizji ani przeczuc. Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim zmianom ulegnie moje życie.

Pokojówka biegała po pokoju, upychając do płóciennej torby srebrne szczotki do włosów, szale i buty.

— Wybieramy się gdzieś? — spytałam.

Potrząsnęła przecząco głową.

— *Madama* nakazała mi *zabrać* twoje *rzeczy*. Tyle wiem.

— W takim razie nie zapomnij szkatułki — powiedziałam, wskazując kufer. Wykładana srebrem i kością słoniową szkatułka była moją jedyną schedą po matce. Przywiozła ją z Francji, była częścią jej posagu, i wyściółka z czerwonego aksamitu nadal zachowała

wąły zapach jej lawendowych perfum. Ukryłam fiolkę Ruggieriego w schowku szkatułki.

Rozległe *palazzo* zalegał mrok. Miękkie podeszwy moich butów cicho szurały na marmurowej podłodze zagłuszone łoskotem ciężkich buciorów sługi, który wiódł mnie do holu. Ciotka czekała wśród rozrzuconych kufków i skrzyń. Wysokie ściany ogołociono z gobelinów i obrazów, sterta złożonych mebli piętrzyła się kacie.

Serce szybko biło mi w piersiach. Ciotka porwała mnie w ramiona. Ścisnęła mnie tak kurczowo, że pręty stanika wbiły mi się w żebra.

— Musisz być dzielna—wyszeptała. — Dzielna jak nigdy. Przyszedł czas pokazać, że jesteś prawdziwą Medyceuszką z urodzenia i wychowania.

Stałam zmartwiała. Co się stało? Czemu mówiła mi takie rzeczy?

— Nie zrozumiesz — ciągnęła głosem drżącym i zdławionym łzami, których prawie nigdy u niej nie widywałam. — Nie mam wyboru. Tak mi rozkazali. Signoria wypędziła nas z miasta.

Wiedziałam, że signoria to zarząd miasta wybierany spośród członków gildii. W przeciwieństwie do innych włoskich miast Florencja była republiką i niezwykle się tym szczyciła. Signoria zawsze była dla nas dobra. Jej siwi członkowie często bywali na wystawnych wieczorach u ciotki i wuja. Jedli i pili ponad ludzką miarę, wychwalali za to moją urodę.

Ciotka mówiła dalej gorączkowym tonem, raczej do siebie niż do mnie, jakby zapomniała, że stoję tuż obok.

— Hańba im! Wyganiają nas z naszego własnego miasta jak nocnych złodziejasków. Zawsze mówiłam, że Klemens będzie naszą zgubą. Sam sprowadził na siebie biedę. Nie obchodzi mnie, co się z nim stanie, ale ty, moje dziecko, moja mała, nie powinnaś płacić za jego zbrodnie.

— Zbrodnie? — powtórzyłam. — A co takiego uczynił *papa* Klemens?

— Nie! Nigdy więcej tak o nim nie mów! Nie ma człowieka, który by go nie nienawdził, bo za cenę własnej skóry jest zdolny do wszystkiego. Nie pojmujesz? Uciekł ze Stolicy Apostolskiej, kiedy Karol złupił Rzym.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Oszalała? Karol V Habsburg był cesarzem, władał Niemcami, Austrią, Hiszpanią i Niderlandami. Przysiągł bronić wiary, chociaż pamiętałam, jak wuj raz powiedział, że jest chciwy i bezwzględny, chętny do podboju i zawsze skory do kłótni ze szczywanymi Francuzami lub heretyckimi Anglikami. Mimo wszystko nosił koronę świętego cesarstwa, pobłogosławioną przez papieża, jakże więc ośmieliłby się najechać Rzym?!

Ciotce nadal nie zamykały się usta, chociaż głos jej się rwał:

— Klemens powinien się ugiąć i zaproponować cesarzowi pieniądze na utrzymanie wojska. Ale ten nie. Zaparł się w swojej idiotycznej dumie i wspierał Francuzów, chociaż żołnierze cesarza łomotali do jego bram. — Wywijała pięściami. — Teraz święte miasto stoi w płomieniach, a Florencja podniosła bunt przeciwko nam. Ściągnął zgubę na nas wszystkich!

Odwróciła się do mnie plecami. Nagle znieruchomiała. Tym przstraszyła mnie bardziej niż wszystkim, co do tej pory wykrzyczała.

— Ostrzegałaś mnie — szepnęła. — Powiedziałaś, że mistrz Ruggieri to przepowiedział. Mówił: „Rzym upadnie”. A ja jak Klemens byłam zbyt uparta, żeby słuchać.

Chciałam pędem wrócić do siebie i zamknąć się na cztery spusty, lecz wzrok ciotki przykuł mnie do miejsca.

— Signoria obiecała, że nie stanie ci się krzywda. Ale musisz słuchać jej członków. Musisz robić wszystko, co ci każą.

Pochłonęła mnie fala zimnego czarnego strachu. Sługa ciotki położył mi na ramieniu wielką łapę. Nawet nie słyszałam jego kroków. Chociaż nie mogłam w to uwierzyć, nagle zrozumiałam, co mnie czeka. Przecież ciotka była przy moim urodzeniu, przy śmierci moich rodziców. Tak, oddała mnie do Rzymu, nie miała jednak wyboru i zabrała z powrotem do Florencji, i sama wychowała. Chociaż nie cierpiałam jej żelaznej ręki, nigdy nie wątpiłam, że mnie kocha. Nie mogła tego zrobić. Nie mogła mnie oddać w obce ręce.

Wrzasnęłam co sił w płucach. Sługa zacisnął mi rękę na ustach. Kiedy uniósł mnie w górę, czułam jego szorstką skórę, czułam, jak śmierdzi. Próbowałam go ugryźć, ogarnięta nagłą furją. Wierzgałam i wymachiwałam rękami, gdy opasał mnie żelaznym uściskiem. Ciotka łkała:

— Błagam cię, dziecko, to dla twojego dobra. Musimy cię umieścić w bezpiecznym miejscu.

Rozpacz w jej głosie podburzyła mnie do tego stopnia, że kopnęłam w bok sługę, gdy zarzucił mnie na ramię. Długim krokiem ruszył na dziedziniec. Żołądek podskoczył mi do gardła. Tłukłam pięściami o plecy jak z granitu, kiedy weszliśmy na ciemny dziedziniec ze śliczną centralną fontanną, ozdobioną posągami Dawida z brązu dumnie obnoszącego śmieszny kapelusik. Sługa nie przystanął, minął bramę *palazzo*.

Na ulicy usłyszałam wycia, jakby demony wyskoczyły spod kocih łbów. Spomiędzy cieni bramy wystąpił nieznajomy; otaczał go odór spalenizny i piżma. Kiedy sadzał mnie na koniu kasztanowej maści, spojrzałam mu w ciemne oczy. Był młody, gładki. Szepnął:

— Jestem Aldobrindi, sekretarz signorii. Jeśli oboje mamy ujść z życiem, nie opieraj się, *duchessina*.

Usłyszałam skrzyp otwieranej bramy i wyobraziłam sobie czekające demony z widłami w rękach. Aldobrindi dosiadł konia, trzymając mnie na łęku i ukrywając pod ciemnym grubym płaszczem.

Wyjechaliśmy na ulicę. Chociaż nie mogłam dojrzeć tłuszczy wypełniającej *via Larga*, słyszałam ogłuszające zawodzenie:

— Śmierć Medyceuszom! Śmierć tyranom!

Strzelił bat; zatańczył podniecony koń. Aldobrindi warknął:

— Z drogi, hołoto. Służę signorii!

Zapadła chwila przerażającej ciszy. Skuliłam się i mocniej przywarłam do piersi jeźdźca, modląc się, żeby stać się mała jak okruszek. Bałam się, że zostanę odkryta, porwana i rozszarpana na strzępy.

Ruszyliśmy. Koń szedł przez miasto, jakby stapał na palcach. Wrzaski wzbijały się wokół, dymy przykryły niebo. Zerkając przez szparę w płaszczu, widziałam tylko oleiste płomienie łuczyw niesionych wysoko przez przebiegające postaci; słyszałam krzyki, nawoływania. Próbowałam odzyskać spokój. Ale im dalej się posuwaliśmy, tym większy był mój strach. Nie miałam pojęcia, dokąd zabiera mnie Aldobrindi i co się ze mną stanie, gdy dotrę na miejsce przeznaczenia.

Zanim zatrzymaliśmy się przed osadzoną w niebywale wysokim ceglany murze bramą, słańałam się z wyczerpania. Postawiono mnie na ziemi. Nie czułam nóg. Aldobrindi przeprowadził mnie do ponurego klasztoru. Pochodnia rzucała dziwaczne światło na nagie kamienne pilastry i zniszczoną studnię pośrodku dziedzińca.



Pokazała się odziana w czarny habit postać.

— Witajcie w klasztorze Świętej Łucji.

Zatchnęło mnie i ze zgrozą spjrzałam na Aldobrindiego. Zawiózł mnie do domu siostrzyczek zakonnych wiernych Savonaroli, szalonemu kaznodziei, który potępiał Medyceuszy, za co mój pradziad skazał go na szubienicę i stos. Klasztor Świętej Łucji był najuboższy we Florencji, a jego wygląd dowodził tylko, jak bardzo mniszki nienawidziły mojej rodziny, tak że nigdy nie skorzystały z naszej dobroczynności. Ciotka nie mogła wiedzieć, dokąd trafię; stanęłaby na głowie, żeby mnie przed tym uchronić.

— Nie możesz mnie tu zostawić — powiedziałam łamiącym się głosem. Aldobrindi jednak tylko się skłonił i odjechał, wydając mnie na pastwę mniszek. Ta, która nas przywitała, chwyciła mnie za ramię.

— Koniec z tobą — wyszczała. — Twój stryjasek papież skrył się w cytadeli w Oryieto, a cesarz wypuścił na Rzym swoje wilki. Oto co sprowadziła na nas pycha twojej rodziny: gniew Pana. Tym razem nie uciekniesz. Tu odpokutujesz za grzechy Medyceuszy.

Wpatrywałam się w nią, pomarszczoną nienawiścią twarz, w bezbarwne, wyzbyte odrobiny litości oczy i wiedziałam, że wcale mnie nie widzą. Łzy paliły mi policzki, gdy wlokła mnie obok portyku, skąd bez ruchu patrzył na mnie widmowy szereg zakonnic, i dalej, cuchnącym pleśnią korytarzem do ślepej celi, w której czekała inna siostrzyczka.

Drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem. Mniszka z beznamiętną sprawnością zdarła ze mnie ubranie. Dygotałam naga. Wyjęła coś z kieszeni habitu. Nożyce. Skuliłam się na ich widok.

— Gorzko pożałujesz, jak będziesz się stawiać — powiedziała.

Strumienie łez trysnęły mi z oczu, gdy odcięła mój warkocz. Kasztanowe loki, nadal przewiązane wstążką, opadły na podłogę. Krzyk wydierał mi się z gardła. Zdusiłam go, dygocąc, jakbym stała na śniegu. Nie chciałam okazać upokorzenia, gdy ścinano mi włosy do gołej skóry.

Kiedy skończyła, miałam gęsią skórkę. Narzuciła na mnie habit z szorstkiej wełny i wcisnęła mi do ręki zdartą miotłę.

— Posprzątaj — rozkazała i pilnowała mnie, gdy zmiatałam na kupkę lśniące pukle. Kiedy skończyłam, spjrzała mi w oczy. Wzrok miała martwy niczym ściernisko zimą.

Bez słowa zamknęła drzwi na klucz, pozostawiając mnie samą w ciemności. Czułam smród pleśni, słyszałam chrobotanie szczurów pod ścianami, resztki włosów leżały u moich stóp.

Tamtej nocy płakałam, póki nie zasnęłam.

Dzień w dzień maszerowałam do zimnej kaplicy. Musiałam godzinami klęczeć na kamieniu, aż kolana mi krwawiły. Musiałam się podporządkować najdrobniejszej regule zakonu; nie wolno mi było rozmawiać i dostawałam dziennie tylko wodnisty posiłek, po którym następowały niekończące się modły, dyktowane głucho huczącym głosem dzwonu. Nigdy nie byłam sama, jedynie nocą, podczas której kuliłam się w celi wsłuchana w odległy huk armat. Nie wiedziałam, co się dzieje za murami. Docierały do mnie tylko echa lamentów. Z zasnutego dymem nieba spadał popiół, zaścielając nędzny ogródek warzywny.

Pewnego wieczoru zakonnica przycisnęła usta do drzwi i rzekła ze złośliwą uciechą:

— Francuzi przywlekli zarazę. Twój stryj najął zarażonych cudzoziemców, żeby cisnęli Florencję na kolana, ale nie dopnie swego. Pierw umrzemy, zanim znów wydamy Medyceuszom nasze miasto.

Siostrzyczki modliły się dwa razy częściej. Na próżno. Cztery staruchy zachorowały i poszły do grobu owrzodzone, dusząc się wymiotami. Straciłam wszelkie poczucie godności, błagałam, aby mnie wypuszczono, nawet jeślibym miała trafić na ulicę niczym beżpański pies. Jednakże siostry tylko popatrzyły na mnie tak, jakbym była zwierzęciem szykowanym na rzeź.

Minęła chyba wieczność, podczas której wyobrażałam sobie swoją śmierć, w końcu uznałam w duchu, że bez względu na to, jaką przybierze postać, muszę być dzielna. Precz, strachu! Jestem Medyceuszką.

A potem, po niewyobrażalnie długich miesiącach oblężenia, gdy potężne miejskie obwarowania legły w gruzach, a ludzie padali z głodu jak muchy, signorii pozostało ostateczne wyjście. Kapitulacja.

Opłacone przez stryja wojska wkroczyły do miasta.

Zakonnice wpadły w panikę. Przeniosły mnie do dużego pokoju, podsuwały pod nos ser i suszone owoce z piwniczki, w której chomi-

kowafy najlepsze kąski. Bełkotały, że tylko wypełniały rozkazy signorii, że wcale nie zamierzały mnie krzywdzić. Wychudła na patyk patrzyłam na nie tępo, wszy mrowiły mi się na nagiej czaszce, dziaśła krwawiły. Czekanie na śmierć tak mnie znużyło, że nawet nie miałam siły nienawidzić swoich krzywdzicielek.

Po kilku dniach zjawił się Aldobrindi. Wzmocniłam się na tyle, że mogłam go przyjąć, nie mdlejąc. Miałam na sobie tę samą suknię, w której zabrał mnie z *palazzo*. Widząc mnie, nie zdołał ukryć osłupienia i przerażenia. Wykwintne adamaszki tylko podkreślały, że został ze mnie niemal sam szkielet. Aldobrindi padł na kolana, błagając o wybaczenie. Mógł skomleć do woli. Kiedy skończył, zapewniając mnie jeszcze, że zostanę uwolniona i wysłana do Rzymu, zapytałam ze spokojem:

— Gdzie moja ciotka?

Zapadła głucha cisza, po czym wreszcie wymamrotał:

— *Madama* Strozzi musiała opuścić miasto, ale nawet na wygnaniu nie przestała o ciebie walczyć. Zaraziła się gorączką i...

— Sięgnął pod kaftan i wcisnął mi w ręce zapieczętowany arkusz.

— Zostawiła to dla ciebie.

Nie musiałam czytać listu. Zacisnęłam palce i czułam przez papier niewidzialną obecność kobiety, która tworzyła tak wielką część mojego świata, że nie potrafiłam sobie wyobrazić jej odejścia. Nie płakałam. Nie mogłam. Mój żal sięgał zbyt głęboko.

Tego samego dnia opuściłam Świętą Łucję i udałam się do Rzymu. Nie miałam pojęcia, co mnie czeka.

Wiedziałam tylko, że mam jedenaście lat, że moja ciotka umarła i że moje życie nie zależy ode mnie.

## R O Z D Z I A Ł 4

Miastem, które opuściłam, zawładnął chaos. Miasto, do którego wróciłam, było nie do poznania. Mój opiekun na czas podróży ostrzegął, że Rzym doznał wielkich nieszczęść podczas cesarskiego oblężenia, lecz gdy jechaliśmy nadtybrzańskimi wzgórzami, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Zachowałam ulotne wspomnienia krótkiego pobytu w wilgotnych bagiennych oparach, pośród wspaniałych pałaców, ale to wystarczyło, bym pożałowała, że w ogóle coś się utrwaliło w mojej pamięci.

Na tle ruin wyrastał słup dymu; gdy wjeżdżaliśmy do miasta, widziałam mężczyzn o pustym wzroku i nieliczne kobiety w łachmanach. Siedzieli ze zwieszonymi głowami między wypalonymi skorupami domów, otoczeni szczątkami sprzętów, których im nie złupiono, i rozdeptanymi pamiątkami. Widziałam okrytą strzępkami odzienia grupkę dzieci; stały milczące, nieruchome, jakby nie wiedziały, gdzie ich domostwa. Serce osunęło mi się w piersiach, gdy zdałam sobie sprawę, że zostały osieroczone jak ja, tyle że nie miały nawet miejsca, do którego mogłyby się udać. Poza mułami ciągnącymi wozy z gruzem nie dostrzegłam żadnych zwierząt, nawet zwykłe wszechobecnych kotów. Odwracałam wzrok od spęczniałych trupów złożonych na ulicach jak bierwiona, od kałuż stężełej krwi połykających odbicie siniego nieba, i patrzyłam przed siebie, wiedzioną do pałacu Laterańskiego, gdzie miałam zamieszkać.

Wychodzące na zniszczone ogrody apartamenty czekały w gotowości, podobnie damy szlchetnego rodu mające mi służyć. Wśród nich była Lukrecja Calvacanti, jasnowłosa dziewczyna o lśniących błękitnych oczach, wiotka i pełna gracji. Poinformowała mnie, że

jego świątobliwość, mój stryj, nie wrócił jeszcze z Oryieto, lecz polecił zapewnić mi wszelkie wygody.

Uśmiechnęła się.

— To nie znaczy, że mamy ich wiele do zaoferowania. Apartamenty ojca świętego złupiono, ukradziono wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Ale mamy co jeść, więc chyba i tak się nam poszczęściło. Zrobimy dla ciebie, *duchessina*, co w naszej mocy, choć na razie chyba musisz się pożegnać z myślą o jedwabnej pościeli.

Miała piętnaście lat i mówiła do mnie jak do dorosłej, której nie trzeba chronić przed prawdziwym światem. Doceniłam to. Nie chciałam, żeby głaskano mnie po głowie lub karmiono kłamstwami.

Usiadłam na łożu w sypialni i patrzyłam na słońce zachodzące za porośnięte sosnami wzgórza Rzymu. Wyjęłam list od ciotki. Było tego kilka linijek spisanych drżącym piśmem umierającej.

*Moje dziecko, obawiam się, że w tym życiu więcej Cię nie spotkam. Ale nigdy nie przestanę Cię kochać i wiem, że miłosierny Bóg będzie Cię strzegł. Pamiętaj zawsze, że w Twoich żyłach płynie krew Medyceuszki i jesteś przeznaczona do wielkości. Jesteś moją nadzieją, Katarzyno. Nigdy o tym nie zapomnij.*

Przytuliłam list do piersi, skuliłam się na łożku i przespałam jedenaście godzin. Kiedy się obudziłam, Lukrecja siedziała na stołku obok.

— Wiele wycierpiałas, pani — stwierdziła rzeczowo. — Teraz musisz być jak zwierzę, które żyje z myślą, żeby przetrwać choćby jeden dzień dłużej.

— Jak mam tak żyć? — spytałam ze spokojem. — Zwierzę nie wie, co może przynieść jutro. Ja wiem.

— Musisz się nauczyć, jak przetrwać. Czy ci się to podoba czy nie, mamy tylko dzisiejszy dzień. — Wyjęła mi z rąk zmięty list. — Pozwól, że go schowam — rzekła i wezwała inne niewiasty, które starannie się o mnie zatroszczyły. Zaledwie o kilka kroków był skąpany we krwi Rzym, lecz wśród czterech ścian pałacu poczułam się bezpieczna. Pierwszy raz od długiego czasu.

Doszłam do siebie i wtedy przybył papież Klemens.

Płomienie porysowanego kandelabru rzucały mętne światło, gdy zbliżałam się do papieskiego tronu i opadłam na kolana. Klemens dał mi znak, bym wstała. Patrzyłam na niego, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądał wcześniej, szukałam oznak zmian. Przecież uciekł ze Stolicy Apostolskiej; był skazany na wygnanie, gdy cesarskie oddziały bezcześciły jego miasto, ale wydawało się, jakby dopiero co wrócił z wycieczki na wsi; wydatne policzki miał rumiane, przetykana siwizną broda otaczała pełne usta. Jego szaty bieleły jak kość słoniowa, bez plamki na obfitych fałdach; gdy zerknęłam niżej, ujrzałam wyszywane złotem aksamitne pantofle. Jedyne lśniące niebieskozielone oczy zdradzały skutki wygnania; były zmrużone, patrzyły ostro, badawczo. Zdałam sobie sprawę, że wcale go nie znam. Musiał czuć to samo. Przyglądał mi się jak obcej, jego uścisk był letni, jakby przymuszony.

— Zapłacą — wymruczał. — Wszyscy zapłacą; zakonnice ze Świętej Łucji, florency rebelianci, ten zdrajca Karol; zapłacą za to, co zrobili.

Wiedziałam, że nie mówi do mnie; dygając i cofając się do wyjścia, dostrzegłam kardynałów kurii. Zebrani w kątach śledzili mnie jastrzębim wzrokiem.

Poczułam chłód. Cokolwiek planowali, nie było miłe. Wiedziałam.

Klemens nie wzywał mnie do siebie przez całe miesiące; pozostawił mnie opiece moich niewiast. Minęło kilka tygodni, zanim przespałam całą noc, nie budząc się gwałtownie z koszmarów przypominających o ponurych miesiącach klasztornej więzienia. Z satysfakcją usłyszałam, że wierne Savonaroli siostrzyczki ukarano miażdżącą grzywną, a zakon rozwiązano; byłam mniej zadowolona na wieść, że papież odmówił przywrócenia Florencji praw republiki, natomiast wyznaczył jednego ze swych wojaków zarządcą miasta. Moja obecność wcale nie przeszkadzała Lukrecji mówić, co myśli.

— Stłamsi Florencję pod swoim pantoflem i zadba, żeby ta wojenna awantura wyszła cesarzowi bokiem.

Wiedziałam, że słusznie przewiduje. Ale byłam młoda i trzymałam się z dala od tego rodzaju tematów, zadowolając się lekturą, przymierzaniem nowych sukni, jedzeniem i spaniem do oporu.

Lukrecja informowała mnie o wydarzeniach na papieskim dworze, który wrócił do życia, zanim jeszcze zmyto ze ścian sadzę i brud iście pogańskiego najazdu. Niebawem po moich dwunastych urodzinach powiedziała mi, że król Francji Franciszek I przysłał do Rzymu posła i papież nakazuje, bym dostarczyła mu rozrywki.

Wytrzeszczyłam oczy.

— Co niby mam robić? Nalewać mu wina?

Buchnęła serdecznym śmiechem.

— Oczywiście, że nie! Będziesz go zabawiała francuskim tańcem; jego świątobliwość najął ci mistrza płasów i podrygów. Musimy być gotowe na dzień jutrzejszy, nie zapominaj o tym, a twoje niewieście umiejętności były żałośnie zaniedbywane. Czas zrobić z ciebie damę.

— Chyba mówiłaś, że mam być jak zwierzę — burknęłam. Absolutnie nie podobała mi się wymowa tych zaleceń, ale nie miałam wyboru, tak więc przez następne kilka tygodni byłam bezlitośnie musztrowana przez przystojnego, skapanego w perfumach mężczyznę, który szturchał mnie białym kijkiem, cedząc przez zęby, że kobyła ma w zadzie więcej gracji niż ja w całym ciele. Nie cierpiałam tańca. Musiałam robić niekończące się głupawe dygnięcia, trzepotać dłońmi i mrużyć uwodzicielsko oczy. Drażniło mnie to do ostateczności.

Mimo wszystko osiągnęłam taki poziom umiejętności, że nadawałam się do występu przed Francuzami. Podczas gdy czerwony od wina stryj zaśmiewał się na tronie, ambasador przyglądał mi się z enigmatycznym uśmiechem, lustrując mnie od stóp do głów, jakbym była wystawiona na sprzedaż.

Kilka dni po trzynastych urodzinach dostałam pierwszego krwawienia. Kiedy dyszałam męczona skurczami, Lukrecja obwieściła, że to pewny znak, iż będę rodzić zdrowych synów. Mimo wszystkich udręk z fascynacją obserwowałam zachodzące w moim ciele subtelne zmiany: cięższe i aksamitnie gładkie piersi, sprężyste rozrośnięte biodra i wszechobecny połysk skóry — wszystko to pojawiło się jakby z dnia na dzień.

— Czy będę ładna? — spytałam Lukrecję, gdy szczotkowała mi włosy, jeszcze bardziej sfalowane i gęste niż do tej pory. Lubiła je ozdabiać czepeczkami wyszywanymi perełkami albo koronkowymi frędzelkowymi siateczkami.



Pochyliła się, patrząc na mnie w zwierciadle.

— Już jesteś śliczna — oceniła. — Te twoje czarne oczyska zauroczą każdego chłopa, a wargi masz tak pełne, że wzbudziłyby pożądanie biskupa, chociaż biskup to łatwa zdobycz — dodała z szelmowskim mrugnięciem.

Zachichotałam. Niby Lukrecja miała tytuł pierwszej pokojowej, pilnowała służby i udzielała mi wskazówek, ale tak po prawdzie była mi jak siostra i każdego dnia dziękowałam Bogu za jej obecność. Z jej pomocą blizny po razach, których nie oszczędził mi los, rozpuły się i poczułam, że znów będę mogła patrzeć w przyszłość.

Ta niebawem znacznie się rozjaśniła. Pewnego popołudnia wpadła Lukrecja, donosząc, że papież mnie wzywa. Nie wiedziała, czego mogę się spodziewać, jedynie tego, że będzie to spotkanie na osobności. Poszłyśmy do jego apartamentów przez obwieszone gobelinami korytarze, pełne rzemieślników zajętych przy freskach zniszczonych przez najeźdźców.

Blisko złoconych drzwi stryja poczułam przebudzenie mojego daru jasnowidzenia. To nie był bezradny upadek w świat zmarłych, coś, czego doznałam we Florencji, ale spokojne, prawie niewyczuwalne ostrzeżenie. Nerwowo odwróciłam się do Lukrecji. Uśmiechnęła się, dodając mi odwagi.

— Pamiętaj, że bez względu na to co powiesz, pani, jesteś ważniejsza dla niego niż on dla ciebie.

Weszłam do przestronnej złoconej komnaty i uklękłam; stryj siedział przy masywnym biurku, obierając pomarańcze. Słodka woń wypełniała pokój, łącząc się z zapachem starych perfum i dymnym oparem pszczelego wosku. Skinał na mnie. Podeszłam pocałować jego rękę ozdobioną pierścieniem z pieczęcią świętego Piotra. Był odziany w białe szaty; na szyi miał wysadzany szmaragdami i rubinami krucyfiks.

— Powiedziano mi, że jesteś już kobietą. — Westchnął. — Jak ten czas mija. — Pokryty skórą blat zaśmiecały skórki pomarańczy; papież wyssał sok z cząstki owocu i wskazał mi taboret. — Siadaj. Dawno nie mieliśmy chwili dla siebie.

— Byłam tu zaledwie w ostatnim miesiącu, podczas wizyty francuskiego wysłannika — przypomniałam mu i rzekłam po chwili: — Jeśli waszej świątobliwości to nie przeszkadza, wolałabym stać. Ta suknia jest nowa i niewygodnie się w niej siedzi.

— Ależ musisz przywyknąć do takich niewygód. Właściwe odzienie to rzecz niezwykle ważna. Na francuskim dworze wręcz *de rigueur*.\*

Ozdobnym nożykiem podzielił owoc. Uwolniony zapach był jak promienie słońca. Ślinka nabiegła mi do ust.

— Powinnaś wiedzieć takie rzeczy. Przecież twoja matka była Francuzką.

Miałam na końcu języka, że nie poznałam matki. Ale zamiast mu to przypomnieć, wymamrotałam:

— Tak, była, wasza świętobliwość, przynosząc mi tym wielki zaszczyt.

— W rzeczy samej. A co byś rzekła, gdyby Francja poprosiła o twoją rękę?

Głos miał łagodny, przypominający mi czasy, w których byłam małą dziewczynką, a on oddanym stryj aszkiem. Nie dałam się jednak zwieść; jego wezwanie miało swój cel.

— No? — napomniał mnie ostro. — Nie masz nic do powiedzenia?

— Powiedziałabym, że to dla mnie wielki zaszczyt — powtórzyłam.

Roześmiał się pod nosem.

— Prawdziwa Medyceuszka z ciebie. — Zabrzmiało to tak, jakby obnażył kły. Osłabłam. Skierował na mnie wzrok. — Już znasz walor nic nieznaczącej odpowiedzi. Ten atut pozwoli ci wygładzić wszelkie małżeńskie niedopasowania.

Krew zastygła mi w żyłach. Myślałam, że się przesłyszałam.

— Czas, byś zajęła swoje miejsce w świecie — mówił dalej, żując pomarańczę; bład sok spływał mu na rękaw. — Wiedz, że wszystkie przygotowania są niemal na ukończeniu. Jako część twojego posagu zaoferuję Księstwo Mediolanu, gdy tylko ślub zostanie zawarty. — Podniósł wzrok. — Kto wie? Któregoś dnia możesz być królową Francji.

Krew huczała mi w uszach. Oto w końcu mógł się zemścić. Oto był sztylet wbity w bok cesarza: sojusz z rywalem Karola, Franciszkiem, królem Francji. Byłam papieskim pionkiem. Oddanie mnie Francji miało zamknąć Karolowi drogę do Włoch, natomiast Fran-

\* *De rigueur* (fr.) — obowiązkowy.

ciszek po długich staraniach uzyskałby władzę nad dotychczas cesarskim Księstwem Mediolanu.

— Przecież Franciszek ma już żonę, rodzoną siostrę cesarza — udało mi się wykrztusić.

— W rzeczy samej. Lecz jego drugi syn, Henryk Orleański, nie. Ten młodzieniec pewnego dnia może odziedziczyć tron. Cokolwiek mówić, wiem z dobrego źródła, że jego starszy brat, delfin Francji, jest trapiiony ciężką chorobą.

Zaczął obierać kolejną pomarańczę, wbijając w nią pajęczne palce.

— Ufam, że twoje milczenie nie oznacza niezadowolenia — mówił dalej. — Nie szczędziłem talarów ani trudów, abyś mogła tu przybyć. Jeszcze mi tego trzeba, żebym musiał wlec cię wierzgającą do ołtarza.

Co mogłam rzec? Miał prawo wysłać mnie tam, gdzie mu się podobało. Co mogłam uczynić, aby odzyskać wolność? Nic. Pozostawało mi samobójstwo, taka była lodowata prawda ostateczna, toteż świadoma jej przemówiłam twardo:

— Jeśli takie jest twoje życzenie, moje zadowolenie nie ma granic. Czy mogę prosić o coś w zamian? Chciałabym pojechać do Florencji. To mój dom rodzinny i... — głos mi się załamał. — Chcę go pożegnać.

W jego oczach pojawił się chłód.

— Znakomicie — rzekł. — Jeśli Rzym nie jest ci więcej miły, wyznaczę ci orszak. — Wyciągnął prawą dłoń. Pocałowałam ją, słysząc mruczenie: — Miłość to zdradzieckie uczucie. Wyrzeknij się jej, a będzie ci się lepiej żyło. My, Medyceusze, nigdyśmy sobie nią nie zawracali głowy.

Wycofałam się tyłem do drzwi, podczas gdy on dalej obierał pomarańczę, wyginając usta w uśmiechu satysfakcji.

Wróciłam do pachnącej zarem lata Florencji. Towarzyszyła mi zbrojna eskorta i moje damy, w tym Lukrecja i nowa towarzyszka, błażnica Anna Maria — czternastoletnia karlica, której krótkie członki wcale nie ujmowały uroku cudownej złotej grzywie, rezolutnej mince i żywemu uśmiechowi. Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia; papież przeczesał całe Włochy, aby ją znaleźć, gdyż upierał się, iż we Francji muszę mieć własną trefnisię, ale ja postanowiłam, że

nie będę jej upokarzać, ubierając w dzwoneczki. Obarczyłam ją innym zadaniem. Miała się zajmować moją pościelą i otrzymała szczególnie pożądaną pozycję osobistej służki, tak że spała w mojej sypialni.

Nasze rodzinne *palazzo* niewiele się zmieniło. Florencja nadal dźwigała rany, na których uleczenie potrzebowała lat, jednak nasz rodzinny dom pozostał nietknięty, cichy jak kunsztownie zdobiony sarkofag. Znalazłam schronienie w pokojach świętej pamięci ukochanej ciotki, w których pościel nadal zachowała jej zapach, a na wykładanym alabastrem biureczku nadal leżały przybory do pisania, jakby lada chwila miała po nie sięgnąć.

Tam znalazłam moją szkatułkę, w szufladzie pod niedokończonymi listami. Wyjęłam ją drżącą ręką, jakby mogła się rozpuścić w powietrzu, i pogładziłam czubkami palców porysowane wieko. To ciotka ją tam ukryła, między swoimi drobiazgami. Wiedziała, że mi na niej zależy, i przewidziała, iż po nią wrócę.

Otworzyłam ją do wtóru cichego metalicznego trzasku. Odgarnęłam aksamitną wyściółkę i znalazłam skrytkę, a w niej fioletową Ruggeriego ze zwiniętym węzowo łańcuszkiem. Założyłam go na szyję i trzymając szkatułkę w dłoniach, oddałam się żalowi.

Moje zaręczyny obwieszczono na wiosnę. Klemens zebrał imponującą wyprawę, demonstrującą bogactwo narzeczonej z domu Medyceuszy. Nie zawahał się ogołocić swojego skarbcza, dając mi między innymi siedem szarych pereł, kiedyś ponoć własność bizantyjskiej cesarzowej. Ozdobiły moją książęcą koronę. Kazał też posłać do Francji mój portret.

W zamian Franciszek przysłał portret syna. Przywieziono go w wybornym, wykładanym satyną puzdrze. Lukrecja wyjęła z niego miniaturę i po raz pierwszy ujrzałam przyszłego męża — nieczułą twarz, oczy zakryte ciężkimi powiekami, wąskie usta i długi nos Walezjuszy. Ten wizerunek niczego we mnie nie obudził i przez chwilę się zastanawiałam, czy Henryk też nie poczuł niczego, patrząc na mój portret. Co wróżyło małżeństwo ludzi zupełnie się nieznających?

— Przystojny — stwierdziła z ulgą Lukrecja. Zerknęła na mnie. Siedziałam na krześle nieruchoma jak posąg. — Nie wydaje się, aby tamten trzyletni pobyt w Hiszpanii zostawił na nim jakieś złe ślady.

Anna Maria się zdziwiła.

— Dlaczego był w Hiszpanii?

— Kiedy Franciszek poniósł klęskę w wojnie o Mediolan, Henryk i jego brat, delfin Francji, trafili jako zakładnicy na dwór cesarza — odparłam. — Poza tym Franciszek musiał się ożenić z siostrą Karola, Eleonorą. — Ogarnęło mnie takie rozczarowanie i taka kompletna bezradność, że jak dziecko byłam gotowa tupać nogami i cisnąć miniaturę na drugi koniec pokoju. Powstrzymałam łązy, jedynie rozkazałam: — Weźcie to i zostawcie mnie samą.

Tamtej nocy nie spałam. Siedziałam przy oknie i patrzyłam na Florencję okrytą duszną nocą. Zanim postanowiłam co dalej, pozwoliłam sobie opłakać wszystko, co straciłam. Przyszedł kres mojego życia we Włoszech. Może nie zostanę tym, kim pragnęłam zostać, lecz taki był mój los. Teraz musiałam patrzeć w przyszłość i nie dać się niczemu zaskoczyć.

Przecież byłam Medyceuszką.

CZĘŚĆ II

1532—1547

*Goła*  
*jak dziewczyna*

## R O Z D Z I A Ł 5

Po dwóch tygodniach na morzu mój statek rzucił kotwicę w Zatoce Marsylskiej. Przeżyłam koszmarną, wypełnioną sztormami podróż, po której ślubowałam nigdy więcej nie opuszczać lądu. O ile byłam skłonna wyrzekać na kaprysy losu, który zaprowadził mnie do nieznanego kraju i równie nieznanego małżonka, o tyle niebywała ulga spowodowana innym widokiem niż wzburzone morze poprawiała mi humor.

Lukrecja i Anna Maria wyjęły ze skórzanego kufra jedną z nowych sukien, wygładziły zmięte fałdy i zapięły ją na mnie — brokatowy strój tak gęsto wysadzany szlachetnymi kamieniami, że trudno mi było sobie wyobrazić wyjście na pokład, co dopiero jazdę do pałacu, w którym oczekiwał francuski dwór. Po raz pierwszy nałożyłam ceremonialną księżęcą koronę wysadzaną siedmioma perłami. Przyodziana w te świetności czekałam, aż przybył mój nowy skarbnik, Renato Birago, przynosząc wiadomość, że barka konetabla Montmorency'ego przypłynęła i powiezie mnie na brzeg.

Skinęłam głową.

— W takim razie muszę go przywitać.

Birago uśmiechnął się do mnie. Był Florentyńczykiem, liczył sobie około dwudziestu pięciu lat i sam papież Klemens wybrał go na opiekuna mojej szkatuły. Lekko kulał, składając to na karb okresowych ataków podagry, a jego wdzięk wiecznego młodzieńca świadczył o życiu spędzonym na papieskim dworze. Jak nakazywała włoska moda, odział się w szkarłatny, szyty do figury kaftan. Cienkie, już rzednące jasnokasztanowe włosy zaczesywał do tyłu, co podkreślało krogulczy nos i mądre, przenikliwie patrzące ciemne oczy.



— *Madama* — rzekł nawykłym do szeptu głosem. — Sugeruję, byś pozostała na pokładzie. Może Montmorency to konetabl, najwyższy dowódca jego królewskiej mości, ty wszakże jesteś księżną Urbino i niebawem będziesz księżną Orleanu. Niech dla odmiany Francja złoży wyrazy szacunku Włochom.

To była mądra rada mądrego człeka i nie mogłam się nie uśmiechnąć. Przynajmniej miałam przy sobie Włocha, który dbał o moje bezpieczeństwo. Podniosłam rękę do piersi, na której pod staniem sukni czułam inną cząstkę Włoch — fiolkę Ruggieriego.

Moje damy dworu zebrały się wokół mnie, gdy gromada wspaniale przyodzianych Francuzów weszła na pokład galeonu. Szlachetne kamienie mieniły się na roziskrzonych słońcem biretach i kaftanach. Nie patrząc na nich, spytałam szeptem Lukrecję:

— Który to konetabl?

— Ten tam, przy Biragu — powiedziała. — To musi być on. Taki wielki i w żałobnych czerniach wygląda na barbarzyńcę.

Miała rację. Montmorency zasłaniał barami słońce i zaprawdę miał wygląd tytana. Wykrochmalona kryza ledwo opinała byczy kark. Birago powiedział mi, że dobiega czterdziestki, jest znakomitym wojownikiem i zaciekle walczył podczas przegranej mediolańskiej kampanii Franciszka. Jako że skapał miecz we krwi niezliczonych moich ziomków, z góry zakładałam, iż okaże niewiele uczucia córce włoskiej ziemi. Atoli gdy pochylił się nad moją dłoń, dostrzegłam, że choć ma sękatę łapska i chłodne szaroniebieskie oczy, to nie brak mu dwornej uprzejmości.

— To zaszczyt witać waszą księżną wysokość w imieniu jego królewskiej wysokości Franciszka Pierwszego — wydekłamał monotennie.

Skłoniłam głowę i odparłam po francusku:

— Mój konetablu, kiedy mnie witasz, czuję się, jakby to jego królewska wysokość był tu we własnej osobie, a to królestwo było moim domem.

Jeszcze bardziej zmrużył oczy. Chociaż nie odezwał się więcej, gdy prowadził mnie na barcę, jego pewna, wspierająca mnie dłoń dawała mi poczucie, że zyskałam pierwszego francuskiego przyjaciela.

Niewiele pamiętam z przejazdu przez Marsylię. Po dotarciu do pałacu miałam zaledwie chwilę na ogarnięcie się, zanim znów wspartą na ramieniu konetabla wprowadzono mnie do sali, w której setki wielmożów stały wzdłuż przejścia wiodącego do obitego szkarłatem podwyższenia.

Kłaśnięcie dłoni zamknęło wszystkich usta.

— *Eh, bon!* Panna młoda przybyła!

Z podium zszedł z kocią gracją mężczyzna od stóp do głów odziany w srebrną szatę. Kasztanowe włosy opadały mu do ramion, przystrzyżona broda podkreślała wąskie usta i długi nos, którego krechę urozmaicał garbek. Wrosłam w ziemię. Cóż to była za twarz! Pełne spektrum życia wyrzeźbiło się na niej z zatwardziałą arogancją, każda zmarszczka i fałda opisywała duszę, która nie cofa się przed niczym. Dawno miał za sobą okrzyczane wyczyny młodości, ale pan Francji, Franciszek I, nadal przyciągał wzrok, król, dla którego władza stała się częścią bojowego ekwipunku i który posmakował w życiu wszystkiego krom wyrzeczenia.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Osłonięte grubymi powiekami zielone oczy Franciszka lśniły szelmowsko. Ocknęłam się ze zgrozą. Zapomniałam złożyć hołd...! Kiedy schyliłam głowę, rozpoczynając głęboki dyg, machnął upierścienioną dłonią.

— *Mais non, ma filie* — rzekł i objął mnie do wtóru hałaśliwego spontanicznego aplauzu. — *Bienvenue en France\** Kasiu — tchnął mi do ucha król Francji.

Podprowadził mnie do swojej rodziny. Ucałowałam rękę królowej Eleonory, cesarskiej siostry, sztywnej hiszpańskiej księżnej otoczonej dworkami. Potem przywitałam się z najstarszym synem władcy, zrodzonym z pierwszego małżeństwa ze świętej pamięci królową Klaudią. Również Franciszek, delfin, czyli następca tronu francuskiego, władca Delfinatu, był wysokim młodzieńcem o łagodnych piwnych oczach i bladej cerze wiecznie chorego. Mało nie stuknęłam się głową z jego siostrami, Magdaleną i Małgorzatą, które były tak przejęte, że dygnęły równocześnie ze mną. Kiedy wszystkie trzy zachichotałyśmy, spostrzegłam, że są prawie w moim wieku, i pomyślałam, iż mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

\* *Mais non...* (fr.) — Ależ nie, moja córko... Witaj we Francji.

Odwrociłam się do króla. Posłał mi krzywy uśmiezek. Zrozumiałam.

— Nie ma jego wysokości księcia Henryka? — spytałam.

Twarz mu pociemniała.

— To gbur — mruknął. — Nie umie należycie się zachować. Wygląda też na to, że nie zna się na zegarze. Nie przejmuj się tym. Ślub wyznaczono na jutro i na Boga, stawi się na nim.

To zabrzmiało raczej jak groźba niż próba uspokojenia mnie. Zadarłam podbródek.

— Jak to możliwe, że go nie ma? — Mówiłam na tyle głośno, by wszyscy mnie słyszeli. — Nie każdego dnia Francja ma okazję zaślubić Italię.

Franciszek znieruchomiał.

Zniżył wzrok i ujął moją rękę.

— Powiedziane jak na prawdziwą księżniczkę przystało — mruknął i unosząc nasze splecione ręce, zawołał: — Do stołu!

Zaprowadził mnie do sali biesiadnej, w której usiadłam na podwyższeniu obok niego. Dwór zaroił się przy stołach niżej. Kiedy służba zaczęła roznosić tace z bażantami w miodzie i pieczone łabędzie, król obrócił do mnie głowę i szepnął:

— Może mojemu synowi nieśpieszno okazać rozkosz na widok oblubienicy, ale ja, moja miła, jestem oczarowany.

Odparłam bez wahania:

— W takim razie może to z waszym majestatem powinnam iść do ołtarza.

Roześmiał się.

— I nie brak ci odwagi. Dobrze pasuje do twoich czarnych ślepeków. — Po chwili dodał: — Ciekawym, czy mój syn cię doceni, Katarzyno z Medyceuszów.

Zmusiłam się do uśmiechu, lecz jego słowa wzbudziły we mnie dreszcz. Czyżbym przebyła tę długą drogę, aby zostać żoną księcia, który nie zechce mieć ze mną do czynienia?

Kiedy stawiano przede mną tacę po tacy, a Franciszek pił puchar po pucharze doprawianego korzeniami wina, zaczęłam czuć się zbędna, dopóki nie dotknął mej ręki, mówiąc:

— Siostrzeńcy konetabla pragną cię przywitać, moja droga. Uśmiechnij się. Są jego dumą i radością, owocami łona jego ukochanej świętej pamięci siostry.

Wyciągnęłam się w górę jak struna. Przede mną stali konetabl i trzech młodzieńcy.

Natychmiast zrobili na mnie wrażenie. Płowowłosi, gładcy, w mieniących się białych, wyzbytych ozdób kaftanach. Równie imponująca była łącząca ich wyzbyta pychy rodzinna więź.

— Czy mogę przedstawić mojego najstarszego siostrzeńca, Gasparda de Coligny, pana na Chatillon?

Pochyliłam się. Gaspard z Chatillon miał gęste włosy koloru ciemnego złota i przejrzyste bladoniebieskie oczy. Jego podłużną twarz spowijała melancholia. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. W rzeczywistości dopiero co skończył szesnaście.

— Jestem zaszczycony — rzekł cichym głosem. — Mam nadzieję, że wasza wysokość znajdzie tu szczęście.

Posłałam mu drżący uśmiech.

— Dziękuję, panie.

Milczał, patrząc mi głęboko w oczy. Myślałam, że szykuje się powiedzieć coś jeszcze, on jednak tylko się skłonił po raz drugi i wrócił z braćmi do stołu. Nie mogłam oderwać od niego wzroku, jakbym trafiła na coś cennego, co utracone z oczu może nigdy więcej się nie znaleźć.

Franciszek westchnął.

— Jego ojciec zmarł niedawno, dlatego Gaspard nosi biel, naszą barwę żałoby. Pani de Coligny odeszła lata temu; teraz gdy ojciec nie żyje, Gaspard jest głową rodziny. Konetabl ma bzika na jego punkcie. — Przesunął wzrok na mnie. — Można trafić na gorszych przyjaciół. Montmorency to jeden z moich najbardziej lojalnych żołnierzy i szczeni się długim rodowodem. Siostrzeniec konetabla może się pochwalić równie długą linią przodków, a na dworze, *ma petite*, rodowód jest wszystkim.

A więc Gaspard de Coligny był sierotą jak ja. Czy to dlatego poczułam łączące nas głębokie duchowe pokrewieństwo?

Następnie przedefilował przede mną cały zastęp szlachetnie urodzonych. Tłoczyli się jeden przez drugiego, ale tak naprawdę chodziło im tylko o to, by król widział, iż składają wyrazy szacunku jego synowej. Po dwudziestym daniu i dwa razy większej liczbie powitań wirowało mi w głowie od imion i tytułów. Byłam wdzięczna królowi, gdy się podniósł i ogłosił, że muszę być znużona. Przeprowadził mnie do przeciwległego podium, na którym

królowa Eleonora przesiedziała w całkowitym milczeniu całą wieczór.

Budziła we mnie żal. Jak ja była towarem na targu córek monarchów i zapewne nie potrafiła się znaleźć w tej sytuacji. Słyszałam, że tacy są Hiszpanie, żarliwie przywiązani do swej tożsamości, lecz wiedziałam, iż niemądrze byłoby ją naśladować. Bez względu na to, co miało się wydarzyć, musiałam wtopić się w otoczenie; musiałam stać się jedną z postaci dworu, który na dobre czy złe był moim nowym domem. Mijając konetabla, zerknęłam na jego siostrzeńca. Gaspard zwiesił głowę, na próżno więc szukałam jego wzroku.

Odziani w błękit i biel Walezjuszy paziowie otworzyli drzwi. Franciszek oddał mnie w ręce moich dworek. Nie rozmawiałam z nimi, gdy uwalniały mnie z uroczystego stroju, ale dostrzegłam znaczące spojrzenie Lukrecji, kiedy spoczęłam w zimnym łożu.

Leżałam samotna, myśląc, że ciotka Klarysa się myliła.

Może jednak wcale nie byłam taka ważna.

## ROZDZIAŁ 6

Obudziłam się następnego rana otoczona ciasną gromadką dworek. Przez cały tydzień nie udało mi się wyspać do woli, toteż schowałam głowę pod poduszkę. Lukrecja bez ceregieli potrząsnęła mnie za ramię.

— Pani, jego majestat i dwór oczekują na ciebie. Dzisiaj ceremonia.

Jęknęłam i leżałam bez słowa. Zerkałam spod poduszki. Czułam woń rozgrzanej lawendy z miedzianych balii, które przywleczono do sypialni i napełniono gorącą wodą, widziałam stertę fałd rozłożonego na stole stroju ślubnego.

— Zjawił się wreszcie? — spytałam.

Anna Maria ze smutkiem potrząsnęła głową. Ogarnęła mnie fala poniżenia.

— Więc jak go nie ma, to z kim niby mam brać dzisiaj ślub? — warknęłam.

Lukrecja odparła:

— Miłościwy pan powiada, że gdyby zaszła taka potrzeba, postara się, abyś wzięła ślub *per procura*.

Anna Maria zalała się łzami. Między szlochami wykrztusiła, że jestem najniezwyklejszą księżniczką na całym świecie.

— W tej kwestii nie mam zdania — powiedziałam, robiąc dobrą minę do złej gry. — Ale z pewnością są szczęśliwsze.

Poddałam się ich zabiegom. Po dwóch godzinach wyłoniłam się z sypialni wystrojona w suknię z błękitnego aksamitu. Tworzące roślinne wzory brylanty zdobiły rękawy. Szpice koronkowych mankietów były ostre jak odłamki szkła.

Mimo duszącego upaiu na dziedzińcu mrowił się tłum. Przystanęłam. Bóg mi świadkiem, nie chciałam tego. Nie chciałam wyjść za mąż za niedorostka, któremu brakowało dobrych manier, żeby się pokazać. Spomiędzy zebranych wielmożów wyłonił się Franciszek. Skłonił się i uniósł do ust moją rękę. Uśmiechał się sardonicznie.

— Powiedziałaś, że może powinnaś wyjść za mnie zamiast za mego syna. Hm, teraz masz okazję.

Musiałam się uśmiechnąć. Żaden znany mi mężczyzna nie dorastał do pięt temu podstarzałemu satyrowi.

Dalszy ciąg tego samego czekał mnie przed katedrą, tyle że morze dworzan, panów i drobniejszej rangi urzędników stało się oceanem. Kolejny raz wszystkie oczy — lśniące nad upudrowanymi policzkami jak u drapieżnych ptaków — oceniały mnie, gdy gramoliłam się z karety, zadając sobie gwałt, by nie złapać za ogon przepoczonej sukni i nie wyszarpnąć sutych fałdów spomiędzy półdupków. Kiedy Franciszek prowadził mnie do ołtarza, w przesadnie szerokim stroju kolebałam się niczym galeon. Nigdzie nie było ani śladu pana młodego.

Król stanął obok mnie. Biskup miał taką minę, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Franciszek zawarczał:

— No? Na co czekamy? Panna młoda jest, a ja zastąpię pana młodego. Dalej, człowiecze, dalej!

Zadałam sobie w duchu pytanie, czyjego ślub z Eleonorą wyglądał podobnie. Jak mogło być inaczej? Związki dyktowane politycznymi względami to nie inspiracja sonetów. Lecz nawet gdy państwa młodych łączył sojusz wyłącznie politycznej natury, sami szli do ołtarza.

Biskup gorączkowo kartkował mszał, szukając właściwego ustępu, chociaż miał aż nadto czasu, żeby się przygotować. Mało nie zachichotałam. Całe wydarzenie wydało mi się idiotycznie śmieszne, farsą zbudowaną na kłamstwie.

W tamtej chwili dzwonki ostróg na marmurowych płytach zburzyły ciszę. Tłum zafalował, wszyscy się odwrócili. Zobaczyłam idącego ku nam wysokiego młodzieńca. Zdierał z rąk długie rękawice i wsadzał je za pas. A za nim ciągnęła gromada rozchełstanych mężczyzn. Franciszek zeszywniał. Nikt nie musiał mi mówić, że przybył pan młody.

Widząc Henryka Orleańskiego po raz pierwszy, poczułam pewną ulgę. Przynajmniej nie był brzydki. W piętnastym roku życia utrzymywał swe rozrośnięte ciało z dyscypliną urodzonego jeźdźca, który chciałby wiecznie żyć w siodle, mając za nic każde stworzenie niesłuchające wędzidła ni bata. Odziedziczył długi nos Walezjuszy, wąskie oczy i kruczoczarne włosy, ale wyraz jego twarzy był ponury, jakby skwaśniała w nim wszelka radość. Nie przebrał się i pojawił przed nami w stroju myśliwskim. Na kaftanie miał rdzawe odpryski, niewątpliwie juchę zamordowanej przez siebie zwierzyny. Tuż za nim maszerował szczupły, długi jak rapier młodzian. Miał może dwadzieścia lat, zaciśnięte usta oraz wąską, ostro zarysowaną twarz. Spoglądał na mnie tak, jakbym była czymś paskudnym, w co wdepnął. Jak później się dowiedziałam, był to Franciszek Gwizjusz, najbliższy przyjaciel Henryka i najstarszy syn niebywale ambitnej rodziny gorliwych katolików. Franciszek nadał jej tytuł księżęcy i wielkie połacie ziem w północno-wschodniej Francji.

Zadarłam podbródek. Mój przyszły mążzonek nie odezwał się słowem.

— Niewdzięczniku! — syknął Franciszek.

Zmartwiałam, gdy Henryk nie raczył nawet spojrzeć na ojca. Mój ślub zamieniał się w katastrofę. Musiałam interweniować. Byłam Medyceuszką, bratanicą papieża. Co ważniejsze, pod każdym istotnym względem byłam dzieckiem mojej ciotki.

Odwrociłam się do biskupa.

— Wasza ekscelencjo...

Franciszek odstąpił na bok i Henryk zajął jego miejsce. Pachniał gorzej, niż wyglądał, i spozierałam prosto przed siebie, gdy powtarzałam słowa, które czyniły mnie żoną Henryka Orleańskiego.

Po ślubie byliśmy skazani na kolejną ucztę.

Tym razem obok mnie zasiadł Henryk i chociaż nie patrzyliśmy na siebie, byłam pewna, że nadciągająca godzina przesłania wszelkie myśli nie tylko moje, ale również jego. Prawdę mówiąc, przesłaniała je do tego stopnia, że nie potrafiłam uszczknąć kaska z pięćdziesięciu pięciu dań, stawianych przed nami w oszałamiającym korowodzie, ani też udawać, że jestem zachwycona darami, które szlachta składała u naszych stóp.



Z wybiciem północy setki dworzan stłoczyły się na korytarzach pałacu, z hucznymi okrzykami odprowadzając nas do apartamentów nowożeńców. Zmieniłam suknię ślubną na nocną koszulę z białego batystu i wprowadzono mnie do sąsiedniego pokoju. Henryk stał przy szerokim łożu z girlandami, rozmawiając z przyjacielem o jastrzębim obliczu. Mój mążonek przywdział przezroczystą lnianą koszulę, która lgnęła do jego umięśnionego ciała niczym mokra skóra. Większość kobiet i niektórzy mężczyźni byłiby uradowani, mając w łożu takiego chwata. Może po części byłam i ja, bo serce waliło mi młotem. Ale było mi też mdło, gdy uciekając przed obleśnym uśmiechem Gwizjusza, pozwoliłam Lukrecji, by położyła mnie do łóżka i przykryła. Biskup pobłogosławił łożę; dworzanie wypili ostatni toast za nasze szczęście, zgaszono wysokie świece. Wszyscy wrócili na ucztę.

Zapadła cisza. Leżałam jak trusia.

Nie byłam nieświadoma tego, co małżonkowie robią w noc poślubną. Lukrecja wyjaśniła mi to pokrótce i widziałam parzące się psy; jednak nie widziałam w tym niczego kuszącego.

Henryk podniósł się z łóżka. Syknęłam przez zęby. Niewyobrażalne, by ośmielił się zostawić mnie samą! Zajaśniał płomień i Henryk wyłonił się z cieni, trzymając świecę. Postawił ją przy łóżku, usiadł na nim i odchrząknął.

— Chciałbym przeprosić za wszelką obrazę, której dopuściłem się względem ciebie.

Na ten słowa — pierwsze, jakie do mnie skierował — usiadłam.

— Zaniechałem cię powitać, gdy przybyłaś — dodał. — Moje zachowanie było niewybaczalne.

Dukał te przeprosiny sztywnym tonem. Król pewnie nieźle go zrugął.

— Było niewybaczalne — potwierdziłam. — Nie uczyniłam niczego, by zasłużyć na taką obelgę.

Odwrócił wzrok. Świeca rzucała ruchliwy cień na jego podbródek. Pomyślałam sobie, że tak będzie wyglądał pewnego dnia, gdy zapuści brodę. Mimo że cuchnął capem, był bardzo przystojny, ale to nie znaczyło, że powinno mi na nim zależeć. Wyczuwałam, że będzie dla mnie dużo lepiej, jeśli nie ulegnę jego męskiemu czarowi.

— Tak, nie uczyniłaś niczego — potwierdził w końcu. — Chociaż są tacy, którzy mówią... — Uniósł wzrok ku mnie. Był chłodny,

beznamiętny. — Niektórzy mówią, że to dla mnie niestosowne małżeństwo.

Byłam zdziwiona.

— Niestosowne? Dlaczego to?

Teraz z kolei on wydawał się skonfundowany. Nie spodziewał się, że będę stawiała mu pytania. Dlaczego? Czyżby żony we Francji nie miały języka w gębie?

— Myślałem, że to oczywiste — odparł, unosząc podbródek. — Jestem księciem Francji, a ty... tylko córką kupców wełnianych.

Ani drgnęłam. Nikt do tej pory tak mnie nie nazwał i przez chwilę mało się nie roześmiałam, takie to było ni w pięć, ni w dziewięć. Moje rozbawienie zgasło, gdy uświadomiłam sobie, że Henryk mówi śmiertelnie poważnie. Wierzył, że pod względem urodzenia nie dostaję mu do pięt.

— Może moja familia wywodzi się z nizin, ale już mamy dwóch papieży i kilku szlchetnych panów — powiedziałam. — We Włoszech rodziny mojego stanu są uważane za szlacheckie, jako że...

— Wiem o twojej rodzinie — przerwał mi.

Wyglądało na to, że nie spodziewał się z mojej strony śmiałości. Łez, panieńskich błagań — tak, lecz nigdy śmiałości. Każda mijająca chwila pogłębiała moją pogardę. Był jak dzieciak zmuszany do robienia czegoś wbrew woli i gotowy zniszczyć to, co przyprawia go o dyskomfort, nie myśląc o konsekwencjach.

— No, ale zdarzyło ci się to szczęście, że masz księcia w łóżu — ciągnął. Wiedziałam, że nie wymyślił tych słów sam. Może w nie uwierzył, kiedy zostały mu podsunięte, ktoś inny jednak zaszczepił mu to wredne przekonanie, ktoś zaufany. Kto?

Nie zamierzałam się bronić, chociaż bardzo chciałam mu przypomnieć, że moje pochodzenie było wystarczająco dobre dla jego ojca, który przez lata marzył o moim kraju i bez namysłu przyjął mój posag oraz zobowiązanie stryja, iż w przyszłości dorzuci do niego kilka księstw. Ale rzekłam tylko:

— W rzeczy samej. To wielki zaszczyt.

Chwilę stał bez słowa, zadzierając głowę i wypinając pierś jak kogut bojowy.

— Oczywiście nie winię cię za brak szlchetnych przodków. Na pewno wolałabyś pozostać we Włoszech, wśród ziomek.

Przemilczałam tę uwagę. Nigdy nie przyznałabym się głośno, jak mało zostawiłam w ojczyźnie tego, co byłabym gotowa opłakiwać.

— I powiedziano mi, że to nie musi być niemiłe — wymamrotał, biorąc moje milczenie za zgodę. — Jeśli będziemy postępować jak należy, w swoim czasie będziemy mogli żyć jak mąż i żona.

To była noc prawdy. Nie miałam jeszcze szesnastu lat, nowicjuszka w sprawach sercowych, ale nawet ja wiedziałam, że udane małżeństwo nie zależy od osobistych upodobań. Kobiety w mojej sytuacji często wychodziły za cudzoziemców. Jeśli one doznały zawodu i wytrzymały, mogłam wytrzymać i ja.

Skinęłam głową. Usatysfakcjonowany zdmuchnął świeczkę i z powrotem wsunął się pod kołdrę.

— Dobrej nocy — bąknął i odwrócił się na bok. Po kilku sekundach chrapanie punktowało jego głęboki oddech. Spał jak strudzony mężczyzna, tyle że nie tak, jak należałoby się spodziewać w noc poślubną.

Długo nie zmrużyłam oka, wpatrując się w ciemną pustkę pod baldachimem.

Wyglądało na to, że moje najgorsze obawy względem małżeństwa miały się potwierdzić.

## R O Z D Z I A Ł 7

Z Marsylii udaliśmy się do serca Francji, doliny Loary.

Otoczona rozbawionymi mężczyznami w dopasowanych aksamitach i śmiałymi damami o umalowanych twarzach, na czele setek wozów obładowanych meblami, kruchymi statkami, dywanami i gobelinami — wszystkim, czego dwór może potrzebować — byłam oszołomiona i pełna podziwu. Nic, co oglądałam we Włoszech, nie mogło się równać z ekstrawagancją tego dworu sunącego jak wielobarwna wstęga, której postrzępione brzegi tworzyły masy sług i poszczekujące psy gończe, z królem zawsze w centrum, otoczonym dworzakami. Często towarzyszyła mu uderzającej urody ruda dama odziana w jadeitowej barwy jedwabie; jej długa szyja lśniła od klejnotów, a dłoń poufale dotykała Franciszka. Nie przedstawiono mi jej, ale zgadywałam, że musi być metresą króla, i myślałam o statecznej hiszpańskiej królowej, która w Marsylii pożegnała się ze mną sztywno i otoczona własnym dworem udała w innym kierunku.

Ziemie, które pokonywaliśmy, były imponujące — tak rozległe, że przy nich Włochy zdawały się zwapniałym kręgosłupem dawno nieżywego zwierzęcia. Widziałam bogate doliny pod błyszczącym niebem rozpostartym nad nami niczym lazuruwe sklepienie, rzeki płynące zakosami pod kamiennymi mostami, ciągnące się po horyzont majestatyczne puszcze i otaczające rozległe miasteczka żyzne pola, na których bydło pasło się w wielkich zagrodach. Jadąca u mego boku Lukrecja wytrzeszczała oczy i rozdziawiała usta podobnie jak ja. Anna Maria, która w trakcie poprzedniej części naszej podróży okazywała godną podziwu nonszalancję, szeptała:

— To jak z baśni. Po prostu nie chce się wierzyć własnym oczom.

Sama lepiej bym tego nie określiła.

Francja naprawdę była zaczarowanym królestwem i pomyślałam sobie, że mogłabym znaleźć tu szczęście, którego sobie nie wyobrażałam — nowe życie bez oglądania się na zmory przeszłości. W tak pięknym kraju wszystko wydawało się możliwe. Król napotkał mój wzrok. Mrugnął do mnie, jakby wyczuwając, co myślę, i pochyliwszy się do mego ucha, szepnął:

— Zaczekaj, aż zobaczysz moje *chateau* w Fontainebleau. Przekonasz się, że nie szczędziłem wydatków, aby stworzyć pałac, który śmiało mógłby dorównać budowiom Medyceuszy.

Miał rację. Fontainebleau wyłoniło się z alabastrowej misy doliny Loary jak sen ze świata fantazji, pierwsze miejsce we Francji, które miałam nazwać swoim domem. Tam zdałam sobie sprawę, jak namiętnym uwielbieniem darzy Franciszek wszystko co włoskie. Od gipsowych nimf, które oblegały boazerie wielkiej złoconej galerii, po bogate korytarze zdobione cenną kolekcją obrazów, w tym cudowną *Madonną w grocie* i dziwną małą *Giocondę*. Król starał się odtworzyć obraz odebranej mi ojczyzny, wyszukany i pełen rzucającego się w oczy bogactwa. Był tak zachwycony moim zainteresowaniem, że osobiście oprowadził mnie po pałacu, wskazując obsadzone oleandrami groty, odbicie toskańskich dziedzińców, i komnaty kąpielowe, które chlubiły się ogrzewanymi podłogami i mozaikami przypominającymi identycznego przeznaczenia pokoje w starożytnym Rzymie.

Niebawem dowiedziałam się, że Henryk i ja nie mamy zamieszkiwać razem, gdyż królewskie pary nie spędzają życia tak jak inne połączone świętym węzłem małżeńskim. Królowej Eleonory nigdy się nie spotykało na dworze. Wolała rezydować w domach przewidzianych do jej prywatnego użytku, tak więc poszłam za jej przykładem. W sprawach, które mnie dotyczyły, zdałam się na Biraga, a sama zanurzyłam się po uszy w nowym życiu, które obejmowało lekcje z księżniczkami Magdaleną i Małgorzatą.

Moje nadzieje się ziściły, szybko zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami.

Trzynastoletnia Magdalena była delikatnym stworzeniem o porcelanowej skórze i słabych płucach. Uwielbiała poezję, które pochłaniała nawet w chorobie, i spędziłam wiele popołudni przy jej łóżku, czytając na głos. Dziesięcioletnia piegowata i ruda Małgo-

rzata okazała się zupełnym przeciwieństwem siostry, była wysoka i tryskającą energią jak jej ojciec; jej duch rozsadzał wszelkie narzucone nam granice. Lubiła poddawać mnie próbom i na początku zadowalała się tylko sprawdzaniem mojej znajomości Cycerona i Platona; jednak gdy mury naszej szkółki stały się dla nas zbyt ciasne, porywała mnie na wycieczki, podczas których poznawaliśmy czarujące, skryte zakątki Fontainebleau. Początkowo nigdy nie byliśmy same; opiekunki deptały nam po piętach, nie szczędząc poła-janek, aż wreszcie wybuchając gromkim śmiechem, Małgorzata łąpa-ła mnie za rękę i ciągnęła za sobą, biegnąc do utraty tchu, z dala od naszych niezadowolonych towarzyszek, które gdakały wystraszone. Skrępowane dworskimi sukniami nie były zdolne dotrzymać nam kroku.

— Patrz na nie — chichotała Małgorzata, kiedy docierałyśmy do celu i gięłam się wpół, łapiąc oddech. — Jak kury, których nie stać na nic lepszego prócz machania skrzydłami. Gdy będę już dość dorosła, żeby sama decydować o swoim życiu, nigdy nie stanę się taka jak one. Nigdy nie będę bezużyteczną kobietą.

— Oczywiście, że nie będziesz — przytaknęłam jej z wielkim podziwem. W moich oczach była już prawie dorosła i reprezentowała wszystko, o czym marzyłam. — Jesteś księżniczką. Możesz robić, co tylko zechcesz.

— Zgadza się. — Jej zielone oczy spotkały się z moimi. — Jestem księżniczką. Ale księżniczki, którym brak woli walki, nigdy nie będą robić, co chcą. Patrz na siebie: czy nie wydano cię za mojego brata, nawet nie pytając o zdanie?

Nie chciała mnie obrazić, po prostu bez ogródek wyrażała swoje zdanie na temat świata. Wzmianka o Henryku była wszakże jak ukłucie szpilką. Pamiętałam, jak się o mnie wyraził, i podejrzewa-łam, że inne osoby na dworze myślą tak samo. W ich oczach byłam cudzoziemką na dorobku, o której nie da się powiedzieć wiele dobrego.

— Wcale nie brak mi woli walki — odparłam z oburzeniem. — A poza tym wielu książąt dobijało się o moją rękę. Twój ojciec miał najlepszą ofertę, ale Henryk nic dla mnie nie znaczy.

Oczy jej błyszczały.

— Naturalnie. To tylko mąż. Zaraz jak urodzisz mu synów, będziesz mogła poszukać sobie kochanka. Popatrz na papę, musiał się

ożenić z siostrą tego Hiszpana, ale to wcale go nie powstrzymało go od szukania rozkoszy. Ma swoją *petite bande*, wiesz, te damy, które go zabawiają. Któregoś dnia my będziemy miały swoją.

Pomyślałam o rudej niewieście, którą widywałam z królem. Wzmiankę o rodzeniu dzieci zignorowałam. Na razie nie było o tym mowy.

— Damy, powiadasz? — spytałam z niesmakiem.

Małgorzata zachichotała.

— No, są panie, które wołają panie. Ja natomiast wołę zastępek panów. Siostra taty, ciotka Małgorzata, była taka, zanim wyszła za króla Nawarry. Miała kawalerów baczących na każde jej skinienie. Czytali jej poematy i wyznawali wieczną miłość.

Och, jaka ona była śmiała. Jej wolny duch zupełnie mnie zawojował. Małgorzata pokazała mi świat, którego nie znałam do tej pory. Potrafiła podwędzić książki z prywatnej królewskiej biblioteczki, pełne zdumiewających lubieżnych ilustracji, i ciągała mnie do pawiloniku przy sztucznym pałacowym jeziorze, miejsca spotkań kochanków.

Skulone w agrestie wytrzeszczałyśmy oczy na żywe odwzorowanie rozkoszy opisanych na kartach królewskich lektur. Wiedziałam, że przyjemności, których zaznawały rozwierające uda damy i żwawo je ruchający panowie, powinny być moim udziałem w noc poślubną i pocieszałam się myślą, że którejś nocy zaznam ich również ja, wzięwszy sobie za radą Małgorzaty kochanka, który sprawi, że tajemnicze potrzeby serca obejmą całe moje ciało.

Nie spędzałam czasu tylko na zabawach i przyjemnościach. Choć zachwycałam się wolnością — chodziłam, gdzie chciałam, chłonełam dzieła sztuki i książki, folgując świeżemu zainteresowaniu — odkryłam też, że żywot francuskich księżniczek bardzo przypomina żywot Medyceuszek; królewskie córki nie miały wyboru, musiały sprostać obowiązkowi, jakie narzucało im urodzenie. Któregoś dnia i one miały zawrzeć małżeństwo, odjechać na dalekie dwory, gdzie będą cudzoziemkami reprezentującymi rodzime państwo. Nasza szkółka była miejscem, w którym wdrażały się do tej roli. Spędzałyśmy tam połowę każdego dnia, pilnie ucząc się historii, matematyki, języków i muzyki. Któregoś przedpołudnia Magdalena powiedziała mi:

— Wczoraj miałyśmy lekcję mitologii.

— Ze starym Miauczurem — wtrąciła Małgorzata. — Dzisiaj powiedziałyśmy mu, że łapie nas febra. Wiesz, jak strasznie się boi choroby, prawie tak samo jak wody i mydła.

— Stary Ma Szczura — powtórzyłam, nie rozumiejąc jeszcze dobrze francuskiego.

— Miau-czur — wysylabizowała Małgorzata. — Nazywamy go tak, bo chodzi w zakurzonych szatach i miauczy jak stare kocisko.

— Za to jest bardzo miły — pisnęła Magdalena. — Zawsze stawia nam dobre stopnie.

— Nie może stawiać innych — roześmiała się Małgorzata. — Papa sprowadził go z Flandrii, żeby nas uczył. Jest humanistą; wszyscy nasi guwernerzy to humaniści. Papa powiada, że są najlepszymi nauczycielami, bo wyzwalają umysł, nie podporządkowując ducha.

— A wasi bracia co? — spytałam. — Nie uczą się z wami? — Od tygodni nie widziałam Henryka i zaczęłam się zastanawiać, czy nie mamy żyć osobno wzorem królewskiej pary. Potajemne wyprawy nad jezioro i podglądanie kochanków obudziły we mnie ukryte obawy, że moje małżeństwo jest nie takie, jak powinno.

— Och, nie! — wykrzyknęła Małgorzata. — Nasz Franciszek ma własny dom i obowiązki delfina. Ale czasem nas odwiedza.

Nie mogłam zapytać o Henryka. Przyjmowały, że wiem, co porabia, kiedy prawdę mówiąc, do tej pory dostrzegłam tylko, iż trzyma się przyjaciela, Franciszka Gwizjusza, i bardzo lubi polować. Z drugiej strony moje pytanie o wspólne pobieranie nauk jeszcze o niczym nie świadczyło...

Drzwi otworzyły się nagle i szeroko. Księżniczki, głośno piszcząc, rzuciły się na powitanie ojca, który porwał je w ramiona. Nie po raz pierwszy poczułam ukłucie pustki; chociaż na dworze traktowano mnie jak dziecko Franciszka, teraz zrozumiałam, co to naprawdę znaczy mieć ojca. Nigdy nie czułam się jak sierota, dopóki nie zobaczyłam króla z córkami. Stałam niezręcznie z boku, świadoma, że nie należę do tej rozradowanej rodziny.

Franciszek objął w pasie Małgorzatę i uszczypnął w policzek Magdalenę. Uśmiechnął się do mnie.

— Co tam? — spytał z udawaną surowością. — Nie uczycie się dzisiaj?



— Odesłaliśmy Miauczura — poinformowała go Małgorzata.  
— Chciałyśmy spędzić czas z naszą Katarzyną.

— Miauczura, hę? Myślicie, że wypada uczyć nową siostrę takich przezwisk?

— Nie zaszkodzi, jak się ich teraz nauczy — powiedziała Małgorzata. — Potem może ślęceć nad Arystotelesem i Plutarchem, ile dusza zapagnie, i nie będzie się musiała zastanawiać, dlaczego jej nauczyciel cuchnie pleśnią.

Franciszek huknął śmiechem.

— Słyszałaś to, Anno, miłości moja? Powiada, że jej nauczyciel cuchnie! *Mon Dieu*, co za języczek. Miecz nie rani tak dotkliwie.

— W rzeczy samej — odparł wyrafinowany damski głos. — Wygląda na to, że jej wysokość jest wykuta z tej samej bryły co jej ojciec.

Rudowłosa, odziana w zieleń dama wystąpiła z grupy niewiast, które wśliznęły się do komnaty, ciągnąc za sobą ogony sukien i woń perfum. Małgorzata wcześniej powiedziała mi, że to Anna d'Heilly księżna Etampes, kochanka Franciszka i kobieta bardziej zasługująca na miano królowej niż kiedykolwiek jego żona. Miała wielkie kocie oczy i gęste włosy barwy miedzi otulone siateczką z perłami. Przesunęła się do Franciszka, kiwnąwszy głową księżniczkom, zanim poświęciła całą uwagę mnie.

— I jak się miewa nasza *petite Italienne*? Czy powoli przywyka do naszych zwyczajów?

Zerknęłam na króla. Uniósł brew, jakby chciał mnie zachęcić do odpowiedzi. Przełknęłam kluchę w gardle i spojrzałam w oczy jego kochance.

— Pani, z chwilą mojego przybycia poczułam się tu jak w domu. Uwielbiam Francję.

— Doprawdy? — Karminowe usta rozchyliły się w zimnym uśmiechu. — To urocze. Nie każdego dnia Francja ma możliwość odnieść triumf nad rąbkiem Italii, czyż nie tak?

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, dlatego pośpieszyłam na mój taborecik, podczas gdy król zasiadł między córkami. Księżna minęła mnie posuwistym krokiem, idąc do swych dworek. Trąciła mnie suknią. Wyczuwałam lodowatą falę niechęci, gdy przysiadła na krześle przy oknie. Damy upozowały się wokół niej, paleta wy-

niosłych min i przesadnie umalowanych twarzy. Jej oczy niczego nie wyrażały. Czułam ich spojrzenie, ale nie odważyłam się podnieść wzroku. Nagle Franciszek wykrzyknął:

— Słyszałaś to, Anno? Magdalena powiada, że Katarzyna już opanowała Plutarcha.

— Ach tak? — wycodziła księżna. Jej zwyczaj odpowiadania pytaniem na pytanie działał mi na nerwy. — Z pewnością jest bardzo zaawansowana w naukach. Tuszę, iż w przyszłości nie uzna, że czas im poświęcony poszedł na marne.

— Och, ależ nie! — wykrzyknęłam, budząc ogólne zaskoczenie. — Skądże, pani! — Może przywidziało mi się, że zabroni mi uczyć się z księżniczkami, a może jej nieruchomy wzrok wyprowadził mnie z równowagi. Tak czy siak, drżałam jak osika, gdy lustrowała mnie długo, po czym podniosła się, prężąc wyzywająco.

— Wasza królewska wysokość, mniemam, iż przyszedł czas, byśmy się z księżną Orleanu lepiej poznały. Może jego królewska wysokość miałby ochotę na spacer w ogrodzie?

Księżna Orleanu. Chciała porozmawiać z jedną ze swoich dam dworu. Poderwałam się gotowa do ucieczki.

— Moja droga, a dokąd to? — wycodziła. — Ty jesteś księżną Orleanu, *ne c'est pas?*

Zamarłam. Wszyscy wyszli, zostawiając mnie z królewską kochanką.

Wskazała mi krzesło obok i posłusznie na nim usiadłam. Dobry Boże, co takiego zrobiłam? Czym ją obraziłam?

— Ich książęce wysokości niezwykle cię polubiły — stwierdziła. — Wydaje się, że znakomicie idzie ci pozyskiwanie przyjaciół.

— Ich książęce wysokości są... bardzo dobre. Ich towarzystwo jest... jest mi bardzo miłe.

— Jak być powinno. Lecz będąc mężatką, musisz świecić przykładem. — Oparła przedramię na oparciu krzesła, odsłaniając olśniewającą bransoletę. — Rozumiesz?

W ustach mi zaschło.

— Nie, pani. Czy w jakiś sposób wzbudziłam niezadowolenie jego królewskiej wysokości?

Roześmiała się z krótkim uwodzicielskim vibrato.

— Wręcz przeciwnie. Bardzo cię polubił. Więcej, oczarowałaś go. Ja z drugiej strony... — Powstała i zrobiła krok do mnie. Wbiła

mi paznokiec pod podbródek. — Nie przepadam za rywalkami, małeńka.

Wytrzeszczyłam oczy.

— Ale... ale ja żadną miarą nie jestem rywalką. Jak mogłabym nią być?

Machnęła ręką.

— Masz prawie piętnaście lat. Kiedy byłam w twoim wieku, uważano, że nikt nie może mi się oprzeć.

— Ja nie jestem jak ty, pani. Nigdy nie mogłabym ci dorównać. Zawahała się. Spontaniczny uśmiech ocieplił jej twarz.

— Nie rozumiesz, co?

Opuściły mnie siły.

— Nie. Bo jak?

Przysiadła tak blisko, że czułam ambkę, którą skropiła sobie szyję.

— Nie pojmuję, jak mogłaś nie dosłyszeć plotek na swój temat; jesteś na ustach całego dworu. Powiada się, że skoro mąż cię zaniedbał, jesteś gotowa zwabić do łóża Franciszka, by udowodnić, że nie wyszedł na dumia, sprowadzając cię tu.

Zatchnęło mnie.

— Jest moim teściem! Kocham go, ale nie tak. To... to by było kazirodztwo.

— Tylko gdybyście byli spokrewnieni — zamruczała jak kotka i przeszła niezwykłą przemianę. Przed chwilą budziła lęk; teraz, gdy patrzyło się na jej fryzurę tworzącą halo wokół twarzy, na wyginający wargi uśmiech, widziało się swawolną dziewczynę. Pojęłam, dlaczego Franciszek tak ją adorował.

Przyglądała mi się z nieskrywaną ciekawością.

— Wierzę, że zaprawdę jesteś taka, jaka podług wszystkich nie możesz być: niewinna. Wygląda na to, że wzięłam pozór za rzeczywistość. Uważałam, że chcesz mi go zabrać. Zwróć uwagę, że nie byłabyś pierwsza.

Nie potrafiłam się poruszyć. Dwór szydził ze mnie. Uważano mnie za wzgardzoną, ciapowatą żonę. Obmawiano mnie za plecami.

— O czym myślisz? — spytała miękko księżna.

Odwrociłam oczy. Głos odmawiał mi posłuszeństwa. W obliczu jej wyrafinowania czułam się prostaczką, a równocześnie pragnęłam wypłakać przed nią swe żale.

Westchnęła.

— Rozumiem. Nie wszystko, co krąży po dworze, nie zgadza się z prawdą.

Mówiła z taką pewnością siebie, jakby moje sekrety były wypalone na moim obliczu. Nie miałam siły udawać, że jest inaczej.

— Tak — szepnęłam. — Henryk... nie dba o mnie.

— Och, moja droga, czyżby ta obojętność aż tak cię raniła? Pragniesz jego miłości i wstrętem napawa cię jego przywiązanie do młodego Gwizjusza i tej koszarnej kochanki?

Czeluść otworzyła się u moich stóp.

— Ma... ma kochankę?

— Ależ oczywiście. — Machnęła ręką. — Każdy o tym wie. Przynajmniej uważa się, że jest jego kochanką. Nikt nie wie, jakie naprawdę łączą ich stosunki. Przez jakiś czas była jego guwernantką, sprowadzono ją na dwór, aby nauczyła Henryka należytą etykiety po jego powrocie z Hiszpanii. Och, jak potwornie wyrażał się o ojcu! Winił go za wysłanie z domu i nadal nie zmienił zdania, co bardzo gniewa Franciszka. Tak więc król przydał mu ją, żeby się nauczył, jak winien się zachowywać książę. Jednak gdy rozpoczął czternasty rok życia, jej obowiązki się skończyły i wróciła do siebie, do Anet. Podobno odwiedzają tam. Mówi, że poluje, ale ileż można polować?

Te wieści przyprawiły mnie o dreszcz. Henryk miał kochankę. Uważał mnie za idiotkę. W swoim czasie, powiedział w Marsylii. W swoim czasie będziemy mogli żyć jak mąż i żona. Czy to miał na myśli? Że będę pokornie znosiła jego pozamałżeńskie wybryki z byłą guwernantką? Że stanę się obiektem obleśnych spekulacji po tym, jak zrobił z naszego małżeństwa pośmiewisko?

— Myślałam, że wiesz — dodała księżna. — U mężczyzn w wieku Henryka to nie takie rzadkie zadurzyć się w starszej kobiecie, wszakże z czasem tego rodzaju zainteresowanie opada. Jestem przekonana, że gdy obdarzysz go dzieckiem, zapomni o niej. — Złośliwy ton zaostrzył jej głos. — Zresztą wtedy będzie już starą wiedźmą.

Zesztywniałam.

— Ile ma lat?

— Och, co najmniej czterdzieści trzy. Przyznaję, dobrze ukrywa swój wiek, ale to przecież wdowa mająca dwie dorosłe córki. Nie-

którzy mówią, że jest pociągająca. Za Boga nie pojmuję, co może w niej pociągać. Zawsze w tych koszmarnych czerniach i brzydkich czepcach. Jest zimna, zimna i twarda. Franciszek powiada, że ma monety zamiast oczu. Nie pochwała jej wpływu na Henryka.

— Jak się nazywa? — szepnęłam, bojąc się jej imienia, jakby jego dźwięk miał sprawić, że zmaterializowałyby się przede mną.

— Diana de Poitiers, wdowa po seneszalu Normandii. Mówimy na nią Seneszalowa. — Uniosła brwi. — Domniemywam, że również nie pochwalasz tej sytuacji?

— Nie pochwalam? — wyplułam z siebie, nie potrafiąc się powstrzymać. — On nie ma prawa! Jak mam zająć w ciążę, kiedy on cały czas figluje w łóżku kochanki? — Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, zapragnęłam je cofnąć. Obraziłam księżnę. Przecież też była królewską kochanką.

Przyglądała mi się — długo i z namysłem. Potem rzekła, ostro akcentując słowa:

— Mężczyźni zawsze będą skakać z kwiatka na kwiatek, a my, kobiety, musimy sobie z tym radzić. Jednak żaden mężczyzna nie powinien przedkładać zabawy nad obowiązek. Inaczej niż nasza Seneszalowa, zawsze znałam swoje miejsce. Król spłodził dzieci i nie chce ich więcej; jego drugie małżeństwo jest wyłącznie politycznej natury. Ale twój związek to zupełnie inna sprawa. Henryk jest drugi w kolejności do tronu, więc oczekuje się od niego spłodzenia synów. To nie może dłużej tak trwać. Obawiam się, że musimy porozmawiać z jego królewską mością.

— Och, nie! Proszę. — Ogarnęła mnie panika. Czułam, że cała moja przyszłość zależy od tego, czy uda się utrzymać w sekrecie fakt, że nadal jestem dziewicą. — Nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział. To... to poniżające.

— Nie rozumiem dlaczego. Nikt nie uważa, abyś była temu winna.

Starałam się nad sobą zapanować. Miałam wrażenie, że księżna ma własne powody, by nie lubić Seneszalowej; być może ona również wyobrażała sobie czekającą ją przyszłość; czas, kiedy będzie zbyt stara, aby liczyć na względy króla. Ale motywy jej postępowania były nieważne, za to jej wpływy mogły poprawić moją sytuację. Nie miałam zamiaru schnąć do końca życia w sypialni, czekając, aż mąż łaskawie mnie odwiedzi.

— Nie dałoby się jakoś inaczej tego załatwić? — spytałam.  
— Jestem pewna, że gdyby Henryk spędzał ze mną więcej czasu, niebawem przekonałby się, że błądził do tej pory.

Lustrowała mnie w milczeniu, po czym rzekła:

— Tak, może. I jako kobiety powinnyśmy trzymać się razem, no nie? — Uśmiechnęła się. — Zaczniemy od nowej garderoby. Twoje włoskie suknie są niebywale piękne, jednakże teraz musisz się nosić jak rodowita Francuzka. Poza tym masz z nami polować. Konno. Zostaniesz honorową członkinią naszej *petite bande*. Bo dosiadasz rumaka, prawda?

— A jakże — odparłam szybko. — Lubię jeździć. — Tak po prawdzie nigdy nie polowałam konno, lecz przywiozłam z Florencji wspaniałe, wysadzone złotem siodło i pomyślałam, że zrobi wrażenie.

— Dobrze. Polując z nami, na pewno zwrócisz na siebie uwagę.

— A to dobrze? — Nie byłam pewna, czy powinnam aż tak się wyróżniać.

Roześmiała się, odrzucając w tył głowę.

— Nic nie może być lepsze! Będziesz miała przy swoim boku księżną Etampes, moja droga, a jeśli coś w swoim życiu opanowałam do mistrzostwa, to niewątpliwie umiejętność zdobywania mężczyzn.

Tak zostałam wprowadzona do wewnętrznego kręgu otaczającego króla. Potrzeba było kilku tygodni na uszycie nowych sukien i zanim je dostarczono, dostałam uległą klacz i zaczęłam codzienne nauki konnej jazdy. Korzystałam ze swojego siodła. Miało wysoki łęk i strzemiona krótsze niż francuskie. Jak poinformowała mnie księżna, to stwarzało dodatkową korzyść. Mogłam wyżej unieść rąbek sukni i odsłonić kostki u nóg.

— Masz nogi jak marzenie, moja droga — zauważyła.  
— A panom zawsze cieknie ślinka na widok przedsiotka damskiego uda. — Roześmiała się perliście. Chyba lubiła doglądać mojego wychowania, traktując mnie jak wyjątkowe przedsięwzięcie, którego się podjęła ze względu na króla.

W końcu wyjechałam z *petite bande* na polowanie.

Nie zaznałam przyjemności. Ogary szczekały jak oszalałe, panowie upili się zbyt wcześnie i zbyt mocno, a panie konkurowały

ze sobą o ich uwagę. Przekonałam się również, że najlepiej trzymać się z daleka od samego miejsca zabijania, gdyż osławiona *chasse* była po prostu zorganizowaną masakrą. Służba rozstawiała w krąg sieci, podczas gdy nagonka waliła kijami w krzaki i poszycie, strasząc przepiórki, bażanty, zające i inną drobną zwierzynę, która gnając na oślep, wpadała w pułapkę. Bezbronna padała pod gradem oszczepów i strzał wypuszczanych przez rozradowane amazonki. Męka umierających zwierząt i widok zalewającej ziemię krwi przyprawiały mnie o mdłości; nie rozumiałam, jak skądinąd wyrafinowane istoty mogą się rozkoszować takim barbarzyństwem. Wolałabym jechać z królem, uczciwie goniąc jelenia lub niedźwiedzia, ale kobietom wzbraniano polować na grubego zwierza, chociaż w swoim siodle mogłam jechać równie szybko jak mężczyźni i najdziksze ostępy nie były mi straszne. Nie przejmując się odciskami na rękach i pośladkach (polowania trwały wieki całe), poświęcałam czas na doprowadzanie swoich jeździeckich umiejętności do perfekcji, podczas gdy panie syciły żądzę krwi, aż któregoś ranka ścisnęłam łydkami klacz i popędziłam za królem.

Kiedy się z nim zrównałam, nagrodziło mnie monarsze zdziwienie i pełne nagany spojrzenia dworaków.

— Pozwól mi dziś ze sobą jechać, panie — powiedziałam, a on przyjrzał mi się, zanim kiwnął głową.

— Lepiej, żebyś umiała się posłużyć tym łukiem — rzekł i spiął ogiera. Ogary szalały, zwąchawszy trop.

Rzuciłam się w pościg za królem, rozkoszując się pędem i śmiejąc głośno, gdy niska gałąź zerwała mi kapelusz z głowy. Lgnąc do szyi potężnie zbudowanej klaczy, poganiałam ją, zdecydowana dotrzymać kroku królowi. Na brzegu polany ujrzałam zagonioną sarnę. Tuliła uszy do ślicznej głowy, wytrzeszczała wyraziste ślepia, pełne strachu, gdy stawała dęba, kopytami odganiając okrażające ją psy.

Franciszek przywołał mnie skinieniem. Otaczający go na spienionych koniach dworzanie patrzyli na mnie z pogardą.

— Jest twoja — rzekł król. — Zgotuj jej królewską śmierć.

Spojrzałam mu w oczy. Nie chciałam zabijać dzielnego zwierza walczącego o życie; moje serce mówiło „nie”, chociaż ujęłam łuk i nałożyłam strzałę na cięciwę. Odczekałam, aż sarna znów stanie na zadnich nogach. Nie chciałam trafić atakujących psów. Zamknę-

łam oczy i wypuściłam pocisk. Usłyszałam zduszony oddech dworzan. Napiętą ciszę przesywały tylko okrzyki psiarczyków powstrzymujących psy; kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam martwą sarnę na ziemi. Z piersi zwierzęcia sterczała moja strzała.

Odwróciłam się do Franciszka, który gestem kazał mi zsiąść z konia. Odciał ucho ubitej sarny i przytknął je do mego policzka. Krew zwierzęcia była jeszcze gorąca. Wręczył mi ucho.

— Chociaż litowałeś się nad nią, nie zawahałaś się — rzekł. — Takie jest życie, *ma petite*. Czasem musimy zadać cios pierwsi, zanim inni nam go zadadzą. — Odwrócił się do dworu, śmiejąc się hucznie. — Moja synowa przysporzyła mi dzisiaj chwały! Na polowaniu potrafi dotrzymać kroku każdemu mężczyźnie, a myślę, że strzela lepiej od większości z was.

Chociaż dworacy odpowiedzieli na jego śmiech z udawaną wesołością, pałałam dumą. Tamtego dnia wróciłam do pałacu, mając u boku króla, zaschniętą krew na policzku i ucho sarny w mieszk u pasa. Kiedy dotarliśmy na dziedziniec, dwór już się tam zebrał. Uśmiechnęłam się, dostrzegając niedowierzanie na twarzach dam dworu, gdy ujrzały mnie obok Franciszka z krwistą smugą na policzku; teraz zaprawdę miały o czym paplać, chociaż nie byłam na tyle naiwna, by wierzyć, iż mogę czuć się bezpieczniej. Cóż z tego, że jeździłam z królem na polowania. Pozostałam bezpłodną żoną. A po delfinie Henryk był następny w kolejce do tronu.

Musiałam urodzić synów, musiałam zabezpieczyć panowanie rodu Walezjuszy. Gdyby mi się nie udało, tak jak nie udało się sarnie, której tamtego dnia odebrałam życie, również ja mogłabym zostać zepchnięta w nicość.

Robiłam wszystko, aby jak najczęściej pokazywać się publicznie. Liczyłam na to, że narzucając się uwadze dworu, nakłonię jakiegoś plotkarza czy plotkarkę, których tu nigdy nie brakowało, by donieśli Henrykowi, iż jego żona, księżna, stała się wszechobecna. Zwabiałam Małgorzatę na galerie, do sal i ogrodów, gdzie siadywałyśmy z naszymi dworkami tworzącymi bogate wdzięczne tło.

Mijały tygodnie bez znaku życia od mojego męża i czułam się jak dureń, cała ubrana jak spod igły, co tylko potwierdzało moją rozpaczliwą sytuację. Wolałabym już zabić tysiąc saren, niż znosić witaające mnie z uśmiezkami drapieżnic damy i kłaniających się przesadnie głęboko panów. Nie wątpiłam, że wszyscy szepcą za moimi



plecami, iż Medyceuszka wyłazi ze skóry, by upodobnić się do otoczenia, a nie wyglądać, jakby dopiero co zesłała ze statku. Nie miało znaczenia, że byłam honorową *członkiniąpetite bandę*. W ich oczach pozostawałam cudzoziemką, której się poszczęściło i złowiła księcia — chociaż pozostawało otwartą kwestią, jak długo zdołam go utrzymać, skoro woli towarzystwo kochanki.

To wtedy w moim sercu zakorzeniła się nienawiść do Diany de Poitiers. Nawet jej nie spotkałam, ale gdyby mi się to udało, wlałabym do jej pucharu truciznę Ruggieriego. Skaziła moje nowe życie, napełniła je lękiem, a ja w żaden sposób nie potrafiłam jej zagrozić. Pewnego popołudnia, gdy siedziałam uwięziona w świetnych, lecz niewygodnych szatach, trzymając przyslaną z Florencji książkę i znosząc szydercze oznaki czci dworaków, a zarazem udając pogrążoną w lekturze, zdałam sobie sprawę, że dłużej nie wytrzymam tej sytuacji. Nagle wstałam.

— Katarzyno, dobrze się czujesz? — spytała Małgorzata, spoglądając na zbliżającą się grupę dworzan. Lubiła wdawać się z nimi w żartobliwe spory, gdyż tym sposobem mogła udowodnić swą umysłową wyższość.

— Nie mogę usiedzieć na miejscu, tylko tyle. Chyba trochę się przejdę.

Ruszyła się, gotowa mi towarzyszyć. Zatrzymałam ją.

— Nie wolno ci zawieść przyjaciół. Utoną we łzach, jeśli nie zostaniesz i nie upokorzysz ich swoją wiedzą.

Uśmiechnęła się.

— Na pewno ci nie...

— Oczywiście — potwierdziłam i zanim zdążyła cokolwiek dodać, przeszłam do drzwi w głębi galerii, sunąc w sztywnych brokatkach najszybciej jak się dało.

Kiedy tylko zniknęłam innym z oczu, zerwałam z głowy ozdobiony perełkami czepek, z szyi sztywną kryzę i odrzuciłam na bok jedno i drugie, nie dbając o to, że kosztowały niezłą sumkę. Rozwiązałam wykończone srebrem sznurówki kołnierza i potrząsając głową, oswobodziłam włosy z siatki. Opadły mi swobodnie na ramiona. Wsadziłam książkę do kieszeni i podażyłam w kierunku ziemnego tarasu.

W tej chwili pragnęłam tylko spokoju. Ciszy i spokoju. Nie dbałam o swoją niepewną przyszłość.

Ominęłam sztuczne jezioro i ruszyłam ku dziko zarosłej części ogrodu, gdzie elegancko przystryżone krzewy przechodziły w chaszczę kasztanowców, wierzb i paproci. Promienie słońca skrapiwały blaskiem kręte ścieżki. Śpiewały ptaki, szeleściły liście; zaskoczony lis przesmyknął się ognistą strzałą. Niemal zapomniałam, jak piękna jest Francja poza sztucznym blaskiem dworu.

Już myszkowałyśmy w tej okolicy, Małgorzata i ja; teraz szukałam znalezionej wcześniej polany zarosłej gęstą trawą. Myślałam, że poleżę na niej jakiś czas i poczytam. Musiałam skrócić w złym kierunku, bo znalazłam się w gaju srebrnych buków. Fontainebleau nie otaczały mury; mogłam się zgubić w lasach, więc przystanęłam.

Wtedy to wypatrzyłam idącą między drzewami postać.

Ten ktoś nosił kremowy kaftan, skórzane obcisłe spodnie i sięgające ud jeździeckie buty. Głowę miał odkrytą. Wiatr mierzwił mu gęste płowe włosy, gdy szedł z pochylonym czołem, splecionymi za plecami rękami. Wyglądał na tak pogrążonego w myślach, że zaczęłam się cofać, nie chcąc mu przeszkodzić. Gałązka trzasnęła mi pod stopą, nienaturalnie głośno w ciszy.

Mężczyzna zamarł. Odwrócił się. Przez długą chwilę wpatrywaliśmy się w siebie, zanim się uklonił. Serce zabiło mi miło. To był najstarszy siostrzeniec konetabla, Gaspard de Coligny.

Ruszyliśmy ku sobie. Chociaż nie widziałam go od ceremonii ślubnej, pamiętałam go dobrze i przemknęło mi przez głowę, że biorąc pod uwagę rozwiąłość dworu, nasze przypadkowe spotkanie mogłoby być źle odebrane przez innych. Nie obeszło mnie to. Kto mógłby nas dojrzeć? A nawet gdyby do tego doszło, może wieść o tym zdarzeniu dotarłaby do uszu Henryka i ukłuła jego dumę, gdyż mimo okazywanego mi lekceważenia nawet on nie życzyłby sobie, aby na dworze szeptano, że widziano jego żonę spacerującą sam na sam z innym mężczyzną.

— Wasza książęca mość mi wybacz, jeśli ją przestraszyłem — powiedział. Jego głos był silny, męski, lecz cichy. Prosty strój i skromny wygląd świadczyły o braku próżności, jakże korzystnie wyróżniającej go na tle dworu.

— Och, bynajmniej — odparłam i nawet sama usłyszałam, że jestem trochę bez tchu. — Cieszę się na twój widok, panie. Myślałam, że się zgubiłam. — Napotkawszy przeszywające spojrzenie jego

niebieskich oczu, zdałam sobie sprawę, że mam rozpuszczone włosy i rozpięty kołnierz koszuli. Poczułam rumieńce. — A już mi się zwidziało, że się zgubię — dodałam ze śmiechem. — Obawiam się, że zupełnie pokręciło mi się w głowie.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Wasza książęca mość jest kilka kroków od ogrodów. Z tej strony zamku rośnie mały las. Został w większości wycięty, gdy budowano wielką galerię jego królewskiej wysokości.

— Tę, w której wiszą włoskie obrazy? Och, wielka szkoda... chociaż to piękna galeria.

— Niewątpliwie — przyznał, chociaż wyczuwałam, że nie dzieli królewskiej namiętności do sztuki. Milczenie, które zapanowało między nami, nie było niezręczne. Wprost przeciwnie, obecność tego młodego człowieka była mi miła, jakbyśmy się znali od dłuższego czasu i nie musieli trąkotać o głupstwach. W końcu rzekł: — Zawsze gdy zjawiam się na dworze, staram się tu trafić i porozmyślać. Przybyłem dopiero co, a już wrzawa i tłumy budzą nieład w moim umyśle. Nie przywykłem do tego.

Uświadomiłam sobie, że nie widywałam go pośród dworzan.

— Często bywasz na dworze, panie?

Potrząsnął głową.

— Mam zbyt wiele obowiązków w swojej posiadłości. Wuj oczywiście nie marzy o niczym innym, jak tylko o tym, bym zamieszkał tu na stałe i jak przystało synowi szlchetnego rodu, starał się o przysporzenie mu chwały. Bez przerwy nalega, bym przyjął stanowisko u jego boku.

— Współczuję ci, panie, straty ojca — powiedziałam.

Skłonił głowę.

— Dziękuję za te słowa. Był dobrym ojcem. Wciąż mi go brak.

— Miałeś to szczęście, że znałeś swego ojca. Moi rodzice zmarli w tydzień po tym, jak przyszedłem na świat. Nie poczułam nawet, co to miłość ojca i matki.

Te słowa sprawiły, że na chwilę zapadła między nami cisza. Odwróciłam wzrok. Co mnie opętało? To prawda, był strasznie miły, ale nie wypadało rozmawiać tak otwarcie z kimś, kogo ledwo znałam.

— Słyszałem o nieszczęściach, jakie dotknęły waszą książęcą mość we Włoszech, i o odwadze, którą okazałaś mimo tak młodego

wieku. Pewnie równie niełatwo było zostawić wszystko, co się zna, i przybyć do obcego kraju.

Odwróciłam do niego głowę.

— Czyżby aż tak łatwo było odczytać moje uczucia?

— Tylko tym, którzy są skorzy patrzeć. — Znów się uśmiechnął. — Wasza książęca mość nie powinna się przejmować. Moim zdaniem bardzo niewiele osób na tym dworze troszczy się o coś więcej poza własnymi interesami.

— Katarzyno — poprawiłam go. — Proszę mi mówić „Katarzyno”.

— Jestem zaszczycony. — Podał mi ramię. — Pozwolisz, że będę ci towarzyszył do ogrodów?

Położyłam rękę na jego przedramieniu. Czułam pod rękawem kaftana napięte mięśnie i ogarnęło mnie tkliwe uczucie wdzięczności, gdy poprowadził mnie w kierunku pałacu. Zwiędłe liście szeleściły nam pod butami; wskazał mi małego czerwonego ptaszka, kardynała, i widząc jego skupiony wzrok, pomyślałam, że musi wielbić naturę.

Chciałam się podzielić z nim swoimi uczuciami, wyjęłam więc z kieszeni książkę.

— Dostałam ją w zeszłym tygodniu z Florencji — rzekłam. — Czy ta oprawa nie jest znakomita? Nikt nie oprawia książek tak jak rzemieślnicy w moim rodzinnym mieście. To specjalne wydanie, przygotowane dla mojej rodziny.

Wziął ode mnie okrytą delikatną czerwoną giemzą książkę ze złoconymi napisami. Delikatność, z jaką ją otworzył, zdradzała wrażliwego człowieka, przywykłego do obcowania z literaturą. Jednak zadziwił mnie, gdy powiedział:

— Znam to dzieło. Zostało napisane dla twojego pradziada, Wawrzyńca Wspaniałego.

— Tak! Machiavelli mu je zadedykował. Gildia kupiecka kazała oprawić na swój koszt ten egzemplarz i przekazała mi go. Skąd wiedziałeś, dla kogo je napisano?

— *Książę* jest sławny we Francji. Czytałem go kilka razy. — Spojrzał mi w oczy. — „Rodzi się stąd sporne pytanie: Co jest dla księcia lepsze? czy to, by go kochano, czy też to, by go się lękano? Odpowiedź brzmi: że i jedno i drugie jest pożądane. Ponieważ jednak trudno sprawić, ażeby miłość szła w parze ze strachem, to bywa

o wiele bezpieczniej być przedmiotem strachu niż miłości, skoro jedno z tych dwu uczuć ma nie dopisać".\*

— Cytujesz z pamięci — zachwyciłam się.

— Traktat Machiavellego jest uważany za jedną z najbardziej inspirujących rozpraw na temat zasad postępowania ludzi sprawujących władzę. — Oddał mi książkę. — Rozumiesz jego tezy?

Kiwnęłam głową.

— Tak mi się wydaje. Jego królewska wysokość ostatnio powiedział coś podobnego. Brzmiało to tak: „Takie jest życie. Czasem musimy zadać cios pierwszemu, zanim inni nam go zadadzą”. Ale myślę, że zawsze lepiej jest znaleźć kompromis lub jak powiedział Machiavelli, być kochanym.

— W rzeczy samej. — Jego głos przybrał suchy ton. — Tak każe mądrość. Życzyłbym sobie, aby jego królewska wysokość myślała to samo o tych w jego królestwie, którzy niezwykle cenią jego uczucia.

Napłynął chłód. Drzew wokół nas ubywało, zastępowały je starannie utrzymane ścieżki i dekoracyjne kwietniki.

— Lękam się, że nie rozumiem w pełni, co masz na myśli — powiedziałam niepewna, czy powinnam rozprawić z nim w tym duchu o królu, który na dodatek jest moim teściem.

Zmarszczył brwi.

— Słyszałaś o protestach w Paryżu?

— Nie. Dwór jeszcze nie był w Paryżu. Słyszałam, że król nie pali się tam wybierać.

— Nie ma wyboru w tym względzie. Widzisz, jego hugenoccy poddani domagają się wysłuchania przed radą królewską, gdyż władze przeprowadziły aresztowania, karząc hugenotów za sprowadzanie zakazanych ksiąg.

— Mówisz hugenoci? — powtórzyłam. Słyszałam o nich tylko pobieżnie.

— Tak. Protestanci, zwolennicy Jana Kalwina. Do tej pory jego królewska wysokość nie był łaskaw dostrzegać ich istnienia. Ale obawiam się, że szybko nadchodzi czas, kiedy będziemy musieli wziąć ich pod uwagę.

Przystanąłam, zaciskając dłoń na książce.

\* Rodzi się stąd... — Niccolò Machiavelli, *Książę*, przet. Wincenty Rzymowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, 1980.

— Mówisz o heretykach. — Przeszedł mnie dreszcz niepokoju. Nie spodziewałam się, że nasza rozmowa przybierze taki obrót. Dotąd najbardziej kontrowersyjnym tematem, na jaki rozmawiałam, było przywiązanie mojego męża do kochanki. Nagle poczułam się tak, jakbym przebywając w pachnącym ogrodzie, uświadomiła sobie, że pod moimi nogami płyną rwące czarne odmęty.

— Nie wszyscy we Francji uważają, że przystoi opatrywać ich tym mianem. — Prychnął gorzkim śmiechem. — Dobrze, że wuj tego nie słyszy. Żywcem odarłby mnie ze skóry.

— Czy też jesteś...? — Zastanowiłam się, co powinnam zrobić, jeżeli odpowie twierdząco. Dotąd nigdy nie poznałam heretyka. Słyszałam tylko, że są to wściekli szaleńcy, którzy plują na święte rzeźby, bezczeszczą kościoły i sprawiają niekończące się kłopoty Rzymowi. Od urodzenia żyłam w wierze katolickiej, ale nie miałam pewności, czy powinnam nienawidzić tych tak zwanych heretyków tak bardzo, jak mi zalecano. W przeciwieństwie do innych wiernych miałam świetną okazję się przekonać, że Kościół rzymski nie jest wolny od grzechu.

— Nie — odparł z autentycznym żarem, który wyróżniał go jeszcze bardziej niż powierzchowność. — Lecz zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boże i musimy mieć wolność w wyszukiwaniu własnych ścieżek ku Niemu.

— Kościół powiada, że mamy tylko jedną drogę do Boga — odparłam. — Czy jesteś gotów się kłócić z samym Rzymem?

— Rzym nie pojmuje już świata; trzyma się umierających zwyczajów. — Spojrzał na mnie z przejęciem. — Czy myślisz, że tym ludziom nie dostaje duszy? Czy myślisz, że mamy prawo ich przesładować, ponieważ wybrali inną ścieżkę ku wierze?

Te słowa poruszyły we mnie jakąś strunę. Prawdę mówiąc, nigdy nie zastanawiałam się nad tym, o czym mówił Gaspard.

— Kościół twierdzi, że zwierzęta nie mają duszy — rzekłam ostrożnie. — To samo powiada o heretykach.

— W takim razie nie widziałaś człowieka na stosie. Gdybyś go ujrzała, nie miałabyś wątpliwości, że ma duszę. — Urwał. — Mam nadzieję, że cię nie obraziłem. Czułem, że skoro zapytałaś, należy ci się prawda.

— Nie, nie. Jestem ci wdzięczna. To była oświecająca rozmowa. Uśmiechnął się.

— I mam nadzieję, że wcale nie ostatnia. Chociaż lepiej, żebyśmy zachowali ją dla siebie. Większość ludzi na dworze nie pojęłaby, o czym rozmawialiśmy.

— Oczywiście. — Znów ujęłam go pod ramię, zadowolona, że mamy wspólną tajemnicę. Weszliśmy na teren ogrodów. Widząc błysk klejnotów i żywe barwy przy fontannach, zdałam sobie sprawę, że dwór wyległ na wieczorną promenadę. Przebywająca wśród galantów i dam Małgorzata wypatrzyła mnie i szybko do nas podeszła.

— Katarzyno, gdzie się podziewałaś? Martwiłam się. Powiedziałaś, że idziesz na spacer.

Coligny się skłonił.

— Jej książęca wysokość i ja spotkaliśmy się przypadkiem i zostałem poproszony o towarzyszenie. Proszę o wybaczenie, jeśli staliśmy się powodem niepokoju.

Małgorzata spojrzała na niego ostro.

— W takim razie jesteście ci winne wdzięczność, panie.

Widziałam, że jest wzburzona, co rzadko jej się zdarzało, więc podałam Coligny'emu dłoń.

— Dziękuję ci, panie. Mam nadzieję, że niebawem znów będziemy mieli okazję się spotkać.

Uniósł moją rękę do ust. Wargi miał chłodne, krótki zarost połaskotał moją skórę.

Małgorzata odprowadziła mnie na stronę.

— Łaziłaś z nim godzinę z okładem! Szukałam cię wszędzie! Dziś wieczór jest uczta. Chodź, nie możemy się spóźnić.

Pierwszy raz ledwo jej słuchałam. Gaspard de Coligny sprawił, że zapomniałam o wszelkich kłopotach, zobaczyłam szersze horyzonty. Chciałam jeszcze z nim porozmawiać, zatracić się w głębi jego myśli. Obejrzałam się przez ramię. Stał nieruchomo, samotna postać pośród dworaków. Poczułam nagłą pustkę, niemal stratę, i zadałam sobie w duchu pytanie, czy w ogóle jeszcze kiedyś się z nim spotkam.

Tego wieczoru, gdy pochłanialiśmy półmisek po półmisku, przyglądałam się Franciszkowi siedzącemu w zasepieniu na tronie. Dworzanie bawili się w najlepsze, tańczyli, popijali i wymieniali bzdurne plotki, wszyscy przybrani w świetne szaty, wszyscy pochłonięci tylko przyjemnościami.

Król zwykle był wśród nich, wymieniając żarty i flirtując, z księżną u boku; lecz tego dnia zdawał się ich nie dostrzegać i przypominałam sobie słowa Coligny'ego. Zastanawiając się, czy sytuacja w Paryżu mogła się pogorszyć, lustrowałam wzrokiem dwór, jakbym potrafiła wypatrzeć w tłumie hugenota. Jak wyglądają? Czy wyróżniają się zachowaniem, strojem? Wyobrażałam ich sobie przybranych od stóp do głów na czarno, dzierżących zakazane książki i stawiających czoło królowi. Jeśli są tak wszechobecni w Paryżu, jak opisywał to Coligny, z pewnością muszą przebywać i wśród nas. Byłam zafascynowana tą myślą, spragniona widoku tych niewidzialnych ludzi, których egzystencja uświadomiła mi fakt, że w królestwie będącym teraz moją ojczyzną nie wszyscy zadowolają się bogactwem i gnuśnością.

Nagle ujrzałam męża. Błoto pokrywało mu kaftan i wysokie buty. Szedł do siedzącego nieopodal mnie króla. Usłyszałam, jak mówi:

— Wasza królewska mość chciał mnie widzieć?

Franciszek się skrzywił.

— Jak śmiesz stawać przede mną cuchnący końskim potem? — ryknął. — Wynocha! Umyj się i idź do żony. Na Boga, pójdziesz do niej jeszcze tej nocy albo nie odpowiadam za siebie.

Wszystkie myśli o heretykach wywietrzały mi z głowy. Gdy Henryk spojrział na mnie oskarżycielskim wzrokiem i odszedł, łomocąc butami, czułam się tak, jakby sufit runął mi na głowę. Księżna cmoknęła. Spojrzałam jej w oczy; wzruszyła przepaszając ramionami. Dworzanie zaczęli szeptać; rozległ się szydery rehot, poczułam na sobie wzrok wszystkich. Przy pierwszej sposobności wymówiłam się od stołu i udałam na spoczynek.

Tamtej nocy po raz pierwszy od czasu Marsylii Henryk odwiedził mnie w moich komnatach. Mimo że bardzo się starałam doprowadzić do tej chwili, gdy wszedł w białym szlafroku, podkreślającym bladą twarz i opadające sztywną falą na kołnierz czarne włosy, ledwo potrafiłam wykrztusić słowo.

Wlepił we mnie oczy.

— Powiedziałaś mu?

Potrząsnęłam głową.

— Nie. Ale jego królewska mość...

— Do diabła z jego królewską mością. Kładź się. Czas położyć kres tej obelżywej sytuacji.



Odwrociłam się do łóżka i wyciągnęłam na pościeli. Byłam śmiertelnie przerażona. Oto wreszcie Henryk był przy mnie, by uczynić to, czego wymagało od niego nasze małżeństwo. Nastąpiła chwila, do której tęskniłam i dla której zmieniłam wygląd, a jednak musiałam ze sobą walczyć, by nie odwrócić wzroku, gdy rozpiął szlafrok, odsłaniając spotężniały organ.

— Podnieś — rozkazał mi, wskazując na nocną koszulę.

Posłuchałam go, czując, jak brzuch kurczy mi się z zimna i strachu. Ukląkł między moimi kolanami, rozpychając je szeroko. Bez słowa wpełznął się we mnie. Nagły przesywający ból sprawił, że zacisnęłam kurczowo usta. Rozwarłam szerzej nogi, próbując przywołać przed oczy kochanków nad jeziorem, usiłując znaleźć jakąś przyjemność w tej wymuszonej, wyzbytej uczuć czynności, czując, jak ciało męża trze twardo o mnie.

Ból był niemal nie do zniesienia. Nie potrafiłam uwierzyć, by ktokolwiek z własnej woli potrafił poddać się temu, przez co ja przechodziłam, gdy Henryk coraz mocniej i szybciej ruszał biodrami, zanim stęknął i znieruchomiał. Podczas gdy leżałam z rozrzuconymi nogami i rękami, czując, jak coś ciepłego i kleistego ze mnie wycieka, on zapiął szlafrok i wyszedł, trzaskając z hukiem drzwiami.

Usiadłam i zmusiłam się do spojrzenia w dół. Jego białawe nasienie wymieszało się z moją krwią. Czułam obrzydzenie, sponiewieranie. Za skarby świata nie chciałam, żeby coś takiego znów mnie spotkało.

Ale gdy chwiejnie wstałam i obolała powlekłam się do miednicy z wodą, wiedziałam, że nie mam wyboru. Jego nasienie musiało we mnie pozostać; Lukrecja powiedziała mi o tym. Gdybym je zmyła, nie poczęłabym dziecka.

Mimo wszystkich moich wysiłków i bólu udało mi się utracić dziewictwo.

Nic więcej.

## R O Z D Z I A Ł 8

Jesienią przenieśliśmy się do pałacu w Saint-Germain, na przedmieściu Paryża. Zbudowany z czerwonej cegły miał królewski emblemat, salamandrę w płomieniach, zdobięcy kamienne tarcze herbowe. Był mniejszy niż Fontainebleau, za to bardziej ufortyfikowany, i zrozumiałam, dlaczego Franciszek lubił go mniej niż pełen powietrza zamek nad Loarą. Cieszyłam się na myśl o poznaniu miasta. Wiele słyszałam o cudach Paryża słynącego ze zbytkownych artykułów, które kupcy zwozili z całego świata. Mając nadzieję, że znajdę miecz z toledońskiej stali, który mogłabym sprezentować Franciszkowi na Boże Narodzenie, przedstawiłam ten pomysł księżniczkom, zachęcając je do wyjścia na targ.

Magdalena westchnęła.

— Papa zabronił nam wychodzić z pałacu. Mówi, że w Paryżu nie jest bezpiecznie.

— Phi — parsknęła z pogardą Małgorzata. — Papa po prostu jest zły, bo codziennie musi się spotykać z radą, zamiast polować albo budować nowy zamek. Według mnie to świetny pomysł. Mogłybyśmy się przebrać i wrócić, zanim w ogóle by zauważono, że nas nie ma.

— Ale czemu zwyczajnie nie poprosić kupców, żeby do nas przyszli? — zaproponowała Magdalena. — Przyniosą, co mają najlepszego, i nie będziemy musiały brodzić w błocie jak posługaczki.

Małgorzata przewróciła oczami.

— Bo podniosą ceny trzykrotnie. Nie wspominając o tym, że zanim Katarzyna w ogóle zapłaci za miecz, każdy na dworze będzie wiedział, że go kupiła.

Magdalena się skuliła.

— No, ja nie mogę wyjść. Wszystko może się zdarzyć.

— To kiśnij sobie za murami. Tylko nie waż się wypaplać, że idziemy!

Ustaliłam z Magdaleną plan wyprawy i w wyznaczone przedpołudnie jak zwykle siedziałyśmy na lekcji. Potem zamiast brzdąkać na instrumentach albo się nudzić przy grach planszowych, miałyśmy się wymknąć. Nie mogłam się skupić na monotonnym buczeniu nauczyciela. Małgorzata zerkała na mnie znad książki, ledwo tłumiąc chichot. Ukryłyśmy w ławce przy wykuszowym oknie peleryny, buty i pękaty mieszek. Byłyśmy gotowe.

Wtem drzwi się otworzyły i wpadła księżna Etampes. Nauczyciel wrzasnął. Księżniczki i ja powstałyśmy.

— Król rozkazał wszystkim iść do swoich pokoi — oznajmiła. — Pałac jest pod strażą. Nikt nie może wejść ani wyjść bez pozwolenia.

Mówiła spokojnym tonem, ale nigdy nie widziałam jej tak bladej.

Zabrałyśmy nasze rzeczy i ruszyłyśmy do wyjścia; zatrzymała mnie przy drzwiach.

— Ty nie, Katarzyno. Król chce natychmiast się spotkać z tobą w swoich apartamentach.

Magdalena i Małgorzata spojrzały na mnie z trwogą; mnie samą też strach obleciał. Co się stało, że król zamknął pałac i każe mi się stawić przed swoim obliczem?

Kiedy księżna i ja szłyśmy w kierunku komnat monarchy, mijałyśmy ukrytych po kątach szepczących dworzan. Żaden nie patrzył mi w oczy. Mój strach wzrósł.

— Pani, czy zrobiłam coś niewłaściwego? — spytałam drżącym głosem. Może chodziło o coś związanego z moim małżeństwem, może Franciszek zmęczony odtrącaniem mnie przez Henryka zdecydował się mnie odsunąć. Już od miesiący się lękałam, że w końcu pokaże mi drzwi. Odebrało mi oddech, gdy królewska metresa sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła cuchnący tanim atramentem zmięty kawałek papieru.

Stało na nim: „Papistowska msza święta to bluźnierstwo wymyślone na przekór Ostatniej Wieczerzy Jezusa Chrystusa. Kościół rzymski i jego księży to bałwochwalcze robactwo, które odrzuca

doktryny Naszego Zbawcy. Palcie wasze pogańskie wizerunki, nie tych, którzy czczą prawdę naszego Pana".

Podniosłam wzrok. Księżna skrzywiła się, mówiąc:

— To robota hugenotów. Tej nocy, gdy wszyscy spali, ośmielili się porzucić te pamflety po całym pałacu. Musieli przekupić służących, którzy popierają herezję. Franciszek znalazł te wypociny w swoich prywatnych komnatach. Wpadł w furję. W zeszłym tygodniu musiał wydać rozkaz aresztowania dwudziestu czterech hugenotów po tym, jak przyłapano ich na drukowaniu *Ustanowienia* Jana Kalwina. To dlatego przyjechaliśmy do tego miasta, źródła zarazy; Franciszek musi zademonstrować, że herezja nie będzie we Francji tolerowana.

A więc nastąpiło to, czego się spodziewałam: król Franciszek został zmuszony do przyjęcia do wiadomości tego, co tak długo usiłował ignorować. Najwyraźniej wśród dworzan byli hugenoci; wydawało mi się, że rozpoznam ich po zachowaniu i stroju, ale zapewne musieli się upodobnić do katolików, na tyle zamaskowani i liczni, że zdołali rozprowadzić te pamflety. Nadal nie wiedziałam, co o nich myśleć, lecz na pewno nie podobało mi się to, że zdenerwowali króla i mogą wyrzucić do góry nogami porządek w królestwie, głosząc swoje wyznanie wiary.

— Nie zostawiono mu wyboru — mówiła dalej księżna. — Biedak, zawsze wolał udawać, że całe królestwo jest oddane duszą Rzymowi i protestanci nie istnieją. — Westchnęła. — To takie nieprzyjemne. Nie pojmuję, co spodziewają się osiągnąć, hardo głosząc swój sprzeciw. Nie znaczy to bynajmniej, że ich luterkańscy współwyznawcy w Niderlandach są choć trochę lepsi. Od Niderlandów po księstwa niemieckie domena Habsburgów jest pogrążona w chaosie. I to wszystko z powodu tej tak zwanej nowej religii.

— Przecież to tylko pamflet — palnęłam bez namysłu. — Tylko papier i atrament. Jego królewska mość na pewno wie, że to nie może mu zaszkodzić...

Pochyliła się nade mną, przerywając mi.

— Katarzyno, niech ci nawet na myśl nie przyjdzie wsadzać nos w sprawy królestwa. Franciszek potrzebuje czasu na ochłonięcie. A ty masz ważniejsze sprawy do rozważenia. — Urwała, spoglądając mi głęboko w oczy. — Przyszła wiadomość, że twój stryj, jego świętobliwość Klemens Siódmy, nie żyje.

Wysłuchałam tej wieści w milczeniu. A więc *papa* Klemens umarł. Uświadomiłam sobie, że zamiast czuć smutek, jako że stryj był ostatnim ogniwem łączącym mnie z przeszłością, doznałam jedynie ulgi. Teraz byłam wolna. Nigdy więcej nie będę musiała znosić jego intryg, nigdy więcej nie będę od niego zależna. W końcu mogłam być Francuzką, mogłam sercem i duszą przyjąć tożsamość, którą sobie wykułam.

— Moja droga, wiem, jak okropnie musisz się czuć — doleciały mnie słowa księżnej. — Twój stryj zmarł i zostałam biedaczką bez posagu.

— Bez posagu? — powtórzyłam zaskoczona. — Czy w intercyzie nie ma o nim mowy?

— Nie. Twój stryj wiele obiecywał, ale nigdy nie podpisał dokumentu gwarantującego Franciszkowi prawa do Mediolanu. — Westchnęła. — Z serca chciałabym ci pomóc, lecz obawiam się, że jesteś zdana na własne siły. Teraz tylko sama możesz się uratować.

Uniosłam ku niej oczy. Przyszła chwila, której lękałam się z całej duszy, i musiałam jej sprostać. Myślałam o oblężeniu Florencji, o tym, jak walczyłam o życie, nawet gdy oderwano mnie od ciotki, o tym, jak dałam radę przeciwnościom losu. Mogłam im dać radę również teraz. Mimo to powtarzając sobie w duchu tę myśl, dygotałam, gdy księżna bez słowa wiodła mnie do wielkich dębowych drzwi apartamentów Franciszka.

Weszliśmy do gabinetu. Zastłony były zaciągnięte, w pomieszczeniu zalegał mętny mrok; chociaż król stał w cieniach, zgadywałam, iż znużenie i wysiłki ostatnich tygodni odbijają się na jego twarzy, pobruździły mu policzki i czoło. Wskazał krzesło.

— Siądź, moje dziecko.

Nie układając niczego w głowie, rzekłam cicho:

— Wiem, że stryj podszedł waszą królewską mość. Nie ma słów, którymi mogłabym przeprosić za jego czyny, ani pokuty, której mogłabym się poddać, by wyrównać wyrządzone przez niego zło. Błagam o wybaczenie za oszustwa mojej rodziny, które zbrukały zaufanie, którym obdarzyłeś mnie, panie.

Stał, milcząc, i tylko patrzył na mnie. Przeszedł przez komnatę i ujął mnie za podbródek. Podniósł go, patrząc mi w oczy.

— Wielu na dworze powiada, że przyjąłem cię gołą jak dziecinę, że w zamian za obietnice kłamcy Medyceusza obarczyłem mego syna bezpłodną klaczą.

Przemówił bez urazy, stwierdził tylko fakt, a jednak jego słowa zraniły mnie jak sztylety. Ani drgnęłam. Wytrzymałam jego wzrok i rzekłam:

— Mylą się. Choć może w rzeczy samej przyjąłeś mnie naga jak w dniu, kiedy przyszłam na świat, miłość, którą żywię do ciebie, królu, jest warta tyle co największy skarb. Wpierw umrę, nim dopuszczę, by tobie lub Francji stała się krzywda.

Długo ani drgnął. Wreszcie parsknął cichym, chrapliwym śmiechem.

— Tak, wiem, że gdyby to od ciebie zależało, podałaś mi na tacy całe Włochy.

— Tak — odparłam. — Podałabym. Ale że nie mogę, przysięgam dowieść, iż zasługuję na twą wiarę. Cokolwiek się wydarzy, urodzę ci wnuków.

Uśmiech powoli wygładził blade wargi. Król pogłaskał mnie po policzku i w tym, jak przysunął się do mnie, w tym, jak jego palce musnęły mą skórę, a oczy zaciążyły mi od łez, było coś takiego, że przeniknął mnie płomień żaru.

— Ach, moje dziecko — zamruczał. — Niegdyś moglibyśmy zaznać ze sobą nie lada uciesch. Jakim okrutnym kuglarzem jest los. Że też spotkaliśmy się teraz, gdy jestem w zmierzchu mej zimy, a ty wciąż w poranku swej wiosny.

Nie odwróciłam wzroku. Patrzyłam na pomarszczone oblicze, na przeplatające brodę sztywne siwe włosy i również złożyłam dłoń na jego policzku.

— Kuglarz czy nie — rzekłam czule — nawet los nie był władny stanąć na drodze naszemu spotkaniu. Jestem przy tobie, mój królu. I tu pragnę pozostać.

Wziął mnie w ramiona.

— Ach, moja droga, twój stryj okrutnie nas wykorzystał, ale masz rację: przynajmniej nas połączył. Tak, nie wymieniłbym cię na nic, nawet na Mediolan. — Znów parsknął śmiechem. — Niech Bóg oszczędzi mi takiego wyboru. — Cofnął się. — Nie musisz się lękać. Póki żyję, zawsze będziesz miała tu miejsce.

Przyłgnęłam do jego piersi.

- Nie zapomnę, co obiecałam — powiedziałam.
- Wiem — rzekł. — Jest wiele sposobów na ziszczenie naszych pragnień, *ma petite*. Zapamiętaj tę sentencję, a wielce ci się przyśłuży.

Na kilka dni przed Wielkim Postem uradowało mnie przybycie braci Ruggierich. Wcześniej przysłali mi błagalny list. Chcieli uciec z Florencji. Wysłałam im pieniądze, zapewniające bezpieczną podróż, i otoczona moimi Włoszkami przywitałam ich z otwartymi ramionami w swoich apartamentach. Okrzyki i uściski, łzy i wypytowania były gorącym świadectwem naszej tęsknoty za ojczyzną. Przybycie rodaków zawsze było okazją do świętowania.

Osiemnastoletni Karol wyrósł na silnego młodzieńca. Ciężkie próby, którym poddał go los, tylko dodały mu energii. Wydawał się znacznie zdrowszy niż Kosma. Czternastolatek wyglądał na znacznie młodszego i był tak umęczony podróżą, że po wypiciu miski rosółu z solidnym kawałkiem mięsa zwinął się w kłębek na moim łóżku i zasnął.

Służące przygotowały kolację z podarków Ruggierich: tokańskiego sera, sienneńskich oliwek i wina. Gdy jedliśmy, spytałam Karola o Florencję.

— *Madama*, Florentyńczycy mówią o tobie z najwyższym szacunkiem. Powiadają, że twoja godność i pozycja we Francji przywróciły dawny blask nazwisku Medyceuszy.

Jego słowa były miodem na moje serce. Chociaż w ojczyźnie nic po mnie nie zostało, rozkoszowałam się myślą, że nadal mnie pamięta. Ale dostrzegłam, że Karol spuścił wzrok, i rzekłam łagodnie:

— Nie mówisz mi czegoś. O co chodzi? Możesz mi się zwierzyć.

— Chodzi o Kosmę. Wiele wycierpiał. Kiedy tato zachorował podczas obłączenia i umarł, załamał się z rozpacz. Myślałem, że nigdy się nie podźwignie.

Smutnie pokiwałam głową, wspominając ostatnie spotkanie ze starym mistrzem w jego pracowni na poddaszu, gdzie przesiadywał otoczony atrybutami swej profesji. Jego śmierć zerwała kolejne ogniwo łańcucha łączącego mnie z przeszłością. Uniosłam rękę do piersi, gdzie pod koszulą wisiała fiolka, którą mi dał. Karol mówił dalej:

— Przyszli urzędnicy miejscy i skonfiskowali dom, zabrali wszystko. Musieliśmy zebrać, aż pewien żeński klasztor zlitował się nad nami. Siostrzyczki pozwoliły nam opiekować się ich ogrodem i to dzięki nim mogliśmy wysłać ci list. — Westchnął. — Mieliśmy tylko to co na grzbiecie i zwoje taty. Kosma zawsze nosił je ze sobą. Tato powiedział mu, że ma dar. Ja nigdy nie przywiązywałem wagi do tego rodzaju rzeczy. Chcę pływać po morzach, nie być tylko żydem handlującym świecidełkami. Kosma za to chce się uczyć. Ale nie może ci się przydać w żaden praktyczny...

— Karol!

Podnieśliśmy głowy. Kosma stał w drzwiach otulony w jeden z moich szlafroków, kasztanowe włosy opadały mu na twarz. Piornował wzrokiem brata.

— Chcę jej służyć. Umiem dość, żeby na siebie zarobić.

— Kosma, ona teraz jest francuską księżną. Ma zielarzy i medyków na pęczki.

— Zaczekaj. — Wezwałam gestem Kosmę.

Przywłókł się po dywanie, wydymając usta. Przypominał brudnego dzieciaka sprzed lat. Nalałam mu wina, podsunęłam kolejną pełną misę. Siadł na podłodze i jadł z żarłocznością człowieka, który nigdy nie zapomni dni głodu. Kiedy skończył, zachęciłam go do mówienia:

— Opowiedz mi swój plan.

— Mogę ci służyć jako medyk — rzekł, co spotkało się z kolejnym chmurnym grymasem Karola. — Umiem robić perfumy, napary i lecznicze mikstury. Znam się na ziołach, a jak czegoś nie umiem, mogę się tego nauczyć.

— Co ty powiesz? — Byłam rozbawiona jego szczerością. — Tak się składa, że brakuje mi doświadczonego medyka, ale na dworze nie ma nikogo, komu mogłabym cię polecić jako ucznia.

Wstał bez słowa i wrócił do sypialni. Wyszedł z niej, dźwigając rulon białej skóry ściągnięty na końcach rzemykami. Odsunął pustą już misę i położył przede mną rulon. Kiedy go rozwinął, moim oczom ukazały się arkusze pergaminu pokrytego dziwnym pismem i symbolami.

— To taty — rzekł Kosma, patrząc mi w oczy. — Studiowałam je od miesięcy w każdą wolną godzinę. Są tu zapisane tajemnice,



wiedza okultystów i wróżbiarzy. Mogę się nauczyć wszystkiego, co mi będzie przydatne. Nie potrzebuję niczego innego.

W komnacie zapanowała tak głęboka cisza, że słyszałam wyłącznie przyspieszone bicie serca. Przypomniałam sobie słowa mistrza: „Twoje przeznaczenie się spełni. Może nie będzie takie, jakiego pragniesz, ale się spełni”. Karol spojrzał na mnie, pytająco unosząc brwi, nieświadom moich myśli. Lecz gdy spojrzałam na Kosmę, dostrzegłam, że on je zna. Jego moc otuliła nas, niewidoczna dla innych.

— Mogę ci pomóc, mogę sprawić, że mąż cię pokocha — rzekł.

Poczucie intymności prysło. Opanowałam chęć, by potrząść ramiona. Mój przebudzony dar sprawił, że pokryły się gęsią skórka. Kosma ten dar również miał. Ale podczas gdy ja go zaniedbałam, on oddał całą duszę, by go opanować. Co mogłabym osiągnąć, mając u boku człowieka o takich mocach? Działając razem, ile musielibyśmy zadać sobie trudu, pragnąc znów przywabić Henryka do mojego łóżka, żeby mnie zapłodnił? Mierziła mnie wizja powtórnego przeżywania tamtego poniżenia, lecz musiałam urodzić dzieci, w innym wypadku czekał mnie stygmat bezpłodnej.

Kosma się odwrócił, wychudzony młodzieniaszek, na pozór niczym nieróżniący się od innych. Podczas gdy zbierał swoje pergamiны, Karol rzekł:

— Zrobił to? Próbował zmącić umysł mojej pani?

— Tak — potwierdziłam zaskoczona, że to dostrzegł. — Skąd wiedziałeś?

— Stale to robi. Powinien być aktorem, nie zielarzem.

— Jest niezwykły. Zrobię go swoim osobistym astrologiem, kupię mu dom w Paryżu. Będzie miał gdzie mieszkać i uczyć się.

— Spojrzałam na Kosmę. Nasze oczy się spotkały. Brud i tłuszcz kryły mu rysy. Dodałam pod adresem Karola: — A ty, mój przyjacielu, będziesz służył we flocie pod banderą jego królewskiej mości.

— Podniosłam głos, gdy Karol złapał moją rękę, pokrywając ją skwapliwymi pocałunkami. — Sama jutro porozmawiam z królem i poproszę go o stanowisko dla ciebie.

Po tych słowach poszłam do łóżka zdrzemnąć się. Nawet przez ściany i zamknięte na klucz drzwi czułam, jak myśli Kośmy oplatają moje jestestwo. Czułam pulsowanie pierwotnych sił, ich groźną i jakże uwodzicielską moc.

Wystarałam się o stanowisko dla Karola, a Birago dyskretnie nabył dla Kośmy dom z przystanią przy Sekwanie.

Miałam siedemnaście lat. Przetrwałam swój pierwszy kryzys we Francji. Nikt poza Biragiem i Lukrecją nie wiedział o moich potajemnych wizytach u Kośmy. Stosowałam perfumy i olejki, które jego zdaniem miały przyciągnąć do mnie małżonka, czytałam księgi o ziołarstwie, aby nauczyć się łączyć liście i płatki w odurzającą miazgę, którą potem gotowałam w wonnych olejkach nad ogniem płonącym w żelaznym koszu.

Małgorzata z własnej woli została moją pomocnicą. Godzinami sprawdzałyśmy grudkowate płyny i niemile woniejące perfumy, otwarte okna, by wypuścić dym z kosza, roniąc obficie łzy, gdy garbiłyśmy się nad kociołkiem. Nie zliczę, ile razy oparzyłyśmy sobie twarze i gardła, ile razy zeszała nam skóra i mało się nie uduśliłyśmy. Małgorzata wcierała we mnie nasze mikstury, aż skóra mnie paliła, po czym zaczynała się biegać z mokrymi szmatami, ścierałyśmy bowiem szkodliwe substancje, lękając się, że naprawdę stanę w płomieniach. Nie wiedziała, że po każdej nieudanej próbie byłam gotowa krzyczeć, tyleż wściekła co bezradna. Trzymała mnie za pokryte bąblami ręce i burczała, że znów będę przez resztę tygodnia musiała nosić suknię z wysokim kołnierzem zakrywającym szyję. Potem proponowała: — Spróbujmy jeszcze raz, ale tym razem dodajmy więcej lawendy — i pochylałyśmy się nad kociołkiem.

Skąd miałam wiedzieć, że cała esencja różana świata nie wystarczy, by wzbudzić miłość, której pragnęłam?

Po tygodniach nieudanych prób siedziałam na uczcie ponura i milcząca. Marszczony kołnierz zasłaniał ostatecznie podrażnienie, którego się nabawiłam. Dwór bawił się w najlepsze, sprośne śmiechy dzwoniły mi w uszach. Zazdrościłam dworakom dowcipów, głupich rywalizacji i próżności, gdyż w tamtej chwili cała przyszłość jawiła się mi wyzbytą wszelkiej radości i pociechy. Chciałam, by uczta dobiegła końca. Mogłabym się oddalić do swoich pokoi i wykrzyczeć do pustych ścian. Nagle zapadła cisza. Głowa skłoniła się do głowy; słyhać było tylko, jak komuś oddech uwiązał w gardle. Zamarłam.

Henryk pojawił się u szczytu prowadzących do sali schodów. Był ubrany w świetny czarno-srebrny strój. Patrzyłam na otulające jego muskularne uda podwiązki, na sącdek i tors, na którym miał wysadzana klejnotami broszę przedstawiającą młodzieńca, spleciony z łukiem księżyc.

Król i księżna krążyli po sali. Franciszek przystanął na widok syna. Jego twarz wyrażała zaskoczenie. Henryk choć raz ubrał się, jak wypadało. Serce zaczęło mi walić w piersi; czułam nadszarpniętą katastrofę; nawałę mroku gotową przysłonić oczy. Na oślepie sięgnęłam po puchar i przewróciłam go. Podskoczyłam, zbierając suknię, której groziło zalanie.

W tej samej chwili nieznana mi kobieta wystąpiła z cienia okrywającego plecy Henryka.

Razem zstąpili do sali, nie dotykając się, mimo to harmonijnie, zdawałoby się — jedno ciało.

Sunęła, jakby nie dotykała stopni. Włosy barwy srebrnego popielu szesała z wąskiego czoła, a jej szczupła postać prezentowała się idealnie w czerni i bieli, kolorach przywdzianych przez Henryka. Nie miała biżuterii poza identyczną broszą jak Henrykowa, noszoną na piersi i przyciągającą w to miejsce spojrzenia całego dworu, gdy kobieta zatrzymała się obok mojego małżonka.

Przyglądałam się jej skamieniała ze zgrozy. Wyglądała jak ożywiony marmurowy posąg; dojrzała niewiasta, w pełni sił, doskonale świadoma swego oddziaływania na innych. Wcześniej wyobrażałam sobie pulchną afektowaną guwernantkę; umalowaną wszetecznice 0 farbowanych włosach. Tymczasem ona, jakby potrafiła czytać mi w myślach, podniosła ku mnie wzrok. Uśmiech wygiął jej wargi. Nigdy nie widziałam takiego uśmiechu. Był szyderczy i triumfalny, rzucał cień na to miejsce w mej duszy, w którym rządziły lęk i zazdrość.

Unosząc suknię, wybiegłam z sali. Nie zatrzymałam się, dopóki nie wpadłam do siebie. Służące wrzasnęły przestraszone i poderwały się z taboretów.

Podeszła do mnie Lukrecja.

— Pani, co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

— To ta... ta kobieta. Diana de Poitiers. Jest tu, w sali. — Kiedy wymówiłam jej imię, pomyślałam, że zawsze będę czuć jego wstrętny smak. — *Dio mio*, nie jest stara. Nie jest brzydka.

Oparłam się o toaletkę, wbijając wzrok w upierścienione palce z pomalowanymi paznokciami. Gdy spojrzałam w lustro, zobaczyłam w nim nieznaną: grubą Włoszkę umalowaną jak francuskie damy dworu, żyjącą na królewskim garnuszku.

— Wyjdźcie — szepnęłam. — Wszystkie. Zostawcie mnie.

Drobniutka Anna Maria wybiegła z pośpiechem. Lukrecja nie chciała się ruszyć.

— Nie daj się zapędzić w koziego róg. Nie wolno ci jej ulec. Jesteś Katarzyna Medycejska, księżna Orleanu. A ona? Niczym więcej jak tylko królewską dziwka.

Wciągnęłam drżący oddech, chcąc opanować furję.

— Tak — powiedziałam nieswoim głosem. — Kim ona jest, hę? Nikim! Wdową po dworskim urzędniku, była guwernantką! Moim pradziadkiem był Wawrzyniec Wspaniały, pan Florencji; mój stryj siedział na tronie świętego Piotra. — Odwróciłam się do Lukrecji. — A przecież ona ośmiela się pokazać na dworze; ośmiela się przybyć na ucztę, mając u boku mojego małżonka, i patrzy na mnie, jakbym była jej sługą.

— Może się boi. Może zdaje sobie sprawę, jak wiele ma do stracenia.

— Boi się? — Wybuchłam kwaśnym śmiechem. — Kogo? Mnie...?!

— Tak. Ty jesteś jego żoną, któregoś dnia urodzisz mu synów. Ona nie ma niczego, co mogłaby mu zaoferować, poza swoim ciałem, i wie, że ta sytuacja nie będzie trwać wiecznie. Może wygląda młodo, ale nie jest młoda. I jest zależna od jego wierności. Kobieta taką jak ona można łatwo rzucić. To zdarza się codziennie.

Zastanowiłam się. Do tej pory nie spojrzałam w ten sposób na sytuację. Musiała mieć czterdziestkę; przecież urodziła już dzieci, owdowiała. Musiała również wiedzieć, że cieszę się uczuciem króla, gdyż mimo że nie dałam mu wnuków, Franciszek nie chciał mnie odesłać. Czy nie dlatego właśnie pokazała się na dworze, przybrana w takie same barwy jak Henryk, tak że stworzyli parę jak z baśni, rycerz i dama jego serca? Czyżby w końcu zdała sobie sprawę, że jeśli w coś nie ustąpi, może stracić wszystko?

— Więc o to chodzi — szepnęłam. — Król wezwał Henryka, więc się go uczepliła. Wie, że on nie może się dłużej wymawiać od

obowiązku, że żadne względy tu nie pomogą. Nie miała wyboru. — Dałam znak ręką. — Szybko, pomóżcie mi się przebrać. On zaraz tu przyjdzie.

Lukrecja pomogła mi pozbyć się sukni i włożyła na mnie nocny strój. Podczas gdy czuwała w sąsiednim pokoju, rozczesałam włosy, aż opadały swobodnie, gęste i tak długie, że mogłam na nich siedzieć. Rozchyliłam poły szlafroka i zważyłam w dłoni piersi, doprowadzając sutki barwy cynamonu do tego, że naprężyły się i zeszywniały. Przyglądałam się swojemu ciału jak towarowi na sprzedaż, oceniając z przyjemnością długie nogi, wyszczuplone dzięki konnej jeździe łydki, silne, ale nie grube kostki u nóg, szerokie kształtne uda.

Uśmiechnęłam się do swego odbicia. Może nie byłam tak posągowa jak ona, marmurowa, owinięta w jedwab rzeźba, lecz byłam jędrna i młoda. Ona usiłowała zatrzymać młodość, podczas gdy moja rozciągała się przede mną jak żyzne pole.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zawiązałam tasiemki szlafroka i przywołałam na twarz oczekujący uśmiech, podczas gdy Henryk wszedł do sypialni. Przystanął, jakby niepewny, czy jest chętnie witany.

— Mężu, co za nieoczekiwana przyjemność. — Z wolna podeszłam do bocznego stolika, na którym stała karafka z winem. Podałam mu kielich. Przyjął go niezręcznie. Chciało mi się śmiać. Odchrząknął.

— Musimy porozmawiać — zaczął, a ja skinęłam głową, siadając na krześle. Przyglądał mi się długo, zanim powiedział jednym tchem: — Ojciec przysłał mi list. Żąda, żebyśmy mieli syna. Mówi, że to najważniejsze, biorąc pod uwagę stan zdrowia mojego brata.

Nie zdradziłam zaskoczenia. Najważniejsze było to, że w końcu przyszedł do mojej sypialni. Nie wiedziałam, że delfin, który jak Małgorzata miał słabe płuca, jest aż tak chory. Nie pokazywał się na dworze, trzymał się swojego domu i swoich rozrywek, tak że z czasem zapomniałam o jego istnieniu.

Henryk chodził po sypialni, nie odstawiając kielicha.

— Lekarze ojca nie wierzą, że mój brat długo pociągnie, więc my musimy zapewnić ciągłość rodu i dalsze panowanie Walezjuszy. — Pociągnął długi łyk i odwrócił się do karafki, napełniając kielich. Ręka mu drżała.

Siedziałam nieruchomo, ukrywając wstrząs. Gdyby pierwotny Franciszka zmarł, jego miejsce zająłby Henryk. Któregoś dnia my stalibyśmy się parą królewską. W głowie mi zawirowało. Nigdy nie patrzyłam tak daleko. Wiecznie zajęta walką o dziś, nigdy się nie zastanowiłam, dlaczego Franciszek tak uparcie mnie ochrania. Czyżby widział we mnie przyszłą królową Francji?

Oto pękał kokon mojej ograniczonej egzystencji, otwierając się na bezmiar nieznanego.

Dobiegły mnie dalsze słowa Henryka i otrząsnąwszy się z zamyślenia, ujrzałam, że stoi przede mną.

— Obiecuję, że tym razem będę łagodniejszy — powiedział i spojrzałam mu w oczy. Usiłował się uśmiechnąć i zdałam sobie sprawę, że się wstydzi. Ostatnim razem celowo był okrutny, chciał mnie ukarać.

Wstałam i przeszłam do sypialni. Powiedziałam sobie, że nawet jeśli będzie mnie bolało, to nie będę długo cierpieć. I tym razem zajdę w ciążę, i udowodnię, że warto było wziąć mnie za żonę. Jednakże gdy odgarniałam kołdrę, czułam strach i wiedziałam, że nie ma żadnego związku z tym, co może mi uczynić mąż. A jeśli to nie była jego wina? A jeśli wszystko, co dwór mówił za moimi plecami, okaże się prawdą?

A jeśli jestem bezpłodna?

Lukrecja wcześniej przygotowała sypialnię. Przy łożu płonęła świeczka, baldachim był rozsunięty. Cienie tańczyły na suficie. Zdejmowałam szlafrok i gdy usłyszałam za sobą szelest zrzucanego ubrania, ręce mi się roztrzęsły.

— Katarzyno. — Jego usta były przy moim uchu. Wziął mnie za ramiona i odwrócił do siebie. Górował nade mną; ciemne włosy pokrywały jego szeroki tors; nogi i ramiona miał wspaniale umięśnione. Pozostawił na sobie tylko krótkie kalesony. Pod cienkim lnem widziałam sterczącego członka.

Niespodziewanie wybuchł we mnie płomień. Starłam się go zdusić. Nie chciałam pożądać mężczyzny, który widział we mnie tylko naczynie dla swojego nasienia; nie chciałam go kochać. Próbowałam ożywić w sobie furię i nienawiść, które czułam, gdy ujrzałam go z jego kurwą; starałam się wzbudzić w sobie pogardę osłaniającą mnie przed ranami, które mi zadał. Ale wszystko przestało się liczyć, gdy położył mnie na łóżku i patrzyłam drżąca, jak

ściąga mi z piersi nocną koszulę, stopniowo odsłaniając moją nagłość.

— Jesteś piękna — zamruczał, jakby się tego nie spodziewał, i spojrzał mi w oczy. Po raz pierwszy w naszym małżeństwie czułam, że widzi mnie taką, jaką jestem, nie zawsze niechcianą żonę. Sięgnął do tasiemek kalesonów, niecierpliwie chcąc się ich pozbyć.

Jego członek był niewiarygodnie wielki. Jednakże wszedł we mnie tak łagodnie, że oczy wezbrały mi łzami, i w duchu podziękowałam Bogu za to, że migotliwe światło na wpół ukryło moją twarz.

Tym razem prawie krzyknęłam, czując zarazem ból i rozkosz tego, co mnie spotykało. Jego organ wypełniał mnie do tego stopnia, że ruch wewnątrz mnie stał się całym światem, ruch coraz szybszy, z którym łączył się zdyszany, parzący twarz oddech, gdy wypinałam biodra, wychodząc naprzeciw jego pchnięciom, pieszcząc jego tors, gubiąc palce w szorstkich włosach.

Przeszedł go dreszcz. Poczułam, że członek potężnieje jeszcze bardziej, i wyszeptałam: — Henryku... — Znieruchomiał, napiął całe ciało, jakby chciał coś zatrzymać, a potem stęknął i wdarł się jeszcze głębiej, przesywając mnie płomieniem, który rozbiegł się roztańczonymi kręgami, aż także krzyknęłam, wbijając mu palce w ciało, ściskając go ciasno udami.

Opadł obok mnie, dysząc. Zacisnęłam mięśnie ud, bioder, pragnąc, aby jego nasienie zakorzeniło się we mnie. Kiedy się do niego odwróciłam, czując drzenie całego ciała, wstał z łóżka. Usłyszałam, że nakłada rajtuzy i kaftan — szelest odzieży zabrzmiał mi w uszach jak kamienna lawina.

— Zostań dziś ze mną — szepnęłam.

— Nie mogę — odparł cicho.

Podniosłam się.

— Dlaczego? Nie było ci dobrze?

Odwrócił oczy.

— Było... było. Ale jestem oczekiwany gdzie indziej.

Nie potrafiłam utrzymać gniewu na wodzy.

— Chodzi o tę kobietę, tak? Zostawiasz mnie dla niej. Czy ona znaczy dla ciebie tak wiele, że upokarzasz mnie przed całym dwo-rem?

— Ona znaczy dla mnie wszystko. — Popatrzył mi w oczy. Był zbolały, niemal smutny. — Nie chcę cię zranić. Ale musisz się pogo-

dzić z tym, że mogę ci dać tylko część siebie. Kiedy urodzisz dziecko, już nie będzie ci to tak bardzo doskwierać. Będziesz mogła się zająć miłością do naszego syna.

Zacisnęłam ręce na brzuchu. Jego słowa sprawiły mi taki ból, jakby mnie uderzył. Chciałam krzyknąć, że to zawsze będzie mi doskwierać. Żywym ogniem. Że to ja zasługuję na jego miłość, nie ten posąg, który go opętał. Nie krzyknęłam jednak, gdyż w tamtym momencie zdałam sobie sprawę z czegoś, co ukrywałam nawet przed sobą. Żyłam złudzeniem. Tylko złudzenie dawało mi energię, złudna wiara, że mam dość sił, by odmienić jego serce.

Gdyby nie ta kobieta zawładnęła Henrykiem, znalazłaby się inna. Ale nie ja. Nigdy ja.

Odwróciłam się od niego.

— No to idź. Idź do niej.

Wyszedł bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi.

Trzy miesiące potem obudziły mnie skurcze. Wyczołgałam się z łóżka i zataczając, podeszłam do kubła na odchody zrozpaczona, że bóle miesięczne znów wróciły. Ostatnio miałam apetyt jak smok i po cichu zaczęłam żywić nadzieję, że może jestem w ciąży, gdyż krwawienia były sporadyczne i nie tak obfite jak wcześniej. Lecz gdy Lukrecja podbiegła z pomocą, poczułam koszmarny ból i wydzieliłam z siebie strumień śluzu i krwi. Zastygłam, patrząc ze zgrozą na bezkształtną kałużę u moich stóp. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i dusząc szloch, runęłam na kolana.

Lukrecja zdjęła ze mnie zakrwawioną nocną koszulę, podała mi szlafrok i zaprowadziła mnie do krzesła. Jęczałam, trzymając się wpół i kiwając w przód i w tył.

— Nie. Proszę, Boże, nie.

Przyglądałam się osłupiała, gdy Lukrecja zebrała szmatą krew i wrzuciła do paleniska brudną koszulę. Dopiero wtedy udało mi się wyszeptać:

— Nikt nie może się dowiedzieć. To byłby mój koniec.

Skinęła głową.

— Spalę wszystko. Teraz odpocznij.

— Jak mam odpoczywać? — Rozedrgałam się cała. — Nigdy już nie zaznam spokoju. Straciłam dziecko. Co teraz zrobię? Ześlą mnie do klasztoru.



— Nie ześlą. — Wbiła we mnie wzrok. — Jesteś młoda. Wiele kobiet roni pierwsze dziecko. Przyszedł do ciebie raz, drugi i przyjdzie znowu. Potrzebuje syna tak samo jak ty.

Moje oczy wypełniły się łzami, gdy rozgrzebywała popioły, dokładając drew do paleniska, które miało pochłonać świadectwo klęski mojego łona.

Dwa dni potem umarł następca tronu.

## R O Z D Z I A Ł 9

Na dworze przywdzieliśmy biel, kolor żałoby.

Siedząc z księżniczkami w królewskiej krypcie bazyliki Saint-Denis, patrzyłam na wąską trumnę delfina spuszczaną na miejsce wiecznego spoczynku. Chociaż najstarszy syn króla nigdy nie miał silnego zdrowia, nie dożył nawet dwudziestu lat. Franciszek był załamany, jeszcze bardziej postarzały i blady, gdy ukląkł, całując marmurową płytę na grobie syna. Potem odszedł nawą. Za nim kroczył Henryk. Dostrzegłam, że mąż zerka na mnie spod opuszczonych powiek. Triumfował, był następcą ojca. Mało nie zemdlałam na myśl, jak bardzo teraz cały dwór będzie oczekiwał ode mnie spłodzenia syna.

Księżniczki powstały. Odstąpiłam w bok, by je przepuścić, ale Magdalena rzekła półgłosem:

— Nie, musisz iść pierwsza. Jesteś żoną delfina.

Spojrzałam na Małgorzatę; skinęła ze smutkiem głową. Opuściłam wzrok i ruszyłam do wyjścia.

W nawie słyszałam szepty dworaków.

Czterdziestopięciodniowa żałoba ciągnęła się w nieskończoność. Wszystkie moje lęki powróciły, gdy nocami prawie nie spałam, ścigana wizjami wypędzenia, a za dnia żyłam pozbawiona rozrywek, ponieważ król usunął się w samotność. Henryk z racji żałoby po bracie nie odwiedzał mnie w łóżu, a gdy żałoba się skończyła, zasiedliśmy sztywni jak posągi podczas naszego pierwszego oficjalnego pojawienia się, kiedy król Szkocji, Jakub V, przybył z wizytą do Francji. Chcąc scementować sojusz dwóch państw, szukał u nas żony.

Nikt nie przewidział, że z tłumu zaoferowanych mu dam jego serce usidli nieśmiała Magdalena. Oczywiście było to idealne połączenie i zastanawiałam się, czy nie zaplanował go Franciszek, gdyż nawet pogrążony w żałobie musiał zdawać sobie sprawę, że wojowniczy król Anglii, Henryk VIII, będzie rozsierdzony na wieść, iż nowa żona w łożu jego szkockiego sąsiada jest Francuzką.

Zaledwie kilka tygodni po przybyciu Jakuba stałyśmy w komnatach Magdaleny. Służące uwijały się wokół niej, robiąc ostatnie poprawki przy weselnym stroju. Układając falujący welon sztywnego czepca, odwróciłam pannę młodą do lustra.

— Jestem taka blada — rzekła, patrząc w nie badawczo. — Może powinnam nałożyć trochę tego różu, który dla mnie zrobiłaś?

— Nie dzisiaj — odparłam. — Panna młoda powinna być blada. Ścisnęła mnie za rękę.

— Czy to nie dziwne, jak życie się zmienia? Spójrz na nas, zaledwie wczoraj siedziałyśmy obok siebie, pobierając nauki. Teraz ty jesteś żoną następcy tronu Francji, a ja mam być królową Szkocji. — Znów spojrzała na swoje odbicie. — Mam gorącą nadzieję, że będę dobrą królową i żoną. Moi doktorzy mówią, że miewam się lepiej. — Mówiąc, potarła ramię. Wiedziałam, że rękaw sukni kryje ślady po nakłuciach. Medycy przepisali jej upuszczanie krwi. — Ale słyszałam, że zimy w Szkocji są niedobre dla płuc, a moje zawsze były słabe.

— Jakub ma dużo zamków, żebyś mogła się w nich ogrzać. — Oderwałam jej palce od ramienia. — A teraz przestań marudzić. To dzień twojego wesela.

Kobiety pisnęły, gdy energicznym krokiem wszedł Franciszek, rozsiewając blask złotych brokatów.

— Niedobry tatko — zażartowała Małgorzata. — To źle wróży, kiedy mężczyzna ogląda pannę młodą przed ceremonią.

— Też mi coś! Może źle wróży, kiedy obejrzy ją mąż, ale nigdy ojciec. — Podszedł do Magdaleny. — Pan młody czeka. Jesteś gotowa, *ma chere!*

Biorąc ją pod ramię, rzucił mi pełne niepokoju spojrzenie. Śmierć najstarszego syna zostawiła ślady na jego obliczu i wiedziałam, że martwi się o córkę. Szkocja miała złą sławę. Jej klimat był bezwzględny, podobnie szlachta. Jak nasza słodka Magdalena poradzi sobie daleko od pieczyt Francji?

— Jej królewska wysokość właśnie dzieliła się z nami swą radością. To jedno z najweselszych wydarzeń w historii Francji, wasza królewska mość.

— Jak najbardziej — potwierdził półgłosem moje słowa.  
— Równie wesołe jak twoje przybycie, *ma petite*. — Z promiennym uśmiechem odwrócił się do Magdaleny. — Do Notre Dame!

Po kilku dobrych tygodniach świętowania zaślubin królewskiej córki udaliśmy się do Calais, towarzysząc oblubieńcom, którzy mieli stamtąd wyruszyć do Szkocji. Następnie powróciliśmy do Fontainebleau, gdzie Franciszek niespodziewanie podupadł na zdrowiu.

Jego choroba wywołała głęboki niepokój. Dworzanie szeptali, że miesiące zabaw wyczerpały króla, doprowadzając do powtórnego otwarcia ran na genitaliach, co utrudniało oddawanie moczu. Wiele dni przebywał za zamkniętymi drzwiami, poddawany rozlicznym zabiegom, po których był oszołomiony i osłabiony.

Czuwałam za progiem wraz z *petite bandę*. Nie wpuszczano nas na królewskie pokoje, tak że księżna Etampes tylko chodziła po korytarzach bezradna, nie mogąc pomóc człowiekowi, od którego zależało całe jej życie. Kiedy ogłoszono, że jego królewska wysokość powraca do sił, nałożyła najwystawniejsze jedwabie i klejnoty i oczekiwała królewskiego wezwania.

Ku jej i mojemu zaskoczeniu Franciszek wezwał mnie.

Leżąc na łóżku, otworzył szkliste od gorączki oczy.

— *Ma petite*, zmieniłaś perfumę.

— Sama ją skomponowałam. — Podsunęłam mu pod nos przegub. — Esencja jaśminu, ambry i róży.

Uśmiechnął się lekko.

— Bardzo francuska. Kiedy zagniesz na coś parol, nigdy się nie poddajesz. Podziwiam twoją wytrwałość. Być może wkrótce uda ci się również dać mi wnuka, co?

— Tak — szepnęłam. Nie okazałam strachu, chociaż wiedziałam, że te słowa niosą ze sobą ostrzeżenie. Któregoś dnia on umrze, a ja pozostanę sama na wrogim dworze. Musiałam zapewnić sukcesję Walezjuszy i udowodnić, że zasługuję na królewską koronę.

Trzymałam go za rękę, gdy osunął się w sen. Powinnam być załamana, widząc, że ten wspaniały mąż, który osłaniał mnie na

przekór wszelkim knowaniom losu, jest teraz dobiegającym kresu wrakiem człowieka.

Ale moje myśli zaprzętało jedynie czekające mnie niewykonalne zadanie.

W środku lata Franciszek w pełni wyzdrowiał i wybuchła wojna z cesarzem. Poszło o Mediolan, do którego obaj władcy rościli pretensje. Tym razem nasze wojska poprowadzili konetabl, jego kuzyn de Coligny i mój mążonek, podczas gdy dwór rozłożył się w Saint-Germain, bezpieczny dzięki bliskości Paryża.

Kiedy znalazłam pierwszy sposobny moment, wysliznęłam się do Kośmy. Na mój widok nie posiadał się z radości. Zaprowadził mnie do pokoju na piętrze, który wypełnił półkami fiolek, słoików i książek. Bardzo przypominał gabinet jego ojca we Florencji. Z belek sufitu zwisały klatki z ptakami.

— Pani, zaszczytasz mnie swoją wizytą — rzekł, kłaniając się z przesadną uniżonością.

Przyjrzałam mu się uważnie.

— Kosma, wyglądasz, jakbyś od tygodni nie miał nic w ustach ani nie oglądał słońca. Chyba nie zamykasz się tu na całe dni? Nie da się żyć samą magią.

Kiedy tłumaczył się, mamrocząc, jego ściągnięta twarz zdradzała żarliwe pragnienie, aby mi się przypodobać. Zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, przychodząc do niego. Przecież w gruncie rzeczy był sługą skazanym na moją szczerobliwość. Jak mógł pojąć męki, które cierpiałam? Od tamtego straszliwego poranka, kiedy poroniłam, żyłam w ciągłym strachu, dręczona myślą, że zostanę wygnana z Francji, ponieważ nie dałam mężowi potomka. Uparta gadanina Lukrecji, że kobiety często tracą pierwsze dziecko, nie mogła niczego zmienić.

Kosma przyglądał mi się tak, jakby czytał moje myśli.

— Moja pani jest udęczona — rzekł. — Przyszłaś tu, gdyż żyjesz w strachu. Możesz mi zaufać. Prędzej umrę, niż cię zdradzę.

Zaczęłam mówić, napotykając jego przenikliwe spojrzenie i wspominając strumień krwi i śluzu, nocny strój spalony w palenisku na popiół. Moje serce cierpiało, jakby miażdżone uściskiem niewidzialnej dłoni.

— Nie mogę zawieść — wyszeptałam w końcu. — Muszę mieć dziecko.

Z powagą skinął głową.

— Zbadamy razem znaki.

Sięgnął do jednej z klatek. Wyjął z niej gołębicę i sprawnie ukręcił jej łebek. Położył białopióre drgające ciało na stole, dobył sztyletu i wypatroszył je. Skrzywiłam się, czując smród wylewających się wnętrzności, widząc ciemną krew kalającą jego ręce, gdy przyglądał się wewnętrznym organom ptaka. Po uważnych oględzinach popatrzył na mnie z uśmiechem i obwieścił:

— Nie widzę żadnych przeszkód, abys mogła mieć dzieci.

Ogromna ulga sprawiła, że nogi się pode mną ugięły. Odetchnęłam, wspierając się na stole. Usłyszałam głos Kośmy:

— Utrata jednego nie oznacza, że nie urodzisz następnych.

Znieruchomiałam.

— Skąd... skąd wiesz? Widziałeś to?

Wzruszył ramionami.

— To moja umiejętność. Widzę to, czego inni nie potrafią zobaczyć. I muszę ci również powiedzieć, byś była cierpliwa, pani, gdyż twój czas jeszcze nie nadszedł.

Roześmiałam się ochryple.

— Ileż jeszcze mam być cierpliwa? Jestem we Francji siedem lat i nie osiągnęłam niczego, czym mogłabym się poszczycić. To ta kobieta jest temu winna; wie, jak bardzo cierpię, i rozkoszuje się tym. Po sprawiedliwości powinna zdechnąć. — Szarpnęłam łańcuszek na szyi, na którym wisiała fiolka starego Ruggieriego. — Tu mam środek, który to sprawi. Twój ojciec dał mi go przed laty. Potrzeba mi tylko sposobności.

Uniósł brwi.

— Nie wolno ci tego zrobić. Wszyscy będą cię podejrzewać.

— Mam to gdzieś. Henryk przez jakiś czas będzie rozpaczać, a potem pogodzi się z jej utratą. Moja męka się skończy.

— Albo uwierzy plotkom i nigdy więcej cię nie dotknie. Francuzi już myślą, że każdy Włoch to truciciel. A zawartość tej fioki może zostawić ślad. Nie, pani. Choćbyś nie wiem jak życzyła jej śmierci, to nie jest sposób.

Mało na niego nie nawrzeszczałam, taka byłam bezradna i wściekła — nie dlatego, że naprawdę chciałam otruć Dianę, ale dlatego, że śmiał opisać konsekwencje czynu, przed którym, jak uważałam, nie miałam ucieczki. Załamana utratą dziecka i nie mogąc nikomu

zwierzyć się z tego nieszczęścia, winiłam za wszystko Dianę. Wierzyłam, że celowo trzyma Henryka z dala od mego łóża; w najmroczniejszych godzinach byłam święcie przekonana, że zawarła pakt z diabłem, by spędzić nieuformowany płód z mego łona i tym sposobem uzależnić moje przetrwanie od swojej woli.

— Świetnie — burknęłam. — Znajdź inny sposób. Tylko się pośpiesz. Nie mam całego popołudnia.

Kosma już podszedł do półek i sięgał po drewnianą skrzyneczkę.

— Pokonamy tę kobietę — rzekł, unosząc wieko. — Dam ci sześć ochronnych amuletów. Będziesz je nosić pod sukniami, by zniweczyć zło, które rozsiewa, i olejek do ciała, który zwabi ku tobie męża. Kiedy przyjdzie do ciebie następnym razem, wyślę ci pewien eliksir; połowa dla ciebie, połowa dla niego. Przede wszystkim nie trać nadziei.

— Gdyby nadzieja była nasieniem—powiedziałam, biorąc amulety i olejek — byłabym matką wielkiego kraju.

Uśmiechnął się.

— Pewnego dnia będziesz nią.

Natarłam się olejkiem, przyszyłam do halek metalowe amulety. Wygładziłam włosy rozpalonymi prostownicami i zamówiłam stopy nowych sukien. Oczekiwałam wieści o powrocie Henryka z frontu i grałam rolę zaaferowanej księżnej, wciąż pytając o rozwój wojennych wydarzeń. Na razie sytuacja wyglądała tak, jak podczas każdego rodzaju zmagania. Cesarska armia się okopała, a nasi oficerowie zasypywali ją armatnimi kulami. Niecierpliwie wypatrywałam powrotu Henryka, aby wypróbować na nim eliksir.

Wtedy los znów nas poraził.

Łagodna Magdalena umarła — ofiara ostrego szkockiego klimatu i delikatnego zdrowia. Franciszek zamknął się w swoich komnatach i nie chciał oglądać nikogo na oczy. Spędzałam dnie z Małgorzatą, pocieszając ją najlepiej, jak umiałam. Znów przywdzialiśmy żałobę, ale Franciszek nie miał wyjścia; musiał spełnić żądanie Jakuba i dać mu nową żonę. Sojusz ze Szkocją miał kolosalne znaczenie i Gwizjusze nie tracili czasu, podsuwając swoją córkę Marię. To, że również ona mogła stracić życie, nie miało znaczenia. Była tylko instrumentem do załatwienia interesów rodziny. Małżeństwo za-

warto *per procura*, a Karol i Franciszek znużeni wojną, której żaden nie mógł wygrać, podpisali rozejm.

Henryk został wezwany do domu.

W Fontainebleau szykowałam się na jego przyjęcie. Piłam regularnie napary i od tygodni przystrajałam komnaty. W dniu jego przybycia krażyłam po pokoju jak zwierzę w klatce. Odziana w szkarłaty i rubiny nasłuchiwałam odgłosów zza drzwi. Wysłałam Annę Marię, by się dowiedziała, gdzie przebywa i co robi mój mąż. Wolałam się nie narzucać podczas powitalnych uroczystości. Za nic nie chciałam wypaść na rozgorączkowaną zoneczkę, która pierwsza uwiesi się małżonkowi na szyi, gdy ten wjedzie na zamkowy dziedzińiec.

Czując na sobie wzrok dworek, jak zawsze śledzących mnie czujnie, gdy wyczuwały mój niepokój, wsunęłam rękę do kieszeni. Wymacałam buteleczkę, którą przysłał mi Kosma, i uśmiechnęłam się. Obiecał mi, że jego potężna mieszanka sprawi, iż Henryk będzie myślał tylko o mnie. Swoją połowę wypiałam rano. Teraz pozostawało mi tylko wlać drugą do jego kielicha. Pobudzona natura miała zrobić resztę.

Moje służące wróciły do szycia. Od kiedy się dowiedziałam o powrocie Henryka, nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Już miałam skierować się do wyjścia, gdy usłyszałam stukot obcasów. Zeszywniałam.

Wpadła Anna Maria.

— Jego wysokość idzie! Posłyszałam w galerii, że...

Przerwałam jej.

— Plotki potem. Siadaj. Henryk nie może pomyśleć, że go oczekujemy.

— Jej wysokość musi...

— Później. — Wskazałam jej taboret. Z desperacją spojrzała na inne służące i usiadła.

Rozsadzał mnie niepokój. Od naszego ostatniego spotkania minęło osiem miesięcy. Co pomyśli na mój widok? Czy eliksir zadziała? Czy znów zajdę w ciążę?

Huczny śmiech poprzedzał grupę mężczyzn. Wpatrzyłam w niej bliskiego przyjaciela i towarzysza broni Henryka, Franciszka Gwizjusza. Nie zmienił się wiele, pozostał nazbyt patykowaty, lecz jego



kanciastą twarz — można by ją uznać za przystojną, gdyby nie maska sztywności — oszpeciła blizna. Przecinała policzek, unosząc lewy kącik ust w wyrazie wiecznego szyderstwa.

— Szlachetni panowie, jakże się cieszę, że w końcu widzę was po tak długiej nieobecności — powitałam ich ciepło. — Witajcie w domu.

Oddali mi niski pokłon. Henryk wystąpił spomiędzy gromady. Ledwie go poznałam. Nosił prosty brązowy kaftan, miał wychudłą twarz, gęstą brodę, głęboko wpadnięte oczy. Ta posepna aura zdradzała dojrzałość zrodzoną podczas oglądania wielomiesięcznej hekatombi ginących za Francję towarzyszy broni. Mój mąż poszedł na wojnę i wrócił na zawsze naznaczony jej stygmatem.

— Napijesz się wina? — spytałam, gdy przelotnie musnął wargami mój policzek.

— Nie piję już wina — odparł.

Aż znieruchomiałam. Jeśli nie pije wina, w czym podam mu eliksir? Woda nie ukryłaby jego gorzkiego smaku. Szukałam jakiegoś usprawiedliwienia dalszych nalegań, ale zauważyłam, że wymienił spojrzenie z Gwizjuszem. Ścisnęło mnie w dołku, gdy jego nieodgadniony wzrok wrócił do mnie.

Ujęłam go za rękę.

— Jestem taka szczęśliwa z twojego powrotu — powiedziałam. — Tęskniłam za tobą. Jeśli chcesz, możemy sięść do kolacji. Mam ci tak wiele do opowiedzenia.

— Obawiam się, że to niemożliwe. — Cofnął rękę i wrócił do przyjaciół, lecz pomyślałam, że nie powiedział „nie”, że jeszcze przyjdzie. Może eliksir nie poszedł na marne. Mogę zaczekać.

Dopiero gdy odeszli, przypomniałam sobie słowa Anny Marii.

— Jakich to wieści niby musiałam wysłuchać? — spytałam, podchodząc wolno do krzesła.

— To tylko plotka — wtrąciła Lukrecja. Widocznie Anna Maria już jej zdradziła, w czym rzecz.

Odczekałam chwilę, patrząc na służki. Bez słowa gestem poleciłam, że mają wyjść wszystkie poza Lukrecją.

— Chodzi o Henryka, prawda? — spytałam ją. — Mów. Co tym razem zrobił? — Zebrałam siły, szykując się na wieść o nowej podłości Diany.

Ale Lukrecja powiedziała:

— Wygląda na to, że gdy jego wysokość był na wojnie... pozwolił sobie na... na odrobinę swawoli. Tak długo musiał przebywać na froncie, więc... szukał wytchnienia, jak to mężczyzna. Mówią, że to była tylko młoda wieśniaczka i spotkał się z nią zaledwie raz czy dwa. Na tym by się skończyło, tyle że wpadła. Mówi, że z nim.

Zacisnęłam kurczowo ręce. W kieszeni sukni coś pękło z głuchym trzaskiem. Poczułam wilgoć na udzie. Zmiażdżyłam buteleczkę z eliksirem.

— Czy... czy on uznał jej pretensje? — spytałam urywanym głosem.

— Tak. — Chwilę milczała. — Boję się, że jest coś więcej. — Uniosła wzrok. — Seneszalowa powiedziała, że gdyby urodził się chłopiec, ma zostać jej oddany na wychowanie.

Myślałam, że nie utrzymam gorzkiej fali, która z głębi brzucha wznosiła mi się do gardła. Odpędziłam Lukrecję, a potem skuliłam się na krześle. Szarpnęły mną torsje. Ale niczego nie zwróciłam. Czułam w ustach ohydny smak, jakby moja groza i niewiara stały się częścią mnie.

Teraz wiedziałam, że muszę poświęcić wszystko, aby przetrwać.

W sierpniu 1538 roku „wytchnienie” mojego męża urodziło dziewczynkę. Dziewka dostała rentę i mogła zatrzymać dziecko, jako że Diana nie była zainteresowana wychowywaniem dziewczynki. Lecz mimo że nie przejęła dziecka Henryka, nie poczułam ulgi. Sam fakt, że spłodził bękarta, znów wzbudził na dworze szepty o mojej bezpłodności. Teraz nie było wątpliwości co do tego, kogo należy winić za nasze niepowodzenia.

Każdy mijający dzień zbliżał mnie coraz bardziej do nieuniknionego. Henryk nie odwiedzał mojego łóżka, wręcz unikał mnie tak długo, że zaczęłam podejrzewać, iż Diana działa przeciwko mnie, niszcząc tę odrobinę przyjemności, którą Henryk i ja mogliśmy znaleźć w naszym związku. Moją jedyną pociechą i osłoną był król, którego miłość nie zmieniła się od chwili, kiedy obdarzył mnie tym uczuciem.

W roku moich dwudziestych trzecich urodzin i ósmej rocznicy mojego przybycia do Francji król przeniósł się do zamku Amboise. Usytuowany wysoko na górującym nad Loarą cyplu, szczyił się rozległymi ogrodami i wykutymi w żelazie balustradami. Był ulu-

bioną rezydencją Franciszka, który poświęcił lata na jego upiększenie, i wybrał go, aby w nim ogłosić nowy plan odebrania cesarzowi Mediolanu.

— Konetabl uważa, że moją dziesięcioletnią siostrzenicę Joannę d'Albret, córkę króla Nawarry i mojej siostry Małgorzaty, powinniśmy zaoferować następcy Karola, Filipowi, królowi Hiszpanii — wyjaśnił mi, gdy spacerowaliśmy po ogrodach. Z oddali dobiegały ryki i piżmowy odór trzech trzymanyh w klatkach lwów. Król otrzymał je w darze od tureckiego sułtana i nie bardzo wiedział, co z nimi począć.

— W zamian — ciągnął — Karol dałby mi Mediolan, a Joanna przekazałaby Filipowi Nawarrę, kiedy ją odziedziczy. Karol poślakomi się na tę okazję; jest przekonany, że Habsburgowie mają prawo do tego królestwa, a obecni władcy to uzurpatorzy. Małgorzata jest wdową po królu Nawarry; bardzo kręci nosem na myśl, że miałaby oddać córkę Hiszpanii, ale ja tak naprawdę wcale nie zamierzam pozwolić, by Karol zatrzymał Nawarrę. Chcę tylko, żeby tak myślał i żeby ja dostał Mediolan. — Trącił mnie łokciem. — Co powiesz, *ma petite!* Damy radę omamić tego habsburskiego węża?

— Dlaczego nie? — powiedziałam. — To świetny plan i jestem pewna, że twoja siostra zrozumie, o co w tym chodzi.

— Nie znasz Małgorzaty — odparł z westchnieniem. — Dawniej byliśmy sobie bliscy, ale od kiedy wyszła za męża i przeniosła się do Nawarry, zmieniła się. Jej świętej pamięci mąż, król tamtego spłachetka gór, sympatyzował z hugenotami i stała się zwolenniczką ich tak zwanej sprawy. — Wykrzywił usta; po raz pierwszy wspomniał przy mnie o tym kłopotliwym protestanckim kulcie. — Przez jakiś czas miała pod swoimi skrzydłami tego antychrysta Kalwina. Boże święty, plotka głosi, że nawet wychowała córkę na hugenotkę. — Przerwał na moment. — Mogłabyś mi tu pomóc, *ma petite*. Zaprosiłem Joannę; a nuż przeciagniesz ją na katolicyzm? Jaka to różnica dla trzynastolatki?

— Będę zaszczycona — rzekłam, myśląc przy tym, że przydając się na politycznym gruncie, może zyskam coś dla siebie.

Joanna przybyła miesiąc później. Niskiego wzrostu i szczupła, z długim nosem Walezjuszy i wąskimi zielonymi oczami o migdałowym wykroju, przypominała ojca tylko bujnymi rudymi włosami i gęstymi piegami. Stała na moim progu, zadzierając ostry podbródek, ubrana od stóp do głów w odstręczającą czerną.

Podeszłam do niej ze słowami:

— Moje najdroższe dziecko, wejdź. Bardzo się cieszymy twoim widokiem.

Wbiła wzrok w mój ozdobny*pré-dieu*\*.

— Nie mogę — rzekła piskliwym, nosowym głosem. Pokazała palcem. — To bałwochwalstwo.

Parsknęłam śmiechem.

— Jestem córką Kościoła katolickiego; tak się modlimy.

— No, a ja jestem córką Kościoła reformowanego i mamy zakazane patrzeć na bałwany.

— To żaden bałwan — powiedziałam, widząc, że Małgorzata sztywnieje. — To Madonna z Asyżu, czczona za łaski wobec kalek i cierpiących.

— To posązek. Kalwin powiada, że należy obalić kult świętych i czczenie posągów, gdyż nie tego uczył nasz Zbawca.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece, to dziecko jest zaprzysięgłą heretyczką, pomyślałam. Znow się roześmiałam, ukrywając konsternację spowodowaną nie tylko jej słowami, gdyż podobnych się spodziewałam, lecz siłą jej przekonań. Na litość boską, czego królowa Małgorzata uczyła swoją córkę? I co mogę temu przeciwstawić?

— Matka Chrystusa była zwykłą kobietą — kontynuowała Joanna. — Jej kult pochodzi ze starych pogańskich zwyczajów.

Małgorzata zerwała się na równe nogi.

— Jak śmiesz wypowiadać podobne plugastwa!

Joanna tylko wyduła dolną wargę.

Roześmiałam się wymuszenie.

— Powtarza to, co jej powiedziano, tak samo jak my mogłybyśmy recytować Brantóme'a. Nie rozumie połowy z tego, co plecie.

— Rozumiem. — Zwęziła powieki. — I wiem, po co tu jestem. Chcą mnie wydać za tego papistę Hiszpana, ale wpraw umrę. Jestem dzieckiem Boga, a wy głupcami, którzy klękają przed krzyżem.

Kiedy moje służące pisnęły jednym głosem, złapałam ją za chude ramiona.

— Dość. Żadnych więcej rozmów o religii, rozumiesz? — Popchnęłam ją na puste krzesło obok mnie. Służki odsunęły się ze

\* *P r i e - d i e u* (fr.) — klęcznik z ołtarzykiem.

wzdrygnięciem, jakby mogła je zarazić swoimi przekonaniem. Małgorzata przeszła ją wzrokiem i wyszła.

Nie spodziewałam się takiej pobożności po swojej szwagierce. Ale Małgorzata nie zamierzała pobłażać kalwinistce, ani teraz, ani nigdy. Ja byłam mniej rozczarowana, gdyż widziałam, że nasz młody gość wygłasza swe tyrady przede wszystkim po to, aby zrobić wrażenie na innych. Poza tym gdy trudziłam się, by przerobić Joannę na swoje kopyto, zyskałam cenny wgląd w nową religię, którą większość katolików darzyła nienawiścią i strachem.

Kiedy już się połapałam w doktrynalnych zawłościach, zaskoczona odkryłam, że hugenockie wyznanie wiary wcale nie odbiega tak daleko od naszego. Atoli Joanna żarliwie trzymała się swojej wiary i wszelkie próby nawrócenia spaliły na panewce. Zresztą i tak nie było się po co trudzić; gdy tylko Karol dowiedział się od swego ambasadora, jakie ziółko szykują mu na synową, bez ceregieli skreślił ją z listy kandydatek.

Rozgniewany Franciszek odesłał Joannę z powrotem, wpadł w paskudny humor i nie tolerował nikogo i niczego. Czułam, że zamyka się pułapka, w którą wpędził mnie los. Król był w takim nastroju, że znalazłby u niego posłuch pierwszy lepszy przebiegły dworak szepczący mu do ucha, iż odzyska Mediolan, byle wyszukał sobie inną synową.

Nie mogłam liczyć na dalsze odwlekanie wyroku. Musiałam zawrzeć pakt z diabłem.

Postarałam się o spotkanie u siebie, nocą. Obawiałam się, że odmówi albo urządzi nie wiedzieć jakie widowisko, ale pojawiła się bez fanfar. Zaskoczyła mnie. Chodziłam z kąta w kąt, powtarzając smakujące popiołem słowa, gdy nagle drzwi się otwarły i wyrosła w progu. Miała na sobie opończę z kapturem. Uniosła białą dłoń i odrzuciła go na plecy, odsłaniając twarz sfinksa. Pod wierzchnim okryciem miała granatową szatę, na alabastrowej szyi podwójny sznur czarnych pereł.

Wysławiała się wytwornie, dworsko.

— Twoje wezwanie zaskoczyło mnie.

Uśmiechnęłam się zimno.

— Tak? Nie miałam wrażenia, że żyłaś nieświadoma mojego istnienia, *madame*.

Skłoniła głowę.

— W rzeczy samej. Twoja brawura jest urzekająca.

— Dobrze. W takim razie pozwól, że będę jeszcze śmielsza; biorąc pod uwagę, jaka jesteś bliska memu małżonkowi, tuszę, iż nadszedł czas, byśmy się lepiej poznały.

Zamrugała. W jej oczach przez moment odsłoniła się bezduszna czelusć. Widząc jej niewiarygodnie gładką skórę, patrząc w zimne niebieskie oczy, zastanawiałam się, jak mój mąż mógł stracić głowę dla takiej gadziny.

— Obawiam się, że jesteś w błędzie — rzekła, starannie dobierając słowa. — Chociaż przypadł mi ten przywilej, iż mogę nazywać jego wysokość swoim przyjacielem, zapewniam cię, że nasza zażyłość nie jest nieograniczona.

Przeszedł mnie dreszcz satysfakcji. Cokolwiek robili za zamkniętymi drzwiami, miarkowała swoje kroki, by za skarby świata nie wypaść niewłaściwie w oczach świata. Przeceniałam ją. Nie była tak pewna siebie, jak udawała. Podobnie jak ja stapała po grząskim gruncie. Wiedziała, że gdy Henryk zostanie królem, będzie musiała usunąć się w cień albo odsłonić przyłbicę i wystąpić jako moja rywalka.

Przeciagnęłam milczenie, po czym ignorując jej unik, przeszłam do sedna:

— Wezwałam cię, bo myślę, że zrozumiesz moje niepokoje. Widzisz, sędzę, że jego królewskiej wysokości niebawem nie pozostanie nic innego, jak unieważnić moje małżeństwo.

Żyłka na jej skroni zapulsowała.

— Jesteś pewna? Słyszałam, że król darzy cię wielką miłością.

— Jego miłość nie podlega żadnym wątpliwościom — odparłam ostrzej, niż zamierzałam. — Wszelako nawet ona nie może wyleczyć mnie od klątwy, która zdaniem wielu na mnie ciąży. — Przerwałam, myśląc o tajemnicy spalonej w palenisku kominka, zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym stałyśmy. — Mam na myśli moją bezduszność, *madame*. Chociaż jego królewska wysokość zaiste mnie kocha, nawet on nie może bronić mnie w nieskończoność. Przede wszystkim oczekuje od mnie urodzenia syna. Jeśli nie spełnię tych oczekiwań, wtedy dla wszystkich zainteresowanych stron będzie najlepiej, gdy schronię się w klasztorze, jak winna uczynić kobieta mej nieszczęsnej kondycji.

Przyglądałam im się z okna. Dwór od tygodni nie posiadał się z radości, wiedząc o nocnych wyprawach Henryka do moich pokoi; nie wiedział wszakże, że to Diana trzymała nad wszystkim pieczę. Zamówiła dla mnie specjalne mikstury na wzmocnienie krwi i podwyższenie wigoru, po czym dostarczyła nam ryciny obrazujące pozycje, które najbardziej sprzyjają poczęciu. Siadałam na Henryku i doprowadzałam go do rozkoszy; leżąc na plecach zadzierałam wysoko nogi, a on wchodził we mnie. Brał mnie leżącą na boku i kłęczącą; robiliśmy wszystko, co kiedyś oglądałam w zakazanej książce, którą Małgorzata ukradkiem zabrała z królewskiej biblioteki. Nie było takiej przyjemności, której bym sobie odmówiła podczas tych starań, frymarząc sobą na rozkazy męża i jego kochanki, gdyż powiedziała nam, że tylko żar namiętności sprawi, iż nasienie zakorzeni się w mym łonie.

I za każdym razem gdy Henryk wbijał się we mnie, a ja krzyczałam, starałam się nie patrzeć w cienie tuż za łóżem, w których stała ona, wbijając w nas oczy, dyrygując nami precyzyjnymi ruchami palców zakończonych sierpowatymi paznokciami...

Kiedy wydało mi się, że nasze wysiłki przyniosły owoce, odczekałam pierwsze mdłości i tygodnie złego samopoczucia, zanim wyjawiałam tę wieść. Diana przysłała położną, która miała mnie zbadać. Obmacała mnie ze wszystkich stron, zanim oświadczyła, że jestem w stanie błogosławionym i dziecku nic nie zagraża.

Na to pojawiał się u mnie król i szepnął mi na ucho:

— Czy to prawda, *ma filie*’?

Uśmiechnęłam się, ukrywając głęboko obrzydzenie na wspomnienie tego, co uczyniłam, aby dopiąć tego celu.

— Tak. Jestem brzemienna.

— Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz! Niczego ci nie zabraknie. Tylko powiedz, a będziesz miała, co zechcesz.

Ledwo wyszedł, pojawili się Henryk i Diana. Nie odrywałam od niej wzroku, gdy pocałował mnie niezręcznie i odstąpił w bok, a ona podeszła do mnie. Uśmiechnęła się. Ogromny nowy brylant wisiął na jej gorsie.

— Nie posiadamy się z radości — rzekła i założyła mi na szyję coś zimnego.

Dotknęłam tego; był to sznur jej czarnych pereł.

## R O Z D Z I A Ł 10

Ziemia wokół Fontainebleau zamarzła pod styczniowym śniegiem i lodem; w moim pokoju panował piekielny gorąc. Kominiek i żelazne kosze z polanami były rozgrzane do białości.

Pierwsze bóle zaczęły się wczesnym popołudniem i obwieszona grubymi arrasami izba, w której rodziłam, przemieniła się w osobny świat, oddzielony od reszty i zdominowany przez kobiety. Przysiadając na taborecie z szeroką dziurą w siedzisku, wiałam się dręczona bólem, nie zwracając uwagi na smród krwi i uryny.

— Przyj, wasza wysokość — syczała mi do ucha Diana. — Przyj!

Próbowałam przemówić, kazać jej się wynieść, ale ból odezwał się z taką mocą, że wydawało mi się, iż rozpęknę się na dwoje. Zawylałam. Nagle poczułam w sobie wielką pustkę. Popłynął ze mnie śluzowaty płyn i podsunięto mi między uda miednicę, zbierając łóżysko.

Patrzyłam na Dianę przez pot zalewający mi oczy. Rozprawiała z akuszerkami. Zapadła napięta cisza. Próbowałam wstać, czując drżenie całego ciała.

— Czy... czy moje dziecko...?

Diana się odwróciła. Trzymała owiniętego w białe atłasy piszczącego noworodka.

— Chłopiec — zamruczała jak kocica i szybko wyszła, tuląc do piersi mojego nowo narodzonego syna, następcę Henryka.

Padłam na poduszki. Byłam bezpieczna. W końcu urodziłam mojego wybawcę.



Następne dwa lata przyniosły nam nie lada udręki. Prowadzi-  
liśmy wojnę, której nie dało się wygrać, pustosząc skarbiec i dopro-  
wadzając lud do wściekłości. Zamieszki witały każdy nowy podatek  
na armię. Franciszka co rusz dochodziły wieści o luterańskich ka-  
znodziejach. Przenikali nasze granice z Niderlandami i nakłaniali  
lud do szukania pocieszenia w wierze protestanckiej. Zubożały  
i podupadły na zdrowiu król w końcu podpisał rozejm z Karolem.

Przebywałam na dworze, oczekując końca drugiej ciąży. Od uro-  
dzenia syna, który na cześć dziadka otrzymał na chrzcie imię Fran-  
ciszek, popychany przez Dianę Henryk regularnie odwiedzał moje  
pokoje. Nasze zbliżenia pozostały wyzute z namiętności, ale wspól-  
nie spędzany czas wystarczył do poczęcia drugiego dziecka, jakby  
otwarła się jakaś śluza.

Chociaż wiedziałam, że zawarłam pakt z diabłem, zabezpieczy-  
łam swoją przyszłość.

W kwietniu 1545 roku, po zaledwie trzygodzinnym połogu, przy-  
szła na świat córka, Elżbieta. Sprawiała zawód tym, którzy liczyli na  
drugiego chłopca, lecz ja nie posiadałam się z radości i uparłam się,  
że już od pierwszych miesięcy życia maleństwa będę przy nim spra-  
wować wszelkie obowiązki.

Była absolutnym cudem. Miała gładką cerę Wależjuszy i prze-  
pastnie czarne oczka. Godzinami śpiewałam jej kołysanki, obiecy-  
wałam wszystko, czego sama nie zaznałam, bezpieczeństwo, wygo-  
dy, rodziców, którzy zawsze będą się o nią troszczyć; marząc o jej  
przyszłości, znajdowałam ukojenie z dala od zamętu, w którym po-  
grążył się świat za naszymi murami.

Nietypowe jak na środek wiosny zadymki przyniosły tyle śniegu,  
że pokrył z kretesem całe wsie, a ropnie, które prześladowały Fran-  
ciszka od czasu wesela Magdaleny, otworzyły się na nowo. Podczas  
gdy zległ w łożu, ja stworzyłam w swoich apartamentach bezpieczny  
kokon, do którego ściągnęłam dzieci, chcąc je mieć przy sobie.

Po raz pierwszy miałam dla siebie mego dwuletniego syna. Mały  
Franciszek cierpiał z powodu okropnej infekcji ucha i krzyczał przez  
całe dni, dopóki medycy nie podali mu laudanum. Diana wykorzy-  
stywała jego słabe zdrowie jako wymówkę, by trzymać go przy sobie,  
ale na zimę zawsze chroniła się w Anet, nie cierpiała bowiem  
wiatrów i mrozów, które mogłyby zaszkodzić jej delikatnej cerze.

Miałam nadzieję, że podczas jej nieobecności przywiążę do siebie syna. Początkowo byłam uradowana jego kasztanowymi kędziorkami i godnym fauną wdziękiem, jednak szybko doznałam zawodu, zdawszy sobie sprawę, że mój własny syn nie wie, kim jestem. Patrzył na mnie, jakbym uzurpowała sobie jego uczucia, odsuwał się, gdy brałam go za podbródek, klarując mu:

— Mama. Jestem mama. — Wskazywałam na Elżbietę, którą tuliła Lukrecja. — To twoja siostrzyczka Elżbietka.

Wykrzywił usteczka.

— Diaaanaaa! Chcę do Dianyyy!

Starałam się nie słyszeć tych wrzasków, wytrzymywałam jego histerie, bo był moim dzieckiem, moim synkiem.

Pewnego lodowatego wieczoru, gdy siedziałam z Elżbietką i przyglądałam mu się, jak masakruje jedną z moich lutni, przyszła wiadomość, że król chce się ze mną spotkać. Kiedy dotarłam do apartamentów Franciszka, spostrzegłam, że ogień na kominku przygasa, a na kredensie piętrzą się brudne talerze i kielichy. Coś było nie tak. Do tej pory nie pozwalał służbie na najmniejsze zaniedbania w obowiązkach.

Nagle poczułam smród.

Król siedział przy oknie. Wychudł, a czarny aksamitny strój jeszcze to podkreślał. Pieczęcie na trzymanym przez niego pergaminie zagrzechotały, gdy podniósł ku mnie wzrok.

— Henryk Tudor nie żyje. — Opuścił pergamin na podłogę. — Wyzionął ducha trzy dni temu. Wrzód na nodze zżarł go żywcem. Zrobił się wielki jak słoń, tłukł ministrów i poniewierał najbliższymi aż miło. Ostatnia żona miała to szczęście, że go przeżyła. — Gorzki uśmiech wyrósł mu na ustach. — Jego dziesięcioletni syn został koronowany jako Edward Szósty. Ma przed sobą ciężki czas. Słyszałam, że jego wujowie już walczą o prawo do regencji.

Przyklękłam z szacunku dla zmarłego suwerena, chociaż pomyślałam, że świat będzie lepszy bez Henryka VIII. Jego nikczemności budziły w nas obrzydzenie od ponad dekady.

— Miał pięćdziesiąt pięć lat — ciągnął Franciszek. — Niewiele więcej ode mnie. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie pięć lat temu. Był wysoki, cały w złocie, bogaty jak Krezus; potrafiłby uwieść diabła z czeluści piekielnych. — Zachichotał. — Ten stary wąż, Karol, to jest mądrala. Nie chce zejść z tego świata jak my, gnijąc na

tronie. Powiada, że gdy choroby tak go udręczą, że nie będzie mógł dalej rządzić, podzieli cesarstwo między brata i syna i pójdzie do klasztoru. Ferdynand dostanie Austrię i niemieckie księstwa, Filip Hiszpanię, Nowy Świat i Niderlandy. Piękny obrazek, wymalowany, żeby mi dopiec do żywego, chociaż malarz pewnie już wie, że długo nie pociągnę.

Podeszłam do niego.

— Nie mów tak, panie. Musisz tylko odpocząć i odzyskać siły.

Uniósł rękę.

— Nigdy wcześniej nie opowiadałaś mi łgarstw. Czemu zaczynamy teraz? Umieram. Wiem o tym i ty też wiesz. Wyczuwasz takie rzeczy.

Odwrociłam oczy. Im bliżej byłam króla, tym silniejszy czułam smród, potworne pokłósie jego stanu, którego nie chciałam przyjąć do wiadomości. Jakże zdołam dalej żyć w świecie, w którym jego nie będzie?

— *Ma filie*, dlaczego odwracasz wzrok?

— Bo... bo nie mogę znieść, kiedy tak mówisz. — Głos mi się załamwał. — Nie umrzesz.

— Och, umrę, i to raczej wcześniej niż później. — Cmoknął językiem o zęby. — A teraz dość łez. Mam ci coś do powiedzenia.

Otarłam łzy, siadając obok niego.

— Henryk będzie królem, a ty królową — zaczął. — Taki jest cykl życia; słońce zachodzi, księżyc wschodzi. Jedyne taki księżyc, który zostawiam Francji! Pomyśleć, że ze wszystkich moich synów ten najmniej do mnie podobny, ten, którego nigdy nie rozumiałem, odziedziczy moją koronę. To prawie nie do uwierzenia.

— Jestem pewna, że Henryk cię kocha — powiedziałam. — Jesteś jego ojcem. Jak mógłby cię nie kochać?

Westchnął.

— Lojalna Katarzyno, zawsze będziesz go bronić? Taki jest twój obowiązek, co? Twoja żonina powinność. Ale ja nie muszę udawać czegoś, czego nie czuję. — Przerwał. — Może Henryk, mając ciebie u boku, nauczy się być dobrym królem. Przyglądałem ci się przez te ostatnie lata i widziałem, że nigdy nie składasz broni. Masz serce władczyni, Katarzyno z Medyceuszy, i czuję wstyd na myśl, że był czas, kiedy mało brakowało, a posłuchałbym podszeptów moich doradców, aby cię odsunąć.

— Wasza wysokość zrobił to, co uważał za najlepsze — wybąkałam, myśląc o tym, jak blisko byłam katastrofy i co zrobiłam, aby się przed nią uchronić. — Nie protestowałam.

— Wiem. I wiem również, że mój syn nie zasługuje na twoje oddanie. Liczę, że któregoś dnia udowodni, że jest go wart. — Zmierzył mnie wzrokiem. — Lecz nie pozwól, aby oddanie cię zaślepiło. Strzeż się tej jego baby, tej... Seneszalowej. Zabierze wszystko, jeśli się jej na to pozwoli. Przymusi cię, żebyś była rodną kłaczą, a sama będzie rządziła Henrykiem i dworem.

Po raz pierwszy wspomniał o Dianie. Jej tytuł zabrzmiał w jego ustach jak obelga.

— I musisz strzec się jego kompanów, Gwizjuszy — dodał. — Mizdrzą się do niego, ale zależy im tylko na władzy. Mierzą wysoko; nie byłbym zaskoczony, gdyby któregoś dnia sięgnęli po koronę. — Odwrócił się do stołu, wziął z niego zwój i włożył mi go w rękę. — To twoje.

Rozwinęłam pergamin, przeczytałam. Z niedowierzaniem popatrzyłam na króla.

— Skonfiskowałam Chenonceau lata temu dłużnikowi — powiedział. — Nie pomnę, jak biedaczysko się zwał. Nigdy nie zabrałam się za odbudowę, chociaż to piękny pałac. Stoi nad Cher, obok ogrodów i starej winnicy. Jest teraz twój, możesz z nim robić, co ci się żywnie spodoba.

Mój własny pałac podarowany mi przez człowieka, którego pokochałam jak ojca. Wszystko to stało się straszliwie realne. Umierał. Niebawem odejdzie i nigdy więcej go nie zobaczę. Nigdy nie będę się z nim śmiała; nigdy nie pojedę z nim konno, nigdy nie będę dzielić jego uwielbienia malarstwa, muzyki i architektury. Umrze, a ja będę samotna, bez jego ochrony.

Czułam fizyczny ból, oddech stanął mi w płucach.

— Nie zasłużyłam na to — szepnęłam.

Ujął w chude dłonie moją twarz.

— Zasłużyłaś. Nigdy o tym nie zapominaj. Pamiętaj mnie, Katarzyno. Zawsze. Póki będę żył w twojej pamięci, nie umrę.

Nic nie mogło ukryć jego schyłku, rozgorączkowanych oczu, wycieńczenia. Zawiadomiono Henryka, który przebywał wtedy na polowaniu. Podejrzewałam, że znów jestem brzemienna, ale nie miałam

okazji mu tego przekazać, gdyż ledwie się zjawił, poszliśmy do królewskich apartamentów.

W łożu obwieszonym szkarłatnym baldachimem zmieniony w szkielet mężczyzna był nie do poznania. Kości sterczały mu przez skórę. Doktor Pare, królewski chirurg, skinął na Henryka. Zatrzymałam się przed wejściem do alkowy, ściskając dłoń Małgorzaty.

Franciszek wyciągnął rękę; Henryk przykleknął obok łoża. Wpatrywał się w ojca, jego twarz nie kryła niczego. Rozmawiali przyciszonymi głosami, po czym Henryk wyszedł chwiejnym krokiem. Kiedy mnie mijał, ujrzałam, że po raz pierwszy uświadomił sobie, jak straszliwie krzywdził ojca, nienawidząc go całe lata, i że już nigdy tego nie wyrówna.

Franciszek uśmiechnął się do Małgorzaty.

— *Ma filie...*

Dusząc łzy, pocałowała ojca w czoło. Chwilę trzymała jego dłoń, zanim opuściła pokój jakby wywiana niewidzialnym wiatrem. Tylko ja pozostałam.

— *Ma petite*, usiądź koło mnie — zamruczał. Przysiadłam na brzegu łoża, ujmując zimną rękę króla. Zamknął oczy. — Ach, *c'est bon...*

O północy stracił przytomność i moje miejsce zajęli Pare oraz pokojowiec monarchy. Wycofałam się do przedpokoju; o drugiej nad ranem ich łkanie obudziło mnie z płytkiego snu.

Nieprzytomna weszłam do opuszczonej galerii. Z cieni wyrosła jakaś postać. Rozburzone rude włosy obramowały zrozpaczoną twarz. Dalej wlokły się dwie blade, obleczone w czerń niewiasty, ostatnie członkinie *petite bande*.

— Czy...? — spytała księżna Etampes. Skinęłam głową. Z krzykiem rozdzierającym serce przycisnęła dłonie do skroni. Kobiety zaczęły ją odprowadzać, lecz odwróciła się, chwytając mnie lodowatymi palcami. — Teraz twoja kolej. Pamiętaj wszystko, czego się nauczyłaś; pamiętaj, że gdy mężczyźni walczą ze sobą otwarcie, my musimy toczyć skryte boje. Twoje wojny dopiero się zaczynają, ale to ty jesteś królową. Bez ciebie ona jest niczym.

Po raz ostatni odprowadziłam ją wzrokiem. Jej migotliwa kariera była skończona; zawładnęła dworem, zawładnęła uczuciami króla do tego stopnia, że nawet królowa nie postawiła nogi w jego

pobliżu; była obiektem adoracji, potwarzy, strachu. Teraz czekało ją życie w samotności, na łasce kobiety, która niebawem miała przejąć jej rolę. I bałam się o nią. Bałam się tego, co Diana może jej zrobić.

Wróciłam do siebie. Zastoniłam okna i usiadłam na łóżku. Cze-kałam na falę nieutulonego żalu. Kochałam Franciszka jak żadnego innego mężczyznę; kochałam go za jego wybryki i dziwactwa, za jego wielkość i słabości; ale przede wszystkim kochałam go, bo on kochał mnie.

Nie płakałam wszakże, nie uroniłam jednej łzy. Teraz miałam cel, chociaż niesłychanie mglisty; miałam być królową. Niemal sły-szałam śmiech Franciszka. Jego duch żył pełen wesela z racji tego, co udało nam się osiągnąć. W tamtej chwili wiedziałam, że tak naprawdę nigdy nie umrze; przekazał mi ostatni dar i zadbał, bym zachowała go po kres swoich dni.

We mnie pozostawił swą nieśmiertelną miłość Francji.

CZĘŚĆ III

1547—1559

*Światło  
i pogoda ducha*

## R O Z D Z I A Ł 11

Po czterdziestu pięciu dniach żałoby Henryk i ja po raz pierwszy pokazaliśmy się jako król i królowa.

Nadal trudno było mi uwierzyć, że mój teść nie żyje, że cały świat się zmienił i teraz jestem królową. Nałożyłam biały strój, czepiec odsłaniający tylko twarz, którą z kolei okryłam żałobną woalką i — jak nierzadko bywa w czasach żałoby — przejmowałam się drobiazgami, lękając, iż w bieli będę wyglądać mizernie. Cięża była widoczna i oczy całego dworu kierowały się na mnie, oceniając moją przydatność do dzielenia tronu z Walezjuszem.

W przeciwieństwie do mnie Henryk był pełen pogody. W bieli wyglądał wręcz idealnie. Podkreślała jego ciemne włosy i uśpione bursztynowe cętki tęczówek. Zapuścił brodę, tak że dodawała powagi jego trzydziestce, i demonstrował cierpliwość, gdy rozemocjonowani dworzanie tłoczyli się z powitaniem. Ja również miałam dla każdego kilka słów i kark bolał mnie od kiwania głową w podzięcie za ich puste życzenia. Już miałam odetchnąć z ulgą, jako że ostatni z nich skłonił się przed nami, gdy przypadkiem spojrzałam w głąb wejściowego korytarza i poczułam uderzenie krwi do skroni. Klan Gwizjuszy torował sobie szlak wśród dworaków. Prowadził Franciszek Gwizjusz, ksiązę od śmierci ojca, znany jako le Balafre, Pokiereszowany, od szramy, która pozostała mu na twarzy. Henryk ledwo ich zobaczył, zerwał się i opuścił tron. Nie wierząc własnym oczom, patrzyłam, jak mój mąż, nowy król, wita tę czeredę jak równą sobie. Najpierw po koleżeńsku poklepał po plecach Pokiereszowanego, po czym pocałował dłoń brata księcia, kardynała Gwizjusza, którego nigdy nie cierpiałam.



Jego eminencja *liczył* sobie dopiero około dwudziestu pięciu lat, ale już był doświadczonym dyplomata. Reprezentował w Rzymie kościelne interesy Francji. Jak bracia miał niebawem odziedziczyć wielkie bogactwa i demonstrował to wszem wobec. W szeleszczącej szacie z czerwonego jedwabiu i tegoż koloru piusce, o łagodnych, zdawałoby się cielecych oczach, grubych wargach i delikatnych dłoniach przypominał mi nieżyjącego stryja. Urodzony do życia w luksusie, za elegancką fasadą ukrywał nienasycone ambicje i niemal wolałam jego ponurego braciszka, Pokiereszowanego, choć demonstrował pogardę wobec każdego, kto nie był Francuzem, arystokratą i katolikiem.

— Spójrz na nich — szepnęłam do mojej szwagierki Małgorzaty. — Zachowują się, jakby mieli go na własność.

Odparła oburzona:

— Mój brat jest zaślepiiony względem tej rodziny, a oni doskonale wiedzą, jak nim pokierować. Mądrze-robisz, że im nie ufasz. Gwizjusze chcą, żeby cała Francja biła im pokłony, chociaż całe swoje księstwo zawdzięczają tylko łasce świętej pamięci taty.

Jej słowa niosły osobliwe echo ostrzeżeń mojego zmarłego teścia. Uniosłam wyżej podbródek, ukrywając niepokój, gdy Henryk zwrócił się do dworu, nie rozstając z Gwizjuszami.

— Mój ojciec, Franciszek Pierwszy, odszedł na wieczny odpoczynek — rzekł. — Chociaż opłakuję jego śmierć, nie pozostaje mi nic innego, jak przejąć władanie królestwem. Będę królem nowej ery, przywrócę Francji utraconą glorię, abyśmy mogli żyć w pokoju, chronieni przed nieprzyjaciółmi i w łasce prawdziwej wiary.

Podniósł się gorący aplauz. Nie rozumiałam, dlaczego czuję tak wielką obawę, dopóki Henryk nie dodał:

— Macie przed sobą suzerena pewnego swojego miejsca i prawa do przekazanej władzy, a przy tym niedoświadczonego w materii jej sprawowania. Tak więc dokonam zmian w radzie królewskiej, zaczynając — wyciągnął rękę do kardynała — od mianowania jego eminencji głową rady, a jego brata, księcia Franciszka Gwizjusza, głównym doradcą.

Tym razem jego słowa przywitała pełna zdumienia cisza.

— Konetabl Montmorency, który jakże lojalnie służył memu ojcu — mówił dalej — zajmie honorowe miejsce w radzie, podczas gdy jego siostrzeniec, Gaspard de Coligny, zostanie mianowany admirałem i przejmie obowiązek obrony naszych portów.

Na wzmiankę o Colignym i konetablu poczułam się nieco pewniej. Tego pierwszego nie widziałam od lat, jako że rzadko pokazywał się na dworze; ale zawsze uważałam go za przyjaciela, chyba jedyne, zwłaszcza że jego wuj słynął z nienawiści do Diany i Gwizjuszy. Może Montmorency nie pozwoli im się rozpanoszyć, pomyślałam, dopóki nie ujrzałam delikatnego uśmiechu na wydatnych ustach kardynała. To oczywiście on wymyślił umieszczenie konetabla w radzie. Lepiej mieć potencjalnego wroga na oku, a nie tam, gdzie mógłby sprawiać kłopoty.

Henryk przystał na każde żądanie Gwizjuszy.

Następnie, jak na sygnał, pojawiła się ona, promienna w gronostajowych rękawach i fioleto-woróżowych brokatakach. Na jej piersi błyszczał ogromny szafir. Jakby we mnie piorun strzelił; ostatnią osobą, która go nosiła, była księżna Etampes. Należał do królewskiego skarbcza. Królowa Eleonora, podążająca już do ojczyznej Portugalii, nigdy nie miała przyjemności go nosić. Nakładając go tego dnia, Diana dała sygnał, którego nikt, zwłaszcza ja, nie mógł zignorować.

Sunęła do tronu, z taką miną przechodząc obok szepczących dworzan, jakby jej obojętność mogła pozbawić ich powietrza w płucach. Oddała mi niski dworski ukłon, ale gdy uniosła oczy, odczytałam w nich wyraźne ostrzeżenie. Księżnę Etampes dosięgła straszliwa zemsta i w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki Diana nie zamierzała pozostawać na należnym jej miejscu.

— Pani de Poitiers, seneszalowa Normandii — ogłosił Henryk. — Niniejszym przyznaję jej tytuł księżnej Valentinois w dowód uznania za jej nieznużoną służbę mojej matce królowej.

Pamiętałam nocę, kiedy stała przy łóżku, dyrygując naszą kopulacją, jakbyśmy byli jej zwierzątkami. Gdy moje łono wydało owoc, już nie uczestniczyła w naszych zbliżeniach, ale pomyślałam, że wolałabym tamto niż to publiczne poniżenie. Byłam gotowa wstać i wyjść, plując na dworski protokół, gdyby nie ręka Małgorzaty na moim ramieniu. I gdy gniew zmaćił mi umysł, i poczułam w ustach smak żelaza, usłyszałam melodyjny głos stryja: „Miłość to zdradzieckie uczucie. Wyrzeknij się jej, a będzie ci się lepiej żyło. My, Medyceusze, nigdyśmy sobie nią nie zawracali głowy”.

Chociaż byłam królową, zamieszkiwałam w świecie rządzonym przez Dianę. Jak się obawiałam, jej zemsta w rzeczy samej zmiotła księżną Etampes. Diana zabrała jej posiadłości i doprowadziła ją do ruiny. Ze swych wspaniałych nowych apartamentów rządziła również wychowaniem mojego Franciszka, mieniając się jego oficjalną guwernantką i wyznaczając mu służbę.

Miała pozwolenie mojego męża, tak więc nikt nawet nie pomyślał, jak mogłam się czuć. Widziano we mnie wyłącznie rozpłodową klacz króla. Jak od wielu królowych przede mną ode mnie również żądano, bym rok w rok rodziła dziecko i zносиła bez szemrania niewierność małżonka.

Krótko mówiąc, gdybym chciała ją usunąć, mogłabym zrobić to tylko w jeden sposób — mordując.

Myśl o tej możliwości dostarczała mi udręki jak oścień w boku, potęgowanej kolejną ciążą, z powodu której byłam zmęczona, rozdrażniona, gdyż kolejny raz znalazłam się poza nawiasem dworskiego życia. Ilekroć słyszałam o uczcie, którą wydawali Diana i Henryk, o polowaniu, które urządzali, ogarniał mnie taki gniew, że potrzebowałam całej siły woli, by nie odkręcić fiołki z trucizną i nie pozbyć się tej kobiety, gwizdząc na konsekwencje. Nie minął rok od śmierci Franciszka, a nie mogłam wyjść poza moje pokoje, by nie napotkać wszędzie splecionych inicjałów Diany i Henryka, wyrastających jak grzyby po deszczu na tapiseriach i belkowaniach sufitów. Niech Bóg broni, jeśli Diana zapragnęła czegokolwiek mojego, bo nieszczęsna zawsze musiałam jej to dać.

Nic bardziej nie potwierdziło tej reguły niż sprawa Chenonceau.

Wydarzyło się to kilka miesięcy po koronacji Henryka, jesienią. Pora roku była łagodna, łąki bujne, a drzewa płonęły złotem i rdzą. Franciszek zawsze powiadał, że Loara jesienią zapiera dech, postanowiłam zatem odwiedzić swój zamek, zanim nastanie zima. Na nieszczęście ujawniłam ten zamiar pewnego wieczoru podczas kolacji i następnego ranka Diana jak na zawołanie wpłynęła do moich apartamentów, obleczona w czarne adamaszki oraz norki i ułożywszy siwiejące włosy w grecką koafiurę, tak demonstrując upodobanie do klasycznego stylu.

Jeśli ona jawiła się ulotną Dianą, ja okazałam się przyziemną Junoną. Byłam w siódmym miesiącu ciąży, miałam opuchnięte stopy i dłonie, obolałe krzyże i bynajmniej nie cieszyło mnie wystawia-

nie się na pokaz o tak wczesnej godzinie. Pochyliła głowę, tym sposobem składając mi możliwie najskromniejszy hołd.

— Rozumiem, że wasza królewska mość zapragnęła udać się w podróż nad Loarę. Jego królewska wysokość wyraził życzenie, bym towarzyszyła ci na wypadek, gdyby wydarzyło się coś nieprzyjemnego.

— To niekonieczne — odparłam. — Poprosiłam d'Orme'a, architekta, by mi towarzyszył i pomógł przy renowacjach. Poza tym mam dość sług, by zadbali o moje bezpieczeństwo.

— Ach, lecz nikogo, kto potrafiłby się wykazać równym poświęceniem jak ja. — Skierowała znaczące spojrzenie na mój wydatny brzuch. Miałam ochotę wyciąć jej policzki. Decyzja zapadła. Pojechałyśmy razem nad Loarę.

Piękno Chenonceau przebijało się przez zaniedbania. Ogrody zarosły, winnice były nieprzystrzyżone, ale zamek szczylił się strzelistymi wieżyczkami i balkonami spinającymi Cher — dom stworzony z pereł i mgły, jak raz poruszający kobiecą wrażliwość.

Zakochałam się w nim w tej samej chwili, w której go ujrzałam. Diana też. Przechadzała się po rozległych komnatach, mając u boku tego kretyna d'Orme'a (bardzo dobrze zdającego sobie sprawę, która z nas ma większe możliwości zrobienia go sławnym). Skakał wokół niej, zapisując rzucane od niechcenia uwagi. Mnie zostawiono na krzesle w holu wejściowym. Pozostało mi gapić się z wściekłością na uroczę niskie łuki sufitów.

Kilka dni po powrocie z Chenonceau przyszedł do mnie wieczorem Henryk. Usłyszawszy od niego, że Diana pragnie mojego zamku, wytrzeszczyłam oczy, jakby kazał mi przebiec nago dziedzińcem, aby ją rozbawić.

— Przecież on jest mój — powiedziałam. — Twój ojciec dał mi go w darze.

Stukał butem w podłogę. Odziany w czarne brokaty z wyszytymi na rękawach srebrnymi półksiężycami, był żywym wizerunkiem króla. Brodę miał gęstą i miękką, taką jaką wyobraziłam sobie w naszą noc poślubną. Nie potrzebowaliśmy już Diany, aby popychała nas do wypełniania małżeńskiego obowiązku, i potrafiłam sobie wyobrazić dotyk jego dłoni na moim ciele, nawet gdy tylko siedziałam, patrząc na niego. Odepchnęłam tę myśl, zła na siebie za folgowanie słabości i żądze zbliżenia, które w naszym wypadku służyło tylko płodzeniu dzieci.

— Da ci Chaumont — rzekł. — To uczciwa wymiana.  
— Równie dobrze mógłbyś porównać szopę do piramid. Nie wystarcza jej pałac w Anet?

To był zły argument. Anet było jej schronieniem przed dworem i przede mną; jego głos stwardniał.

— Anet należy do niej. Może z nim robić, co jej się podoba.

— W rzeczy samej, zakładając, że pozwoli mi na to samo.  
— Spojrzałam mu śmiało w oczy, tym sposobem śląc ostrzeżenie, że jeśli będzie trzeba, jestem gotowa do bitwy. — Powiedz jej, że nie zamieniłabym go nawet na sam Luwr.

Zacisnął szczęki.

— Jest wątpliwe, czy ojciec legalnie wszedł w jego posiadanie.

— Co znowu? Konfiskata nieruchomości za dług to odwieczny królewski przywilej.

— Niezależnie od tego wyznaczę trybunał, który rozstrzygnie tę sprawę — powiedział ku mojemu zaskoczeniu. Wyszedł długim krokiem, tylko trzaśnięciem drzwi zdradzając tłumioną wściekłość.

Zapadł werdykt, że Franciszek działał niezgodnie z prawem. Chenonceau wystawiono na licytację, z której jako królowa zostałam wyłączona. Była tylko jedna oferta: za śmiesznie małą kwotę 50 000 liwów Diana kupiła cały mój zamek od piwnic po dach.

Aby wyrównać stratę, przekazała mi „w darze” Chaumont. Ogarnięta zgrozą na myśl, że dałam się w to wciągnąć, uparłam się zapłacić za Chaumont, by nikt nie mógł powiedzieć, że przyjął od niej cokolwiek darmo. Potem zła pojechałam zobaczyć swój nowy pałac.

Staroświecki i otoczony gęstym sosnowym lasem, który nasycił kamienne mury wieczną wilgocią, miał tylko jedną zaletę — rozległy widok Loary. Rozpłakałam się po obejrzeniu go, rozkazując, by natychmiast zabrano mnie na dwór, gdzie wpadłam do siebie i łapiąc, co tylko mi wpadło w ręce, ciskałam tym o ściany.

Przysięgłam nigdy więcej nie wracać do Chaumont. Niemniej wróciłam. Stało się to po urodzeniu mojej trzeciego dziecka, Klauddii. Tym razem przywiozłam ze sobą Kosmę Ruggieriego. Chodził po zamku wniebowzięty, tak zauroczony możliwością urządzenia w nim obserwatorium, że dałam mu klucze. Zlikwidował paryski dom i przeniósł się na wieś. Ja natomiast nie chciałam mieć więcej do czynienia z tym miejscem.

Duma to luksus, na jaki jeszcze było mnie stać.

Poza tym, że zagarnęła nadzór nad moim synem, Diana wyznaczyła siebie na opiekunkę pokoi królewskich dzieci, gdzie w zasadzie miała kontrolę nad wychowaniem mojego potomstwa. Jednakże złagodziłam jej wpływy, wyznaczając pana i panią Humeries, szlacheckie małżeństwo o wielkim doświadczeniu, na oficjalnych guwernerów królewskiego potomstwa, tak że również ja miałam co nieco do powiedzenia w kwestii wychowania własnych dzieci.

W typowym dla siebie stylu hipokrytki Diana udawała, że jest chętna do współpracy, i wprowadziła zwyczaj codziennych porannych spotkań, podczas których omawiała ze mną potrzeby malców. Kilka miesięcy po ograbieniu mnie z Chenonceau przyszła z informacją, że ma sprawę wielkiej wagi, którą chce się ze mną podzielić.

— Jego eminencja i ja rozważaliśmy małżeństwo jego księżęcej wysokości — obwieściła, sunąc palcem po moich meblach, jakby chciała skontrolować, czy są dość czyste.

— Tak? — Podniosłam wzrok znad koronek, marząc o tym, aby podłoga się rozwarła i pochłoneła ją całą. — Czy takie rozważania nie są zbyt przedwczesne? Mój syn nie ma nawet sześciu lat.

— Jest naszym delfinem. Nigdy nie jest za wcześnie poszukać matki jego synów. Kardynał uważa i myślę, że jego królewska mość się z tym zgodzi, iż nie ma dla niego lepszej partii niż jej wysokość Maria Stuart, królowa Szkocji.

Zachichotałam.

— Ale ona sama jest jeszcze dzieckiem, niedoroślą królową pod pieczęcią owdowiałej matki... — Urwałam. Szkocką regentką od śmierci Jakuba V była Maria Gwizjuszka, tak więc w żyłach jej córki, rów-

niez Marii, płynęła krew tej rodzinie. Sępy już snuły dalekosiężne plany, dążąc do tego, żeby ktoś z ich nasienia zasiadł na moim miejscu, gdy mój syn zostanie królem. Pochlebiałoby mi, że uważają mnie za tak wielkie zagrożenie dla siebie, gdybym nie była wściekła, widząc, iż wykorzystują mojego syna do realizacji własnych ambicji.

— To byłyby wstępne zaręczyny — dodała Diana — potwierdzone z chwilą osiągnięcia dorosłości przez oboje.

— Rozumiem. — Milczałam chwilę, doskonale rozumiejąc motyw jej knowań. — Muszę się nad tym zastanowić. — Odprowadziłam ją wzrokiem, gdy szła do drzwi, i rzekłam jeszcze: — Zakładam, że jego królewska mość mój mąż jest o tym powiadomiony?

Zastygła.

— Jego królewska mość jest zajęty. Omawia z jego eminencją sprawy, które ten ma przekazać Rzymowi. — Jej głos przybrał ostrzejszy ton. — Ale jestem pewna, że wyrazi swoją aprobatę. Sojusz ze Szkocją ma podstawowe znaczenie dla naszego bezpieczeństwa.

— W rzeczy samej. Niemniej jednak król musi wyrazić zgodę, prawda? Może jutro, po radzie...?

Wyszła ode mnie, sapiąc.

Rozsiadłam się wygodnie, wybuchając serdecznym śmiechem. Przysięgam sobie, że tym razem nie wygra.

Następnego dnia Henryk i ja słuchaliśmy kardynała, gdy wychwalał pod niebiosa zalety małżeństwa Franciszka ze Szkotką. Diana siedziała niedaleko na wygodnym taborecie. Wyglądała olśniewająco w aksamitach barwy kości słoniowej. Ja również byłam ubrana stosownie do okoliczności, lecz ściśnięta do niemożliwości gorsetem i w porównaniu z jej łąbodzią gracją czułam się jak brzydkie kaczątko — mimo wysadzanej perłami lazururowej sukni.

— Dając jego książęcej wysokości za narzeczoną królową Szkocji, zachowamy sojusz z jej krajem — perorował melodyjnym głosem kardynał — wesprzemy regencję mojej siostry Marii i ostrzeżemy protestanckich wielmożów, że nie ma mowy, byśmy tolerowali dalszy ferment; ale co najważniejsze, zdobędziemy prawo do tronu Anglii.

Widząc, że Diana kiwa potakująco głową, wtrąciłam:

— Jakim sposobem? Wydaje mi się, że na wspomnianym tronie jest już król.

Jego eminencja zastygł nieprzyjemnie zaskoczony. Ewidentnie nie oczekiwał, że zabiorę głos, a cóż dopiero, że wyrażę opinię.

— W istocie, wasza miłość, ale Edward Tudor to protestancki heretyk i do tego nie najlepszego zdrowia.

— Może to i prawda, ma jednak dwie siostry i wydaje mi się, że starsza, Maria, jest zaprzysięgłą katoliczką — powiedziałam, rozkoszując się możliwością wytrącenia go z równowagi.

Odetchnął ze zniecierpliwieniem jak nauczyciel skazany na słuchanie tępego ucznia.

— Tak, Maria jest katoliczką, lecz unieważnienie małżeństwa jej matki rodzi wątpliwości co do praw córki. Co się tyczy drugiej siostry, Elżbiety, to urodziła się z tamtej czarownicy, Anny Boleyn, ściętej przez Henryka za cudzołóstwo. Wielu twierdzi, że Elżbieta nie jest królewską córką. Stąd też ani jedna, ani druga nie jest właściwą osobą na tron.

Henryk siedział w milczeniu; gdy się odezwał, jego głos zdradzał zniecierpliwienie.

— Jej królewska mość i ja jesteśmy świadomi małżeńskich problemów Henryka Tudora. Wiemy również, że twoja siostrzenica, Maria Stuart, ma po babce ze strony ojca, siostrze Henryka, prawa do tronu Anglii. Jednak podzielam wątpliwości mojej żony co do tego, czy to małżeństwo jest odpowiednie dla mojego syna.

Diana powstała.

— Wasza królewska mość, czy mogę przemówić? — Kiwnął głową. — Królowa Szkocji jest dwa lata starsza od jego książęcej wysokości. Po śmierci ojca zarówno ona, jak i jej królestwo mogą paść ofiarą Anglii. Stąd też jego eminencja i ja sugerujemy, abyś sprowadził ją tutaj jako towarzyszkę zabaw jego książęcej mości. Wspólne dzieciństwo może doprowadzić do rozbudzenia obopólnego uczucia.

— Och? — Ku mojemu niemiłemu zaskoczeniu Henryk się rozjaśnił. — A co mówi królowa matka? Chyba nie chce się rozstać z jedynym dzieckiem?

— Moja siostra obawia się o bezpieczeństwo córki — rzekł kardynał. — Błaga też waszą królewską mość, byś zezwolił przysłać Marię tutaj, pod twoje skrzydła.

Pięknie to sobie wykalkulowali, musiałam przyznać. Mój małżonek był rozmiłowany w staroświeckiej rycerskości, więc myśl, że



będzie mógł ratować bezbronną szkocką królową przed Anglikami, musiała do niego przemówić. Diana i kardynał wiedzieli, że nie pozostanie obojętny na takie wyzwanie. Jak mówimy we Włoszech, mieli to jak w banku.

Henryk odwrócił się do mnie.

— Katarzyno, co na to powiesz?

Chciałam powiedzieć, że już wolałabym, aby mój syn się ożenił z samą Jezabel, niż wziął sobie do łóżka dziewczkę Gwizjuszy, ale prawda była taka, że nie miałam żadnego logicznego argumentu przeciwko temu planowi poza tym, iż nie ufałam Gwizjuszom, a w żyłach Marii Stuart płynęła ich krew. Gdyby nie ten szkopuł, byłby to idealny związek, który połączyłby nierozzerwalnym sojuszem Szkocję z Francją i wzmocnił naszą pozycję w Europie.

Zostałam wymanewrowana przez mistrzów i pozostało mi tylko uśmiechnąć się z taką godnością, na jaką potrafiłam się zdobyć.

— Cóż mogę powiedzieć? Wygląda na to, że musimy przywitać z otwartymi ramionami małą Marię Stuart.

— Dobrze, a więc ustalone. — Henryk obciągnął kaftan. Wiedziałam, że marzy tylko o tym, aby się przebrać w luźniejsze szaty, właściwe podczas jego popołudniowych rozrywek. — Wyślij flotyllę galeonów, która będzie eskortowała królową Szkocji, i zapewnij siostrę, że jej córka zostanie tu przyjęta z honorami — polecił kardynałowi. — Ma na to moje słowo.

Kardynał się ukłonił.

— Miałabyś ochotę rozegrać ze mną partię *jeu de paumel* — spytał Dianę Henryk.

Uśmiechnęła się.

— Obawiam się, że marnie ze mnie gracz, za to z przyjemnością przyglądnę się twojej grze, panie. — Skłoniwszy przede mną głowę, wyszła z moim mężem, a ja zostałam sama.

Na początku sierpnia Henryk i ja wyruszyliśmy do Lyonu, który chciał oddać pokłon królewskiej parze. Osoba Diany niezbyt pasowała do tej uroczystości, więc chcąc nie chcąc pozostała z dziećmi, tak że mogłam w pełni się rozkoszować rolą żony i królowej.

Dziesięć błogosławionych dni mieszkaliśmy bez niej pod wspólnym dachem, przyjmując suplikantów, przechadzając się po ogro-

dach i uczując z miejscową szlachtą. Nawet grywaliśmy w karty późnymi wieczorami. Henryk wydawał się łagodniejszy, spokojniejszy; zawsze miał dla mnie uśmiech i wyprzedzał moje życzenia. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że pozbawiony złego wpływu kochanki jest w głębi serca człowiekiem prostolinijnym, spragnionym spokoju umysłu, i mogłam się przekonać, jakie byłoby nasze pożyście, atoli pewnego wieczoru pojawił się posłaniec, dostarczając pilną wiadomość.

Przełamując pieczęcie, Henryk przewrócił oczami.

— Zastanawiam się, czy mój główny doradca kardynał kiedykolwiek śpi, czy spędza każdą chwilę z piórem w dłoni.

Zachichotałam, tasując karty, gdy czytał. Nagle walnął pięścią w stół.

— Na Boga, nie będę dłużej znosił nieposłuszeństwa tej heretyckiej hołoty!

Odłożyłam talię. Widząc, że zaciska zęby, aż broda mu się najeżyła, spytałam:

— Mogę rzucić okiem?

Zmarszczył brwi. Nigdy się nie wtrącałam w sprawy państwowe, zwłaszcza te, które prowadził kardynał. Ale jego eminencja wygrał rundę, w której stawką była narzeczeństwo Marii Stuart, i nie zamierzałam ustąpić mu pola w następnej.

— Może mogłabym w czymś pomóc — dodałam.

Podał mi list. Jego treść była prosta: hugenoci domagali się równych praw w dziedzinie praktyk religijnych i rozprowadzali w Paryżu pamflety, podobnie jak robili za rządów mojego teścia, tyle że tym razem kardynał żądał aresztowań i stosów.

Podniosłam wzrok znad listu.

— Nie licząc opinii jego eminencji, nie widzę innych dowodów nieposłuszeństwa hugenotów. Obawiam się, że nasz ogarnięty nabożnym zapałem kardynał widzi zdrajców w każdym kącie.

Henryk długo się nie odzywał, bębnił palcami po stole. Wreszcie mruknął:

— Może. Domaga się, żebym pozwolił mu powołać u nas inkwizycję. — Przyglądał mi się, mrużąc oczy. — Nigdy nie wspomniałaś, że rozeznajesz się w poczynaniach hugenotów.

Stłumiłam westchnienie. Było bardzo wiele rzeczy, których o mnie nie wiedział.

— Słyszę, o czym mówi dwór — wyjaśniłam. — Jak przystało dobrej żonie, wręcz staram się być informowana o każdej sprawie, która mogłaby cię dotyczyć.

Podejrzliwość, z którą mi się przyglądał, zmalała. Był zawziętym katolikiem, w mojej opinii zbyt zawziętym, ale ku mojemu zaskoczeniu roześmiał się.

— A więc doradzasz mi, opierając się na plotkach, którymi karmi się dworska gawiedź?

— Nie śmiałabym. Jednakże Machiavelli powiada, że fundamentem każdego kraju są dobre prawa. Nie wierzę, żeby powołanie inkwizycji we Francji przysłużyło się prawu. Chociaż hugenoci błędzą, nadal są twoimi poddanymi. Prześladowania tylko dodadzą wigoru ich nieposłuszeństwu.

— Machiavelli, mówisz? — Spojrzał na mnie z namysłem. — Interesujące... Mimo to te hugenockie zgromadzenia muszą zostać w jakiś sposób opanowane. Nie Kalwin tu rządzi.

— Więc zrób to w rękawiczkach. Nie Kalwin tu rządzi, ale również nie kardynał.

Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, przerwałam, myśląc, że się zagalopowałam. Henryk sięgnął po napitek, podniósł go do ust i spojrzał na mnie nad brzegiem pucharu.

— Wygląda na to, że mylnie cię osądzałam. — Pochylił się i poklepał mnie po ręce. — Dziękuję ci, żono; zdrowy rozsądek to rzadki towar. A teraz bierz się do tasowania. Muszę się odegrać za te baty, które zeszłego wieczoru sprawiłaś mi w kości.

Graliśmy do późna. Pławiłam się w uznaniu, którym tak niespodziewanie mnie obdarzył. Cieszyłam się też, że nie zaprzętał sobie więcej głowy listem kardynała.

Kiedy pocałował mnie na dobranoc, nie przeszkadzało mi, że sam udał się na spoczynek. Nie śmiałam marzyć, że nasze stosunki staną się jeszcze bliższe; ale przypomniałam sobie, co mój teść powiedział przed śmiercią, i pomyślałam, że mając mnie za doradcę, mój mąż może się nauczyć, jak powinien rządzić światem, nie posiłkując się radami z lewa i prawa.

## R O Z D Z I A Ł 13

Po naszym powrocie do Paryża udałam się prosto do Saint-Germain, gdzie przebywały moje dzieci. Kiedy jeszcze byliśmy w Lyonie, przyszła wiadomość o przybyciu Marii Stuart, i zdecydowałam, że przywitam przyszłą synową, unikając wszelkiej ceremonialności. Nie chciałam oglądać Gwizjuszy i Diany z Henrykiem. Musiałabym godzinami siedzieć na twardym krześle, słuchając, jak dzieci grają na lutni, podczas gdy pani i pan Humeries czyhaliby z tyłu jak sępy.

Tak więc sama poszłam do dziecięcego skrzydła. Kiedy sięgałam ręką do klamki, usłyszałam wymianę zdań.

— Franciszek może być rycerzem, a ja będę jego księżniczką — rozkazał napięty głosik mówiący z obcym akcentem. — Ty będziesz złą królową.

— Dlaczego to? Już jesteś królową — zaprotestowała moja córka.

— Tak, ale masz ciemniejszą cerę, dlatego musisz być złą królową.

Zajrzałam do środka. Maria Stuart stała plecami do mnie, siedem lat starsza i o głowę wyższa od mojego Franciszka, który patrzył na nią olśniony. Była odziana od stóp do głów w biały atłas, miała opadające do pasa kasztanowozłote włosy. Jedną ręką wzięła się pod bok, drugą wygrażała Elżbiecie. Moja czteroletnia córka patrzyła na nią, jakby miała przed sobą zjawę, i to niezbyt sympatyczną.

— Nie chcę być królową — powtórzyła Elżbieta.

— No jak ty nie chcesz, to kto nią będzie? — spytała ze złością Maria.

Na to weszłam do środka, mówiąc:

— Ja.

Dzieci zastygły. Lub raczej moje dzieci zastygły. Maria wykręciła się na pięcie.

— A kim ty jesteś?

Robiła wrażenie. Miała śliczne rysy, prawie przezroczystą skórę, migdałowe oczy. Jej nos był długi, typowy dla Gwizjuszy; w rozchyłonych usteczkach widniały idealnie proste ząbki. Szczupła sylwetka zdradzała doskonałe zdrowie. Na mój widok zeszywniała.

Zachichotałam.

— To ja powinnam zapytać, moja droga, kim jesteś.

Omiotła mnie wzrokiem.

— Królową Szkocji i Wysp, oczywiście.

— Ach tak? A gdybym ci powiedziała, królowo Szkocji i Wysp, że też jestem monarchinią?

Wydeła usta.

— Niemożliwe. Już spotkałam ich królewskie wysokości.

Uśmiech zniknął mi z twarzy. Diana. Wzięła Dianę za królową.

Dzieci patrzyły bez słowa, gdy podeszłam do Marii.

— A więc poznałaś króla i królową. Powiedz mi, moja droga, co o nich myślisz?

— Są piękni, jak powinni być król i królowa.

— W rzeczy samej. — Spojrzałam na syna. — Mój księżę, czy uważasz, że królowa Francji jest piękna?

Skulił się.

— Mario — szepnął. — Ta dama... to... to...

W tym momencie do pokoju wpadała nieznana mi rozczochrana młódka. Przyniosła ze sobą woń świeżo ściętej trawy i róż. Jej ogniste rude włosy spadały na zaczerwienione oblicze, bujne ciało było wciśnięte w przesadnie ozdobną lazurową suknię. Zaparło jej dech. Zatrzymała się gwałtownie i złożyła głęboki dyg.

Maria zastygła.

— Proszę, wstań — powiedziałam. — Musisz być Janet Fleming, guwernantka naszej królowej Szkocji.

Janet Fleming się wyprostowała.

— Tak, wasza królewska mość — szepnęła. — Pragnę ci służyć.

Maria podniosła ku mnie zdumione oczy.

— Ty... ty jesteś...

Skinęłam głową i objęłam ją.

— Teraz spotkałaś królową — szepnęłam jej do ucha.

Zadrżała w moich ramionach. Cofnęłam się.

— Proszę, bawcie się dalej. — Przesunęłam się do drzwi i rzekłam: — Nie odpowiedziałaś mi na pytanie, moja droga.

— Pytanie, wasza królewska mość? — Z niezwykłą żywością odzyskała nad sobą panowanie.

— Tak. Czy uważasz, że jestem piękna, jak przystoi królowej?

Odparła bez wahania:

— Oczywiście. Wszystkie królowe są piękne.

To była pokrętna odpowiedź. Ale uznałam ją za zadowolającą.

Następnego roku urodziłam czwarte dziecko, drugiego syna, Karola. Przyszedł na świat miesiąc po terminie, malutki i niezwykle cichy. Nawet w okresie niemowlęstwa bardzo przypominał ojca, a mój mąż, który dotąd trzymał się z dala od dziecięcych pokoi, natychmiast ulubił sobie malca, zachwycony delikatnym gulgotaniem Karolka, który tak reagował, gdy tylko zobaczył tatę. To upodobanie do syna sprawiło również, że sfrunęła Diana i zajęła się opieką nad Karolkiem, domagając się jeszcze jednej niańki, której jakoby potrzebował, gdyż był bardzo drobny. Przybyło też służby. Kolejny raz nikt się mną nie zajmował, chociaż byłam świeżo po porodzie. Nienawiść do Diany aż mnie dusiła.

Ale ona, jak i ja, miała dopiero poznać cenę, którą przyjdzie jej zapłacić.

Wcześniej udałam się na spoczynek, opuszczając dalszy ciąg wieczornej uczy, i usiadłam przed gotownią. Lukrecja rozczesywała mi włosy. Zjawiła się Anna Maria, mówiąc:

— Wasza królewska mość, przybyła *madame* de Valentinois.

Zaraz potem Diana wpakowała się do środka nieproszona.

— Zostawcie nas — powiedziałam moim sługom i odwróciłam się do niej. — *Madame*, właśnie zamierzałam udać się na spoczynek.

Wykrzywiła spazmatycznie usta.

— Musiałam spotkać się z waszą królewską wysokością. To potworne. Potworne!

Wstałam.

- Co? Coś się wydarzyło moim dzieciom?  
Pokręciła głową.
- Nie, nic im nie jest. Właśnie idę z ich pokoi. Śpią jak aniołki. Nie chodzi o nie. Chodzi o tę rozpustnicę, która się nimi zajmuje.  
Byłam zaskoczona. Nie spodziewałam się tego.
- O kogo ci chodzi? O panią d'Humeries czy Fleming?  
— Oczywiście, że o Fleming. Odkryłam, że ona i konetabl są kochankami.  
Nie potrafiłam się powstrzymać od śmiechu.
- Nie wątpię, że Fleming jest jak klacz w rui, ale nawet ona nie wskoczyłaby do łóżka mężczyzny, który mógłby być jej dziadkiem.  
Mój złośliwy przytyk dotyczący wieku nie przeszedł niezauważony; powstrzymałam się od dodania, że bardzo lubię Janet, a dzieci wręcz ją uwielbiają; nigdy nie miała nic przeciwko temu, by zakasać spódnicę i bawić się z nimi w chowanego lub szukać na kolanach zgubionej zabawki.
- To prawda — wyszczała Diana. — Janet Fleming tarza się z nim w pościeli. Moim przyjaciele, zaufani przyjaciele, widzieli, jak ukradkiem wchodziła do jego pokoi i wychodziła z nich. To nie może tak dłużej trwać. Co się stanie, gdy jej wszeteczeństwo wyjdzie na jaw?!
- Choć z bólem, musiałam przyznać, że nie histeryzowała. Na dworze wszyscy trykali się ze wszystkimi. Każdy skłócony z Gwizjuszami (a było ich legion) mógłby wykorzystać grzeszki konetabla i guwernantki, rzucając kalumnie na Marię, która niebawem miała zostać żoną mojego syna. Nie wątpiłam, że Diana wie, o czym mówi, oskarżając Janet; przecież nie brakowało jej szpiegów i doświadczyłam na swojej skórze, jak lubi się przyglądać temu, co się robi w sypialni. Jednak powątpiewałam, aby to konetabl dał się zwabić w sieci guwernantki.
- Przy tym zachowałam dla siebie te myśli, obserwując ze smakiem Dianę szalejącą z gniewu z powodu niemoralnego prowadzenia się innej niewiasty.
- Trzeba położyć temu kres! I Montmorency musi zostać usunięty z dworu.  
— Robi to, co leży w naturze większości mężczyzn, pani.  
— Uważnie obejrzałam paznokcie. — Chyba nie sugerujesz, że

powinam zabrać głos w jego prywatnych sprawach, udzielając mu reprimendy za folgowanie lubieżności?

Machnęła ręką.

— Nie. Nie. Tym zajmie się kardynał. Kiedy tylko on i jego brat wymogą na jego królewskiej mości zgodę na odesłanie konetabla...

Podniosłam wzrok.

— Tak?

— No cóż, wpierw należy przekonać jego królewską mość o powadze sytuacji.

— I chcesz, bym się tego podjęła? Skoro tak, to muszę ci uświadomić, że nie mogę tego uczynić, dopóki na własne oczy nie zobaczę tych występnych zachowań. Co oczywiście nie jest możliwe.

Pochyliła się do mnie i rzekła, obnażając zęby:

— Wcale nie jest takie niemożliwe, jak się wydaje. Tej nocy wyznaczyli sobie schadzkę w komnatach Montmorency'ego. Wiem, gdzie można ich przyłapać na gorącym uczynku.

Nie mówiła, pluła na mnie kwasem. Rozważałam, czy nie rozkazać jej wyjść. Nie zrobiłam tego, gdyż jeśli Fleming frymarczyła swoimi wdziękami, powinam o tym wiedzieć. Młodziutka żona mojego synka musiała być bez skazy i zmazy. Poza tym gdybym miała rację i gdyby Montmorency nie okazał się winien, nadarzyłaby się znakomita okazja, aby udowodnić, że Diana się myli. Stałaby się moją dłużniczką i już bym się postarała, by sownie mi się wypłaciła.

— Znakomicie — rzekłam. — Dasz mi chwileczkę na przebranie się?

Wyśliznęłyśmy się na korytarz jak dwie nowicjuszki wymykające się na zabawę w noc świętojańską. Gdyby nas dostrzeżono, jak się chyłkiem przemykamy przez pałac, rankiem cały dwór nie mówiłby o niczym innym. Zachichotałam na tę myśl. Diana za żadne skarby nie chciała być kojarzona z jakąkolwiek grzeszną aferą. Nieustannie odgrywała rolę cnotliwej doradczynie króla i mojej lojalnej sługi, chociaż dwór za plecami nazywał ją królewską kurwą.

Otworzyła zasuwę drzwi prowadzących do opuszczonej, cuchnącej dymem i kurzem izby. Na palcach weszła do środka. Księżyc bielił jej twarz. Odsunęła dywan, odsłaniając wydrążoną w podłodze dziurę. W dole zamigotała świeca. Rozległ się przytłumiony



śmiej. Przyzywała mnie gestem. Usłyszałam męski głos. Ogarnięta ciekawością uklękłam, opierając się na rękach, i przycisnęłam oko do dziury.

Dojrzałam jakąś niewiastę. Uznałam, że to Fleming, co się potwierdziło, gdy podeszła do świeczki przy łożu i potrząsnęła głową, rozrzucając ogniście rude włosy. Z uwodzicielską powolnością zaczęła rozpinać gorset. Pojawiła się sama ręka, która zerwała z niej halkę. Nieogłędna natarczywość tego gestu wzbudziła swędzenie w moich udach i jak zahipnotyzowana przyglądałam się pełnym piersiom Janet.

Ogarnął mnie żar, gdy zobaczyłam, jak Janet Fleming wkłada do ust palec, ślini go i drażni sobie sutki. Tam, w dole, rządziła żądza. Coś, czego nigdy nie dzieliłam z Henrykiem, czego nigdy nie doświadczyłam. W tamtej chwili chciałam być tą kobietą, kobietą obojętną na wszystko, co nie było moją rozkoszą.

— Chodź tu — powiedział męski głos chrapliwy od pożądania.

— Widzisz ich? — zasyczała mi do ucha Diana.

Potrząsnęłam głową. Janet zniknęła mi z oczu. Rozległ się szelest opadających szat, jęk, gdy skóra zaczęła trzeć o skórę. Janet upadła na łóżko, zadzierając nogi. Przed nią stał mężczyzna. Widziałam jego prężące się pośladki. Zdałam sobie sprawę, że to świetnie umięśnione ciało nie należy do konetabla, który miał ponad pięćdziesiąt lat. Kiedy mężczyzna złapał Janet za kostki nóg, nagle go rozpoznałam.

Dusząc okrzyk, odskoczyłam w tył.

Diana zmarszczyła brwi i przytknęła oko do dziury. Musiała doznać nie lada wstrząsu, bo wydała zdławiony pisk, lecz wątpię, by tamci na dole ją usłyszeli, tak zajadle się miotali. Kiedy podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy, twarz miała tak ściągniętą, jakby odarto ją ze skóry.

Grzesznym kochankiem był nie kto inny jak nasz Henryk.

W ciągu kolejnych dni Birago przynosił mi plotki krążące po dworze. Trzymałam się z dala od całego zamieszania, ale i tak znałam nie lada uciechy, słysząc, że o niczym innym się nie mówi. Ponoć Henryk, odwiedzając Karola, nie mógł się powstrzymać, by nie poszukać wzrokiem Janet. Spekulowano, że Montmorency to zauważył i postanowił zniweczyć wpływy Diany, podsuwając królo-

wi Szkotkę. Diana przeżyła już podobny cios, wojenny romansik Henryka z piemoncką wieśniaczką. Wtedy zachowała dyskrecję, jednakże teraz była pięć lat starsza, a pozory cnotliwej przyjaźni między nią a Henrykiem dawno temu diabli wzięli, wysłała zatem szpiegów, którzy odkryli każdy paskudny szczegół, tak że cały dwór aż huczał. Diana rozdeła skandal ponad wszelką miarę, upierając się, by odesłano Janet do Szkocji. Skarcony i zażenowany Henryk zgodził się. Dzięki temu Diana mogła swobodnie dać upust swojemu gniewowi na Montmorency'ego, który z hukiem opuścił dwór, oświadczając, że „byle zdzira” nie będzie mu rozkazywać.

Śmiałam się tak, aż mnie boki rozbolały, chociaż czułam ukłucie zazdrości po tym, jak Henryk się zadurzył w szkockiej dziewczę biegającej z cyckami na wierzchu. Jego niewierność nie sprawiła mi przyjemności, atoli fakt, że cios wymierzony w próżność Diany był daleko silniejszy, wystarczył, bym miała się czym radować.

Jakiś czas potem Henryk pewnej nocy złożył mi wizytę. Ku mojemu zaskoczeniu nie próbował udawać, że nic się nie stało, wręcz przeciwnie, narzekał, że wcale nie jest uradowany, iż zrobiono z niego głupca.

— Przecież nawet nie nadałem jej żadnego tytułu! To tylko dziwka. Bóg wie, że ojciec w swoim czasie robił gorsze rzeczy i nikt go za to nie krytykował. — Chwilę pomilczał, patrząc na mnie. — Byłaś urażona?

Wyprostowałam się na krześle; po raz pierwszy przyszło mu do głowy, aby zapytać, co czuję. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić, jak by zareagował, gdyby odkrył mój udział w jego wpadce, lecz zdałam sobie sprawę, że mogę być spokojna. Taka hipokrytka jak Diana nigdy by mu tego nie zdradziła. Ostatnią rzeczą, jaką była gotowa mu wyznać, była relacja o tym, jak posunęła się do szpiegowania go przez dziurę w podłodze.

— Nie, ale dzieci to co innego — odparłam po chwili. — Uwielbiały Janet.

Westchnął.

— Tak, nie brałem tego pod uwagę. — Znów zrobił pauzę. — Naprawdę nie byłaś urażona?

Już pogodziłam się z tym, że nigdy nie zrozumie złożoności moich uczuć, beznadziejnej zazdrości i bóleści płynącej z poczucia, że nigdy nie będzie pożądał mnie tak jak tamtej Szkotki.

Wzruszyłam więc ramionami z udawaną obojętnością.

Odstawił puchar. Wcześniej zdjął kaftan, odsłaniając ciemne włosy pod sznurowaniem koszuli. Spuściłam wzrok na robótkę, gdy usłyszałam słowa:

— Najmilsza, żeby inni byli tak wyrozumiali jak ty.

Ujął mnie za podbródek. Pochylił się i łaskocząc mnie brodą, pocałował w usta. Wcześniej nigdy tak mnie nie całował; nasze wargi nigdy się nie spoiły tak, aby ogień z nich sięgnął mi aż do pięt. Nie mogłam złapać tchu, gdy wsunął mi język do ust i gładząc moje piersi, rozpiął mi suknię i zsunął ją z ramion. Oddychałam płytko, kiedy wziął mnie na ręce i zaniósł na łóżko, sadzając na materacu łagodny jak światło wieczoru.

Rozebrał się i stanął przede mną nagi. Nigdy wcześniej nie oglądałam go w całej krasie, nigdy potem również. Lecz wtedy ukazał mi wszystko, co chciałam widzieć — stał dumny i wysoki, o prężnej muskulaturze młodości złagodzonej wiekiem.

— Dzisiejszego wieczoru pragnę się kochać z moją żoną.

Tamtej nocy odkryłam, co to prawdziwa namiętność. Nie przytłaczał nas żaden obowiązek, nie pilnowała żadna kochanka; nikt obcy nie zakłócał najbardziej intymnej z czynności. Byliśmy tylko my dwoje. I tamten jedyny raz nasze namiętności spotkały się, zderzyły i stały jedną. Przez najbardziej upajające godziny, jakie przeżyłam, doznałam takiej rozkoszy, jakiej doznawała Janet Fleming — poczułam się kobietą w każdym znaczeniu tego słowa. Tamtej nocy Henryk został ze mną; obejmował mnie, gdy spałam z głową na jego piersi, ukołysana mocnym biciem jego serca.

Była połowa grudnia. Wtedy poczęliśmy moje najukochańsze dziecko.

## R O Z D Z I A Ł 14

Po kilkugodzinnym połogu w naszym najulubiejszym pałacu, Fontainebleau, po raz pierwszy trzymałam swojego trzeciego syna, Aleksandra Edwarda, później nazwanego Henrykiem, który otrzymał tytuł księcia Andegawenii.

Uwielbiałam go od chwili, kiedy złożono go w moich ramionach. Nie sprawiła tego płynąca w jego żyłach krew Medyceuszy, dzięki której miał długie rzęsy, czarne oczy i oliwkową karnację. Chodziło o coś innego, o namacalną więź, której nie zerwało wyjście z łona. Ku niemiłemu zaskoczeniu moich dworek tuliłam go godzinami, nawet karmiłam piersią, chociaż miał mamkę. Lukrecji nie mieściło się w głowie, że daję mu cycka jak byle chłopka, lecz miałam to gdzieś.

Chciałam tylko tego: być z moim dziadkiem.

Następny rok, 1552, był jednym z najszcześniejszych, jakie pamiętam, chociaż był też rokiem wojny. Kolejny raz poszło o Mediolan i musieliśmy wystawić wojska, które broniłyby Włochów przed Karolem V. Ale zanim tym razem Henryk udał się na front, stanął przed całym dworem, wziął mnie za rękę i oświadczył:

— Podczas mej nieobecności powierzam sprawy królestwa w ręce królowej, mojej małżonki. Będzie wami rządzić i macie szanować jej decyzje, i wypełniać je tak, jakby były moje.

Łzy napłynęły mi do oczu, gdy odwrócił się do mnie i szepnął:

— Zasłużyłaś na to, żono.

Był to zaszczyt, jakiego dostąpiło niewiele królowych Francji, i gdy patrząc nad ramieniem Henryka, rozejrzałam się po tłumie dworzan, dostrzegłam, że siedząca za stołem Diana zeszywniała

i krew uciekła jej z twarzy, a kardynał obok niej nie posiadał się z wściekłości. Dowiedzieli się, że jestem kimś, kogo nie mogą więcej obrażać. Ten nieoczekiwany triumf wyrównał mi lata hańby, którą byłam zmuszona znosić.

Tego wieczora Henryk, przebywając w moich pokojach, mówił mi o obowiązkach, które na mnie spoczną.

— Polegaj na radzie królewskiej, niech cię wspomaga, ale pamiętaj, to ty jest regentką, nie na odwrót. Bądź taka stanowcza, moja droga, jaka często jesteś wobec mnie — dodał z uśmiechem.

Potem zabrał mnie do łóżka i z zażyłością starych kochanków spędziliśmy w nim noc.

Podeszłam z powagą do obowiązków regentki. Spotykałam się z radą, udzielałam audiencji ambasadorom i zaprzęgałam leniwe damy dworu do organizacji dostaw na front. Wieczorami pisywałam do Henryka, relacjonując mu każdy szczegół, podczas gdy wojna, którą rozpoczęliśmy z wielkimi nadziejami, pokazała wilczą twarz. Mediolańczycy, choć wcześniej błagali o pomoc, teraz przeciwstawili się naszej ingerencji i Karol wraz z synem, Filipem Hiszpańskim, podjęli potężną kontrofensywę, która zrosiła mediolańską ziemię francuską krwią.

Trzy miesiące po tym, jak Henryk wyruszył na czele wielkich wojsk, aby uwolnić Mediolan spod cesarskiego jarzma, powrócił do Francji wycieńczony i wychudły. Liczba rannych i zabitych przekroczyła połowę stanu armii. W naszym skarbcu pokazało się dno.

— Muszę błagać o pokój — rzekł mi. — Jeśli tego nie zrobimy, Karol i Filip nas zmiażdżą. Przegraliśmy. Nigdy nie odzyskamy Mediolanu.

Usiadłam u jego boku.

— Musisz zrobić to, co najlepsze dla Francji.

Ze znużeniem skinał głową i wysłał posłów na dwór Habsburgów. Podczas gdy wyklócano się co do warunków rozejmu, przyszła wiadomość, że chory na podagrę Karol V zdecydował się abdykować, przeznaczając Austrię, Flandrię i niemieckie księstwa młodszemu bratu, podczas gdy Hiszpania, Niderlandy i Nowy Świat przeszły w ręce jego syna, Filipa, który ożenił się z siostrą zmarłego króla Anglii, Marią Tudor.

W następnych dwóch latach przyszły na świat moje ostatnie dzieci. W maju 1553 roku dziewczynka, Margot, a w następnym roku czwarty i ostatni syn, Herkules, który przy bierzmowaniu przybrał imię Franciszek. Oboje urodzili się pod znakiem Byka, wieszczącym zarówno wigor, jak i skłonność do zdrady.

Kiedy miałam trzydzieści sześć lat, poznałam Nostradamusa.

Głód i deszcze nawiedziły południe Francji, potem przyszła dżuma, która przygnała ze wsi do miast wielką falę chłopstwa. Czytałam mrozące krew w żyłach raporty burmistrzów donoszące, iż pozamykano bramy wielu miast, broniąc się przed zarazą. Uwięzieni mieszczenie wyprawiali się poza mury tylko po to, by desperacko poszukiwać żywności i grzebać zmarłych w zbiorowych mogiłach.

We mnie, jak w każdym, myśl o zarazie budziła przerażenie. Co prawda od mojego przybycia do Francji na dworze nikt na nią nie zachorował, ale wystarczył jeden przypadek, by wszyscy poczuli się zagrożeni. Wcześniej dżuma zmiotła z powierzchni ziemi całe dynastie, więc wprowadziłam ścisłe zasady czystości w pokojach dzieci, nakazałam przykryć wszystkie podłogi dywanami i zaniechać wysyciełania ich sitowiem, które roiło się od wszy. Pościel prano trzy razy w tygodniu. Podejrzewałam, że brud sprzyja zarazie. Szczególnie przerażały mnie szczury i wydawałam bajorńskie sumy na koty. Wypełniłam nimi kuchnie, stajnie i budynki gospodarcze.

Kiedy doszła mnie wieść, że na ogarniętych zarazą terenach pewien wędrowny medyk leczy chorych pigułkami z płatków róż, natychmiast się nim zainteresowałam. Powiedziano mi, że Michał Nostradamus jest żydem konwertytą i nawet opublikował traktat na temat leczenia dżumy. Stracił żonę i przeniósł się do Prowansji. Dowiedziałam się, że cieszy się też sławą utalentowanego jasnowidza.

Poszłam porozmawiać z Henrykiem.

— Chciałabym go zaprosić na dwór.

Spoczywał na kanapie, podczas gdy Paré opatrywał mu udo. Został ranny, gdy ćwiczył walkę mieczem, i co prawda uraz nie był poważny, jednak rana się jadziła. Zaciskał zęby, gdy Paré nakładał kompres i owijał go świeżym bandażem.

— Nostradamus to lekarz — dodałam. — Mógłby pomagać doktorowi Pare przy twojej nodze.

Nasz chirurg spojrział na mnie ze znużeniem i wdzięcznością. Henryk nie był idealnym pacjentem. Nie znosił siedzenia w domu i rana już dwa razy mu się otworzyła, bo za nic nie chciał zrezygnować z jazdy konnej.

Teraz się nachmurzył.

— Jeśli to może w czymś pomóc, wezwij go. Mam dość tych bandaży i okładów.

— Dziękuję ci. — Pocałowałam go w czoło i poszłam napisać zaproszenie.

Tygodnie mijały bez odpowiedzi. Jesienią jak zwykle przenieśliśmy się do wzniesionego z czerwonej cegły i kamienia pałacu Blois w dolinie Loary, gdzie ozdobiłam swoje apartamenty nowymi boazeriami i gobelinami. Czas upływał mi na zarządzaniu domem.

Któregoś popołudnia przybył Nostradamus. Wszedł niezapowiedziany.

Podniosłam głowę i zastygłam. Na pierwszy rzut oka nic go nie wyróżniało, może tylko wysoki wzrost. Był odziany w czarną szatę medyka i spiczasty kapelusz, siwiejąca broda częściowo zasłaniała pobrużdżoną twarz. Oddając mi pokłon, przypominał zmęczonego kupca. Kiedy spotkał się ze mną wzrokiem, ujrzałam, że choć jego piwne oczy przewiercają na wskroś, to wyrażają również smutek, znużenie i czułość.

— Wasza królewska mość, przybywam z Fontainebleau — rzekł śpiewnym, pełnym powagi głosem. — Powiedziano mi, że tam przebywasz. — Chociaż w żaden sposób nie okazał niezadowolenia, wyraźnie dał do zrozumienia, że odbyta podróż naraziła go na koszty niemal przekraczające jego możliwości.

Posłałam mu ciepły uśmiech, wyczuwając, że mam przed sobą kogoś, kto z miejsca wyczułby nieszczerą uprzejmość.

— Przykro mi, że zostałeś narażony na niewygodę, ale nie odpowiedziałeś na żaden mój list. Skąd mogłam wiedzieć, że zamierzasz przybyć?

Nie opuścił wzroku.

— Zakładałam, że wasza królewska mość chce widzieć mnie możliwie jak najszybciej. Z listów wnoszę, że małżonek waszej królewskiej mości ma otwartą ranę; odpowiedź wydała mi się nieko-

nieczna. — Po chwili milczenia dodał: — Czy rana nadal mu doskwiera?

Skinęłam głową, zaintrygowana patrząc na wytarte rękawy osłaniające kościste dłonie. Wyglądały tak, jakby Nostradamus pokonał drogę do Blois, nie mając przyodziewku na zmianę.

— Nie masz bagaży? — spytałam.

— Jedyne sakwę. Zostawiłem ją przy wartach. Czy teraz udamy się do króla?

Skinęłam głową i zaczęłam się podnosić, gdy naraz ściany wokół mnie się rozplynęły. Mój dar jasnowidzenia, który usnął na wiele lat, przebudził się właśnie w tej chwili. Złapałam się brzegu stołu i usłyszałam słowa przybysza:

— Wiesz, czemu przyszedłem.

Spojrzałam mu w oczy. Stał nieruchomo, jakby nic się nie wydarzyło.

Dziwny gość zjawił się na dworze, bo miał mi coś przekazać.

— Niebawem udamy się do jego królewskiej wysokości — powiedziała, dając znak dworcom, aby wyszły. Zdecydowałam się na niezwykle krok. Byłam królową; tego człowieka widziałam pierwszy raz na oczy. Równie dobrze mógł być szaleńcem.

Zaprowadziłam go do prywatnego gabinetu, pokoiku z gomółkowymi oknami, złoconym stoliczkiem, wygodnymi krzesłami i kominkiem. Ściany pokrywał wonny cedr. Na wysokich belkach wypisano złotymi literami inicjały moje i Henryka. Gabinetek w Blois był jednym z niewielu miejsc we Francji, w których nie pojawiały się splecione litery HD. Ktoś inny mógłby się w tym miejscu zdziwić, może nawet szydlerczo uśmiechnąć.

Nostradamus jakby nie widział otoczenia. Usiadł na wskazanym mu krześle, odmówił wina, które mu zaproponowałam, i rzekł:

— Byłem zaskoczony listem waszej królewskiej mości. Przez lata siałem ci wiadomości, miłościwa pani, ale nie doczekałem się odpowiedzi.

— Słałeś do mnie listy? Ależ nie dostałam żadnego. Zapewniam cię, gdyby było inaczej... — Dałam spokój protestom. Jeszcze słowo i zaczęłabym łąć. — Prawda tak wygląda, że otrzymuję setki próśb. Sekretarz podsuwa mi najbardziej naglące lub skierowane przez rodzinę czy przyjaciół. Nie mogę przejrzeć wszystkich.

— Rozumiem. W takim razie moje wiadomości nie były ważne.



— Och, nie! Po prostu zostały przeoczone.

— Nie. Nie były ważne.

Zrozumiałam jego intencję. Nie dawał do zrozumienia, że uznawałam te wiadomości za nieistotne lub że nie otrzymałam ich wskutek przeoczenia. Chciał powiedzieć...

— Mam na myśli, że nie było im sądzone dotrzeć do waszej królewskiej mości — rzekł i po raz pierwszy się uśmiechnął, odsłaniając krzywe zęby. — Bóg dyktuje nam szlaki. Wasza królewska mość to wie i też czuje niewidzialne.

Poczułam łaskotanie w brzuchu, mój dar rozwijał zaniedbane macki.

— Katarzyno — powiedziałam głosem ledwie słyszalnym. — Proszę, mów mi „Katarzyno”.

— To nie wypada. Wasza królewska mość jest moją władczynią.

Zapadła cisza.

— Czemu posyłałeś mi te listy? — spytałam.

— Bo miałem wizje. Była w nich wasza królewska mość i przyszłość. — Wskazał głową drzwi. — Zapisałem je dawno temu, przed twoim przybyciem do Francji, miłościwa pani. Księga z nimi jest w sakwie. Jeśli pozwolisz, przedstawię teraz najważniejsze. Moje wizje... — Przerwał, szukając odpowiednich słów. — Pojawiają się bez ostrzeżenia. Wiele pozostaje tajemnicą.

— Oczywiście — potwierdziłam cicho. — Rozumiem.

— Tak myślałem. — Splótł dłonie. — To co powiem, nie będzie łatwe do wysłuchania.

Spodziewałam się tego. Wyczuwałam w powietrzu mroczne napięcie emanujące z zakątka jego umysłu, którym rządziły siły umykające ludzkiemu pojmowaniu.

— Jestem tylko naczyniem — mówił dalej. — Ten dar objawił mi się, kiedy byłem młodzieńcem. Zawsze, jeszcze nawet jako dziecko, wiedziałem, że różnię się od innych, ale dopóki nie dorosłem, nie rozumiałem jak wielce. Początkowo odwracałem się od mego daru. Nienawidziłem władzy, którą miał nade mną. Z czasem go przyjąłem. Bóg wybrał mnie z jakiegoś niepojętego powodu, którego istota przekracza moje rozumienie. Wiele z tego co widzę, zamieniam w wiersze. Poezja jest muzyką. Słuchacz słyszy to, co pragnie usłyszeć.

Zamknął oczy i jego długie westchnienie uniosło się niczym dym. Spazm przebiegł mu przez twarz i poczułam rosnące napięcie. Siedziałam jak zamurowana. Czekałam, milczenie się przedłużało.

Przemówił:

— „Młody lew starego pokona. Na polu walki w pojedynczym starciu. W złotej klatce oczy mu wykluje. Jedna z dwóch części, żeby umarł śmiercią okrutną”.\*

Zmarszczyłam brwi. Co miał na myśli? Oczywiście lwy były symbolami monarchy, ale ta symbolika mogła się odnosić do wielu rzeczy, a mój gość mówił o klatkach, o pojedynku.

Nostradamusowi zadrżały powieki. Oblizał wargi.

— „Dama będzie rządzić samotrzeć, ukochany małżonek zemrze, pierwszy na polu chwały. Siedem lat łączy rościć będzie i panować długo”.

Opłynęła mnie fala głębokiej desperacji. Nostradamus długą chwilę siedział nieruchomo, echo jego słów gasło. Otworzył wreszcie oczy i rzekł prawie niesłyszalnie:

— Pójdę. Uczyniłem to, po co zostałem wezwany. — Zaczął wstawać.

— Nie! — W ciszy pokoju mój głos rozległ się ostrym krzykiem. Przez chwilę tylko oddychałam urywanie. — Nie... nie rozumiem. Czy te proroctwa... co one znaczą?

Nic nie powiedział. Patrzył mi w oczy smutno, niemal ze skruchą.

— Musisz mi powiedzieć — rzekłam. — Proszę. Czy chcesz powiedzieć, że... że przeżyję męża?

Pochylił się ku mnie. Chociaż się nie dotykaliśmy, jego bliskość była jak pieszczota.

— „Żadna prawda względem przyszłości nie może być pewna”.

Drgnęłam.

— Ktoś powiedział mi te słowa, gdy byłam dzieckiem. Skąd je znasz?

— To sentencja krążąca wśród jasnowidzów. Czy jest coś jeszcze, o co musisz mnie zapytać?

Opanowałam pragnienie, by zażądać dokładnego wyjaśnienia. Nostradamus wydawał się wyczerpany. Później, rzekłam sobie

\* Młody lew w... — Isabelle Bricard, *Leksykon śmierci wielkich ludzi*, przeł. Anita i Krzysztof Staronowie, Książka i Wiedza, wyd. II, Warszawa 2000.

w duchu. Kiedy poznam go lepiej, będzie mógł mi wszystko wytłumaczyć.

— Powinniśmy odwiedzić mojego męża — powiedziałam. — Jest ranny w udo. Byłabym też wdzięczna, gdybyś sporządził horoskopy moich dzieci. Zostaniesz wynagrodzony za swoje usługi.

Nostradamus skłonił głowę.

— Uczynię, co będę mógł. Ale mogę pozostać tylko krótki czas.

Ku zdumieniu naszego chirurga Nostradamus uleczył ranę Henryka zwykłym kompresem z mięty i pajęczyny. Sporządził też horoskopy. Ku mojej uldze nie ujawniły niczego niezwykłego, jednakże Nostradamus i tak natychmiast stał się na dworze sensacją, gdyż każdy nowy jasnowidz był rozchwytywany, dopóki nie popełnił omyłki. Na jego plus trzeba zapisać, że nie próbował wykorzystać dam, który zdręczały go swoimi sercowymi problemami, ani poszukujących fortun kawalerów. Dworzanie szybko się nim znudzili, jak wszystkimi nowinkami, których nie rozumieli — a Nostradamus nami.

Zaproponowałam mu, abyśmy się razem udali przez dolinę Loary, zatrzymując się w Chaumont, by odwiedzić Ruggieriego. Po przybyciu do zamku Nostradamus wszedł do holu i zeszywniał. Ruggieri, ubrany w drogie szkarłatne atłasy zdobione gwiazdami, zbiegł po schodach, nadal chudy jak szczapa, z gorączką w oczach i szopą włosów na głowie. Ucałował moją dłoń. Na widok starszego jasnowidza uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Twoja sława wyprzedza cię daleko.

— Czyżby? — rzekł sucho Nostradamus.

Zjedliśmy kolację, na którą podano pieczone przepiórki. Potem Ruggieri zabrał nas do obserwatorium, byśmy przez szklany dach obejrżeli gwiazdy. Kiedy zaproponował nocleg, Nostradamus uniósł rękę i oświadczył:

— Nie mogę zostać.

Ruggieri wydał wargi. Nostradamus wykręcił się na pięcie i zszedł na dół. Nic nie oświetlało mu drogi. Pełna lęku, że może się potknąć i skrócić sobie kark, porwałam świeczkę, rozkazałam Kosmie nie ruszać się z miejsca i pokonałam schody. Zanim dotarłam do holu, zasapałam się i miałam pełno pajęczyn we włosach.

Szedł długim krokiem przez dziedziniec, kierując się do mojej lektyki. Wyjął z niej swoją sakwę i otworzył ją.

— Panie! — Dopadłam go. — Co to ma znaczyć? Ruggieri jest moim zaufanym przyjacielem od czasów naszego dzieciństwa. Cemu pogardzasz jego gościnnością?

Odwrócił się do mnie. Kaptur krył mu twarz.

— Nie pogardzam jego gościnnością. Odrzucam ją. Nie mogę tu pozostać. Nie czuję się tu dobrze.

— No cóż, ja też nie. To nie Blois, zapewniam cię wszakże, że pościel jest czysta, a podłogi zamieciono.

— Nie, nie w tym rzecz. Nie czuję się dobrze w jego obecności. Muszę odejść.

Patrzyłam na niego oszołomiona, nie pojmując.

— Czy cię obraził?

— Nie. Ale obrazi ciebie, wasza królewska mość. Zdradzi cię.

Roześmiałam się krótko, nerwowo.

— Daj spokój! Powierzyłabym mu życie. Jesteś zmęczony. Wejdźmy do środka. Napijemy się grzanego wina i...

— Wyobraźnia nigdy nie płata mi figli. — Pochylił się nade mną. — On igra ze złem. I zło wywoła. Takie jest jego przeznaczenie.

Uniosłam rękę do gardła.

— Naprawdę myślisz, że Kosma...

— Nigdy nie ukrywam prawdy, choćby najboleśniej. Jeśli będziesz chciała mnie widzieć, miłościwa pani, prześlij wiadomość do mojego domu w Salon. — Uśmiechnął się. — Lub ja przybędę do ciebie, gdy powstanie potrzeba.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale świadoma, że jeśli kiedykolwiek przemówi w ten sposób do innych, grozi mu aresztowanie przez Kościół albo coś jeszcze gorszego, zdjęłam z palca pierścień. Jaspis na nim miał moją pieczęć.

— Gdyby ktoś próbował cię skrzywdzić, powiedz, że królowa Francji otacza cię opieką.

Schował pierścień. Stałam w blasku księżyca, podczas gdy on zarzucił na ramię sakwę i odszedł drogą. Nie myślałam, że jeszcze kiedyś się z nim spotkam, i nie byłam pewna, czy tego pragnę. Chociaż było w nim coś hipnotyzującego, trącił we mnie strunę, której nie chciałam słyszeć.

## R O Z D Z I A Ł 15

Żadna chmura nie zasnuła nieba w dniu pierwszego od dziesięciu lat ślubu delfina w Paryżu. Blask świec budził iskierki na klejnotach szlachty, wpadający otwartymi drzwiami Notre Dame wiaterek unosił jedwabne drapowania. Chociaż skarbiec był pusty, nie poskąpiliśmy wydatków na tę ważną okazję.

Czułam ciężar na sercu, gdy Franciszek i jego oblubienica ukłękli przed ołtarzem. Początkowo sprzeciwiałam się temu związkowi; mój syn dopiero co osiągnął czternaście lat, wiek, w którym u większości mężczyzn budzą się cielesne żądze, ale nadal prześladowała go choroba ucha, której nic nie mogło odpędzić, i wyglądał krucho w wysadzonej brylantami szacie. Chociaż pewnie był rozmiłowany w Marii, traktował ją raczej jak ukochaną siostrę niż jak kochankę. Henryk uważał, że naszemu synowi najbardziej potrzeba baraszkowania w pościeli, lecz podejrzewałam, że Franciszkowi brak dojrzałości, i winiłam za ten stan rzeczy Dianę. Jej natrętna opiekuńczość spowolniła rozwój mojego syna. Chciała zachować nad nim kontrolę i zrobiła z niego wieczne dziecko, niańcząc go na jego szkodę.

Niezależnie od wszystkiego to małżeństwo zjednoczyło Szkocję i Francję. Herby Walezjuszy i Stuartów widniały na lektykach, w których zaniesiono nas z powrotem do Luwru, gdzie ucztowaliśmy na ozdobionych ostem i kwiatem lili obrusach.

Maria i mój mąż rozpoczęli tańce, podczas gdy siedziałam na podwyższeniu i wspominałam, jak to ja byłam panną młodą i po raz pierwszy zasiadałam obok teścia.

Henryk miał na sobie wysadzone perłami śliwkowe atłasy. Wkroczywszy w trzydziesty dziewiąty rok życia, upodobił się do ojca,

choć zachowywał się powściągliwie, nigdy nie zapominając o swym statusie. Franciszek zbyt głośno się śmiał i zbyt wiele pił. Henryk rzadko kiedy tykał wina, a gdy się uśmiechał, ledwo rozchyłał otulone zarostem usta.

A panna młoda... Jakże różniła się ode mnie, wtedy naiwnej dziewczyny! Jej sięgające bioder kasztanowe włosy kołysały się swobodnie, jak i siedem szarych pereł na szyi, które dostała ode mnie. Rozkoszowała się swoją urodą, z bezwstydną kokieterią spojierając na Henryka. Zazdrościłam jej beztroskiej młodości, wibrującej energii. Odwróciłam wzrok ku naszym gościom.

Przy stole lotaryńskich Gwizjuszy siedziała podstarzała księżna wdowa, puchnąc z dumy, gdy spojierała na wnuczkę. U jednego boku miała ulubioną synową, żonę Pokiereszowanego, u drugiego kuzynostwo z Lotaryngii; przy stole dzieci potomstwo Gwizjuszy wymieszało się z moim.

Tam wyróżniał się Henryk, syn Pokiereszowanego, chłopczyk anielskiej urody, o bladzielonych włosach i posagowych rysach twarzy. Siedział obok mojego siedmioletniego Henryczka, który bawił się otrzymanym ode mnie prezentem, wysadzonym klejnotami pendentem. Niecierpliwość biła z jego ciemnych oczu, gdyż świetnie tańczył i pragnął się popisać swoją gracją. Pan młody obserwował Marię, podczas gdy jego brat, ośmioletni Karol, szeptał mu coś do ucha. Obok moja najstarsza córka, Elżbieta, przyodziana w suknię barwy czerwonego chalcedonu, ze słodyczą opiekowała się dziesięcioletnią Klaudią i pięcioletnią Margot. Najmłodszy, czteroletni Herkulesik, marudził nad talerzem.

Pomyślałam, że tak jak Franciszek, oni również któregoś dnia staną przed ołtarzem i opuszczą mnie. Musiałam się o nich troszczyć, póki mogłam, planując im szczęśliwą przyszłość.

Rozsiadłam się wygodniej na krześle, sięgając po wino, gdy zdałam sobie sprawę, że patrzę na surowe oblicze Joanny d'Albret, obecnie królowej Nawarry, siedzącej po prawej stronie podwyższenia. Jej zimne oczy wpatrywały się we mnie z tą samą nietolerancją, jaką okazywała lata temu, gdy przybyła do Amboise i atakowała moją wiarę. Jej matka, siostra Franciszka I, Małgorzata, zmarła przed kilku laty, niebawem po tym, jak Joanna wyszła za księcia Antoniego Burbona. Burbonowie, katoliccy książęta Francji, sięgający korzeniami trzynastego wieku, mieli sukcesję tronu Francji

zaraz po moich synach. Joanna i Antoni tworzyli piękną, ale jak podejrzewałam, niezbyt szczęśliwą parę. Antoni, przystojny hulaka w rozpiętym kaftanie, pił na umór. Ciemnoblonde włosy rozsypały mu się na zaczerwienionej twarzy, gdy zabawiał rozmową wypacykowaną damę dworu znaną z niechlubnego prowadzenia się, podczas gdy jego żona siedziała kilka miejsc dalej, odziana w surową czerń zagorzałej kalwinistki. Słyszałam, że bez skutku usiłowała nawrócić Antoniego na protestantyzm. Widząc, jak ten niemal wtyka dworce nos w rowek między piersiami, poczułam litość do Joanny. Wyraźnie czuło się, że Burbon nie traktuje poważnie religii ani niczego, co mogłoby stać między nim a jego przyjemnościami.

Przy tym Joanna była tak nieprzystępna, że ledwo udało mi się z nią zamienić dwa słowa, i gdy teraz usiłowałam wymyślić temat rozmowy, który mógłby ją zająć, dostrzegłam jej syna, małego Henrysia, następcę tronu Nawarry — grubokościstego piegusa, który odziedziczył rude włosy matki oraz zielone oczy i kpiącą minę ojca. Miał sześć lat, rok więcej niż Margot, i gdy zastanawiałam się, dlaczego nie siedzi z innymi dziećmi, odwrócił się do mnie.

Jego spojrzenie wzruszyło mnie. W dziecięcych oczach, jeszcze nieskażonych wiekiem ni doświadczeniem, rozpoznałam siebie, niegdysiejszą dziewczeczkę przedwcześnie osadzoną w świecie, lecz nieświadomą tego, jak wielki jest jego wpływ. Ogarnęła mnie fala sympatii, gdy wyobraziłam sobie, jak bardzo musi być przytłoczony rozmachem i wspaniałościami uroczystości, przyzwałałam go zatem gestem. Joanna drgnęła i pochyliła się, szepcząc mu coś do ucha; zwlekał chwilę, zanim powstał i podszedł do mnie.

Ukłonił się ze sztywną perfekcją, skrępowany w eleganckim ubranku. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Wspominając przysłane przez Joannę zawiadomienie o jego urodzinach i srebrną chrzcielnicę, którą przekazałam mu w darze, skojarzyłam, że urodził się pod znakiem Barana.

— Moje dziecko, wiesz, kim jestem? — spytałam łagodnie.

— Tak. — Opuścił wzrok na wypastowane buty. — Jesteś *tante* Katarzyna.

— Zgadza się. Jestem ciocia Katarzyna. Chodź, niech cię uściskam.

Uciekł wzrokiem do matki. Zeszłam z podwyższenia i wzięłam go w ramiona, obejmując drobne ciało. Przyjął to bez wzruszenia.

Wtedy mnie to naszło — wrażenie tak silne, że całe otoczenie się rozplynęło zakryte ciemnościami. Od dzieciństwa nie doznałam niczego podobnego.

*W oddali rozlega się huk armat, idąc echami długą, poczerniałą od dymów doliną. Zwęglonych pni drzew czepiają się tylko strzępy jesiennych liści. Na karym rumaku bojowym siedzi mężczyzna, białe pióro wyróżnia jego ciemny kapelusz; ma gęstą rudą brodę, pobrużdżoną twarz, długi nos, zaciśnięte usta, szerokie policzki i blisko osadzone, tchnące zdecydowaniem oczy; zdaje się rozkazywać nawet powietrzu, którym oddycha. Trzyma się w siodle, jakby się w nim urodził, ściska udami konia, który tańczy pod nim nerwowo.*

*Przybiega młody paź przybrany w zielone szaty i noszący nieznanymi znakami.*

— *Nie poddadzą się — dyszy, na co mężczyzna patrzy na niego z błyskiem zniecierpliwienia w oczach. Odrzuca w tył głowę i śmieje się. Mówi coś, czego nie słyszę, więc przysuwam się bliżej, wyżejając słuch, ale on się cofa, znika jak dym i...*

Dysząc, ocknęłam się w sali; kiedy usiłowałam rozpoznać otoczenie, w ustach poczułam smak żółci, zimny pot zlał mnie pod suknią. Poczułam na policzku rękę chłopczyka.

— Ciociu Katarzyno...? — wyszeptał, patrząc mi w oczy i wiedząc, że ujrzałam go takim, jakim miał się stać.

Joanna podeszła do mnie szybkim krokiem i wyrwała mi go z objąć.

— To zaprawdę wystarczy, pani — parsknęła. W jej oczach pojawił się zły błysk, gdy dostrzegła rubiny i perły krzyża przypiętego do mojej sukni, świeży prezent od synowej.

— Nic mi nie zrobiła — zaprotestował mały Nawarczyk. — I ładnie pachnie.

— Zalatuje bałwochwalstwem — odpowiedziała ze złością Joanna.

Mimo zmęczenia, które zawsze czułam, gdy mój dar widzenia przyszłości się ujawnił, nie zabrakło mi energii, by roześmiać się cicho.

— Widzę, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Chciałam się przywitać z twoim synem i zaprosić go do dziecięcego stołu. Nie



zapominaj, że w jego żyłach płynie krew Walezjuszy, i to dzięki tobie. — Nie przejmując się jej chmurną miną, spytałam go: — Chciałbyś poznać swoich kuzynów?

Nawarczyk popatrzył na stół dzieci. Myślałam, że odmówi, będzie trzymał się matki, która wyraźnie pilnowała każdego jego kroku. Ku mojemu zaskoczeniu zadarł głowę i rzekł:

— Tak. Wolno mi, matko? — Spojrzał na Joannę.

Co mogła na to poradzić? Z lodowatą miną skinęła głową i patrzyła, gdy ujęłam jego rękę — miał małe rączki jak na tak rozrośniętego chłopczyka — i zaprowadziłam go do stołu. Przedstawiłam go młodemu Gwizjuszowi — który tylko ziewnął — i moim dzieciom.

— To wasz kuzyn z Nawarry — powiedziałam. — Jest u nas pierwszy raz. Proszę, zatroszczcie się, aby czuł się tu mile widziany.

Margot się uśmiechnęła.

— Ty jesteś Małgorzata — powiedział śmiało Nawarczyk, na co pokręciła główką, potrząsając lokami.

— Nie lubię, kiedy tak się mnie nazywa, kuzynie. Wszyscy mówią na mnie Margot.

Mój Henryk wyprostował się dumnie.

— A ja jestem Henryk książę Andegawenii.

— Już dobrze, dobrze — skarciłam towarzystwo. — Nie przemądrzajcie się tak. Później, kiedy dorośli pójdą odpocząć, będziecie mogli zatańczyć, dobrze? — Spojrzałam w uniesione oczy Nawarczyka. — Mam nadzieję, że będziesz się u nas dobrze bawił. — Znowu poczułam niewytłumaczalny przypływ uczucia.

Uśmiechnął się do mnie, na co Henryk się nachmurzył. Skłonieniem głowy podziękowałam Joannie za zgodę na udział jej syna w zabawie. Wycofała się na swoje miejsce jak zagrożona lwica, której odebrano lwiątko.

Oszołomienie po jasnowidzeniu zaczęło ustępować. Przez resztę wieczoru w skrytości ducha rozważałam to, co ujrzałam, przyglądając się małemu Nawarczykowi, który choć niezbyt zgrabny, dzielnie dawał sobie radę w tańcu, podczas gdy Margot skakała wokół niego jak myszka. Oto książę, którego warto nie tracić z oczu, pomyślałam sobie.

Po weselu udaliśmy się do spokojnych, uroczych zakątków Fontainebleau. Świat nie zatrzymał się w biegu z okazji ślubu mojego

syna, jak mogłoby się wydawać. Potwierdziły to ostatnie raporty, które otrzymał kardynał.

Henryk wezwał mnie do gabinetu. Zastałam go przy biurku. Miał podkrążone oczy.

— Maria Tudor umiera — rzekł. — Nasz ambasador w Anglii donosi, że w brzuchu rośnie jej nie dziecko, tylko guz. Nie słucha rad medyków, za to całe dni płacze za Filipem. Kiedy powiadomiła go, że jest brzemienna, zostawił ją i wrócił do Hiszpanii.

— Biedna kobieta. Nie miała łatwego życia.

— Tak. A kiedy umrze, nasze też nie zapowiada się różowo. — Rzucił okiem na trzymany raport. — Anglicy chcieliby na królową jej siostrę Elżbietę, chociaż Maria trzyma ją w areszcie domowym. — Uśmiechnął się kwaśno. — Elżbieta nie dała się wplątać w żaden spisek wymierzony w Marię, chociaż wszyscy wiedzą, że jest zaprzysięgłą heretyczką. Jeśli obejmie tron, będzie działać przeciwko nam. — Odrzucił raport, patrząc na mnie ponurym wzrokiem. — Jego eminencja powiada, że kiedy tylko Maria Tudor umrze, musimy zaproponować Filipowi nową pannę młodą.

Świat zapadł mi się pod nogami. Słyszałam tylko dwa słowa.

— Pannę młodą? — powtórzyłam.

— Tak. Skoro Elżbiecie jest sądzono zostać królową Anglii, musimy się sprzymierzyć z Hiszpanią.

Pyłki wirowały w złotym świetle, które raniło mi oczy. Henryk westchnął.

— Katarzyno, gdyby był inny sposób, obrałbym go. Ale nie ma. Tylko jedna z naszych córek jest w wieku do zamażpójścia.

— Ale Elżbieta ma dopiero czternaście lat, a Hiszpanię dzieli od nas taki szmat drogi...

— Jest córką króla. Musi spełnić swój obowiązek, tak jak my.

— Wziął mnie za rękę. — Rozumiesz?

Kiwnęłam głową.

— Rozumiem. Ale obiecaj mi, że ja jej to powiem. Powinna usłyszeć to ode mnie.

— Masz moje słowo — powiedział, całując mnie w policzek.

Pozostała część roku przeminęła jak kurzawa liści przed pierwszą z adymką. Konetabl i jego siostrzeniec, de Coligny, którego nie widziałam od lat, zostali wysłani na brukselski dwór Filipa II. Mieli

omówić warunki małżeństwa. Niebawem dotarły do mnie plotki, że podróżując przez Niderlandy, Coligny zainteresował się wiarą protestancką.

Nie nadstawiałam uszu na te wieści. Zbyt byłam pochłonięta bliską stratą już nie jednego, lecz dwojga dzieci, gdyż zwiedziawszy się, iż Henryk zaaprobował związek Elżbiety z Filipem, kardynał, nie tracąc czasu, zasugerował małżeństwo Klaudii z księciem Lotaryngii, krewnym Gwizjuszy. Żarliwie zaprotekowałam, powołując się na fakt, że Klaudia ma zaledwie jedenaście lat. Ale ku ogólnemu zdziwieniu okazała niespodziewany hart ducha. Pulchna i niska, dziedziczka mniej atrakcyjnych cech Henryka i moich, przyszła do mnie i oświadczyła:

— Mój pan Lotaryngii i ja znamy się od dzieciństwa. Ma wszystko, czego wymagam od małżonka.

— Ale moje dziecko, skąd możesz to wiedzieć w tym wieku? — Przyglądałam się jej z mieszaniną podziwu i smutku. Poświęcałam jej niewiele uwagi i byłam zdumiona, znajdując w niej kobietę dojrzałą pod względem pomyślnku i władania słowem, chociaż jeszcze nie cielesnego rozwoju.

— Wiem — rzekła. — Nie widzę powodu, by odkładać moje zaślubiny. Nie chcę skończyć jak kuzynka Joanna, wydana za księcia, na którym mi nie zależy.

Nie mogłam się spierać z tą logiką. Jej argumenty były rozsądne, więc zgodziłam się na ślub, zastrzegając sobie, że Lotaryńczyk nie wstąpi do jej łóża, dopóki Klaudia nie osiągnie czternastu lat.

Maria Tudor zmarła w listopadzie. Jej przyrodnia siostra, którą trzymała pod strażą i której mało nie ścięła głowy, wstąpiła na tron Anglii jako Elżbieta I.

Niebawem Filip przyjął naszą ofertę małżeństwa.

W styczniu 1559 roku Klaudia wyszła za księcia Lotaryngii. Do lutego admirał de Coligny i konetabl wypracowali warunki traktatu, zgodnie z którym Henryk dał Filipowi Elżbietę, a swoją siostrę, moją drogą Małgorzatę, Emanuelowi Filibertowi Sabaudzkiemu, jednemu z głównych sojuszników Filipa. Po dziesięcioleciach walk zawarliśmy pokój z Hiszpanią. Zgodnie z obietnicą Henryk pozwolił mi zawiadomić naszą córkę o zaręczynach.

Zastałam Elżbietę w pokoju dziecinnym, siedzącą przy oknie.

Dzień był jasny. Powiew wiatru niósł głosy z ogrodu. Podeszłam do Elżbiety i zobaczyłam na dworze liczne postaci. Jednej nie dało się nie rozpoznać: dziewczyny jak ze świata poezji, o włosach równie wdzięcznie powiewających na wietrze jak grzywa tańczącego konia, którego wodze trzymała. Przeżyłam wstrząs, widząc, że siedzi na nim mój Franciszek uczepony lęku, podczas gdy Maria prowadzi konia na lonży. Z ogromną ulgą spostrzegłam, że jest tam też istna armia giermków.

— Wygląda na to, że Maria Stuart wzięła na siebie nie lada zadanie. Może Franciszek w końcu przestanie się trząść, zanim dosiądzie konia — zauważyłam z pewną oschłością.

— Idzie mu coraz lepiej — powiedziała Elżbieta. — Niebawem będzie mógł pojechać na pierwsze łowy.

Zwróciłam uwagę na leżący obok na wykuszowej ławce stos zapisanych kart. Były jeszcze z czasów nauki, pamiątki dzieciństwa. Musiała głęboko pogrzebać w kufrach, by je znaleźć.

— Czemu się z nimi nie bawisz? — spytałam, przesuając zapiski i robiąc sobie miejsce.

Podniosła pełne powagi oczy. W kształtnych dłoniach trzymała książkę. Nie miała pierścionków, chociaż wkroczyła w wiek, w którym mogłaby je nosić. Ciemne włosy obramowały twarz, na której życie dopiero miało zapisać najsurowsze lekcje.

— Chciałam sprawdzić, czy pamiętam nauki wyniesione z lekcji łaciny.

— Czy je pamiętasz? — Roześmiałam się tyleż hałaśliwie, co udawanie. — Jak mogłoby być inaczej? Zawsze byłaś świetna z łaciny. Nikt cię nie przerastał.

— Chciałam się upewnić. — Spojrzała mi w oczy. — Będzie mi potrzebna na hiszpańskim dworze. To dlatego przysłaś do mnie, prawda? Powiedzieć mi, że mam wyjść za Filipa?

Przeszył mnie ogromny ból.

— Kto ci powiedział?

— Seneszalowa. Ale nie gniewaj się na nią. Od jakiegoś czasu podejrzewałam, że mnie to czeka. Zdaję sobie sprawę, ile bólu ona ci sprawia, mam, ale to nie jej wina. Moim obowiązkiem jest wyjść za tego, kogo mi wskażecie, a ona tylko potwierdziła to, co już wiedziałam.

Rozumiała moje uczucia; wiedziała, ile kosztuje mnie obecność Diany, chociaż moja rywalka była jej jak druga matka, zawsze u boku jej ojca. Dowiadując się teraz, że cały czas wiedziała, ile cierpię w cieniu kochanki męża, poczułam się, jakbym się kryła za przezroczystym szkłem. Moje bolesne sekrety były wystawione na widok wszystkich.

— Czy Filip weźmie sobie kochankę? — spytała Elżbieta z równym spokojem jak dotychczas.

— Skądże. — Niemal wpadłam jej w słowo. — Jest znany ze swej prawości.

— Jednak to król. Dużo starszy ode mnie, już owdowiały. I ma syna z pierwszej żony. — Oniemiała wpatrywałam się w nią. Dodała: — Pytam, bo w tych okolicznościach chciałabym się zachować z taką godnością, jaką ty okazujesz.

Otworzyła się we mnie pustka. Uściskałam rękę córki.

— Będzie cię kochał. Jak mogłoby być inaczej? Jesteś młoda, piękna, masz wszystko, czego każdy król mógłby zapragnąć. — W tamtej chwili nie wiedziałam, czy mówię do niej czy do własnego marzenia, które nigdy się nie ziściło, ale się uśmiechnęła i zamknęła książkę, jakby zaczerpnęła z moich słów otuchę.

— Ślub będę miała tu czy w Hiszpanii? — spytała.

— Tu. — Miałam wrażenie, że ktoś inny przemawia przez moje usta. — Wszystko zaplanujemy.

— Dobrze. Chciałabym, żeby moje siostry i Maria Stuart były druhnami. — Pochyliła się do mnie. — Wiem, że Filip nie przyjedzie na zaślubiny, ale chciałabym przywitać jego zastępcę godnie. Jak przyszła królowa.

— Tak będzie. — Głos mi się załamał. — Obiecuję.

Objęła mnie, dziecko z mojej krwi, prawdziwa Medyceuszka.

— Dziękuję ci, *mamma* — szepnęła.

Ślub Elżbiety wyznaczono na czerwiec, tak by zbiegł się z zamążpójściem siostry Henryka, Małgorzaty, z Emanuelem Filibertem, który miał przybyć do Paryża. Filip wysłał wiadomość, że reprezentować go będzie pierwszy minister, sławny książę Alby.

Przygotowanie wiana córki powinno być powodem radości matki, ale gdy pilnowałam wysióków krawców, kupców bławatnych i szewców, którzy mieli ją zaopatrzyć, pakowania sukien, peleryn, butów i mufek (słyszałam, że w Hiszpanii bywają srogie zimy), czułam się tak, jakby każda rzecz była kawałkiem drogi, która wkrótce miała mi ją zabrać.

Filip wyraził życzenie, by Elżbieta wyruszyła najszybciej jak się da. Miał trzydzieści dwa lata i pragnął spółdzić kolejnego spadkobiercę. Myśl o moim dziecku w tym surowym królestwie prześladowała mnie nocami. Smutek wzmagająca myśl o bliskiej utracie szwagierki, najwytrwalszej towarzyszki ze wszystkich dam dworu, chociaż sama Małgorzata pogodziła się z myślą o związku z Emanuelem. W wieku trzydziestu sześciu lat nie przywiązywała wielkiego znaczenia do niezależności, jakże miłej w latach młodości, tęskniła za bezpieczeństwem, które położyłoby kres jej staropanieństwu.

— Zadzieraniem nosa nie nakarmisz na zawsze serca — powiedziała mi. — Muszę przyznać, że już tęsknię za Sabaudią. Nareszcie będę mogła urządzić sobie życie tak, jak chcę.

Życzyłam jej wszystkiego najlepszego, gdyż w jej wieku niepodobna było, aby urodziła dziecię. Emanuel po przybyciu wydawał się ukontentowany przysłą oblubienicą. Tworzyli dziwną parę i uśmiechnęłam się, wyobraziwszy sobie, jak sardonicznie zareago-

wałby Franciszek I na widok swej kościstej córy obok zażywnego małżonka.

Niespodziewanie przyszedł czerwiec i pojawił się orszak Hiszpanów.

Wysoki i chudy, z Orderem Złotego Runa na szyi, księżę Alby spotkał się z Elżbietą w wielkiej sali Luwru. Nie krył zaskoczenia na pożółkłej twarzy. Moja córka miała blad różową suknię ozdobioną szlachetnymi kamieniami; powitalne przemówienie wygłosiła w idealnej hiszpańszczyźnie. Alba zaszczycił ją sztywnym uśmiechem, co zachęciło Hiszpanów do okrzyku: — *Hermosa!* Piękna! — i frenetycznych oklasków.

Rozpoczęły się uroczystości. Chociaż byliśmy bankrutami, którzy musieli się zadłużyć, żeby mieć co włożyć na grzbiet, postaraliśmy się, by nikt nie wrócił do Hiszpanii, narzekając na marne przyjęcie. W noc przed ślubem towarzyszyłam Elżbiecie w drodze do pokoju i rozczesałam jej włosy. Nie rozmawiałyśmy. Nie było takich słów, które ukończyłyby nasz smutek.

W milczeniu uściśnęła mi dłoń.

Dwa dni potem przyglądałam się, gdy uklękła obok Alby w Notre Dame i poślubiła Filipa II. Kiedy Alba wsunął jej na palec obrączkę, zamknęłam oczy. Nadal była we Francji i na zawsze miała pozostać moją córką, ale w tym momencie przestała być Francuzką.

Należała do Hiszpanii.

Czekały nas wspaniałe turnieje i ślub Emanuela z Małgorzatą. Królewskie gody ciągną się w nieskończoność, Henryk zatem uznał, iż najlepiej będzie nie przemęczać wszystkich zaraz drugim ślubem. Urządziliśmy turniej rycerski na cześć Elżbiety i obleczonej w złotą zbroję Henryk miał się potykać z jego zwycięzcą.

Ja zajęłam się dziećmi. Musiałam ugłaskać Franciszka, który wbił sobie do głowy, że skoro ojciec będzie uczestniczył w turnieju, to on też. Odrzucałam myśl, że miałby przywdziać zbroję i w słońcu południa dosiąść niecierpliwego konia. Dopiero co miał chore ucho i nadal nie doszedł do siebie. Musiałam wyperswadować mu te głupie mrzonki. Potem udałam się do Elżbiety, której suknia ze szkarłatnego atłasu wymagała ostatecznych poprawek, a jeszcze później do Margot, Karola, Henryka i małego Herkulesa. Nim przyszła północ, słałam się z wyczerpania. Na ugiętych nogach do-

człapałam do sypialni, nieprzytomna dałam się rozebrać i padłam na łóżko. Tamtej nocy miałam sen.

*Unoszę się w czarnym tunelu. Nie czuję nic i jest ciemno, tak ciemno jak w jakimś straszliwym miejscu ostatecznego spoczynku. Ten brak wrażeń sprawia, że się duszę; chcę krzyczeć, ale nie mam głosu, którym wydałabym jakikolwiek dźwięk. W oddali bucha płomieni. Wabi mnie ku sobie, płonie wyżej, jest coraz bliższy, ostrzega mnie przed czymś nieuniknionym, czymś...*

Obudziła mnie Lukrecja. Potrząsała mną, krzycząc:

— Pani...!

Zerwałam się z wymiętej przepoconej pościeli. Miałam zawroty głowy i mdłości. Znałam to wrażenie; ostatni raz doznałam go, ściskając małego księcia Nawarry. Odezwał się mój dar jasnowidzenia. I nagle usłyszałam głos Nostradamusa, wyraźny, jakby jasnowidz był w moim pokoju: „Nigdy nie ukrywam prawdy...”.

Wstałam i rzekłam Lukrecji:

— Muszę przejrzeć moje listy.

Stos na biurku spoglądał na mnie z potępieniem. W ostatnich pracowitych tygodniach zaniedbałam przeglądania korespondencji. Kiedy Lukrecja zapaliła świece, gwałtownym ruchem odstawiłam krzesło, patrząc na porzucane u moich stóp pisma. Było tutaj, czułam to. Przerzucałam wiadomości od gubernatorów prowincji i błagalne petycje; szukając, odpychałam na bok listy z Wenecji i Florencji. Byłam tak przerażona, że ledwo oddychałam.

Aż je dojrzałam. Pismo oznakowane moją pieczęcią. List od niego.

Otworzyłam go. Wiadomość była zwięzła: „Wasza Królewska Mość musi uważać. Wspomnij przepowiednię”.

Przesyłał mi ostrzeżenie.

— *Dio mio.* — Spojrzałam na Lukrecję. — Wydarzy się coś straszego. — List wysunął mi się z palców. — Ale nie pamiętam, o co chodzi. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, przekazał mi kilka przepowiedni. Nie mam nawet jego książki. Leży w Blois, w gabinecie. Zostawiłam ją tam.

Przez resztę nocy nie zmrużyłam oka, chodziłam z kąta w kąt, podczas gdy damy dworu i służące siedziały nieprzytomne. Ledwo



nastał ranek, wyszłam na korytarz. Pomniejszej rangi dworzanie spali na podłodze i w alkowach, biegały pałacowe koty, szukając szczurów.

Henryk i ja mieszkaliśmy w osobnych skrzydłach. Diana nadal nawiedzała go od czasu do czasu w jego komnatach, więc nigdy nie składałam mu wizyty bez zapowiedzi. Ale tego dnia nie spodziewałam się jej zastać. Kiedy mieliśmy jakieś uroczystości, zawsze się wycofywała, hipokrytka mimo swego wieku. Zastałam męża w garderobie, pośród tłumu sekretarzy i paziów. Stał na taborecie. Miał na sobie nowy napierśnik, a płatnerz mierzył na nim nagolenice. Obok na krześle rozwalał się Pokierszowany, wyciągając długie nogi. Kiedy mnie zobaczył, zadrgała mu blizna na wychudłej twarzy. Nigdy nie darzyliśmy się sympatią; od pierwszego dnia mojego pobytu we Francji traktował mnie z pogardą.

Nie przejęłam się nim. I tak musiał powstać i złożyć mi ukłon.

Henryk wyglądał na zmęczonego. Broda otulała mu wpadnięte policzki.

— Tak, Katarzyno? — spytał, jakbym codziennie pojawiała się w jego pokojach.

— Panie, czy możemy chwilę porozmawiać w cztery oczy? — spytałam.

Wskazał gestem otoczenie.

— Jak widzisz, jestem bardzo zajęty. Czy to nie może poczekać?

— Nie. — Czułam na sobie wzrok Gwizjusza. — Obawiam się, że to rzecz najwyższej wagi.

— Jak wszystko. — Henryk westchnął i machnięciem dłoni oddalił płatnerza. Jedna z nagolenic nie pasowała. Zszedł z taboretu.

— Poza tym, że po raz setny nie udało się wykuć kawałka żelaza jak należy — rzekł, gdy zostaliśmy sami — mam górę papierów do podpisania, audiencję angielskiego ambasadora i audiencję Alby. Nie wspominając przejrzenia list gości przed turniejem. Czy to tak ważne?

— Tak. Jestem tu, bo... myślę, że grozi nam niebezpieczeństwo. Zmarszczył czoło.

— Niebezpieczeństwo? Jakie?

— Nie wiem. — Zacisnęłam ręce. Słyszałam, co mówię, i wiedziałam, jak to musi brzmieć w jego uszach. — Tej nocy miałam sen i... — Głos mi się załamał. Widziałam niedowierzanie w oczach

Henryka. Podeszłam do niego. — Proszę, tylko mnie wysłuchaj. Boję się o kogoś nam drogiego, może nawet o naszą rodzinę.

Opadł na krzesło przy biurku, rozwiązując rzemyki nagolenicy. Opadła z brzękiem na podłogę. Nie mógł wygodnie siedzieć, przeszkadzała mu napierśnik, więc tkwił sztywno wyprostowany.

— Proszę, słucham. Ale sekretarze zaraz wrócą, nie mogę wiecznie ich odsyłać. Zadręczają mnie od rana.

Opowiedziałam mu o śnie i liście Nostradamusa. Musiałam gryźć się w język i nie wypaplać mu prawdy o dawnych przecuciach, jako że nigdy nie wspomniałam mu o moim darze jasnowidzenia. Pewnie nie byłby zachwycony na wieść, iż jego żona ma okultystyczne zdolności.

Kiedy skończyłam, wsparł na dłoni podbródek.

— I myślisz, że twój sen i ta przepowiednia Nostradamusa zwiastują nam jakieś niebezpieczeństwo?

— Tak. — Ulżyło mi, nie usłyszawszy w jego głosie pogardy. — Jak pamiętasz, wyleczył ci nogę. I powiedział, że skontaktuje się ze mną, gdyby była taka potrzeba.

— Katarzyno, to absurdalne — rzekł bez cienia szyderstwa. — Jesteś przeczulona z powodu Elżbiety. Niebawem wyjeżdża do Hiszpanii i martwisz się o nią.

— Nie, nie rozumiesz. To stary list. Odszukałam go tylko dlatego, że miałam sen. To ostrzeżenie. Ze względu na mnie Nostradamus spisał swoje proroctwa w książce. Przekazał mi ją w Blois, gdy go poznałam. Zostawiłam ją w gabinecie. Musimy po nią posłać.

Spoglądał na mnie tak, jakbym straciła zmysły.

— Posłać po książkę? Za niecałe trzy godziny mamy turniej rycerski, który uświetni związek naszej córki z królem Hiszpanii.

— To niczemu nie przeszkadza. Tylko wyślij kogoś zaufanego nad Loarę i...

— Katarzyno. — Nie podniósł głosu, ale słyszałam w nim zniecierpliwienie. — Jak wiesz, o tej porze roku Blois jest zamknięte. Klucze do naszych apartamentów trzyma szambelan, a ma teraz za dużo roboty, żebym wysyłał go na próżno.

— To nie na...

Uniósł dłoń.

— Prosisz mnie o wysłanie zaufanego sługi do Blois, co w najlepszym razie zajmie dzień jazdy, by przywiózł książkę, której

w życiu nie widział na oczy. Trzymasz ich setki. Jak na Boga miałyby znaleźć tę, której potrzebujesz?

Nie wzięłam tego pod uwagę. Równocześnie nie mogłam się przyznać, że od spotkania z Nostradamusem przepowiednia jasnowidza ciąży mi na sercu.

Wyprostowałam się, opanowując falę niewytłumaczalnej rozpacz, która we mnie zbierała.

— W takim razie sama pojedę. Daj mi klucze. Wezmę Lukrecję i straż. Wrócę przed nocą.

— I zrezygnujesz z turnieju? Przecież mam się potykać z jego zwycięzcą. — Przyglądał mi się, zwężając powieki. — Nie mówisz poważnie. To był sen, Katarzyno. Nic złego się nie stanie, jeśli nie dostaniesz tej książki.

Nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Miał rację; to był tylko sen. Sen i tajemniczy list — od człowieka, którego ledwo znałam, którego przepowiednie do tej pory się nie potwierdziły.

A jednak wiedziałam, co mówię.

— Zdaję sobie sprawę, że to brzmi jak brednia, czuję wszak, że coś nam grozi, czuję to w głębi serca. Może chodzi o Elżbietę? Bardzo wiele na niej wymogliśmy i jest niezwykle zmęczona. A jeśli zachoruje?

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Jesteśmy zmęczeni Anglią i Hiszpanią, heretykami żądającymi prawa do publicznego wyznawania wiary, marnymi żniwami i biedą. Każdy z nas ma ciężar do dźwignia. Elżbieta będzie nieść swój najlepiej, jak potrafi. Nie wysyłam jej dlatego, że chcę, ale dlatego, że muszę.

— Wiem o tym. Nikt cię nie wini. Może nie o nią chodzi. To może być ostrzeżenie dotyczące innego naszego dziecka.

— Katarzyno, nie ma żadnego ostrzeżenia, nie ma proroctwa. Jesteś przemęczona jak my wszyscy, chociaż nie chcesz się do tego przyznać. Martwisz się o Elżbietę, bo jesteś dobrą matką. — Przerwał i odezwał się łagodniejszym tonem: — Filip chce, żeby była w Madrycie w listopadzie, tak aby na Boże Narodzenie mógł ją przedstawić na dworze. Powinnaś wykorzystać ten czas, aby ją wesprzeć, nie wrywać się jak szalona nad Loarę, bo lata temu ktoś ci coś naopowiadał.

— Henryku, proszę. — Zawisłam wzrokiem na jego twarzy. Łzy strumieniami spływały mi z oczu.

Wstał i wziął mnie w ramiona. Czując chłód napierśnika na twarzy, przytulona do piersi męża, poddałam się pieszczocie jego dłoni, gdy gładził mnie po włosach.

— No już, już — zamruczał. Ujął mnie pod brodę, podnosząc ją ku sobie. — To nie grzech płakać. — Uśmiechnął się do mnie z rezygnacją, gdy z przedpokoju rozległy się głosy wskazujące, że wraca jego horda. — Miejmy za sobą ten cholerny turniej, a jeśli jutro nadal nie zmienisz zdania, zobaczymy, co da się zrobić, dobrze? Jak trzeba będzie, razem pojedziemy do Blois.

Odetchnęłam z ulgą.

— Dziękuję. Kocham cię.

Wypowiedziałam te słowa szybciej, niż pomyślałam, i Henryk znieruchomiał. A potem mnie objął.

— Ja też cię kocham — szepnął.

Nie odezwał się więcej, w pokoju zaroił się śłudzy. Lecz gdy wyszłam, zdałam sobie sprawę, że wreszcie dostałam od niego to, czego zawsze pragnęłam.

„Gwiazdy predestynują, ale nie nakazują”.

Spiesząc do swoich apartamentów, powtarzałam to powiedzenie mistrza Ruggieriego. Może wcześniejsze ostrzeżenie pozwala zapobiec nieszczęściu. Postanowiłam, że jutro poślę po książkę Nostradamusa, a jeśli będziemy potrzebować dokładnej wykładni przepowiedni — ściagnę go tutaj. Jeden dzień nie zrobi różnicy.

Dochodziło południe. Nałożyłam uroczystą suknię, biżuterię, zebrałam dzieci i mój dwór. Przy blasku trąb wkroczyliśmy na plac królewski. Wraz z Elżbietą, Marią, Franciszkiem i dworkami weszłam na trybuny, pod baldachim. Poniżej miejsca na poduszkach zajęli Karol, mały Henryk i Margot. Zasiadłam na krześle, wzięłam od pazia kielich wina i zebrałam siły na czekające mnie długie popołudnie. Łomot końskich kopyt, trzask łamanych kopii i wrzaski tłumu zawsze mnie męczyły.

Tego dnia zaplanowano kilka pojedynków. Tłum wydał okrzyk, gdy oszpecony faworyt Henryka, Pokiereszowany, przygalopował na arenę, dosiadając potężnego siewka. Kiedy szybko wysadził z siodła przeciwnika, Maria poderwała się na równe nogi, wrzeszcząc:

— Rozwał mu łeb, stryjk!

Szarpnęłam ją za suknię.

— Siadaj! Zachowujesz się jak poganka!

Niewiele się przejęła moim skarceniem. Jej stryj wygrał kolejne trzy rundy. Następnie wyzwał na pojedynek księcia Nemours i znów zwyciężył. Nawet nie chciało mi się próbować jej okiełznać, kiedy piszczała zachwycona, dołączając się do wiwatów tłumu. Gwizjusz krótkim galopem objeżdżał arenę. Jego naznaczona blizną twarz była purpurowa.

— Kto rzuci mi wyzwanie? — krzyknął, unosząc dłoń w stalowej rękawicy. — Kto się odważy skrzyżować kopię ze zwycięzcą?

Wystąpił Montgomery, dowódca królewskiej gwardii szkockiej.

— Ja.

Tłum zahuczał. Montgomery co prawda był żołnierzem uprzywilejowanego oddziału, strzegącego mego królewskiego małżonka, jednak pozostawał Szkotem. Gwizjusz zmierzył go wzrokiem i skinał głową. Ani myślał odmówić. Chociaż wzywał go znacznie niższy rangą przeciwnik, odprawienie go mogłoby być poczytane za tchórzostwo.

Montgomery również dosiadał siwego konia. Przeciwnicy ustawili się w szrankach i runęli ku sobie. Zręcznym podniesieniem kopii, która trafiła w tarczę przeciwnika, Montgomery wysadził księcia z konia. Gwizjusz runął na ziemię.

— Nieczysta sztuczka! — darli się widzowie. — Powtórzyć!

Ale o tym nie było mowy. Pokieroszowany odpadł z turnieju. Kolejna fanfara obwieściła, że teraz mój mąż zetrze się ze zwycięzcą.

Wyprostowałam się na krześle. Gdyby to był rzymski amfiteatr, na Montgomery'ego wypuszczono by lwy. Jednakże Henryk był dzielnym rycerzem i dał znak, że będzie się potykał z gwardzistą.

Odziany w złotą zbroję przegalopował na srokatym bojowym rumaku. Prezentował się świetnie, nie wyglądając na swoje czterdzieści lat, gdy przejechał w głąb szranków i opuścił przyłbicę. Zapadła cisza. Heroldowie dali znak, po czym żołnierz i król runęli przed siebie.

W tamtej chwili przypomniałam sobie wypowiedziane cztery lata temu w Blois słowa.

„Młody lew starego pokona. Na polu walki w pojedynczym starciu”.

Zaczęłam się podnosić. Wszystko wokół mnie uległo spowolnieniu. Widziałam poszczególne kępki trawy darte końskimi kopytami,

słyszałam skrzypienie rzemieni zbroi. Czułam zapach oczekiwania w powietrzu. Otworzyłam usta. Ogłuszający łomot uderzających o metal kopii połknął mój krzyk.

Wiwaty dworu ucichły jak nożem uciął. Henryk został wysadzony z siodła, jego kopia ze stukotem upadła na ziemię. Kiedy pazio- wie biegli do niego, widziałam, że noga uwięzła mu w strzemieniu, gdy zsuwał się z siodła. Słudzy złapali go w ramiona. Widzowie zastygli porażeni.

Pierwsza wydała krzyk Maria — przerażające zawrodoenie, które zdawało się rozlegać godzinami. Potykając się, zbiegłam z trybun i przemknęłam obok zeszywniałych dworzan siedzących z rozdza- wionymi ustami.

Kiedy dotarłam na arenę, bez tchu, dysząc, Henryk był niesiony w moim kierunku. Na głowie nadal miał hełm. Przyłbica poniżej czoła była wygięta. Złożono rannego na ławce i zaczęto zdejmować hełm. Montgomery stał sparaliżowany z ułamkiem kopii w ręce.

Zdjęto hełm i Henryk zajęczał. Zasłoniłam usta, dusząc krzyk zgrozy.

„W złotej klatce oczy mu wykluje”.

Twarz mojego męża pobieliała; było bardzo mało krwi.

Z prawego oczodołu sterczały odłamki kopii Szkota.

## R O Z D Z I A Ł 17

Przenieśliśmy go do pałacu i stanęłam obok oglądającego ranę doktora Pare. Henryk stracił przytomność. Zbladł tak bardzo, że niebieskie żyły wystąpiły mu pod skórą. Lekarz przygotował kompres z nasion makowych i przyłożył go do rany, po czym ostrożnie owinął bandaż wokół sterczących odłamków. Potem dał znak kardynałowi i mnie, byśmy wyszli do przedpokoju.

— No i co? — warknął jego eminencja. Zwykle pieściwy głos zabrzmiał skrzekliwie. — Będzie żył?

Odwróciłam się do niego.

— Jak śmiesz?! Takie słowa to zdrada!

Spojrzał na mnie z pogardą. Jeśli miałam jakieś wątpliwości co do jego charakteru, rozwiały się teraz.

— Pani, musimy brać pod uwagę dobro królestwa — rzekł. — Rana jego królewskiej mości może być śmiertelna. — Mówił bez żadnej emocji, jakby Henryk był kundlem, którego przejechał powozem.

Ogarnęła mnie taka wściekłość — zawsze żywa, gdy chodziło o Gwizjuszy — że mało się nie udusiłam. Już miałam mu rozkazać, aby się wynosił, gdy wkroczył między nas medyk.

— Wasza eminencjo, rana jest ciężka, ale niekoniecznie śmiertelna. Wpierw musimy usunąć odłamek. Dopiero potem będziemy mogli ocenić powagę urazu.

Czułam rozlewające się w ciele lodowate zimno. Przewidziałam niebezpieczeństwo, lecz nigdy nie wyobrażałam sobie, że dotknie Henryka. Odwróciłam się od kardynała. Nie mogłam patrzeć, gdy tak zimno oceniał sytuację.

— Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy — powiedziałam medykowi. W moim głosie była panika. — Życie jego królewskiej mości jest w naszych rękach. Może powinnam wezwać Nostradamusa. Już raz wyleczył mojego małżonka.

— To była rana uda — łagodnie przypomniał mi doktor. — Chociaż okazał się sprawnym medykiem, nie jest chirurgiem. Co więcej, ściągnięcie go tutaj zabrałoby zbyt wiele czasu, a ułamek musi zostać wyjęty jak najszybciej, zanim dojdzie do gnicia rany. Przeprowadzałem operacje na polu bitwy, ale do tej wprawdzie muszę się przymierzyć, poeksperymentować. — Dodał po chwili milczenia: — Potrzebuję głów, wasza królewska mość. Ile uda się zgromadzić.

— Zgładzić dziesięciu więźniów i przynieść ich głowy medykowi — warknęłam do purpurata.

— Czy mogę zasugerować, by jedną z tych głów dostarczył nam Montgomery?

Odwróciłam się do niego.

— To był wypadek. Nie zabijamy ludzi za spowodowanie wypadku.

— Montgomery to hugenot. Nie przypadkiem najpierw wyzwał mojego brata. Jego królewska mość zawsze był wrogiem heretyków; to hugenocka zemsta.

Podeszłam do niego tak blisko, że czułam zapach piżma, którym były przesączone jego szaty, drogiej perfumy. Budził we mnie obrzydzenie wymoczkowatym wyglądem i wypielęgowanymi dłońmi, swobodą, za którą ukrywał czarne serce potwora.

— Nie wystawiaj na szwank mojej cierpliwości — ostrzegłam go. — Rób, co ci każe. Już.

Montgomery nic mnie nie obchodził, ale nie mogłam pozwolić, by trafił na szafot, bo to odpowiadało kardynałowi. Kiedy purpurat wyszedł na galerię, skąd dobiegły głosy żądnych wiadomości dworaków, Pare spojrział na mnie smutno. Nie mogłam znieść wyrazu wątplenia na jego twarzy. Zostawiałam medyka i weszłam do pokoju Henryka. Przysunęłam do łóżka taboret, usiadłam na nim i ujęłam rękę męża.

Miał żyć. Musiał żyć.



Babranie w głowach skazańców w niczym nie pomogło doktorowi Parć, więc zdecydował, że wpierw przytnie odłamek, aby mieć łatwiejszy dostęp do rany. Jej otoczka napuchła i mocno poczerwieniała. Obawiając się zaczątków zgnilizny, wysłałam pilny list do Nostradamusa, błagając o pomoc. Podczas gdy czekałam na odpowiedź, nie odstępowałam od Henrykowego łoża, mając za towarzyski szwagierkę i Elżbietę. Odzyskiwał i tracił przytomność. Byłam przy każdym przebudzeniu. Przemyciłam mu twarz i szyję wodą z rozmarynem; uśmiechałam się i dawałam mu otuchy. Ani razu nie ujawniłam koszmarnego lęku, który jak stryczek ścisnął mi gardło.

Trzeciego dnia Henryk był rozgorączkowany i niespokojny, jego skóra nabrała koloru piasku. Nostradamus odpowiedział mi, że przybędzie natychmiast, jeśli będę go potrzebowała, lecz z wielkim smutkiem przyznaje, że nie jest chirurgiem i może służyć wyłącznie radą. Parć miał więc rację. Nostradamus do listu dołączył receptę na kompresy, które jego zdaniem mogły być pomocne. Oko Henryka napuchło jeszcze bardziej i ropiało, tak że słudzy musieli go trzymać, gdy medyk zmieniał opatrunek i nakładał kompres. Elżbieta całym sercem była gotowa mi pomagać, ale bliska zemdlenia, więc odesłałam ją i Małgorzatę, nakazując im odpoczynek.

Małgorzata wróciła, gdy tylko odprowadziła Elżbietę do łóżka. Parć skończył i zwoje cuchnących szarpi leżały w miednicy u jego stóp. Włosy zjeżyły mi się na karku. Poczułam obrzydliwą woń ropy, oznakę zgnilizny. Lodowaty pot rosił czoło Henryka. Wcześniej rzucał się jak zwierzę, wyjąc z bólu; teraz, gdy leżał nieruchomo, bałam się najgorszego.

— Ani drgnie — szepnęłam. — Czy możemy jeszcze coś zrobić?

— Obawiam się, że odłamek przebił na wylot oko jego królewskiej mości i ochraniającą mózg membranę — mruknął lekarz. — Kompresy mogą zwalczyć proces gnilny zewnątrz, lecz gdy odłamek wejdzie głębiej... — Zamilkł i zapanowała cisza ciężka niczym ołów.

— Co z operacją? Kiedy opuchlizna skłębnie, będziesz mógł usunąć odłamek, prawda?

Potrząsnął głową.

— To by wymagało trepanacji czaszki, a w tej chwili jego królewska mość jest zbyt słaby. Może potem, gdy się okaże, że kompre-

sy doprowadziły do pewnej poprawy, a może w ogóle nie trzeba będzie nic robić. A nuż wyzdrowieje o własnych siłach?

— Z odłamkiem drzewca w oku? — Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. — Mówisz mi, że to wszystko, co się da zrobić?

Spojrzał na mnie bezradnie. Odwróciłam się do małżonka. Krew i ropa już przesiąkały przez świeży opatrunek. Kiedy ujęłam go za rękę, zdrowe oko otworzyło się z zaskakującą żywością. Pochyliłam się do popękanych ust.

— Małgorzata. — wyszeptał. — Jej... ślub... zatroszcz się.

Za plecami usłyszałam rozpaczliwy szloch, który wyrwał się z ust Małgorzaty. Nie musiałam na nią patrzeć. Wiedziałam, że również ona uległa rozpacz.

O północy jego eminencja połączył świętym węzłem małżeńskim Emanuela Filiberta Sabaudzkiego i Małgorzatę. Nie było uroczystości. Uściskałam nowożeńców i złożyłam im życzenia, lecz nie potrafiłam ukryć znużenia, ani w głosie, ani na obliczu.

Za drzwiami rannego zaczęła się walka o władzę. Wiedziałam, co się dzieje. Wiedziałam, że Gwizjusze i ich sługusy spotykają się w zamkniętych pokojach, zawiązując sojusze, które zabezpieczą ich wpływy. Nie zwracałam uwagi na te zabiegi — nie dlatego, że były mi obojętne czy też wstrętne, ale dlatego, że nie mogłam nic zrobić, aby je powstrzymać, nawet gdybym miała na to siły.

Mój mąż, z którym przeżyłam dwadzieścia sześć lat, odchodził z tego świata, odchodził ode mnie. A ja mogłam tylko się temu przyglądać, bezbronna, niezdolna bronić go przed wrogami, których miał w sobie i wokół siebie.

Nasze dzieci kolejno przychodziły się pożegnać. Franciszek ściskał za rękę Marię, nieznający życia piętnastolatek i siedemnastolatka. Ich bezpieczna egzystencja runęła w gruzy. Łzy spływały Franciszkowi po twarzy, gdy mamrotał, że nie chce być królem, że nie chce, aby ojciec umarł. Maria wzięła go w ramiona, patrząc mi w oczy w milczeniu, ze strachem. Zastanawiałam się, czy Gwizjusze już byli u niej, przerażając ją listą przyszłych obowiązków i upewniając się, że wprawdzie pyta ich o radę, nie mnie.

Błada, lecz opanowana Elżbieta pocałowała na pożegnanie Henryka i poszła zająć się młodszym rodzeństwem, które kazałam zaprowadzić do Luwru. Karol szlochał, mówiąc, że chce się zoba-

czyć z tatą, i nie słuchał żadnych pocieszeń, tułąc się do ogara, którego Henryk mu podarował. Nie chciałam, żeby którekolwiek z nich oglądało ojca wijącego się w mękach. W końcu wrzasnęłam na medyka i podał Henrykowi taką dawkę laudanum, że uspiłaby konia.

Jednak nadal nie umierał.

Zawsze był żołnierzem i walczył jak żołnierz, nawet gdy gorączka wzrosła. Czasami zbierał siły i charczał, że należy proklamować królem Franciszka II. Czułam do niego miłość wielką jak nigdy. Żył jak król i umierał jak król, robiąc co mógł najlepszego, by Francja nie przepadła wraz z nim.

Byłam z nim do końca, który nadszedł w lipcowe popołudnie urody tak wielkiej, aż zapierającej dech w piersiach. Henryk bredził, mruzczał coś niezrozumiale. Kiedy przy nim uklęknęłam, odwrócił głowę i popatrzył na mnie przytomnie. Gorączka opuściła jego ciało i powrócił do mnie ostatni raz.

Spękane wargi się rozchyliły. Wyrzekł tylko jedno słowo:

— Katarzyno.

Potem zamknął oczy. I zostawił mnie samą.

Oddałam go balsamistom, którzy mieli wyjąć serce i umieścić je w alabastrowej urnie przy naszym niedokończonym grobowcu w Saint-Denis. Oddałam go lamentującym sługom, którzy opiekowali się nim przez lata, konetablowi Montmorency'emu, trzymającemu wartę przy łożu śmierci, i nadzorującym pogrzeb Gwizjuszom, którzy już z pośpiechem przyszykowali białe żałobne stroje.

Wróciłam do siebie, idąc korytarzami nadal dźwięczącymi echem jego kroków. Moje służki powstały. Oczy miały czerwone od płaczu. Lukrecja wyciągnęła ku mnie ręce. Coś w moim spojrzeniu powstrzymało ją. Pewnie zrozumiała, że jeśli poczuje jej uścisk, jeśli poczuje uścisk kogokolwiek, rozsypię się w drobny mak.

Sama przeszłam do sypialni. Czułam się tak, jakbym przeżyła sto lat. W tym pokoju trzymałam wszystkie osobiste drobiazgi: srebrne weneckie szczotki do włosów ze splecionymi inicjałami CH na rączkach, fiołki perfum i słoiki z maściami, dziecięce portreciki na ścianach. Widziałam to wszystko, rejestrowałam w umyśle, a jednak czułam się tak, jakbym zabłądziła w obce miejsce.

Oślepią Izami przycisnęłam rękę do ust.

Usłyszałam szelest, stukot obcasa. Odwróciłam się i ujrzałam ją, wyłaniającą się z cieni przy łożku. Nawet gdyby cisnęła sztyletem, nie potrafiłabym się poruszyć. Spotkała się ze mną wzrokiem. Na szyi migotał jej rubin przytrzymujący długą czarną pelerynę. Trzymała srebrną szkatułkę.

— Przyniosłam ci je. — Postawiła szkatułkę na gotowalni i otworzyła ją teatralnym gestem. Szkarłatny aksamit otulał brylantowe i szmaragdowe naszyjniki, pierścienie, perłowe nausznicę, rubinowe brosze. — Oto zwrot z przeznaczeniem dla królowej Francji.

— *Putanal* Kurwa! — Uderzyłam ją z całej siły. Zatoczyła się w tył. Odcisk mojej dłoni wypalił czerwienią na jej policzku.

Uniosła głowę.

— Nie wątpię, że od lat o tym marzyłaś. Jestem zaszczycona, mogąc ci oddać tę ostatnią usługę.

Oddychałam spazmatycznie, zaciskając ręce, jakbym szykowałam się zrobić to, o czym zaiste zawsze marzyłam — zerwać jej tę nieludzką maskę i zobaczyć, czy będzie krwawiła jak każdy.

— Możesz kazać mnie aresztować — powiedziała — ale nie wydaje mi się, aby jego królewska mość pochwalił ten czyn.

— Nie jesteś godna wymawiać jego imienia!

— Nie mówię o Henryku. Mówię o naszym nowym królu, Franciszku Drugim. Byłam mu matką. Jeśli powstanie taka potrzeba, będzie mnie chronił.

W tej chwili balsamiści bezczęścili ciało Henryka, a ona stała przede mną, głosząc swoją nietykalność, jakby to była jedna z cnót. Wtedy pojęłam, że nigdy go nie kochała. Była do tego niezdolna. Była tak martwa jak jej panteon w Anet.

— Pani, w tej godzinie mogłabym kazać cię nabić na najwyższą wieżyczkę tego zamku i nikt, nawet mój syn, nie byłby władny mnie powstrzymać — powiedziałam ścisłym głosem.

Oczy jej urosły. Zobaczyłam w nich to, co zawsze pragnęłam tam ujrzeć — strach. Strach przede mną. I wtedy cała moja wściekłość, nienawiść, wszelkie mordercze pragnienia i zamiary się rozwiały. Przestała dla mnie cokolwiek znaczyć.

Cofnęła się o krok.

— Ale nie zrobię tego — kontynuowałam. — Natomiast rozkazuję ci natychmiast opuścić dwór.

— Nie mam zamiaru tu pozostawać. — Przeszła obok mnie, nawet w kłęsce pozostając wyniosła. Jednakże po kres swych dni miała nosić na ciele pamiątkę mojej dłoni. Odcisk zniknie, lecz policzek będzie ją palił zawsze — przypominając, że ściągnęłam dług do ostatniej monety.

Zatrzymała się przy drzwiach.

— Mam jeszcze ostatnią usługę do oddania i myślę, że ją docenisz. Zostawiam ci wszystko: intrygi i konspiracje, wkupywanie się w łaski, niekończące się spiski i poszukiwania osłony. Nikt na to bardziej nie zasługuje, nikt nie ma do tego takiego talentu jak ty. — Wykrzywiła usta w lodowatym uśmiechu. — Ale to nie takie łatwe, jak myślisz. Samotna kobieta, żeby przeżyć w tym świecie, potrzebuje każdej dostępnej broni, całego zasobu sił i wytrwałości. Będziesz płacić po kawałku samą sobą, nie zdając sobie z tego sprawy, aż w końcu będziesz miała wszystko i nic. Cały ten świat jest teraz twój, rób z nim, co chcesz.

Odwróciła się do drzwi.

— Pani — powiedziałam. — Nie pozwoliłam ci wyjść.

Ręka na klamce zastygła.

— Kiedyś zabrałaś coś mojego, coś, co nie należało do ciebie. Teraz chcę to z powrotem.

— On odszedł na zawsze — syknęła. — Nie potrafię tchnąć życia w umarłych.

— Jesteś bezczelna. On zawsze był mój. Spocznie w naszym sarkofagu, w którym pewnego dnia legnę obok niego jak żonie i królowej przysłało. Ty natomiast będziesz niczym. Więc nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Jestem matką króla. Jedno słowo, a skończysz gorzej niż wszystkie twoje rywalki.

Przeszywała mnie pałającym wzrokiem.

— Czego chcesz? Mów, żebyśmy mogła odejść. Mam dość tej gry-

— Chenonceau. Zanim odejdziesz, podpiszesz akt darowizny.

Wybuchła śmiechem.

— I to ma być wszystko? Zabieraj sobie zamek. Zamień go na przyszań swojego wdowieństwa. Mnie i tak pozostanie Anet. Jest moje po pierwszym mężu i Henryk przekazał mi je powtórnie na wypadek takiego dnia jak dzisiejszy. Znał cię na wylot, pani. Wiedział, że jesteś kupiecką córką.

Nacisnęła klamkę, myśląc, że jak zawsze będzie miała ostatnie słowo.

Miałam przypływ natchnienia. Wyszarpnęłam szufladę gotowalni, wyjęłam pękaty mieszek i cisnęłam go do jej stóp.

— Oto moja zapłata. Przekonasz się, że osiągnęłaś zysk, jedyne, na czym kiedykolwiek ci zależało.

Spojrzała mi w oczy, zanim zabrała pieniądze. Potem wyszła, nie oglądając się.

Oddech uleciał mi z płuc. Kolana ugięły się pode mną.

Siedząc na podłodze, zakrywszy twarz rękami, opłakiwałam męża jak Florentynka.

CZĘŚĆ IV

1559—1560

*Tygrisy*

Kiedy we Florencji umiera ktoś, kogo kochamy, wydajemy uczę. Zapraszamy krewnych, sąsiadów i przyjaciół. Jemy i wspominamy czas przeżyty wspólnie ze zmarłym. Snujemy opowieści, czasem zabawne, czasem smutne, ale zawsze służące temu, aby chwilę dłużej zatrzymać tego, kogo kochaliśmy. Cieszymy się życiem, uśmierzamy smutek i kierujemy się ku czekającej nas przyszłości.

Nie pozwolono mi na nic takiego. Zaledwie Pokiereszowany i jego eminencja zadekretowali czterdziestodniową żałobę, kazano mi odciąć się od świata w starym, sypiącym się Hotel de Cluny, pałacu, w którym królewskie wdowy poznawały smak przepełnionego pustką życia. Był to archaiczny zwyczaj, mający zapobiec zajątkowi królowej w ciąży, gdyż mogłoby to zachwiać sukcesją do tronu, zwłaszcza gdyby urodziła syna. Henryk przed śmiercią nie zbliżył się do mnie przez całe tygodnie, a poza tym wiedziałam, że mój okres płodności ma się ku końcowi, lecz ani jedno, ani drugie nie miało żadnego znaczenia. Gwizjusze zarządzili, że muszę się zastosować do zwyczaju, i nie mogłam się nie ugiąć.

Skazana na osłonięte białą pokoje, na znak sprzeciwu oblekłam się w czarne szaty, właściwe pogrążonym w żałobie Włochom, przyjąwszy za swój znak złamaną kopię, podczas gdy każdy mój krok był raportowany przez służących wybranych osobiście przez kardynała. Powinnam szlochać i przeklinać los, pomstować przeciwko Bogu i mojej bezradności przed Jego obliczem, aż przygnieciona żalem będę gotowa pogodzić się z nieuniknionym i poszukam pocieszenia w klasztorze lub wiejskiej rezydencji. Przecież nie byłam już królową. Moje miejsce zajęła Maria Stuart i niewątpliwie już zdjęto ze



ścian mój herb, robiąc miejsce dla jej znaku. Miałam rentę i posiadłość; jak w przypadku innych królowych wdów, przyszedł i dla mnie czas, aby się wycofać ze świata.

Nikt nie oczekiwał ode mnie niczego więcej.

I rozważyłam to, długo i wnikliwie. To byłoby łatwe. Miałam Chenonceau. Mogłam się zestarzeć pośród winnic i sadów, nie oglądając w przeszłość. Czemu nie miałabym zakosztować tej odrobiny szczęścia w jesieni życia? Nie dość poświęciłam dla obowiązków? W przeciwieństwie do księżnej Etampes, która dzięki Dianie umarła z biedy, w przeciwieństwie do królowej Eleonory, która po śmierci mojego teścia powróciła do Portugalii, niekochana i niechciana, mogłam odejść z dworu i stworzyć sobie we Francji nowe życie, niedręczona zamętem, który już mnie nie dotyczył.

Lecz było coś, co dawało mi siłę i chęć działania — myśl o wiecznie żywych ambicjach Gwizjuszy, o tym, jak będą się pastwić nad moim synem chowającym się przed nieznanym do mysiej dziury. Nie zamierzałam przeżyć wdowieństwa w bezpiecznym miejscu, podczas gdy oni rządząliby w imieniu mojego dziecka. Wystarczająco długo wytrzymywałam ich nieznośną dominację; przyszedł na mnie czas zająć miejsce u boku syna, naszego nowego króla.

Jeśli ja nie będę dla niego walczyć, to kto?

Wstałam i odrzuciłam welon. Damy dworu, widząc po raz pierwszy od tygodni moją twarz, zastygły. Jedyna zaufana towarzyszka, na którą mi pozwolono, Lukrecja, uśmiechnęła się.

— Wasza królewska mość — spytała któraś z dam — czy źle się czujesz?

— Wprost przeciwnie. — Skrzeczałam jak stara wrona, która całą zimę nie otworzyła dzioba. — Czuję się w pełni sił. Jestem głodna. Każcie kucharzom, żeby podali mi dziś mięso. Mam taką ochotę na mięso, aż ślinka cieknie mi z ust.

— Mięso? — spytała zduszonym głosem. Wdowom podawano tylko rosół, chleb i ser; wdowy były słabowite, a mięso burzyło krew w żyłach.

— Tak. I leć zaraz do kuchni. Kiedy będę jadła, spakujcie moje rzeczy. Przenosimy się do Luvru. Pchnijcie gońca. Niech powie mojemu synowi królowi, że przybędę. Zła byłaby ze mnie matka, gdybym nie wsparła go w tej porze.

Tak skróciłam żałobę i opuściłam Hotel de Cluny.

Świat się zmienił. W jedną noc w pałacu Tournelles, przed którym mój mąż otrzymał śmiertelną ranę, pozostały tylko zjawy, podczas gdy fasada Luwru rozjaśniła się pochodniami lejącymi płynne złoto na roześmianych dworzan, jeszcze kilka dni temu pełnych żałości. Najwyraźniej bawili się w najlepsze.

Brnęłam przez tłum. Towarzyszyła mi Lukrecja. Niewielu zwróciło na mnie uwagę. Miałam na sobie płaszcz z kapturem. Muzyka natarczywie brzęczała mi w uszach, gdy szłam na piętro do swoich apartamentów, gdzie czekali na mnie domownicy. Anna Maria podbiegła i uściskała mnie; Birago łagodnie wziął mnie pod ramię i zaprowadził do stołu. Chociaż we florenckiej szacie wydawał się chudszy niż zwykle, a troska o mnie poryła mu wydatne czoło, jego obecność była kojącym znakiem, iż nadal mam przyjaciół.

Kiedy jedliśmy kolację, opowiedział mi, że kardynał i jego brat objęli rządy, kładąc łapę na radzie, skarbcu i armii. Wydawali wiążące decyzje. Zrobili się tak naprawdę regentami, chociaż może nie używali tego tytułu. Uzurpowali sobie prawa mojego syna, prawego króla.

— Ale Franciszek ma piętnaście lat! — zaprotestowałam. — Osiągnął wiek, w którym może legalnie rządzić. Kto im pozwolił się szarogęścić?

— Sam król Franciszek — odparł Birago. — Podpisał dokument dający im prawo do nadzorowania jego administracji, choć nie myślę, by wiedział, na co się godzi. — Przerwał, opuszczając oczy. Wyraźnie czuł się niezręcznie w roli oskarżyciela mojego syna. — Pokieroszowany zabrał króla i królową na polowanie w dolinie Loary, twierdząc, że potrzebują czasu z dala od dworu.

Siedziałam oszołomiona, zaciskając palce na nóżce pucharu. Chciałam nim cisnąć o ścianę. W ogóle nie powinnam była opuszczać dworu. Czyniąc to, stworzyłam Gwizjuszom sposobność i w istocie objęli rządy. Franciszek był bojaźliwy i łatwo ulegał naciskom; pewnie, że podpisał dokument przekazujący im królestwo. Nie miał pojęcia o rządzeniu i Gwizjusze już się postarali, aby nie musiał się niczego uczyć.

— Jest jeszcze pewna rzecz — powiedział Birago, przechodząc na włoski, jak zwykle gdy mieliśmy sobie do przekazania coś nieprzeznaczonego dla innych uszu. Uwielbiałam melodię naszej mowy,

a Birago wyraża! się wytwornie. Nie miał wszakże dobrych wieści. — Jego eminencja wydał edykt przeciwko hugenotom. Konetabl zgłosił sprzeciw, mówiąc, że palenie Francuzów na stosie zniszczy reputację króla, ale kardynał ani myślał go wysłuchać i odesłał konetabla z dworu. Coligny również wyjechał, lecz zanim to uczynił, rzekł mi, iż żywi nadzieję, że przyjmiesz go, pani, gdy wrócisz.

Wieść o wyjeździe konetabla była mi nie w smak, gdyż potrzebowałam każdego przeciwnika Gwizjuszy. Zaintrygowało mnie, iż Coligny przewidział mój powrót. Wyglądało na to, że po tych wszystkich latach nadal mnie pamięta. Czy zachował wspomnienie naszego popołudnia w Fontainebleau, gdy dyskutowaliśmy o Machiavelim i hugenotach? Okazał się pilnym obserwatorem świata, niezwykłym własną wielkością. Być może byłby jakże potrzebnym sojusznikiem pomocnym do wymanewrowania Gwizjuszy.

— Chciałabym się z nim spotkać — wyznałam po chwili zastanowienia. — Wiesz, jak się z nim skontaktować?

— Listownie, ale muszę cię ostrzec, pani. Krążą plotki, że woli hugenotów, słucha ich kazań i czyta ich książki. Niektórzy powiadają, że nawet przeszedł na luterzańską wiarę.

— Hm, plotki to nie fakty. — Napełniłam kielich. Co dziwne, nie czułam strachu, chociaż było tak, jak się spodziewałam. Szykowałam się walka na śmierć i życie z Gwizjuszami o kontrolę nad Franciszkiem. Walczyłam wcześniej, powiedziałam sobie. Walczyłam z Dianą przez lata. I jak ona Gwizjusze nie wiedzieli, do czego jestem zdolna, aby ochronić swoje dzieci.

Po posiłku napisałam wezwanie i przekazałam je Biragowi.

— Dostarcz to, a potem ogłoś, że chcę odwiedzić moje dzieci w Saint-Germain, jak przystało dobrej matce.

Birago się skłonił. Na ustach miał porozumiewawczy uśmiech.

Moje dzieci były pod opieką guwernerów i Małgorzaty, która niebawem miała wyjechać do Sabaudii. Zjadłyśmy ostatni wspólny obiad, po nim dałam jej powyginany kociołek, w którym sporządzałyśmy moje mikstury.

— Zabierz go i gdy tylko ci się przyda, pomyśl o mnie — rzekłam i uściskałyśmy się.

Ani śmierć Henryka, ani nieobecność Diany (była stałym elementem ich życia, jeśli nie czymś więcej) nie dotknęły dzieci tak

bardzo, jak się obawiałam. Herkules i Margot bawili się zabawkami, obojętne na tragedię, która wprowadziła ich starszego brata na tron. Nawet mały Henryczek wydawał się w dobrym nastroju, gdy bardzo chciał mi pokazać najnowszy kaftan. Miał dobre wyniki w nauce, o czym poinformował mnie jego opiekun, jeździł na kucyku i fechtował się jak szatan. Patrząc na jego szczupłą, dobrze umięśnioną postać, nie mogłam się powstrzymać od myśli, że los spłatał nam zaiste paskudnego figła, czyniąc Franciszka moim pierworodnym. Henryk najmniej doświadczył zgubnego wpływu Diany i mimo młodego wieku z pewnością byłby lepszym królem.

Tymczasem stan dziewięcioletniego Karola napawał mnie wielką troską. Okazywał głęboki smutek z powodu straty ojca, niepocieszony płakał tak mocno, że sama musiałam powstrzymać łzy i zapewniać go, że tatuś jest w niebie i otacza opieką nas wszystkich. Był chudy i bledziutki, więc nakazałam podawać mu dużo czerwonego mięsa i warzyw.

Również Elżbieta pobladła i zmarniała, ale nie poddała się smutkowi. Przekazała mi, że spotkała się z hiszpańskimi wysłannikami, informując ich, iż w grudniu uda się do Hiszpanii. Spędzała czas z Klaudią i wspierały się nawzajem. Nie cieszyła mnie bliska perspektywa rozstania z Elżbietą, lecz uparła się, że ojciec wysłałby ją do nowej ojczyzny.

Czułam dotkliwy smutek na myśl, że ją stracę, odsunęłam go jednak od siebie, skupiając się na własnych planach. Kilka dni po przybyciu do Saint-Germain dostałam odpowiedź na moje wezwanie. Trzy krótkie linijki. „Za dwa dni o zmierzchu w ogrodzie. Jeśli nie przybędę do zachodu słońca, odejść, Pani. Prześlę wiadomość”.

— Tak — przekazałam Biragowi. — Powiedz mu, że będę.

Stałam w cieniu pałacu. Zachodzące słońce okrywało niebo krwistą poświatą. Wiatr owiewał wieżyczki, rwąc na strzepy wiszące nad Paryżem dymy. Kardynał zignorował moją radę. Jego edykt przeciwko hugenotom wszedł w życie i po niecałych dwóch tygodniach w Paryżu ponad dwustu heretyków oddało ducha w płomieniach.

Zaczął się terror. Birago poinformował mnie, że setki hugenotów uciekło na południe, tam znajdując jakie takie bezpieczeństwo.

Agenci kardynała spędzali tych zrozpaczonych ludzi jak bydło. Czasu ubywało. Jeśli nie powstrzymam kardynała i Franciszka Gwizjusza, zamienią Francję w swoje prywatne królestwo, mordując naszych poddanych i uciszając każdego szlachcica, który ośmielił się przeciwstawić.

Patrzyłam niespokojnie na odległą kępę wierzchołków, gdy pojawił się na ścieżce.

Szedł pewnym siebie krokiem, mężczyzna średniego wzrostu odziany w czarny kaftan. Rudozłota broda obramowywała mu usta. Miał czterdzieści jeden lat, tyle co ja; lecz gdy składał mi pokłon, wydawał się znacznie starszy.

— Wasza królewska mość, czy mogę wyrazić najgłębsze wyrazy współczucia?

— Dziękuję, panie. Jestem ci wdzięczna za przybycie.

Nagle zdałam sobie sprawę ze swojej otyłości, kosmyków siwych włosów, które wiatr rozrzucił mi na twarzy. Nigdy się nie ugięłam przed tym szydercą lustrem ukazującym moje zmienione odbicie; jak wiele żon wcześniej nauczyłam się godzić z życiem. Teraz doświadczyłam czegoś zaskakującego: chciałam, aby ten mężczyzna spojrział na mnie jak na kobietę, i byłam zawstydzona. Mój mąż odszedł na wieki dopiero miesiąc temu. Jak mogłam pragnąć uznania w oczach mężczyzny, którego spotkałam ledwie kilka razy?

— Pani, wdzięczność jest moim udziałem — powiedział. — Lękałam się, że nie będziesz chciała się ze mną spotkać.

Zdziwiło mnie to.

— Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie? Wiem, że czas nie stoi w miejscu, ale nie zapomniałam okazanej mi przez ciebie dobroci, gdy przybyłam do tego królestwa, ani też usług, które przez lata wyświadczyłeś mojemu mężowi.

Uśmiechnął się.

— Wtedy byliśmy znacznie młodszy.

Coś w jego wypowiedzi zaskoczyło mnie. Wyczuwałam w niej ton nagany. Czy nie został w Paryżu po to, aby się ze mną spotkać?

— Mniemam, że to ty, panie, zdecydowałaś się trzymać dystans, nie ja — przypomniałam mu. — Przyjęłabym cię na dworze.

Skłonił głowę.

— To prawda. Wasza królewska mość wie, że nigdy nie przepadałam za dworem.

— Wiem. — Zamilkłam. — A mimo to jesteś tu, panie.  
— Przyglądałam mu się w ciszy, która zapadła między nami.

Zmienił się, w jakiś nieuchwytny sposób stwardniał. Wydawał się zmęczony, jakby nauczony, że najlepiej ukrywać uczucia. Ale pozostał atrakcyjny, może nawet bardziej niż kiedyś, jakby w końcu jego dojrzały wiek usprawiedliwił powagę, którą w sobie nosił, a która dawniej wydawała się przedwczesna.

Mój dar jasnowidzenia się nie odezwał. Nie wyczuwałam niczego ze strony mojego rozmówcy.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Cóż ja robię, spotykając się z nim potajemnie? Ryzykuję swoją pozycją, jakakolwiek jest. Gdyby Gwizjusze się dowiedzieli, oskarżyliby mnie o spiskowanie z podejrzanym o herezję.

— Jeśli z jakiegoś powodu żałujesz, że się ze mną spotkałaś, pani, odejdę natychmiast — rzekł, jakby czytał mi w myślach. — Nie poczytam sobie tego za ujmę.

— Niepokoję się o ciebie — odparłam, skręcając się w środku po tym, jak mnie przejrzał. — Rozumiem, że jego eminencja rozesłał za tobą szpiegów.

— To prawda. Od kiedy mój wuj opuścił dwór, kardynał skierował swoje podejrzliwe oko na mnie. Dziś wieczór zmyliłem jego ludzi, jako że bez zwłoki poinformowaliby go, dokąd się udałem, lecz nie wątpię, że i tak przeważnie mnie pilnują.

— A czy...? — Wciągnęłam oddech. — Czy mają powód cię podejrzewać?

— Moja niezgoda na poczynania Gwizjuszy nie jest tajemnicą. — Mówiąc, patrzył mi prosto w twarz. Zapomniałam, jak często dworzanie nie potrafia spojrzeć w oczy, i jego śmiałość dostarczała mi tyleż orzeźwienia co dyskomfortu. — Będą usiłowali wykorzystać twojego syna do własnych celów. Już starają się powołać we Francji inkwizycję, chociaż prześladowanie niewinnych zrujnuje dobre imię naszego suwerena.

Wyraził dokładnie to, co chciałam usłyszeć, jakbym podpowiedziała mu te słowa.

Chciałam mu ufać, a jednak nadal się wahałam. Obawiałam się poruszyć istotę sprawy.

— Wielu hugenckich pastorów szuka u ciebie wsparcia, pani — dodał, jakby wyczuł moje wątpliwości. — Wiedzą, że doradzałaś

świętej pamięci królowi tolerancję, i prosili, abym zaapelował do twojego poczucia sprawiedliwości.

— Wiedzą o tym? — spytałam zaskoczona.

Uśmiechnął się.

— Nic co dzieje się na dworze, nie pozostaje tajemnicą. A ludzi nowej wiary jest wielu, chociaż niebawem ich ubędzie, jeśli kardynał dopnie swego.

Wytrącił mnie z kontenansu. Zdałam sobie sprawę, że nadal bardzo mało wiem o wierze, którą kardynał pragnie zniszczyć, jak i o tych, którzy ją praktykują.

— Pochlebiasz mi, lecz od kiedy mój mążzonek odszedł na zawsze, nie mam władzy — powiedziałam. — I jestem katoliczką. Jednakże w przeciwieństwie do Gwizjuszy nie myślę, żeby prześladowania były właściwym rozwiązaniem.

Odwrócił się. Jego profil odbijał się na tle ciemniejszego nieba.

— Prześladowania to chaos — rzekł cicho.

Słyszac przekonujący ton jego głosu, nagle zdałam sobie sprawę, dlaczego Gwizjusze mieli go na oku. Spełnił pokładane w nim nadzieję, był urodzonym przywódcą. W stosownych okolicznościach mógł być wielki — i niebezpieczny.

Odwrócił się do mnie.

— W całej Francji edykt kardynała zachęca katolików do pła-drowania i morderstw. Może nie należymy do Kościoła rzymskiego, ale nadal jesteśmy Francuzami. Tylko ty, pani, możesz przekonać króla, aby zniósł ten edykt, byśmy mogli żyć i wyznawać naszą wiarę w pokoju.

My...

Pewne pytanie paliło mi usta. Musiałam je zadać, nie mogłam go pominąć.

— Panie, czy dlatego bronisz hugenotów, że jesteś jednym z nich?

Nie uchylił się od odpowiedzi.

— Nawróciłem się kilka lat temu. Nie ukrywałem tego, ale i nie rozgłaszałem wszem wobec. — Jego uśmiech poszerzył się, dodając szelmowskiego uroku obliczu. — Powinnaś wiedzieć, że zażądałem miejsca wuja w radzie i odmówiono mi go. Kardynał i Pokiereszowany nigdy nie dopuszczają mnie do stołu obrad. Na razie nie pozostaje mi nic innego, jak wycofać się do siebie, do Chatillon, i żyć tam z żoną i synem.

Zona, miał żonę. Żonę i syna, rodzinę...

— Wybacz mi — powiedziałam cicho. — Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

— Charłotta i ja wzięliśmy ślub dwa lata temu. Zaręczono nas w dzieciństwie, ale dopiero niedawno postanowiliśmy zawrzeć małżeństwo. Starzejąc się, nauczyliśmy się cenić proste rzeczy w życiu. Rodzina to rzecz najprostsza i najcenniejsza.

— Rozumiem — rzekłam, chociaż było mi daleko do zrozumienia. Mimo że przynależność do rodziny zawsze była dla mnie czymś ważnym i stawiałam ją ponad wszystko inne, nigdy nie było mi łatwo, ani jako Medyceuszce, ani jako Walezjuszce. — Daje ci szczęście?

— Tak. Odłożyłem powrót do domu, bo chciałem się spotkać z waszą wysokością.

— Powinieneś mi mówić „Katarzyno”. — Spojrzałam mu w oczy. Była w nich nieprzenikniona głębia niczym w skutych lodem jeziorach. Mógł być sojusznikiem, jakiego potrzebowałam; mógł mi pomóc obalić Gwizjuszy. Odzyskałabym królestwo. Ale nie teraz. Byłam zbyt słaba i zbyt podatna na ciosy.

— Musisz wiedzieć, że nie odjeżdżam chętnie — dodał. — I że nie pozostanę daleko na wieczność.

— Wiem. — Uśmiechnęłam się. — Obiecuję, że uczynię co w mojej mocy, aby doprowadzić do odwołania edyktu kardynała i jak tylko zdołam najszybciej przywrócę ci miejsce w radzie. Wierzę, że razem możemy dokonać wiele dobrego.

Uniósł moją rękę do pocałunku. Był oschły.

— Jeśli z jakiegokolwiek powodu będziesz mnie wcześniej potrzebowała, nie wahaj się po mnie posłać. Przybędę natychmiast.

Odprowadzałam go wzrokiem, gdy szedł ścieżką do kępy drzew, aż noc go pochłonęła.

Chociaż mój plan nie spełnił się tak, jak oczekiwałam, po raz pierwszy od śmierci Henryka poczułam nadzieję.



## R O Z D Z I A Ł 19

We wrześniu mój syn i królowa wrócili z polowań. Oczekiwałam na nich na dziedzińcu, mając po bokach Elżbietę i Klaudię. Włożyłam na siebie czarną szatę, moją zbroję.

Z upragnieniem wypatrywałam Franciszka. Z pewnością cierpiał po stracie ojca; był najstarszy, więc Henryk i Diana poświęcali mu wiele uwagi. Do tej pory nie udało mi się stworzyć między nami więzi, ponieważ w swoim czasie Diana nie spuszczała go z oczu, jednak teraz miałam szansę to zmienić. W wieku piętnastu lat mój syn wedle prawa osiągnął dorosłość, lecz uczuciowo był o wiele młodszy. Potrzebował mnie, mojego wsparcia i wskazówek, które pokierowałyby nim wśród zdradzieckich odmętów, w które pchali go Gwizjusze.

Moje nadzieje od razu zostały rozwiane. Wniesiono go w lektyce opatulonego po czubek nosa w futra. Towarzyszyli mu Pokiereszowany i nasza nowa królowa Maria.

— Jego królewska wysokość jest chory. Rozstąpić się! — ryknął Pokiereszowany, prowadząc lektykę do pałacu. Rozdygotana Maria ruszyła za nim. Złapałam ją za ramię.

— Co się stało? — spytałam zaalarmowana jej bladością.

— Mój biedny Franciszek — powiedziała bez tchu. — Dostał zapalenia ucha i gorączki. — Wyrwała się z mojego uścisku. — Muszę przy nim być, pani.

Zostawiła mnie na dziedzińcu.

Krople deszczu rozbryzgiwały się na kamiennych płytach. Elżbieta wzięła moją rękę. Klaudia popatrzyła na mnie. Była w niezręcznej sytuacji. Jako żona Lotaryńczyka powinna towarzyszyć Marii.

— Idź — powiedziałam. — Wypełniaj swoje obowiązki. Później przyjdiesz i powiesz mi, jak się miewa twój brat. Zrozumiano?

Kiwnęła głową i pobiegła, podskakując. W białych aksamitach wyglądała jak tłusta kurka.

— Chodź do środka, *mamma*. Tu jest zimno — rzekła cicho Elżbieta.

Po koronacji Franciszka przybyła hiszpańska eskorta, by zabrać Elżbietę do Hiszpanii.

Naparłam się, aby towarzyszyć jej do okrytego śniegiem Chatelherault. Na brzegu skutej lodem rzeki odwróciła się do dam dworu, odebrała od nich ruchliwy pakunek i delikatnie złożyła go w moich rękach. Kiedy rozwinęłam oszronione wełniane szmatki, ujrzałam wilgotne czarne oczka zerkające na mnie z białej puchatej mordki.

— Jeszcze jej nie nazwałam — powiedziała Elżbieta. — To szczeniak, ale nie urosnie dużo więcej. Podobno ten gatunek żyje bardzo długo i przywiązuje się do swojej pani.

Suczka piszczała, wijąc się w moim uścisku. Chciała się uwolnić ze szmatek, aby mnie polizać. Wpatrywałam się w Elżbietę bezradna, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Poza tym jest dość hałaśliwa. — Moja córka wybuchła śmiechem. — Szczeka na każdego, kogo nie zna, i będzie doskonałym stróżem.

— Jest urocza — powiedziałam. — Nazwę ją Muette, Niemowa, bo jest taka piskliwa.

— Kocham cię, mamo — szepnęła Elżbieta. — Codziennie będę do ciebie pisać.

Uściskałam ją. Muette kokosiła się między nami. Przekazałam córkę eskortie stojącej na brzegu rzeki. Czekała ją przeprawa przez góry, ale wielu pokonywało Pireneje. Hiszpania była blisko. Gdybyśmy chciały, mogłybyśmy odwiedzać się co roku.

Jednak gdy Elżbieta zniknęła, długo się nie ruszałam, czując jej zapach na delikatnym psim futrze.

Dwór przeniósł się do Blois po tym, jak Franciszek znów zachorował, niewątpliwie wymęczony koronacją, podczas której musiał godzinami klęczeć w lodowatej katedrze, nagi do pasa przed namaszczeniem. Nigdy nie był silny, teraz wszakże miałam przed sobą

straszliwie wymizerowanego młodzieniaszka skulonego w łożku. Wpadnięte oczy błyszcząły od laudanum i gorączki.

Starałam się go uspokoić i dodać mu otuchy. Gotowałam specjalne ziołowe mikstury z rabarbaru i rumianku; siedziałam przy łożku i czytałam mu, lecz gdy tylko poruszałam sprawę Gwizjuszy i edyktu, jęczał i odwracał głowę, mamrocząc, że nigdy nie chciał być królem.

Marię chyba również nie cieszyło królowanie. Była chuda i rozdrażniona. Zamartwiała się o Franciszka, aż wymogłam na niej, aby zajęła się jakąś rozrywką. Spacerowałyśmy po ogrodzonych murami ogrodach Blois, grałyśmy na lutni i wyszywałyśmy. Jednak delikatna nie sympatii, która powstała między nami, przysła pewnego popołudnia, gdy siedziałyśmy w moich pokojach.

— Te zawzięte hugenockie psy! — palnęła ni stąd, ni zowąd. — Nie uznali edyktu wuja, zdzierają ogłoszenia, chociaż prawo im tego zabrania. Palenie na stosie to dla nich za dobre. Powinno się ich patroszyć, ćwiartować i nadziewać ich członki na każdą bramę w mieście. Niech gniją. Wuj powiada, że rzucili czary na biednego Franciszka, żeby zachorował. Powiada, że zatruwają studnie i zbiory, żeby nasz lud ginął z pragnienia i głodu.

Podniosłam wzrok znad tamborka. Nigdy wcześniej nie słyszałam, aby wypowiadała się tak jadowniczo w tej kwestii.

— Moja droga, twój wuj przesadza. Zapewniam cię, to nie potwory. I wątpię, aby byli tak liczni, żeby mogli sprowadzić na nas podobne nieszczęścia.

Maria miała ściągniętą twarz. Otworzyła oczy tak szeroko, że zrobiły się wielkie jak spodki.

— Nie wierzysz, że heretycy mieszkają i pod tym dachem...?! Dwór się od nich roi!

Leżąca w kącie na poduszkach Mulette zawarczała. Lukrecja podeszła i napełniła nasze puchary. Wychyliłam swój duszkiem.

— Powinnaś mniej słuchać tego, co ludzie gadają — rzekłam ostrzejszym tonem, niż zamierzałam. — Franciszek cierpi na zapalenia ucha od zawsze, a złe zbiory i powodzie dokuczają nam już od kilku lat. Jako królowa musisz się nauczyć tolerancji wobec wszystkich poddanych.

— Ty... ty naprawdę ich bronisz...? — wyjąkała.

— Bronię niewinnych. — Przeszyłam ją wzrokiem. — Chcę we Francji pokoju i dobrobytu dla wszystkich. Tu nie Hiszpania; nie palimy ludzi dlatego, że myślą inaczej niż my. — Nie pozwoliłam jej zaprotestować. — Tak, chodzi o różnice myślenia. Z tego co słyszałam, wszyscy, i oni, i my, oddajemy cześć Chrystusowi.

Stała, trzęsąc się. Jej robótka upadła na podłogę.

— Więc to prawda. Jesteś... jesteś... — Przełknęła ślinę, jakby niewypowiedziane słowo dusiło ją w gardle.

Spojrzałam z ukosa na Lukrecję, która stała nieruchomo z karkafką w ręce. Roześmiałam się wymuszenie.

— Co? Kim niby jestem? Na Boga, nie myślisz chyba, że ja, matka króla, jestem heretyczką?

Nie poruszyła się, nie spojrzała mi w oczy. Jej milczenie wystarczyło za odpowiedź.

Westchnęłam.

— Sprawiasz mi zawód. Urodziłam się w wierze Kościoła katolickiego i zapewniam cię, że w niej umrę. To że głoszę tolerancję, jeszcze nie znaczy, iż podzielam heretyckie wyznanie wiary. Podobnie jak ty prawie nie znam hugenotów, ale jednego jestem pewna: oni nas nie prześladują.

— A jednak... bronisz ich! — wrzasnęła Maria. Odwróciła się i wypadła z pokoju, jakby ją diabeł gonił.

Zirytowana przewróciłam oczami, odwracając się do Lukrecji.

— Słyszałaś kiedyś takie brednie? Moja własna synowa myśli, że trzymam z protestantami! Kto podsunął jej taką niedorzeczną myśl?

Zanim jeszcze Lukrecja się odezwała, rozczarowanie, któremu dałam wyraz, nie przeszkodziło mi zgadnąć, co odpowie.

— A kto, jak nie kardynał? Strzeż się, pani, bo jego eminencja znajdzie sposób, żeby posłać cię na stos. Przed niczym się nie cofnie, byle tylko osiągnąć swój cel.

Pięć dni później nocną porą obudziło mnie walenie do drzwi. Po omacku szukałam krzesiwa, żeby zapalić świeczkę, gdy wbiegła Lukrecja.

— Pani, trzeba wstać! Zaraz musimy opuścić pałac!

Dźwignęłam się z posłania. Śpiąca obok na wysuwany łóżku Anna Maria zerknęła na mnie spod kołdry. Chwilę potem pojawił się Birago.

— Matko Boska, co się dzieje? — spytałam, zarzucając na siebie szal.

— Gwizjusze powiadają, że zbuntowani hugenoci maszerują na pałac. Kardynał zarządził przeprowadzkę do Amboise. Nie ma czasu na pakowanie. Musimy jechać, jak stoimy.

Przypomniałam sobie starcie z Marią i naszła mnie chęć, by roztrzaskać coś o ścianę. Wbiłam wzrok w Biraga.

— Czy to prawda? Co wiesz?

Był zmęczony, wysuszona twarz zdradzała wycieńczenie po nieprzespanych nocach i ciężkich dniach, gdy szpiegował dla mnie na dworskich korytarzach i galeriach, starając się wywęszyć wszelkie użyteczne informacje.

— Wiem tyle, że zwiadowcy Gwizjuszy natrafili w lesie na buntowników i jednego pojмали. Zeznał, że hugenoci planują oblężenie Blois i porwanie jego królewskiej wysokości. — Zniżył głos. — Szpiegdy Gwizjuszy są wszędzie. Nie mam pojęcia, jakim cudem wcześniej nie odkryli spisku. W każdym razie jesteście oczekiwani na dziedzińcu. Nie zwlekałbym.

Ubrałam się, porwałam szkatułkę z klejnotami pod pachę, zaspaną Muette pod drugą i popędziłam na korytarz. Spanikowani, dźwigający na pół wypełnione sakwy dworzanie zbiegali się zewsząd, potykając na schodach z antresoli. Tłum pociągnął na dziedziniec moje niewiasty i mnie. Byłyśmy bez tchu i rozczochrane.

Oddział gwardii blokował żelazną bramę. Wszędzie biegali słudzy z pochodniami. Dymny blask oświetlał kobiety wążące na wozy zarezerwowane do transportu mebli. Mężczyźni wskakiwali na konie; świta Pokiereszowanego galopowała w koło po dziedzińcu, wrzeszcząc i podsycając panikę. Coraz większy strach rósł w nocnym powietrzu.

Dostrzegłam Gwizjusza prowadzącego do powozu Marię i Franciszka. Wcisnęłam Lukrecji szkatułkę i Muette, krzyknęłam: — Znajdź wóz! — i ile sił w nogach popędziłam przez dziedziniec. Kiedy dobiegłam do Pokiereszowanego, miałam serce w gardle. Dosiadając wielkiego siwka, uśmiechnął się do mnie okrutnie, szczupły, cały obleczony w zbroję.

— Widzę, że wasza królewska mość usłuchała naszego ostrzeżenia. W powozie ich wysokości jest jeszcze miejsce.

Wdrapałam się do wygodnej karety. Maria przeszła mnie palącym spojrzeniem. Opatulony w futra Franciszek zajęczał:

— Czemu zwlekają? Czekają, aż nas zabiją?

Zaczęłam tłuc w dach powozu.

— Ruszać! Już! To rozkaz króla!

Kareta runęła przed siebie stromą drogą i kiwając się na boki, popędziła w noc.

— Jak możecie nazywać to rewoltą? — Miałam przed sobą kardynała i Pokierszowanego. Mdłe światło sączyło się do ich gabinetu w wystawnym pałacu Amboise, upiękuszonym przez mojego teścia. To tutaj zawarłam pakt z Dianą. Teraz usiłowałam zawrzeć kolejny pakt. Od wielu dni zabiegałam o audiencję, narzucając się sekretarzowi kardynała, aż jego eminencja zgodził się ze mną spotkać. — Zmusiliście nas, żebyśmy uciekli z Blois na łeb na szyję, chociaż wiedzieliście, że ci ludzie są zdezorganizowani i zrozpaczeni. Dali się spędzić jak barany; chcieli błagać króla, aby wysłuchał ich żalów. Są wygłodzeni, przestraszeni; twój edykt zabrał im prawo do prowadzenia interesów i stracili środki do życia. Nie można ich winić, że szukali sprawiedliwości.

Kardynał siedział za biurkiem, jego pełne mięsiste policzki były czerwone z gniewu. Pokierszowany stał obok niczym granitowy słup. Bez mrugnięcia wpijał we mnie szaroniebieskie oczy.

— Należało dać przykład — odparł kardynał. — Ci biedni ludzie, jak ich nazywasz, to zdrajcy. Planowali zaatakować królewski zamek... — Podniósł głos, dusząc w zarodku mój protest. — Mamy dokumenty świadczące, że byli zorganizowani i planowali skrzywdzić ich królewskie wysokości. Zamierzali uwięzić króla i królową, zabić mojego brata i mnie.

— I zalegalizować hugenocką wiarę, a także umieścić swych przywódców w radzie królewskiej — zagrzemiał Pokierszowany głosem równie nieugiętym jak miecz w złotej pochwie, który miał u pasa. Skrzywił się, blizna zniekształciła mu linię warg. — To my szukamy sprawiedliwości, pani, i jak ją otrzymamy, osiągniemy ich przywódców. Wszystkich, w tym admirała de Coligny.

Bez słowa wytrzymałam jego wzrok. Nakazałam sobie opanowanie, gdyż wiedziałam, że walczę o coś więcej niż tylko życie nieznanym mi ludzi złapanych w sidła Gwizjuszy.

— Co... co wspólnego ma z tym Coligny?

— Jest głową spisku — odparł kardynał. — Przy pewnym więźniu znaleźliśmy list. Był w nim rozkaz admirała nakazujący pojmanie króla. Taki miał plan. To heretyk, szatan w ludzkiej skórze.

— Jeśli to prawda, to dlaczego wysłał przeciwko nam takich żalosnych przeciwników? — Spojrzałam na Pokierszowanego. — Jesteś żołnierzem, panie. Walczyłeś u boku mego męża. Wiesz, że Genewa i Niderlandy są pełne gotowych na wszystko najemników. Przecież Coligny mógł ich wynająć.

Pokierszowany nie odpowiedział; kardynał zacisnął na stole pięść.

— Pani, wysłuchaliśmy cię cierpliwie, atoli sugeruję, byś ograniczyła się do spraw domowych — rzekł. — Ci ludzie to rebelianci. Zostaną skazani na śmierć. Za Colignym zostanie rozesłany list gończy.

— Dobry Boże — szepnęłam. — Jesteście szaleni. Nie możecie zabić tych ludzi. To będzie oznaczało wojnę z hugenotami. Coligny jest szlachcicem, siostrzeńcem konetabla. Nie możecie...

— Możemy! — ryknął Pokierszowany. Zrobił krok ku mnie. Żyły wystąpiły na wielkiej łapie, którą trzymał na rękojeści miecza. — Nie przypisuj sobie prawa mówienia nam, jak rządzić. Jesteśmy Gwizjuszami, potomkami szlachetnego rodu. Kupcykowie, od których pochodzisz, mogą się przy nas schować. Nasz świętej pamięci król nie miał wyboru, kiedy brał cię za żonę, siostrzenicę fałszywego papieża, niemającą niczego na swą chwałę. Ale my mamy się czym poszczycić. Nieważne, czy jesteś matką jego wysokości czy nie, jedno słowo więcej, a uwięzimy cię do końca życia, Medyceuszko.

Wypluł nazwisko mojej rodziny, jakby to była trucizna. Przez chwilę, w której serce stanęło mi w piersiach, nie mogłam się poruszyć. W jego złowieszczym spojrzeniu dostrzegłam obrzydzenie, którego do tej pory nigdy mi w pełni nie okazał — pogardę wobec moich przodków, mojej płci, mnie samej. Byłam przerażona myślą, że podczas dwudziestu sześciu lat, które przeżyłam z Henrykiem, ten człowiek żywił do mnie taką nienawiść. Lecz jeszcze bardziej przerażała mnie jego wszechwładza, jego nieugięte przekonanie, że zawsze ma rację, bo jest Gwizjuszem.

Kardynał złożył przy ustach pulchne dłonie, na próżno starając się ukryć rozbawienie.

— Pani, źle wyglądasz. Może powinnaś udać się na spoczynek.

Zaczęłam się odwracać, nie czując nic pod nogami.

— Będziesz obecna przy egzekucji, gdy zostanie ustalona data — usłyszałam szczekliwy rozkaz Pokierszowanego. — Cały dwór będzie zobowiązany do obecności. Nie wyobrażamy sobie, by ktokolwiek poza królową i jego królewską wysokością pozwolił sobie nie przyjść.

Obejrzałam się na niego.

— Za nic nie chciałam z tego zrezygnować — rzekłam.

Obaj zwężyli powieki, zastanawiając się, co też chciałam przez to powiedzieć. Dopiero gdy zamknięte drzwi oddzieliły mnie od nich, w pełni odczułam grozę i furję, które jak trucizna przepełniały mi żyły.

Zgromadziliśmy się na wewnętrznym podwórku Amboise. Nałożyłam woalkę, by zasłonić twarz, i siadłam osobno. Tylko ja przybrałam się w czerń. Siedzący na piętrowych ławach dwór nałożył najświetniejsze stroje, jakby przyszedł na turniej. Z daleka dobiegały przytłumione ryki lwów trzymanyh w pałacowej menażerii.

Kardynał przyprowadził odzianego w królewskie szaty Franciszka i usadził go na tronie pod baldachimem. Wielki biret ocieniał mu woskową twarz. Wyglądał jeszcze bardziej krucho niż zwykle, lecz gdy zaczęłam się podnosić, Pokierszowany wystąpił, aby mnie zatrzymać.

— Jego królewska mość jest tu, żeby zobaczyć, jak heretycy zdraycy płacą za swoje zbrodnie.

— W takim razie powinnam z nim być. — Dostrzegłam, że kardynał skinął głową. Trzymał pod nosem kulkę zapachową. Ledwo mogłam znieść jego widok, gdy usiadłam obok Franciszka, który tak mocno ścisnął poręcz tronu, aż kłykcie mu pobieleły.

Strażnicy przyprowadzili pierwszych dziesięciu więźniów. Ręce mieli spętane na plecach. Z miejsca, w którym siedziałam, nie dało się rozpoznać rysów twarzy nieszczęśników, ale widziałam, że są młodzi. Poczułam skurecz w brzuchu, gdy zastanawiałam się, kim też mogą być — ziemianami, chłopami czy kupcami; czy kiedyś zamieszkiwali za bezpiecznymi murami miasteczek, w których układali się z żonami do snu, okazywali miłość dzieciom i wyznając



nową wiarę, szukali sensu tego niepojętego świata, którego katolicyzm nie zdołał im dać.

Skazanym nie pozwolono przemówić, lecz gdy pierwszy młodzieniec dostrzegł nas siedzących wysoko, zbiór cieni, krzyknął:

— Łaski, wasza królewska mość! Łaski...

Nie skończył. Kat machnął mieczem i głowa skazańca spadła z karku. Następny ruszył na krwawy szlak wytyczony przez poprzednika. Rzucono go na kolana. Odziani w skóry pomocnicy katowscy złapali pod rusztowaniem odciętą głowę.

Po nim ścięto następnego i następnego. Krew zalała szafot, kapiąc na kocie łby podwórca i sunąc ku stłoczonej gromadzie więźniów, którzy śpiewali, podczas gdy ich bracia w wierze umierali. Śpiewali nie ponure katolickie pieśni, lecz pełne życia protestanckie psalmy. Jednakże w miarę jak rósł stos głów, a smród uryny, odchodów i krwi nasycał powietrze, śpiewy słabły i o zmierzchu strażnicy zaciągnęli na śmierć ostatnich z pięćdziesięciu dwóch, krzyżujących i stawiających opór.

Nie odwróciłam wzroku. Nie zamknęłam oczu. Chociaż serce mi płakało, a żółć podchodziła do gardła, zmusiłam się do patrzenia na rozpętane przez Gwizjuszy szaleństwo. Wieczorną godziną, gdy kardynałowi zzieleniała twarz, możni kolejno odeszli chwiejnym krokiem. Tylko Pokiereszowany pozostał niewzruszony, z wojskową precyzją dyrygując egzekucją. Moja determinacja przemieniła się w kamień.

Zniszczę Gwizjuszy. Nie spocznę, dopóki na zawsze nie uwolnię Francji od groźby, jaką przedstawiali.

Mój syn zajęczał, gdy ostatni więzień został porąbany na kawałki przez wyczerpanych katów. Poczułam uścisk jego lodowatych palców i usłyszałam szept:

— Oby Bóg im wybaczył.

Wiedziałam, że ma na myśli Gwizjuszy, ale tego co Bóg mógł przebaczyć, ja przebaczyć nigdy nie zamierzałam.

A jeśli ja nie przebaczę, hugenoci również tego nie zrobią.

Pochodnie rozświetlały noc, przyzywając zaciekawione świetliki, które zataczały koła w wiosennym powietrzu. W oddali słychać było dźwięki pawany przywołujące pamięć Florencji. Okryte baldachami barki o kształtach fantastycznych wyprężonych łabędzi i dziurkich ptaków sunęły po Cher, pomalowane wiosła mąciły srebrzyste zwierciadło rzeki. Na którejś z nich płynęli Maria i Franciszek w towarzystwie wybranych sług. Pewnie trzymali się za ręce, znajdując schronienie w tym zakątku jak z bajki, osłoniętym babim latem. Reszta mojej dziatwy, Margot, Karol i Henryk, siedziała na innej barce, pod opieką guwernerów, nie przejmując się niczym.

Udało mi się wywieźć ich po egzekucji, ale dopiero wtedy, gdy odór girland rozkładających się głów, szpecących balustrady Amboise, przypawił Marię o zemdlenie, a rozwścieczone pospólstwo obiegło bramy, ciskając zdechłym psem w powóz kardynała, gdy próbował opuścić pałac. Zgodnie z moimi rachubami jednym czynem Gwizjusze ukazali swoje prawdziwe oblicze — tyranów — zwracając przeciwko sobie niemal wszystkich prócz najbardziej zagorzałych katolików. Ludzie widać uznali, że jeśli kardynał i jego braciszek wymordowali bez sądu z górą pół setki ludzi, to nie wróży dobrze nikomu, kto choćby pomyślał, aby im się przeciwstawić.

W tej sytuacji jego eminencja przychylił się do mego zdania, że należy zmienić miejsce pobytu króla i dworu. On sam i Pokieroszowani pozostali w Amboise, zamierzając zaprowadzić coś na kształt porządku, lecz nie chcieli, aby ich droga krewniaczka Maria Stuart ani Franciszek zachorowali. Jako że mój zamek był zbyt skromny, by pomieścić cały dwór, wykorzystałam do maksimum tę okolicz-

ność, ograniczając liczbę dworzan. Kiedy tylko dotarliśmy do Chenonceau, wysłałam zaproszenie. Sytuacja była ze wszech miar korzystna.

Stałam przy oknie, obserwując przepływającego Franciszka i jego panią. Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Lukrecja, mówiąc:

— Jest tu. — Zrobiła pauzę. — Pani, na pewno wiesz, co robisz?

— Oczywiście. Nie przejmuj się. — Uśmiechnęłam się, biorąc teczkę z dokumentem, który skreśliłam z pomocą Biraga. — Zjawię się za moment. Dopilnuj kolacji.

Prychnęła i wyszła. Przejrzałam się w lustrze. Miałam na sobie nową czarną suknię z adamaszku wykończoną wysokim kołnierzem. Perły zdobiły mi uszy; sok z migdałów i henna przywróciły kasztanowy blask włosom, opiętym złoconą siatką i spadającym na kark. Straciłam zbędne funty, jeżdżąc konno każdego ranka i odmawiając sobie chleba. Moje odbicie zapewniało mnie, że zdołałam wskresić coś z dziewczyny, którą spotkał w Fontainebleau. Najważniejsze było, abym tryskała życiem i energią.

Zabrałam teczkę i otworzyłam drzwi między gabinetem a sąsiednim pokojem.

Birago i Coligny stali przy kominku z pucharami w dłoniach. Dał się nakłonić do skosztowania wina i zdjął pelerynę. Dobry znak. Na odgłos moich kroków odwrócił się. W migotliwym świetle świec wydawało się, że nie postarzał się ani o dzień.

— Witam — powiedziałam, gdy odstawił puchar i pochylił się nad moją ręką. Birago wymówił się, pozostawiając nas samych. Czulałam bijącą od Coligny'ego woń końskiego i ludzkiego potu; jechał dobrych kilka godzin, aby do mnie przybyć. Ogarnięta nagłym zdenerwowaniem, wskazałam mu miejsce przy stole.

Wybrałam ten pokój, gdyż był położony z boku. Dostrzegłam, że Lukrecja mimo wszelkich zastrzeżeń niebywale się postarała. Na pomocniku migotały polerowane złote tace; na kominku stał flakon z liliami, na centralnym stole porcelana z Limoge i szklane kielichy z Murano.

Coligny zmarszczył brew, stając przy krześle. Miał pełniejszą brodę, wręcz lśniła jak napomadowana. Jednak światło świec oszukiwało; dojrzałam, że mój gość ma kurze łapki i znacznie stracił na wadze.

— Panie, musisz być głodny — powiedziałam. — Proszę, usiądź.

— Zanim to zrobię, pani, muszę zapytać cię o to, co się stało w Amboise. Hugenoccy pastorzy są przerażeni, bracia również. Muszę... muszę wiedzieć.

Nie unikałam odpowiedzi.

— Co? Myślisz, że siedziałam tam jak Jezabel, podczas gdy rozlewano niewinną krew? To sobie wyobrażasz?

Ku mej uldze nie zawahał się.

— Nie. Myślę, że uczyniłaś co w twojej mocy, by to powstrzymać.

— Tak. Birago na pewno cię zapewnił, że sprzeciwiłam się temu, aby rozesłano za tobą list gończy. Na szczęście teraz, gdy jego eminenca dostrzegł, jak wielki błąd popełnił, nie ośmiela się go rozpoznać.

— Za późno — rzekł cicho.

— Dla tamtych nieszczęśników tak — zgodziłam się z nim — ale ufam, że nie dla nas. Teraz zasiądziesz ze mną do kolacji?

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Weszła Lukrecja, niosąc pierwsze danie, pieczoną gęś garniowaną karczochami z mojego warzywnika. Chyba go to zdziwiło.

— Sama sprowadziłam nasiona z Toskanii — wyjaśniłam.

— Nie ma lepszych karczochów nad florenckie.

— Są... przepyszne — zachwycił się. — Nie spodziewałbym się takich delicji na wsi.

— To jest wiejski dom. — Nalałam mu bordo. — Nie cierpię dworskich uczt. Dania są zimne, bo droga od kuchni do jadalni ciągnie się milami, i bywają tak doprawione korzeniami albo utopione w sosie, że nie wiesz, co jesz. Kiedy nie jestem na dworze, jem to, co rośnie w moim warzywniku. Tę gęś hodowano i zabito tutaj; nawet wino wytłoczono z moich winogron.

Uniósł kielich.

— Zdrowie waszej królewskiej mości.

— Katarzyny — poprawiłam go, gdy stuknęliśmy się szkłem. — Masz mi mówić „Katarzyno”.

Milczeliśmy podczas drugiego dania, kurczaków podlewanych sosem z kopru włoskiego. Coligny jadł z apetytem, nie certoląc się przy stole; w głębi serca był wiejskim chłopakiem. Między innymi dlatego przypadł mi do serca. Po latach kontaktów z mizdrzącymi się dworakami, zdradzieckimi kochankami, spiskującymi duchow-

nymi i aroganckimi szlachcicami widziałam w nim uosobienie całej galanterii, jaka jeszcze pozostała we Francji.

Przerwałam ciszę.

— Chciałabym, abyś wiedział, że mój syn żałuje tego, co się wydarzyło w Amboise. Nie zdawał sobie sprawy, jak straszliwa będzie kara Gwizjuszy.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Czy to nie podpis jego królewskiej mości widniał na rozkazie egzekucji?

Przełknęłam ślinę.

— Jego. Ale Franciszek był chory i został zmuszony przez Gwizjuszy. Nie miał pojęcia, co czyni. Widziałam, jak okropnie się czuł, gdy patrzył na śmierć tamtych ludzi.

— Nie tak okropnie jak wdowy po nich i sieroty. — Odchylił się od stołu, gdy Lukrecja zmieniała nakrycia. — Wasza... to znaczy, Katarzyno... obawiam się, że ten czyn zrodził głęboką nieufność wśród przywódców hugenotów. Uznali, że król jest równie krwiożerczym tyranem jak Filip, który w swoich dominiach morduje protestantów tysiącami.

Nie potrafił powstrzymać gniewu, który wkradł się w jego głos. Może uznał, że niepotrzebnie mi zaufał. Kiedy piłam wino i nalewalam sobie kolejny puchar, zdałam sobie sprawę, że ręce mi drżą.

— Wiem, jak nisko upadła reputacja mojego syna, wiem, że będzie spadać jeszcze niżej, jeśli się czegoś nie zrobi — powiedziałam. — Lecz pociesza mnie fakt, że równie wielkie potępienie spotyka Gwizjuszy. — Sięgnęłam po teczkę i przesunęłam ją po stole. — Znajdziesz tu edykt, który zamierzam ratyfikować w parlamencie. Gwarantuje hugenotom wolność sumienia. Możemy obalić Gwizjuszy i zapewnić bezpieczeństwo twoim braciom, ale potrzebuję twojej pomocy.

Czułam ciężar jego milczenia, gdy czytał edykt, na którego przygotowanie poświęciłam wiele dni. Wydawało mi się, że minęła wieczność. W końcu rzekł:

— Co rozumiesz przez „wolność sumienia”? Tu jest powiedziane, że hugenoci nie będą niepokojeni, jeśli będą postępować zgodnie z prawem. Ale obecne prawo zabrania im wszelkich zebrań służących wyznawaniu wiary.

— Rzec w tym, że prawo się zmieni. Na mocy mojego edyktu skrzywdzeni hugenoci będą mogli składać petycje królowi i odprawiać msze w swoich poświęconych kościołach.

Skinął głową.

— Zręczne posunięcie. Unieważnia edykt Gwizjuszy sankcjonujący prześladowania. — Odłożył papier. — I wierzysz, że król go podpisze?

— Teraz Franciszek jest pod moją opieką. Rozumie, jak paląca jest sytuacja.

Coligny sięgnął po kielich. Światło odbiło się na szlifowanym kryształach, rzucając złoty blask na jasne włoski na jego dłoniach.

— Czy rozważasz legalizację hugenockiej wiary? — spytał, podnosząc wzrok ku mnie. — Jeśli tak, napotkasz sprzeciw wielu katolickich panów, tak w Rzymie, jak i w Hiszpanii. Nie znajdziesz takiego, któremu byłoby w smak współistnienie naszych dwóch religii.

Zamierzałam uchylić się od odpowiedzi na to pytanie, gdyż nie wybiegałam myślą tak daleko, ale po chwili uznałam, że najlepiej będzie uczciwie rozpatrzyć ten problem.

— Nie potrafię powiedzieć, kiedy i czy w ogóle uda mi się zalegalizować waszą wiarę. Jak powiedziałaś, jest wiele przeszkód, a ja nie mogę zrobić sobie wrogów ani w Hiszpanii, ani w Rzymie. Wszakże dla mnie najważniejszy jest pokój w naszym królestwie. W innym wypadku mamy zbyt wiele do stracenia.

Sączył wino, nie odrywając ode mnie oczu. Nie odzywał się i pomyślałam, że być może zbyt dużo wyjawiałam. Przecież nadal był dla mnie obcą osobą.

— Jak mogę pomóc? — spytał w końcu.

Pozwoliłam sobie na uśmiech.

— Kontaktujesz się z hugenockimi pastorami i innymi przywódcami, prawda? Powiedz im o moim edyktie. Niech rozgłoszą o nim wśród wiernych i radzą powściągliwość, by nie dochodziło do zamieszek, gdy będę pracowała z parlamentem. — Wyobraziłam sobie, że w końcu wyzwolę kraj z terroru Gwizjuszy, i mój głos przybrał na sile. — Nie winię hugenotów za to, że pragną zemsty, ale musi zapanować tolerancja, jeśli mamy przetrwać.

— A Gwizjusze? Przywódcy protestantów chcą, żeby odsunięto ich od władzy. Uważają ich za zimnokrwistych morderców. Muszą zapłacić za to, co zrobili.

— Zgadzam się. Jednak nie możemy usunąć ich siłą, jeszcze nie teraz. Lecz wierzę w powodzenie tego przedsięwzięcia jak w nic do tej pory i wiem, że we Francji nie zapanuje pokój, dopóki Gwizjusze mają w niej władzę.

Odchylił się, przeczesując ręką krótko ostrzyżone włosy.

— Myślę, że mogę powiedzieć w imieniu większości naszych przywódców, iż również pragniemy pokoju. Ale nie wszyscy ugną się przed rozsądkiem.

— Czyżby? To znaczy? — Wiedziałam, że to co powie, nie będzie mi w smak, lecz musiałam wiedzieć. Musiałam poznać i pokonać wszelkie przeszkody niezależnie od tego, skąd pochodziły.

— Mówiąc prosto, morderstwa w Amboise podzieliły moich braci na dwie frakcje. Jedna pragnie żyć bez lęku. Druga pragnie tego samego, a na dodatek domaga się odsunięcia Gwizjuszy i dostępu do rządów. To nie takie proste, niektórzy zmieniają poglądy zależnie od okoliczności. Jeśli zależy ci tylko na swobodnym wyznawaniu wiary, ale twój dom zostaje spalony, zasiewy stratowane, a córki zgwałcone przez patrol Gwizjuszy, prawdopodobnie zmienisz stanowisko.

— A więc musimy rozstrzygnąć kwestie religijne i polityczne. — Zauważyłam drgnienie w jego oczach i dodałam: — Postaram się, by hugenoci mieli wpływ w radzie królewskiej. Nie wierzę, żeby różnice między nami uniemożliwiły znalezienie wspólnej płaszczyzny.

Wsparł dłońią podbródek.

— Kiedy przyjdzie czas, z przyjemnością przyjmę stanowisko na dworze. Musimy pracować razem, jeśli chcemy przywrócić Francji dawną chwałę. — Szczery uśmiech, pierwszy tego wieczoru, rozjaśnił mu twarz. — Wierzę, że masz najlepsze intencje. Stąd też porozmawiam z naszymi przywódcami i pastorami i postaram się, aby nikt nie próbował odwetu za Amboise. Ale potrzebuję na to czasu. Są rozproszeni, w tych niebezpiecznych czasach nikt nie odważa się spotykać w gromadzie. Będę musiał kontaktować się z nimi pojedynczo.

— Nie proszę o nic więcej. — Po raz pierwszy od kilku tygodni poczułam, że naprawdę może mi się udać zniszczyć wroga. Sięgnęłam po karafkę. — Żywię nadzieję, że spodoba ci się pokój, który

dla ciebie przygotowałam. Jest mały, ale mam niewiele wolnego miejsca, gdyż przebywam tu z dziećmi.

— Na pewno jest doskonały, jednak muszę podziękować za zaproszenie — odparł.

Przyjazny nastrój przysł. Powstrzymałam się od protestu. Oczywiście nie mógł zostać. Co prawda traktowałam Chenonceau jako schronienie, lecz żadne z nas nie mogło być pewne, że nie węszą tu szpiedzy Gwizjuszy.

— Naturalnie — powiedziałam, ukrywając zawód. — Zachowałam się bezmyślnie, uznając, iż może być inaczej.

— Nie — rzekł. — Zostałbym, gdybym mógł. Ale moja żona... jest chora.

— Och... Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Obawiam się, że tak. — Odwrócił wzrok. — Charlotta umiera. Kilka miesięcy temu wydała na świat córeczkę. — Mówił tak cichym głosem, że musiałam się pochylić, aby go usłyszeć. — Poród był ciężki, ale dziecko jest zdrowe. Potem Charlotta straciła pokarm; nie mogła karmić dziecka. Przestała jeść i początkowo myśleliśmy, że ma gorączkę spowodowaną zastojem pokarmu, lecz w miarę upływu czasu jej stan nie ulegał poprawie. Najęliśmy medyka i odkrył... — Z trudem przełknął ślinę. — Ma guz w piersi. Marnieje w oczach i nie można nic zrobić.

Aż za dobrze znałam bezradność towarzyszącą patrzeniu na umieranie współmałżonka i wyzutym z nadziei modlitwom o cud. Ucisnęłam jego spoczywającą na stole rękę.

— Poślę po naszego chirurga. Jeśli ktokolwiek może ją uleczyć, to tylko on.

Znieruchomiał. Cofnął rękę i wstał.

— Nie. Jest za późno.

To krótkie zbliżenie rozpało we mnie ogień. Coligny stanął w wykuszowym oknie. Podeszłam bliżej. Patrzyliśmy na okryty nocą ogród, w którym mimowicie zabawiali Marię i Franciszka w zdobionym cekinami pawilonie.

— Może jeszcze da się ją uratować. Kiedy jest szansa, nigdy nie wolno tracić nadziei.

Odwrócił się tak szybko, że znaleźliśmy się twarzą w twarz. Teraz mogłam rozróżnić ciemniejsze cętki w bladoniebieskich oczach, delikatne kurze łapki na skroniach, ostrą linię kości policzkowych



nad lśniącą brodą. Był nieco wyższy ode mnie; jego zabarwiony winem oddech rozlał się ciepłem na moim czole.

— Przypominasz mi ją — powiedział. — Też jest dzielna i śmiała.

Serce uderzyło mi żywiej pod stanikiem sukni.

— Nie... nie jestem nią — szepnęłam.

Dotknął mojej talii.

— Nie, nie jesteś. Charlotta nie ma twojej siły. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam, Katarzyno Medycejska.

Dźwięk mego imienia w jego ustach sprawił, że stanęłam w ogniu. Nikt na mnie nie patrzył jak on; żaden mężczyzna nie dostrzegł we mnie siły, on tak. Czułam się, jakbym miała się rozpuścić pod jego spojrzeniem, jakby otworzył we mnie miejsce, w którym zamknęłam potrzaskane szczątki młodości i marzeń — wszystko, czego się zrzekałam, przymuszona przez życie i czas.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że chcę tego mężczyzny. Że zawsze go chciałam.

Pożądanie rozpaliło mnie jak młode słońce; tak potężne, że próbowałam się odsunąć. Nie wypuścił mnie. Przyciągnął do siebie, przycisnął usta do moich ust, odbierając mi oddech. Straciłam wszelkie poczucie zdrowego rozsądku, mojego „ja”, zarazem tonąc i płonąc w świadomości tego, że po raz pierwszy w życiu jestem pożądana taka, jaka jestem.

Usłyszałam jego szept: — Tylko na tę noc — i to mi wystarczyło. To było wszystkim.

Poprowadziłam go przez mroczny pałac do schodów. Przez otwarte okna, wpuszczające łagodne powietrze wieczoru, wpadały dźwięki muzyki i śmiech. Moje dzieci i Maria Stuart cieszyły się zabawą; wreszcie ich młodzieńcza natura mogła dojść do głosu.

Lukrecja podniosła się z taboretu. Spojrzała na mnie przenikliwie w świetle księżyca wślizgującego się niczym jedwab przez gomółkowe okno. Dałam jej znak. Wzięła Mulette i wyszła bez słowa.

Moja sypialnia czekała; wysuszona na słońcu pościel — odgarnięta; aksamitna kapa, którą sama ozdabiałam haftami — złożona wpół. Anna Maria była z dziećmi; słysząc drzwi zamykające się za mną z metalicznym stuknięciem zamka, przeszłam jak we śnie do świeczki na gotowalni.

— Nie, zostaw — powiedział. — Chcę cię zobaczyć.

Czułam się jak tej nocy, kiedy po raz pierwszy poszłam z Henrykiem do łóżka, zagubiona i niepewna. Mało się nie roześmiałam w głos. Miałam czterdzieści jeden lat. Już byłam z mężczyzną. Wiedziałam, co robią kochankowie.

Coligny w niezwykły, wrodzony mu sposób odgadywał moje myśli.

— Nie bój się — rzekł.

Rozwiązał rękawy sukni i rozdział mnie. Suknia i halki rozłożyły się u moich stóp jak morska piana i stałam w koszuli, drżąc, ale nie z zimna.

Kierowana odruchem zrodzonym w ciągu wielu lat pożycia odwróciłam się, gotowa wejść do łóżka. Wtedy usłyszałam szelest opadających ubrań i metaliczne stuknięcie klamry pasa. Kiedy się obejrzałam, stał nagi. Ostro zarysowana bladokóra sylwetka.

Napawałam się jego widokiem. Był piękny, lecz zupełnie nie przypominał Henryka, znanej mi potężnej owłosionej postaci. Wiedziałam drobnego, szczupłego żylastego mężczyznę, same mięśnie i kości, demonstrującego absolutną pewność siebie z lekkim krzywym uśmiechem, który sprawiał, że nogi się pode mną uginały. Jego męskość wyrastała ostro w górę spomiędzy kępy włosów koloru brązu; widziałam żebra pod skórą, gdy szybko oddychał. Unosząc ramiona pokryte supłami muskulatury, rozwiązał siatkę na moim karku i uwolnił włosy, które spadły mi na ramiona.

— Jak ciemne morze — szepnął i przylgnął do mnie, kładąc mnie na łożu, a jednocześnie zsuwając mi przez głowę koszulę. Wszelkie wątpliwości rozwiały się, gdy poczułam jego dotyk, jakąś alchemią przemieniony w niebywałą, niemal nieznośną rozkosz. Igrał ze mną ustami i językiem; a gdy zaczęłam dygotać, wszedł we mnie. Wydałam krzyk, jaki nigdy wcześniej się ze mnie nie wyzwolił; spontaniczny wyraz niepohamowanej radości, uwolnienie duszy.

Obudziłam się przed świtem. Stał ubrany przy oknie. Odwrócił się, gdy niebo rozwinęło się za nim.

— Muszę iść — powiedział i usiadł przy mnie, pieszczotliwym gestem odsuwając mi włosy z twarzy. Spojrzał mi ze smutkiem w oczy.

— Żadnych przeprosin — rzekłam cicho.

Wyraz jego twarzy był łagodny, a przy tym poważny, znów taki jak przystało na pełnego rezerwy dworzanina.

— Nigdy nie wolno nam o tym wspomnieć — zastrzegłam i pogładziłam go po policzku. — Nie zrozumieliby tego. Mamy przed sobą wytężoną walkę, a powiedzieliby, że... że szukam pokoju z hugenotami, bo wzięłam cię do łóża. — Mówiąc to, zadrżałam wraz z pierwszym chłodem, który poczułam od wspólnej nocy, i ogarnął mnie przelotny lęk, iż może oddałam coś, czego z czasem pożałuję.

— Nie powiem nikomu na świecie — rzekł. — Nigdy nie zapomnij, że Bóg ma dla ciebie plan. Bez ciebie królestwo się rozsypie. Możesz uratować Francję, ale nigdy ich nie lekceważ. Pamiętaj, gdy tobie się wydaje, że trzymasz ich na dystans, nie przestają być tygrysami, a tygrysy wiedzą, kiedy zaatakować.

Ucałował mnie.

— Przyślę wiadomość, kiedy tylko będę mógł. Do tej pory nie wystawiaj się na ryzyko. Nawet dla mnie.

Przytuliłam rękę do jego policzka, rzeźbiąc w pamięci ukochane rysy.

— Niech cię Bóg prowadzi, Gaspardzie — szepnęłam.

Zabrał płaszcz i wyszedł.

Podniosłam ręce do twarzy. Jego zapach przylgnął niczym deszcz do moich palców.

## R O Z D Z I A Ł 21

Wyjechaliśmy z Chenonceau późną jesienią, gdy kasztany zaczynały zmieniać kolory i dzikie łabędzie gromadziły się na Cher, poszukując ostatnich żeru. Miałam czas porozkaszować się swoją tajemnicą, poprzeżywać ją w pamięci każdej nocy; jeździłam konno z Marią i troszczyłam się o Franciszka. Spędzałam czas z Karolem, Henrykiem, Margot i Herkulesem, pilnując ich nauki i dobra.

W wieku dziesięciu lat Karol okazywał zaskakujące podobieństwo do ojca. Był wysoki jak Henryk, miał grube opadające powieki Walezjuszy i ptasi nos. Lubił te same zajęcia: jazdę konną, polowanie, szermierkę i polowanie z sokołami. Kazałam zrobić dla niego łuk na miarę, żeby mógł ćwiczyć. Siedmioletnia Margot rozkwitała przedwcześnie w piękność o gęstych rudych włosach i kocich oczach, którym nic nie umykało. Jednak była przy tym leniwa, wolała się mizdrzyć do lustra i nakazałam jej ścisłą dietę, gdyż jak ją łatwo tyła. Inaczej ośmioletni Henryk: był szczupły jak klinga miecza, miał oliwkową karnację, długie rzęsy ocieniały mu ciemne oczy, w których gorzał proroczy blask. Ze wszystkich dzieci tylko on zdawał się wyczuwać zmianę, jakiej doświadczyłam.

Cieszyłam się każdą chwilą sam na sam z nimi, ale idylla nie mogła trwać wiecznie. Kiedy Gwizjusze przysłali wiadomość, że dwór jest w Orleanie i szykuje się do świąt Bożego Narodzenia, spakowaliśmy się i wyjechaliśmy. Dzieci paplały z ożywieniem, podczas gdy ja zbierałam siły do kolejnej bitwy.

Tymczasem po przybyciu dowiedzieliśmy się o tragedii.

Maria Gwizjuszka, regentka Szkocji w imieniu córki, zmarła po latach walk z protestanckimi lordami, którzy rządzą teraz króle-

stwem, dopóki nasza Maria nie przybędzie do ojczyzny lub nie wyznaczy następnego regenta. Maria obojętnie przyjęła polityczne rozdarcie u siebie, lecz była niepokieszona z żalu, że matka nie przyzwała jej w godzinie śmierci. Chociaż Gwizjusze ogłosili żałobę, zdawali sobie sprawę, że nasz sojusz, pozbawiony środków zapewniających bezpieczeństwo Szkocji, teraz jest tylko na papierze. Prestiż Gwizjuszy przygaś; na dwór przybyło niewielu możnych, których zaproszono na święta, w mieście wybuchały zamieszki, na każdym rogu wyrastał afisz nazywający Gwizjuszy „żądnymi krwi tyranami”. Żelazny uścisk, w którym trzymali Francję, osłabł.

Mnie pozostawała opieka nad dziećmi i Marią. Jej smutek wzbudził gorączkowy niepokój Franciszka, który nie mógł patrzeć na jej niedolę. Połączenie żałoby żony, dworskich intryg i codziennych wizyt jego eminencji okazało się zbyt wielkim ciężarem, tak że znów podupadł na zdrowiu.

Tym razem choroba, która go zaatakowała, okazała się bezlitośna. W ciągu kilku dni monstrualnej wielkości fistuła urosła mu w lewym uchu i wił się z bólu, spływając ropą i potem. Rozlokowałam się przy nim i trzymałam go, gdy krzyczał przeraźliwie, a lekarze debatowali nad sensownością użycia większej dawki laudanum.

— Durnie! — wrzasnęłam. — Patrzcie na niego! Złagodźcie jego ból albo, na Boga, każę was pościnać!

Maria stała nieopodal. Byłam gotowa ją przepędzić, myśląc, że jej widok wzmoże niepokój Franciszka, ale gdy zbliżyła się do jego boku i ujęła go za rękę, zamilkł niczym chore zwierzę ukojone dotykiem pana. Przyglądałam się temu zdumiona. Jej obecność działała na niego lepiej niż jakiegokolwiek środki uśmierzające, więc pozostawiłam go pod jej opieką. Musiałam stłumić niepokoje, które rosły wśród dworu.

Za każdym razem gdy opuszczałam komnaty syna, czy to aby zmienić ubranie, czy to aby się posilić, napotykałam gromady szepczących dworzan lub koso patrzących ambasadorów. Czekali w galeriach, szukając na mojej twarzy znaku, iż śmierć niebawem zgłosi swe prawa do mojego syna. Franciszek był bezdzietny; jego następcą był mój trzeci syn, dziesięcioletni Karol. Niemal słyszałam gorączkowe spekulacje dworu, który wyczuwał niestabilność władzy. Z czasem nabrałam zwyczaju przekradania się tylnymi, tajnymi korytarzami do mych pokoi. Tylko tam mogłam odzyskać siły.

Pewnej nocy zmęczona do cna czuwaniem przy łożu chorego, półprzytomna wróciłam do siebie. Mijając ślepy pokój, wyczułam czyjaś obecność. Szybko się odwróciłam. Wydałam zdławiony krzyk, widząc Nostradamusa. Jakby zmaterializował się z nicności.

— Śmiertelnie mnie wystraszyłeś! Jak się tu dostałeś?

— Drzwiami — rzekł. — Nikt nie zauważył. — Nosił prosty czarny strój z wysokim kołnierzem. Wspierał się na długim kiju. Był skupiony i sztywny jak to osoba w podeszłym wieku, chociaż w jego głosie odezwało się oschłe rozbawienie. — Byłabyś zaskoczona, pani, widząc, jak małą uwagę zwraca się na starych ludzi. — Zakończył łagodniejszym tonem: — Współczuję ci nieszczęść, które na ciebie spadły. Nie przybyłbym z tak daleka, aby cię niepokoić, gdybym nie czuł takiej potrzeby.

Cofnęłam się.

— Nie. Nie wolno ci o tym mówić.

Skłonił głowę na ramię.

— Jeśli ja tego nie powiem, jak się o tym dowiesz?

— Nie chcę wiedzieć! — Głos mi się łamał. — Mój syn umiera! Jeśli masz dla mnie choć trochę uczucia, nie będziesz mówił o dalszych cierpieniach. Nie jestem tobą. Wiedza o przyszłości zbyt wiele mnie kosztuje.

— A jednak musisz ją poznać, gdyż widziałem cię w wodzie. — Uderzył w mroczny ton. — „Najstarsza gałąź uschnie, nie sięgnąwszy osiemnastu, bezlistna, i dwie wyspy w niezgodzie. Młodsze drzewo dłużej panować będzie, wbrew tym, którzy chętni wypełnić królestwo krwią i zamętem”.

Zalała mnie czarna fala.

— Co... co to ma znaczyć?

Potrząsnął głową.

— Pytasz, a przecież wiesz. — Uniósł rękę. — Nie mogę dać ci czegoś, czego nie posiadam. Nie trzymam klucza. Jedyne ty go masz, gdyż taka jest twoja droga.

Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając za sobą pustkę. Chciałam za nim wrzasnąć, żeby wracał. Na co komu jasnowidz, który przemawia zagadkami i znika jak mgła? Jak jego mętne proroctwa miały mi posłużyć?

I nagle, bez ostrzeżenia, pojęłam.

Franciszek był moim najstarszym synem; nie miał dzieci. Wyspy w niezgodzie to religie. Mój następny syn, Karol, odziedziczy tron. Będzie rządził o wiele dłużej wbrew tym, którzy źle nam życzą. Wiedziałam, o kogo chodzi; o Gwizjuszy, moich śmiertelnych wrogów. Musiałam walczyć. Karol będzie mnie potrzebował znacznie bardziej niż kiedykolwiek Franciszek; będzie mnie potrzebował, abym orędowną w jego sprawach, dając odpór tym, którzy będą się starali rządzić za jego pośrednictwem, sprowadzając jeszcze większy chaos na Francję.

„Nigdy nie zapomnij, że Bóg ma dla ciebie plan. Bez ciebie to królestwo się rozsypie”.

Niebawem groziła mi utrata syna. W zamian otwierała się przede mną szansa uratowania jego domeny.

Wezwałam Biraga.

— Przygotuj wezwania podbite moją prywatną pieczęcią — poleciłam mu przytłumionym głosem. — Napisz do konetabla, do wszystkich możliwych, którzy chętnie widzieliby upadek Gwizjuszy. Przekaż im, że królowa matka pilnie wzywa ich na dwór. Przekaż, że to sprawa życia i śmierci.

Skinał głową.

— Czy jego królewska mość...?

— Wkrótce — szepnęłam. — Musimy być gotowi.

Pięć dni później, gdy trzymałam jego wymizerowaną rękę, mając u boku łkającą Marię i ponurych Gwizjuszy, mój syn, Franciszek II, wydał ostatni dech.

Nie dane mu było świętować osiemnastych urodzin.

CZEŚĆ V

1560—1572

*Burza*



Nie miałam czasu na żałobę.

Wróciliśmy z ciałem do Paryża. Zostało przekazane balsami-  
stom i Marii, królowej wdowie, którą jej krewni, Gwizjusze, ode-  
skortowali za mury Hotel de Cluny. W nocnej ciszy zapanował mróz,  
brat grudniowych śniegów, które okryły Paryż.

Od razu szczególnie zadbałam o Karola i resztę moich dzieci.  
Nikt nie mógł ich odwiedzać bez mojego pozwolenia, zwłaszcza  
Gwizjusze, i gdy tylko ogłosiłam oficjalną żałobę, zajęłam się dru-  
gim istotnym obowiązkiem.

— Jutro przybędą do nas panowie — poinformował mnie Bira-  
go, gdy wieczorem usiedliśmy w komnacie wyczerpani pracą.  
— Listy poszły również do Filipa Hiszpańskiego i Elżbiety Angiel-  
skiej, książąt niemieckich i niderlandzkich. Wyłuszczone w nich  
twoją sprawę, pani.

— Dobrze. — Odpięłam kryzę i odłożyłam na bok. — Są jakieś  
wieści od Joanny Nawarskiej?

Westchnął.

— Tak. Odpisała, że rozważy twoją ofertę gościny, ale nie sądzi,  
aby w środku zimy wytrzymała trudy podróży przez Francję.

— Ach tak? — parsknęłam. — No to świetnie. Nie cieszy mnie  
wizja biegania wokół niej ani jej burbońskiego mężusia. Moja pro-  
pozycja była podyktowana wyłącznie uprzejmością, niczym więcej.

Birago przeciągnął ręką po łysiejącej głowie. Dobijał pięćdzie-  
siątki; stracił większość włosów, a sterczące brwi podkreślały jego  
ostre rysy i głęboko osadzone oczy, zawsze czujne i uważne jak  
u drapieżnego ptaka.

— *Madama*, chociaż mówię to z największym obrzydzeniem, nie wydaje mi się, byśmy mogli tak szybko skreślić Antoniego Burbona. Zgodnie z prawem Karol do osiągnięcia stosownego wieku musi mieć regenta. W żyłach Antoniego płynie krew królewska; po twoich synach jest następny w kolejce do tronu. Poza tym to katolik i może wystąpić przeciw tobie, domagając się regencji.

Włokąc się do krzesła, roześmiałam się krótko i nieco na siłę. Lodowaty chłód przenikał stary Luwr i doskwierał mi ból w nogach. Najwyższy ogień na kominkach nie potrafił ogrzać tych murów.

— Ostatnio obito mi się o uszy, że jeśli Antoni w ogóle w coś wierzy, to w zawartość butelek z winem i umiejętności pracownic zamtuzów. Trudno mi sobie wyobrazić, by taka gnida stanowiła jakieś zagrożenie.

— Kiedy w grę wchodzi tron, nawet najgorszy grzesznik może się nawrócić.

— Innymi słowy, może się stać narzędziem Gwizjuszy. — Usiadłam, zastanawiając się. — No cóż, na razie możemy przyjąć, że Joanna nie zamierza pozwolić Antoniemu przybyć na dwór. Jak my musi być świadoma, iż jej mąż ma prawo do regencji, ale ostatnią rzeczą, na której jej zależy, jest jego sojusz z Gwizjuszami. Nienawidzi ich tak, jak tylko potrafi protestancka nienawidzić królowa. Myślę, że nie musimy się martwić jej mężem. — Przerwałam. — Są jakieś wieści o Colignym?

Zapytałam neutralnym tonem i nie okazałam nadziei, chociaż serce biło mi żywiej. Jednak Birago odparł:

— Napisał, że hugenoccy przywódcy obiecują się powstrzymać od dalszych działań. Będą czekać na skutki edyktu waszej królewskiej mości.

— A co na nasze zaproszenie na dwór...?

— W tej chwili nie może go przyjąć. Jego żona jest nadal chora i Coligny powiada, że musi być przy niej.

Zagryzłam wargę. Mój entuzjazm opadł skażony rozczarowaniem. Chociaż tęsknota nie dawała mi spokoju, nie mogłam się spodziewać niczego innego.

— Więc niech tak będzie — powiedziałam. — Działamy bez niego. Kiedy tylko przybędą panowie, zwołaj radę. Czas udzielić Gwizjuszom nauczki. Dobrze na nią zasłużyli.

Usiadłam u szczytu szerokiego dębowego stołu, podczas gdy wielmoże wchodzili jeden po drugim. Uśmiechałam się do każdego, notując w pamięci energiczne skinienie głowy konetabla i jedwabisty uśmiech jego eminencji. Chociaż nie był ucieszony widokiem starych wrogów, którzy otaczali go wianuszkami, nie wyglądał na kogoś, kto uznałby się za zwyciężonego.

— Gdzie twój brat, eminencjo? — spytałam.

— Przesyła wyrazy żalu — odrzekł — ale czuje, że powinien poinformować parlament o ustaleniach dotyczących pogrzebu świętej pamięci króla.

— Ach tak? — odpowiedziałam uśmiechem na jego uśmiech. — Powinien wpięrow spytać o pozwolenie. Zaprosiłam go osobistym listem, dobry czas temu.

Delikatne rysy kardynała stwardniały. Maską pojednawczości osunęła się, obnażając despotę. Ten dworak, którego wyćwiczony instynkt samozachowawczy nigdy nie spał, czuł, co się święci.

Pozostali czekali. Kiedy Birago usiadł obok mnie, dzierząc skórzaną tekę, przemówiłam:

— Opłakuję mojego syna Franciszka. Bóg postanowił wezwać go do siebie, pozostawiając nasze królestwo młodocianemu monarsze, naszemu nowemu królowi, Karolowi Dziewiątemu. — Urwałam. W gardle mi zaschło. Przepłukałam je łyżką wina. — Nauka rządzenia wymaga czasu, a Francja, jak wiecie, moi panowie, wielce potrzebuje kierującej doświadczonej dłoni. Stąd też zgłaszam propozycję mojej osoby na regentkę, dopóki Karol nie osiągnie pełnoletności.

Konetabl skinał przyzwalająco głową. Widziałam triumf na jego pomarszczonej twarzy; czuł się pomuszczony za wygnanie, do którego po śmierci mojego męża doprowadzili Gwizjusze. Pozostali milczeli, zachowując twarze bez wyrazu. Ale nie oni przysparzali mi bólu głowy, tylko kardynał. Osaczyłam go, lecz nie wyrwałam mu kłów.

Wykrzywił usta.

— Zakładam, że wasza królewska mość zachowa ten skład rady?

— Tak, z jednym dodatkiem. W stosownym czasie dołączy do nas admirał de Coligny.

— Za pozwoleniem, ale czy to nie heretyk? — wycodził.

— Mój siostrzeniec ma takie same kwalifikacje jak każdy obecny tu pan — zawarczał konetabl.

— Nie kwestionuję jego kwalifikacji, tylko raczej jego postawę wroga wobec nas — odparł kardynał.

— Teraz ja podejmuję decyzje — przerwałam mu. — Coligny zajmie miejsce w radzie, gdy tylko król wyrazi na to zgodę. — Popatrzyłam po innych, nie widząc śladu sprzeciwu. Być może plotki o herezji Coligny'ego były powszechne, ale wyglądało na to, że nie zadeklarował się otwarcie.

Jego eminencja złożył w daszek długie palce i ukrył za nim twarz. W zapadłej ciszy Birago wyjął z teczki dokumenty.

— Panowie — rzekł. — Mam tu oficjalną proklamację regencji jej królewskiej mości królowej matki. Zechciejcie złożyć pod nią podpisy.

Po kilku godzinach poszłam zjeść zimną kolację. Zanim wszedł Birago, wymiotłam z talerzy do ostatniego kąska. Lukrecja sprzątnęła stół i usiedliśmy z Biragem przy kominku.

— *Madama*, chociaż dzisiaj odnieśliśmy zwycięstwo, daleko nam do pełnego sukcesu. — Wyprostował nogi. — Moi szpiedzy mówią, że Pokierszowany ani razu nie pokazał się w parlamencie. Udał się do rodzowego gniazda, Joinville w Szampanii, gdzie trzyma wielu najemników. Obawiam się, że spiskuje przeciwko tobie.

— Nie spodziewam się po nim niczego innego. Ale Joinville, najskromniej licząc, jest o tydzień jazdy od Paryża. Jakiegokolwiek są ich cele, nie zdołają postawić na nogi armii, byśmy wpierw się o tym nie zwiedzieli, zgadza się?

Birago skinął głową.

— W rzeczy samej. Mam nieomalże tylu szpiegów co Gwizjusz najemników. — Przerwał. — Wiem, że bardzo cenisz Coligny'ego, *madama*, jednak przydzielenie mu miejsca w radzie może się okazać niezbyt przemyślaną decyzją. Na razie katoliccy panowie godzą się na twoją regencję, ponieważ już nie ufają Gwizjuszom, ale nie będą tacy ulegli, gdy wszyscy się zorientują, jaka jest wiara Coligny'ego.

W ciszy, która zapadła po jego słowach, słyszałam wiatr jęczący pod murami pałacu. Birago wiedział. Moje komnaty były królestwem Lukrecji; widziała, jak Coligny wchodził tam ze mną. Nie

miałam do niej pretensji. Na pewno się martwiła; chciała mnie chronić i zwierzyła się Biragowi. Był moim doradcą.

— Coligny ma znaczące wpływy wśród swoich — powiedziałam w końcu. — Potrzebujemy współpracy liczących się hugenotów, aby wprowadzić w życie mój edykt.

Birago spojrzął mi prosto w oczy.

— Rozumiem. Jednakże muszę cię prosić, pani, byś nie pokładała w nim zaufania, póki nie okaże się go wart.

— Tak, oczywiście — wymruczałam. — Jestem ci wdzięczna za szczerść i odwagę w postawieniu sprawy.

Wyszedł. Wzięłam Muette i udałam się do sypialni. Gdy szykowałam się do snu, w myślach pieściłam prężne ciało Gasparda, czułam jego ręce zaplątane w moje włosy, jego usta na moich piersiach...

Tamtej nocy nie zasnęłam.

Boże Narodzenie było ponure; Maria pozostała za murami Hotel de Cluny i przyciszony żałobny orszak towarzyszył nam, gdy chowaliśmy mojego syna w Saint-Denis. Następnie wróciłam do Luwru, by dalej zajmować się Karolem.

Poczułam ulgę, gdy po Nowym Roku jego eminencja, pozbawiony wszelkiej władzy poza miejscem w radzie, przyjął zaproszenie z Rzymu, gdzie miał uczestniczyć w soborze zwołanym w związku z nawałą herezji w Europie. Podczas gdy kardynał udał się na teologiczne debaty, mające potrwać dobre kilka miesięcy — taką przynajmniej żywiłam nadzieję — a Pokierszowany tkwił zniecierpliwiony, lecz bezradny w Joinville, mogłam swobodnie i wedle własnego zdania zorganizować życie dworu, wprowadzając przy tym nowy program zajęć Karola.

Jak wcześniej Franciszek, mój dziesięcioletni syn był przygnieciony królewskimi obowiązkami i ograniczeniami, które narzucał mu jego status.

— Będę mógł dalej polować z sokołami, kiedy zechcę? — spytał, gdy staliśmy w jego obwieszonym szkarłatnymi i złotymi gobelinami pokoju.

— Oczywiście — zapewniłam go. — Uważaj na palce. — Karcił kawałeczkami mięsa nowego ulubieńca, który przycupnął na drażku przy łóżku. Był to świeży prezent przysłany od Elżbiety z Hiszpanii.

Poprawiłam lok zmierzwionych czarnych włosów, który opadł mu na czoło.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, byś polował z sokołem czy bez, ale teraz jesteś królem, moje dziecko. Musisz się nauczyć władać krajem. Birago ci w tym pomoże; uczył się prawa we Florencji i może ci podszeptować, jak należy rządzić.

Karol się skrzywił.

— Franciszek mówił, że nie cierpi być królem. Podobno Gwizjusze siedzieli mu na karku we dnie i w nocy i nigdy nie miał czasu dla siebie. Nawet wypytywali go, jak często sypia z Marią, i wściekli się, gdy powiedział im, że jest dla niego jak siostra. Birago nie będzie mnie tak dręczyć, prawda?

Poczułam ukłucie winy, gdy pomyślałam, w jak niewielkim stopniu mogłam osłaniać Franciszka. Był moim pierworodnym, triumfem po latach bezpłodności; nadal pamiętałam, jaki był śliczny, dziecko delikatne niczym faun, i jak rozpaczał pozbawiony Diany, gdy przejęłam obowiązek opieki nad nim. Żadne jej okrucieństwo wobec mnie nie dorównało odebraniu mi syna. Nie mogłam pokazać Franciszkowi, jak bardzo go kocham.

Zmusiłam się do uśmiechu i skupiłam na Karolu. Podobnie jak Franciszek wczesne dzieciństwo przeżył w cieniu Diany, ale teraz był mój. Postanowiłam zrobić wszystko, aby stał się silny i zdrowy, król w każdym calu.

— Szpony Gwizjuszy już tu nie sięgają — rzekłam. — Nie musisz się bać.

Wzruszył ramionami, pozornie zajęty swoim sokołem. Następnie rzekł z tą niezwykłą przebiegłością, którą dzieci czasem okazują:

— Jeśli ty masz być moją regentką, to dlaczego nie możesz mną pokierować?

Parsknęłam śmiechem.

— Bo ja też mam wiele nauki. A teraz pożegnaj się z sokołem. Birago czeka na ciebie. Do nauki!

Gdy pochyliłam się, całując go w policzek, uściskał mnie kurczowo.

— Kocham cię, mamusiu — wyszeptał. — Obiecuj, że nigdy nie pozwolisz, żeby Gwizjusze znów robili nam krzywdę.

Z całego mojego potomstwa był najskrytszy, ale widziałam jego rozpacz i ból po śmierci ojca, wiedziałam też, że jest niezwykle wrażliwy.

— Obiecuję — powiedziałam cicho. — Nigdy więcej nie zrobię nam krzywdy. Nigdy. Pierwej zginę.

Zostawiłam go i zajrzałam do Herkulesa, któremu dokuczała kolka. Następnie udałam się do Margot i Henryczka, którym ustanowiłam sztywny program nauki, i wróciłam do swego podstawowego zadania — zarządzania królestwem.

Nie kłamałam, mówiąc, że mam wiele nauki. Chociaż byłam królową, nigdy nie sprawowałam monarszej władzy. Wyjątkiem był okres wojen o Mediolan. Teraz musiałam się uporać z pustką w skarbcu, biedą ludu i frakcjami w rządzie. Francję niszczył głód, pokłósie ostrych zim i letnich susz, kazałam więc otworzyć królewskie spichrze i wydawać zboże. Birago zasugerował zmianę systemu podatków, obciążenie nie mieszczaństwa, ale szlachty; najbardziej wszakże byliśmy zajęci przepchnięciem w parlamencie mojego edyktu o tolerancji. Napotkaliśmy gorące sprzeciwy i dopięliśmy swego, zyskując zaledwie niewielki procent głosów przewagi; teraz hucnoci mogli w pokoju wrócić do prowadzenia interesów i wyznawania swojej wiary.

To był mój pierwszy triumf jako regentki i żeby go uświetnić, urządziłam pierwszą oficjalną audiencję Karola.

Nie dysponując żadnymi dodatkowymi środkami, musieliśmy się zadowolić tym, co mieliśmy. Lukrecja, Anna Maria i ja mało nie oślepiłyśmy, gdy kłując sobie palce, przerabiałymy stare królewskie szaty, aby pasowały na drobną postać naszego młodocianego króla. Z równą troską ubrałam pozostałe dzieci; Henryczek, nowy następca tronu, teraz pysznił się srebrnym kaftanem, do którego włożył nausznice z perełkami. Natychmiast podchwyciono ten styl. Margot miała suknię z czerwonego jedwabiu, a Herkulesa wcisnęłyśmy w lazuruwe aksamity, dodając mu zawadiacki biret.

Maria Stuart pojawiała się w żałobnej bieli i welonie. Chociaż jej okres separacji od świata miał się ku końcowi i dzieci ją obiegły, wydawała mi się zagubioną istotą niepewną jutra. Wzdrygałam się na myśl, iż muszę poruszyć z nią ten drażliwy temat, ale wiedziałam, że to nieuchronne, w innym wypadku uprzedziliby mnie Gwizjusze. Tak więc w dzień po audiencji napisałam do Kośmy Ruggieriego, żądając horoskopu. Miałam nadzieję, że gwiazdy wskażą mi rozwiązanie najbliższych problemów.

Zaniedbałam Kosmę, zostawiając go jego sprawom w pałacu Chaumont, i byłam wstrząśnięta, gdy wreszcie się zjawił. Wyglądał tak, jakby od tygodni nie miał niczego w ustach. Wychudł jak szczapka, zostały z niego sama skóra i kości. Czarne ślepia urosły mu jeszcze bardziej i lśniły niesamowitym blaskiem.

Na mój widok westchnął dramatycznie.

— Zrobiłem wszystko, na co było mnie stać, chociaż obawiam się, że nie jestem wielkim Nostradamusem. Nie potrafię wróżyć z misy z wodą.

Mało brakowało, a przewróciłabym oczami. Piękny początek, nie ma co.

— Chyba nie widzisz tu Nostradamusa, no nie? Do roboty. Przywiozłeś horoskop? Co mówi?

Wbiłam oczy w skomplikowany wykres, który wyjął ze skórzanej tuby i rozwinął. Wskazał pewną linię i przesunął palcem wzdłuż niej.

— Spójrz tutaj, pani; to zaćmienie w znaku Lwa oznacza wojnę.

— Wojnę? — Podniosłam wzrok, zaskoczona pewnością w jego głosie. — Jesteś przekonany?

— Tak. Wojna jest nieunikniona. Gwiazdy nie kłamią.

Chciałam go skarcić, ale się powstrzymałam. Jego ojciec nie byłby tak pewny. Mistrz powiadał, że przyszłość jest nieprzewidywalna. A jeśli tak, zawsze można poszukać sposobu zapobieżenia nieszczęściu.

— Kiedy tylko odpoczniesz, zaraz wracaj do Chaumont — powiedziałam. — Kup nowe astrolabium, nie zważając na koszt. Muszę wiedzieć, jak się potoczy wojna. Potrzebuję imion, dat, nazw miejscowości. — Już miałam go odesłać, gdy przypomniałam sobie powód, dla którego go wezwałam. — Czy widzisz coś w gwiazdach dla Marii Stuart?

Skinął głową. Powieki na ciemnych oczach, przyćmiewających wychudłą twarz, ani drgnęły.

— Widzę małżeństwo, które sprowadzi wielkie nieszczęście. — Przerwał. — Zakładam, pani, że wiesz, kim jest Don Carlos?

Znieruchomiałam. Mówił o księciu Hiszpanii, synu Filipa.

Następnego dnia udałam się do apartamentów Marii. Wyglądała lepiej; miała rumieńce, nawet nabrała ciała, a jej włosy — blasku. Dzięki Bogu.



— Moja droga, chciałam się przekonać, jak ci się wiedzie — powiedziała, gdy wymienialiśmy pocałunki. — Pobyt w zamknięciu bywa bardzo ciężki, ale wydaje mi się, że zniosłaś go całkiem nieźle.

— Upierali się, że mogę nosić dziecię pod sercem. — Uśmiechnęła się. Nie mówiąc tego, obie wiedziałyśmy, że jej związek z moim synem nigdy nie został skonsumowany. — Powiadają też, że mogę wrócić na dwór. Ale przecież Franciszka już nie ma. Czuję, że to nie moje miejsce.

Nic na to nie odparłam. Zdałam sobie sprawę, że przeszła przemianę; nasza rozpieszczana królowa, zostawszy wdową, zrobiła bilans swojego życia. Wiedziałam, że pewnie doszła do niewesołych wniosków, lecz nie pozwoliłam sobie na współczucie. Musiałam przeprowadzić to, z czym przyszłam, bez względu na skutki.

— Moja droga, obawiam się, że przynoszę nie najlepsze wieści — zaczęłam łagodnie. — Mam powód wierzyć, iż twój wujowie... iż zamierzają wydać cię za Don Carlosa, następcę Filipa.

Zamruła zaskoczona.

— Przecież on jest szalony. Nie nadaje się do rządzenia. Wszyscy o tym wiedzą.

— Obawiam się, że według twoich wujów to żadna przeszkoda. Gniew zaiskrzył w jej oczach.

— Dopiero co straciłam Franciszka. Chyba nie myślą, że chętnie przystanę na takie pomysły?! — Obie spojrzałyśmy na drzwi, na wpół oczekując, że wpadną jej damy dworu. Kiedy to nie nastąpiło, dodała napiętym głosem: — Co mogę uczynić, aby temu zapobiec?

Kolejne zaskoczenie. Podczas naszej ostatniej poważnej rozmowy oskarżyła mnie o herezję. Splotłam dłonie.

— Nadal jesteś królową Szkocji, prawda?

Skinęła głową i zmarszczyła czoło. Potem zastygła.

— Myślisz, że powinnam...?

Chociaż nie przyszło mi to łatwo, spojrzałam jej w oczy. Sama wszystkimi możliwymi sposobami walczyłam, aby pozostać we Francji; szukając ratunku, poniżyłam się i spiskowałam z najbardziej nienawistną mi osobą. Oczekiwałam po Marii, że również się nie podda; więcej, byłam tego pewna, jako że w przeciwieństwie do mnie miała wybór. Gdyby odmówiła Don Carlosowi, Gwizjusze mogliby zaproponować jej rękę Karolowi. Wtedy znalazłabym się

w potrzasku i właśnie dlatego nie mogłam się cofnąć; nie było innego sposobu.

— Nie pamiętam Szkocji — powiedziała bardziej do siebie, do poruszanych wiatrem zasłon, niż do mnie. — Ale to moje królestwo. — Uniosła rękę do twarzy. Na szczupłym białym palcu już nie było obrączki. Odwróciła się do mnie. — Może w Szkocji znów będę szczęśliwa.

Współczułam jej całym sercem, bo wiedziałam, że utrata małżonka otworzyła w niej pustkę, której nic nie zapełni. Franciszek miał swoje wady, lecz jego śmierć zwiastowała koniec jej niewinności.

— Będiesz, jeśli takie jest twoje pragnienie — powiedziałam. Na widok jej uśmiechu krajało się serce.

— Już miałam, czego pragnęłam. Teraz muszę wypełnić mój obowiązek.

Wzięłam ją w objęcia. Nigdy nie byłyśmy sobie bliskie, ale w duszy prosiłam Boga, aby otoczył ją opieką.

Miała rację; obie musiałyśmy wypełnić swoje obowiązki. Taka była cena uprzywilejowanej pozycji, korony. Przed poczuciem bezpieczeństwa, nadziejami i marzeniami szło dobro naszych krajów.

Lato przemieniło się w jesień.

Nie byłam przy tym, jak Maria informowała Gwizjuszy o swej decyzji, lecz wyobrażam sobie wrzawę, jaką wywołała. Niemniej cokolwiek wtedy zaszło, skryła to nieprzenikniona tarcza rodzinnej jedności, gdy Maria przyjmowała szkockich panów, którzy mieli jej towarzyszyć w drodze do ojczyzny.

W dzień jej wyjazdu mgła unosiła się nad ziemią, chowając wozy i karety orszaku. Przy trzasku batów Maria wyruszyła w drogę do Calais, gdzie czekały galeony mające przewieźć ją do Szkocji.

Jej powóz już zniknął, gdy wychyliła się z okna, unosząc w pożegnaniu obleczoną w białą rękawiczkę dłoń.

Miesiąc potem dostałam wiadomość od Coligny'ego, krótki list, w którym domagał się, abym spotkała się z nim w niewielkim miasteczku Vassy.

— To nieopodal ziemi Gwizjuszy — rzekł Birago. — Cztery, pięć dni jazdy z Paryża. Cemu chce, żebyś się tam udała, pani?

— Nie wiem. — Jeszcze raz zerknęłam na list, zanim spojrzałam w jego zaniepokojone oczy. — Ale nie wątpię, że ma dla mnie coś ważnego.

— W takim razie mógł tu przybyć. Ani to bezpieczne, ani mądre, żebyś do niego jechała. Co będzie, jak ktoś się dowie? Jeszcze nie pokazał się na dworze i wielu katolików nadal wierzy, że maczał palce w tym, co się wydarzyło w Amboise.

Nie mogłam mu powiedzieć, że podczas ostatniego spotkania Coligny zakazał mi jakichkolwiek ryzykanckich kroków, dlatego też miałam pewność, że nie wzywałby mnie, nie będąc pewien mojego bezpieczeństwa.

— Nie miał nic wspólnego z Amboise — powiedziałam. — I nie bardzo sobie wyobrażam, że mogłoby mi coś grozić. Jednak na wszelki wypadek udam się potajemnie; możemy ogłosić, że jadę w odwiedziny do Klaudii, do Lotaryngii. Jest przecież w pierwszej ciąży i to logiczne, że chcę ją zobaczyć.

— *Madama*, pomyśl o tym, co robisz — nalegał, lecz żadne argumenty ani zaklęcia nie mogły mnie zniechęcić. Rozpaczliwie pragnęłam się wyrwać z dworu, poza krąg wiecznych utarczek i intryg. Pragnęłam znów poczuć się kobietą wolną od zasadzek władzy.

Birago narzekał, zapewnił mi jednak silną straż i chłodnego poranka wyjechałam z Luwru okryta opończą. Sakwy z osobistymi rzeczami miałam przytroczone do siodła.

Dosiadałam zwinnej klaczy, ale czasy, kiedy polowałam konno, dawno już minęły. Kiedy wypadliśmy galopem poza bramy Paryża, przed nami rozścieliła się szeroka droga, w której tkwiły kamienne płyty położone jeszcze przez Rzymian. Rozkoszowałam się ukąszeniami wiatru pędzącego śnieżne płatki; wokół rozpościerały się równiny, nad sobą miałam cudowną lazurową kopułę nieba, jakże często oglądaną we Francji. Tak długo byłam skazana na pobyt wśród murów, że zapomniałam smaku tej najzwyczajniejszej przyjemności, jaką niesie przebywanie poza nimi, na łonie natury. Jednak w miarę jak rosła odległość od stolicy i zatrzymaliśmy się na gotowe popasy w przydrożnych karczmach, ujrzałam także ponure znaki chaosu, skutki religijnej niezgody. W pewnym miasteczku napotkaliśmy spalony katolicki kościół, święte obrazy i dzwon leżące w szczątkach na ziemi; w innym zbezczeszczonej hugenocką świątynią, którą rozpoznać się dało po dziwnym krucyfiksie z gołębicą u podstawy. Czerwony napis **HERETYCY** szpecił rozbite drzwi. Odór krwi i dymu wisiał w powietrzu jak echo.

Widziało się oznaki głodu, zwłaszcza na wsiach, gdzie osamotnionym wieśniakom pozostawało jedynie szukanie szczątków pożywienia w rozmokłej ziemi. Wychudzone bydło grzęzło kopytami w błocie, a wynędzniała, owrzodzona i owinięta szmatami dzieciarnia grzebała w stosach odpadków. Te obrazy przypominały mi oblężenie Florencji, bezsensowne wojenne zniszczenia. W uszach znów zabrzmiały mi niepokojące słowa Kośmy. Żałowałam, że nie posłałam po niego przed wyjazdem, nie zażądałam zamówionych horoskopów.

Kiedy smagani dokuczliwym deszczem dotarliśmy pod mury Vassy, byłam smutna i bardziej zdecydowana niż kiedykolwiek, że nie dopuszczę do tego, aby nieszczęścia, które za panowania Franciszka sprowadzili na kraj Gwizjusze, się powtórzyły.

Zatrzymałam się w domu poleconym przez sieć informatorów Biraga; dostałam obszerną izbę, wysprzątaną i przygotowaną tylko dla mnie. Siedziałam na wygodnym krześle przed kamiennym kominkiem, gdy przybył Coligny.

Stał na progu, ociekając wodą. Kiedy odrzucił kaptur ciemnego płaszcza, odsłaniając błyszczące oczy, roześmiałam się.

— Nie myślałeś, że przyjadę!

— Nie. Wiedziałem, że to zrobisz. — Podszedł szybkim krokiem, otaczając mnie zapachem mokrej wełny. W jednej chwili objął mnie ramionami, miażdżąc usta głodnym pocałunkiem, który w okamgnieniu usunął całe zmęczenie. Bez słowa mnie rozebrał, zaniósł do łóżka i kochaliśmy się z ferworem, który odebrał nam oddech, gdy leżeliśmy spleceni jak fale burzliwego morza.

Kiedy daliśmy folgę zmysłom, wyjęłam z bagaży resztki sera, fig i chleba. Zaniósłam to do łóżka i jedliśmy palcami, siedząc na modłę Turków i pieszcząc się nawzajem. Gładziłam jego brodę, teraz gęstsza i bardziej zmierzwią, zachwycając się jej sprężystością, a w końcu, gdy skrzyżował ręce za głową, westchnął i położył się na poduszkach, spytałam:

— A więc po co mnie tu sprowadziłeś? Co jest tak ważne, że nie mogłeś przyjechać na dwór, aby mi o tym powiedzieć?

Podał mi rękę.

— Chodź bliżej. — A gdy spoczęłam na jego szerokiej piersi, wdychając odurzający zapach męskiego ciała, szepnął: — Chciałem, żebyś zobaczyła cud, który stał się dzięki tobie.

Mówił głosem przepełnionym uczuciem, radością, namacalnym żarem.

— Co to jest? — dałam mu sówkę w bok. — Powiedz!

— Nie. — Przygwoździł mnie kościstymi goleniami. — Zaczekaj. Zobaczysz jutro.

— Chcę wiedzieć teraz... — zaczęłam protestować, ale pocałował mnie w usta i zapomniałam, czego chcę. Zapomniałam o wszystkim poza jego ciałem poruszającym się we mnie.

Rano zabrał mnie poza Vassy, do stodoły na leśnej polanie. Kiedy się do niej zbliżyliśmy, usłyszałam dobiegający ze środka śpiew. Odwróciłam się do Coligny'ego.

— To... to msza.

Skinał głową, wiodąc mnie do tchnącego pleśnią wnętrza. Zatrzymałam się za rzędami kobiet, mężczyzn i dzieci. Śpiewali, unosząc głowy. Wcześniej słyszałam tylko psalmy łacińskie; widziałam tylko ostentacyjny przepych naszych kościołów. Stałam wniebowzięta na widok prostoty tego zgromadzenia; w powietrzu unosiła się woń

bydła i siana, na belkach dachu przysiadły gołębie; śpiewno po francusku, z niesłychanym wigorem i radością, jakże inaczej niż podczas dostojnego, niezrozumiałego zawodzenia po łacinie, wśród którego wyrosłam.

Coligny się uśmiechnął.

— To hugenocki kościół. Tu odprawiamy msze. Szukamy Boga nie w rytuałach i kadzidłach, ale w świętowaniu Jego słowa. To stało się możliwe dzięki tobie. Twój edykt dał nam pokój.

Przycisnęłam ręce do ust. Łzy napłynęły mi do oczu.

— Po mszy ludzie chcą się z tobą spotkać — rzekł. — Chcą ci podziękować.

— Wiedzą, że... tu jestem?

— Dowiedzą się, jeśli na to pozwolisz. — Uśmiechnął się szeroko. — Nie ma powodu do obaw. Sama się przekonasz, że to nie diabły ani zdrajcy, którzy chcą rozszarpać królestwo na kawałki. Jesteśmy prostymi poddanymi, pełnymi wdzięczności wobec ciebie i twojego syna, króla Karola, za to, że możemy być ra...

Doleciał nas łomot końskich kopyt i odwróciliśmy się w miejscu. Wierni go nie słyszeli, pochłonięci śpiewem, ale Coligny złapał mnie za ramię i pociągnął do najbliższych bocznych drzwi.

— Jedź — szepnął. — Już! Jedź najszybciej, jak się da.

Kiedy wypchnął mnie ze stodoły, okazało się, że mój strażnik czeka blisko, trzymając konia za uzdę.

— Wasza królewska mość musi natychmiast odjechać.

Z bijącym sercem dosiadłam konia, patrząc na stodołę, z której dobiegał dźwięczny głos Coligny'ego. Rozległ się przenikliwy kobiecy krzyk. Kiedy strażnik pociągnął mojego konia w kierunku zarośli, gdzie uwiązał swojego wierzchowca, dostrzegłam ludzi w kolczugach galopem okrążających stodołę z drugiej strony.

— Zaczekaj — powiedziałam, ale zamiast władczego tonu z gardła wydobył mi się tylko szept.

— To najemnicy Gwizjuszy — ostrzegł strażnik. — Wasza królewska mość, proszę, przysiągłem cię chronić.

— Nie!

Wyrwałam mu wodze. W tej samej chwili ujrzałam ludzi wybiegających ze stodoły, a wśród nich odzianego na czarno Coligny'ego. Niektórzy biegli między drzewa, szukając schronienia; inni ogarnięci zgrozą zatrzymali się jak wryci. Jezdni okolili stodołę, zniżając

piki, jakby szykowali się do ataku. Któryś z nich wrzucił przez otwarte drzwi zapaloną pochodnię i wewnątrz od razu zajęło się ogniem; usłyszałam przeraźliwe wrzaski i zrozumiałam, że nadal są tam ludzie. Płonęli żywcem. Ze zgrozą, nie wierząc własnym oczom, patrzyłam, jak hugenoci padali pokotem; ostre żeleźca pik odrąbywały głowy, kończyny; tryskała krew. Słyszałam krzyki i daremne wołania o łaskę, a gdy dojrzałam niedającą się pomylić z żadną inną postacią na wielkim bojowym siwku, nierówną blizną widoczną nawet w cieniu hełmu i wyciągniętą jak u anioła zemsty rękę, wściekle kopnęłam obcasami konia.

Moja łagodna klacz stanęła dęba, mało nie zrzucając mnie na ziemię. Odwróciłam się w siodle, spodziewając się widoku strażnika, i zobaczyłam dosiadającego konia Coligny'ego. Ręką w rękawicy mocno trzymał warkoczyki ogona mojej klaczy.

— Obiecałem ci, że będziesz bezpieczna. — Spotkał się ze mną wzrokiem. Widząc na jego obliczu smutek i ból, chciałam głośno krzyczeć z rozpacz. Dał znak strażnikowi. — Zabierz jej królewską mość do Paryża. — Po tych słowach nasunął na głowę kaptur i popędził przed siebie, mijając Pokierszowanego i jego najemników, którzy kontynuowali rzeź. Ich śmiechy brukały powietrze.

Nikt mnie nie dostrzegł, gdy wraz ze strażnikiem popędziliśmy przez las.

— Ilu? — Stałam w Luwrze, nie zmieniawszy brudnej sukni, w której jechałam bez popasania. Zmierzwione włosy opadały mi na twarz; Lukrecja wcisnęła mi w pocięte wodzami ręce pucharek cydru z korzeniami.

Birago podniósł wzrok znad raportu od swoich informatorów. Otrzymał go, gdy jeszcze byłam w drodze.

— Co najmniej stu, może więcej. Każdy katolik w Vassy ruszył na wezwanie Pokierszowanego. Wieszali pastorów na drzewach, palili domy i warsztaty hugenotów. — Patrzył na mnie ponuro. — Nasze obawy się ziściły. Książę Gwizjusz wypowiedział wojnę hugenotom i tobie, pani. Wybacz mi. Zawiodłem. Moi szpiedzy nie wytropili jego planów.

— Nie, to nie twoja wina. Skąd mogłeś wiedzieć? — Wolno, ciężkim krokiem przeszłam do krzesła. — Nikt nie mógł tego przewidzieć. — Zaczęłam pić, ale nagle cisnęłam pucharkiem, roztrza-

skując go o boazerię. — Tam były kobiety i dzieci — wyszeptąłem drżącym głosem. — Niewinni, którzy nie uczynili niczego złego. Jeśli Pokierszowany dopnie swego, żaden hugenot nie pozostanie przy życiu. Wprowadziłem edykt gwarantujący im prawo wyznawania wiary w pokoju, a on go złamał. Chcę, żeby został aresztowany. Na Boga, zapłaci za to.

— Jeśli nakażesz go aresztować, pani, może doprowadzić do tego, że cała Francja stanie w płomieniach.

— Niech spróbuje. — Bez mrugnięcia spojrzałem Biragowi w oczy. — To zdrajca. Musi stanąć przed królem i odpowiedzieć na oskarżenia. Sam, bez broni. Przygotuj nakaz. Czas, żeby Gwizjusze się nauczyli, że nie jestem kimś, z kogo można sobie stroić żarty.

Przy okrzykach: — *Vive le Balafre!* — niekończący się szereg uzbrojonych w piki żołnierzy i najemników wkroczył na dziedziniec; prowadził ich okuty w srebrną zbroję przywódca.

Stojąc na balkonie, przyglądałem się morzu żołądactwa, które zapełniło całą przestrzeń. Królewska gwardia nie liczyła nawet połowy tej masy.

— Gdzie konetabl? — spytałem przez zęby Biraga. — Wysłałiśmy go z nakazem aresztowania. Gdzie on i panowie, którzy pojechali razem z nim?

Birago wskazał ręką.

— Tam.

Wbiłem wzrok we wskazane miejsce. Konetabl w powyginanej zbroi jechał wraz z innymi katolickimi panami. Na jednej z ich pik dyndały strzepy pergaminu; mój nakaz.

— Dałem temu staruchowi miejsce w radzie! — pieniałem się. — Dałem mu honorowe miejsce przy naszym stole, chociaż Gwizjusze mu je odebrali. Jak może się nam przeciwstawiać?

— Znaliśmy ryzyko — powiedział Birago, spokojny jak zawsze, nawet gdy niebezpieczeństwo zapukało do naszych drzwi. — Teraz musimy przystąpić do negocjacji. Karol jest synem waszej królewskiej mości i ich suwerenem. Pokierszowany na pewno przedstawi swoje warunki. Spróbujmy obrócić je na naszą korzyść.

— Tak. Zaraz sprowadź Karola.

Gdy wyszedł, pospieszyłem razem z damami dworu na dół, do sali tronowej. Właśnie dotarłem do osłoniętego baldachimem pod-



wyższenia, gdy Birago wprowadził Karola. Był przestraszony i błądy. Otaczała go osobista straż — nikła siła w porównaniu z hordą zrewoltowanych katolików, która niebawem z hałasem wtargnęła do sali. Rozstapili się, odsłaniając Pokierszowanego, który zmierzzał ku nam pewny swego.

Rzuciłam spojrzenie na jego poblížnioną twarz i zebrałam się w sobie.

Birago trącił mojego syna. Patrzyłam ze ściśniętym gardłem. Karol wyprostował szczupłe ramiona i przemówił z zaskakującą, ostrą wyrazistością:

— Książę, rozkazano ci przybyć bez broni. Odeślesz tych ludzi.

Pokierszowany skłonił się szyderczo. Nie spojrzał na mnie. Wzrok utkwiał w moim jedenastoletnim synu.

— Wasza królewska wysokość, obawiam się, że nie mogę tego uczynić. Francję zalewa herezja. Mym obowiązkiem, który przysięgłem wypełniać, jest bronić kraj przed tą zgnilizną. Jeśli trzeba, to siłą oręża. — Rozłożył ramiona; spomiędzy jego dowódców wystąpił konetabl. Zatchnęło mnie, gdy obok niego ujrzałam rozchełstaną postać. Strzecha brudnych złotych włosów wyrastała nad obleśną ponurą gębą.

Miałam przed sobą męża Joanny Nawarskiej, Antoniego Burbona. Kiedy spojrzałam w patrzące z wyższością oczy, zdałam sobie sprawę, że popełniłam straszliwy błąd. Birago ostrzegał mnie, że ta wesz, ten katolicki książę, może okazać się zagrożeniem; teraz stał przede mną przywleczony przez Gwizjuszy, aby pozbawić mnie regencji.

Zacisnęłam pięści. Jak mogłam być tak głupia? Roiłam sobie, że Joanna zdoła utrzymać krnąbrnego małżonka w domu, pod pantoflem.

Pokierszowany posłał mi lodowate spojrzenie, jakby czytał w moich myślach, po czym rzekł:

— Niniejszym ogłaszam święty triumwirat mający na celu zachowanie wiary Kościoła katolickiego. Od teraz ja, pan konetabl i Antoni Burbon będziemy dbali o obronę naszego królestwa. Każdy kto nie jest z nami, jest przeciwko nam i będzie ukarany stosownie do swojej przewiny.

Antoni uderzył się pięścią w pierś.

— Regencja należy się mnie! Ukradłaś mi ją, ale jest moja i będzie moja.

Poczułam, jak stojący obok Karol tężeje. Obiecałam mu, że będę go chronić przed Gwizjuszami, i zanim się zastanowiłam, co mówię, odparłam ostro:

— Nie przyjmujemy rad od pijanych głupców.

Głos Pokiereszowanego był jak nóż.

— Źle nas zrozumiałaś, pani. Księżę Burbon nie potrzebuje twojego pozwolenia na noszenie tytułu regenta. A teraz, pani, czy uczynisz mu ten honor i pošlesz heretyków tam, gdzie jest ich miejsce, czy ja mam to uczynić?

Karol niespodziewanie wydał zduszony krzyk:

— Zabiję cię za to! Każę cię powiesić na szubienicy i odciąć, póki jeszcze będziesz dychał. Wypatroszę cię!

Przygarnęłam go do siebie, czując, jak drży.

— Nie masz prawa — powiedziałam Pokiereszowanemu, gładząc Karola jak przestraszone zwierzątko. — To zdrada. Jesteś zdrajcą.

— Jestem tylko pokornym poddanym, którego celem jest ochronić Francję — rzekł.

Dał znak i otoczyli go jego żołnierze.

— Co to znaczy, że idą tu armią? — Kopcąca świeczka rzucała na ściany krzywe cienie. Mówiłam szeptem, by nie obudzić Karola. Spał obok. Moje komnaty stały się naszym światem; więziona w pałacu, uznałam, że dobrze uczyniłam, przed przybyciem Pokiereszowanego posyłając resztę dzieci do Saint-Germain. Otoczone guwernerami i strażą przynajmniej były tam bezpieczne.

— Moi informatorzy widzieli ich — potwierdził Birago. — Hugenoci ruszyli przeciwko triumwiratowi.

Zabrakło mi tchu.

— *Dio mio*, Kosma ostrzegał mnie, że będzie wojna. — Przerwałam, narzucając sobie spokój. — Ilu ich jest?

— Jeśli raporty zgadzają się z prawdą, to wedle ostatniego rachunku pięć tysięcy.

— Niemożliwe! Skąd wzięliby tyle pieniędzy, by w tak krótkim czasie zebrać tak wielką armię?

— Słuszne pytanie. Jak wynika z raportów, pomogli im kalwińscy bankierzy z Genewy. Pieniądza nie wyśledzisz. Przeszedł przez wiele rąk. Ale ktoś zaplanował to miesiące temu. Negocjacje w tak ważkich sprawach nie trwają jeden dzień.

Świat wokół mnie pociemniał.

— A Coligny...?

Birago opuścił wzrok.

— Nie wiem. Po Vassy zapadł się pod ziemię. Tak twierdzą moi ludzie.

Musiałam działać. Nie mogłam prukać w stołek i czekać, aż wszystko, o co walczyłam, pójdzie z dymem.

— No cóż, musimy coś zrobić. — Zastanowiłam się. — Czy możemy przekazać im wiadomość?

Skinął głową.

— A więc zróbmy to — nakazałam. — Porozmawiam z Pokiereszowanym. Powiem, że chcę z nimi paktować. Przypomnij mi, że potrzebuje zgody króla, zanim przystąpi do boju.

Kiedy książę zjawił się przede mną, roześmiał mi się w twarz.

— Myślisz, pani, że możesz powstrzymać świętą wojnę? Ależ proszę, próbuj. Maszerują na Saint-Denis i niebawem się z nimi tam spotkam. Ale pojedziesz z moją eskortą, gdyż wiem, że heretycy nigdy nie przystąpią do negocjacji i nie złożą broni, ani dla ciebie, ani dla króla, ani dla samego Boga.

Okazało się, że ta jego eskorta to piątka żołnierzy plus konetabl, wątpliwej jakości osłona, za to jasny znak, jak mało Pokiereszowany dba o moje bezpieczeństwo. Był upalny poranek, kiedy dosiadłam konia i wraz z Lukrecją ruszyłam na równinę za murami Paryża. Hugenoccy przywódcy zaproponowali mi to miejsce na spotkanie.

Nagle ściągnęłam wodze. Na otaczających mnie wyschniętych polach obozowały tysiące. Słońce rzucało blask na rojowisko namiotów i najrozmaitsze rodzaje broni — armaty i arkebuzy, lance, maszyny oblężnicze, tarcze — było tego dość, aby zburzyć mury Paryża.

Ten widok mnie oszołomił. Do tej pory uważałam hugenotów za prześladowaną mniejszość, poddanych potrzebujących mojej ochrony. Tymczasem miałam przed sobą armię, wobec której moja gwardia to była garsteczka ludzi.

— No, no, kalwiniści nie wyrzucili pieniędzy w bioto — rzekłam półgłosem do Lukrecji.

— Patrzcie na tę heretycką hołotę — wypluł z siebie konetabl siedzący obok mnie na koniu.

Nie mogłam uwierzyć, że w żyłach tego człowieka i Coligny'ego płynie ta sama krew. Spojrzałam na niego z obrzydzeniem, dziwiąc się, że zamknięty w ozdobnej zbroi nie padł trupem na miejscu w tym upale.

— To też ludzie i poddani króla — powiedziałam.

Wlepił we mnie spojrzenie spod siwych brwi.

— Ludzie? Od dnia, w którym ukochali Kalwina, stali się szatańskim nasieniem, niczym więcej.

W odpowiedzi kopnęłam obcasami klacz, ruszając w kierunku białego otwartego namiotu. Ozdabiał go czerwony krzyż, znak krzyżowców przyjęty przez hugenotów. Za mną jechała eskorta. Ciszę burzyło tylko dzwonięcie uprzęży i ostry stukot kopyt. W oddali urosła chmura kurzu, zbliżała się grupa jeźdźców. Znow się zatrzymałam.

— To może być pułapka — szepnęła Lukrecja. — Co będzie, jeśli cię uwiężą, pani?

— Gadasz głupoty. — Uniosłam welon, odsłaniając twarz. — Jeśli Pokierszowany sądzi, że jestem nic niewarta, to nie uwierzę, że ci ludzie myślą inaczej.

Śmiały młodzian prowadził zbliżających się hugenotów. Miał na sobie zbroję kolczą i białą, ściśniętą pasem tunikę. Jego towarzysze byli podobnie odziani; przyjrzałam się im, ale nie dostrzegłam Coligny'ego. Młodzieniec zatrzymał ogiera i pełnym pogardy wzrokiem spojrzał na ludzi konetabla. Następnie rzekł do mnie:

— Witam waszą królewską mość w imieniu Świętego Bractwa Chrystusowego, orędowników prawdziwej wiary.

Tak więc katolicy mieli święty triumwirat, a hugenoci swoje bractwo. Ciekawa byłam, co powiedziałyby na to błazeństwo Coligny. A potem zadałam sobie pytanie, gdzie też przebywa.

— Gdzie mogę porozmawiać z waszymi przywódcami? — spytałam.

— W tym pawilonie — odparł młodzieniec. — Wasza królewska wysokość musi udać się tam sama.

— Jej królewska wysokość nigdzie nie uda się sama — warknął konetabl. — Mam rozkaz przekazać każde słowo, które padnie między wami.

— W takim razie nie padnie żadne. Możecie wracać do Paryża.

Kiedy Montmorency opuścił rękę do miecza, zainterweniowałam.

— Wasi przywódcy obiecali mi bezpieczny przejazd. — Spojrzałam na młodzieńca. — Czy jesteście gotowi dotrzymać słowa?

Uśmiechnął się gorzko.

— Jeśli pan konetabl miałby w coś wątpić, niech wątpi w słuszność własnej sprawy. My nie palimy żywcem kobiet ani dzieci, nie wieszamy na drzewach duchownych.

Zanim rzucili się sobie do gardeł, ruszyłam do obozu.

Namiot, do którego mnie skierowano, był spory i oferował schronienie przed upałem. Młodzieniec podał mi puchar wody. Po chwili przeżyłam wstrząs. Pojawił się Coligny. Również miał na sobie białą tunikę. Zmizerniał. Dni jazdy w słońcu poznały złotem jego włosy, jeszcze bardziej wyostrzyły rysy twarzy. Teraz dostrzegłam rodzinne podobieństwo między nim a młodzieńcem, który mnie przywitał. Tamten skłonił się i zniknął.

— To twój brat? — spytałam.

Kiwnął głową.

— Najmłodszy.

— Więc to rodzinna sprawa — rzekłam.

Nie potrafiłam udać zdumienia. W głębi duszy wiedziałam, co nastąpi. Męczyzna jego pokroju nie ścierpiałby prześladowań. Ale dlaczego mi nie powiedział? Dlaczego stwarzał pozory, że jest tylko pozbawionym prawdziwej władzy posłańcem? Te niewypowiedziane pytania paliły mi usta, lecz nie chciałam nas poniżyć wątpliwościami.

Odstawiłam pocięty srebrny puchar.

— Przyjechałam, żeby ci powiedzieć, byś nie żywił płonnych nadziei. Nie możesz zwyciężyć. Księżę i jego triumwirat mają dwa razy tyle żołnierzy co ty. Musisz złożyć broń i pogodzić się z faktami.

Spojrzał na mnie z namysłem.

— Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że rym razem musimy otrzymać sprawiedliwość.

— To nie sprawiedliwość! — wykrzyknęłam. — To wojna!  
— Urwałam i całym wysiłkiem woli zniżyłam głos. — Pokieroszowany zapłaci za to, co zrobił. Już ja się o to postaram.

Wygiął usta w ponurym uśmiechu. Podszedł do zarzuconego mapami stołu.

— Katarzyno — rzekł w końcu. — On wjechał do Paryża na czele masy żołnierzy; ty i król jesteście jego zakładnikami. Zablokował Paryż. Jak zamierzasz go powstrzymać bez wojska?

Rozum mnie zawiódł. Teraz Gaspard niczego nie udawał, był sobą. Jego ukryta siła znalazła cel. Teraz był przywódcą. Hugentów.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — szepnęłam. — Dlaczego nie miałeś do mnie dość zaufania?

— Nigdy nie chodziło o zaufanie. — Wrócił i przykląkł, biorąc mnie za rękę. — Nie rozumiesz, bo nie wiesz, jak wielka jest niszcząca moc władzy. Nadal wierzysz, że można wszystko rozwiązać dzięki logice, że ludzie posłuchają głosu rozsądku, bo przecież w gruncie rzeczy w obliczu Boga wszyscy jesteśmy równi. — Wzmocnił uścisk. — Tyle że Gwizjusze i twój Kościół widzą w nas robactwo. Cierpienia nigdy się nie skończą, dopóki im nie pokażemy, że nie mogą mordować i rabować bez konsekwencji. Nie zostawiają nam wyboru.

Spojrzałam na jego silne opalone ręce zaciśnięte na moich dłoniach.

— Wierzę w Boga — powiedziałam. — Ale wierzę też, że do Jego światłości prowadzi wiele dróg, nie tylko te, które wyznaczył Rzym. Jednak w czasach młodości poznałam już wojnę i nie wierzę, że może cokolwiek rozwiązać. Nie sądzę, aby Bogu podobało się nasze mniemanie, że tym jesteśmy lepsi, im więcej ludzi zabijamy, aby dowieść swego.

Ani drgnął.

— W dalszym ciągu możemy znaleźć pokojowe rozwiązanie — dodałam, uznając jego milczenie za zachętę do dalszego mówienia. — Mój edykt pozostaje w mocy; hugenoci nadal są pod królewską ochroną. Jeśli stawisz się na dworze obok mnie, mianuję cię członkiem rady i...

— Nie. — Oderwał się ode mnie i wstał. Zawziętość ścięła mu twarz i straciłam nadzieję, że go przekonam. — Następnym razem

spotkam się z księciem Gwizjuszem tylko w bitwie. Czas rozmów minął.

Moja próba mediacji zawiodła. Przyszłość malowała się w czarnych barwach, zdominowana przez religijną wojnę, która zniszczy królestwo, moją adoptowaną ojczyznę, sprowadzi chaos — wyobraziłam sobie spalone osady, zniszczone zasiewy, wdowy, sieroty i desperację.

Wstałam i spojrzałam mu w oczy. Uderzyłam w ton rozpaczliwej prośby.

— Nie mogę cię chronić, jeśli wybierzesz wojnę. Francja jest katolickim królestwem i na razie musi nim pozostać. Twoja sprawa nie ma sankcji króla; dopuścisz się zdrady i będę zmuszona stanąć po stronie triumwiratu. Przeciw tobie.

— Wiem — odparł. Serce mało nie pękło mi z bólu, gdy usłyszałam jego akceptujący ton. — Nie oczekuję niczego innego. Musi mi wystarczyć to, że przybyłaś. Teraz winnaś bronić syna, naszego króla.

— W takim razie chociaż się wycofaj — błagałam go łamiącym się głosem. — Wybierz inne miejsce, w którym poprowadzisz tę wojnę. Jeśli Gwizjusz będzie chciał ściągnąć posiłki, ma cały Paryż do dyspozycji. Wybije was do nogi. Wszyscy zginiecie!

Podszedł do mnie. Kiedy chciał mnie objąć, uniosłam rękę.

— Nie. Nie wytrzymałabym tego. Nie teraz...

Skinął łagodnie głową.

— Rozumiem. Wezmę pod rozwagę twoje ostrzeżenie. Do tej chwili, moja miła, módl się za Francję.

I zanim zdążyłam odpowiedzieć, odwrócił się i wyszedł.

Pokiereszowany czekał na mnie na dziedzińcu Luwru. Przesunął wzrokiem po mojej kłaczce i wykrzywił usta.

— Te sakwy wyglądają na puste. Nie wydaje mi się, aby dźwigały głowy hugenotów.

Wytrzymałam jego bezlitosne spojrzenie.

— Natychmiast uwolnisz króla i mnie. Dopiero wtedy uzyskasz pozwolenie na wypowiedzenie tej wojny, przy której tak się upierasz. Będzie prowadzona pod naszym dowództwem, bez zbędnych gwałtów i rozlewów krwi. I admirałowi Coligny'emu nie może spaść

włos z głowy. Jeśli zostanie ujęty, przyprowadzisz go do nas, na sprawiedliwy sąd. Czy wyraziłam się jasno?

— Jaśniej nie można — odparł i gdy szybko go minęłam, ryknął bezdusznym śmiechem. Nie wątpiłam, że gdyby Coligny wpadł mu w ręce, życie mojego ukochanego nie byłoby warte złamanego szeląga.



## R O Z D Z I A Ł 24

Wróciłam z Karolem i resztą dzieci do Saint-Germain. Lato przechodziło w jesień, a ja patrzyłam z dała, jak nasza armia, prowadzona przez Pokiereszowanego i konetabla, ściga Coligny'ego, który posłuchał mojej rady i wycofał się. Miast dążyć do starcia, zamykał się w takim czy innym zamku. Miał wielkie wsparcie hugenotów.

Do września przejęli trzydzieści cytadel, a podczas bitwy pod Orleanem wzięli do niewoli konetabla. Gwizjusz nie posiadał się z wściekłości. Wraz z nowym regentem, Antonim Burbonem, oblegał miasto, ciskając przez mury wielkie głazy; palił okoliczne wsie i zatruwał studnie. Hugenoci głodowali, ale lali z blanków wrzącą smołę, niszcząc wroga, aż śniegi przykryły trupy gnijące pod murami i zapasy obu stron zmalły do zera.

Każdy otrzymywany raport przypominał mi o potwornościach dzieciństwa. Nigdy nie byłam tak pobożna, jak udawałam, lecz podczas tamtych strasznych miesięcy każdego ranka i wieczora długo się modliłam przy kłęczniku, prosząc o ratunek dla Coligny'ego i zniszczenie Gwizjusza.

W grudniu gruchnęła wieść, że Antoni Burbon zginął podczas oblężenia Orleanu. Joanna została wdową i przysłała mi list, w którym ośmieliła się besztać mnie za to, że pozwoliłam Gwizjuszowi narazić na szwank życie jej męża. Kiedy czytałam te słowa, wprost nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Zachowywała się tak, jakbym to ja była odpowiedzialna za jej bezradność, a to przecież ona doprowadziła do śmierci Burbona! Lecz rozumiałam jej niedolę i przesłałam jej ciało męża, aby mogła go pochować. Załączyłam również list, w którym stanowczo ją ostrzegałam, by nie używała

hugenotom pieniędzy ani broni. Nie mogłam pozwolić, aby wmieszła się w konflikt. Była królową; jej pomoc zalegitymizowałaby sprawę hugenotów i naraziła ją na gniew Pokierszowanego. Ale gdy dni stawały się coraz krótsze i chodziłam od ściany do ściany, oczekując dalszych wieści o rozwoju wojny, co i rusz przed oczami stawał mi obraz jej dzielnego chłopczyka, który tak bardzo mnie wzruszył podczas ślubu Franciszka. Jak moje dzieci utracił ojca i myśl o jego nieszczęściu nie dawała mi spokoju. Pewnego wieczora skreśliłam do niego pocieszający list.

Kiedy go pieczętowałam, zadałam sobie pytanie, czy Joanna pozwoli chłopcu go przeczytać.

Niebawem po Nowym Roku Gwizjusz znów zaatakował Orlean. Każdego ranka posyłałam Lukrecję na dziedziniec, by odebrała raporty. Pewnego lodowatego styczniowego dnia wróciła zdyszana, pokonawszy schody. W ręce trzymała list.

Kiedy go przeczytałam, nie potrafiłam ukryć wstrząsu. Zaniepokojony Karol podniósł wzrok znad stołu, przy którym siedział, pobierając nauki od Biraga.

— Mamo, co tam? Co się stało?

Zaczął dwunasty rok życia, trudny okres między dzieciństwem a młodością. Zapowiadał się na wysokiego chłopca, ale był niespokojny i wątpliwy. Źle sypiał. Jego pokoje przylegały do moich, mogłam więc trzymać nad nim ścisłą pieczę. Gdy dojrzałam strach na jego obliczu, rzekłam ze spokojem, którego wcale nie czułam:

— Chodzi o Pokierszowanego. Jest ranny.

Zmrużył powieki.

— A umrze? — Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wyrwał mi list. — „Książę Gwizjusz postrzelony” — przeczytał na głos. — „Skrytobójca zeznał, że najał go Coligny. Wasza królewska mość musi natychmiast przybyć”. — Zarechotał złośliwie. — Coligny zapłacił za zamordowanie Gwizjusza. Brawo! Dam mu za to order.

— Nie — powiedziałam szybko, zaalarmowana jego zawziętością. — Nie wolno ci tak mówić. Coligny nigdy nie najałby skrytobójcy. I na razie Pokierszowany trzyma się życia.

Karol zmiął list.

— Przy odrobinie szczęścia już niedługo. Kiedy wyruszymy do Orleanu? Chcę zobaczyć naszego dumnego księcia. Muszę splunąć mu w gębę, zanim zdechnie.

Parsknęłam piskliwym śmieszkiem. Nie potrafiłam się powstrzymać. Odebrałam mu list i zmierzwiłam włosy.

— Zbyt ulegasz namiętnościom, mój synu. Musisz się nauczyć kontrolować swoje impulsy. — Pogroziłam mu palcem. — I zostaniesz w domu. Ja się nim zajmę.

Ledwo weszłam do obozowego namiotu, fetor ropy i krwi uderzył mnie jak cios pięścią. Wróciły wspomnienia o śmierci Henryka. Staralam się je odepchnąć, gdy stałam nad pryczą księcia, patrząc, jak łowi otwartymi ustami powietrze. Powoli tonął we własnej krwi zalewającej przestrzelone płuco. Był nieprzytomny, nieświadom mojej obecności. Obok na stołku siedziała jego żona. Jej dumną urodę już skaził cień wdowieństwa. Ścisnęła rękę syna, złotowłosego chłopca niewiele starszego od Karola. Niebawem miał odziedziczyć ojcowski tytuł. Jego delikatna twarzyczka, której urodę podkreślały szafirowe oczy Gwizjuszy, wykręciła się z bólu, gdy doktor orzekł półgłosem:

— Obawiam się, że jego godzina nadchodzi.

Młody Gwizjusz popatrzył na mnie; zasnute bólem oczy mówiły, że głęboko w duszy chłopca ścierają się słabości dzieciństwa i wymagania dojrzałości. Było w nich też coś więcej — mrocznego i daleko wykraczającego poza chłopięcość.

— Wasza królewska mość, czy możemy mieć tę chwilę dla siebie, aby pożegnać się z moim ojcem? — spytał ochrypłym od żalu głosem.

— Oczywiście. — Wycofałam się. Zachowałam się jak intruz. Czułam na sobie ich oczy, pogrążonej w żalu żony i syna. Wiedzieli, jak bardzo nienawidziłam księcia i jak pragnęłam jego śmierci. Dla nich strata męża i ojca była piekłem. Dla mnie wyzwoleniem. — Natychmiast poślijcie po mnie... — zaczęłam niepewnie.

— Postaraj się, żeby ten podły morderca zapłacił za swoją zbrodnię! — zasyczała Gwizjuszka.

Poszłam do niedaleko rozstawionego pawilonu, w którym Lukrecja przygotowała wino z korzeniami. Stanęła na straży.

— Czego się dowiedziałeś? — spytałam Biraga.

Westchnął.

— Wszyscy powtarzają tę samą śpiewkę. Gwizjusza postrzelił w plecy jego sługa, niejaki Poltrot de la Mere, renegat hugenot,

który przyłączył się do nas. Na torturach wyznał, że Coligny najał go, by przeniknąć w nasze szeregi i zabił Pokierszowanego.

Zacisnęłam palce na kielichu.

— Czy jego zeznania są wiarygodne?

— Na tyle, na ile mogą być w takich okolicznościach. Darli z niego pasy. Nie wyzionął ducha, ale tylko po to, żeby zostać skazany na haniebną śmierć. Zamierzasz, pani...

— Oczywiście. Zastrzelił Gwizjusza. Musi umrzeć. — Przerwałam. — Nie ma innych dowodów?

— Jeśli chodzi o zeznania świadków czy dowody pisemne, to nie. Coligny wypiera się podżegania do zbrodni. Głosi na lewo i prawo, że de la Mere działał sam.

— Dzięki Bogu — szepnęłam bezwiednie. Na widok zmarszczonych brwi Biraga dodałam: — De la Mere już raz zdradził; nie wykluczam, że kłamie, aby doprowadzić do oskarżenia Coligny'ego o współudział w morderstwie. Nie można mu ufać.

Birago uśmiechnął się krzywo.

— Ta nowa rola pierwszej naiwnej niezbyt ci pasuje, pani.

Dotąd nigdy nie robił aluzji do mojej tajemnicy. Nie tylko zatem ją znał, ale też przestał się z tym kryć. Aż się zwinęłam. Nie chciałam wysłuchiwać jego sądów na swój temat. Nie w tej sprawie. Nie chciałam, aby to co dzieliłam z Colignym, zostało zbrukane jego surowymi opiniami.

— Zbyt wiele sobie wyobrażasz — odparowałam ten atak. — Daleko mi do naiwności. Po prostu wiem, że Coligny nie czyniłby czegoś takiego. Jest człowiekiem honoru. Tak, to hugenot, ale nie przestępca. Zamordowanie Gwizjusza było aktem tchórzostwa.

Znów westchnął.

— Oblężenie się kończyło, hugenoci utknęli w pułapce. Pokierszowany przedstawił warunki kapitulacji. Coligny je przyjął i następnego ranka Gwizjusz został postrzelony. W mojej opinii to nie zbieg okoliczności. Coligny'emu groziła utrata wszystkiego, o co walczył.

Spojrzałam mu w oczy.

— Nie wierzę w to. On by tak nie postąpił. Nie jest taki.

— *Madama*, już nie wiesz, jaki on jest. — Przynął się bliżej.

— Sprawa hugenotów stała się jego sprawą i wypowiedział nam

wojnę. Musisz się zdystansować. Nie możesz go przyjmować, dopóki nie odzyska dobrego imienia. A jeśli go nie odzyska, musisz uznać go za zdrajcę i dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Nie chciałam tego słuchać; dusza mi się buntowała. Stałam bez ruchu, aż Lukrecja nagle odwróciła się od wejścia i szepnęła:

— Pani, strażnik.

— Wybacz — powiedziałam do Biraga. — Porozmawiamy później, dobrze?

Odwróciłam się od jego wszystkowiedzących oczu i ruszyłam w ciemność nocy, otulając się płaszczem. Nie musiałam słuchać tego, co strażnik miał do przekazania. Już wiedziałam. Pokiereszowany, wróg, który poniżał mnie i obrażał, odkąd przybyłam do Francji, był trupem. Sprawa katolików straciła przywódcę. A ja znów mogłam swobodnie rządzić.

Szłam po zwęglonych polach, wdychając zapach dymu i przypieczonego mięsa bijący od żołnierskich ognisk. Patrzyłam na zniszczone wieże Orleanu. Zaczyły horyzont jak powybijane zęby. Zatrzymałam się i wciągnęłam w płuca lodowate powietrze, unosząc oczy do okrytego mgłą księżyca.

Wtedy dopuściłam do siebie myśl, którą do tej pory uważałam za niewyobrażalną — a jeśli to prawda? Może Coligny, zdesperowany w obliczu klęski, zniżył się do morderstwa? Może poświęcił swoje ideały, moralny standard, który zawsze u niego podziwiałam, ratując swą wiarę?

Przeszedł mnie dreszcz. Nie chciałam w to uwierzyć. Pamiętałam dumę na jego obliczu, gdy prowadził mnie do stodoły w Vassy, jego gniew i grozę, gdy ginęli niewinni, ale nie chciałam uwierzyć, że jedna potworność mogła tak wynaturzyć jego duszę. Razem walczyliśmy o pokój, ten cel przyświecał wszystkim naszym usiłowaniom. Gdyby Coligny okazał się winny zamordowania Gwizjusza, zrujnowałby swoje dobre imię, rzuciłby katolików przeciwko hugenotom w sporze niemającym końca. Wydawało mi się niemożliwe, by mężczyzna, którego znałam, tak ostrożny i inteligentny, postawił wszystko na tak szaleńczy manewr.

Jednakże gdy stałam samotna na spalonym wojną polu, musiałam przyznać, że rada Biraga, choć bezwzględna, jest trafna.

Nie mogłam wykluczyć, że człowiek, którego niegdyś znałam, już nie istnieje.

Kiedy ta myśl do mnie dotarła, zdałam sobie sprawę, że czeka mnie straszliwa alternatywa. Gdybym sprowadziła go z powrotem na dwór, miałabym przeciwko sobie świat, który przez wzgląd na syna starałam się zachować w całości. Chociaż nienawidziłam Gwizjusza do ostatniej kropli krwi, potrafiłam sobie wyobrazić, jak wieść o jego zamordowaniu zostanie przyjęta przez francuskich katolików i Filipa. Ten czyn mógł wykopać przepaść, która rozedrze Francję na połowy. Już rzucił niezgłębiony cień na Coligny'ego i jego sprawę, cień, którego nawet ja nie potrafiłam rozjaśnić. Nasz sen się rozwiął. Teraz musiałam postąpić zgodnie z radą Biraga. Musiałam ratować Francję.

Nie było mnie stać na sentymenty; nie miałam na to czasu.  
Musiałam ratować królestwo.

W dniu 13 maja 1563 roku obchodziłam czterdzieste czwarte urodziny.

Poświęciłam na to tylko odrobinę czasu, ciężko zapracowana od śmierci Gwizjusza. W Paryżu skuleni, udręczeni lodowatym wiatrem ludzie czekali godzinami, aby rzucić okiem na przejeżdżającą trumnę Gwizjusza. Płakali i zawodzili, jakby żegnali męczennika. Cała szlachta i arystokracja zjawiła się na wielkim pogrzebie w Notre Dame — poza jednym istotnym wyjątkiem. Rozkazałam Coligny'emu pozostać w jego majątku do czasu ogłoszenia wyniku śledztwa w sprawie zamordowania księcia. Chcąc uspokoić katolików, głośno żądających głowy admirała, kazałam rozerwać końmi Poltrota de la Mere'a na placu Greve. Nie oglądałam tego koszmarnego widowiska.

Wojna się kończyła. Ze śmiercią Antoniego Burbona i Franciszka Gwizjusza triumwirat przestał istnieć. Odzyskałam regencję i przywróciłam tolerancję. Wiedziałam, że muszę zrobić więcej. Nasz konflikt zniszczył Francję; należało wzbudzić zaufanie hugenotów do mojej polityki, a równocześnie nauczyć katolików szacunku wobec mojej władzy.

— Co powiesz na to, żebyśmy się udali na uroczysty objazd po kraju? — spytałam Biraga, gdy siedzieliśmy każde przy swoim biurku, załatwiając korespondencję. — W przyszłym roku Karol będzie miał czternaście lat, niebawem zostanie koronowany. Tak hugenoci, jak i katolicy muszą się przekonać, że mają sprawnego króla.

Moglibyśmy odwiedzić wszystkie miasta, w których były zamieszki, i przekonać się, czy mój edykt pozostaje w mocy.

Skinął głową.

— Świetny pomysł, chociaż taka feta potrwa całe miesiące i będzie sporo kosztowała. Czym za nią zapłacimy?

— Pieniądzem z pożyczek. A czymże by? Florency bankierzy ciągle kuszą mnie ofertami kredytów. Zabiore dzieci i dwór. Kto wie? Może nawet udałoby się namówić Filipa i Elżbietę, żeby spotkali się z nami przy granicy. Lata całe nie widziałam Elżbietki. Rodzinne spotkanie zrobiłoby dobrze nam wszystkim. I trzeba się już rozejrzeć za kimś dla Karola; niebawem będzie musiał się ożenić. Kuzynka Filipa, Elżbieta Habsburżanka, córka arcyksięcia Maksymiliana, byłaby doskonałą partią.

— Nie wspominając, że tym sposobem, pani, scementowałabyś sojusz z rodziną cesarską. — Zachichotał. — To by było świetne posunięcie. Z drugiej strony zaręczyny króla z katolicką księżniczką w tak krótkim czasie po wojnie mogłyby wzbudzić zaniepokojenie hugenotów. Dobrze zdajesz sobie sprawę, że Filip zachęcał bratanek do pogromów i palenia na stosach luteranów w austriackich dominiach. Elżbieta, będąc córką Maksymiliana, niewątpliwie podziela nietolerancyjną postawę swojej rodziny.

— To prawda. — Zastanawiałam się chwilę. — Znakomicie, nie będziemy dotykać sprawy małżeństwa, dopóki się czegoś nie ustali. Każę konetablowi ustalić plan objazdu. Jak wspomniałeś, nie będzie nas dobrych kilka miesięcy, a on jest ostatnim z członków triumwiratu. Lepiej go czymś zająć, niżby miał tu siedzieć i napytać nam kłopotów.

Zapadła krótka cisza. Przerwał ją Birago, pytając:

— Czy podjęłaś, pani, jakąś decyzję względem Coligny'ego?

Odwrociłam wzrok.

— Znasz wyniki dochodzenia — powiedziałam ze spokojem. — Mimo sowitych łapówek Gwizjuszy żaden sędzia nie znalazł dowodów na to, że de la Mere działał z poduszczenia. Lecz jeśli pytasz mnie, czy zaproszę admirała, by do nas dołączył, wiedz, że nie uważam, aby to było zbyt mądre. Nie tym razem.

Usłyszałam, jak sapie z ulgą, chyląc się nad papierami. W swoim czasie, powiedziałam sobie. W swoim czasie wymyślę, co zrobić. Ale jeszcze nie teraz; potrzebowałam oddechu z dala od magnetycznej

osobowości Gasparda, od naszej namiętności; musiałam dojść do ładu ze sprzecznymi odczuciami, jakie we mnie pozostały po tym, co zaszło między nami.

Birago wyrwał mnie z zamyślenia.

— Kiedy chciałybyś udać się w ten objazd, pani?

— Z początkiem przyszłego roku — zdecydowałam. — Spytam Kosmę o szczęśliwą datę. A teraz kończmy te listy i zwołajmy radę. Będziemy potrzebowali jej aprobaty, zanim pojedę na żebry.

Święta Bożego Narodzenia urządziliśmy w Fontainebleau. Wydałam krocie, zdecydowana zademonstrować nasz prestiż. Karol chichotał zachwycony, gdy sokoły z dzwoneczkami fruwały nad zdobionymi girlandami stołami, podczas gdy Herkules zmiatał tyle łąkoci, że mało od nich nie pękł. Klaudia przyjechała w odwiedziny z Lotaryngii, księstwa północno-wschodniego; była w zaawansowanej ciąży i w przeciwieństwie do większości żon radowała się swoim stanem. Siedziała z pogodnym uśmiechem na twarzy, podczas gdy Henryk i Margot przewodzili tańcom dworu.

W blasku pochodni aksamitna skóra Margot robiła równie piękne wrażenie jak kocia gracia ruchów Henryka. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy na nich patrzyłam, widząc ich ojca i dziadka w elegancji Margot i wyrafinowaniu syna. To był dowód łaski Pana, że przeżyliśmy wojnę, że zostało nam oszczędzone najgorsze. Byli zdrowi i pełni życia; reprezentowali przyszłość Walezjuszy. Wszystko, co czyniałam, było z myślą o nich i o czasach, w których miało im zabraknąć mojego przewodnictwa.

W zapale matczynej miłości nadal wierzyłam, że potrafię ukształtować przyszłość.



Wiosną wyruszyliśmy nad Loarę.

W ostatniej chwili musiałam zostawić w domu Herkulesa. Przeszedł niegroźny atak ospy wietrznej i państwo Humeries mieli się nim opiekować. Dochodził do siebie, ale lekarze orzekli, iż jest zbyt słaby, aby znieść długą podróż. Doglądał go doktor Pare. Zapewnił mnie, że chory odzyska zdrowie, chociaż owrzodzenia mogły zostać blizny, a gorączka zakłócić wzrost. Nie zabierając go ze sobą, czułam się winna, toteż przydzieliłam mu dodatkowych medyków i służbę, rozkazując, by w razie jakichś niespodziewanych i nieprzyjemnych wydarzeń natychmiast mnie zawiadomiono.

Margot i Henryk udali się z nami, również Birago i moje damy dworu. Miałam nawet nową karetę ze złotymi „K” na drzwiczkach i kanapach. Mogłam w niej prowadzić sprawy państwowe, będąc w drodze. Zabraliśmy ze sobą wszystko, co tylko potrzebne — tyle mebli, naczyń, koni, mułów, żywego inwentarza i ludzi, że wystarczyłoby tego na potrzeby niemałego miasteczka.

Byłam na bieżąco informowana przez szpiegów Biraga. Donieśli mi, że Filip zastanawia się nad spotkaniem z nami. Nie wątpiłam, że w końcu się zgodzi, i nie posiadałam się z radości na myśl, że niebawem ujrzę moją Elżbietkę.

Odwiedziliśmy liczne regiony, od poszarpanych wybrzeży Normandii, przez winnice Burgundii, po złote pola Owernii. Późną jesienią przybyliśmy na odpoczynek do Salon, spokojnego prowansalskiego miasteczka. Nie zapowiadałam się, lecz Nostradamus przywitał mnie w progu domu, jakby oczekiwał mnie od tygodni. Wyraźnie się posunął, czarna szata podkreślała siwą brodę i łysinę, chociaż

jego spojrzenie pozostało ostre i przeszywające jak lśnienie brylantu.

Skłonił się i mimo że przygarbiony, mocno dzierżył wysoką laskę z wypolerowanego drewna. Weszliśmy do sieni ozdobionej malowanymi meblami. Pojawiła się energiczna pulchna niewiasta, które odebrała mój płaszcz podróżny.

— Wasza królewska mość czyni nam wielki zaszczyt — powiedziała i pogroziła Nostradamusowi palcem. — Ze też musisz wlec naszego gościa aż trzy dziesiątki stopni do tej swojej pracowni. Zostawiłam na stoliku dzban piwa i oczekuję was przed piątą na kolacji.

Próbowałam stawić opór.

— Nie ma potrzeby. Mogę zjeść później z dworem.

— Bzdura. Wasza królewska mość musi zostać. Mowy nie ma, żeby miało być inaczej. Chodź, moja droga — skinęła na Lukrecję.

— Dla nas mam drugi zacy dzbanuszek w kuchni.

Mimo rozbawienia wstrzymałam się od komentarza. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś tak władczy mógłby zorganizować prywatne życie Nostradamusa.

— Pani Saint-Tere głęboko wierzy, że jestem jej własnością — gderał, gdy prowadził mnie po schodach. Obudziły we mnie żywe wspomnienie innych schodów w innym kraju, nad którymi również unosiły się wonie alchemii. Pracownią Nostradamusa był rozległy strych, w którym królował imponujący teleskop na trójnogu. Półki z książkami i zwojami zasłaniały ściany. To mogłaby być komnata wziętego medyka mimochodem zgłębiającego tajemnice astronomii.

— Oczekiwałam cię, pani — rzekł, gdy ciężko kuśtykając, podszedł do bocznego stolika z dzbanem. — Widziałem cię w wodzie. Przed tobą długa wyprawa.

Spojrzałam na poobijaną miedzianą misę stojącą na dużym stole.

— Co to jest?

— Zwierciadło wizji. — Przerwał, oceniając moją reakcję.

— Wyglądasz na zaskoczoną, pani. Chyba nie spodziewałaś się kotła czarownicy? — Zachichotał. — Wlewam do niej wody; nie potrzeba niczego więcej.

Podał mi kufel. Podczas gdy szperał w papierach, zerknęłam do misy i doznałam zawodu. Była pusta.

— Proszę, usiądź. Mam coś dla ciebie.

Podaj mi zwój. Kiedy go rozwinęłam, ujrzałam wykres ruchów planet, splątane diagramy i matematyczne wzory. Powietrze zgęstniało. Zadałam sobie w duchu pytanie, czy Nostradamus przemienia atmosferę w każdym miejscu, w którym mieszka, tak jak sól zmienia smak każdego płynu.

— Ten horoskop opisuje następne dziesięć lat waszej królewskiej mości — rzekł. — Są w nim ważne zdarzenia związane z twoim życiem. To dlatego do mnie przyjechałaś, czyż nie tak? Przekonać się, czy moje proroctwa okażą się prawdziwe?

Przeszły mnie ciarki. Wcale nie miałam takiego zamiaru, tak przynajmniej mi się wydawało.

Cmoknął.

— Nadal wątpisz we mnie, pani. Czy nie przewidziałem śmierci twojego małżonka? Czy nie powiedziałem, że będziesz rządzić, i czy teraz nie panujesz w imieniu swego syna?

Wytrzeszczyłam oczy.

— Chyba twierdziłeś, że sam nie pojmujesz swoich proroctw.

— Zwykle nie wtedy, gdy je wygłaszam. Proroctwo nabiera jasności po fakcie.

— Rozumiem. — Odłożyłam zwój. Nie miałam ochoty zapoznawać się z żadnymi przepowiedniami, zwłaszcza jeśli musiałabym je rozszyfrowywać sama.

— Zakładam, że nadal zatrudniasz mistrza Ruggieriego — rzekł. — Może dokonać interpretacji wykresów. Nie ma w nich niczego związanego z wiedzą tajemną, to tylko moje obserwacje oparte na wieloletnich badaniach układów gwiazdnych w godzinie twoich narodzin.

Nie usłyszałam w jego głosie potępienia i poczułam się zawstydzona, że nie posłuchałam jego ostrzeżeń przed moim astrologiem.

— Ruggieri jest daleko stąd — rzekłam. — Nie możesz mi zdradzić, co mówi ten diagram?

— To by zabrało zbyt wiele czasu. Mogę tylko powiedzieć, że musisz strzec księcia Nawarry.

Wnętrznosci skręciły mi się w supeł. Dobrze pamiętałam tamtego chłopca, którego uściskałam, i swoją wizję, w której był dobrych kilka dziesiątek lat starszy — dumny i pewny siebie dosiadał czarnego bojowego rumaka, u czapki miał białe pióro...

— Musisz go strzec — powtórzył, jakby usłyszał moje myśli.  
— Jesteście połówkami całości. Potrzebujecie jedno drugiego, aby wypełnić swoje przeznaczenie.

— Ma dopiero dwanaście lat i mieszka z matką — zaczęłam i wzięłam głęboki oddech. Po raz pierwszy odważyłam się zakwestionować jego przepowiednie. — Joanna rządzi Nawarrą, jakby to był osobny świat, co na dobrą sprawę jest prawdą, jako że kryje się w Pirenejach, między nami i Hiszpanią. Góry osłaniają ją od nieszczęść, które na nas spadają. Pewnego dnia jej syn odziedziczy koronę. Jakim sposobem może być dla mnie tak bardzo ważny?

— Jest ważny — powtórzył Nostradamus tonem doprowadzającej do furii pewności siebie, równocześnie dającym mi do zrozumienia, że nie potrzebuję dalszych wyjaśnień. — Jednakże nasza przyszłość jest płynna. Gdyby nie była taka, nie byłoby sensu żyć.

Dlaczego zawsze musiał głądzić trzy po trzy? Chociaż jeśli znał moją przyszłość... Sięgnęłam po kufel i napiłam się piwa.

— A moi synowie...? — Zadawałam to pytanie ze ściśniętym sercem. Mój najstarszy umarł młodo. Czyżby inni też mieli odejść przedwcześnie?

— Twoje pozostałe dzieci osiągną dojrzałość — powiedział ku mojej uldze. Zwinął wykres i włożył go do skórzanej tuby. — Tak lepiej zniesie podróż. — Podał mi ramię. — A teraz do stołu! Pieczona jagnięcina pani Saint-Tere to cud na ziemi.

Po sutym posiłku ja i Lukrecja pożegnałyśmy się z gospodarzami. Otulone płaszczami w milczeniu wracałyśmy do obozu. Lukrecja pomogła mi przygotować się do snu i leżałam z otwartymi oczami, patrząc na światło księżyca sunące po suficie. Miałam dziwne przeczucie, że nigdy więcej się nie spotkam z Nostradamusem i że ten horoskop był jego ostatnim darem, mapą przyszłości, na którą mogłam oddziaływać.

Zapadłam w sen. Śniłam.

*Biegnę kamiennym korytarzem. W oddali biją dzwony. Spływam potem. Jest gorąco jak w piekle. Inni przebiegają obok mnie. Niewyraźne przerażone postaci. Przenika mnie paniczny lęk; wiem, że wydarzy się coś'potwornego, coś, przed czym nie mogę uciec. Straszliwy krzyk przenika noc. Potem następny; następny i następny, przepętnione grozą i bólem wrzaski. Dudnią kroki. Potykam się i mało nie*

*przewracam. Zataczam się, wymachuję rękami i przejeżdżam nimi po mokrej ścianie. Podłoga jest śliska. Patrzę w dół i widzę, że krew pokryła kamienne płyty, rozlewa się po ścianach porwanymi koronkami i kapiącymi spiralami — wszędzie krew. Dobiega mnie rozpaczliwy krzyk: „Nie, nie jego!” i zdaję sobie sprawę, że to ja krzyczę...*

Obudziłam się, łapiąc otwartymi ustami powietrze, owinięta w przeпоconą pościel. Noc był cicha, nieruchoma, ale czułam w powietrzu wibracje, jakby jakieś mgliste zarysy próbowały przybrać wyraźniejszy kształt.

Lukrecja podniosła się z pryczy.

— Pani, jesteś chora? Wezwać medyka?

— Nie. Miałam sen... straszny sen. — Opowiedziałam jej, co zobaczyłam. — Był potwornie realny. Wciąż czuję krew pod nogami. Próbowałam uratować kogoś życie.

Przyjrzała mi się, mrużąc oczy.

— Wiesz komu?

Znieruchomiałam. Przewidziałam śmierć męża w przeddzień turnieju, chociaż nie wiedziałam, że umrze. Ten sen miał identyczną moc, podobną niepodważalną realność. Spojrzałam Lukrecji w oczy.

— Nie wiem, ale myślę... myślę, że to był Nawarczyk.

— Syn królowej hugenotki? — Przewróciła oczami. — Wiesz, pani, że pilnuje go jak żrenicy oka. Nie mogłabyś go przed niczym uratować, bo sama zawsze jest przy nim. Zaśnij. Jesteś zmęczona, w nerwach, że Filip nie pozwoli ci na spotkanie z córką, a poza tym za bardzo się obzarłyśmy. Wyobraźnia płata ci figle.

— Tak, to pewnie to. Po prostu jestem przeczulona, nic więcej.

Powłokła się z powrotem na posłanie. Przykryłam się po szyję. Nie spałam jeszcze dobrych kilka godzin, przeżywałam sen w wyobraźni. Chociaż myślałam, że powinnam się skonsultować z Nostradamusem, wiedziałam, że tego nie zrobię. Powiedział mi co mógł i nie potrzebowałam go, aby potwierdził, że muszę ściągnąć młodego Henryka z Nawarry na swój dwór.

Wspominałam sen jeszcze wiele dni, tymczasem listy do Joanny nie odniosły żadnego skutku. Odmawiała przysłania syna, twierdząc, że moje spotkanie z Filipem, wzbudzającym grozę prześla-

dowcą protestantów, jest „haniebne”. Nie zostawiła na mnie suchej nitki, dodając przy okazji, iż nie udzieliwszy wsparcia Coligny'emu, mimo że został oczyszczony z zarzutu podżegania do zamordowania Gwizjusza, zyskałam wśród hugenotów miano „*Madame la Serpente*”, Pani Żmii. Jej nieufność była tak wielka, że nigdy nie zamierzała powierzyć mi swojego Henryka, chociaż po moich synach jemu przypadał tron Francji.

Obelgi tej baby wzburzyły mi krew. Zamknięta w górskiej cytadeli, izolowana od niezgody i rzezi, które niemal zniszczyły Francję, nie miała pojęcia o trudnościach, z którymi musiałam się uporać. Co się zaś tyczy Filipa, to nawet nie wiedziałam, czy przystanie na spotkanie, ale zdawałam sobie sprawę, że informowanie jej o jego oporach nic mi nie da. Odkąd mój teść usiłował ją wykorzystać, aby odzyskać Mediolan, zachowywała się tak, jakbym ja była winna każdego nieszczęścia, które na nią spadło.

Spakowaliśmy bagaże i udaliśmy się na południe, gdzie Morze Śródziemne zapraszało ciepłym lazurem, a zapachy tymianku i rozmarynu kołysały nasze schłostane wiatrami zmysły. Kiedy odpoczywaliśmy w Marsylii, mieście białych domów, w którym trzydzieści dwa lata temu po raz pierwszy dotknęłam stopą francuskiej ziemi, przysłała wiadomość z Madrytu. Filip przesyłał wyrazy żalu. Nie mógł się z nami spotkać. Tłumaczył się niekończącymi buntami flamandzkich luteranów i innymi problemami w swoim rozległym cesarstwie. Radowała mnie perspektywa zobaczenia córki, chociaż musiałam pogodzić się z faktem, iż rozmowę na temat wyboru małżonki dla Karola odbędzie tylko z księciem Alby, przedstawicielem Filipa.

Lato spadło na nas piekielnym żarem, zwiększając wybuchowość całego orszaku. Każdy miał po dziurki w nosie podłego jedzenia, cuchnącej wody i ciasnych kwater. W połowie odległości do Bayonne Karol dostał gorączki i jechał ze mną kareta, nieprzerwanie narzekając. Nie dotarliśmy jeszcze do zarekwirowanej na nasz użytek rezydencji, a już uznał, że pozostaje nam tylko jedno — natychmiast wracać do Paryża.

Zgodziłam się z nim. Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło, ale przypomniałam mu, że przebyliśmy taki szmat drogi, aby się spotkać z Elżbietą. Nakazałam całemu dworowi nałożyć najlepsze szaty i klejnoty i wybrałam najstosowniejszą miejscowość na uroczyste powitanie.

Wskazałam wzgórek na rzekę Bidasoa, której mętne wody zmierzają do Hiszpanii. Tkwiłiśmy tam w słońcu niemiłosiernie prażącym przez baldachimy. Karol siedział obok mnie w królewskim płaszczu i koronie. Pot spływał mu po długich kasztanowych włosach. Był tak osłabiony po atakach gorączki, że mógł tylko naburmuszony patrzeć na Margot i Henryka, którzy grali w szachy jakby nigdy nic, nie przejmując się żarem. Żadne z tej pary nie skończyło jeszcze czternastu lat i byli pełni witalności, która chroniła ich przed odparzeniami tyłka, sraczką i innymi przypadłościami dręczącymi wszystkich pozostałych. Sącząc wino z lodem, wypatrywałam Elżbiety. W upale aksamitna suknia kleiła mi się do bioder jak podłej jakości skóra. Zastanawiałam się, czy w stosownym momencie zdolałam się podnieść, czy też po prostu rozpląnę się w kałużę u stóp córki.

Daleki odgłos trąb wytrącił mnie z tych rozważań. Dałam znak dworowi, by powstał, i wyszłam na pałac słońce popołudnia. W oddali pojawiły się bezsilnie zwisające proporczyki kawalkady. Dojrawszy na jej czele dwie postaci, podkasałam suknię i popędziłam przed siebie ile sił w nogach.

Kawalkada się zatrzymała.

Chudy jak duch Alba zsiadł z konia i pomógł zejść na ziemię mojej córce. Przez chwilę stała niepewnie. Zza jej pleców wyłoniła się kolejna postać — szczupły mężczyzna od stóp do głów przyodziany w czern. Nosił dziwną czapkę z wysokim otokiem i piórem barwy kości słoniowej.

Wziął Elżbietę za rękę i ruszyli ku mnie.

Nosiła suknię barwy przygaszonej czerwieni skrojoną w hiszpańskim stylu. U nas tego rodzaju wysokie udrapowania wyszły z mody lata temu. Kasztanowe włosy splotła w warkocze, które upięła pod zdobioną brylantami siatką. Zbliżywszy się bez tchu, zobaczyłam, że ma podkute oczy, ściągnięte usta i wpadnięte policzki, jakby niedawno chorowała.

Mężczyzna obok niej przyglądał mi się bez wyrazu. Skórę miał jak polerowana kość słoniowa, siwiejącą jasną brodę przystrzyżoną tuż przy wystającej szczęce. Znałam te rysy; widziałam je na niezliczonych portretach przysyłanych przez Habsburgów na nasz dwór. Mało nie zemdlałam i dygnęłam równie nisko co niezdarnie. Byłam całkowicie nieprzygotowana na to spotkanie.

— Mój królu i panie, pozwól, że ci przedstawię królową matkę Francji i moją matkę — powiedziała Elżbieta. — Matko, oto jego królewska wysokość król Hiszpanii Filip, mój małżonek.

Filips skłonił głowę.

— Witam, pani, to dla mnie przyjemność.

Mówił idealnie neutralnym tonem. Oczy miał lodowate, bladoszare, osłonięte rondem czapki.

Karol uściskał Elżbietę. Henryk i Margot ograniczyli się do pytających spojrzeń. Byli dziećmi, gdy wyjechała do Hiszpanii, i zdawali się nie rozpoznawać tej zdystansowanej cudzoziemki.

Zjedliśmy na świeżym powietrzu. Podczas uczyty obserwowałam Filipa, starając się wyczuć jego stanowisko. Postukiwał po udzie pajęczymi palcami, gdy stawiano przed nim kolejne tace z bażantami, cielęcina i kaczka. Jadł mało, nie dając znaku, czy cokolwiek mu smakuje.

Cały dwór pożerał go wzrokiem. Oto budzący przerażenie król Hiszpanii, legenda wśród katolików. Okazał się kruchej budowy, znacznie drobniejszy, niż go sobie wyobrażałam, milkliwy. Miał delikatne dłonie i okazywał niemal kobiecą wstydlivość, jakby nie przywykł być ośrodkiem uwagi. Jednocześnie zauważyłam, że raz za razem spogląda na Elżbietę, czujny na jej zachowanie niczym drapieżny ptak. Odniosłam niepokojące wrażenie, że przybył nad Bidasoę nie tylko po to, by uczestniczyć w rodzinnym spotkaniu.

Wiedziałam, że zwyczaj nakazuje królowym Hiszpanii małomówność, gdy pokazują się publicznie, ale nie podobało mi się zamglone spojrzenie Elżbiety, jakby wszystko, co się wokół niej działo, toczyło się gdzieś daleko. Nasza rozmowa była chłodna, pomijała sprawy osobiste. Ponieważ jednak każdego wieczoru odbywał się turniej lub uczta, a za dnia polowano bądź pływano po rzece, w końcu udało mi się znaleźć czas dla nas dwóch, kiedy Karol, Henryk i inni panowie zaprosili Filipa i jego świtę na polowanie z sokołami.

Ruszyliśmy na spacer długą galerią, której gomółkowe wykuszowe okna wychodziły na rzekę. Za nami szły damy dworu, psy i Margot, która wlekła się unieszczęśliwiona, gdyż zabroniłam jej uczestniczyć w krwawej dworskiej zabawie.

Zanim udało mi się zapytać córkę o zdrowie, oświadczyła takim tonem, jakby recytowała wyuczone zdanie:



— Mój małżonek żąda odwołania wszelkich edyktów głoszących tolerancję i wydania oświadczenia, że katolicyzm jest jedyną prawą religią we Francji. Wszyscy ci, którzy chcą się nawrócić, muszą prosić o rozgrzeszenie. Ci, którzy tego nie zrobią, muszą umrzeć.

Zatrzymałam się jak wryta i zmierzyłam ją wzrokiem.

— Dlaczego sam mi tego nie powiedział? Jest tu od tygodni, je przy moim stole. Masz być jego ambasadorem?

— Jestem jego żoną, królową. Moim obowiązkiem jest porozmawiać z tobą.

— I dlatego uważasz, że masz prawo doradzać matce, jak powinna rządzić swoim królestwem?

— To nie twoje królestwo. Mój brat jest królem Francji.

Dałam znak Lukrecji. Odprowadziła Margot i resztę towarzysstwa poza zasięg słuchu. Odczekałam chwilę i rzekłam:

— Odkąd się rozstałyśmy, wyglądałam dnia naszego spotkania. Na myśl, że zrobiłam coś, czym mogłabym cię obrazić, czuję ból.

— Pozwoliłaś herezji rozlać się po Francji. Tym nas obraziłaś.

Wpatrywałam się w nią zagubiona.

— Matko Boska — szepnęłam. — Co on z tobą zrobił?

— Jeśli masz na myśli mojego męża, to jest najwierniejszym synem Kościoła katolickiego. — Przerwała i ujęła mnie za rękę lodowatymi palcami. — Musisz mnie wysłuchać. — Obejrzała się przez ramię. Dworki się zgromadziły przy wiszących na ścianach tapiseriach, bawiąc się z psami. — Filip nie zgodzi się na żaden kompromis. Uważa, że nigdy nie położysz kresu hugenockiemu powstaniu. Gdyby nie moja interwencja, kiedy Gwizjusz uwięził ciebie i Karola, posłałby mu na pomoc wojska.

— Twoja... interwencja?

— Nie chciałam pogorszenia sytuacji. Ale następnym razem może mi się nie udać. — Spojrzała mi w twarz. Po raz pierwszy miałam wrażenie, że widzę ją taką, jaka była kiedyś. — Pół roku temu poroniłam. Byłam bliska śmierci. Dlatego Filip zwlekał z odpowiedzią na twoje zaproszenie. Obawiał się, że nie zniosę trudów podróży.

Nie miałam siły się odezwać. Łzy wypełniły mi oczy.

— Zdałam sobie sprawę, że mogę długo nie żyć — dodała. — Zdecydowałam, że muszę zrobić co w mojej mocy, aby utrzymać pokój między naszymi krajami. Filip wie o wszystkim, co się tu

dzieje, i nie był zadowolony, kiedy pozwoliłaś Coligny'emu pozostać na wolności, mimo że rozkazał zamordować Gwizjusza. — Zaprowadziła mnie do pobliskiego wykuszu. Nie opierałam się. Oszołomiona usiadłam obok niej na ławce.

— Mamo, proszę — powiedziała. — Ty mnie słuchasz?

— Yhm — szepnęłam. — Słucham. Tak ci współczuję. Czemu do mnie nie napisałaś? Przyjechałabym.

— Straciłam dziecko, bo taka była wola Boża. Teraz wróćmy do Coligny'ego. Powinien być skazany na śmierć. Czemu do tego nie doprowadziłaś?

— Został... został oczyszczony z zarzutów. — Otarłam oczy grzbietem ręki. — Nakazałam śledztwo, ale nikomu nie udało się udowodnić, że był zamieszany w morderstwo.

— To bez znaczenia. Nie ma katolika w Europie, który wierzyłby w jego niewinność. Jeśli nawet nie kazał zabić Gwizjusza, na pewno pragnął jego śmierci i wszczął rebelię przeciwko królowi.

— Nie walczył z królem, tylko z Gwizjuszami — zaprotestowałam. — Moje dziecko, nie masz pojęcia, co oni robili i na co jeszcze byli gotowi, gdyby Gwizjusz nie zginął. Twój brat i ja nadal bylibyśmy jego więźniami, a on i kardynał rządziliby krajem.

— Tak czy owak nie możesz wiecznie grać na dwa fronty. W końcu musisz wybrać.

Okiem wyobraźni ujrzałam Coligny'ego takim, jaki był w Chenonceau, oblicze niczym rzeźbione w marmurze, szczupłe ciało, ciepły oddech, gdy pochylił się nade mną..

— Nie pojmujesz? — Głos grzął mi w gardle. — To co uczynił, uczynił dla Francji. Nie mogę potępiać go za coś, co w innych okolicznościach sama bym zrobiła.

— W takim razie ryzykujesz wszystkim. Już raz zwołał armię. Dlaczego myślisz, że znowu tego nie zrobi? — Mówiąc, nie odrywała ode mnie wzroku, jakby zrywała ze mnie skórę, pasek po pasku, docierając do sedna mojej tajemnicy. Nagle ją zatchnęło i poderwała się na równe nogi.

— Dobry Boże, ty go kochasz.

Złapałam ją za rękę.

— Nie — powiedziała. Własny głos zabrzmiał mi obco w uszach. Kłamstwo raniło mi język. — Martwię się o niego, bo gdy

zmagaliśmy się z Gwizjuszami, on pomyślał o mnie. To nie to, co podejrzewasz.

Zesztywniała.

— To heretyk. Nie jest wart twoich zmartwień. Póki on i jemu podobni żyją, nie będzie pokoju. Musisz się ich pozbyć z Francji raz na zawsze.

— Myślisz, że z powodu wiary powinnam dążyć do ich śmierci? To ludzie, Elżbieto, ludzie, nie potwory. Nie mogę zabić tysięcy francuskich poddanych.

— Są potępieni. — Wyrwała rękę z mojego uścisku. — Musisz ochronić Francję przed tymi, którzy ją brukają. Filip ma rację; straciłaś wiarę. Musisz prosić Boga o siłę.

— A ty stałaś się zbyt hiszpańska! — rzuciłam gniewnie. — Zapominasz, że we Francji bez powodu nie skazujemy na śmierć naszych poddanych.

— Czy jest większy powód niż herezja i rewolta? Czy jest świętszy powód niż obrona naszego Kościoła? Musisz...

Nagle urwała. Odwróciłam się i zobaczyłam idącego ku nam Filipa. Był sam.

— Jest zbyt gorąco na polowanie z sokołami — stwierdził, zatrzymując się przed nami. — Pomyślałam, że wrócę, abyśmy mogli wymienić poglądy. Nie udało się nam porozmawiać, pani, a mamy istotne kwestie do omówienia.

Dostrzegłam ostrzeżenie w oczach Elżbiety, ale gdy spojrzałam na jego drobną postać i pomyślałam o dogmatach, które wpoił mojej córce, machnęłam ręką na wszystko.

— Twoja żona powiedziała wystarczająco wiele, panie. W rzeczy samej, powinniśmy wymienić poglądy. Chętnie posłucham twoich opinii z twoich własnych ust.

Promienie palącego słońca południa wpadały przez okno, kładąc się u naszych stóp. Wstałam i ruszyliśmy galerią. Nasze cienie splatały się na polerowanej drewnianej podłodze.

— Oczekujesz ode mnie zbyt wiele — zaczęłam bez wstępu.

— Czyżby? — W jego głosie były zaskoczenie i sarkazm. — Zawsze twierdziłaś, że jesteś oddaną katoliczką. Teraz masz sposobność udowodnić to czynem.

— Jestem oddaną katoliczką — odparłam z pasją. — Ale nigdy nie powiedziałam, że wytoczę świętą wojnę hugenotom.

Zatrzymał się. W lodowatych oczach pojawił się ogień.

— Święta wojna już się rozpoczęła. Pozostaje pytanie, kto zwycięży. Biorąc pod uwagę alternatywę, jest w moim interesie, abyś to była ty.

Przyjrzałam mu się.

— Widzę, że wolisz śmiałość. — Odwróciłam się i ruszyłam drogą, którą przeszliśmy, zmuszając go, by poszedł za mną. Przed nami była pusta galeria. Moja córka i jej damy dworu odeszły. — Pozwól, że przedstawię sprawę jasno. We Francji jest pokój. Mieliśmy kłopoty, ale się skończyły, co jak uważam, jest powodem do radości. Przecież zależy ci na dobru naszym i naszego kraju, czyż nie?

— To nie wyjaśnienie, pani. To wymówka. Nie tyle osiągnęłaś pokój, ile odsunęłaś nieuniknione.

Zatrzymałam się w pół kroku.

— Panie, powiedz, co byś zrobił, mając wśród szlachty połowę jawnych heretyków i drugą połowę spragnionych krwi? To niełatwa sytuacja, zapewniam cię.

Uśmiechnął się martwo, tylko nieznacznie podnosząc bezbarwne wargi.

— Wiesz, co bym zrobił. — Pochylił się do mnie. Czułam w jego oddechu czosnek. — Łby kilku łososi są warte łebków tysięcy żab. Wybij do nogi hugenotów, a będziesz miała pokój.

Wbiłam w niego wzrok.

— Sugerujesz, abym wszczęła masakrę?

— Sugeruję, byś użyła narzędzia, które każdy książę ma do dyspozycji. Jesteś Medyceuszką. Musisz wiedzieć o istnieniu ludzi, którzy za pieniądze robią, co tylko zechcesz.

Cofnęłam się o krok.

— To tak traktujesz swoich poddanych w Hiszpanii?

Zmrużył oczy.

— Nigdy nie pozwoliłbym moim poddanym posunąć się tak daleko, jak uczynili to twoi. Teraz chciałbym się dowiedzieć, jak zamierzasz z nimi postąpić. Tylko dlatego przybyłem tu z moją królewską małżonką.

— Tak, przekonałam się, jak wielki wpływ masz na moją córkę — odparłam bez namysłu. — I wierz mi, powiedziałyśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Jeśli hugenoci znów nas zdradzą,

wtedy zdecyduję z moim synem królem, co zrobimy, gdyż bądź spokojny, nie będziemy tolerować dalszych nawoływań do buntu. Ale to co ty proponujesz, jest nie do pomyślenia.

Wykręciłam się na pięcie, gotowa odejść. Złapał mnie za ramię. Kiedy odwrócił mnie do siebie, zobaczyłam twarz, której się spodziewałam pod beznamiętną maską — twarz nienawiści i nietolerancji wyraźnych jak kości pod skórą.

— Zetnij im głowy — zasyczał — a dam twojemu synowi za żonę moją austriacką kuzynkę, księżniczki innym synom i korony wszystkim. Jestem gotów okazać hojność. Lecz jeśli mnie zawiedziesz, Medyceuszko, poniesiesz konsekwencje.

Spojrzałam na jego rękę. Cofnął ją, jakby się oparzył.

— Najpierw przyślij mi tę kuzynkę, a zastanowię się nad resztą — powiedziałam. — Na razie życzę ci miłego popołudnia, panie.

Ruszyłam galerią, czując na plecach jego oczy jak sztylety.

W swoim czasie poznałam bezlitosnych ludzi, którzy zabijali i rozkoszowali się zabijaniem, ludzi, w których krwi umiłowanie rzezi płynęło jak trucizna, ale żaden nie wzbudził we mnie podobnej odrazy, jaką udało się wzbudzić Filipowi. Uosabiał wszystko, przeciwko czemu walczyłam; był moim wujem, Gwizjuszem i kardynałem; był wszystkimi niszczycielskimi dogmatykami, którzy nie widzieli żadnych rozwiązań poza swoimi, nieśli w duszy ciemność i spodziewali się — nie, żądali — że będę tańczyła tak, jak mi zagrają, bo jestem kobieta.

Nigdy, przysięgam, wychodząc z galerii. Nigdy więcej nie będę pionkiem w rękach żadnego mężczyzny.

Będę rządziła Francją, jak uznam za stosowne. I niech się dzieje, co chce.

Kolejny raz staliśmy nad brzegami Bidasoi. Okrutny wicher ciął niebo. Chociaż był koniec lipca, upał ustąpił przedwczesnej wietrznej jesieni. Uściskałam szykującą się do odjazdu Elżbietę.

— Musisz o siebie dbać — szepnęłam, wracając pamięcią do czasów, gdy potajemnie straciłam dziecko. — Pamiętaj, wiele kobiet, które poroniły, rodzi zdrowe dzieci.

— Tak, *maman*... — Obejrzała się na Filipa, już na koniu i otoczonego dworem. Otworzył usta, ale chrapliwe krakanie pochłonęło jego słowa. Obie spojrzałyśmy na pobliską lipę. Na najniż-

szej gałęzi przycupnęły dwa kruki, wydając ponure dźwięki. Zamilkły i tylko przyglądały się nam groźnie czarnymi ślepiami.

— Zły omen — szepnęła Elżbieta i chociaż chciałam zaprotestować, uznawszy wiarę w zabobony za kolejny niemiły hiszpański nabytek, powaga na jej obliczu zamknęła mi usta.

— Przemyślisz wszystko, o czym dyskutowaliśmy? — spytała.

Nie zganiłam jej, chociaż miałam na to ochotę. Nie chciałam, aby kłótnia zepsuła nasze rozstanie.

— Tak.

Pierwszy raz podczas całej wizyty szczerze się do mnie uśmiechnęła. Na chwilę zniknęła surowa królowa i Elżbieta znów była moją córką, źródłem bezmiernej radości i opoką.

— Kocham cię, Elżbieto — powiedziałam. — Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, przejdę na nogach Pireneje, żeby być z tobą.

Uściskałyśmy się i dosiadła konia. Wiatr zrywał jej z pleców płaszc.

Trwałam na brzegu rzeki, aż kawalkada zniknęła, a Karol zamruczał:

— Odjechali. Nie możemy wejść do namiotu? Umieram z głodu.

Kiwnęłam głową i odwróciłam się przybita smutkiem.

Kruki zerwały się z gałęzi i pomknęły w niebo okryte burzowymi chmurami.

## R O Z D Z I A Ł 26

Wyruszyliśmy w długą drogę do domu i przepych naszego mornarszego objazdu marniał jak złote „K” na karecie. Patrzyłam przez okno na mijane pejzaże, ale nie widziałam wieśniaków trudzących się przy zbiorach, bosonogich dzieci i niewiast biegnących bokiem drogi, aby nas pozdrowić. Jedyne słyszałam głos córki niezłomnie wieszczącej:

„Nie możesz wiecznie grać na dwa fronty. W końcu musisz wybrać”.

Już wybrałam. Wybrałam poświęcenie, rezygnując z wygody, wybrałam obowiązek, rezygnując z rozkoszy i namiętności. Co jeszcze miałam wybrać?

Zacisnęłam pięści. Nie ugnę się pod groźbami Filipa. Nie pozwolę, żeby się mieszał w moje sprawy. Nadal będę walczyć o pokój, choćby się góry waliły. Nie przekażę w spadku po sobie chaosu; nie pošlę legionów Francuzów i Francuzek w płomienie dlatego, że mają takie a nie inne religijne przekonania.

I nie porzucę Coligny'ego. Zbyt długo wzbraniałam go sobie. I siebie jemu.

Dotarliśmy do Blois z pierwszym wczesnym śniegiem. Jak tylko rozlokowałam dwór, wydałam proklamację, która potwierdzała moje oddanie sprawie tolerancji między wiarą i pod groźbą niełaski nakazywała szlachcie przybyć do nas na obchody świąt Bożego Narodzenia.

Wśród zaproszonych był Coligny.

Powitałam ich w przypominającej ogromną jaskinię sali audiencyjnej zamku Blois. Karol i ja siedzieliśmy na podwyższeniu, podczas gdy panowie i ich małżonki stali w szeregu przed nami. Ściany obwieszono gobelinami, płonęły drogie pachnące świece; starałam się zaakcentować świąteczny nastrój, ozdabiając pilastry girlandami i obsypanymi cekinami gałązkami, ale w miarę jak kolejni panowie składali nam pokłon, czułam rosnący niepokój.

— Wszyscy noszą białe wstążeczki albo złote krzyżyki — syknęłam cicho do Biraga. — Co to za nowa moda?

— Hugenoci przypinają wstążki, katolicy noszą krzyżyki — rzekł, marszcząc brwi.

Pamiętałam niegdysiejszy wieczór w Fontainebleau, gdy na próżno próbowałam rozpoznać hugenotów. Wtedy widziałam tylko jarzące się klejnoty i znakomite stroje, słyszałam tylko śmiech i żarty. Teraz miałam wrażenie, że samo powietrze jest podzielone, a twarze wokół mnie są pełne ponurości.

— Od kiedy to dworzanie uznali za konieczne głosić swą religijną przynależność? — spytałam retorycznie, zapominając, że Karol siedzi obok mnie. — To nie do przyjęcia.

— Wydaj dekret, który im tego zabroni — rzekł Karol, śmiejąc się wymuszenie. — Ale lepiej się pośpiesz, zanim wybuchnie następna wojna. Patrz, oto nasi katolicycy wielmoże.

Stężałam. Weszła rodzina Gwizjuszy. Wdowa po Pokiereszowanym nosiła woalkę, jej piętnastoletni syn, nowy książę Guise, śnieżnobiały jedwabny kaftan. Pozostałych Gwizjuszy prowadził kardynał. Wystarczyło mi zobaczyć jego złowrogi uśmiech i wiedziałam, kto odpowiada za tę maskaradę mającą nam przypomnieć, że nigdy nie zapomną Pokiereszowanego.

— Nie wiedziałam, że powróciłeś z Rzymu, eminencjo — powiedziałam, gdy kardynał skłonił się i ucałował wyciągniętą rękę Karola. — Ufam, że święty sobór się udał?

— Jak najbardziej — odparł. — Jego świątobliwość wyklął wszystkich heretyków.

W Karolu zawrzała krew.

— Na krew Chrystusa — wybuchł, nie dbając o to, że mówi podniesionym głosem — dlaczego wy zawsze musicie wszystko zniszczyć?



Roześmiałam się nerwowo gotowa mu przypomnieć, że Gwizjusze są naszymi gośćmi, gdy dostrzegłam idącą ku nam postać.

W sali zaległa cisza.

On też nosił biel. Głębokie zmarszczki pocięły mu czoło i okoliły niegdyś pulchne usta; siwizna poznały rzednące włosy. Wpadnięte oczy spoglądały z głęboką rezerwą.

— Witam, panie de Coligny — rzekłam łagodnie. — Czy jesteś w żałobie?

— Tak. Moja żona Charlotta odeszła po długiej chorobie.

— Niech Bóg ma w opiece jej duszę — powiedziałam cicho, czując skażony poczuciem winy przypływ nadziei.

— Moja żona umarła, zanim mogła się dowiedzieć — zwrócił się Coligny do Karola — że zostałam oczyszczony z haniebnego zarzutu, który wymierzono przeciwko mnie. Wasza królewska wysokość uczynił honor jej pamięci, wzywając mnie na dwór, gdzie mogę zająć należne mi miejsce i odzyskać dobre imię.

Zawarte w tych słowach oskarżenie zmroziło mnie. Czy winił mnie za wygnanie? Z tęsknotą oczekiwałam powtórnego spotkania, powrotu do dawnych stosunków. Nie spodziewałam się niczego więcej, gdyż zdawałam sobie sprawę, iż przywrócenie do życia tego, co straciliśmy, byłoby zbyt niebezpieczne, ale nie spodziewałam się chłodu, precyzji, z którą się zwrócił do króla, jakby mnie nie było.

Zanim zdążyłam zareagować, Karol zszedł z podwyższenia i stanął obok Coligny'ego.

— Jesteś tu serdecznie witany — powiedział i odwrócił się do dworu, prostując wątle ramiona.

Napisałam mu mowę, lecz zamiast użyć moich słów, przemówił własnymi. Jego głos dźwięczał pewnością siebie, która całkowicie mnie zaskoczyła.

— Pragnę, aby czas świętowania był pełen dobrej woli i zgody między szlacheckimi rodzinami mojego królestwa, gdyż wszyscy jesteśmy braćmi w Chrystusie. — Odwrócił się do Coligny'ego, ujął go za ramiona i pocałował w usta. Kiedy patrzyłam na to sparaliżowana, dał znak Gwizjuszom. — Podejdźcie, przywitajcie waszego brata.

Coligny czekał. Chociaż gest Karola był spontaniczny, Coligny wyglądał tak, jakby czekał na tę chwilę całe życie. Spojrzałam na

Biraga. Ujrzałam na jego obliczu konsternację równą mojej i poczułam jednocześnie dumę i głęboki niepokój. Skoro mój syn chciał być uważany za króla, powinien skonsultować się z Biragiem albo ze mną, zanim wybrał tę okazję i sposób działania.

— Nakazuję wam — powiedział Karol i na oczach wszystkich kardynał podszedł do Coligny'ego i musnął ustami jego policzek. Po nim księżna. Po części oczekiwałam, że odrzuci welon i wbije mu nóż w żebra, ale pochyliła się, przyjęła jego pocałunek i odsunęła się w bok.

Młody Gwizjusz ani drgnął. Coligny się poruszył, zmniejszając dystans między nimi, kiedy Gwizjusz wyrzucił z siebie:

— Morderco! Jeszcze zapłacisz za śmierć mojego ojca. — Odwrócił się do Karola. — Wasza królewska wysokość, obawiam się, że muszę się oddalić.

Karol poczerwieniał, gdy młody książę skłonił się nieznacznie i szybko wyszedł. Wstałam z tronu.

— Nie — szepnęłam. — Niech idzie. Dopiąłeś swego. Teraz powiedz to, co ci napisałam.

Karol zeszywniał.

— Nie mów mi, co mam robić — mruknął i rzekł głośno: — Dość słowa „heretycy” na tym dworze. Wszyscy wprawdzie jesteśmy Francuzami! — Już byłam gotowa pomyśleć, że zignoruje moje polecenie, ale rzekł Coligny'emu: — Panie, wybaczymy ci wszelkie wykroczenia przeciwko nam i od tej pory wierzymy, iż będziesz nam wiernie służył. Niniejszym przyznajemy ci miejsce w radzie, gdzie będziesz służył nam opiniami względem spraw dotyczących tego królestwa.

Coligny się skłonił.

— Jego królewska wysokość czyni mi zaszczyt, na który żadną miarą nie zasłużyłem.

Karol się uśmiechnął i ruszył do sali jadalnej, za nim dworzanie. Coligny spojrzął na mnie.

— Przybyłem odzyskać swoje dobre imię. Nie spodziewałem się tego.

Przed chwilą byłem świadkiem pierwszego samodzielnego czynu mojego syna; kiedy starałam się ogarnąć implikacje tego wydarzenia, nagle poczułam głęboką nieufność wobec tego człowieka, który zdawał się siać niezgodę wszędzie, gdzie się pojawił.

— Powiedziałam ci wcześniej, że zajmiesz miejsce w radzie — rzekłam z wysiłkiem.

— Tak. — Przerwał. — Muszę cię błagać o wybaczenie.

Spojrzałam mu w oczy — w te oczy, które, zdawałoby się, uległy zmianie bardziej niż cokolwiek innego.

— Nie, żadnych przeprosin — powiedziałam. — Nie wracajmy do przeszłości.

— Nie możemy. Musimy stanąć z nią twarzą w twarz, gdyż jedynie wtedy zdołamy odnaleźć pokój.

Nie wiedziałam, o jaki pokój mu chodzi, i nie chciałam się dowiedzieć. Popełniłam błąd. Pragnęłam, żeby zniknął z dworu, z mojego życia. Ciężar tego, czym byliśmy dla siebie, wszystkiego, co zaszło między nami, zdawał się miażdżyć każdy mój oddech.

— Zgrzeszyłem, rozpacz z powodu żony zaćmiła mi umysł — wyznał. — Byłem zagubiony, przestraszony i nadużyłem twojego zaufania. Nigdy nie zamierzałem narazić cię na ból. Nie zostanę tutaj, jeśli tego nie chcesz.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

— Chcesz powiedzieć, że to ja nadal mam wybierać? Ja? Po tym wszystkim nadal zrucasz ciężar na moje barki? Chyba zapomniałeś, jak to wszystko się zaczęło i jak zostało zniszczone. To nie ja sięgnęłam po broń; nie ja... — Urwałam. Widziałam po jego twarzy, po zaciśniętych szczękach, że wie.

— Pójdę — rzekł.

Lecz gdy zaczął się kłaniać, powiedziałam:

— Nie. — Znieruchomiał. Powtórzyłam: — Nie. Mój syn zażądał, abyś nam służył. To jego decyzja i nie będę działać wbrew niej. — Uniosłam głowę. — Chciałeś mojego przebaczenia. Masz je.

— W takim razie uczynię wszystko, aby udowodnić, że jestem go wart — odrzekł.

Podał mi ramię. Zdusiłam łzy. Wiedziałam, że to co było naszym udziałem, zostało utracone na zawsze. Położyłam dłoń na jego ramieniu i odprowadził mnie do jadalni.

Można zaprzeczyć się siebie na wiele sposobów.

Skończyłam czterdzieści siedem lat; doznałam licznych rozczarowań i jeszcze więcej cierpień; nie pozwoliłam sobie na opłakiwanie czegoś, co nigdy nie mogło się ziścić. Karmiłam się złudzeniem,

niosłam je w sobie jak cenny skarb, ale pozbierałam szczątki i odsunęłam je od siebie. Kiedy zima zaczęła ustępować wiosnie, pogodziłam się z tym, że Coligny i ja przestaliśmy cokolwiek dla siebie znaczyć. Ja byłam dla niego jedynie matką króla, on dla mnie — doradcą władcy, mojego syna. Co dzień spotykaliśmy się na sesjach rady; mijaliśmy się na wieczornych ucztach, lecz unikaliśmy patrzenia sobie w oczy i rozmowy ograniczaliśmy do spraw państwowych. Wiedziałam, że często wyjeżdża, udając się do Chatillon, aby zobaczyć się z dziećmi; Birago, nie pytając mnie o zgodę, przepił służbę Coligny'ego, który informował nas o poczynaniach swojego pana, i chociaż w jakiejś mierze nie godziłam się z oceną Biraga utrzymującego, iż należy mieć Coligny'ego na oku, oddychałam lżej, wiedząc, co czyni.

Nie tylko jego musiałam oddać przeszłości. Pewnego lipcowego popołudnia, gdy pachnący cytrynami wietrzyk wpadał przez moje okno w Fontainebleau, otrzymałam wiadomość z Salon.

Nostradamus nie żył.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że odszedł na zawsze. Aura niewiarygodnej mądrości, która go otaczała, jego zdolność patrzenia w głąbie, które mało kto dostrzegał, wydawały się niedostępne przekleństwu śmiertelności. Głęboko zasmucona utratą jasnowidza, ponieważ przypomniałam sobie jego ostatni dar nadal zamknięty w tubie. Przesłałam horoskop do Chaumont, prosząc Kosmę o interpretację. Obiecałam, że sama przyjadę najwcześniej, jak zdołam.

Wiadomość o innym zgonie była o wiele przyjemniejsza. W wieku sześćdziesięciu sześciu lat, po długim okresie wyrzeknięcia się świata, Diana de Poitiers wyzionęła ducha w Anet. Dowiedziałam się o tym z listu poborcy podatkowego. Przez chwilę rozpamiętywałam nasze ostatnie spotkanie, wspomnienie jej zastygłej twarzy, gdy stanęła przed wizją utraty prestiżu, i ogarnął mnie bezlitosny triumf. Z nas dwóch to ja zwyciężyłam. Przeżyłam ją, zdobywszy władzę, której nigdy nie miała. Odpisałam poborcy, aby sprzedał wszystko, co posiadała, i tym sposobem zamknęłam bolesny rozdział mojego życia.

W sierpniu otrzymałam kolejną ważną wiadomość. Elżbieta powiła bliźniaczki. Nie posiadałam się z radości, podobnie Filip, który zarządził wielotygodniowe uroczystości w Madrycie. Posłałam dwie

złote patery z wrytymi imionami dziewczynek poruszona tym, że jedną z nich postanowiono nazwać na moją cześć Catalina. W liście do Elżbiety zasypałam ją radami, dołączając ziołowe remedia. Miały jej pomóc w powrocie do zdrowia nadwerężonego połogiem.

Jak co roku o tej porze przenieśliśmy się do Amboise, gdzie obejrzałam starzejące się lwy umieszczone tam jeszcze przez Franciszka. Stworzenia żyły w tak haniebnym zaniedbaniu, że rozkazałam nadwornemu architektowi zaplanować dla nich nowy wybieg, po którym mogłyby swobodnie spacerować. Karol uwielbiał lwy i potrafił oglądać je godzinami, wsłuchany w ogłuszające ryki. Zaniepokojona jego sugestią, aby poszczuć je na niedźwiedzia, wymyśliłam, że mogłyby pomagać dozorcóm podającym na widłach kawały mięsa. Lwy rozszarpały je i żarły ze smakiem.

Karol wrócił do dawnego trybu życia. Miał szesnaście lat, wiek stosowny do rządu; oficjalnie przestałam być regentką, ale przebłysk niezależności, który pojawił się w Blois, więcej się nie powtórzył. Karol nadal uczył na lekcje i zebrania rady, lecz wolny czas spędzał z sokołami i zajmując się bronią. Wraz z Henrykiem stworzyli w Amboise kuźnię i zbrojownię, gdzie z zapałem pastwili się nad żelazem i brązem. Te zajęcia wzmocniły ich tężyznę i braterską przyjaźń, chociaż Margot krzywiła się, że cuchną jak kowale. Dwunastoletni Herkules ciągle pakował im się pod nogi i często bywał poparzony.

Byłam załamana, dowiedziawszy się po powrocie, że przebyta ospa trwale oszpeciła mojego najmłodszego. Miał głębokie dzioby na całej twarzy, zdeformowany nos, ponadto choroba zahamowała mu wzrost, tak że już niewiele poszedł w górę. Doznał takiego zniekształcenia kręgosłupa, że stał się niemal garbaty. Doktor Paré ostrzegł, że nawet otoczony właściwą opieką i powróciwszy do zdrowia, raczej nie będzie mógł mieć dzieci, gdyż przebyta w tak młodym wieku ospa hamuje rozwój jąder. Choć nie chciałam tak myśleć, widziałam w nim potworka. Miał wiecznie zmierzwióne włosy, świńskie oczka i posturę krasnala. W wieku, w którym inne dzieci potrafiły już tłumaczyć z łaciny na grekę, z najwyższym trudem opanował podstawy czytania i pisania. Jako że ospa zahamowała również jego rozwój umysłowy, poprosiłam Margot, aby pomagała mu w nauce, gdyż w całej rodzinie ona jedna miała dla niego serce. Jak zawsze w jego przypadku dręczyło mnie poczucie winy. Będąc

najmłodszy, najbardziej cierpiał z racji moich częstych nieobecności i chociaż starałam się nawiązać z nim kontakt, w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Zawsze wolał towarzystwo Margot i kręcił się wokół braci, pewnie chcąc udowodnić, że jest równie dobry jak oni. Karol nim pogardzał, uważając go za pokrakę, natomiast Henryk uznał, że jest zabawny, i pozwolił mu plątać się w zbrojowni. Mimo wszystko był księciem krwi; z czasem i otoczony odpowiednią opieką mógłby wypełniać stosowną pomocniczą rolę, jako że z sukcesji tronu był z góry wykluczony.

Tak zajmowałam się sprawami dzieci i królestwa, nieświadoma tego, że świat, który z takim trudem usiłowałam zbudować, chwieje się w posadach.

— Pani.

Lukrecja sięgnęła przez szparę w zasłonach łóżka i szarpnęła mnie za ramię.

Usiłowałam się otrząsnąć ze snu. Przez chwilę nie mogłam się odnaleźć w ciemnościach łoża. Za dnia doglądałam przeróbek w ogrodach Amboise i byłam wyczerpana. Mulette zawarczała w nogach łóżka.

— O co chodzi? — Dźwignęłam się wyżej.

Lukrecja wzięła Mulette.

— Birago i jego eminencja są tutaj. Mówią, że to pilne.

— O tej porze? — Postępując, wsunęłam nogi w bambosze, włożyłam podany przez Annę Marię szlafrok i szybko upięłam na karku włosy. Kulejąc, udałam się do komnaty, w której przyjmowałam gości. Starałam się nie zwracać uwagi na ból nogi. Odezwał się kilka dni temu i podejrzewałam, że to rwa kulszowa. Miałam nadzieję, że godziwy nocny odpoczynek, wsparty naparem z maku i werbeny, pomoże mi się z nim uporać, lecz po bezwładności nogi, którą wlekłam za sobą, zgadywałam, że niebawem czeka mnie laska jak w swoim czasie biednego Nostradamusa.

— Tak? — spojrzałam na kardynała. Ubrał się jak na zebranie rady królewskiej, w szkarłatną szatę i piuskę. Zwykle ignorowałam go, jak się tylko dało, chociaż jako najwyższy rangą francuski duchowny zachował miejsce w radzie. Nie byłam ucieszona, widząc go w środku nocy w moich prywatnych pokojach.

Birago był blady jak płótno.

— Chodzi o Coligny'ego. Zbliża... zbliża się na czele armii.

— Co? — Wytrzeszczyłam oczy. — Zwariowaliście obaj?  
Kardynał był niemal zadowolony.

— Chciałbym, żeby tak było. Tym razem przekroczył granicę, do której mogłaś go uratować, pani.

— Nazbyt śmiałe przypuszczenie. — Porwałam kielich z wodą podany przez Lukrecję i zwróciłam się do Biraga. — Masz informatora wśród jego służby domowej, prawda? Przecież z pewnością...

— Najwyraźniej postradał rozum — przerwał mi kardynał, a Birago załamał ręce. Ten gest sprawił, że serce stanęło mi w piersiach.

— Ale czemu, na Boga, sprowadzałyby żołnierzy?

— Jak ci wiadomo, pani, rada nie jest zgodna co do decyzji Filipa, który chce wysłać wojska do Niderlandów — powiedział kardynał. Jego oschły ton dawał do zrozumienia, że marnotrawiłam czas w ogrodzie, wrywając chwasty, zamiast zajmować się sprawami wagi państwowej.

Niecierpliwie skinęłam głową.

— Jest mi wiadomo i jak wiesz, odmówiłam Filipowi zgody na przemarsz przez Francję. Został zmuszony do przeprawy przez Sabaudię. Co ma piernik do wiatraka?

— Ma, i to dużo. — Birago oblizwał wyschłe wargi. — *Madama*, wybac mi. Jakiś czas temu wydawało mi się, że Coligny protestując przeciwko naszemu zezwoleniu na dalsze represje w Niderlandach, robi to jedynie dla porządku, że tylko dlatego sprzeciwia się dalszej represyjnej polityce Hiszpanii, iż wie, że tego się po nim spodziewamy. Ale się myliłem. On uważa, że... że zgadzamy się na działania Filipa, bo planujemy podobne kroki u siebie.

Stałam jak sparaliżowana, rozdziawiając usta.

Kardynał wyjął z fałd szaty kopertę.

— Ja też mam informatorów, pani. Umieściłem wśród heretyków szpiegów, którzy byli świadkami spotkań Coligny'ego z innymi przywódcami. Wezwał ich pod broń. Pozyskał dla swojej sprawy Joannę Nawarską. Poprosił Elżbietę Tudor, by sfinansowała jego armię i napełniła prochnię portu La Rochelle. Oskarża cię, że dążysz do ściślejszego sojuszu z Hiszpanią, podsuwając synowi taką a nie inną narzeczoną, i że na rozkaz Filipa zniszczysz we Francji

wiarę protestancką. Jeśli nie zaczniemy działać, wystawi przeciwko tobie wszystkich heretyków we Francji. Nie możesz dalej udawać, że jest twoim przyjacielem.

— Wiedziałeś... wiedziałeś o tym? Wiedziałeś i nie powiedziałeś mi?

Wzruszył ramionami.

— Czy uwierzyłybyś mi, gdybym przyszedł do ciebie, nie przynosząc dowodów? Musiałam je mieć, skoro ty, pani, raz za razem rozstrzygałaś wątpliwości na jego korzyść. Był niesłychanie ostrożny; samo przejęcie jego korespondencji wymagało cudów zręczności. Używa szyfrów, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy, ale w końcu nasze podejrzenia się potwierdziły. Organizuje spisek od miesięcy. Boi się, że jeśli oni nie uderzą pierwsi, my to zrobimy.

Usłyszałam w głowie głos Filipa Hiszpańskiego: „Łby kilku łososi są warte łebków tysięcy żab”.

Od razu zrozumiałam, że to jego sprawka. Ostrzegwał mnie, że jeśli nie spełnię jego żądań, poniosę konsekwencje. Jakimś sposobem udało mu się w szeregach hugenotów zasiać panikę.

— Znajdziesz w tej kopercie list z Hiszpanii, opisujący twoje spotkanie w Bayonne i doradzający hugenotom przyszykowanie się na śmierć — dodał kardynał, jakby czytał moje myśli. — Nie miałem pojęcia, że ty i Filip przeprowadziliście taką oświecającą rozmowę. Żałuję, że mnie przy niej nie było.

— Rozmawialiśmy raz. Raz! I nie poszłam na żadne ustępstwa. Nie zgodziłam się na nic.

Kardynał westchnął. Biorąc od niego list, Birago rzekł:

— *Madama*, to mój błąd. Powinienem wiedzieć; powinienem działać jak jego eminencja. Zostałem... oszukany. Mój informator był podwójnym agentem; materiały, które przesyłał, nie zawierały niczego wartościowego.

— Teraz to nieważne — powiedziałam przez zęby. — Coligny wie, że nie stać nas na utrzymanie stałej armii. Czy się odważy wydać nam bitwę, kiedy jesteśmy bezbronni?

— Nie, jeśli jego eminencja i ja zdołamy temu przeciwdziałać — zapewnił mnie Birago. — Wysłaliśmy do Paryża konetabla. Ma przygotować najemników i wezwać pod broń całą katolicką szlachtę. Coligny ma pod sobą dziesięć tysięcy ludzi. Kiedy będziemy dysponować pełnymi siłami, możemy go pokonać.



Chciałam wykrzyknąć, że rozkazuję go aresztować. Przecież mu wybaczyłam. Przecież postarałam się, by oczyszczono go z zarzutu udziału w zamordowaniu szlachcica, i wezwałam go na dwór, gdzie zasiadł w radzie mojego syna. Nawet opłakiwałam namiętność, która niegdyś nas łączyła. Teraz miałam przeciwko sobie kolejną hugenocką rewoltę i Coligny kolejny raz stanął na jej czele. Wolał uwierzyć w hiszpańskie kłamstwa, niż przyjść do mnie. Tak jak poprzednio nie zaufał mi, ale za moimi plecami szerzył chaos.

Zdecydował się zniszczyć nas wszystkich.

Zacisnęłam szczęki. Już nie czułam bólu nogi.

— Natychmiast wyruszamy do Paryża. Jeśli chce mieć wojnę, to na Boga, będzie ją miał.

## R O Z D Z I A Ł 27

Przez następne pół roku biliśmy się z hugenotami, okrażając ich w zatłoczonych fortach lub na wzgórzach, nacierając lub rejterując. Kiedy oni najeżdżali katolickie miasta, pierwsze cierpiały nasze niewiasty, gwałcone albo rąbane na oczach dzieci na kawałki. Kościoły płonęły, relikwie rozkradano, księża skwierczeli na ogniskach parodiujących stosy inkwizycji. Przy czym my potrafiliśmy być równie okrutni; kiedy przejmowaliśmy miasta hugenotów, nasi żołnierze uwielbiali nadziewać przeciwników na piki i ozdabiać bramy girlandami głów i kończyn.

Mało spałam, strzegąc młodszych dzieci i oszołomionego Karola, który nie potrafił pojąć, dlaczego znów mamy wojnę, Francja tymczasem przemieniała się w obraz z sennego koszmaru. Wszędzie były spalone pola, zniszczone wsie i wyludnione osady zamieszkałe tylko przez wdowy i sieroty.

Kiedy mój pierwszy gniew z powodu zdrady Ooligny'ego opadł, poszukałam kompromisu. Wysłałam niezliczone listy żądające spotkania, przypominające mu o naszym porozumieniu i obiecując całkowite wybaczenie, jeśli złoży broń i przybędzie na dwór przedstawić swe żale.

Moje wysiłki szły na próżno.

Hugenoci rozsyłali do swoich obleżonych miast pamflety, zapłacone monetą Tudorów i wydrukowane w Genewie. Informatorzy Biraga przynieśli mi jedno takie paskudztwo. Stało w nim: „Pani Żmija i jej syn, król Trędowaty”. Zadygotałam z wściekłości, czytając, że mój syn jest zdeprawowanym, zniszczonym przez chorobę monarchą kąpiącym się we krwi dzieci, gdy ja, tłusta i pazerna,

rozwalam się na tronie, trzymając nogi na podnóżku z głów hugenotów.

Potem przyszła wieść, że Coligny otworzył przed Joanną Nawarską bramy La Rochelle. Nie posiadałam się z wściekłości. Joanna zabrała ze sobą piętnastoletniego syna i przedostała się incognito przez nasz rozerwany wojną kraj. Trzymając Henryka za rękę, weszła na blanki La Rochelle, w jego imieniu zachęcając hugenotów do walki na śmierć i życie przeciwko nam. Coligny uniósł wysoko sztandar księcia i krzyknął:

— Oto prawdziwy zbawca Francji. Kiedy Henryk Nawarski zostanie królem, uwolnimy się od tyranii Walezjuszy!

Nie posiadałam się z wściekłości. Dręczyło mnie ostrzeżenie Nostradamusa, że muszę strzec młodego Nawarczyka, a jednocześnie nie potrafiłam pogodzić się z myślą, że hugenoci widzą w nim przyszłość swojej sprawy i tego, który odbierze moim synom prawo do tronu. Za swój czyn Joanna stała się moim wrogiem aż po grób, lecz całą wrogość, kocioł wściekłości, cisnęłam w Coligny'ego. Już zdradził moje zaufanie i wydał mi wojnę, a teraz dopuścił się największej obrazy: zelżył ciało z mojego ciała i krew z mojej krwi.

Myśl o zemście przestoniła mi wszystko.

Wyzaczyłam za jego głowę nagrodę, dziesięć tysięcy liwrow, i rozkazałam zdobyć La Rochelle. Nawet się nie sprzeciwiałam, gdy Henryk zechciał się przyłączyć do naszych żołnierzy i służyć pod konetabłem. Miał prawie szesnaście lat, był silny i piękny; obecność księcia krwi królewskiej wzmocni wiarę naszych żołnierzy w zwycięstwo, a Montmorency będzie miał na niego oko. Kazałam wykuć dla niego nową zbroję, a on ze swojej strony oświadczył, że jeśli dopadnie Coligny'ego, prześle mi jego głowę i zrzeknie się nagrody. Śmiałam się z jego zapału; byłam pewna, że nigdy nie znajdzie się tak blisko wroga. Pisał z obozu, informując o przyjaźni, która rozkwitła między nim a młodym Gwizjuszem, który był o rok od niego starszy i zawsze przy jego boku, w dzień i w nocy.

Nadchodziła jesień, a tymczasem La Rochelle opierała się każdemu szturmowi. Znów przedstawiłam warunki pokoju. Brakowało nam pieniędzy. Mimo ofert Filipa nie zamierzałam przyjmować niczego od Hiszpanii, podczas gdy hugenoci mieli niewyczerpane źródło funduszy w Anglii.

Elżbieta Tudor wyrosła na liczącego się uczestnika wojny. Wtrąciła do więzienia Marię Stuart, po tym jak tamta zawarła drugie — katastrofalne — małżeństwo, a podejrzone okoliczności śmierci jej męża doprowadziły do rewolty protestanckich panów Szkocji. Uciekła do Anglii i zdała się na łaskę królowej; przerażona Elżbieta Tudor umieściła ją pod strażą. Nie potrafiłam wykrzesać w sobie współczucia. Sama była sobie winna. Jednak widząc, że Elżbieta uważa za stosowne wspierać Coligny'ego, nie mogłam pozostać bezczynna, więc posłałam jej list, w którym przypomniałam, że niezależnie od wszystkiego Maria nadal jest namaszczonej królową. Miałam nadzieję, że zrozumie, iż najlepiej zrobi, zajmując się problemami własnego królestwa, a nie wspieraniem zdrajców we Francji. Moja taktyka przyniosła owoce. Nie minęło wiele dni, a ambasador angielski przywiózł gałązkę oliwną, domagając się również, bym rozważyła małżeństwo jego pani z którymś z moich synów. Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że takie dyplomatyczne zaloty potrważą lata, zwłaszcza biorąc pod uwagę różnicę wieku między Elżbietą a moimi chłopcami. Miała się zastanawiać w nieskończoność, przyjmując moje dary i pochlebstwa, podczas gdy Coligny'emu niebawem groziły pustki w kalecie.

Natychmiast zwołałam radę królewską. Spodziewałam się, że kardynał będzie mnie przekonywał, abym raczej zaakceptowała wsparcie Hiszpanów, zamiast zabiegać o łaski angielskiej heretyczki; szykowałam się skontrować to listem kredytowym moich florenckich bankierów.

Gdy weszłam do sali rady, zastałam tam Karola i Biraga. Spojrzałam na nich zdziwiona.

— Mamo, dostaliśmy wiadomość z Hiszpanii — powiedział łamiącym się głosem Karol. — Elżbieta poroniła i...

Podniosłam rękę, nakazując mu milczenie. Bez słowa wróciłam do moich zalanych słońcem pokoi. Opadłam na klęcznik, opuściłam głowę i czekałam na potop.

Nie uroniłam ani łzy.

Miałam w pamięci godziny po urodzeniu Elżbietki, gdy wniebowzięta trzymałam ją w ramionach, a ona wlepiła we mnie ogromne oczka, nie widząc poza mną świata. Nadal czułam jej idealnie gładką skórę, słodki niemowlęcy zapach, kosmyki ciemnych włosów Medyceuszy...

Weszła Lukrecja. Oczy miała czerwone od płaczu.

— Jego królewska wysokość mówi, że odwoła posiedzenie rady i ogłosi oficjalną czterdziestodniową żałobę — powiedziała.

— Nie. — Zmusiłam się do powstania. W głębi dojrzałam moją karliczkę płaczącą w chusteczkę. — Nie — szepnęłam. — Powiedz im, że przyjdę. Potrzebuję tylko chwili...

W tym momencie przypomniałam sobie kruki w Bayonne. Elżbieta powiedziała, że to zły omen, i miała rację. Dała Filipowi Hiszpańskiemu dwie córki i kosztowały ją życie.

Kiedy wróciłam do sali rady, była pełna. Panowie wstali jak jeden mąż. Głosem, w którym tylko dobre ucho dosłyszałoby drzenie, oświadczyłam:

— Bóg uznał za właściwe zabrać moją córkę. Ale nasi nieprzyjaciele nie powinni się cieszyć ani przypuszczać, że mój gniew z powodu ich zdrady zelżeje. Filip, król Hiszpanii, jest złożony bólem równie wielkim jak nasz, lecz potrzebuje żony, gdyż musi pamiętać o następcy tronu.

Odwrociłam się do kardynała. Jego pulchna twarz promieniowała triumfem; marzył o tym dniu, o tak ciężkim upokorzeniu mnie przez los, bym była gotowa oddać mu pieczę nad Karolem i królestwem. Chociaż niepowodzenia bratanicy z pewnością były dlań ciężkim ciosem, teraz mogła zaoferować swoją rękę — i koronę Szkocji — każdemu katolickiemu księciu gotowemu pospieszyć jej na ratunek. Ale nie Filipowi. Musiał pozostać związany z nami, chyba że miałby dość mojego niezdecydowania i najechałby nasz zniszczony wojną kraj.

Choćbym chciała się poddać, nie mogłam do tego dopuścić.

— Chcę, żeby Margot zajęła miejsce siostry — oznajmiłam radzie. Po czym nakazałam kardynałowi: — Wasza eminencja osobście przedstawi moją propozycję królowi Filipowi. Na dowód jej powagi zgadzam się przyjąć cztery tysiące jego żołnierzy, którzy pomogą nam w wojnie z hugenotami. To wyczerpuje listę moich koncesji.

Odsunęłam krzesło od stołu.

— Teraz, panowie, musimy znaleźć sposób zrównania z ziemią La Rochelle.

Tamtej nocy zgasiałam wszystkie świece i usiadłam na podłodze. Czekałam długo, wydawałoby się wieczność, ale rozpacz znalazła mnie jak zawsze.

Świat poczerniał. Nie widziałam i nie czułam niczego.  
Aż do nadejścia wizji.

## R O Z D Z I A Ł 2 8

*Brodaty mężczyzna galopuje po spalonej równinie pełnej umierających i rannych żołnierzy. To koniec zażartej bitwy; krzyk bije w czarne chmury. Koń dyszy, boki ma spienione. Jeździec ogląda się przez ramię, wbija ostrogi w żebra zwierzęcia. Z bitewnego zamętu wyłania się inny konny i pędzi za nim. Jest odziany w złotą zbroję, w osłoniętej rękawicą dłoni dzierży ostry miecz. Rąbie nim postaci w białych tunikach. Jego ostrze zdaje się jednocześnie uderzać w tysiąc celów, tu odcina głowę, tam przesywa pierś, rozpruwa brzuch koniowi, którego jeździec pada na ziemię. Ale przede wszystkim ma na uwadze przeciwnika, który zaczyna znikać w rozedrganym powietrzu.*

— Zdrajca! — krzyczy złoty rycerz. — Zginiesz! Zginiesz za Francję!

Z trudem rozwierałam zaropiałe powieki. Kiedy mi się to udało, niewyraźnie zobaczyłam otaczające łóżko postaci. Czyjaś ręką przyciskała mi do czoła zamoczoną w rumianku szmatę. Rozchyliłam usta. Wydusiłam z siebie chrapliwym, łamiącym się głosem:

— Wody... dajcie mi wody.

— Bóg się zlitował, przemówiła! — Lukrecja pochyliła się nade mną.

— Oczywiście, że mówię — wymruczałam. — Co sobie myślicie, że umarłam?

Zaczęłam rozpoznawać ludzi w pokoju. Była tam Anna Maria głową ledwo sięgająca kibici Margot. Niebieskozielone oczy mojej córki były podbite, jakby nie spała od kilku tygodni.

— Wyglądasz strasznie — wyszeptalam.

Margot uśmiechnęła się słabo.

— A ty zaczynasz dochodzić do siebie.

Ku mojemu zdziwieniu Lukrecja się rozpłakała.

— Myślałyśmy, że nigdy się nie ockniesz, pani — powiedziała, ściskając moją rękę.

Zmarszczyłam czoło. Anna Maria kiwnęła głową. Nagle przypomniałam sobie o śmierci Elżbiety i zalała mnie fala bólu. Przez chwilę chciałam zamknąć oczy i zapaść się w nieświadomość. Ale nie mogłam; musiałam zorganizować nowe natarcie na La Rochelle, spotkać się z wysłannikami i ambasadorami, którzy zawsze wydawali się nie do końca poinformowani. Musiałam...

Znieruchomiałam, patrząc na poważne twarze wokół.

— Jak długo byłam w takim stanie?

Lukrecja przystawiła mi do ust puchar.

— Z górą miesiąc.

— Miesiąc...! — Odepchnęłam jej rękę. — To niemożliwe. Co się stało?

— Gorączka. — Lukrecja odstawiła puchar i zmoczyła w miednicy przy łóżku szmatę. Przyłożyła mi ją do czoła; poczułam chłód i woń ziół. — Trzeciaczka. Znaleźliśmy cię na podłodze w twojej komnacie, pani. Medycy byli bezradni. Puszczali ci krew, ale się nie obudziłaś. Strzegłyśmy cię na zmianę. Och, pani, pot spływał z ciebie strumieniami. Był zimny jak lód. Ani jednak drgnęłaś. Jakbyś umarła za życia. Zanim zaczęłaś mówić... myślałyśmy, że to koniec.

— Co mówiłam?

— O bitwie, jeźdźcu uciekającym przed złotym rycerzem. To brzmiało jak... — Urwała.

Czułam bolesne nakłucia na przedramieniu, skutki puszczenia krwi. Nie powiedziałam im, że to nie zwykła gorączka, ale powrót niedomogi prześladowanej mnie w dzieciństwie. Tak płaciłam za dar jasnowidzenia.

Uderzenie drzwi o ścianę sprawiło, że wszyscy aż podskoczyli.

— Ocknęła się? Mówi? — Karol podbiegł do łoża. Czoło miał zabrudzone prochem ze zbrojowni, którą urządził sobie również w Luwrze. Pochylił się nade mną. Poczułam woń dymu. — Mamo, czy to prawda? Widziałas to?



Za nim dojrzałam Margot. Zerkała mu przez ramię. Pewnie się wyśliznęła i zawiadomiła brata.

— Co niby widziałam? — spytałam.

— Ich klęskę! — Głos łamał mu się z przejęcia. — Zaatakowaliśmy La Rochelle. Kiedy zachorowałeś, Birago i ja zorganizowaliśmy kampanię. Hiszpanie dołączyli do nas. Urządziliśmy blokadę miasta i wykurzyliśmy hugenotów. Uciekali na złamanie karku.

— Złota zbroja — szepnęłam. — Henryk taką dostał. Dałam mu ją. *Dio mio*, czy...

— Nic mu się nie stało. Chciał dopaść admirała; ścigał go konno całe mile. Powiedział Gwizjuszowi, że obiecał ci go. Ale Coligny uciekł. — Przerwał i wpił się we mnie wzrokiem. — Widziałas to, no nie? A widziałas też konetabla? Umarł. Zginął na polu walki, osłaniając Henryka. Pochowaliśmy go w Saint-Denis, obok papy. Konetabl zawsze kochał tatę. Dobrze zrobiłem, że go tam pochowałam, prawda?

Montmorency, wuj Coligny'ego. Ujrzałam go takim, jakim był w dniu, kiedy po raz pierwszy spotkałam go w Marsylii; tytan zasłaniający słońce. Był moim przyjacielem i wrogiem; weteran trzech panowań i niezłomny obrońca wiary, która była mu droższa niż życie. Teraz odszedł jak wielu innych. Nie mogłam powiedzieć, że jego śmierć bardzo mnie zasmuciła, był członkiem triumwiratu, ale poczułam ciężar lat jak nigdy wcześniej. Prysły wszystkie ogniwa łączące mnie z przeszłością, zostałam sama z nadmiarem wspomnień nieznanymi nikomu poza mną.

Wyczerpana powiedziałam:

— Tak, dobrze zrobiłeś. Nie widziałam go. Nie wiedziałam. — Poczułam, że osuwam się w sen, tym razem pozbawiony widziadeł. — Wybacz mi. Jestem bardzo zmęczona.

— A więc odpoczywaj — powiedział Karol, całując mnie w policzek. — Wojna skończona. Niebawem będziemy mogli ogłosić amnestię i znów będziemy żyli jak dawniej. — Poklepał mnie po ręce. — Och, prawie zapomniałem. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mamó. Musimy to uczcić, kiedy poczujesz się lepiej. — Odwrócił się i wyszedł pewnym krokiem.

Margot stała nieruchomo, patrząc na mnie niemal ze strachem w oczach.

— Moje urodziny — powiedziałam zamyślona. — Pięćdziesiąte.

Kiedy zasypiałam, pomyślałam, że Coligny nadal żyje, ale nie potrafiłam ocenić, jakie uczucie budzi we mnie ten fakt.

Kiedy tylko podniosłam się z łoża, ogłosiliśmy amnestię, zezwalając hugenotom na praktykowanie ich religii w wyznaczonych miejscach i zajmowanie czterech miast, w tym La Rochelle. Wybaczyliśmy również wszystkim przywódcom rebelii. Przy okazji uhonorowałam Biraga za jego wysiłki na rzecz Korony, mianując go kanclerzem.

Rozwiązałam armię. Henryk przyjechał z frontu do domu. Wyglądał jak zawsze świetnie, triumfujący młody mężczyzna po chrzcie bojowym. Towarzyszył mu Gwizjusz, pleczysty i złotowłosey jak młody bóg. Wyglądali niczym dwie strony jednej monety; pierwszy ciemny, drugi jasny; spadli na dwór jak dwie komety, ciągnąc za sobą warkocz hałaśliwych żartów i wygłupów.

Byłam zadowolona. Moi synowie przejęli inicjatywę, gdy leżałam złożona słabością, i przynieśli dumę rodowi Walezjuszy. Byli francuskimi książętami w każdym calu.

Nikt nie wiedział, gdzie ukrył się admirał. Nie odwołałam nagrody wyznaczonej za jego głowę, ale dałam do zrozumienia, że jest objęty ogólną amnestią pod warunkiem, iż powstrzyma się od dalszych zdradzieckich kroków. Mimo że pokonany, nadal się cieszył szacunkiem swych braci w wierze i nie chciałam z jego strony żadnych kłopotów.

Zajęłam się natomiast budowaniem przyszłości, w której już nie było dla niego miejsca.

— Filip nie godzi się na Margot. — Zerknęłam na list, który trzymałam w dłoni. — Jego eminencja twierdzi, że uczynił co mógł, aby go przekonać, lecz Filip jest tak przepełniony smutkiem po stracie Elżbiety, że kolejny ślub na razie nie wchodzi w grę. Jednakże zgadza się na ślub Karola z Elżbietą Austriacką. To szesnastoletnia córka syna jego stryja. — Spojrzałam triumfalnie na Biraga. — Hiszpanię i Francję nadał będą łączyć małżeńskie więzy królewskich rodzin. Nasz austriacki ambasador przesłał nam do obejrzenia miniaturę panny młodej. Ufam, że już z nim rozmawiałeś?

Birago pogrzebał w aksamitnym puzdrze na moim biurku. Złoty kanclerski łańcuch zwiisał mu na przygarbionych ramionach, dodając władczego wyrazu kościstej twarzy, na której lata nieznużonej służby pozostawiły niezatarte ślady. Przyglądałam mu się i gdy podniósł oprawiony w złoto portrecik, ogarnęły mnie nagłe wyrzuty sumienia. Ten nieugięty Włoch nigdy nie zszedł z posterunku u mego boku i zapłacił za to swą cenę. Często zapominałam, że nigdy nie miał żony. Nawet nie miałam pojęcia o jego prywatnym życiu. Wiedziałam tyle, że żyje w wypełnionym pracą świecie gęsih piór i pergaminów, pełni obowiązki, nadzorując rozległe, niewidzialne sieci szpiegów i wywiadowców, trudząc się w imię mojego bezpieczeństwa — i Francji.

— Co za cudowna biała skóra i blond włosy — zachwycił się. — Będzie z niej prześliczna panna młoda.

— W rzeczy samej — przyznałam mu rację. — Hm, skoro zadbaliśmy o Karola, może teraz powinniśmy znaleźć pannę młodą dla ciebie, co? Na dworze musi być jakaś dama, która wpadła ci w oko.

Uśmiechnął się, pokazując zbrązowiałe zęby.

— Obawiam się, że jestem zbyt stary na te rzeczy. — Usłyszałam w jego głosie melancholijną nutę i zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, dodał: — Rozmawiałem z Karolem o narzeczonej i zgłosił zasadniczy wymóg: żeby była skromna. Powiedział: „Innymi słowy tak niepodobna do Margot, jaką tylko uda się wam znaleźć”.

Roześmiałam się.

— Karol uwielbia Margot, ale się z nim zgadzam; jedna Margot w zupełności wystarczy. Według naszego ambasadora Elżbieta spełnia jego wymóg. Jest czystej krwi Habsburżanką. Silna, cnotliwa i pobożna. Nie będzie mu sprawiać kłopotów i z Bożą pomocą da mu wielu zdrowych synów.

Birago odłożył portret do puzdra, podczas gdy ja odwróciłam wzrok do okna, za którym robotnicy przemieniali nagi kawałek ogrodów tuileryjskich we włoską grotę. W oddali hałasowały młoty. Tam z mojego rozkazu burzono Hotel de Cluny i wznoszono nowy pałac królowej — Hotel de La Reine. To była moja ostatnia namiętność, a od czasów choroby obsesja. Birago powiadał, że zajmuję się architekturą, gdyż uwzniośla duszę; lecz ja uważałam, że tak po prawdzie

chodzi o to, iż budowle mogą być namacalnym obiektem zachwyty, widowym znakiem mojej potęgi.

— Co z księżniczką Margot? — spytał Birago, prostując się z grymasem bólu. — Odmowa Filipa to zawód, ale zawsze możliwe są inne sojusze.

Skinęłam głową. Przeszłam do krzesła, by pogłaskać starą Muette; gdy trąciła mnie nosem, nadał żwawa mimo dwunastu lat, w głowie usłyszałam głos Nostradamusa, jakby szeptał mi do ucha: „Jesteście połówkami całości. Potrzebujecie jedno drugiego, aby wypełnić swoje przeznaczenie”.

Zastygłam. Serce zaczęło bić mi żywiej w piersiach.

— A co z Nawarczykiem? — Popatrzyłam na Biraga. Spojrzał na mnie tak, jakbym się odezwała w obcym języku. W moim głosie zabrzmiało podniecenie. — Oboje z Margot mają dziewiętnaście lat; pasowaliby do siebie jak ulał. Kiedy Joanna umrze, on zostanie królem Nawarry, a pamiętaj, Coligny wynosi go pod niebiosa, nazywając zbawcą hugenotów. Lecz gdy ożenimy go z Margot, nie będzie mógł podjąć z nami wojny, a ich ślub zjednoczy hugenotów i katolików. Przecież to kuzyni; oboje mają w żyłach krew Walezjuszy, Henryk przez matkę, siostrę mojego świętej pamięci teścia Franciszka, i Margot urodzi mu potomków Walezjuszy.

Birago z namysłem potarł podbródek.

— To interesujące rozwiązanie, natomiast wątpię, by nasi katolicy panowie kiedykolwiek wyrazili na nie aprobatę. Nie mówię już o Rzymie. Jego eminencja powiada, że ojciec święty tak zawzięcie tępi herezję, że doprowadzi do ekskomuniki wszystkich protestanckich książąt, w tym Joanny Nawarskiej. Skojarzenie Margot z synem Joanny z pewnością nie zostanie uznane za postępowanie właściwe prawdziwie katolickiej królowej. — Mrugnął do mnie cynicznie. — A mieliśmy już dość oskarżeń o brak religijnego zapału waszej królewskiej mości.

— Phi! — Machnęłam ręką. — Nie obchodzi mnie, co o mnie mówią! Jednak co będzie, gdy Nawarczyk wyrazi zgodę na to, aby wszystkie dzieci zrodzone z tego związku zostały wychowane w wierze katolickiej? — Teraz byłam w pełni przekonana do tego pomysłu, jaśniał przede mną niczym gwiazda przewodnia. Z pewnością to właśnie przewidywał Nostradamus. Mając Nawarczyka za zięcia, mogłam go równocześnie strzec i kształtować. Pozbawiła-

bym hugenotów przywódcy krwi królewskiej, który mógłby ich jednoczyć, i zmusiłabym obie strony do trwałego kompromisu.

— Z czasem — mówiłam dalej — moglibyśmy nawet przekonać Nawarczyka, żeby sam się nawrócił. Jest młody, uległy wpływom; gdyby mieszkał z Margot tu, na dworze, to kto wie, co moglibyśmy osiągnąć? A przynajmniej Nawarra nie stanęłaby przeciwko nam.

— Wszystko to pięknie ładnie — odparł Birago — ale z Colignym? Myślisz, pani, że się zgodzi?

Na dźwięk tego imienia mój dobry nastrój prysł.

— Nie bardzo widzę, jak jego opinia mogłaby pomóc czy zaszkodzić temu związkowi — rzekłam gniewnie, chociaż mówiąc te słowa, już zbierałam siły na wysłuchanie argumentów Biraga.

— Jego opinia ma wielkie znaczenie. Sama o tym wiesz, pani. Może jest skazany na twoją niełaskę i niemile widziany na dworze, ale nadal cieszy się wielkim uznaniem wśród hugenotów i zaprotętuje przeciwko każdemu ustaleniu wiążącemu Nawarrę ze sprawą katolików. Poza tym ma przemożny wpływ na królową Joannę, której aprobaty będziesz potrzebować, aby doprowadzić do zawarcia tego małżeństwa.

Nic nie doprowadzało mnie do większej złości niż przypomnienie mi o moich ograniczeniach.

— Zostaw ją mnie — fuknęłam. — Co do admirała, to nie ma takiego katolika we Francji, który by się nie palił do zdobycia nagrody wyznaczonej za głowę tego pana, gdybym wyłączyła go spod amnestii. Jak mógłby mi się postawić? Jego życie jest w moich rękach.

— Z ulgą to słyszę, pani. Obawiałam się, że nadal darzysz go afektem. — Spojrzał mi znacząco w oczy i nie mogłam nie odwrócić wzroku. — Przecież nie tak dawno temu byliście... przyjaciółmi.

— Tak było, zanim złamał dane słowo i mało nie doprowadził nas do ruiny. Jeśli faktycznie żywiłam wobec niego jakikolwiek afekt, dawno przepadł. — Mówiąc to, pozbyłam się wszelkich wątpliwości. Na zawsze miałam zachować wobec niego szczątek uczucia; po wszystkim co zaszło między nami, nie potrafiłabym go z siebie wykorzenić. Ale nigdy więcej nie miałam pozwolić na to, by namiętność przesłoniła mi rozum.

Wygładziłam suknię, paląc się do wprowadzenia w życie mego planu.

— Ani słowa nikomu poza Karolem. Oczywiście potrzebuję jego zgody, ale dopóki nie wrócę z Chaumont, nikt więcej nie może się niczego dowiedzieć. Czy to jasne?

— Tak, *madama*. Będę trzymał pieczęć na ustach. — Nie musiał pytać, dlaczego chcę się poradzić Kośmy.

— Jesteś pewien? Musi coś być. — Chodziłam po obserwatorium w Chaumont, podczas gdy Kosma gapił się w horoskop Nostradamusa jak sroka w gnat. W brzuchu mi burczało, krzyże i tyłek protestowały, wymęczone podróżą z Paryża. Marzyłam tylko o pieczonym bażancie, kielichu bordo i miękkim łożu w wyszykowanej dla mnie sypialni.

— Widzę tylko małżeństwo z Austriaczką. — Kosma podniósł wpadnięte oczy.

Dawno temu skończył trzydziestkę, a poza tym zdawał się wyćieniony. Powłóczył nogami niczym zgrzybiały eremita. Miał też niepokojący tik, podrzucał ramieniem i drżał mu policzek. Sam zamek również robił odstręczające wrażenie. Wiele pokoi i sal było zamkniętych. Służba, którą sama wyznaczyłam, zniknęła. Woń pleśni była tak mocna, że Lukrecja się poświęciła, rozpałała na kominkach i pościerała kurze, podczas gdy wspierałam się do obserwatorium, w którym Kosma spędzał cały swój czas z wyjątkiem przeznaczonego na sen.

— Kosma, Nostradamus twierdził, że ten horoskop opisuje moje przyszłe dziesięć lat — powiedziałam, powściągając zniecierpliwienie. — Ponoć muszę strzec Nawarczyka. Już wiem o Austriaczce. Nie widzisz tam innych związków?

Spojrzałam na wykres, na którym wirowały przecinające się kolorowe linie i trasy planet. Moje życie może od tego zależeć, a ja nie potrafię nic z nich odczytać. Nieproszona myśl przyszła mi do głowy. Może nie powinnam wierzyć Kosmie? Bo czy tak na dobrą sprawę zgłębił do gruntu jakąś prawdziwą umiejętność poza interpretowaniem niewyraźnych znaków i wyznaczaniem odpowiednich dni na koronację, czy też w dogodny sposób wykorzystywał chwile jasności umysłu, rzadkie chwile, kiedy potrafił przenikać welon między tym światem a następnym? W porównaniu z Nostradamusem nie budził zaufania, jakby tylko odgrywał tajemniczą osobowość, jego zdaniem charakterystyczną dla jasnowidza.

Skrzywił się.

— To nie do rozgryzienia. Nostradamus najwyraźniej nie pobierał nauk we Włoszech.

— Oczywiście, że nie. Widzisz przynajmniej znak Margot? Urodziła się pod Bykiem.

— Zobaczmy. — Przeciagnał placem wzdłuż jednej z linii. — Tak, wykres jej życia przechodzi przez ten kwadrant. — Stuknął w kartę. — Wynika z tego, że weźmie ślub pod znakiem Barana.

Zatchnęło mnie.

— Henryk Nawarski jest Baranem! Urodził się w koniunkcji! Policzek mu drgnął.

— Powiedziałem „przechodzi”, nie mówiłem, że się łączy. A to zaćmienie w Skorpionie sygnalizuje cień.

— Cień? — Zastygłam. — Co to znaczy?

— Nie wiadomo. — Zacisnął usta. — Jak powiedziałem, ten horoskop został sporządzony przez kogoś nieobeznanego w materii czytania przyszłości. Może jeśli zdradzisz mi, pani, czego chcesz się dowiedzieć, będę mógł ci pomóc.

Wzięłam głęboki oddech. Lepiej już było wszystko mu powiedzieć, w przeciwnym razie groziło mi, że strawię z nim w tej rupieciarni całą noc.

— Chcę wiedzieć, czy powinnam zaaranżować małżeństwo Margot z Nawarczykiem. Szukam sposobu, który doprowadziłby do pokojowego zjednoczenia katolików i hugenotów. Myślę, że to może być właśnie to.

Kosma przyglądał mi się, szkielecią ręką gładząc dziwny naszyjnik na piersi. Rzucił mi się w oczy już w chwili przybycia do zamku — srebrny amulet przedstawiający rogate stworzenie z dziurawym na wylot tułowiem.

— Możesz złączyć świętym węzłem Margot i księcia, pani. Ale osiągnięcie pokoju nie będzie łatwe — powiedział.

— Oczywiście, że nie; zdaję sobie sprawę, że ten ślub nie rozwiąże wszystkiego. Ale gdyby udało mi się do niego doprowadzić, hugenoci złożyliby broń. Mielibyśmy jaśniejszą przyszłość. Nawarczyk stałby się jednym z nas; innowiercy straciliby księcia, który by wspierał ich sprawę. Potrzebuję tylko zgody Coligny'ego i Joanny.

— I myślisz, że jej udziela? — spytał.

Parsknęłam.

- Myślę, że prędzej zdechną.
- W takim razie może powinni zdechnąć.

Odwrócił się do pobliskiej sekretery i wyjął lakierowaną skrzyneczkę o zaokrąglonych brzegach. Postawił ją przede mną. W środku na czarnym aksamicie leżały dwie idealnie oddane figurki z wyraźnie zaznaczonymi genitaliami — męska i kobieca. Wyglądały jak dwa trupki. Sięgnęłam po męską postać, czując mieszaninę podziwu i obrzydzenia. Dotknąwszy jej, miałam wrażenie, że czuję żywe ciało.

— To jakby ona i on — powiedział Kosma. — Za pomocą tych figurek, pani, możesz zdobyć kontrolę nad admirałem i Joanną Nawarską. Sprawisz, że zrobią, co tylko zapragniesz. — Wyjął ze szkatułki płócienny woreczek. Były w nim srebrne igły. Podniósł jedną. — Wpierw musisz oznaczyć figurki, przydając każdej coś, co należy do tego, na kogo chcesz zadziałać: włos, skrawek odzieży, cokolwiek. Wtedy ogłaszasz swoją wolę. Jakbyś się modliła. Zapalasz świece. Czerwoną, żeby zdominować, białą, żeby oczyścić, żółtą, żeby pokonać. Działasz, wbijając szpilki w kończyny. Możesz spowodować ból, chorobę i kalectwo. Nawet śmierć.

Długim palcem odchylił aksamitną wyściółkę, odsłaniając tajną przegródkę. Podniósł haczyk i wyjął fiolkę pełną białego proszku. Przypominała tę, którą jego ojciec wręczył mi we Florencji.

Światło świec rzucało wykrzywione cienie na wpadnięte policzki Kośmy.

— Nazywają to *cantarella*; połączenie arszeniku i innych tajnych ingrediencji. Podobno ulubiona trucizna Borgiów. Niewielu wie, jak ją zrobić. Może spowodować chorobę, szaleństwo i śmierć. Podana w pożywieniu czy winie, jest nie do wyśledzenia. Nikt nigdy nie wpadnie na jej trop.

Spojrzałam w jego nieruchome oczy i figurka wysunęła mi się z dłoni. Rozłożyła się na kobiecej. Wyglądały niczym makabryczne kopulujące zabawki. Zatrzasnęłam wieczko szkatułki, jakbym się przestraszyła, że mogą same z niej wyskoczyć.

— Teraz masz wszystko, czego potrzebujesz — szepnął Kosma. — Musi ci się udać. — Zdjął amulet, przysunął się do mnie i założył mi go na szyję. Okazał się cięższy, niż można było sądzić. Dodał: — Zło przeciwko złu na wypadek, gdyby usiłowali cię zwalczyć tą samą bronią.



Powstrzymałam uśmiech na myśl, że Coligny miałby się uciec do czarnej magii. Spojrzenie Kośmy wytrąciło mnie z równowagi. Naprawdę myślałam, że użyję przeciwko moim oponentom zaklęć i trucizny. Ale uznałam, że najlepiej zrobię, przyjmując ten dziwny dar. Nie wiedziałam, co Kosma wyczynia, lecz cokolwiek to było, pomieszało mu w głowie; zawędrował do miejsca, w którym nie miałam ochoty mu towarzyszyć.

— Lepiej uważaj — poradziłam mu. Myślałam tylko o tym, żeby coś zjeść i jak najszybciej zniknąć z Chaumont. — Gdyby cię doszyszano, wrzucono by cię do ciemnicy i skazano za czary.

Roześmiał się piskliwie, sztucznie.

— Kto mnie słucha prócz ciebie, pani?

Kiwnęłam głową i zabrałam szkatułkę. Zaprowadził mnie na oświetlony pochodniami podest schodów.

— Wyjeżdżam jutro o brzasku — powiedziałam. — Jeśli odczytasz coś jeszcze z tego horoskopu, koniecznie daj mi znać.

Chyba wyczuł, że między nami nastąpiło jakieś nienazwane zerwanie. Przeszywał mnie wzrokiem.

— Poświęcę się temu z całym oddaniem.

Nie obejrzałam się, schodząc w dół, ale czułam jego wzrok śledzący mnie do ostatniego stopnia.

— Wyglądasz wspaniale. — Odstąpiłam w bok, pozwalając mojej nowej synowej obejrzeć się w lustrze. Elżbieta Austriacka przybyła tydzień wcześniej i ze stoicką wdzięcznością wytrzymała długie uroczyste przywitanie, mimo że w trakcie podróży nabawiła się nieprzyjemnego zaziębienia. Miała spuchnięte oczy, nos jak balon i wciąż kichała, kryjąc się za chusteczką. Lecz gdy zaproponowałam, że odłożymy ślub, aż wyzdrowieje, potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, muszę wziąć ślub, jak zaplanowano — odrzekła fatalną francuszczyzną. — A potem urodzić syna.

Sprawiała wrażenie pewnej siebie, oceniała jednak swoje odbicie, nie okazując próżności. Zmarszczyła jasne brwi, poprawiając niewielką koronę na ciemnozłotych włosach. Nie była tak atrakcyjna, jak zapowiadał portret. Owalną twarz szpecił sterczący habsburski podbródek, niebieskie oczy były zbyt małe i zbyt poważne. Jeśli czuła się przestraszona lub przygnieciona okolicznościami, w któ-

rych się znalazła, nie okazywała tego. Patrząc na jej minę, powiedziałabym, że wybiera się na jedną z trzech mszy, na które codziennie uczęszczała.

Natomiast Margot w szkarłatnej brokatowej sukni była wprost do zjedzenia. Piersi obnażyła do granic przyzwoitości. Cudne gęste włosy ujarzmiła wysadzanymi klejnotami grzebieniami.

— Aleś śliczna! — krzyknęła do przyszłej bratowej, jakby była to nieoczekiwana niespodzianka.

Patrzyłam na nią kamiennym wzrokiem. W osiemnastej wiośnie życia moja córka porzuciła ostatnie pozostałości dzieciństwa, stając się zapierającą dech pięknnością; jej skośne oczy zdawały się przybierać kolor każdej sukni, którą włożyła, a naturalnie zabarwione tycjanowskie włosy były obiektem zazdrości każdej damy dworu. Stała się naszą oficjalną muzą, której poeci dedykowali tuziny napuszonych wierszy. Zauważyłam drapieżne lśnienie w oczach panów paradujących przed nią po zamku. Prężyli uda w obcisłych plu-drach, wypinając dyndające przesadnie wielkie sączki, czym nie byłam zachwycona. Potrzebowałam księżniczki dziewczycy, toteż naka-załam, aby nie ruszała się nigdzie bez dworek. Donoszono mi o każdym jej kroku i wiedziałam, że gorliwie uczy się tańca, śpiewu, gry na instrumentach i recytacji poezji, pozuje do portretów i ma niekończące się przymiarki — robiła wszystko, czego oczekiwano od księżniczki krwi królewskiej. Namiętnym umiłowaniem życia przypominała dziadka, Franciszka I, podsycając mój strach, że mimo wszelkich moich starań znajdzie jakiś sposób zaspokojenia swych apetytów, chociaż jeszcze żaden dowód tego nie potwierdzał.

— Czy ta suknia... — Elżbieta skubnęła materiał — nie jest... jak by to powiedzieć... za bogata?

Margot zachichotała. Klaudia, przysadzista i gruba w fioletowej aksamitnej sukni, dała jej sójkę w bok.

— Jest doskonała. — Wygładziłam srebrny materiał wyszywany perłami. Tworzyły lilie, symbol francuskiej monarchii. — Pasuje do twojej cery. Masz taką piękną skórę, moja droga. Prawda, Margot?

Margot prychnęła kącikiem ust.

— Chyba tak — rzekła niedbale i dopadła toaletki, przeglądając kosztowności Elżbiety. — Och, jakie śliczności! — Porwała rubinowe kolczyki. — Patrz, jak dobrze idą do mojej sukni. W czerwonym mi najlepiej. Każdy to mówi.

— Weź je sobie — powiedziała Elżbieta, nim udało mi się zaprotestować.

Margot zerwała swoje opale i założyła rubiny. Kiedy chłonęła swój obraz w lustrze, pomyślałam, że nie można sobie wyobrazić większej różnicy między jej chorobliwym samouwielbieniem a obojętnością Elżbiety. Wiedziałam z absolutną pewnością, jakby jakiś zły duch szeptał mi to do ucha, że pewien szczególny wielbiciel powiedział Margot, by nosiła czerwienie.

— Nie zamierzasz podziękować Elżbiecie? — spytałam.

Cmoknęła ją, paplając:

— Dziękuję ci, najdroższa siostrze. Są cudowne.

Kiedy skocznym krokiem podbiegła do Klaudii, demonstrując zdobycz, pochyliłam się, strzepując rąbek sukni Elżbiety zabrudzony pantoflem Margot. Przyszła synowa dotknęła mojego ramienia. Podniosłam wzrok.

— To nieważne — powiedziała. — W oczach wszystkich suknia panny młodej jest bez skazy, prawda?

Podbiła mnie tymi słowami. Świadczyły o jej zdrowym rozsądku, bez którego byłaby wyłącznie towarem na rynku królewskich pańien młodych.

— A jakże — przyznałam jej rację i skrzywiłam się, wstając. Lukrecja zbyt ciasno zesnurowała mi gorset. Nie należało nakazywać, aby ściągnęła go do granic możliwości. Trudno, moja dobra figura była już tylko wspomnieniem.

— Ty też wyglądasz wspaniale — powiedziała Elżbieta, wskazując moje odbicie.

Nie miałam wyboru i odwróciłam się do lustra. Ujrzałam niską tęgą kobietę w ciemnych fioletach. Spiczasty czepeczek zakrywał włosy, kurze łapki wybiegały promieniście z kącików ciemnych oczu. W uszy miałam wpięte stateczne szmaragdy, pod kryzą onyksową broszę i czarne perły. Nic na świecie nie mogło mi przywrócić młodości. Odwróciłam się od lustra.

Rozległy się dzwony. Maski królowej powróciła na twarz Elżbiety.

— Już czas — powiedziałam i wzięłam ją za rękę, prowadząc do ślubu z moim synem.

Zasiedliśmy w królewskich ławkach pod sklepionym sufitem. Henryk i Herkules po mojej prawej, Margot, Klaudia i jej mąż po lewej. Dworzanie i szlachta wypełnili całą kaplicę. Ciężki aromat perfum mieszał się z ostrą wonią kandelabrow, pochodni na ścianach i od czasu do czasu ze smrodem końskich jabłek przyklejonych do podeszwy takiego czy innego pana. Karol w koronie i królewskich szatach ukląkł wraz z Elżbietą przy ołtarzu. Niekończącą się ceremonię celebrował jego eminencja kardynał.

Kątem oka obserwowałam Margot i dostrzegłam, że jej wzrok ucieka do ławki zajmowanej przez Gwizjuszy. Młody księżę w szkarłatnym kaftanie, który podkreślał intensywnie niebieskie oczy i jasne złote włosy, z pewnością przyciągał uwagę. Zapusił wąsy i brodę, co dodało powagi jego młodemu wiekowi; na krótki moment serce stanęło mi w piersiach. Ujrzałam sokole rysy jego nieżyjącego ojca, Pokiereszowanego, i przeszedł mnie dreszcz.

Gwizjusz miał na sobie czerwone szaty, tak jak Margot.

Nagle wargi Henryka znalazły się przy moim uchu i wyszeptał:

— Jest z nami upiór. Spójrz. Coligny.

Zamarłam.

— To... to nie może być.

— Ale jest. Nie czujesz jego spojrzenia? Wlepia w ciebie oczy nawet teraz.

Krew nabiegła mi do głowy. Niczego nie słyszałam, niczego nie widziałam. To nie mogło się wydarzyć. Nie byłam gotowa. Wiedziałam, że ten dzień musi przyjść, chciałam jednak ułożyć go po mojej myśli, gdy już wprowadzę w życie plan połączenia Margot z Nawarczykiem. Jeszcze nie rozstawiłam figurek na szachownicy. Królowa Joanna nadal mi się wymykała; zaprosiłam ją na wesele Karola, lecz przysłała mi wyrazy żalu, informując, że jest złożona niemocą. Zakładałam, iż Gaspard również będzie się trzymał z dala, jako że nie zniosłam nałożonych na niego restrykcji. Nie wystawiałby się na niebezpieczeństwo. Henryk musiał się mylić.

Odważyłam się zerknąć przez ramię, za rzędy znudzonych dworzaków wypatrujących końca ceremonii i początku zabawy, za szepczące damy dworu i panie w kwiecie wieku wachlujące się mimo chłodu, w głąb ciemnych zakątków, w których majaczyły przeróżne sylwetki.

Stał w cieniach. Oczy w postarzałej, pobrużdżonej twarzy lśniły lodowym blaskiem.

— Widzisz? — spytał Henryk. — Mówiłem ci. Są z nami trupy.

— Jak mogłeś? — natarłam z furią na Karola, gdy przebierał się na wesele. — Nie dostał oficjalnego wybaczenia! Jak mogłeś go zaprosić?

Syn odwrócił się do mnie jak fryga, odtrącając pazia, który zdejmował mu obsypane szlachetnymi kamieniami pantofle.

— Powiedziałaś, że nasza ugoda ułaskawia wszystkich ich przywódców!

— Tamci to co innego. Działali pod jego dowództwem; słuchali jego rozkazów.

— Nie widzę żadnej różnicy. Ułaskawienie to ułaskawienie. Król nie cofa danego słowa. Zaprosiłem go, bo to moje wesele. Niech wie, że nie żywię względem niego złych zamiarów.

Rozdziawiłam usta tak wstrząśnięta, że nie miałam pojęcia, co zrobić. Mój syn reagował jak kiedyś w Blois; na widok admirała przemieniał się w inną osobę. Dostrzegłam w nim własną słabość; ufną osobę, którą niegdyś byłam. Znałam powab Gasparda, jego zdolność przyciągania i przekonywania. Kiedyś sama odczułam tę moc. Nadal ją czułam. Tylko że teraz byłam mądrzejsza.

— Pisał do ciebie? — spytałam i Karol spojrzął na mnie zaskoczony.

— Tak, pisał — odparł wzburzony. — Co z tego? Odpisałem mu. Odwołałem nagrodę za jego głowę i zapewniłem go, że ma moją ochronę. Traktuję to poważnie. Chcę pokoju i będę go miał.

— Jeśli pragniesz pokoju, musisz Coligny'ego odesłać. Twoja żona jest katolicką księżniczką, kuzynką Filipa Hiszpańskiego. Nie może go przyjmować.

— Przyjmie go, jeśli jej każe. — Paż uciekł mu spod nóg. — Mam dość śmiertelnej wrogości między religiami. Coligny to jeden z najświetniejszych panów Francji; zasługuje na to, aby być przyjmowany na dworze. Mamy idealną okazję ustanowić trwały pokój. — Przerwał, patrząc na mnie zmrużonymi oczami, które przypominały mi jego ojca. — Powiedziałaś mi, żebym nie mówił nikomu o małżeństwie z Nawarczykiem, i zgodziłem się. Czyżbyś zmieniła zdanie? Wolałabyś raczej, żebyśmy wytłukli się nawzajem?

— Oczywiście, że nie — odpowiedziałam, nie potrafiąc ukryć gniewu w głosie. — Ale wiesz, że Coligny wypowiedział nam wojnę. Odrzucał wszelki kompromis, dopóki miał jakiś wybór.

— Nie wypowiedział wojny mnie. A ja nie podpisywałem żadnych porozumień z Hiszpanią.

Korciło mnie, by złapać go za kołnierz i potrząsnąć nim tak mocno, aby oprzytomniał. Nie zrobiłam tego jednak; już nie miałam nad nim władzy; w wieku dwudziestu lat był naszym pełnoprawnym królem. Trzymałam go pod swoimi skrzydłami tak długo, jak długo mogłam. Teraz dostrzegłam, że czyniąc to, zaszczepliłam w nim urazę, której nie potrafiłabym wykorzenić.

Złagodziłam ton.

— Synu, rozumiem, co czujesz. Zgadzam się z tobą, ale to nie czas ani miejsce, abyś przeprowadzał swe zamiary. Musisz go odeśłać dla jego własnego dobra. Mamy za ścianą Gwizjuszy. Ryzykujesz jego życiem.

— Jeśli któryś z Gwizjuszy lub ktokolwiek inny straci mu włos z głowy, odpowie przede mną. — Porwał z rąk skulonego pazia biret. — Admirał zostaje. Więcej, przywróciłem mu miejsce w radzie. Może służyć jako doradca w sprawach hugenotów, jak przed tą przeklętą wojną.

Minął mnie zamaszystym krokiem, zmierzając do drzwi.

— Do zobaczenia w sali.

Karol zniknął zaraz po uczcie, zostawiając Elżbiecie i mnie obowiązki przewodniczenia uroczystościom weselnym. Nie cierpiał ceremonialnych szat, więc pewnie oddalił się zmienić strój. Siedząc samotnie na podwyższeniu wraz z Elżbietą, obserwowałam Margot, zarumienioną od wina i spijającą komplementy z ust dworaków. Zdawała się nie zwracać uwagi na Gwizjusza, który siedział przy Henryku. Jeśli on z kolei poświęcał jej uwagę, był mistrzem w maskowaniu się. Uśmiechał się i kiwał głową, gdy Henryk szeptał mu coś do ucha, a wątpliwej konduity dama dworu dolewała im do pucharów, kiedy choćby zamoczyli w nich usta. Gwizjusz z taką uwagą słuchał Henryka, że nie zdawał sobie sprawy, iż jest obiektem obserwacji przystojnego Hiszpana, Antoniego de Guasta, który podczas wojny służył pod moim synem, a teraz pełnił obowiązki jego osobistego strażnika.

Jego ponura mina wzbudziła mój niepokój. Widziałam ją wcześniej mnóstwo razy na twarzach dam dworu oceniających inne jak przeciwników w pojedynku; dostrzegając pożądanie i zazdrość na twarzy tego młodzieńca, musiałam się zastanowić, jaki jest charakter związku łączącego go z moim synem.

Moje rozważania urwał przeraźliwy pisk. Herkules już zdążył uświnić nowy strój i biegał, porywając z tac kawałki mięs, podczas gdy rozochociona winem grupka pań goniła go, tłukąc po pośladkach wachlarzami. Miał prawie szesnaście lat i był prawdziwą katastrofą. Mimo wysiłków Margot uczył się równie źle, jak sprawował. Aż mnie zwinęło na widok dezaprobaty, z którą Elżbieta obserwowała jego wygłupy.

Nie mogłam mieć do niej pretensji. To było jej wesele, jej prezentacja na dworze, tymczasem gdy rozdzielono stoły, wszelkie pozory przyzwoitości poszły w ką. Dworzanie znikali w cieniach pod pilastrami, oddając się pieszczotom; dźwięki bębnów i piszczałek ledwo się przebijały przez pijackie śmiechy, gdy tańczący szaleli od ściany do ściany. W czasach mojego teścia nie było mowy o takich wybrykach; chociaż dwór zawsze najbardziej cenił zabawę i przyjemności, kobiety nie obnażały ramion, nie mówiąc już o sutkach, a mężczyźni nie pozwalali sobie na sprośne wyskoki, godne pobłażania jedynie w zamtuzach.

Sięgnęłam po dzban, chcąc uzupełnić puchar Elżbiety.

— Dwór od dawna nie zakosztował zabawy — zaczęłam jej tłumaczyć. — Mieliśmy wojnę, stąd teraz łatwo się zapomnieć... — Urwałam, widząc, że krew ucieka jej z twarzy, a wzrok podąża w głąb sali.

Poszłam za nim. Śmiechy wokół nas urwały się i zgasły.

Karol szedł do podwyższenia. Długie włosy opadały mu do ramion, podwinięte bufiaste rękawy koszuli odsłaniały opalone przedramiona. Przy boku miał Coligny'ego.

Głosem, który odbił się od ścian, mój syn zawołał:

— Admirał Coligny pragnie przywitać panią mego serca!

Coligny się skłonił. Ostatni raz byliśmy blisko pięć lat temu. Ku memu zaskoczeniu wydawał się mniejszy, niż go zapamiętałam. Wycieńczenie zniekształciło delikatne rysy twarzy. Oczy nadal miał błyszczące, przenikliwie patrzące, ale odbijało się w nich wszystko, czego doświadczył i co uczynił w imię wiary, jak to

u mężczyzny, który w imię doktrynalnych zasad poświęcił osobiste ideały.

Starzeje się, pomyślałam. Jest słaby i stary. Nie ma co się go bać.

— Panie, witamy na dworze — rzekłam.

— Dziękuję. Wasza królewska mość wygląda świetnie. Ufam...

— Czuję się dobrze. Moja droga Elżbieto, pozwól, że przedstawię ci admirała...

Kiedy zaczął się chylić w ukłonie, Elżbieta wstała, szeleszcząc sukniami. Skłoniła głowę, zmuszając go do odsunięcia się w bok, gdy zeszła z podium. Ledwo dygnęła przed Karolem, po czym opuściła salę. Mało nie zaklaskałam. Moja nowa synowa chyba miała nerwy ze stali.

— Jej królewska wysokość przed twoim przybyciem, panie, skarżyła się na ból głowy — rzekłam, zauważając rumieniec zażenowania na twarzy Karola. — Miała ciężki dzień i potrzebuje odpoczynku.

— Oczywiście — powiedział Coligny. — Rozumiem.

— Admirał zgodził się służyć na dworze — poinformował mnie Karol, zadzierając wyzywająco głowę. — Powiada, że będzie zaszczycony, zasiadając znowu w radzie królewskiej i mogąc nam pomóc przy ustalaniu warunków pokojowych.

— Czyżby? — Uśmiechnęłam się wymuszenie. — No cóż, wpierw postarajmy się o pokój z twoją panią młodą, dobrze? Masz noc poślubną. — Zebrałam siły, szykując się na jego ostrą odpowiedź.

Jednak Karol tylko wymamrotał:

— Tak, oczywiście. Nie powinienem jej zaniedbywać. — Klepnął w ramię Coligny'ego. — Kazałem przygotować twoje stare pokoje. Możesz tam swobodnie oddawać cześć Panu i przyjmować przyjaciół.

— Wasza królewska wysokość jest niezwykle łaskawy. — Admirał skłonił głowę.

— Dobrze. A jutro rano zapolujemy. — Karol ruszył za Elżbietą.

Pochwyciłam go za rękę.

— Pozwól, że będę ci towarzyszyła. — Spojrzałam na Coligny'ego. — Powinniśmy odbyć dłuższą rozmowę, panie. Może jutro po polowaniu?

Nie potrafiłam odczytać, co myśli, gdy odrzekł:



— Jak wasza królewska mość sobie życzy.

Odwrociłam się, idąc z Karolem przez tłum dworaków. Po odprowadzeniu go do Elżbiety wróciłam do siebie.

— Czy to prawda? — spytała Lukrecja. — Wrócił?

— Tak. — Poszłam do sypialni i zamknęłam drzwi. Przy świeczce podniosłam deski podłogi pod łóżkiem i wyjęłam szkatułkę Kośmy. Nie otworzyłam jej.

Ale myślałam o niej. Myślałam o niej bardzo długo.

Po południu czekałam na niego w gabinecie, siedząc przy szerokim biurku, w którego skrytkach trzymałam ważne dokumenty. Na blacie położyłam skórzaną teczkę i królewską pieczęć — symbol władzy.

Wszedł. Prosty czarny kaftan opinał szczupłą postać. Nadal świetnie się trzymał i jego widok zaparł mi dech w piersiach. Nie byliśmy sami od czasu Blois.

— Wiem, że jesteś na mnie zła — powiedział pierwszy.

Spojrzałam na niego zimno.

— Masz o to pretensje?

— Nie. Ale nie musisz się niczego bać. Nie wywołam następnej wojny, nawet gdybym mógł. Żaden człowiek nie pragnie bardziej pokoju niżli ja.

— Słyszałam wcześniej takie słowa. — Zmierzyłam go wzrokiem. — Jednakże ty nadal wolisz wierzyć w najgorsze rzeczy na mój temat. Czemu miałabym myśleć, że cokolwiek się zmieniło?

— Nie oczekuję tego od ciebie. Tylko proszę, abym mógł udowodnić, że nie żywię żadnych złych zamiarów.

— Ach tak? Jeśli dobrze pamiętam, stworzyłam ci ku temu więcej niż jedną okazję i nie uważałeś za stosowne żadnej wykorzystać. Gdyby nie moja wielkoduszność, byłbyś ścigany.

W oczach pojawił mu się błysk. Zapomniałam, jak potrafi być opanowany, jak skryty. Gdy stał przede mną, znów dostrzegłam jego nieustanne powściąganie emocji, umiejętność, której pełny zasięg dopiero zaczęłam pojmować. W jego przypadku wszystko działo się pod powierzchnią. Wszystko było ukryte.

Pochyliłam się.

— Ułaskawiłam cię raz. Mogę to zrobić znowu. Wbrew temu co myślisz, nie pragnę prześladować twojej wiary. Więcej, mam na-

dzieję niebawem doprowadzić do małżeństwa hugenota i katoliczki. Co na to powiesz?

— Moja wiara nigdy się nie sprzeciwiała takiemu związkowi. Za to wydaje mi się, że twoja tak.

— Masz rację, jednak tu nie chodzi o zwyczajne małżeństwo. Pragnę związać ślubem Margot z księciem Nawarry.

Dla mniej uważnego oka wydałby się nieporuszony. Ale ja dostrzegłam, że nieznacznie zeszywniał.

— Nie pojmuję, jak tego rodzaju sprawa miałaby mnie dotyczyć.

— Powiem ci jak. Masz wpływ na Joannę Nawarską, czyż nie? — Przerwałam. — I powiadasz, że pragniesz udowodnić, że nie żywisz żadnych złych zamiarów. Bardzo dobrze. Chcę, żebyś podpisał list do niej żądający, aby przybyła z synem na dwór. To będzie potwierdzenie twojego przekonania, że wrogość między naszymi wiarąmi może być zażegnana i że wspierasz moje pragnienie, by połączyć świętym węzłem małżeńskim syna Joanny z moją córką.

Tym razem dojrzałam w jego oczach podejrzliwość. W końcu odsłonił to, co ukrywał za nieprzeniknioną fasadą.

— Obawiam się, że jej królewska mość Joanna Nawarska jest bardzo chora. Podróż będzie dla niej sporym wyzwaniem.

— Nie była zbyt chora, aby się wybrać do La Rochelle — odparłam na to, niezdolna ukryć gniew. Brał mnie za głupią? — Trudno mi pojąć, jakim cudem wyprawa do Paryża miałaby przysporzyć jej niewygód. Jeśli się nie mylę, z radością znów ujrzałaby syna na dworze i jak zakładam, ucieszyłaby się na perspektywę zakończenia niezgody między naszymi wiarąmi. Poza wszystkim — dodałam — jej Henryk ma po moich synach sukcesję naszego tronu, ale może zostać jej pozbawiony. Papież wyklął wszystkich protestantów i gdyby ekskomunikował Joannę, jakieś katolickie mocarstwo mogłoby się połączyć na Nawarrę. Mogłabym przekonać jego świątobliwość, aby jeszcze raz rozważył decyzję, gdyby okoliczności sugerowały, iż warto podjąć taki krok.

Atmosfera zgęstniała. Nie wierzyłam, żeby Nawarczyk zagrażał naszej sukcesji tronu Francji; miałam innych synów, gdyby Karol, Boże broń, umarł bezpotomnie. Lecz w przypadku ekskomuniki Joanny jej królestwo zostałoby przekazane najbliższemu katolickiemu sąsiadowi — nam lub Hiszpanii. Nie zamierzałam marnować

swoich zasobów w wojnie o dziedzinę Joanny, ale Filip z pewnością myślał inaczej i sam Coligny dobrze wiedział, że swoimi wojnami zachęcił go do realizacji podobnych zamiarów. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek żałował swoich posunięć, czy wspomniał tamtą godzinę, w której zdradził nasz sojusz, przyjąwszy kłamstwa Filipa za dobrą monetę.

Jeśli tak, nigdy nie zamierzał się do tego przyznać, lecz bez względu na wszystko tym razem musiał się ugiąć. Same obietnice nie wystarczały. Musiał udowodnić, że potrafi ustąpić przed wyższą władzą.

— Czy to wszystko? — spytał w końcu. — Do tego sprowadza się twoja oferta? Do przekupstwa?

Roześmiałam się krótko.

— Daj spokój, to przyjacielska umowa. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, czy nie?

Zignorował to stwierdzenie.

— Czy oczekujesz, że książę Nawarry nawróci się na katolicyzm?

Milczałam chwilę. Jak na to wpadł?

— To wyłącznie sprawa sumienia — rzekłam ostrożnie. — Jednak gdyby pokazał ludowi, że książęta różnej wiary potrafią współżyć w harmonii, może i poddani poszliby za przykładem władców.

Nie odezwał się. Sięgnęłam do teczki i wyjęłam list.

— Tylko podpisz. Nie stawiam żadnych innych żądań. Jeśli Joanna odmówi, trudno.

Zanurzyłam pióro w kałamarzu i podałam mu je. Wahał się chwilę. Pochylił się i złożył podpis, nie czytając listu. Był tak blisko, że mogłam go dotknąć.

Posypałam list piaskiem.

— W tym roku Boże Narodzenie będziemy świętować w Paryżu. Możesz się uważać za zaproszonego. Następne posiedzenie rady odbędzie się po Nowym Roku.

— Za twoim pozwoleniem spędzę święta w Chatillon. Razem z żoną i dziećmi. — Na jego twarzy pojawiło się coś nowego. Uśmiech? — W La Rochelle znów się ożeniłem. Bóg uznał za stosowne pobłogosławić mi w późnej godzinie życia.

Nie mogłam na niego spojrzeć.

— Gratulacje — powiedziałam nieswoim głosem. — Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi. Dobrego dnia, panie.

Skłonił się. Kiedy wyszedł, przycisnęłam do ust drżącą rękę.

Wszedł Birago.

— Podpisał — powiedziałam. — Ale miej go na oku. Nie... nie ufam mu.

Birago się wycofał. Drzwi się zamknęły.

Popatrzyłam na list, na ciasno stawiane litery jego pisma, i poczułam skurcz serca, jakby chciało wydać krzyk.

CZEŚĆ VI

1572—1574

*Szkarłatna*

*noc*

List spełnił swój cel; Joanna odpisała, że przybędzie. Wezwałam Margot, aby przekazać jej mój zamiar.

Wpatrywała się we mnie, jakbym powiedziała coś nieprzyzwoitego, zanim burknęła:

— Jeśli to żart, to bardzo pośledniego gatunku.

— Zapewniam cię, to żaden żart. Królowa Joanna i jej syn przybędą w maju. Spotkamy się w Chenonceau. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ty i Nawarczyk weźmiecie ślub w sierpniu.

Poderwała się na równe nogi.

— Nie wydaje mi się. To hugenot, heretyk. Nie jest mnie wart.

Przyglądałam się jej, siedząc. Moja rwa kulszowa znów się odezwała i nie mogłam wiele się ruszać. Rozmowa nie była przyjemna; może Margot miała wygląd kobiety, lecz dla mnie pozostawała dzieckiem, a musiałam ją poświęcić dla dobra królestwa. Nie wiele z nas, kobiet z królewskich rodzin, wychodzi za mąż z miłości; musimy wypełnić swój obowiązek. Margot miała więcej szczęścia niż większość dziewcząt w jej sytuacji; nie wysyłałam jej na obcy dwór.

— Zapominasz, że to księżę — powiedziałam tonem łagodnym, ale stanowczym — i pewnego dnia zostanie królem Nawarry. Stąd też jak najbardziej jest cię wart. — Uprzedziłam jej protesty. — A jeśli myślisz o tym, żeby pobiec po pomoc do Karola, to powinnaś wiedzieć, że pobłogosławił ten pomysł. Też wierzy, że twoje małżeństwo może zbliżyć hugenotów i katolików.

Wytrzeszczyła oczy.

— Naprawdę myślisz, że ten związek nas zbliży?

— Czemu nie? Może nie będziecie wyznawali wspólnej religii, ale urodzisz mu synów i...

— Chcesz, żeby się nawróci! — przerwała mi. — Tu nie chodzi o rozwiązanie sprawy; zależy ci na pokonaniu admirała. Chcesz go zmiażdżyć moim łonem.

Jej bystrość mnie zaskoczyła, chociaż powinnam znać swoją córkę. Pozostawało mi ją przekonać, apelując do jej poczucia misji życiowej.

— Joanna jest ciężko chora — powiedziałam. — Kiedy umrze, jej syn zostanie protestanckim królem rządzącym protestanckim państwem. Hugenoci oczekują od niego przywództwa. Nie pozwolę mu pogrążyć Francji w chaosie. Musi trafić do naszego obozu.

— Nic prostszego — odparła przekornie. — Wszystko to musi się stać, bo tak sobie życzysz? Ciekawe, co się zdarzy, kiedy Joanna odkryje twoje intencje. Podejrzewam, że nie będzie zadowolona, a Nawarczyk też będzie miał coś do powiedzenia, biorąc pod uwagę, że pewnie szanuje swoją wiarę.

— Co może wiedzieć o wierze? Był dzieckiem, kiedy Joanna zaczęła mu kłaść do głowy te hugenockie brednie. Kiedy będzie po wszystkim, przekona się, że wszystkie kazania są dobre.

Roześmiała się. Nie przekonałam jej.

— Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz! Wiesz, że Joanna duszą i ciałem oddała się swej wierze i nauczyła syna tego samego. Po tylu latach wojny jak możesz nie pojmować, że traktują wiarę równie poważnie jak my?

— Czemu tego samego Boga — warknęłam, podrażniona jej wnikliwością. Ta rozmowa nie potoczyła się wedle moich zamysłów. Od kiedy to moja córka przykładała tak wielką uwagę do spraw doktrynalnych? Tak, była sumienną katoliczką, ale zawsze myślałam, że widzi religię tak samo jak ja — jako niezbędną instytucję, której musimy się trzymać, inaczej grozi nam chaos.

— Jesteś Walezjuszką — dodałam. — Jako królowa Nawarry będziesz mogła związać Henryka i jego wiarę z nami. To twój obowiązek i niewielka cena za pokojową przyszłość.

Wyraźnie się zawahała. Czy w końcu udało mi się oddziaływać na jej dumę? Może Nawarczyk nie był jej ideałem, lecz nasz dobrobyt musiał mieć dla niej znaczenie i z pewnością chętnie pomogłaby go zapewnić.

Spotkałyśmy się wzrokiem. Ku mojej konsternacji nie dojrzałam niczego, co świadczyłoby, że ją przekonałam. Przyglądała mi się tak, jakby ujrzała mnie pierwszy raz w życiu i nie była zbyt zachwycona tym, co widzi. Wreszcie powiedziała ze spokojem:

— Świetnie. Zrobię, jak sobie życzysz. Ale nie możesz mnie zmusić, bym go pokochała.

— Daj sobie spokój z miłością. My, Medyceusze, nigdyśmy sobie nią nie zawracali głowy. — Kiedy tylko powiedziałam te słowa, zaraz ich pożałowałam. Przypomniałam sobie, że papież Klemens dokładnie tak się wyraził w tym samym ohydny celu. Widziałam, że Margot drgnęła i nieco się cofnęła. Chciałam ją pocieszyć, w jakiś sposób ulżyć szorstkiej rzeczywistości, na którą ją skazywałam. Nie mogłam jednak. Nie zamierzałam jej okłamywać, stwarzając pozory, że obowiązek, który jej wyznaczam, nie jest tym, czym jest: aktem podporządkowania się oznaczającym między innymi śmierć jej młodzieńczych marzeń.

— Powinnaś się spakować na wyjazd do Chenonceau — burknęłam.

Dygnęła, odwróciła się i wyszła, a ja zostałam na krześle, czując gorycz w sercu.

Tamtej nocy, położywszy się spać, długo przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Kochałam Margot. Ze wszystkich moich dzieci ona i Henryk byli najbystrzejsi, łączyli najlepsze cechy Medyceuszy i Walezjuszy. Dlaczego skazywałam ją na związek pozbawiony miłości, skoro wiedziałam, ile męki i rozpaczy może przynieść? Czy po latach wojen i walk serce skamieniało mi tak bardzo, że bez mrugnięcia okiem byłam gotowa poświęcić jej szczęście? Może to małżeństwo nie było jej pisane? Nadal mogłam odwołać wszelkie związane z nim zabiegi, iść do Karola i...

Rozległo się głośne stukanie do drzwi. Spojrzałam na świeczkę. Rozpłynęła się niemal całkowicie, a z nią nacięcia znaczące kolejne nocne godziny. Było zbyt późno na gości.

— Wasza królewska mość, jest tu dama dworu Margot — dobiegł mnie głos Lukrecji. — Mówi, że jej książęcej wysokości grozi niebezpieczeństwo.



Kuśtykałam ciemną galerią zachodniego skrzydła Luwru, remontowaną na mój rozkaz i zamkniętą dla dworu. Dyszałam, noga mi pulsowała. Przeklęta rwa kulszowa. Wreszcie razem z Lukrecją stanęliśmy przed otwartymi drzwiami.

— Kurwo! — rozległ się ryk. — Żywcem obedrę cię ze skóry!

Na trzask bicia zapomniałam o bólu i wtoczyłam się do środka. Margot kuliła się przy kufrze. Górę szkarłatnej sukni miała w strzępach. Pociętymi od razów bicia rękami osłaniała twarz. Nad nią stał Karol. W ręce trzymał gruby bat. Przy zasłoniętym okiennicami oknie stał Henryk, trzymając sztylet na gardle nie kogo innego, a młodego Gwizjusza. Wybałuszone niebieskie oczy syna Pokierszowanego spoczęły na mnie, gdy mój syn nakłuł mu skórę. Kropelki krwi spłynęły po umięśnionej białej szyi.

— Mam to zrobić? — zasyczał Henryk. — Jeden Gwizjusz mniej nie robi mi różnicy.

Margot wrzasnęła:

— Nie! Zostaw go. To nie jego wina. Prosiłam go, żeby do mnie przyszedł!

Dopiero wtedy ujrzałam, że Margot i Gwizjusz znów włożyli czerwone stroje. I zrozumiałam. Tak dobrze, aż mnie zemdliło. Była jego kochanka. Od miesięcy. Stąd ostentacja w ubiorze, wyraźna deklaracja, która za skarby świata nie powinna była umknąć mojej uwadze.

Karol znów uderzył, zdzierając jej skórę z ramion. Przerażliwy krzyk sprawił, że rzuciłam się i wyrwałam mu bat z ręki. Błyskawicznie odwrócił się do mnie, obnażając zęby jak jeden z jego psów. Zobaczyłam w jego oczach coś przerażającego, demona gotowego rzucić mi się do gardła. Cofnęłam się, rozkazując Henrykowi:

— Puść Gwizjusza.

Henryk cofnął ostrze. Gwizjusz się rozdygotał.

— Pani, skrzywdzono mnie — wyjęczał.

Spojrzał na Henryka, któremu twarz pociemniała.

— To mnie skrzywdzono — rzekł zduszonym głosem wypełnionym emocją, której nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. — Zrobiłeś ze mnie głupca i nie zapomnę tego po wieczne czasy.

— Nie zamierzałem z ciebie zadrwić — odparł cicho Gwizjusz. — Chciałeś ode mnie czegoś, czego nie mogłem ci dać.

Henryk zebrał się do skoku. Powstrzymałam go, unosząc głos.

— Nie. — Zwróciłam się do Gwizjusza. — Natychmiast opuścisz dwór. Wrócisz do waszych dóbr rodowych w Joinville i masz tam pozostać.

Skłonił się, zapinając kaftan. Zanim wyszedł, rzucił ukradkowe spojrzenie na Margot. Henryk zawołał za nim:

— Jak jeszcze raz cię przyłapię z moją siostrą, zatłukę jak psa!

Dałam znak Lukrecji, aby wyszła, zamknęła drzwi i stanęła przed nimi na straży. Nadal z batem w rękach odwróciłam się do synów.

— Co się z wami dzieje? Ona jest waszą siostrą. Jak mogliście...

— Jest dziwką — wypluł z siebie Karol. Wargę miał zakrwawioną. Pewnie sam ją sobie przygryzł. — Ma wziąć ślub z Nawarczykiem, a za naszymi plecami gzi się z Gwizjuszem.

Zduśiłam przerażenie, gdy patrzyłam na jego wykrzywioną twarz, ramiona okryte szerokimi mięśniami urosłymi podczas codziennych zajęć w zbrojowni, tęgi kark.

— Idź — powiedziałam. — Daj mi się tym zająć.

— Tak — rzekł Henryk. — Niech matka zrobi z tym porządek. Śmiem twierdzić, że Gwizjusz nigdy więcej nie zbliży się do Margot.

Karol nagle ryknął śmiechem.

— No i do ciebie też, braciszku. Nie wątpię, że twój śliczny gwardzista będzie zadowolony.

Henryk zeszywniał. Złapał Karola za ramię i wyprowadził go, zostawiając mnie z Margot. Z trudem wstała, zakrwawione włosy kleiły jej się do ramion.

— Czy to prawda? — spytałam. — Czy pozwoliłaś szczeniakowi Gwizjuszowi odebrać ci dziewictwo?

— Nie. — Trzęsła się bezwolnie. — Tylko... tylko chciałam się z nim spotkać, pożegnać go. — Dusił się szlochem; twarz schowała w dłoniach. — Kocham go. Kocham go całym sercem i teraz straciłam go na zawsze. Przez ciebie.

Nie mogłam się ruszyć z miejsca. Niemal zrujnowała wszystkie moje plany, oddając się dziedzicowi rodziny, która była moim najbardziej zażartym wrogiem; a przy tym nie mogłam jej całkowicie potępić, gdyż to była moja wina. Nie doceniłam głębi jej namietności; nie zdawałam sobie sprawy, jak niebezpieczna może się stać. U mężczyzny taki impuls był dozwolony, nawet godny podziwu, lecz w przypadku niezamężnej kobiety, zwłaszcza królewskiego rodu, mógł na zawsze przekreślić jej los.

— Nigdy więcej nie wolno ci się z nim spotkać. — Własny głos zabrzmiał mi w uszach płasko, zimno. — Rozumiesz mnie? Nigdy. Teraz jest dla ciebie jak martwy. A ty musisz być jak martwa dla niego.

Podniosła zalane łzami oczy pełne bólu, na który prawie nie mogłam patrzeć. Wyciągnęłam do niej rękę.

— Chodź, musimy opatrzyć te rany. Możesz iść?

Kiwnęła głową i przy pomocy Lukrecji zabrałam ją do swoich apartamentów.

Następnego dnia poinformowałam listownie Gwizjuskę, że niedawno owdowiała pani Porcein byłaby idealną żoną dla jej syna. Wspomniana wdowa miała dwa razy więcej lat niż Gwizjusz, lecz zakładałam, że zapoznał rodzinę ze swym położeniem, więc moja propozycja nie napotka żadnych obiekcji. I nie napotkała. Już następnego tygodnia wziął pośpiesznie ślub ze wskazaną mu osobą.

Powiedziałam o tym Margot. Gwizjusz nie walczył o nią; nawet nie pisał, że jest jego wyłączną i wieczną miłością. Wyraz zdumienia na jej twarzy mówił wszystko.

— Teraz możesz się całkowicie poświęcić Nawarczykowi. Wyjdiesz za niego, zmusisz go do nawrócenia i urodzisz synów, którzy zostaną wychowani jak na katolickich księżąt przystało. Takie jest twoje przeznaczenie.

— Moje przeznaczenie — powtórzyła. Uśmiechnęła się ponuro. — Tak to nazywasz? Ty i Karol zabraliście mi wszystko. Zniszczyliście mnie. Nienawidzę was oboje. Niech was piekło pochłonie.

Przyglądałam się jej skulonej na łóżku. Wyglądała niczym ranne zwierzę gotowe do ataku.

— Stanie się to, co ma się stać — powiedziałam, gwałtownie otwierając drzwi. — Myśl sobie, co chcesz, ale masz robić to, co ci każę.

Burzowe chmury wisały nad Chenonceau, wiatr zaciekle szarpał naszymi proporcami i płaszcami, gdy oczekiwaliśmy orszaku królowej Joanny.

Ręce mi sztywniały w wyłożonych futrem z rysia rękawiczkach. Kilka kroków dalej stała Margot w jedwabnej sukni barwy pierwiosnka. Kaptur z soboli układał jej się na włosach jak poszarpany

welon. Rany i sińce zniknęły, ale nie odzywała się do nas. Twarz miała kamienną, obojętną.

Trębacze zadęli w swoje instrumenty. W chwilę potem Nawarczycy zbliżyli się do nas. Ogarnęłam ich wzrokiem, niewielki konny orszak na czarno odzianych panów eskortujących powóz. Podeszłam do otwartych drzwi.

— Pani, tak się cieszę...

Powitanie uwięzło mi w gardle.

Królowa Joanna siedziała nisko na poduszkach otulona w futra. Skórę na policzkach miała napiętą, miedziane włosy pozbawione połysku, oczy podbite.

Dworzanin odsunął mnie na bok, pomagając jej wyjść. Wspierała się na jego ramieniu, a gdy stanęła przede mną, była tak krucha, że wiatr mógłby ją porwać. Lecz nawet osłabiona pozostała bezczelna. Posłała mi upiorny uśmiech i wyszeptwała:

— Jeśli się dziwisz, Medyceuszko, to wiedz, że odpowiedź brzmi: nie. Mój syn nie przybędzie.

Siedziała sztywno wyprostowana w jasnym, wyłożonym niebieską jedwabną tapetą pokoju, który jej przeznaczyłam. Nie wychodziła z niego tygodniami, a ja przez kilka dni nie posiadałam się z przerażenia, myśląc, że umrze, zanim dojdziemy do jakiegoś porozumienia, więc kazałam swoim lekarzom roztoczyć nad nią opiekę. Teraz wyglądała lepiej, nieśmiały rumieniec wykwitał na białych policzkach, chociaż jej suchy kaszel i doprowadzający do furii upór pozostały bez zmiany.

— Powiedziałam: nie. Nie sprowadzę tu syna, zanim nie będę całkowicie usatysfakcjonowana.

Straciłam resztki cierpliwości.

— Czego jeszcze chcesz ode mnie? — krzyknęłam, chodząc od ściany do ściany. — Najpierw się upierasz, żeby uroczystość nie była katolicka ani pod względem oprawy, ani rytuału, na co zapewniłam cię, że możemy urządzić ślub poza Notre Dame, po czym twój syn i jego orszak mogą się udać na hugenockie nabożeństwo, a my wysłuchamy mszy świętej. Potem musiałam ci obiecać pomoc wojskową, gdyby Hiszpania zagroziła Nawarze. Zobowiązałam się do tego. W końcu żądasz, by admirał poparł to małżeństwo, a ja ci mówię, że już to zrobił, o czym możesz się przekonać z jego listu.

— Widziałam jego podpis na liście. Zgoda. Ale czy to jego list?

— Oczywiście, że jego! — Przystanęłam i zniżyłam głos. — Nie oszukałabym cię. Powiedziałam ci wcześniej: nasze dzieci muszą zawrzeć ślub. Pasują do siebie idealnie i pokażą światu, że chociaż może nie czcimy Boga w ten sam sposób, to nie musimy wojować z powodu tego, co nas dzieli.

— Kiedy to zdecydowałeś, że możemy żyć obok siebie jak dwa gołąbki? — spytała cierpko. — Zanim wyznaczyłeś cenę za głowę admirała i zniszczyłeś warownię hugenotów w La Rochelle czy później? A może wtedy, gdy sprowadziłeś przeciwko nam Hiszpanów? Zacisnęłam dłonie.

— Przebyłeś całą tę drogę, żeby się ze mną wadzić?

Rozkaszłała się i zarzęziła. Przycisnęła do ust chusteczkę. Gdy ją odjęła, dojrzałam plamę krwi. Wsunęła chusteczkę za mankiet sukni tak obojętnym ruchem, jakby jej stan nie miał dla niej żadnego znaczenia.

— Chciałam znów cię zobaczyć — powiedziała. — Chciałam spojrzeć na niesławnej pamięci Katarzynę Medycejską i przekonać się, czy wszystko co o niej krąży, jest prawdą, czy zasłużyłaś na miano *Madame Serpente*, bo twój jad zabija wrogów jak jad żmii.

Czerwona mgła wściekłości zasłoniła mi oczy. Jak śmiała siedzieć tu w tych hugenockich czerniach i oskarżać mnie, gdy wcześniej wspierała naszych nieprzyjaciół? Ruszyłam ku niej, nie dbając o to, czy zgodzi się na ślub syna, czy padnie trupem u moich stóp. Rozpłaszczyła się na krześle.

Zatrzymałam się. Nie spodziewałam się jej wzdrygnięcia ani gorączkowego zaciśnięcia dłoni na sukni. Kiedy spojrzałam w wytrzeszczone oczy, zdałam sobie sprawę, że jest w strachu. Strachu przede mną. Naprawdę wierzyła, że jestem potworem z hugenockich pamfletów. Przyjęła za dobrą monetę aluzje i plotki, chociaż wiedziała, co to znaczy być samotną kobietą mającą na głowie królestwo i dzieci.

Moje makabryczne poczucie humoru doszło do głosu. Prychając śmiechem, powiedziałam:

— No, to już mnie zobaczyłaś. Czy wyglądam na takie zło wcielone, jakie widzą we mnie inni?

— Fakt, że stroisz sobie z tego żarty, potwierdza wszystko — odparła.

— W takim razie myśl, co chcesz; to dla mnie bez różnicy. Proponuję twojemu synowi księżniczkę krwi królewskiej, twojemu królestwu ochronę przed Hiszpanią. Nikt ci tyle nie da.

Przyglądała mi się bez słowa.

— Nie będziesz mną manipulowała — rzekła w końcu, zadzierając podbródek. — Nie wezwę syna ani nie dam ci odpowiedzi, dopóki nie pozwolisz mi spotkać się z twoją córką... w cztery oczy.

Zastanowiłam się. Oczywiście miałam Margot pod ręką. Ale czy mogłam jej zaufać? Żałowałam godziny, w której wyznałam jej swoje plany, gdyż teraz musiałam się na niej oprzeć. Joanna nie była gotowa ustąpić; prędzej znów wysmarowałaby do syna stos żałobnych ostrzegawczych listów i zamknęłaby się na cztery spusty w swoim zamczysku. Mielibyśmy wojnę jak amen w pacierzu, a ja znowu stałabym za sterem królestwa, które zżera samo siebie.

Chyba że... Ten pomysł przyszedł mi do głowy nie wiem skąd. Podarki Kośmy.

— Świetnie — powiedziałam. — Po południu przyślę ci Margot.

Zesłam do gabinetu. Zamknęłam drzwi, zasunęłam rygiel i wyjęłam szkatułkę. Leżała w ściennej skrytce. Podniosłam pokrywkę. Laleczki leżały na aksamitnym posłaniu.

Podniosłam wizerunek kobiety.

„Wpierw musisz oznaczyć figurki, przydając każdej coś, co należy do tego, na kogo chcesz oddziaływać”.

Potrzebowałam tylko kosmyka włosów Margot.

Mimo że była na mnie wściekła i miewała napady melancholii, podczas których chodziła jak nawiedzona po pałacu, tryskała zdrowiem, zarumieniona po dniach spędzonych w ogrodach. Słońce rozjaśniło gęste kędzierzawe włosy.

— Wyglądasz ślicznie — powiedziałam i zmrużyła turkusowe oczy, gdy poprawiłam lok, który opadł jej na ramiona. — Tylko pamiętaj, że gdy będziesz jej odpowiadać, za bardzo się nie odsłaniaj. Nie wolno jej przemęczać. — Wzięłam ją pod brodę. — Zrozumiałaś?

Spochmurniała.

— Tak. Będę idealną posłuszną synową. Tylko „tak, pani” i „nie, pani”.

— Właśnie. — Popchnęłam ją w kierunku schodów. — Czekam na ciebie w gabinecie. — Kiedy uniosła suknię, ruszając schodami w górę, wyrwałam jej kilka włosów.

W gabinecie zasunęłam zasłony w oknach. Postawiłam na biurku dwie świece, obok położyłam laleczkę. Czułam się śmiesznie. Wystarczy, że owinę woskową figurkę włosami córki i zaraz spełni moją wolę? Zebrałam się w sobie i podniosłam figurkę. Zapaliłam świeczki. Co teraz? Spojrzałam na igły. Czy przekłuć lalkę? Nie, to mogłoby zaboled. Wyobraziłam sobie Margot rozmawiającą z Joanną i nagle krzyczącą z bólu.

Może uklęknąć? Czy to byłoby świętokradztwo? Pewnie tak. Lepiej nie klękać.

Wyciągnęłam ręce nad świecami. Opuściłam powieki i wyszeptalam:

— Ja, Katarzyna Medycejska, nakazuję tobie, Małgorzato Walezjuszko, spełnić takie oto moje życzenie. Moja wola stanie się twoją. Powiesz Joannie Nawarskiej wszystko, co pragnie usłyszeć, powstrzymując się od wszelkich uwag, które mogłyby wzbudzić w niej wątpliwości.

Otworzyłam jedno oko. Nie czułam obecności żadnej złowieszczej siły, żadnego subtelnego zgęstnienia powietrza, gęsiej skórki, jak bywało za każdym razem, gdy budził się mój dar jasnowidzenia lub podczas spotkań z Nostradamusem. Jeśli miałam łatwość czynienia czarów, nie ujawniała się. Znow sięgnęłam po figurkę i trzymając ją, powtórzyłam zaklęcie. Przypomniałam sobie czytana gdzieś wskazówkę. Podczas wypowiedzania zaklęcia konieczna jest krew. Wyjęłam ze szkatułki igłę i ukłułam się w palec. Pojawiła się ciemnoczerwona kropla. Rosła. Prowadziłam ją wzrokiem, gdy spłynęła po paznokciu na twarz laleczki. Zastygłam, nasłuchując, czy z góry nie dobiegnie mnie łomot sygnalizujący, że Margot runęła na podłogę.

Nic.

Powtórzyłam zaklęcie. Wyjęłam spod sukni amulet i przycisnęłam go do figurki. „Zło przeciwko złu”, powiedział Kosma. Czekaliśmy, wiedząc, że zaklęcie, podobnie jak perfumy i napary, potrzebuje czasu, aby dojrzeć, zespolić się i wyrzucić pożądany efekt. Odczekawszy odpowiednio długo — taką przynajmniej miałam nadzieję — zdmuchnęłam świece, zebrałam narzędzia czarów i scho-

walam je do skrytki. W ostatniej chwili ogarnięta poczuciem winy zdjęłam z szyi amulet i również schowałam go w szkatułce, obok starej fiolki mistrza Ruggieriego. Rozsunęłam zasłony, otworzyłam okno. Usiadłam przy biurku, wygładziłam świeżą pergaminową kartę i zanurzyłam pióro w atramencie.

Właśnie wtedy zaczęłam spisywać te wyznania.

Godziny mijały jedna za drugą, gdy cofałam się w przeszłość, wypełniając wspomnieniami kolejne strony. Kiedy Margot zapukała do drzwi, poniosłam nieprzytomny wzrok. Weszła.

— Królowa pragnie się z tobą spotkać.

Schowałam karty do teczki. Kiedy szłam do pokoi Joanny, ogarnął mnie dziwny spokój. Zastałam ją przy złoconym biureczku, z piórem w dłoni. Nałożyła niebieską suknię i perły — jak na nią niezwykła ekstrawagancja. Odwróciła się, nie wstając z krzesła. Wyglądała na pogodną i rozradowaną, jakby łyknęła odmładzający napój. Jeśli stało się to dzięki moim czarom, nie spodziewałam się takiego efektu.

— Pani, nie wiem, jak udało ci się to osiągnąć, ale twoja córka jest najcnotliwszą z księżniczek, jakie miałam zaszczyt spotkać. — Podała mi kartkę. — Oto moja zgoda. Jeśli spełnisz warunki, które omówiliśmy, to wierzę, że okaże się doskonałą żoną dla mojego syna. Powiada, że nie wyobraża sobie większego przywileju, niż zostać królową Nawarry i zamieszkać w naszym królestwie.

Wcześniej nie wierzyłam, że czary zadziałają. Jak tego rodzaju nijaki rytuał mógłby dokonać rzeczy niemożliwej? A jednak wyglądało na to, że się przysłużył, chociaż wcale nie byłam dość dokładna. Jeśli chciałam, aby moje cele się spełniły, Margot z mężem musieli zamieszkać we Francji; Nawarczyk za nic w świecie nie mógł wrócić do siebie. Protestantkie otoczenie podjudzałoby go przeciwko nam.

— Margot powiada, że nie może przyjąć mojej wiary — mówiła dalej Joanna — a gdy wyjaśniłam jej, że mój syn chce, aby jego dzieci wyrosły w wierze protestanckiej, odparła, iż jako żona jest mu zobowiązana posłuszeństwo.

Musiałam przygryźć wargę, aby nie wybuchnąć szyderczym śmiechem. Zaiste Margot była moją córką! Rozwiała wszelkie podejrzenia Joanny i z najniewinniejszą minką złożyła zupełnie nierealną obietnicę, wiedząc, że nigdy nie pozwolę na jej realizację. Nadal



cierpiała po utracie Gwizjusza i była gotowa zrobić wszystko, aby mi dopiec, lecz małżeństwo miało zostać zawarte niebawem i Nawarczyk miał trafić pod moje rozkazy.

— Pojadę z tobą do Paryża — dodała Joanna. Nie wierzyłam własnym uszom. — Margot poprosiła mnie o pomoc przy skompletowaniu posagu. Napiszę też do Henryka. Chyba chciałaś, żeby wzięli ślub w sierpniu?

Kiwnęłam głową, szukając na jej twarzy śladu fałszu. Nie znalazłam go, a nigdy nie umiała ukryć swych uczuć.

— Tak, w sierpniu — potwierdziłam i odetchnęłam z ulgą. — Urządzimy najwspanialsze wesele, jakie Francja kiedykolwiek widziała.

— Nie najwspanialsze — zbesztła mnie. — Moja wiara głosi pochwałę prostoty. Teraz muszę odpocząć. Spotkamy się jutro i omówimy szczegóły. Możemy zjeść obiad al... Jak wy, Włosi, na to mówicie?

— *Al fresco*, na powietrzu — odpowiedziałam jej. — Tak, to będzie miłe.

Wychodząc, nie mogłam się nadziwić, że los, ten największy kuglarz, skojarzył takie swatowe.

Joanna zamieszkała we właśnie wykończonym Hotel de la Reine i rzuciła się w wir przygotowań do ślubu, jakby wcześniej wcale nie była chora. Ciągała mnie po całym Paryżu i pokazywała bele materiałów, świece i srebra. W składzie na lewym brzegu Sekwany tak się zachwycała włoskimi rękawiczkami wykończonymi złotem, że dostała je ode mnie w prezencie. Była wniebowzięta, znak odrobiny próżności. Patrzyłam na nią poruszona myślą, że byłaby naprawdę godną uczucia istotą, gdyby dewocja nie spętała jej serca.

Kiedy przyszła wiadomość, że jej syn opuścił Nerac, dałam na zapowiedzi, zapraszając całą szlachtę królestwa do udziału w wielkim wydarzeniu. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki pewnego wieczoru nie dowiedziałam się, że Joanna zaniemogła.

W gęstej mgle udałam się wraz z Margot do pałacu. Parter był pełen ubranych na czarno mężczyzn, samych hugenotów. Odwrócili się jak na komendę i sztywno ukłonili.

Z tłumu wystąpił Coligny.

Wydawał się w lepszej kondycji niż ostatnim razem. Twarz miał zaokrągloną, był wypoczęty, przybrał na wadze. Wzrok miał jak zawsze czujny, przeszywający. Czas spędzony z żoną i dziećmi sprawił cuda; kiedy się skłonił, lęk lodowatym strumieniem napłynął mi do żył.

— Nie wiedziałam, że wróciłeś, panie — przywitałam go.  
— Powinieneś być przysłać wiadomość.

— Proszę o wybaczenie. Przyjechałam dopiero co i gdy dotarłam do mojej letniej rezydencji, dowiedziałam się, że jej królewska

wysokość, pani Nawarry, jest chora. Myślałem, że najlepiej uczynię, wpierv przybywając do niej i oferując swoje usługi.

Wyczułam w jego głosie jakiś dziwny ton, zapowiedź czegoś, czego nie potrafiłam uchwycić. Na ile poważna była słabość Joanny? Czyżbyśmy mieli pogrążyć się w żałobie, zanim Henryk się zjawi?

— Jest zbyt słaba, aby zejść na dół — rzekł admirał, jakby czytał mi w myślach.

— W takim razie my udamy się do niej. — Dałam znak Margot. Coligny przeprowadził nas przez tłum hugenotów. Wszyscy się cofnęli, zachowując znaczące milczenie. Moje zdenerwowanie wzrosło. Joanna była moim gościem. Czyżby uważano, że jestem winna jej niemocy?

Leżała w sypialni wsparta na poduszkach. Twarz miała bledszą niż pościel. Przebłysk żywotności, dzięki któremu biegała po Paryżu, nadszarpnął jej siły.

— Pani, moja godzina jest bliska — wymruczała.

— Bzdura. — Poklepałam ją po ręce. Była zimna i krucha. — Dałaś sobie do wiwatu i tyle. Ani się obejrzysz, a poczujesz się lepiej. Mamy na głowie ślub i wesele, pamiętasz?

Jej wzrok spoczął na Margot.

— Podejdz, moja droga. Muszę ci coś powiedzieć.

Margot pochyliła się do bezbarwnych ust. Usłyszałam szept. Moja córka skinęła głową i rzekła:

— Tak. Dobrze. Obiecuję.

Joanna westchnęła. Zamknęła oczy z wyczerpania. Pojawili się pastorzy. Wychodząc, zauważyłam pozłacane rękawiczki, które jej dałam. Leżały na stoliku przy kominku. Wywrócono je na drugą stronę, odcięto czubki palców.

— Przyślę naszego nadwornego medyka, doktora Pare — powiedziałam do Coligny'ego, będąc już na zewnątrz. — Potrzebuje dobrej opieki i...

— Za pozwoleniem waszej królewskiej mości, to niekonieczne. — Mówił chłodnym tonem jak do nieznanego natręta. — Już wezwałem wprawnego doktora. Będzie tu przed nocą.

Urażona jego tonem, ledwo skinęłam głową i wyszłam. Po powrocie do Luwru odpytałam Margot.

— Prosiła mnie, żebym strzegła jej syna — odparła.

— Strzegła? — zmarszczyłam brwi, przypominając sobie, że Nostradamus powiedział dokładnie to samo. — Dlaczego?

Podniosła ku mnie wzrok.

— Nie widziałaś, jak patrzyli, nie słyszałaś, jakim tonem mówił do ciebie admirał?

Zesztywniałam. Nie zwróciłam uwagi na ich podejrzliwość. Podejrzliwość wobec mnie.

— Chyba nie mówisz poważnie — powiedziałam, usiłując śmiechem pokryć wstrząs. — Joanna choruje od lat; wszyscy o tym wiedzą. Sam Coligny o tym wspomniał.

— Przez ostatnie kilka dni sprawiała wrażenie zdrowej jak ryba. — Wzrok Margot przewiercał mnie na wskroś. — To ty kupiłaś jej te rękawiczki, prawda? Dlaczego odcięli czubki palców?

Wiedziałam dlaczego. Chodziło o starą sztuczkę Borgiów; nacierano trucizną lewą stronę rękawiczek i ich użytkownik gasł niczego nieświadomy, dopóki nie było za późno. Hugenoci szukali trucizny.

— *Dio mio*, oszaleli. — Głos mi drżał. — Jak mogli pomyśleć, że chciałam ją skrzywdzić?

— Kiedy umrze, każ rozkroić trupa. Medycy go obejrzą i orzekną, że zmarła z przyczyn naturalnych. Nikt nie będzie cię podejrzewać.

— A ty mnie podejrzewasz? — spytałam i wstrzymałam oddech. Bałam się tego, co mogę usłyszeć.

— Nie — odparła spokojnie. — Ale ja nie jestem hugenotką.

Joanna Nawarska odeszła na zawsze następnego popołudnia. Posłuchałam rady Margot i kazałam doktorowi Pare otworzyć ciało. Okazało się, że miała rozległe zmiany w płucach, co świadczyło, że zabiło ją lekarstwo, które stosowała. Po pewnym wahaniu, obawiałam się bowiem, że Henryk się wycofa z naszych ustaleń, zasłaniając zgonem matki, wystosowałam do Henryka list z kondolencjami. Ciało kazałam zabalsamować i wysłać do Nawarry, gdzie miało spocząć na wieki.

Ku mej uldze Nawarczyk odpowiedział, że nie będzie zwlekał z przybyciem, i w połowie lipca pojawił się w Paryżu. Niebo było białe od żaru.

Upał dokuczał nam nieprzerwanie; ludzie spali na dachach i tłoczyli się na brzegach Sekwany, szukając ochłody, podczas gdy

rzezimieszki, żebracy i złodzieje korzystali ile wlezie z rozgardiaszu, który opanował miasto. Paryż zalały tysiące przybyłych zewsząd hugenotów i katolików chętnych obejrzeć zaślubiony. Kiedy Nawarczyk pojawił się wraz z hugenocką świtą, jego bracia wiwatowali tak głośno, że zagłuszyli szydercze wrzaski katolików. Wydawało się, że cały Paryż go oklaskuje.

Przyglądałam się przybyciu nowego zięcia, stojąc na balkonie. Wytężałam oczy, pragnąc się przekonać, czy przemienił się w dumnego męża z mojej wizji sprzed lat. Na dziedzińcu zsiadł z konia. Był niewysoki, silnie zbudowany. Odziewał się w czerń. Skinęłam na Margot. Wyglądała nieskazitelnie w bladoniebieskich jedwabiach, z perłami na włosach i szyi.

Zeszliśmy do sali audiencyjnej. Była pełna dworzan, krzykliwej wielobarwnej menażerii poprzedzielanej żałobną czernią otoczenia Nawarczyka. Patrząc na hugenockich panów, nie zauważyłam admirała. Poczułam ulgę. Ostatnią rzeczą, której pragnęłam, była jego kwaśna mina psująca wydarzenie.

Nawarczyk stanął przy podwyższeniu. Obok niego Karol i Herkules. Król miał na sobie jasnozłoty kaftan i czapkę z piórem, jego brat jedwabie w kolorze krwawnika. Karol przemawiał wylewnie do burbońskiego kuzyna, podczas gdy siedemnastoletni Herkules, ubrany bez smaku i karzełkowaty, z ciekawością lustrował Nawarczyka.

— Mówię ci, to było najlepsze polowanie na świecie — wykrzykiwał Karol. — Ubiłem dzika jednym ciosem oszczepu. Jednym ciosem! Coligny mówił, że nigdy nie widział czegoś takiego! Prawda, Herkulesie?

Mój młodszy syn wzruszył ramionami. Nawarczyk odrzucił w tył głowę i śmiał się. Rozwichrzone płomiennorude włosy sterczały mu wokół opalonej twarzy. Kiedy ja i Margot podeszliśmy, odwrócił się do nas.

Mało brakowało, a stanęłabym jak wryta.

Wyglądał dokładnie tak jak mężczyzna, którego ujrzałam w tym chłopcu wiele lat temu. Nawet uśmiech lśniący w blisko osadzonych zielonych oczach wydawał mi się znajomy.

Jego świta zwarła szeregi wokół władcy. Tuż za nią dojrzałam mojego Henryka. W fioletoworóżowych aksamitach prezentował się znakomicie. Włosy opadały mli do ramion, w uchu dyndał perł-

wy kolczyk. Sardoniczny uśmiech wykrzywił mu usta. Swobodnie obejmował ramieniem przyjaciela, Antoniego de Guasta.

Wyciągnęłam ramiona do Nawarczyka.

— Moje dziecko, jak ty urosłeś.

— *Tante* Katarzyno — rzekł, skłaniając głowę. — Dużo czasu minęło.

Przyciągnęłam go w objęcia. Jego niewysokie ciało pokrywała twarda muskulatura, cuchnął potem. Czarny kaftan miał wypłowiały i niemodny, bez ozdób i rozcięć, lecz gdy się cofnęłam i oceniłam jego oczy z gęstymi, niemal dziewczęcymi rzęsami, wydatne szczęki i mądre usta, niesforną szopę włosów i imponująco rozrośnięte ramiona, pomyślałam, że tchnie bukoliczną męskością, rzadko spotykaną u naszych bawidamków.

— Jesteś żywym wizerunkiem króla — powiedziałam. — Moje serce nie posiada się z radości, kiedy cię widzę.

— Wolałbym być tylko księciem i nie stracić matki — odparł.

— Tak, oczywiście. Biedactwo, zawsze była z ciebie bardzo dumna. Jestem pewna, że w tej chwili uśmiecha się do nas z nieba. Chodź, przywitaj się z Margot.

Usunęłam się w bok. Margot podchodząc, nastąpiła na rąbek sukni. Kiedy stanęła twarzą w twarz z Nawarczykiem, oblała się rumieńcem.

— Witaj, kuzynie — powiedziała cicho i pochyliła się, całując jego zarośnięty policzek.

— Mam mówić „Margot”, tak? Nie „Małgorzato”? — rzekł, łagodnie się uśmiechając. — A może zmieniłaś upodobania, od kiedy widziałem cię ostatni raz? Lepiej od razu mi powiedz, dobrze? Czeką nas całe życie razem.

Zawahała się. Wyraźnie nie spodziewała się jego swobodnego obejścia.

— „Margot” może być — powiedziała sztywno. — Zresztą mów mi, jak ci się podoba. Nie mnie o tym decydować.

Roześmiałam się hucznie.

— Czyż nie są uroczy? — Rozejrzałam się po czujnie obserwujących nas dworzanach.

Wybuchł ogólny aplauz.

— Niech żyją! — krzyknął Karol. Porwał od pazia dwa puchary i rozlewając wino na podłogę, wcisnął jeden Nawarczykowi. Drugi

podał Margot. Nie pozostało mi nic innego, jak samej sięgnąć po następny. Herkules niezgrabnie rzucił się po swój, niemal przewracając pazia. Mój Henryk uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie ruszył się z miejsca.

Karol uniósł puchar.

— Za mojego kuzyna, króla Nawarry, i moją siostrę Margot!

— Wypił wino do dna. Wszyscy poszli za jego przykładem.

— A teraz do stołów! — Odwrócił się, jego peleryna zawirowała w powietrzu. Ruszył do sali jadalnej.

Sięgałam po rękę Nawarczyka, zamierzałam bowiem posadzić go koło siebie, gdy Margot powiedziała:

— Wybacz, panie, ale głowa mnie boli. Muszę się udać na spoczynek.

Zmierzyłam ją rozeźlonym spojrzeniem. Zignorowała mnie, dygnęła przed Nawarczykiem i oddaliła się. Jej damy dworu pewnie były wściekłe, że muszą odejść wraz z nią. Mój Henryk uniósł brwi.

— Dąsy panny młodej — powiedziałam ze śmiechem. — Nie ma się czym przejmować. Jest wniebowzięta.

Kiedy uczta się skończyła, Karol jak zwykle zaraz wyszedł. Nawarczyk i ja ledwo zamieniliśmy dotąd dwa słowa, gdyż Karol niktogo prawie nie dopuszczał do głosu, pytając go o wszystko — od pogody w jego królestwie po ulubione metody polowania. Zauważyłam, że Nawarczyk odpowiadał uprzejmie, ale krótko, i chociaż wypił nieprawdopodobne ilości wina, wydawał się trzeźwy, gdy rozwalał się na krześle, z ciekawością patrząc, jak się bawi nasz dwór. Siedzący obok pustego miejsca Karola mój Henryk grzebał w zębach srebrną wykałaczką, podczas gdy Herkules pochylił się z oddaniem nad tacą migdałów w cukrze.

Dano znak do płasów; dworzanie ustawili się do saltarello, zważego tańca, który pozwalał paniom pokazywać nogi, podczas gdy panowie mogli zademonstrować gibkość i ruchliwość. Grupa wymalowanych niewiast — kurtyzan o głębokich dekoltach i uróżowanych ustach — wyskoczyła przed podwyższenie. Nad wyraz śmiała ślicznotka, nosząca przyklejony do policzka brylant, puściła perskie oko.

Nawarczyk się wyprostował; nawet Herkules stracił zainteresowanie migdałami.

— Kim są te damy? — spytał mnie Nawarczyk. Głos miał ochrypły, gdyż długo się nie odzywał, jedynie pił wino.

— To osoby z naszego dworu — wyjaśniłam.

— Czy to nie przypadkiem twoje damy, pani? Słyszałam, że wynajmujesz najsprawniejsze niewiasty, aby ci służyły. Podobno ochrzczono je mianem *l'escadron volant*, gdyż polują konno jak amazonki. — Oczy mu migotały. — Bardzo lubię polować. Nad życie.

Kątem oka dostrzegłam, że mój Henryk zasłania usta, by nie wybuchnąć gromkim śmiechem.

Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałam o *l'escadron volant*; ale na dworze wiele kobiet żerowało na mężczyznach, jeśli więc nazwa pasowała jak ulał, czemu miałabym go wyprowadzać z błędu? Chciałam, by nasz gość czuł się jak u siebie w domu.

— Poznaj się z nimi — zachęciłam go. — Uwielbiają nowych towarzyszy polowań.

Wstał, wygładzając zmięty kaftan. Spojrzałam w oczy Henrykowi i mało się nie roześmiałam. Być może Joanna zabawiała syna gorszącymi opowiastkami o naszych występnych życiu, lecz chyba tylko podsycała jego ciekawość. Wlepił oczy w wymalowane kurwy jak głodny w plasty cielęciny.

Strzeliłam z palców, przyzywając Herkulesa.

— Dotrzymaj towarzystwa kuzynowi.

Herkules podbiegł jak strzała do jego boku. Ledwo opuścili podwyższenie, gamratki obieżyły ich, pieszcząc po całym ciele dłońmi z wymalowanymi na czerwono paznokciami.

Usiadłam wygodniej. Henryk przesunął się do mnie.

— *Uescadron volant!* Dziwaczna nazwa. Ale pomysł twój, jak mniemam?

— Nie za bardzo. — Uszczypnęłam go w policzek. — Kto wie, jakimi potwornościami na nasz temat karmiła go Joanna? Lecz skoro dopiero co utracił matkę i potrzebuje kobiecej opieki, czemu mielibyśmy mu jej odmawiać?

— Dziwki niewątpliwie znakomicie się do tego nadają, ale zastanawiam się, co pomyśli Margot.

— Wątpię, żeby przywiązywała do tego wagę — wyznałam, sięgając po kielich. — Widziałeś, jaką miała minę, kiedy wychodziła? Jakby nosiła koronę cierniową. Można by pomyśleć, że wydają ją za samego szatana.



— Usycha z tęsknoty za Gwizjuszem. — Spojrzał w głąb sali, mrużąc oczy. — A on chyba usycha z tęsknoty za nią. Podobno jest oburzony, że mamy czelność wydać Margot za heretyka, i zamierza protestować przeciwko temu ślubowi.

Spojrzałam na niego ostro.

— Niech tylko się odważy. Zabroniłam mu pokazywać się na dworze, dopóki nie zostanie wezwany. Jeśli nie przestanie nam bruździć, do końca życia będzie gnił na wsi, w swoim majątku.

— Kiedy to jakiś Gwizjusz przestraszył się gróźb? — spytał retorycznie. — Są równie podstępni jak Coligny.

Sposepniał, a mnie ogarnął niepokój. Jego nagła awersja wobec Gwizjusza wyprowadzała mnie z równowagi, gdyż do czasu kłótni z powodu Margot byli przyjaciółmi. Wolałam dawny stan rzeczy; nie chciałam, aby osobnik pokroju Gwizjusza był pozostawiony samemu sobie, zwłaszcza iż jego ojcem był Pokiereszowany.

— No cóż, nie pozwolę Gwizjuszowi ani nikomu innemu zniwieczyć naszych zamiarów — powiedziałam. — Spójrz, czy to nie twój przyjaciel Guast stoi tam z tymi młodymi panami? Dlaczego do nich nie dołączysz?

— Mam Guasta po same uszy. Jest chciwy; stale próbuje coś ode mnie wycygnąć. Teraz zachciało mu się małpy, jakbym hodował je na drzewie w pokoju.

— Daj mu Herkulesa — zażartowałam i Henryk się roześmiał.

— Mamo, jesteś potworna! — Pochylił się, ucałował mnie w policzki i skocznym krokiem ruszył do pazernego przyjaciela.

Westchnęłam. Noga mnie bolała i chciałam się położyć. Wstałam, przeszłam przez tłum dworzan, po czym ruszyłam schodami w górę. W ostatniej chwili zdecydowałam się sprawdzić, jak miewa się Margot. Zapukałam do jej drzwi; wpuściła mnie jej dama dworu.

Światło księżycy srebrzyło się przez okno. Margot siedziała przed nim, nadal w świetnej sukni, nieziemskie światło kładło się na perłach, które miała na włosach. Jej widok ścisnął mnie za serce. Wydawała się drobna i samotna. Przecież miała dopiero dziewiętnaście lat, była młodą dziewczyną...

— Jak się nie wyśpisz, jutro będziesz wyglądała na zmęczoną — powiedziałam.

— Kogo obchodzi, jak wyglądam? Skoro nie chcę się kłaskać, nie będę się kłaskać. Czy zabronisz mi i tego?

Podeszłam do niej.

— Moje dziecko, przed tobą jeszcze szmat życia. Nie ulegaj przedwcześnie goryczy. To pierwsze bóle miłości, z czasem ustają. Znikają i zapominamy.

— Skąd wiesz? Nigdy nikogo nie kochałaś.

— To nieprawda. — Nagle poczułam się bardzo stara i zmęczona. — Myślisz, że mnie znasz, ale tylko tak ci się wydaje. Nauczyłam się, że albo akceptujemy to, co daje nam życie, albo gaśniemy. Nie ma innego wyboru.

— W takim razie prędeż wolę zgasnąć.

— Mowy nie ma. — Pochyliłam się nad nieruchomą postacią i ucałowałam ją w policzek. — Będziesz żyła. Nie możesz zrobić nic innego. Jesteś moją córką.

Zbliżał się dzień ślubu. Za pośrednictwem szpiegów Biraga obserwowałam Nawarczyka, dowiadując się z przyjemnością, że zagustował w rozrywkach, jakie oferował Paryż. Jeśli opłakiwał stratę matki, potrafił znakomicie to ukryć, do białego rana upijając się z hugenotami w tawernach i chędożąc każdą dziwkę w zasięgu zawartości swojego sącza. Nie widywano go z Colignym — co było miodem na moje serce, dopóki Birago nie przyniósł mi mniej radosnych wieści.

— Chodzi o jego królewską wysokość — powiedział, gdy siedziałam w gabinecie, zajęta odpowiadaniem na niebotyczny stos listów. — Jeden z moich ludzi widział go, kiedy okutany opończą wyslizgiwał się drzwiami dla służby. Jako że jego królewska wysokość często lubi ulotnić się z dworu, folgując upodobaniu do rozrywki, nikomu nie wpadło do głowy, aby mi o tym donosić. Jednakże zwrócono mi uwagę na jego wyjście dwa dni temu.

— Czy to znaczy, że był śledzony poza zamkiem? — spytałam.

— Tak. Jego wysokość spotkał się z królem Nawarry i razem...

— Sztucznie chrząknął, zasłaniając usta dłonią.

— Mogę sobie wyobrazić — powiedziałam sucho. — Mam nadzieję, że to był przynajmniej drogi zamtuz.

— Nie, *madama*. — Podniósł na mnie zaniepokojony wzrok.

— Nie poszli do domu uciech. Udali się do rezydencji Coligny'ego przy rue de Bethisy.

Trawiłam w milczeniu tę wiadomość.

- Wiesz, co tam robili? — spytałam w końcu.
- Niestety nie. Moi szpiedzy są staranni, ale nie udało im się przeniknąć na pokoje admirała. Zdołałem przekupić kucharza, ten jednak oczywiście nic nie wie na ten temat.
- Nagle zabrakło mi powietrza w płucach.
- Ile razy się spotkali?
- Zamrugnął łzawiącymi oczami.
- Co najmniej dwa. Król Karol zdecydował się złożyć mu wizytę po tym, jak Coligny odmówił zamieszkania w swoich dawnych pokojach na dworze. Powiedział, że czuje się wygodniej w rezydencji. Może się zająć gośćmi, których sprowadził na ślub.
- Goście... — powtórzyłam, przypominając sobie twarze mężczyzn, których widziałam, gdy przyszedłam pożegnać Joannę na łożu śmierci. Rozpoznałam kilku liczących się hugenockich panów, ale nie wyciągnęłam z tego żadnych wniosków.
- Dowiedz się wszystkiego, co się da — nakazałam. — Muszę wiedzieć, ilu jego przyjaciół mieszka w tym domu i co knują. Bo na pewno knują.
- Tak, *madama*. Co z królem? Mam z nim porozmawiać?
- Nie. Zostaw to mnie.
- Skłonił się i wyszedł. Poczułam ostry ból ręki i opuściłam wzrok. Wbiłam sobie w nią pióro, którym pisałam.

Poszłam prosto do apartamentów syna. Były w nieładzie. Wszędzie leżały stroje i ekwipunek myśliwski. Ogar gryzł kość, podczas gdy jego pan stał przy drzwiach, w pośpiechu wkładając płaszcz z kapturem. Gdybym przyszła chwilę później, nie zastałabym go.

- Odwrócił się do mnie. Zbladł jak płótno.
- Co... co tu robisz?
- Chcę porozmawiać. Przeszkadzam? Wychodzisz?
- Koło... koło Vincennes pojawiło się stado jeleni, więc Nawarczyk i ja...
- Szerzej rozstawiłam nogi, nie ruszając się od drzwi.
- Nie okłamuj mnie. Idziesz się spotkać z Colignym, tak?
- Cofnął się i skulił. Jego twarz wyrażała całkowite zagubienie.
- Z Colignym? — powtórzył nerwowo. — Dlaczego tak myślisz? Nie idę się z nim spotkać. Już nie poluje jak dawniej.

— Może nie na jelenie. Wiem o waszych spotkaniach. Wiem, że chodziliście do niego potajemnie, ty i Nawarczyk. — Przerwałam. Oczy mu się rozszerzyły, poruszał bezdźwięcznie ustami, jakby usiłował wydusić jakieś usprawiedliwienie. — Nie ma potrzeby kryć się przede mną — dodałam. — Dałeś jasno do zrozumienia, że zamierzasz rządzić, jak uważasz za stosowne. Tylko powiedz mi prawdę i dzisiaj odjadę z dworu.

— Nie... nie możesz odjechać — wyjąkał. — Musimy być na ślubie Margot i Henryka.

Roześmiałam się bez wesołości.

— Na jakim ślubie? Jeśli chcesz paktować z admirałem, ryzykujesz wszystkim. Przynajmniej zrób mi tę łaskę i nie każ być świadkiem katastrofy.

Roztrząśł się.

— Ale ja na nic się nie godziłem! Tylko słuchałem. Przysięgam.

— Czego słuchałeś?

Widziałam, jak resztką krwi odpływa mu z twarzy. Patrzył na mnie z taką mieszanką oszołomienia i potwornego strachu, że musiałam zadać sobie pytanie, gdzie popełniłam błąd, dlaczego nie zdałam sobie sprawy, że moja nieustanna opieka nigdy nie pokona podszeptów ludzi pokroju Coligny'ego. Mój syn był podatny na wpływy; w młodym wieku stracił ojca, przyglądał się, jak jego starszy brat cierpi tyranie Gwizjuszy, i dorastał w czasach wojny domowej; od kiedy potraktował batem Margot, coś w nim pękło, czułam to. Teraz Coligny z zimną krwią wykorzystywał jego słabość, jego rozpaczliwe pragnienie trwałego pokoju i starania, by widziano w nim króla, nie syna despotycznej matki, która dyktuje mu każdy krok.

— Czego on chce od ciebie? — spytałam. — Nie będę cię winić, obiecuję. Wiem, jak się czujesz. Wiem, jaki on jest przekonujący, jak umie wmówić niemal wszystko. Tylko mi to powiedz.

Miał płaszcz, szaleńczo biegając wzrokiem po pokoju, jakby szukał drogi ucieczki.

— Chce... chce... — przełknął ślinę i wyrzucił z siebie jednym tchem: — Chce, żebym wygnał cię z Francji. Powiada, że sprowadzisz na nas jeszcze większe zniszczenie; że otrułaś Joannę i zmusisz jej syna do nawrócenia się na katolicyzm. Powiada, że jeśli to nastąpi, hugenoci będą musieli rozpocząć wojnę w obronie Nawarry.

Choć czułam, że wściekłość się we mnie burzy, zdusiłam ją. Odezwałam się bez wyrazu, jakby to, co właśnie usłyszałam, nie było dla mnie żadną niespodzianką:

— Powiedział to wszystko, tak?

— Tak! Aleśmy mu nie uwierzyli i Henryk mu to wyznał. Rzekł: „Ożenię się z Margot i przysięgam, że nic na ziemi nie zmusi mnie do nawrócenia na katolicyzm”. — Rzucił się do mnie, ściskając za rękę. — Wybacz mi. Prosił o spotkanie i nie mogłem mu odmówić. Ale wiedziałam, że źle robię, pozwalając mu mówić takie rzeczy w mojej przytomności.

Spojrzałam na nasze splecione palce.

— Jednak znów się do niego wybierałeś. — Słyszałam, jak to mówię, i byłam dla siebie pełna podziwu, że umiem ukryć rosnącą we mnie furię i lęk.

— Żeby mu powiedzieć, że nie. Że nigdy cię nie odeślę.

Oderwałam rękę, cofnęłam się ze spokojem. Zatchnęło go, jakbym go uderzyła.

— Nie, nie zostawiaj mnie — wyszeptał. — Mamo, proszę... boję się go. Mówi, że nie wolno mi ciebie słuchać, że prowadzisz mnie na manowce. — Zadrżał. — Tak chcę mu wierzyć, kiedy powiada, że mogę być wielkim królem, ale przy tym patrzy na mnie dziwnie, jakby mnie nie widział. Obiecał, że pomoże mi przywrócić Francji pokój i chwałę, choć nie wydaje mi się, żeby naprawdę mu na mnie zależało.

Mój biedny syn. Admirał go zaczarował, oplótł siecią kłamstw i oszustw. Jednakże Karol był bardziej spostrzegawczy niż ja kiedyś. Już wyczuł, że jest tylko środkiem do celu. Coligny'emu nie zależało na Karolu Walezym. Chciał Henryka Nawarskiego, księcia przywódcy, potomka nieżyjącej królowej; Henryka Nawarskiego, który miał sukcesję tronu Francji. Chciał, żeby Henryk odziedziczył Francję. To dlatego podpisał list do Joanny, to dlatego starał się podważyć moją pozycję. Gdyby zdołał się mnie pozbyć, hugenoci wojowaliby tak długo, aż nie zostałby nikt, kto mógłby konkurować z Nawarczykiem o prawo do tronu.

— Karolu — powiedziałam, kładąc mu rękę na ramieniu. — Musisz mi obiecać, że nigdy więcej się z nim nie spotkasz. Twoje dobro nie leży mu na sercu. Wcale. To kłamca. Zawsze był kłamcą i zdrajcą.

Usta mu zadygotały. Łzy wezbrały w oczach.  
— Obiecuję — wyszeptał. — Naprawdę.  
Przytuliłam go.  
— Nie płacz — szepnęłam. — Jestem tu. Będę cię strzec.  
Zawsze.

Wezwałam Biraga i oddałam Karola pod jego nadzór. Kazałam postawić strażników przy drzwiach. Potem wróciłam do gabinetu, w którym Lukrecja zamknęła okiennice, nie wpuszczając upału.

Siedziałam długo w milczeniu, przeżywając jeszcze raz przeszłość.

Zobaczyłam go znów takim, jaki był na moim weselu: młodzieniec o pięknych oczach, niczym wyrzeźbiony z kości słoniowej. Wspominałam zmierzch w Saint-Germain, gdy szukałam jego pomocy przed Gwizjuszami, i później w Chenonceau, kiedy jego ciało weszło w moje. Prześledziłam każde słowo, które padło między nami, każdy dotyk. A gdy skończyłam i wspomnienia leżały u mych stóp jak zmięte płachty pergaminu, zdałam sobie sprawę, że nie było ich wiele, tak naprawdę zaledwie kilka, chociaż wystarczały, aby wypełnić całe życie.

Zapadła noc. Lukrecja wśliznęła się zapalić świece i zapytać, czy będę jeść kolację. Na wieczór nie zaplanowano nic oficjalnego, więc kazałam podać do pokoju. Nie zjadłam wiele. Z troską spytała, czy nie potrzebuję jeszcze czegoś.

— Nie — powiedziałam. — Tylko powiedz mojemu Henrykowi, że muszę się z nim spotkać.

Niebawem przyszedł w luźnych szkarłatnych pantalonach i rozpiętej koszuli, która odkrywała kędziory na rzeźbionej piersi. Ciemne włosy opadały mu do ramion jak końska grzywa; oczy błyszczały po winie wypitym do kolacji. Przypominały mi jego dziadka.

— Tu jest jak w Hadesie — powiedział. — Masz wstażeczkę?

Rozwiązałam sznurówkę swojego rękawa. Związał z tyłu włosy, przysiadł się do stołu i zaczął po nim buszować. Długimi palcami wybierał kawałki pieczonego bażanta.

— Margot jest nie do wytrzymania. Zaprosiłem ją dziś, żebyśmy zjedli razem kolację, i odpowiedziała mi, że ją głowa boli. Bierze mnie za idiotę? Nigdy nie miewa bólów głowy. Tak naprawdę chodzi jej tylko o to, żeby siedzieć samej w pokoju i rozczulać się nad sobą.

Przyglądałam mu się, gdy sięgnął po kryształową karafkę i nalał sobie wina. Pił, mierząc mnie wzrokiem.

— A więc? — zapytał.

Spokojnie, bez gniewu przekazałam mu wszystko, co odkryłam. Kiedy skończyłam, westchnął.

— No, no, to dopiero bagno.

Poprawiłam się na krześle.

— Jest zdecydowany nas zniszczyć, żeby...

— Rzucić nas swoim heretyckim diabłom na pożarcie.

— Uśmiechnął się. — Hm, jeśli Karol nie poszedł na dzisiejsze spotkanie, możemy uznać, że admirał został ostrzeżony.

— Na razie. Ale to nie dość. Znajdź inny sposób. Zawsze znajdował.

Rozpięłam kryzę i odrzuciłam ją na bok. Mój syn miał rację, w pokoju można się było udusić. Chciałam uchylić okna, lecz moje apartamenty były na piętrze przy ogrodach, nie mogłam więc ryzykować, że zostaniemy podsłuchani przez dworzan, dla których te cieniste zakątki były ulubionym miejscem schadzek lub snucia intryg.

— Mogłabyś go zabić — powiedział Henryk i spojrzałam na niego ostro. Odwrócił się po karafkę. — Jest sposób. Nikt by nie podejrzewał, że maczałaś w tym palce.

W pokoju zapanował bezruch — jak wtedy gdy chmury gromadzą się przed burzą.

— Jaki sposób? — spytałam ze spokojem.

— Gwizjusz. Wini Coligny'ego za śmierć ojca. Wykapałby się w jego krwi, gdyby miał szansę. Oczywiście potrzebuje pokierowania. Lepiej, żeby nie zadźgał admirała na dworze.

— A potrafiłbyś...?

— Przekonać go? — Przesunął palcem wokół krawędzi czasy kielicha. — Gwizjusz i ja czasem się poczubimy, ale względem Coligny'ego zgadzamy się jak nikt.

Rozejrzałam się po komnacie. Była pełna znanych mi rzeczy, z których najbardziej kochałam portrety dzieci. Zawisła wzrokiem na portrecie Elżbiety, tak pełnym życia, że wydawała się obecna. Coś złowieszczego zaczęło rosnąć w głębi mojego umysłu, straszliwie napierając.

Jakiś głos rzekł: „Nigdy nie będzie pokoju, póki on i jemu podobni żyją”.

— Co sugerujesz? — spytałam i byłam zaskoczona łatwością, z jaką zaakceptowałam jego podszepty, jakby z barków spadł mi wielki ciężar, z którego istnienia nie zdawałam sobie sprawy.

Henryk podwinął pod siebie nogę i postawił kielich na kolanie.

— To musi być zrobione anonimowo, więc Gwizjusz potrzebuje odpowiedniego miejsca i odpowiedniej chwili. Zakładam, że admirał trzyma się jakiegoś porządku dnia?

Przygryzłam wargę.

— Nie mam pojęcia. Birago może się tego dowiedzieć, ale do wesela, czyli do przyszłego tygodnia, nie możemy ryzykować. Jego śmierć z pewnością wywoła wstrząs i oburzenie. Chociaż potem... — Zastanawiałam się. — Co powiesz na to, gdybym go wezwała?

Uniósł brew.

— Myślisz, że przyjdzie?

— Jak najbardziej — powiedziała i wyobraziłam go sobie, nieustępliwego, ubranego w czarny kaftan. Zdałam sobie sprawę, że zależy mi na konfrontacji. Chciałam, by choć raz w życiu powiedział mi prawdę prosto w oczy. — Podejrzewa mnie o zabicie Joanny. Boi się o Nawarczyka. Lęka się, że bez poparcia Karola straci wpływ. Tak, myślę, że mnie odwiedzi. Nic innego mu nie pozostaje.

Oczy Henryka jarzyły się jak oszlifowane klejnoty.

— Kiedy?

— Zawiadomię cię. Powiedz Gwizjuszowi, że zapłacę temu, kto się podejmie roboty, ale niech będzie jasne, że zajmie się tym sam. Jakby doszło co do czego, wyprę się wszelkiego udziału.

Henryk opróżnił kielich do dna. Pochylił się, całując mnie w policzek i spowijając ciężką wonią bordo, soli, potu i jaśminowej esencji, którą zwykł perfumować szyję i kiście rąk.

— Zaufaj mi, zajmę się Gwizjuszem — powiedział i rozburzył sobie włosy, rzucając mi na podołek wstążeczkę.

Już samotna też rozplotłam włosy. Światło migotało w sypialni; świece płonęły, pościel zapraszała. Lukrecja i Anna Maria czekały.

Lecz wiedziałam, że tej nocy sen nie da mi ukojenia.

Przy dźwiękach dzwonów zebraliśmy się na podwyższeniu na zewnątrz Notre Dame, nie w chłodnym wnętrzu, dusząc się w uroczystych szatach. Platformę otaczało morze ludzi, tak hugenotów, jak katolików, na chwilę połączonych wydarzeniem. Moja córka



i pan młody klęczeli na poduszkach przed tymczasowym ołtarzem bez krucyfiks. Margot miała na sobie fiolety, Nawarczyk wybrał odpowiednie fioletoworóżowe barwy. Miedziane włosy sterczały mu spod czapki.

Jego eminencja rozpoczął ceremonię. Zaplanowano, że będzie krótka, byśmy jak najszybciej mieli ją za sobą, lecz Karol już w połowie obrządku zaczął się wiercić na tronie, stukając pajęczymi palcami o poręcz.

— Och, nie — zamruczał. — Czy nie może ich pobłogosławić i amen? Tu jest jak w piekle.

Miał rację. Pot sływał mi spod czepka i purpurowej adamaszkowej sukni. Wszyscy mieli dość upału; nawet młody Gwizjusz — siedzący wraz z matką, wujami, moją Klaudią i jej mężem na piętrowych ławach naprzeciwko nas — musiał poczuć ulgę, gdy kardynał w końcu spytał:

— Czy ty, Małgorzato Waleczusko, księżno Francji, bierzesz za męża Henryka Burbona, króla Nawarry, i przyrzekasz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że go nie opuścisz aż do śmierci?

Wstrzymałam oddech. Margot ani drgnęła. Cisza się wydłużała.

— Niech ją diabli! — wykrzyknął Karol.

Podsłoczył do niej, złapał ją za kark i przygiął do ołtarza. Diadem, który miała na włosach, zsunął się i przekrzywił. Kiedy się wyprostowała, policzki pałały jej żywym ogniem.

— Potwierdziła! — zaskrzeczał Karol.

Kardynał powtórzył formułkę i Nawarczyk rzekł lakonicznie:

— Tak.

Było po ceremonii. Podczas gdy lud rzucał w powietrze zwiędłe kwiaty, ustawiliśmy się za Margot i weszliśmy do katedry. Tłoczyliśmy się do ławek, gdy poczułam dłoń na ramieniu. Obejrzałam się. To był Henryk.

— Gratuluję, *maman*. Nie zablokował ślubu.

— Pst! — skarciłam go, gdy trąby zahuczały z namaszczeniem.

— Co z drugą sprawą?

— Zgadza się. — Mój syn pochylił się do mnie. — Jedzie teraz do Paryża. Chyba nazywa się Maurevert. Zatrudnił go nasz wspólny znajomy. Pewnie zaciekaw cię to, że kiedyś służył w hugenockiej

armii. Jest odstępca jak tamten, który zastrzelił Pokierszowanego. Ironia losu, nie sądzisz?

— Tak, tak. Ale pamiętaj: żadnych posunięć, póki nie wyślę wiadomości.

Usiadłam obok synowej. Upał ją wymęczył. Do tej pory nie było widać, aby zaszła w ciążę, chociaż Birago zapewniał mnie, że Karol nie zaniedbywał małżeńskich obowiązków. Jej fizyczna konstytucja zaczynała mnie martwić. Musiała dać mi wnuka, który odsunąłby od tronu Nawarczyka.

— Po mszy powinnaś się udać na spoczynek — poradziłam jej.  
— Nie ma potrzeby się przemęczać.

Skinęła głową. Tyleż wdzięczna, co znużona odwróciła wzrok ku ołtarzowi. Margot klęczała przed nim sama. Nawarczyk uczestniczył w hugenockim nabożeństwie, które odbywało się w pobliskiej świątyni.

Elżbieta westchnęła.

— Jaka piękna panna młoda. Szkoda tylko, że smutna.

— Jak tylko urośnie jej brzuch, pozna, co to szczęście — odparłam bez namysłu, mając dość jej pojękiwań.

Dwa dni potem wezwałam Coligny'ego.

## R O Z D Z I A Ł 31

Wszedł do mojego gabinetu i skłonił się, jakby upał w ogóle go nie dosięgał. Czarna kryza wspierała osłonięty zarostem podbródek, kaftan miał szczelnie zapięty, płaszcz na ramionach. Zawsze doceniałam jego magnetyzujący powab, ale teraz miałam wrażenie, że celuje we mnie jak kłątwa.

Wskazałam krzesło.

— Siądź, panie. Nie ma potrzeby bawić się w ceremonie.

— Jeśli wasza królewska mość nie ma nic przeciwko temu, wolałbym stać.

— Znakomicie. — Czułam jego wzrok, gdy podeszłam do biurka. Nie przerywałam ciszy. Wraz z nią rosło napięcie.

— Zakładam, że zostałem wezwany w jakimś celu — rzekł wreszcie.

Odwróciłam się do niego. Kąciki ust mu drgnęły, jakby powstrzymywał uśmiech, na który rzadko sobie pozwalał. Był rozbawiony?

— Tak — powiedziałam. — Wezwałam cię celowo i myślę, że wiesz dlaczego. — Przerwałam, przyglądając mu się. Twarz miał nieruchomą, kamienną. I nie pocił się. Słońce przedpołudnia już parzyło miasto, ale jego zdawało się nie dosięgać.

— Obawiam się, że nie pojmuję — oznajmił.

— Tak? Czy chcesz mi powiedzieć, że nie spotykałeś się z królem i Henrykiem Nawarskim, doradzając im, jak najlepiej rządzić królestwem?

Zmarszczył brwi.

— Oskarżasz mnie o nielojalność? Jeśli tak, jesteś w biedzie. Spotykałem się z jego królewską mością i Henrykiem, ale tylko po to, aby omówić zagadnienie dotyczące obrony Francji.

— Mamy pokój. Przed kim mielibyśmy się bronić?

— Przed Hiszpanią — powiedział.

Roześmiałam się głośno.

— Nie, znowu to!

Spojrzał mi w oczy.

— Może tobie się wydaje, że strach przed Hiszpanami to dzieci-nada. Widać nie słuchałaś relacji niezliczonych uchodźców z Flan-drii i Niderlandów. Uciekli przed masakrami Filipa.

Wpatrywałam się w niego, na chwilę zapomniawszy, że już zdecydowałam o jego losie. Niemal go żałowałam, gdy usiłowałam po-jać, jak to możliwe, że uległ wymagowanym obawom.

— Zaskakujesz mnie — powiedziałam. — Myślałam, że po tych wszystkich latach przejrzałeś groźby Hiszpana. Lubi stwarzać pozory, że lada chwila na nas runie, wszakże do tej pory tego nie zrobił i przynajmniej ja wątpię, aby kiedykolwiek miał to zrobić. Ma więk-sze kłopoty na głowie.

— A ty nigdy nie doceniasz wrogów — odparł z nieoczekiwaną poufałością. — Jak sądzę, popełniłaś ten sam błąd w przypadku Gwizjuszy.

Nie dałam się wyprowadzić z równowagi, mimo że uderzył w ton łagodnej nagany.

— Masz rację; nie doceniałam ciebie. — Zanim zdążył zareago-wać, dodałam: — Wiem, że nie doradzałeś Karolowi, aby działał przeciwko Hiszpanii. Doradzałeś mu, aby działał przeciwko mnie.

Widziałam, jak mina mu rzednie. To było zdumiewające. Zwabił do siebie moje dziecko, aby przerobić je na swoje kopyto, i najwy-raźniej w ogóle się nie spodziewał, że jego intryga wyjdzie na jaw.

— Obawiam się, że doszło do nieporozumienia — rzekł. — Król i ja rozmawialiśmy, ale nigdy nie radziłem mu, by postępował wbrew tobie. Powiedziałem mu tylko...

— Ze może otrułam Joannę i doprowadzę do nawrócenia na katolicyzm Henryka Nawarskiego. — Uśmiechnęłam się, widząc, że na te słowa krew odpłynęła mu z twarzy. — Och, i że należy wygnąć mnie z Francji, inaczej doprowadzę królestwo do ruiny. Czy to wszystko, panie? A może czegoś zapomniałam?

Nawet nie drgnął. Patrząc mi w oczy, powiedział cicho:

— Kiedyś cię kochałem. A teraz oskarżasz mnie o spisek przeciwko tobie?

Czułam się tak, jakby czyjeś ręce zacisnęły się na moim sercu.

— Jak możesz tak mówić? Oszukałeś mnie, uwierzyłeś w kłamstwa, które o mnie mówiono, wypowiedziałeś mi wojnę. Nigdy mnie nie kochałeś.

— Och, kochałem. Kochałem cię tak mocno, że dopuściłem się czynu, który niegdyś wydawał mi się niewyobrażalny. — W oczach wyrósł mu smutek i podłoga zawirowała mi pod nogami. — Czy zapomniałaś, że uratowałem cię przed Pokiereszowanym?

— Przed nim? A co on ma tu do rzeczy?

— Wszystko. Widzisz, kazałem go zabić. Zrobiłem to dla ciebie. Stałam jak przymurowana do podłogi.

— Oświadczyłeś, że jesteś niewinny. Kiedy zarządziłam dochodzenie, przysięgłeś, że nie masz nic wspólnego z morderstwem.

— Kłamałem. — Głos miał drżący, jakby powstrzymywał uczucie, które próbowało nim zawładnąć. — Kłamałem, bo myślałem... Wtedy wierzyłem, że kiedy się to skończy, zdołamy znaleźć powrotną drogę do siebie. Ale się myliłem. Wyruszyłaś na objazd kraju, a gdy wróciłaś, wszystko się zmieniło.

Nie wiedziałam, że unoszę rękę; zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy poczułam, że przycisnęłam ją do zamkniętych ust.

— To moja wina — rzekł. — Teraz to wiem. Nigdy nie dałem ci poznać, co czuję. Kiedy znów się spotkaliśmy, minęły dwa lata i moja żona nie żyła. Dręczyło mnie wielkie poczucie winy. Miesiącami patrzyłem na jej cierpienia i w głowie miałem tylko jedno pragnienie: żeby się od niej uwolnić. Ale gdy w końcu oddała ducha, poczułem się potwornie samotny. Nie miałem niczego, tylko moje dzieci i wiarę. Kiedy wezwałaś mnie do Blois, zrozumiałem, że już nigdy nie będziemy dla siebie tym, czym byliśmy. Wtedy coś we mnie umarło. Na zawsze.

— Dobry Boże. — Odwróciłam się. Czułam rodzącą się we mnie przerażającą nadzieję, chociaż ze wszystkich sił usiłowałam ją zwalczyć. — Nigdy nie powiedziałeś słowa, nawet wtedy w Blois, kiedy mogło sprawić różnicę...

— Wiem. Co dobrego by z tego wynikło? Zmieniłaś się. Myślałem, że najlepiej zrobię, nic nie robiąc.

Zatrzęsłam się na te słowa. Odwróciłam się w miejscu i wycelowałam w niego palec.

— Ja się nie zmieniłam — powiedziałam drżącym głosem. — To ty się zmieniłeś. Uwierzyłeś, że poszłam na ugodę z Filipem i że będziemy prześladować twoją wiarę. Dlatego wywołałeś wojnę. Nie ja nam to uczyniłam, ale ty. Zawsze ty!

Skłonił głowę. Wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać. Pomyślałam, że jeśli to zrobi, jeśli będzie błagał o wybaczenie za to, co uczynił, za zdradę i ból, który mi sprawił, pozwolę mu żyć. Odeślę go z powrotem do Chatillon i dzieci, pozbawionego wszelkiej władzy, lecz całego i zdrowego.

Nie splamię sumienia jego krwią.

Jednak rzekł:

— Czasem musimy zadać cios pierwsi, zanim inni go nam zadadzą.

Zamarłam, patrząc mu w oczy. W nich ujrzałam to, czego się od tak dawna spodziewałam — i czego się bałam.

Między nami zapadła głęboka cisza; napięta jak nić, zanim pęknie.

— Przyznajesz się — szepnęłam. — Przyznajesz się do wszystkiego.

— Tak. Walczyłem o ostatnią rzecz, która mi pozostała: o moją wiarę. Ty i ja znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Tam gdzie widziałas kompromis, ja go nie dostrzegałem. Ale wierz mi, nigdy nie zamierzałem być twoim wrogiem.

— Niemniej staliśmy się wrogami. — Cofnęłam się, unosząc głowę. — Zrezygnujesz z miejsca w radzie i opuścisz Paryż. Jesteś niegodny. Bądź wdzięczny, że daruję ci życie, gdyż żaden inny monarcha by tego nie zrobił.

— Jeśli jego królewska wysokość wyda taki rozkaz, podporządkuję mu się. — Podszedł do mnie, mówiąc cicho, prawie niesłyszalnie: — Robisz błąd, myśląc, że można się ze mną nie liczyć. Moja wiara przetrwa ze mną lub beze mnie. Będziemy walczyć o Henryka Nawarskiego i hugenocką Francję. Możesz wyłazić ze skóry, lecz tego nie zmienisz.

— Wydaje ci się, że możesz mnie zastraszyć? — wyszeptałam. — Jeśli tak, to z nas dwojga ty się mylisz, bo niech się dzieje, co chce, ale zwyciężę. — Po raz ostatni mu się przyjrzałam, zapisując

tę chwilę w pamięci, aby nigdy nie kusiło mnie żałować tego dnia.

— Na tym skończyliśmy, panie.

Skłonił się i wyszedł, nie spojrzawszy za siebie.

Lodowata dziura otworzyła się w moim brzuchu. Odwróciłam się do biurka, wyjęłam napisany i zapieczętowany tego rana list. Wezwałam pazia.

— Zanieś to mojemu synowi księciu Henrykowi.

Zajęłam się swoimi sprawami. Pisałam listy, wzięłam kąpiel, zmieniałam jedną czarną suknię na inną i usiadłam do stołu. Gdy o pierwszej po południu podano mi obiad, z ulicy, która prowadziła z Luvru do rue de Bethisy, dobiegł huk wystrzału.

Lukrecja sprzątała ze stołu, gdy wszedł Henryk. Pochylił i szepnął mi:

— Dopadli go. Ale nie zabili. Miał ze sobą ludzi. Widzieli, skąd padł strzał. Kiedy się tam włamali, na stole leżał arkebuz. Miał insygnia Gwizjuszy.

Popatrzyłam na Lukrecję. Stała, trzymając dzbanek z wodą. Dałam jej znak, by wyszła. Gniewnie odsunęłam krzesło i wstałam.

— To dopiero dureń! Mówiłam ci. Miał to zrobić tak, aby nikt nie podejrzewał go o udział.

Henryk westchnął zniecierpliwiony.

— Chciał, żeby hugenoci wiedzieli, że to syn pomścił ojca.

— I naraził nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Coligny mi groził; powiedział, że będzie walczył o Nawarrę. Teraz zamiast trupa mamy rannego przywódcę, który będzie się domagał sprawiedliwości.

Henryk zmarszczył brwi.

— Powiadają, że kula przeszła bark. Może umrze.

— Nie dość szybko. — Chociaż chciałam narzucić sobie spokój, opanowanie, czułam się, jakbym leciała w przepaść.

— Musimy posłać do niego doktora Pare. Potem z Karolem złożę mu wizytę.

Henryk wlepił we mnie zdumiony wzrok.

— Ale będą tam wszyscy: jego służba, przywódcy hugenotów...

— Ucichł, pojmując. Dodał jeszcze: — No tak, jasne. Musimy działać tak, jakbyśmy nie mieli z tym nic wspólnego.

Odwracając się od niego, wezwałam Biraga. Gdy wyszedł z pośpiechem, zmierzając się do Karola, powiedziałam Henrykowi:

— Niech Gwizjusz nie pokazuje się nikomu na oczy. O zmierzchu przyprowadź go do oleandrowej grotty w Tuileries.

Pojechaliśmy na rue de Bethisy kareta, otoczeni uzbrojonymi gwardzistami.

Tłum hugenotów już pilnował domu admirała. Wieści rozeszły się w niecałą godzinę. Bałam się, że do zmierzchu wrzenie ogarnie cały Paryż.

Kiedy wychodziliśmy z karety, ktoś wrzasnął:

— Mordercy! Papistowskie diabły!

Karol się skulił. Ja podniosłam głowę. Nikt się nie ośmielił wzbronić nam wejścia. W głównej sali również był tłum, sami mężczyźni. Umilkli na nasz widok. Zdumiałam się, gdy spomiędzy nich wyłonił się Henryk Nawarski. Miał zmierzwione włosy, koszulę rozpiętą, jakby właśnie zerwał się z drzemki.

— Jak on się ma? — spytałam.

Przyjrzał mi się badawczo. Mało brakowało, a odwróciłabym wzrok. A nuż wyczytałby mi z twarzy, że maczałam palce w zamachu?

— Został postrzelony w ramię. Jest w złym stanie, ale powiedziano nam, że przeżyje. — Spojrzał na Karola i wrócił spojrzeniem do mnie. — Nie powinnaś tu przychodzić, pani. To nie było konieczne. Już wiedzą, kto to uczynił. Powinnaś wydać nakaz aresztowania Gwizjusza.

— Wydamy go, kiedy poznamy wszystkie fakty. Teraz zabierz nas do niego.

Nawarczyk poprowadził nas na górę. Hugenoci rozstępowali się przed nami. Nikt nie powiedział słowa.

Na górze Paré żwawo podszedł do mnie. Wyraźnie się postarzał, lecz demonstrował tę samą bezceremonialną rzeczowość jak podczas doglądania moich najbliższych, męża i syna, gdy walczyli ze śmiercią.

— Rana jest głęboka — rzekł ściszym głosem. — Wyjąłem kulę i złożyłem kość. Stracił palec, ma zmiądzony łokieć, ale jeśli będzie odpoczywał i opatrunek będzie zmieniany, z czasem wydobrzeje.

Karol podszedł do łoża rannego. Spoczywający na wąskim materacu Coligny wydawał się bardzo drobny, niemal nieważny. Wraże-



nie to jednak przysło, gdy podniósł ku mnie oczy i zobaczyłam, że płonie w nich cała moc jego woli.

— Mój przyjacielu, obiecuję, że znajdę winnego i kara go nie minie — powiedział cicho Karol.

Coligny nie spuszczał ze mnie oczu. Wszystko wokół nas się rozpląnęło.

— Wasza królewska wysokość, nie podejrzewam nikogo poza Gwizjuszem — wyszeptał.

Przesunęłam się do łóżka.

— Pare orzekł, że wyzdrowiejesz, panie. Cieszę się, gdyż pamiętam, jak postrzelono Pokiereszowanego. Wtedy medycy powiadali, że gdyby udało się wydobyć kulę, mógłby przeżyć.

Coligny się uśmiechnął.

— Powiedziałem ci to już, pani: moje życie nie ma znaczenia.

Jego uśmiech zranił mnie niczym cios nożem. Nagle pojęłam, jakbym ujrzała wszystko w monstualnym powiększeniu. On chciał umrzeć. Chciał zginąć dla wiary, gdyż wtedy zyskałby większą władzę niż kiedykolwiek za życia. Śmierć Pokiereszowanego też go czegoś nauczyła.

Zrozumiał, że męczennicy wiary mogą być źródłem siły.

Spojrzałam w jego płonące oczy. Skierował je na Karola, mówiąc:

— Żałuję tylko, że moje rany uniemożliwiają mi służenie waszej królewskiej wysokości w tych niebezpiecznych czasach.

Wyciągnął rękę i uściskał Karola. Zmartwiała z przerażenia patrzyłam, jak Karol się pochyła, a on szepce do niego, wciskając mu coś w dłoń.

Potem osunął się na poduszki. Twarz miał spopielała.

Karol odwrócił się do mnie i wyciągnął rękę.

— Oto kula.

Popatrzyłam na poszczerbiony guzek.

— Chodźmy. Admirał musi odpoczywać — rzekłam i czułam na sobie wzrok Coligny'ego, gdy wyprowadzałam Karola za drzwi.

Otoczyli nas gwardziści. Siedząc w karecie naprzeciwko syna, spytałam, gdy podskakiwaliśmy na kocich łbach:

— Co ci powiedział?

Łzy pływały w oczach Karola.

- Nic — bąknął i ledwo dotarliśmy do Luwru, wysiadł, mijając Biraga, i pobiegł do pałacu. Birago spojrział mi w oczy.  
— Chodź ze mną — rozkazałam mu.

W oleandrowej grocie przetransportowane z Florencji delikatne krzewy tkwiły w pełnych ziemi donicach, czekając na przesadzenie. Ich czerwone i białe płatki były wyzywające, zapach — oszałamiający, a destylat potrafił zabijać. Obrzeże groty obsadzono rozmarynem i majerankiem, tu i tam rozmieszczając emaliowane salamandry, żaby, węże i szczerzących zęby satyrów.

Zbliżali się dwaj mężczyźni. Pierwszy poruszał się z gracją, którą natychmiast rozpoznałam; drugi był wyższy i bardziej pleczysty. Ścisnęło mnie w gardle, gdy odrzucił kaptur płaszcza. Przystojny, o twarzy jak wyrytej w marmurze, jasnozłoty włosach i ciemnoniebieskich oczach miał urodę młodego lwa.

Henryk obok niego był ciemną panterą, rubiny migotały mu na obnażonej szyi, luźne włosy spadały do ramion, a kiełkujący zarost wyostrzył linię podbródka.

— Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie — powiedziałam Gwizjuszowi. — Nie powinienesz być mnie zawieść.

Spojrział mi w oczy. Głos miał lekko chrapliwy, namiętny, w sam raz do sypialni.

— Wiem. Hugenoci już otoczyli mój pałac. Wymachują pałkami i nożami, wrzeszcza, że chcą mojej głowy. Miałam szczęście, że jego wysokość był ze mną, inaczej opadliby mnie jak szarańcza. — Pełne usta rozchyliły się w pogardliwym uśmiechu. — Mam nadzieję, że w tych krzakach nie kryją się heretycy.

Kiedy Henryk wybuchnął śmiechem, rzekłam ostro:

— Tu nie ma nic do śmiechu. Jeśli nie będziemy szybko działać, możemy mieć kolejną wojnę, tyle że tym razem spalą Paryż. — Dałam znak Biragowi. — Powiedz im.

W aksamitnej szacie, z poznaczoną plamami czaszką pokrytą kępkami siwych włosów, wyglądał jak poskręcany konar, jednak mówił pewnie, ze znajomością rzeczy:

— W mieście przebywa ponad sześć tysięcy heretyków; wielu przybyło na ślub, ale jeszcze nie wyjechało. Jeśli postanowią się zemścić, nie zadowolą się wymachiwaniem bronią pod naszymi bramami. Równie dobrze mogą zaatakować Luwr.

Gwizjusz chwilę milczał i w końcu rzekł:

— W takim razie pozwól mi, pani, zrobić z tym porządek.

Wpiłam w niego wzrok.

— Wyzaczyłam ci czas i miejsce na zrobienie tego, co miałeś zrobić, a ty sknociłeś sprawę. Czemu niby miałabym znów ci zaufać i zapewnić coś więcej niż bezpieczny przejazd do Joinville?

— Nie oczekuję, byś mi zaufała, pani — odparł z zaskakującym spokojem. — Jednak zapewniam cię, że tym razem nie zawiodę. Coligny to nie Łazarz. Z grobu nie wstanie.

Henryk przysunął się do mnie.

— Mamo, pójdę z nim. Zabijemy wszystkich w jego domu.

Niespodziewanie usłyszałam w głowie głos mojego nieżyjącego teścia: „Takie jest życie, *ma petite*. Czasem pierwsi musimy zadać cios...”.

Przycisnęłam rękę do piersi i odwróciłam się do Sekwany. Kwaśny odór rzeki mieszał się ze słodkimi woniami ogrodu. Nie mogłam dłużej wzbraniać się przed prawdą. Jeśli Coligny odzyska zdrowie, wyda mi walkę na śmierć i życie. I tylko jedno z nas będzie mogło w niej zwyciężyć.

Odwróciłam się. Poruszyli się w cieniach: Gwizjusz — statua z kości słoniowej, Henryk — szczupły, część nocy, Birago — zwierne odbicie mojego „ja”.

— Wszystkich? — szepnęłam i twarze widzianych tam mężów mignęły mi przed oczyma. Mieli żony, dzieci. Czy będę mogła żyć ze świadomością, że przyłożyłam rękę do ich śmierci?

— Wszystkich. — Gwizjusz zaczął beznamiętnie wyliczać: — Teligny, zięć admirała, Aubigne, dowódca straży, szlachetni panowie Rochefoucauld, Souissy i Armagnac. Są w tym domu i muszą umrzeć. Huga nocka sprawa zostanie zniszczona raz na zawsze. — Przerwał i spojrzał na Henryka, który machnął lekceważąco ręką. Gwizjusz wrócił do mnie spojrzeniem. — Masz króla Nawarry. Sugeruję, byś trzymała go pod strażą, dopóki się to nie skończy. Nie ma mowy, żeby wrócił do swego królestwa.

Zawahałam się, patrząc po nich. Serce dudniło mi w uszach. Myślałam o tym, na co nalegają, o tym, co wprawię w ruch, i gdy już zaczęłam wątpić, przypomniałam sobie jego słowa: „Będziemy walczyć o Henryka Nawarskiego i hugenocką Francję...”.

Rzecz sprowadzała się do jednego: on albo ja. Zawsze się do tego sprowadzała.

Skinęłam głową.

— Jutro w nocy — powiedziałam spokojnie. — Wtedy możecie przystąpić do działania.

Gwizjusz się skłonił. Henryk puścił do mnie oko i podniósł kaptur.

— Co jest jutro? — spytałam, gdy znikali w wydłużających się cieniach.

— Niedziela dwudziestego piątego — rzekł Birago. — Wilia świętego Bartłomieja, patrona uzdrowicieli.

Następnego dnia, w kolejne skwarne południe, otrzymałam wiadomość, że Nawarczyk wrócił z przedpołudniowej wizyty u Coligny'ego. Herkules dołączył do niego w pokojach gościnnych i wysłałam tam nasze swawolne panie. Chciałam mieć pewność, że zakosztują tyle niewieścich ciał i wina, że kompletnie opadną z sił i nie zwrócą uwagi na strażę przy drzwiach. Henryk powrócił z porannego patrolu i zgłosił mi, że Paryż jest wolny od zamieszek, chociaż hugenoci nadal tłoczą się w uliczkach i zaułkach wokół rezydencji admirała. Udałam się do Karola.

Kiedy z nim rozmawiałam, siedział na łóżku otoczony psami, tocząc na dłoni wyszczerbioną kulę.

— Więc to prawda — rzekł, gdy skończyłam. — Strzelał Gwizjusz.

— Nie. — Pochyliłam się na krześle. — Gwizjusz strzelał na mój rozkaz. Żałuję tylko jednego. Że chybił. Tamtego przedpołudnia spotkałam się z Colignym: miałam nadzieję, że uratuję mu życie, ale mi groził. Po tym jak go ułaskawiłam, wybacząc mu czyny, których nikt inny by nie wybaczył, przyznał się, że odpowiada za zamordowanie Pokierszowanego i będzie walczył o osadzenie Nawarczyka na tronie. Uznałam, że nie mam innego wyboru.

Karol pochylił głowę. Cichy urywany jęk uleciał mu z ust.

— Dlaczego oni tak nas nienawidzą? — szepnął. — Nie rozumiem. Dlaczego? Przecież zawsze zależało nam tylko na jednym: na pokoju.

— Nie wszyscy są tacy. Karolu, spójrz na mnie. — Ujęłam go za podbródek i zmusiłam, by na mnie spojrział. Naśladował Henryka

i zapuszczał bródkę, ale w tamtej chwili widziałam wyłącznie chłopca, którym był, gdy Pokiereszowany i Coligny po raz pierwszy udali się na wojnę. Miał te same udreżone, zdumione oczy. — Nie wszyscy. Wielu hugenotów szanuje swego króla i pragnie pokoju równie gorąco, jak my go pragniemy. Rozumiesz? Musimy to zrobić, aby ich uratować.

Łza spłynęła po bladym policzku. Kula wysunęła mu się z dłoni i spadła na podłogę. Skinął głową, przyciągnął kolana do piersi i zwinął się koło psa.

Pozostawiłam go pod opieką Biraga. Na korytarzu czekał na mnie Henryk.

— Żadnych zmian w naszych planach — powiedziałam mu. — Wściekłość na admirała nadal mąci rozum Gwizjuszowi; ma się ograniczyć do ludzi w rezydencji.

— Doglądnę wszystkiego. — Uśmiechnął się do mnie uspokajająco. — Zaufaj mi, mamó. Po dzisiejszej nocy nigdy więcej nie będziesz musiała się przejmować hugenotami.

Te słowa wzbudziły we mnie niepokój, chociaż nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Nie mogę się cofnąć, powiedziałam w duchu, wróciwszy do siebie. Nie stać mnie na wątpliwości, żale. Muszę zrobić to co konieczne, aby Francja przetrwała. Inni władcy przede mną likwidowali nieprzyjaciół; poza tym Coligny był zdrajcą. Zasługiwał na śmierć za to, co uczynił.

Prawie nie tknęłam jedzenia, siedziałam w milczeniu, gdy moje damy dworu kręciły się po pokoju, aż spytałam:

— Czy któraś z was widziała dziś Margot?

Anna Maria potrząsnęła głową i rzekła:

— Nie, pani, nie wychodziła poza swoje pokoje, ale słyszałam, że wieczorem ma zamiar zjeść kolację w towarzystwie królowej Elżbiety w jej apartamentach.

Wyglądało to na całkiem rozsądne, niemniej pomyślałam, że byłoby lepiej, gdyby tej nocy Margot została przy mnie. Elżbieta kładła się wcześniej. Margot mogła się oddalić Bóg wie gdzie. Nie chciałam, żeby zajrzała do męża lub Herkulesa i zastała straż przy ich drzwiach.

— Pójdę po nią — powiedziałam. — Czuję potrzebę towarzystwa. Lukrecjo, chodź ze mną. Anno Mario, zastań tu i przygotuj dodatkowe pośłanie przy łożku.

Owinęłam ramiona aksamitnym szalem, otworzyłam drzwi i wyszłam z Lukrecją na korytarz. Na ścianach syczały pochodnie, dając więcej dymu niż światła. Obejrzałam się na Lukrecję; w jej oczach było tyle niepokoju, że znów przypomniałam sobie o tym, co się dzieje za murami pałacu. Niemal ujrzałam zbrojnych galopujących za Gwizjuszem i Henrykiem ciemnymi ulicami Paryża, podążających do rezydencji przy rue de Bethisy, gdzie ciężko ranny człowiek leżał w łóżku, nieświadom zbliżającej się śmierci.

— Będzie dobrze — powiedziałam Lukrecji i chyba do siebie.  
— Przekonasz się. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy szliśmy długimi krętymi korytarzami starego pałacu, uderzyła mnie panująca w nich cisza. Na wieczór nie zaplanowano żadnych oficjalnych zabaw, niewątpliwie zatem dwór się rozpieczęcił, szukając innych rozrywek, jednakże Luwr był upiornie milczący. Wyprowadzało mnie to z równowagi. Przywykłam oglądać grupki dam, sunących szybko w obsypanych klejnotami sukniach, i szczupłych panów przechadzających się w cieniach jak czatujące drapieżniki. W pałacu było pełno wysokiej rangi gości zaproszonych na ślub; tymczasem miałam wrażenie, że cała wielka budowla stoi pusta.

Znów się obejrzałam na Lukrecję.

— Jest jak w grobie. Gdzie się wszyscy podzieli?

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem.

Coś w jej tonie, jakby lęk wywołany tym, co może się wydarzyć, sprawiło, że się zatrzymałam.

— Lukrecjo, o co chodzi?

— O nic... — zaczęła i urwała, patrząc na mnie spod zarzuconego na głowę szala. — Myślałam, że wiesz, pani. Chodzą plotki, że jego królewska mość źle się poczuł i zarządził wczesne gaszenie świateł.

— Źle się poczuł? — Zmarszczyłam czoło. — Przecież wyszłam od Karola zaledwie kilka godzin temu. Był poruszony, ale...

„Zaufaj mi, mamó. Po dzisiejszej nocy nigdy więcej nie będziesz musiała się przejmować hugenotami”.

Kiedy przypomniałam sobie tajemnicze słowa Henryka, nagle mnie zatchnęło. Ruszyłam szybciej, trzymając rękę na gardle. Lukrecja szła za mną. Przecięłyśmy dziedzińczyk wysypany żwirem i piaskiem z fontanną pośrodku kupy gruzu. To była część moich

niekończących się renowacji; potknęłam się i Lukrecja mnie podtrzymała. Wskazała na moje stopy. Spojrzałam na nie i zobaczyłam, że jestem w kapciach na miękkiej podeszwie.

— Powinnam była zmienić obuwie — mruknęłam. Obeszliśmy fontannę i ruszyliśmy ku oświetlonej pochodniami arkadzie, od której biegły schody do apartamentów Elżbiety.

Usłyszałam żałobne nawoływanie dzwonu alarmowego.

— To z Saint-Germain-l'Auxerrois — wyjaśniła ku mej uldze Lukrecja. Mówiła o kościele naprzeciwko Luwru. O tej późnej porze zwykle gotowałam się do snu, pisząc lub czytając, nigdy go więc nie słyszałam i nie mogłam rozpoznać. Bił dalej, sygnalizując coś niezwykłego, i obleciał mnie strach. Zatrzymałam się, okrywając szelniej szalem. Lukrecja sięgnęła po moją dłoń, gdy...

Rozległ się wystrzał z pistoletu. Spojrzałam na Lukrecję. Huknął następny strzał i ciszę rozerwał krzyk, potem następny — przepełnione bólem wołanie, które rozeszło się daleko w nocnej ciszy. Towarzyszyły mu odległe wrzaski, brzęk stali i gorączkowy tupot nóg.

Potem wróciła niesamowita cisza.

— Margot — szepnęłam. — Musimy ją znaleźć, zanim...

Blisko, jakby nad naszymi głowami, rozległy się strzały z arkebuzów, przerywając mi w pół słowa. Lukrecję zatchnęło, ja się zachwiałam pchnięta dobiegającą z pałacu kakofonią.

Kątem oka dojrzałam jakiś błysk, kogoś przebiegającego obok nas. Gwałtownie się odwróciłam, łapiąc za rękę Lukrecję. Arkadą pędził samotny mężczyzna — młodzieniec z rozrzuconymi włosami, w czarnym kaftanie i rajtuzach. Był ogarnięty taką zgrozą, że mimo szeroko rozwartych ust nie potrafił wydusić z nich słowa. Wyciągał przed siebie ręce, jakby usiłował się przebić przez szklaną tafelę. Za nim biegła grupa dworzan. Byli ubrani w skórzane kamizelki, zamaskowani, uzbrojeni w pistolety i sztylety. Nadal w zupełnej ciszy doganiali młodzieńca. Tamten dopadł kolumny, zatrzymał się, ślizgając, i zbyt późno zdał sobie sprawę z pomyłki. Zawrócił. Wbiegł na dziedzińczyk, omijając jednego ze ścigających, i mały nie wpadł do fontanny, gdy pędził, pędził... wprost na mnie.

Wyciągał nieprawdopodobnie daleko ręce, jakby drapiąc palcami powietrze. Nieświadomie uniosłam dłoń, wysuwając je ku niemu. Struga szkarłatu chlusnęła mu z ust. Padł na twarz o piędź od miejsca, w którym stałam. W plecach tkwił mu sztylet.

Dwaj zamaskowani ludzie, wyjąc jak wilki, kopnięciami odwrócili go na wznak i dobili sztyletami. Bliższy z nich podniósł wzrok i zobaczył mnie. Zastygł.

— Królowa matka! — wrzasnął. Spod maski wyglądały tylko białka oczu. Wyrwał ostrze z ciała i pobiegł z innymi. Ryczeli ze śmiechu, jakby uczestniczyli w jakiejś zabawie.

Spojrzałam na trupa u moich stóp. Pełne zdumienia zielone oczy już się zaszklily. Na przesiąkniętym krwią kaftanie był czerwony herb ozdobiony wyszytymi srebrną nicią łańcuchami.

Herb Nawarry.

„Jesteście połówkami całości. Potrzebujecie jedno drugiego, aby wypełnić swoje przeznaczenie”.

— Nie, tylko nie on... — wyrzeźbiłam. Ogarnął mnie pierwotny lęk. Rzuciłam się do schodów, Lukrecja za mną. Kiedy wspinałyśmy się po kamiennych stopniach, płuca mi płonęły, mokra suknia oblepiała łydki. Spojrzałam w dół i ze zgrozą zobaczyłam, że zostawiam za sobą krwawe plamy, zamoczywszy rąbek sukni w krwi tamtego biednego chłopca.

Słyszałam dyszenie Lukrecji, gdy dotarłyśmy na drugie piętro. Panowała tam niepokojąca cisza. Chociaż w oddali słyszałam strzały, dzikie nawoływania i pełne grozy okrzyki, wydawały się nie-realne, przygłuszone gobelinami i dywanami. Zataczając się, dobiegłyśmy do złoconych drzwi apartamentów królowej; namalowano na nich czerwony krzyż. Jeszcze spływał farbą. Załomotałam pięścią w drzwi, pytając się w duchu, dlaczego nie ma straży, chociaż w czarnym wirze umysłu wiedziałam, że nie muszę się o nią bać; moja synowa powinna być bezpieczna. Wydano potajemne rozkazy. Tylko ci, którzy odważyli się wyjść poza pałac, ryzykowali życie.

— To ja! — krzyknęłam. — Otwierać! — Mój głos szedł dziwnym echem. Usłyszałam chrobot rygla i drzwi się uchyliły. Pokazała się ubrana w szlafrok Elżbieta. Włosy wymykały się jej spod siatki, przepecone kosmyki spadały na kark. Oszołomiona patrzyłam na opaskę z czerwonym krzyżem na jej lewym przedramieniu. Zanim udało mi się wydusić choćby słowo, chwyciła mnie za ramiona.

— Wejść natychmiast! Nie nosisz znaku. Bez niego cię zabiją.

Wyrwałam się, zanim wciągnęła mnie do siebie. W głębi dojrzałam blade twarze dam dworu na kolanach przy kłęczniku.



— Jakiego znaku? — spytałam. W głosie obudziła mi się histeria. — Co się dzieje? Mów zaraz?

— Takiego. — Wskazała opaskę. — To świadczy, że jesteś katoliczką. Nie wiesz, co robią? Zabijają heretyków. Wszystkich, którzy nie noszą znaku.

Lukrecja jęknęła z udręką. Popatrzyłam na nią. Wydało mi się, że oszalałam.

— Nie, to nie możliwe. Powiedziałam im. Tylko tamci w rezydencji. To nie ma prawa się wydarzyć. Nie może.

Rozległy się przeraźliwe piski i odwróciłyśmy się; zastygłe patrzyłyśmy na trzy kobiety, które jak oszalałe biegły do klatki schodowej. Okrażyły róg i znalazły się w długiej galerii prowadzącej do królewskiego skrzydła. Ścigali je uzbrojeni w piki mężczyźni. Rozpaczliwe krzyki kobiet odbijały się od ściany, przybierając na sile, aż zagłuszyły wszystkie inne odgłosy.

Nagle ucichły.

— Wejdz — powtórzyła Elżbieta. — Tu jesteśmy chronione. Znak i woła Boża nas osłonią.

Odwróciłam się do niej.

— Gdzie Margot? Jest z tobą?

Pokręciła głową.

— Nie. Nie przyszła na kolację. Przysłała... wiadomość, że idzie z wizytą, towarzysząc małżonkowi.

— *Dio mio*, jest z Nawarczykiem. — Wyciągnęłam dłoń. — Daj mi opaskę. — Patrzyła na mnie zdrtwiała ze strachu. — Szybko, kobieto — warknęłam, zaczęła ją więc rozwiązywać.

— Pani, proszę! Nie wolno ci! Nawarczyk jest hugenotą. Ciebie też zabijają. — Lukrecja złapała mnie za ramię, gdy zawiązywałam opaskę na rękawie.

— Nie zabijają. Jestem królową matką. Myślą, że... — Głos mi się łamał. — Myślą, że robią to na mój rozkaz.

— Idę z tobą — powiedziała Lukrecja.

— Nie. To niebezpieczne. Lepiej pójdę sama. Zostaniesz z jej królewską mością. Zamknij zasuwę i nie wpuszczaj nikogo. Słyszysz? Cokolwiek się wydarzy, nie wpuszczaj nikogo.

Kiedy Elżbieta wzięła za rękę Lukrecję, odwróciłam się i z powrotem przesłam oświetlonym pochodniami korytarzem do rogu, za który skręciły krzyczące kobiety. Byłam sama i wszystkie zmysły

wyostrzyły mi się do tego stopnia, że nawet przygłuszone odgłosy rzezi, dobiegające z krańców pałacu, stały się wyraźne, atakując mnie jak przypływ, który nie zostawia żadnej drogi ucieczki.

Kiedy szłam przez pałac, w którym mój najgorszy koszmar stał się rzeczywistością, w którym mieszkałam z moim mężem, wychowywałam dzieci i walczyłam o mój kraj, przypominałam sobie sen, który nawiedził mnie w noc po ostatnim spotkaniu z Nostradamusem. Przypominałam sobie niewyraźne postaci, dzwony i krzyki. Znow zobaczyłam siebie zostawiającą krwawe ślady. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz tak.

Dążąc do zabicia jednostki, sprowadziłam śmierć na tysiące.

I mogło być zbyt późno na uratowanie tego, którego powinnam ochronić.

Weszłam na długą galerię. Podeszwy ślizgały mi się po mokrej podłodze. Nie patrzyłam w dół; skupiłam uwagę na tym, by stawiać krok za krokiem. Starałam się nie słyszeć ogłuszających wrzasków z mijanego właśnie pokoju.

— Henryk Nawarski — szeptałam. — Henryk Nawarski nie może umrzeć.

Dotarłam do końca galerii. Ażurowa arkada po mojej prawej prowadziła do ogrodu, gdzie wstęp mieli tylko król i królowa. Zatrzymałam się, widząc w niej grupkę nagich hugenotów. Żołnierze w naszych barwach gromadzili ich w jednym miejscu. Obok leżał stos ubrań. Mężczyźni przeklinali i usiłowali walczyć, kobiety zakrywały dłońmi twarze i płakały. Żołnierze atakowali ich pikami, kosząc niczym zboże. Patrzyłam, gdy padali kolejno, czasem jeszcze żywi, czasem martwi. Żołnierze kłuli ich, gdzie popadło, dźgali pikami masę ciał.

— Nie Nawarczyka — zaczęłam się modlić. — Proszę, Boże, nie jego.

Poszłam dalej. Wiedziałam, że jeśli Henryk Nawarski jeszcze żyje, to tylko dlatego, że przebywa w apartamentach króla. Cokolwiek się działo w pałacu, jakiegokolwiek szaleństwo się rozpętało, nikt nie odważyłby się wyrządzić mu krzywdy, jeśli był z Karolem. Błagałam Boga, aby Margot jakimś cudem zwiedziała się o planach morderców i zamiast przyjść do Elżbiety, przekupstwem bądź rozkazem odesłała strażników spod drzwi apartamentów, aby móc zaprowadzić męża w bezpieczne miejsce.

Im dalej się zapuszczałam, tym więcej trupów widziałam, nagich, z podciętymi gardłami, wytrzeszczonymi niewidzącymi oczami, rozplatanymi brzuchami, z których wylewały się wnętrzności. Wciąż mi się wydawało, że pośród nich widzę leżącą bezwładnie moją córkę, jej przepiękne włosy sklejone krwią. Kiedy usłyszałam dobiegające nie wiedzieć skąd zawodzenie, zdałam sobie sprawę, że to ja, że to mój głos sący się tępo z półotwartych ust.

Za plecami usłyszałam wybuch śmiechu i kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że między trupami idą dworskie ładacznice. Nałożyły najlepsze suknie, na odsłoniętych piersiach powiesiły perły i rubiny, na wypudrowanych ramionach zawiązały opaski, z których zwisały krucyfiksy i różańce. Szeptaly między sobą, wskazując palcami dawnego klienta lub kochanka, teraz leżącego zakatowanego u ich stóp. Kiedy najzuchwalsza z nich kopnęła trupa, nie żałując pantofelka na wysokim obcasie, żółć podeszła mi do gardła.

Zgubiłam się, chociaż wcześniej pokonywałam tę drogę tysiąc razy, chodząc do syna. Zatrzymałam się, usiłując się skupić, rozpoznać znajomy mebel, obraz, posąg, który by mnie poprowadził. Czuję się niczym uwięziona w labiryncie, gdy nagle skręciłam i ruszyłam ciemnym przejściem, unikając większych pokoi i galerii, omijając ciemne kałuże krwi. Dół sukni przesiąkł mi doszczętnie. Szkarłatne plamy na ścianach sięgały niemal na wysokość mojej głowy; wszędzie leżała porzucona i zniszczona broń, jakby rozgrabiono całą naszą zbrojownię. Wtem na dębowych drzwiach w głębi ujrzałam herb Karola i odetchnęłam z ulgą. Byłam blisko jego prywatnych pokoi.

Potknęłam się. Postąpiłam w tył, gubiąc oddech. Nie mogłam oderwać wzroku od poskręcane go niewysokiego ciała, które zalegało mi drogę. Garbate plecy spływały krwią z ran. Krzyk wezbrał mi w gardle, ale zdałam sobie sprawę, że to nie moja ukochana karliczka Anna Maria. To był mężczyzna, jeden z ulubionych błaznów Karola. Mój syn lubił jego fikołki i żonglerkę.

Obiegłam trupa i znalazłam się przy drzwiach. Przepisnęłam się przez nie i z ulgą zobaczyłam zgromadzonych przy sypialni Karola królewskich gwardzistów. Twarze mieli bez wyrazu, lecz dostrzegłam, że najmłodszemu drży ręka na halabardzie. To byli szwajcarscy najemnicy, dobrze opłacani za służbę królowi; teraz najwyraźniej strzegli go, słysząc dziejące się w Luwrze potworności.

Rozstąpili się i wpuścili mnie do przedpokoju. Birago siedział zgarbiony na krześle z głową w rękach. Podniósł ją. Oczy miał pełne smutku.

— Czy oni tam są? — spytałam ledwo słyszalnym głosem.

Wskazał sypialnię Karola, w której zostawiłam syna śpiącego pod jego opieką. Wydawało mi się, że od tamtej chwili upłynęło sto lat.

— Przyszedł Gwizjusz. Byli z nim jego ludzie — zaczął Birago. Mówił jak w transie. — Rozkazał mi wyjść. Jego królewska wysokość wpadł w gniew. Błagałem go, aby zachował spokój, lecz kiedy Gwizjusz powiedział mu, że zatrzymuje go w środku dla jego własnego bezpieczeństwa, stracił... nad sobą panowanie. Zaczął krzyczeć, że nigdy więcej nie przyjmie rozkazów od żadnego Gwizjusza, że pierwaj każe go zgładzić. — Spojrzał na mnie bezradnie. — *Madama*, zachowywał się jak opętany, wył, że zabije Gwizjusza i każdego katolika, który odważy się skrzywdzić jego hugenockich gości. Wtedy przybiegła Margot. Powiedziała, że Nawarczyk i Herkules są uwięzieni w ich pokojach i że grozi im śmierć. Gwizjusz próbował zamknąć jej usta, ale wycięła mu policzek i błagała Karola, by ratował jej męża. Była tak rozgorączkowana, że Karol rozkazał przyprowadzić króla Nawarry i Herkulesa tu, do jego pokoju.

Kiedy słuchałam Biraga, siła woli, która dodawała mi energii podczas drogi przez pałac, wyczerpała się do cna.

— Są bezpieczni — wyszeptałam. — Dzięki Bogu, są bezpieczni.

Birago powstał z trudem.

— Świta króla Nawarry, jego przyjaciele i służba... myślę, że nie żyją. Sam był zakrwawiony, gdy go tu przyprowadzono, i płakał. Oskarżał Karola i ciebie, pani, o wywołanie masakry, która miałyby go zmusić do nawrócenia się na katolicyzm. Powiedział, że admirał miał we wszystkim rację, że chciałaś poszczuć Gwizjusza na francuskich hugenotów, żeby pozabijał ich bez różnicy.

Te słowa były jak stryzyk zaciskający mi się na gardle.

— Ale on żyje? — spytałam.

Birago kiwnął głową. Odwróciłam się do drzwi, nacisnęłam klamkę. Nie były zamknięte na klucz. Weszłam do sypialni.

Ogar leżał przy progu. Kiedy światło z przedpokoju rozlało się wokół mnie, zawarczał. Herkules kulił się nieopodal. Jego dziobata

twarz była zalana łzami. Na mój widok przyciągnął kolana do piersi, oczy wyszły mu z orbit, pełne strachu.

Ruszyłam dalej, ku łóżku. Karol leżał wsparty o rzeźbiony nagłówek, obejmując Nawarczyka. Trzymał sztylet na jego gardle. Nawarczyk śledził mnie wzrokiem. Rękaw miał naderwany przy barku. Mimo że kaftan, który nosił, był czarny, widziałam na nim krew.

Z cieni wyszła Margot.

— Teraz jesteś zadowolona? — spytała. Gniew wypełniał jej oczy. — To twoja robota. Zamieniłaś mój ślub w masakrę.

— Nie... nic nie zrobiłam — odrzekłam. — Wiesz, że to nie moja wina.

— Ależ twoja. Chciałaś śmierci admirała i teraz wszyscy mamy jego krew na rękach.

— Zamknij się — syknęłam i odwróciłam się do Karola. — Synu, proszę. Zostaw go.

Karol pokręcił głową, nadal przyciskając sztylet do gardła Nawarczyka. Strumyczek krwi ściekał spod ostrza. Mój syn dygotał.

— Musi się nawrócić albo umrze. Gwizjusz go zabije.

— Nie, posłuchaj mnie. Jest naszym krewnym, jest mężem Margot. Gwizjusz go nie ruszy.

Karol zacisnął ramię na szyi Henryka, przysuwając ostrze tak blisko pulsującej żyły, że musiałam się powstrzymać, aby się nie rzucić na ratunek naszemu królewskiemu więźniowi.

— Gwizjusz powiedział, że przyjdzie go zabić — rzekł Karol drżącym od płaczu głosem. — Powiedział, że to heretyk i odcierpi za wszystko, co nam wyrządzili jego pobratymcy. Muszę go uratować; musi się wyrzec herezji.

Zrobiłam następny krok. Pies zawarczał, obnażając kły.

— Wyrzeknie się jej — powiedziałam. — Obiecuję ci to. Zrobi wszystko, o co go poprosisz. Tylko pozwól mu uczynić to z własnej woli.

Karol się zawahał. Jego uścisk osłabł, sztylet konwulsyjną linią przesunął się w dół szyi Nawarczyka, dławiąc mu oddech.

— Musi to powiedzieć — szepnął Karol. Drugą rękę zacisnął na podbródku Nawarczyka. — Powiedz to! Powiedz albo poderżnę ci gardło, zanim Gwizjusz to zrobi!

Henryk popatrzył na mnie — w jego oczach zobaczyłam taką nienawiść i bezsilność, że niemal nie mogłam tego znieść.

— Zrób to — powiedziałam. — Na miłość boską, nawróć się i uratuj samego siebie.

Grdyka podskoczyła mu konwulsyjnie i opadła.

— Wyrzekam się wszelkiej wiary prócz rzymskiej — wyjąkał. — Jestem katolikiem!

Gdy Karol opadł bez sił, wypuszczając z ręki sztylet, rzuciłam się do łóżka i odciągnęłam Nawarczyka. Zatoczył się, wpadając w ramiona Margot. Ścisłała go, łkając jak nigdy dotąd, jakby cały nasz świat się roztrzaskał.

— Nie masz powodu się bać — powiedziałam. — Będę cię chronić.

Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

— Jak tysiące tamtych, którzy umarli? Pani, chociaż może bardzo tego pragniesz, ta noc nigdy nie pójdzie w zapomnienie.

Spojrzałam bez słowa w jego lodowate oczy. Osiągnęłam to, o co walczyłam od chwili, kiedy zdecydowałam się wydać za niego swoją córkę. Miał żyć jak katolicki książę; jego dzieci miały się urodzić katolikami i miały być wychowane po katolicku. Zabezpieczyłam przyszłość naszego rodu, pozbawiłam hugenotów lojalnego przywódcy.

Ale wiedziałam, że utraciłam go. Może na zawsze.

Trzy dni potem zebraliśmy się w Notre Dame, aby świętować nawrócenie się Henryka Nawarskiego. Kiedy ukląkł przed ołtarzem, przyjmując hostię z rąk rozradowanego kardynała, patrzyłam na jego plecy, nie chcąc oglądać triumfujących uśmiechów katolickich książąt i dworzan, którzy przeżyli tamtą haniebną noc, zapisaną już w historii jako krwawe gody, noc świętego Bartłomieja.

Chociaż byłam przerażona, starałam się zachować niewzruszoną twarz, nie chcąc okazać wstydu ani strachu z powodu tego, co uczyniłam. Pokój, na którym tak mi zależało, i który uzyskałam dzięki zaślubinom Margot i Nawarczyka, chwiał się bliski katastrofy; Francji zagrażało większe niebezpieczeństwo niż kiedykolwiek do tej pory, przykuta zatem do biurka trudziłam się bez przerwy, pisząc stosy listów, w których tłumaczyłam się Anglii, Niderlandom i innym protestanckim krajom. Równocześnie zbierałam gromy potępienia i pełne złośliwej radości gratulacje z Rzymu i Hiszpanii.

Paryż spływał krwią. Kiedy zaczęła się rzeź, niewielu baczyło na to, czy ofiara jest katolikiem czy hugenotem. Motłoch wykorzystał moment i mordował bezkarnie; w zamieszaniu zginęły setki niewinnych. Ciała spływały Sekwaną jak odpadki; trupy zaległy boczne uliczki i mosty. Lęk przed zarazą unosił się niczym widmo i gdy niedobitki uciekły z resztkami dobytku, rozkazałam kopać zbiorowe mogiły za murami miasta. Trupy polewano wapnem, aby szybciej zgniły.

Henryk przyszedł do mnie wymęczony i skruszony. Słuchałam w milczeniu o tym, jak on, Gwizjusz i ich ludzie wdarli się do rezydencji i zaatakowali hugenockich panów. Podczas gdy ci ginęli

w obronie przywódcy, Gwizjusz wdarł się na schody. Wyciągnął admirała z łóżka, zakłuł go mieczem i wyrzucił przez okno. Zlany krwią ofiary przyglądał się z triumfem, gdy najemnik odrąbał głowę trupowi. Przytroczył ją do siodła jak myśliwskie trofeum i przejechał ulicami, podburzając tłum. Każdy hugenota, który nie zabarykadował drzwi, padł ofiarą wściekłości katolików, zamordowany w gorączce nienawiści i przemocy.

— Przysięgam ci, próbowałem to powstrzymać — zarzekał się drżącym głosem Henryk. — Ale Gwizjusz potajemnie rozkazał najemnikom, aby urządzili masakrę w Luwrze. Oszczędzili tylko noszących opaski z krzyżem. Nie wiedziałem, co robić. Nie dało się powstrzymać tego koszmaru.

Jedynie kiwałam głową. Nie miałam siły go besztać. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Przynajmniej okazywał żal, a przerażona twarz świadczyła, że jego serce buntowało się przeciw rzezi. Młodość i niedoświadczenie sprowadziły go na manowce. W swoim zapale posunął się dalej, niż powinien.

— Knując z Gwizjuszem, działałeś wbrew mojej woli, ale nie winię cię za to — uświadomiłam mu ze spokojem. — Sama popełniłam błąd. Skoro wcześniej nie udało się nam zabić Coligny'ego, nie powinnam była próbować tego po raz wtóry. Teraz idź. Strzeż Nawarczyka i dopilnuj, by Gwizjusz natychmiast opuścił Paryż. Niech się tu nie pokazuje, dopóki nie wydam innej decyzji. Za daleko się posunął.

Mój syn wyszedł, za to wszedł Birago. Usiłował opanować chaos i był teraz wyczerpany. Poinformował mnie, że hugenoci w całym kraju uciekają na oślep do Genewy, gdzie nazwano mnie królową Jezabel. Drukowane pamflety obwieszczają każdą na mój temat potwarz, która wcześniej krążyła z ust do ust: jestem włoską żmiją, potworem, który spiskował ręką w rękę z Filipem, aby zniszczyć kalwińską wiarę. Dawniej może wpadłabym w gniew i od razu ogłosiła, że jestem niewinna, ale nakazałam Biragowi, aby nic nie robił. Byłam gotowa przyjąć na siebie wszelkie oskarżenia, jeśli to by pomogło oczyścić moich synów.

Nie okazałam żadnych uczuć na wieść o tym, jak okrutną śmiercią zginął Coligny. Przeżywałam ją zbyt głęboko, aby się odstąpić — nawet wobec najzaufańszych osób. W samotne noce słyszałam, jak służące szorują korytarze z krwi. Czekałam na ból, który za-



władnie całą moją istotą, na ból tak przejmujący, że odsłoni mi pełnię poczucia winy. Lękałam się jednak, że serce przemieniło mi się w kamień; że wskutek walk i zdrad przestało cokolwiek czuć. Na wiadomość, że okaleczony trup admirała nadal wisi na wzniesionej na rozkaz Gwizjusza szubienicy, kazałam go zdjąć i przynieść mi także odciętą głowę.

Dopiero gdy żołnierz rozsunął brzegi worka i cofnął się kilka kroków, a ja spojrzałam na pozbawioną życia, obmytą z krwi twarz, przypominającą raczej woskową maskę niż kogoś, kogo niegdyś znałam, lód, który ściał mnie od wewnątrz, zaczął pękać. Nie dostrzegłam znaku groźnej witalności, którą niegdyś kochałam i której z czasem nauczyłam się bać, nie widziałam wyrazu zastygłej dumy, która napawała mnie tak wielkim podziwem i zachwytem. Wyciągnęłam drżącą rękę i przesunęłam nią po zimnych białych wargach, na wieczność wykrzywionych w grymasie męki, a ból i żałość webrały jak płomień w moim gardle.

Odwrociłam się.

— Nie — szepnęłam. — *Dio mio*, nie...

Lukrecja zwolniła żołnierza i objęła mnie, ściskając i kołysząc, powtarzając bez końca, że to nie moja wina. Wtedy zdałam sobie sprawę, że wraz z nim coś we mnie umarło i nigdy nie będą taka jak niegdyś. Nic nie pozostało z tamtej dziewczynki, naiwnej kilkunastoletki, która przybyła do Francji. Był przy mnie od początku; znał moją niewinność. Ze wszystkich ludzi w całym moim życiu tylko on dotknął tej osoby, którą pragnęłam zostać.

Teraz nie żył. Z mojego rozkazu.

Odesłałam ciało do Chatillon, aby je pochowano, i chociaż umarł jak zdrajca, a jego majątek przejęła Korona, przyznałam jego żonie i dzieciom renty, tak płacąc mu za lata służby. To była moja pokuta, mój ostatni podarek — jedyne pożegnanie, na jakie było mnie stać.

Ocknęłam się z rozmyślań i patrzyłam, jak Nawarczyk idzie do nas, na kamiennej twarzy mając wypisaną cenę, którą zapłacił za życie. Nie potrafiłam dłużej się powstrzymać. Poczułam, jak rośnie we mnie wyczerpanie, niepokój i ulga — wybuch tak przemożny, że gdy mój zięć dotarł do nas i usiadł koło Margot, która spojrzała na mnie z goryczą, odrzuciłam głowę i roześmiałam się głośno. Nadal byłam Medyceuszką i miałam zwyczaj.

Przeprowadziliśmy się do Saint-Germain, pozostawiając Luwr jego upiorom. Chuchałam i dmuchałam na Karola, który miał ataki gorączki. Pare zbadał go i orzekł, że chociaż jest rozpalony, dojdzie do siebie. Jako że Karol skarżył się na bezsenność, medyk zapisał mu codzienną porcję wywaru makowego, co miało zapobiegać wszelkiej zbędnej ekscytacji. Był przekonany, iż jego królewski pacjent cierpi na załamanie nerwowe spowodowane ostatnimi wydarzeniami.

Nawarczyk przeprowadził się wraz z nami. Pozornie nie był więźniem. Porzucił herezję i jak zauważył bacznie go pilnujący Henryk, wydawał się zrezygnowany. Miał własne apartamenty; codziennie jeździł konno, ćwiczył strzelanie z łuku, nawet poświęcał czas Margot. Pewnie mu powiedziała, że Karol jest niezdrowszy, gdyż ku mojemu zaskoczeniu zaczął go codziennie odwiedzać. Birago doniósł mi, że Karol i Nawarczyk spędzają popołudnia jak przyjaciele, pogodni, grając w karty. Wydało mi się to tak dziwne, że nie mogąc opanować podejrzeń, złożyłam im niezapowiedzianą wizytę, aby sama ocenić głębię tej świeżo nawiązanej przyjaźni.

Zastałam ich siedzących przy stole. Popijali wino i grali w karty, podczas gdy Margot i Herkules siedzieli nieopodal, głowa przy głowie. Od czasu masakry mój najmłodszy lgnął do siostry, niewolniczo wdzięczny za interwencję tamtej nocy i głęboko przekonany, że to ona uratowała mu życie, chociaż wydawało mi się wątpliwe, aby jego życie było choć przez chwilę zagrożone.

Kiedy weszłam, zastygli. Karol poderwał głowę.

— Och, jak miło — powiedziałam wesoło. Mój głos rozległ się zbyt głośno w niewielkim pokoju.

Margot zeszywniała jak zawsze na mój widok w tamtych dniach. Zignorowałam ją, podchodząc do stołu, przy którym Karol siedział w bramowanym futerze szlafroku, blady i skurczony, przeciwieństwo pełnego życia Nawarczyka. Patrząc na szczupłą umięśnioną postać Henryka, rumieńce i rudozłotą bródkę, tknęło mnie, że popełniłam błąd. Starałam się go uratować kierowana wizją sprzed lat, radą Nostradamusa, iż odegra podstawową rolę w moim życiu. A jeśli się myliłam? W głębi serca nadal był hugenotem; nie miałam złudzeń, zmienił wiarę tylko pod groźbą sztyletu. Do tej pory wmaśniałam sobie, że z czasem całkowicie się nawróci; lecz gdy przywitał

mnie swobodnym uśmiechem, zadałam sobie pytanie, czy aby nie jest kolejnym zagrożeniem dla Francji.

Wskazałam stosik monet po jego stronie stołu.

— Chyba wygrywasz.

Wzruszył ramionami.

— Do tej pory nie miałem szczęścia.

— Tak, nie miał — potwierdził Karol z typowym dla gorączkującego podnieceniem. — Za to dzisiaj fortuna jest przy nim. — Spojrzeli sobie w oczy ponad stołem. — Czyż nie tak, przyjacielu?

— W rzeczy samej. — Nawarczyk odchylił się na krześle, sięgając po kielich. — Jego królewska wysokość jest hojny. Inny król nie pozwoliłby przeciwnikowi mego pokroju na zwycięstwo.

Wyczułam aluzję. Spojrzałam przenikliwie na Margot. Trzymała za rękę Herkulesa. Przyglądali mi się z wielkim zainteresowaniem, jak psy zbierające się do skoku na ofiarę i tylko czekające na komendę.

Odwróciłam wzrok do Karola.

— Nie przegraj za dużo — mruknęłam i wyciągnęłam rękę do jego czoła. Nagle wydał mi się niepokojąco rozpalony. Gdy go dotknęłam, odsunął się gwałtownie, ale zdążyłam wyczuć, że się nie myliłam. — Masz gorączkę — powiedziałam. — Pamiętaj o tym, co ci powiedział Pare. Nie wolno ci się zbytnio wysilać. Myślę, że dość kart na dzisiaj.

Karol chciał zaprotestować, lecz Nawarczyk powstał od stołu.

— Twoja matka ma rację — rzekł, uśmiechając się do mnie czule jak wzorowy syn. — Nie chciałbym, żebyś zachorował z mojej winy, kuzynie. Może zagramy jutro, jak zażyjesz nocnego odpoczynku?

Kiedy usłyszałam w jego głosie współczucie, serce podskoczyło mi w piersiach. Miałam wrażenie, że naprawdę troszczy się o Karola.

— Jutro się nie da — rzekł Karol. — Pamiętajsz? Jedziemy na polowanie do Vincennes.

Nawarczyk się zastanowił i przyznał mu rację:

— O, tak. Zapomniałem.

Roześmiałam się wymuszenie i klepnęłam Karola w ramię.

— Nie wydaje mi się, aby cały dzień w siodle to był mądry pomysł. Poczekaj, aż gorączka opadnie, dobrze?

— Ale obiecałem! — Karol odskoczył ode mnie. Stał w dziwnej pozie, otulając szerokim szlafrokiem wątłą postać. Przy Henryku Nawarskim wyglądał jak dziecko przebrane za króla; nawet ton głosu miał proszący. — Czuję się lepiej i chcę jechać na polowanie. Mam dość siedzenia w zamknięciu.

— No cóż, zobaczymy — rzekłam i zwróciłam się do Nawarczyka: — Jeśli masz ochotę na trochę ruchu, panie, przecież możesz pojechać z Henrykiem. Jestem pewna, że Margot potrafi zabawić Karola przez jeden dzień. Prawda, kochanie?

— A mam wybór? — wymamrotała.

Uśmiechnęłam się.

— Dobrze. W takim razie załatwione. Henryk zabierze Nawarczyka do Vincennes, a jeśli Karol do wieczora poczuje się lepiej, możemy zjeść kolację razem, jak rodzina.

Nawarczyk spojrział mi w oczy. Nie dostrzegłam w jego oczach niczego, żadnego uczucia, jakby były z nieprzezroczystego szkła.

— To będzie dla mnie przyjemność — powiedział.

Wyszedł z Margot i Herkulesem, a ja dopilnowałam, by Karol położył się do łóżka. Wróciłam do siebie i wezwałam Henryka. Przyszedł rozczochrany po popołudniowej drzemce.

— O co chodzi? — spytał, od razu wyczuwając moje napięcie.

Chodziłam po pokoju, próbując zrozumieć niepojęty strach, który we mnie zagościł. Opowiedziałam Henrykowi o mojej niedawnej wizycie.

— Miałam wrażenie, że zachowują się tak, jakby knuli jakiś spisek.

Roześmiał się.

— Gdyby chodziło o Margot, nie miałbym wątpliwości. Zrobilibyśmy z jej zaślubin farsę, mordując połowę gości weselnych, i nienawidzi nas za to... jakby kiedykolwiek w ogóle zależało jej na hugenotach. Biedny Karol chce po prostu zażegnać rozłam. Czuje się strasznie; to przecież on zmusił Nawarczyka do nawrócenia się. A poza wszystkim co Nawarczyk może nam zrobić? Hugenoci są rozgromieni i uciekają w popłochu. A on to nie Coligny.

— Gadaj zdrów! Zawsze może się skierować przeciwko nam! — odparłam ostro i przygryzłam wargę, żałując, iż przyznałam się do lęku, który ukrywałam przed wszystkimi. Ale że już się stało, dodałam: — Wiem, że jest mężem Margot. Zawdzięcza nam życie

i nie mam przeciwko niemu dowodów, nie chcę jednak, żeby przebywał tak blisko Karola.

Henryk kiwnął głową.

— Co mam zrobić?

Zastanowiłam się.

— Zabierz go jutro na polowanie, jak planowali, lecz zabaw w lasach tak długo, abyście musieli zostać na noc w pałacu w Vincennes. Birago zajmie się resztą.

Wytrzeszczył oczy.

— Mamo, chyba nie zamierzasz...?

— Nie — odparłam ostro. — Oczywiście, że nie. Nie chcę, żeby zginął. Ale muszę mieć pewność, że nie wystąpi przeciw nam. Na razie pozostanie pod strażą w Vincennes. Margot może do niego dołączyć; kiedy tylko spłodzą dziecko, będziemy pewni jego lojalności.

Henryk musnął ustami mój policzek.

— W takim razie do Vincennes.

Następne przedpołudnie spędziłam w gabinecie, zajmując się korespondencją, chociaż myślami byłam przy czym innym. W końcu po kilku godzinach, podczas których napisałam ledwo dwa listy, wstałam, aby się udać na obiad, gdy wbiegł Birago.

— Pani, musisz zaraz przyjść — wydyszał. — Stan jego królewskiej wysokości się pogorszył!

Popędziliśmy do pokoi Karola. Wyglądały tak, jakby przeszedł przez nie wicher; krzesła i stoły rozrzucone; tace na podłodze, przewrócone kufry. Patrzyłam osłupiała na doktora Paré, który trzymał Karola za ramiona, podczas gdy ten miotał się na łóżku. Z ust buchała mu krwista piana.

Birago załamał ręce. Medyk usiłował wcisnąć Karolowi między zęby gruby rzemień, ale mój syn wydał gardłowy skrzek i z taką mocą wygiął się w łuk, że odrzucił medyka daleko od łóżka. Zatchnęło mnie. Przybrał nieprawdopodobną pozycję, zginając się coraz bardziej, aż głową niemal dotknął stóp. Nocna koszula pękła mu na piersiach. Kiedy lekarz znowu go dopadł, dostał kolejnego ataku konwulsji. Ja i Birago podbiegliśmy z pomocą. Starałam się utrzymać syna za ramiona, Birago leżał mu na nogach, a Paré wciskał w usta rzemień. Karol miotał się z niezwykłą energią; musiałam

użyć całej siły, aby docisnąć go do posłania. Oddech utknął mi w piersiach, gdy zobaczyłam, że oczy uciekły mu w głąb czaszki, krew sączy się z nosa.

Nagle znieruchomiał. Tylko gulgotał.

— Co się dzieje? — wykrztusiłam. — Co z nim?

— Nie wiem — odparł przyciszonym głosem Pare. — Po południu przyniosłem napar, ale że królowa Margot i Herkules składali mu wizytę, zostawiłem lekarstwo. Po jakimś czasie wróciłem. Ich wysokości już wyszły, a król spał. Czekałem na zewnątrz, aż usłyszałem, że się dusi. Kiedy wpadłem do środka, zastałem go w tym stanie... Rano jakby zaczął dochodzić do siebie. Nie miał gorączki. Sprawdziłem.

— Margot tu była? — spojrzałam na Biraga.

— Spójrz na jego pierś, pani — rzekł półgłosem.

Na białym torsie mojego syna widocznym pod rozerwaną koszulą zwiisał amulet ze zmatowiałego srebra, na którym umieszczono starodawny wzór. Zamarłam. Pare się podniósł i przeszedł do rozrzuconego przy przewróconym stole nakrycia. Podniósł kielich i przytknął go do nosa.

Wzdrygnął się.

— Migdały — szepnął. Opuścił kielich i podniósł ku mnie pełne zgrozy oczy. — Wypił arszenik! Był w naparze. Dobry Boże, król został otruty.

— To niemożliwe — rzekłam, ale rozpoznałam amulet. Otrzymałam go od Kośmy, a ostatni raz widziałam w dniu moich czarów w Chenonceau. Włożyłam go do szkatułki z figurkami i nigdy więcej nie nosiłam. Szkatułkę przewoziłam z pałacu do pałacu zapomnianą wśród innych rzeczy.

Pare padł na kolana.

— Nie zrobiłem tego. Przysięgam, wasza królewska mość, to nie ja. — Mówił z nieukrywaną grozą, a przecież nigdy nie okazał niepokoju, nawet opiekując się moim małżonkiem i najstarszym synem w ich ostatnich godzinach. Wszystko wokół mnie zaczęło wirować, jakby komnata z wolna opadała w czarny ryczący ocean.

— Margot — szepnęłam i potykając się, wybiegłam z pokoju.

Wpadłam do swoich apartamentów, zaskakując służbę, gdy runęłam do sypialni, i przeszukałam zagraconą toaletkę. Szkatułka

przepadła. Zawróciłam i jak furia wbiegłam do Margot. Siedziała przy oknie, obok Herkules; gdy się podniosła, szeleszcząc falbanami sukni, ujrzałam, że jest zaskoczona. Już samo to było przyznaniem się do winy; od tygodni okazywała tylko kamienną obojętność. Zmierzyłam wzrokiem jej białe atłasy, perły wielkości winogron na włosach. Wystroiła się, jakby chciała coś uczcić. Herkules pod moim wzrokiem skulił się i pobladł jak ściana.

Już wiedziałam.

— Gdzie to jest? — spytałam. Nawet do niej nie podeszłam. Zabiłabym ją gołymi rękami.

Odwrociła się, wyjęła z pobliskiej skrzyni szkatułkę i podała mi ją w wyciągniętych rękach. W środku leżały rzucone byle jak woskowe laleczki; niemal słysząc mocno bijące serce, podniosłam wyściółkę, otworzyłam skrytkę i moim oczom ukazała się fiolka Kośmy. Pusta. Gdy ostrożnie ją powąchałam, poczułam upiorną woń migdałów.

— Jak... jak mogłaś to zrobić? — spytałam ledwo słyszalnym szeptem.

— To Kosma — powiedziała. W jej głosie nie było nawet cienia strachu czy żalu.

— Ka-kazałaś Kosmie...?

— Napisałam do niego. Odpisał mi, gdzie ją znaleźć. Na dobrą sprawę nie schowałaś jej.

Nie mogłam się ruszyć. Szkatułka ciążyła mi tak, jakby była z marmuru.

— Dlaczego? — Własny głos brzmiał mi obco w uszach.

Miała w oczach blask.

— Karol chce umrzeć. Przez ciebie. Zabiłaś jego poddanych, sprawiłaś, że wszyscy hugenoci obrócili się przeciwko niemu. — Zrobiła efektowną pauzę. — Ale przede wszystkim zabiłaś Coligny'ego. Kochał go jak ojca.

— To kłamstwo! — syknęłam. — To nie miało nic wspólnego z Karolem. Zrobiłaś to, bo kochasz Gwizjusza, a ja zmusiłam cię do ślubu z Nawarczykiem i teraz myślisz, że... — Urwałam. Patrzyłam jej w oczy i mimo oszołomienia nagle wyczytałam w nich prawdę.

— Co, mamie? — zamruczała jak kotka. — Ze planujesz zabić mojego męża? To dlatego wyprawiłaś go z Henrykiem na polowanie, prawda? Żeby można się z nim rozprawić w puszczy i potem

mówić, że to wypadek na polowaniu? Nie zostanie wodzem hugenotów. Przejmiesz jego królestwo, pozbędziesz się hugenotów i wydasz mnie za żonę za kandydata najodpowiedniejszego z twojego punktu widzenia.

— Ona nas nienawidzi — burknął pod nosem Herkules, jakby nie było mnie w pokoju. — Mama. Nienawidzi nas, nie ostrzegła nas przed masakrą. Chciała, żebyśmy wszyscy zginęli.

Wpatrywałam się w Margot z niedowierzaniem i zgrozą. Co zrobiłam, że stworzyłam takiego potwora? Kochałam całe swoje potomstwo najlepiej, jak potrafiłam; robiłam co w mojej mocy, aby zapewnić swoim dzieciom bezpieczeństwo. Tak, kiedy były małe, matkowałam im z daleka, lecz tylko dlatego, że Diana mi je ukradła. Ale po śmierci męża odzyskałam je i nigdy się nie zawahałam, gdy przyszło mi ich bronić. Jak Margot, tak urodziwa, tak obiecująca kobieta stała się przepełnioną złem, obcą istotą? Chciałam wykrzesać w sobie złość, upokorzyć ją, jednakże świadomość prawdy odebrała mi siły.

Zrobiłaby wszystko, żeby się zemścić. Była Medyceuszką; moja krew była jej przekleństwem.

— Dałam Karolowi amulet i truciznę — mówiła dalej, jakby czytała mi w myślach. — Tak radził Kosma: zdobądź jego zaufanie, demonstrując, do czego potrafisz się posunąć.

Czułam, że upuszczam szkatułkę, lecz nie usłyszałam nic, gdy upadła na podłogę.

— I to nie wszystko — powiedziała, uśmiechając się powoli, ze złowieszczą satysfakcją. — Karol chciał pozwolić mojemu mężowi uciec w Vincennes. Wtedy przyszłaś ty i odebrałaś mu ostatnią nadzieję na odkupienie. Teraz myśli, że mój Henryk umrze. Dlatego zażył truciznę. Nie może dłużej znieść poczucia winy.

Patrzyłam w jej twarz, w bezlitosne oczy. Złapałam ją za ramiona i trzęsłam nią tak, aż perły pospadały jej z włosów i potoczyły się po podłodze.

— Myśli, że twój mąż umrze, bo napełniłaś mu głowę łgarstwami! Czy ty wiesz, co zrobiła? Wiesz?! Twój brat umiera z twojej winy.

Roześmiała mi się w twarz.

— To twoja trucizna, twój amulet! Wszyscy powiedzą, że ty to zrobiłaś, tak jak zabiłaś królową Joannę, tak jak wykorzystałaś mnie,



żebym wyszła za Nawarczyka, abyś mogła zwabić hugenotów do Paryża i wybić ich do nogi. Powiedzą, że otrułaś własnego syna i nikt więcej nie będzie ci ufał!

Herkules się skulił.

— To nie ja — bełkotał. — Nie zrobiłem tego. To nie ja.

Odepchnęłam na bok Margot i powoli się cofnęłam.

— Kiedy tylko zobaczę się z twoim bratem, zajmę się tobą tak, jak na to zasługujesz — powiedziałam.

Umieściłam najmłodsze dzieci pod strażą i wysłałam żołnierzy do Chaumont, każąc im aresztować Kosmę. Został zatrzymany i przewieziony do Bastylji.

Zapadała noc, gdy wraz z Biragiem udaliśmy się do kazamatów. Kiedy weszłam do wilgotnej celi, głęboko w środku fortecy, zadygotałam, widząc mojego astrologa przywiązanego do krzesła. Był nagi, jeśli nie liczyć porwanej przepaski na biodrach. Cienie na ścianach kryły przeróżne szczypce i inne narzędzia tortur.

Wyglądał jak trup, siniaki znaczyły ziemistą skórę. Na mój widok całe życie, jakie się w nim tliło, skupiło się w jego oczach, przypominając mi małego chłopca, którego poznałam pod domem jego ojca. Znałam go od dzieciństwa; dzieliła nas niewielka różnica wieku. Był moim pobratymcem, Florentyńczykiem. Sparaliżowało mnie zwątpienie. A jeśli to była część zemsty Margot? A jeśli sama znalazła szkatułkę i wsączyła jad w uszy Karola, wpędzając już chwiejny umysł w szaleństwo, a potem rzuciła oskarżenie na Kosmę?

— *Madama*, musimy działać — podszeptał mi Birago. — Od tego zależy życie jego królewskiej wysokości.

Skinęłam głowę. Birago siadł przy niewielkim stoliku, wyjął z torby papier i gęsie pióro, szykując się do protokołowania przesłuchania. Kosma wpatrywał się we mnie bez mrugnięcia okiem, w którym widziałam wszystkie łączące nas wspomnienia. Dźwięczny głos Biraga wypełnił celkę.

— Kosmo Ruggieri, jesteś oskarżony o spisek mający na celu zamordowanie jego królewskiej wysokości za pomocą trucizny. Jej królewska mość jest tu obecna, aby poznać skład antidotum. Jeśli go podasz, jej królewska mość obiecuje, że wyjdiesz stąd żywy.

Nie poruszył się, nie dał znaku, że cokolwiek usłyszał.

— Kosma, wiesz, że nie życzę ci źle — dodałam. — Tylko powiedz mi, co mam zrobić, aby uratować syna. Znasz skład trucizny. Jakie jest antidotum?

Policzek mu drgnął. Roześmiał się zgrzytliwie, jakby tarł metalem o metal.

— Wciąż nie pojmujesz, pani? Poświęciłem całe życie na to, aby uzyskać dar, do którego ty nie chciałaś się przyznać. Czegokolwiek się nauczyłem, cokolwiek odkryłem, wszystko oddawałem tobie. Zrobiłem to, na co ty nie miałaś siły. Jestem twoim instrumentem.

Przeszły mnie ciarki.

— Ależ... ależ mylisz się. Jak śmiesz uzurpować sobie prawo do mojego życia?

— Bo jestem twój! — Naparł na więzy i żebra zarysowały mu się pod skórą. — Nigdy o mnie nie pomyślałaś, skazałaś mnie na samotność i niebyt, ale ja... ja zawsze byłem twój. Kiedy ty nadstawiałaś ucho na rymy i wierszyki tego durnia Nostradamusa, który nie potrafił dać ci nic więcej, ja penetrowałem najmroczniejsze tajemnice, spełniając najskrytsze marzenia twojego serca. Ty jednak gardziłaś mną. Odrzucałaś mnie i teraz...

— Dość! — Uderzyłam go z całej siły. Zakołysał się na krześle. Wytrzeszczył oczy, krew popłynęła z rozbitej wargi. — Czy powiedziałeś Margot o szkatułce? Czy tobie zawdzięczam, że własny syn stracił do mnie zaufanie, bo wmówiłeś mu, że jestem gotowa zamordować Nawarczyka?

Znów się roześmiał, piskliwie i wyzywająco, pryskając krwią.

— Tak! To wszystko moja zasługa! A teraz możesz przelać całą wściekłość na mnie; teraz możesz pokazać, po co się urodziłaś, na co cię naprawdę stać, królową tak potężną i przerażającą, że zostaniesz zapamiętana na wieki. Ja zawsze wiedziałam, kim jesteś, chociaż nigdy mnie nie kochałaś, nigdy we mnie nie wierzyłaś. — Gwałtownym ruchem wysunął do mnie głowę. — A może wierzysz, że kopią, która odebrała życie twojemu mężowi, pokierował przypadek?

Zamarłam.

— Nie. To... nie może być prawda.

Jego uśmiech był makabryczny.

— Nie czujesz tego? To jest wszędzie wokół nas, w każdej chwili, łączy nas po wieczność. Każdy krok, który zrobiłaś od tamtego

pamiętnego dnia, był przepowiedziany. Będziesz królową aż do śmierci; uratujesz Francję przed zniszczeniem, ale ród, o którego przetrwanie walczysz każdym oddechem, to jałowe ziarno. Twoja rodzina... jest skazana na ztratę.

Birago wstał. Trząsał się z gniewu.

— On oszalał. Musimy wezwać mistrza tortur.

Przypomniałam sobie ostrzeżenie Nostradamusa, które wypowiedział przed laty w Chaumont: „On igra ze złem. I zło wywoła. Takie jest jego przeznaczenie”. Spojrzałam Kosmie w oczy.

— Albo powiesz, jak uratować mojego syna, albo obiecuję ci, że zanim ta noc się skończy, będziesz błagał o litość.

— Nie potrzeba mi litości — wyszeptał. — I nie możesz już nic zrobić. Jest za późno.

— W takim razie dla ciebie też jest za późno. — Odwróciłam się do Biraga. — Odciąć mu język i ręce, żeby nigdy więcej nie mógł praktykować swej szpetnej sztuki. Jeśli przeżyje, wsadzić go na galeon do Włoch.

Poszłam do drzwi.

— Nie! Nie zostawiaj mnie, *mia duchessina!*

Tym razem nie obejrzałam się za siebie.

O północy przyszedł Birago, zgłaszając, że Kosma wyzionął ducha podczas tortur. Trupa wrzucono do dołu za murami miasta, tak że nie pozostał po nim żaden ślad.

Kiedy Birago zapytał o Karola, odparłam beznamyślnie, siedząc przy kominku:

— Pare się nim opiekuje. Nie możemy nic więcej uczynić. Wyglądasz na zmęczonego. Jutro porozmawiamy.

— *Madama*, nie wierz bredniom tego szatańskiego pomiotu — rzekł łagodnie. — Śmierć twojego małżonka to był wypadek. Byłaś przy tym. Widziałaś na własne oczy.

Oddech zatrzymał mi się w gardle.

— Nie mogę więcej o tym słuchać. Odejdź, proszę.

Odszedł, zostawiając mnie wpatrzoną w płomienie szepczące tajemnice.

„Uratujesz Francję przed zniszczeniem, ale ród, o którego przetrwanie walczysz każdym oddechem, to jałowe ziarno. Twoja rodzina... jest skazana na ztratę”.

Kosma nigdy nie miał zdolności jasnowidzenia, lecz uwierzyłam mu. Choć Karol był od dwóch lat żonaty, nic nie wskazywało, żeby jego małżonka miała zajść w ciążę. Po śmierci Karola tylko Henryk mógł zapewnić tron naszej rodzinie. Byłam tego boleśnie świadoma. Ospa okaleczyła Herkulesa i nigdy nie miał rządzić. Moje myśli jak zwierzę miotające się w matni wracały do tamtego dnia w Prowansji, gdy Nostradamus zapowiedział, że każdy z moich synów osiągnie wiek męski. Nie powiedział, że umrą bezdzietni, jednak zagrożenie wisiało nade mną, nieunikniony fakt, którego nie mogłam ignorować.

Gdyby Henrykowi nie udało się spłodzić syna, Nawarczyk odziedziczyłby tron. Przyszłość zależałaby od hugenockiego króla przekonanego, iż jestem jego wrogiem. Oskarżano mnie, że podałam truciznę jego matce. Jego przyjaciół wymordowano w moim pałacu, a jego samego zmusiłam do nawrócenia się na katolicyzm. Wszystko, o co walczyłam, całe dziedzictwo pokoju, które chciałam po sobie zostawić, a wraz z nim mój ród miały zostać zmiażdżone pod jego butem.

Zmusiłam się do powstania i podeszłam do okna, patrząc w noc. Smagane wiatrem ogrodowe drzewa chwiały się na tle nieba zasłanego tysiącem gwiazd. Wpatrując się w odległe konstelacje, migotliwe jak lód, zastanawiałam się, czy przypadkiem nie walczyłam zębami i pazurami, pokonując stworzony przez samą siebie labirynt, gdy tymczasem cała moja przyszłość była z góry ustalona.

Odwrociłam się do biurka, patrząc nie wiedzieć jak długo na stos papieru i gęsie pióra.

„Potrzebujecie jedno drugiego, aby wypełnić swoje przeznaczenie”.

Potem usiadłam i napisałam instrukcje.

Henryk przybył dwa dni później. Miał na sobie brudny strój myśliwski.

— Załatwione. — Zerwał z dłoni rękawice. — Zabrałem go w ostępy, w których dzień wcześniej wytropiono byka. Ludziom kazałem gonić zwierzę i jak tylko zostaliśmy sami, powiedziałem mu: „Uciekaj. Zanim któryś z nas postanowi cię zabić”.

Długim krokiem podszedł do kredensu, nalał sobie wina i duszkiem opróżnił puchar.

— Nie wątpię, że już jest w polowie drogi do swojego królestwa.  
— Odstawi! puchar i odwróci! się do mnie. — Skoro chciałaś dać mu wolność, dlaczego po prostu nie odesłałaś go z Margot?

— To musiało wyglądać na ucieczkę. Katolicy, Gwizjusze nie przełknęliby innego rozwiązania.

— Tak, a teraz ja jestem durniem, który pozwolił mu czmychnąć. — Wbił we mnie spojrzenie. — Dlaczego to zrobiłaś?

Podniosłam wzrok. Znał mnie tak dobrze. Ze wszystkich moich dzieci on jeden potrafił mnie przejrzeć. Musiałam opanować chęć, aby powiedzieć mu wszystko, musiałam sobie przypomnieć, dlaczego muszę go zwieść. Karol był przykuty do łóżka, ale konwulsje złagodniały; Pare uważał, że może przeżyje, i gorączkowo szukał antidotum. Kosma nie żył. Margot była w areszcie domowym. Musiałam pogrzebać prawdę. Henryk nigdy nie może się dowiedzieć, co zrobiła Margot; musi pozostać w nieświadomości, wolny od wszelkich oskarżeń. I chociaż byłam tak wściekła na Margot, że prawie nie mogłam na nią patrzeć, jednak była żoną Nawarczyka. Musiała być chroniona, więc uznałam, że jeśli ktoś ma zostać oskarżony o otrucie Karola, to niech to będę ja.

— Wiedz jedno — powiedziałam ostrożnie. — Musisz wyjechać z Francji.

Poblądł.

— Chcesz, żebym... żebym wyjechał? Dlaczego?

— Birago twierdzi, że wielu hugenotów, którzy po masakrze uciekli do Genewy, ma zamiar wrócić i podjąć z nami wojnę. Winia cię za masakrę w takim samym stopniu jak mnie czy Gwizjusza. Chcę, żebyś zszedł z drogi niebezpieczeństwa. Napiszę do Małgorzaty Sabaudzkiej; jest twoją ciotką, przyjmie cię z największą radością. W grę wchodzi nie tylko twoje dobro; wyślę też Herkulesa, gdy tylko Elżbieta zgodzi się przyjąć jego zaloty.

Henryk się skrzywił.

— To dopiero będzie widok: małpiszonek obłapiający Elżbietę Tudor. — Spojrzał na mnie przeciągle. — To bardzo nagłe posunięcie. Najpierw każesz mi zamknąć Nawarczyka w Vincennes, potem mam go nakłonić do ucieczki, bajając mu o groźbie zamachu na jego życie, a teraz słyszę, że Karol jest ciężko chory. — Oczy mu zabłyśły. — Czemuż to jesteś gotowa mnie odesłać, gdy niebawem mogę zostać królem?

Spojrzałam w jego rozjarzone oczy.

— Tak, Karol jest chory, ale może pożyć jeszcze wiele lat. Masz mnie posłuchać. Musisz wyjechać i czekać, aż cię wezwę. Błagam cię. — Głos uwiązał mi w gardle. — Nie... nie możesz zostać. Jeśli to zrobisz, będziesz ryzykował życiem.

Zmrużył powieki.

— Życiem? Jak? Tylko nie mów mi znowu, że to ci przekleci hugenoci.

— Nie hugenoci. — Opuściłam wzrok. — Chodzi o twojego brata. Karol cierpi na coś gorszego niż gorączka. Pare mówi, że ma pomieszanie zmysłów. Wyobraził sobie, że śmierć ściga go za jego czyny.

— W takim razie pomówię z nim. Jest moim bratem. Musi wiedzieć, że nie mam jak powstrzymać Gwizjusza i kilku tysięcy podległych mu katolików, którym marzy się rzeź.

— Nie, nie przemówisz mu do rozsądku. Zatracił się. Grozi, że wyśle cię do Anglii zamiast Herkulesa. Wolałabym umrzeć, niż zobaczyć ciebie na tej heretyckiej wyspie. Elżbieta otworzyła porty hugenockim uciekinierom; aż się od nich tam roi. Każdy malkontent mógłby cię skrzywdzić.

Ku mojej uldze wyraźnie się zafrasował. Mógł udawać, że jest inaczej, lecz na pewno zdawał sobie sprawę z konsekwencji masakry i nadal był na siebie wściekły, iż tamtej nocy zdał się na Gwizjusza. Wyglądało to tak, jakby chętnie się zgodził na śmierć tysięcy.

— Herkules nie brał udziału w masakrze, więc Elżbieta będzie się do niego wdzięczyła, jak robiła do tej pory — mówiłam dalej. — Wobec ciebie nie może sobie na to pozwolić; doniesiono jej, że tamtej nocy byłeś w rezydencji Coligny'ego.

— To wszystko? A może jest coś jeszcze?

— Nie. — Uśmiechnęłam się wymuszenie. — To potrwa tylko krótki czas, obiecuję. Możemy pisać do siebie codziennie.

Zawahał się, skinął jednak głową.

— Pewnie przyda mi się jakiś czas poza krajem. — Zachichotał. — Nie wątpię, że w Sabaudii będzie mniej pogrzebowo. — Pocałował mnie w policzek. — Mam nadzieję, że wiesz, co robisz z Nawarczykiem. Bóg wie, co jeszcze wymyśli, gdy tylko poczuje się bezpieczny.

— Masz rację — powiedziałam pod nosem i odprowadziłam go spojrzeniem, gdy odchodził tanecznym krokiem.

Zostawszy sama, osunęłam się na krzesło. Nie myślałam. Po prostu ukryłam twarz w dłoniach i płakałam tak mocno, jak nie zdarzyło mi się od lat. Opłakiwałam tysiące ofiar; dziecko, którym byłam, i rodzinę, którą zostawiłam; kraj, który ledwo pamiętałam, i kraj, który starałam się uratować. Opłakiwałam moje umarłe dzieci i żyjące, które dorosły, skażone trującą nienawiścią wojen religijnych. Opłakiwałam przyjaciół i wrogów; wszystkie utracone nadzieje i złudzenia.

Lecz nade wszystko opłakiwałam siebie, kobietę, którą niegdyś byłam.

Dwa miesiące później siedziałam przy łożu Karola, gdy wykaszliwał resztki płuc. Nie dobiegł jeszcze dwudziestego czwartego roku życia, ale trucizna Kośmy powoli zrobiła swoje, tak że wygnił od środka i leżał zlany potem zmieszany z krwią.

Zacisnął palce na mojej dłoni. Oczy miał zamknięte, pierś ledwo mu drgała, oddychał płytko. Weześniej podpisał dokument, mianując mnie regentką do powrotu Henryka. Elżbieta już przywdziała żałobę i nie podnosiła się z klęcznika; tylko Birago, ja i wierny pies, leżący u jego stóp, towarzyszyliśmy mu, gdy odzyskiwał i tracił przytomność.

Chwilę po czwartej po południu gorączka opadła. Gęsty deszcz siekł o mury zamku, gdy Karol otworzył oczy i popatrzył na mnie.

— Wybacz mi — szepnął.

CZĘŚĆ VII

1574—1588

*Ukochany*



Chodziłam po moim pokoju w Luwrze, odtrącając noskiem buta obsypany klejnotami rąbek burgundowej aksamitnej sukni i odwracając się do okna przy każdym większym hałasie na dziedzińcu.

Jesień przybyła do Francji. Liście płonęły na dębach i opałowy splendor okrył wzgórze. Minęły cztery miesiące od śmierci Karola — cztery długie i trudne miesiące, podczas których pogrzebałam go, wysłałam do Chenonceau królową wdowę i trudziłam się, strzegąc bezpieczeństwa królestwa. Teraz otrzymałam wieść, że Henryk minął Awinion i posuwa się w górę Rodanu, eskortowany przez Herkulesa, którego znaczenie wzrosło, od kiedy stał się następcą tronu.

Niebawem mój ukochany syn miał objąć władzę.

Odwróciłam się od okna i zobaczyłam Biraga człapiącego z nieodstępnymi tekami. Skrzywiłam się, gdy położył je na biurku. Powinnam mu współczuć; po śmierci Karola załamął się i bardzo posunął. Odpędzał smutek, poświęcając każdą godzinę pracy. Lecz dzisiaj nie byłam w nastroju do oglądania jego zbolałej twarzy ani wysłuchiwania litanii obowiązków, którymi winnam się zająć.

— Choćbyś miał tam nie wiem co, może zaczekać — powiedziałam.

— Ależ to listy z Anglii. Królowa Elżbieta domaga się, byśmy się przyłączyli do jej protestów przeciwko dalszemu najazdowi Hiszpanii na Niderlandy. Powiada...

— Nie pozwoli Herkulesowi na wizytę, dopóki nie rzucimy rękawicy na arenę. Ociąga się od miesięcy, używając tej samej wymówki. Jeśli tak bardzo chce, żebyśmy ją poparli i wystąpili przeciwko Hiszpanii, niech da coś w zamian.

— Ale te same kłopoty mogą spaść na Francję. Nie możemy...

Tupnęłam nogą.

— Czy wyglądam, jakbym się ubrała na radę?

Birago się wyprostował — przynajmniej na tyle, na ile mógł w tym wieku.

— Proszę o wybaczenie. Widzę, że przyszedłem nie w porę. Wygląda na to, że sprawy państwowe muszą poczekać.

Wyszedł, kulejąc. Lukrecja uwolniła mój welon, który zahaczył o kryzę.

— Czuję się jak pieczeń na uczcie — jęknęłam. — Czy to naprawdę konieczne?

— Absolutnie. Czy jej królewska mość chce, żeby jej syn zobaczył matkę w starych wdowich sukniach?

— Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko, żeby już tu był i...

Armatnia salwa zagłuszyła resztę moich słów. Służba i damy dworu pośpieszyły za mną, gdy wybiegłam na korytarz, poruszając się z taką szybkością, na jaką pozwalały mi tusza i krępująca suknia.

Kiedy wypadłam na dziedziniec, dojrzałam Margot z dworem. Miała na sobie brzoskwiniową jedwabną suknię z tak szeroką stojącą kryzą, że otulała jej głowę, upudrowaną twarz i wyszukaną fryzurę z niezliczonymi loczkami. Szyja i gors lśniły od turmalinów. Zwolniłam ją z aresztu domowego, ale zażądałam, by zawsze towarzyszył jej wybrany przeze mnie orszak statecznych surowych matron.

— Ślicznie wyglądasz w tej sukni — powiedziałam, podchodząc. Ostatnio mniej się na nią wściekałam; Karol nie żył, a po ucieczce Nawarczyka żyła w stanie zawieszenia, żona i królowa tylko z imienia. Nic nie mogło usprawiedliwić jej zachowania, lecz sama dobrze wiedziałam, jak gorzkie bywa uczucie zawodu.

Uśmiechnęła się sarkastycznie.

— Równie dobrze mogłam się przebrać za nie wiem kogo. Cały dwór traktuje mnie jak godną pożałowania wdowę. Biedna Margot, szepcą, porzucona przez męża. Samiutka jak palec. Nawet bachora jej nie zrobił. — Urwała i zadarła głowę, jakby zdała sobie sprawę, że przyznała się do ukrywanej słabości. — Jak już mowa o moim mężu, to może coś o nim słyszałaś? Domyślam się, że ku wielkiej radości poddanych dotarł do królestwa Nawarry i wyparł się nawró-

cenia. Znów jest hugenotą. Ciekawa jestem, ile czasu upłynie, zanim ponownie wypowie nam wojnę.

Chciałam wzbudzić w sobie sympatię wobec niej, ale oczywiście zawsze musiała palnąć czy uczynić coś takiego, że nie było o tym mowy.

— Czemu miałyby to zrobić? — spytałam ostro. — Ma po Herkulesie sukcesję tronu. Chyba powinno mu zależeć na utrzymaniu z nami dobrych stosunków. — Uszczypnęłam ją w ramię. — I pozwól, że udzielenie ci ostrzeżenia: koniec z intrygami. Zachowałam twój sekret, więc daj Henrykowi rządzić w pokoju.

— Och, nie musisz się martwić moim sekretem — odpaliła. — Zwłaszcza że Henryk sam ma sekret do ukrycia. — Kończąc rozmowę tą tajemniczą uwagą, wróciła posuwistym krokiem do swego dworu.

Była nie do wytrzymania; choćbym dawała z siebie wszystko, zawsze potrafiła doprowadzić mnie do wrzenia. Wysiłkiem woli wyparłam ją z myśli, wyteżając wzrok poza las dworzan. Niedoczekanie, żeby moja córuchna zepsuła mi nastrój. Miałam pięćdziesiąt pięć lat i niejedno wycierpiałam. Dzisiaj był mój dzień chwały. Dzisiaj wszystko było możliwe.

Henryk III przybył do stolicy. W końcu będziemy mieli króla godnego Francji.

Wyczuwając moją radość, Lukrecja powiedziała:

— Jeśli chcesz, pani, przejdźmy do bram, żebyś mogła pierwsza go przywitać.

— Nie. — Łzy piekły mnie w oczy. — Dajmy mu weselić się tą chwilą. Jest jego.

Lecz gdy w końcu ujrzałam go wjeżdżającego ze swoimi panami na dziedziniec, dumnego, siedzącego w siodle prosto jak trzcina, nie potrafiłam się powstrzymać. Przedarłam się przez tłum, wyciągając ramiona.

— Henryku, *mon fils!* Henryku!

Zeskoczył na ziemię i rzuciłam się w jego ramiona, czując nieznanne mi pachnidła. Ciemne perfumowane włosy opadały mu spod czapki, ciało pod fioletowym kaftanem miał prężne jak struny liry. Kiedy pocałował mnie w usta, zacisnęłam dłonie na jego policzkach.

— Droga mamó — szepnął i obejmując mnie, odwrócił się do czekającego tłumu, oświadczając dźwięcznym głosem: — Dzisiaj

składam hołd mojej matce, która przeprowadziła nasze królestwo przez wiele wirów, abym mógł dożyć tej godziny.

Wybuchł gromki aplauz i łązy niespodziewanie zalały mi twarz.

Wróciliśmy do Paryża niespieszną procesją, aby lud mógł zobaczyć Henryka. Jechał na czele kawalkady, jak to sobie wymarzył, król przybrany w fioletoworóżowe brokaty przetykane srebrną nicią. Monarszym, szerokim gestem pozdrawiał zalegającą drogę ciżbę, która krzyczała:

— Niech żyje Henryk Trzeci! Niech żyje król!

W Luwrze wydałam ucztę na jego cześć, ozdabiając salę zimozielonymi gałązkami, symbolem stałości. Siedziałam na podwyższeniu między nim a Herkulesem; dalej ciągnęły się stoły. Przy jednym z nich zasiadał Gwizjusz. Pozwoliłam mu powrócić na dwór, aby uczcił wstąpienie na tron Henryka. Był tam także jego wuj i inni katoliccy panowie. Margot zajęła miejsce u szczytu innego stołu, przeznaczonego dla małżonek panów i dam dworu.

Henryk nosił koronę i zasiadał na tronie. Był łaskawy dla dworzan, którzy ustawili się w szeregu, witając go. Zwracał się do nich, wymieniając ich imiona ze starannością, która przypominała mi jego dziadka. Jedliśmy pieczone dziki, łabędzie, pawie, bażanty. Po uczcie trupa karłów przedstawiła komedię; kiedy się skończyła, Henryk dał znak i Guast rzucił im mieszek z monetami. Karły rzuciły się na podłogę, gubiąc peruki i walcząc między sobą o hojną zapłatę, co wzbudziło kolejne huczne śmiechy.

Henryk ziewnął.

— W Sabaudii każdy ważny pan ma teatr i trupę aktorów. Nikt już nie trzyma błaznów. — Odwrócił się do Herkulesa, który wpatrywał się w kłócaące się karzełki, jakby chciał je schrupać. — Jak myślisz, małpko? Powinniśmy zwolnić błaznów?

Przemówił serdecznym tonem; nigdy nie okazał Herkulesowi pogardy, ale mój najmłodszy syn zalał się rumieńcem i syknął:

— Już nie jestem twoją małpką! Jestem delfinem!

Henryk uśmiechnął się, spoglądając na zatłoczoną salę. Muzycy stroili instrumenty. Kiedy dworzanie zaczęli wybierać partnerki do tańca, nagle rzekł:

— Eminencjo, słowo o pannie de Yaudemont.

Nie miałam pojęcia, o kim mówi. Kardynał skłonił ku mnie wyniszczoną twarz, zdradzając, że cały czas podsłuchiwał.

— Jego królewska mość ma na myśli moją kuzynkę z Lotaryngii, którą niedawno poznał w Sabaudii. Służy jako dama dworu księżny.

— Tak, była zachwycająca — powiedział Henryk. — Chciałbym sprowadzić ją na dwór. Zajmij się tym.

— Będę zaszczycony — odparł kardynał, jak zawsze rozanielony, gdy dojrzał jakąś korzyść dla siebie. Może stracił większość zębów i włosy, ale jego umysł nadal pracował jak sprawnie obracający się kołowrót.

Pochylałam się do Henryka, chcąc się dowiedzieć więcej o tej Vaudemont, gdy zauważyłam, że spogląda na Guasta, który czuwał jak nierówny cień u stóp podium. Henryk znów ziewnął i rzekł:

— Jestem strasznie zmęczony. Chyba udam się na spoczynek.

— Ależ są tańce — zaprotestowałam. — Dwór oczekuje, że zatańczysz w pierwszej parze.

— Niech Herkules się tym zajmie. Może zatańczyć z Margot. — Zanim zdążyłam go zatrzymać, wstał i zszedł z podwyższenia. Guast ruszył za nim krok w krok.

Udałam, że nie widzę porozumiewawczego spojrzenia kardynała. Niespokojnie poszukałam wzrokiem Margot. Oddaliła się od stołu i pótleżała na kanapie pod ścianą, otoczona admiratorami.

Jakby czując mój wzrok, podniosła oczy i spojrzała na mnie zimno i znacząco.

Wstałam przed świtem. Umówiłam się z Henrykiem na rozmowę. Mieliśmy przedyskutować porządek jego pierwszego spotkania z radą królewską, która miała się zebrać w tym tygodniu. Pośpiesznie zjadłam śniadanie, zabrałam teczkę z dokumentami i wyszłam na korytarz. Stał tam Birago; wspierał się na lasce i jego pobrużdżona twarz zdradzała zmęczenie.

— Stopa ci spuchła — powiedziałam. — Znowu podagra?

Skrzywił się.

— Chyba wczoraj się przejadłem. Ale wziąłem miksturę i...

— I musisz się położyć — przerwałam mu. Kiedy chciał zaprotestować, uniosłam rękę. — Nie. Wracaj do łóżka, stary przyjacielu. Mam prywatne spotkanie z synem. Potem zajrzę do ciebie.

Ustąpił z wdzięcznością i oddalił się, kulejąc. Poszłam do syna. Pokonałam galerię i znalazłam się przed drzwiami króla. Stał tam strażnik.

— Jego królewska wysokość jeszcze nie wstał — rzekł. — Rozkazał, aby mu nie przeszkadzać.

— Dobra, dobra, czas, żeby się ruszył z łóżka. Odsuń się.

Miał dość oleju w głowie. Wiedział, że nie należy mi się sprzeciwiać. Wszedłszy do przedpokoju, zobaczyłam, że zalega w nim cień, a światło sączy się tylko między zasłoną a oknem. Stającej na stole karafce towarzyszyły dwa kielichy; półotwarte drzwi w krytej boazerii ścianie prowadziły do sypialni. Nagle ogarnęła mnie dziwna obawa; było tak cicho, że słyszałam dobiegające z głębi chrapanie. Zerknęłam do środka. Dokładnie przede mną stało łożo. Szkarłatny baldachim był odsunięty, ukazując nagie muskularne ciało porażonego w głębokim śnie Guasta. Owłosione ramię odrzucił na zgniecione poduszki.

Tłumiąc okrzyk oszołomienia, zaczęłam się cofać.

Usłyszałam kroki i odwróciłam się w miejscu. Z przedpokojowej alkowy szedł do mnie Henryk. Miał na sobie luźną białą koszulę z jedwabiu, włos w nieładzie. Rozdziany z wytwornych szat wyglądał młodo, nie dałabym mu dwudziestu trzech lat. Wyglądająca spod rozchylonego szlafroka pierś była jak marmurowa, okryta ciemnymi kędziorkami podobnie jak u jego ojca.

— Co tu robisz? — spytał. W jego głosie zabrzmiało upokorzenie i gniew.

— Nieważne. Trzeba było zamknąć drzwi na klucz. Co... to ma być?

Minał mnie i zamknął sypialnię.

— Strażnik dostał rozkazy. Tylko ty masz na tyle czelności, że ich nie posłuchałaś. — Przeszedł do stołu, sięgnął po karafkę. Nalał sobie wina. — Co się tyczy tego „to”, to myślę, że już rozumiałaś.

Wstrząśnięta przyciskałam do piersi dokumenty.

Wypił wino, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Hm? Nie masz nic do powiedzenia?

Nie chciałam o nic pytać. Nie chciałam dopuścić do świadomości tego, co rozumiałam. Zawsze był nieustraszony — zażarty w boju, dumny ze swej pozycji, godny imienia ojca. Najzdolniejszy uczeń ze wszystkich moich dzieci, bardziej zdyscyplinowany niż Margot, inte-

ligentniejszy niż Elżbieta, bystrzejszy niż Karol. Łączył najlepsze cechy Medyceuszy i Walezjuszy; pokładałam w nim wielkie nadzieje. Wyobrażałam sobie, że Francja w końcu będzie miała silnego króla. Popełniał błędy; był impulsywny i uparty, lecz to cechy młodości i czas mógł nauczyć go opanowania. Dbałam o niego tak jak o innych synów, stałam u jego boku, aby nim pokierować.

Ale nigdy przez myśl mi nie przeszło coś takiego.

— Od... jak długo? — w końcu udało mi się wybąkać.

— Od kiedy sięgam pamięcią. — Podeszedł do okna, rozsunął story. Ostre światło zalało pokój. Odwrócił się do mnie. — Jeśli mnie pamięć nie myli, Guasta poznałem podczas mojej pierwszej kampanii przeciw hugenotom. Pomógł mi przejść... bardzo trudny okres. Od tamtej pory jest moim kompanem. Gdyby nie on, mógłbym stać się ofiarą jednego z tych skrytobójców hugenotów, o których mówisz, że tylko marzą, aby mi utoczyć krwi. — Przerwał. — Guast jest najlojalniejszą osobą w moim życiu. Po tobie. Chcę nadać mu tytuł. Zasługuje na nagrodę za wszystkie starania, jakimi mnie otacza.

— Nie możesz tego zrobić — odparłam natychmiast. — Wszyscy się zorientują. Daj mu pałacyk na wsi, płac z prywatnej kiesy, ale żadnego stanowiska na dworze. — Kiedy wyrzuciłam to jednym tchem, odruchowo, poczułam podziw wobec samej siebie. Był dzień po przybyciu mojego z dawna wytęsknionego syna i właśnie spadło na mnie coś, z czym nigdy w życiu nie miałam do czynienia, a już układałam zasłonę dymną, która miała skryć jego sekret.

— Mamo, akurat ty jak nikt na świecie musisz wiedzieć, że nie można zrezygnować z tych, których kochamy — rzekł łagodnie.

W uchu zabrzmiało mi szyderstwo Margot: „Henryk sam ma sekret do ukrycia”.

— Których kochamy? — powtórzyłam. — Kochasz go...?

— W rzeczy samej, a przynajmniej kocham go tak bardzo, jak możemy kochać kogoś poza samym sobą. Wiesz, Margot potrafi być wredna, ale ma rację: kiedy straciła Gwizjusza, powiedziała, że nie jesteśmy tacy sami jak inni ludzie. Według niej nie potrafimy naprawdę kochać, bo nie jesteśmy w stanie dawać, nie oczekując czegoś w zamian. — Zawiesił wzrok na zamkniętych drzwiach. — Był czas, kiedy wydawało mi się, że jestem zdolny do bezinteresownej miłości, ale się myliłem. Jednak Guast godzi się z tym, co mam mu

do zaoferowania. Przypuszczam, że można by to uznać za jakiś rodzaj miłości.

— To moja wina. — Opuściłam wzrok, czując do głębi ból, którego nigdy głośno nie wyznałam. — Byłam odsunięta w czasach waszego dzieciństwa, nie wiedzieliście, jak bardzo was kocham. Powinnam wykurzyć Dianę, kiedy zajęła moje miejsce. Należało o was walczyć z tą wilczycą.

— Nie mam do ciebie pretensji — odparł ze zrozumieniem, które wycisnęło mi niemal szloch z gardła. — Poza tym nikt mi tego nie uczynił. To niczyja wina. Jest wielu mężczyzn takich jak ja.

Gruby węzeł zawiązał się w mojej piersi.

— A co powie dwór? Ambasadorowie, możni? Myślisz, że zrozumieją? — Głos mi drżał, gdy na próżno usiłowałam opanować nerwy. — Nasi wrogowie wykorzystają to przeciwko tobie; uznają za słabość. Pomyśl o Gwizjuszu; teraz to nasz pierwszy katolicki pan, a Kościół zabrania...

Jego twarz i głos stwardniały.

— Nie mów mi o Gwizjuszu i Kościele. Skapałem się we łzach z powodu tego pierwszego i we krwi z powodu drugiego. Mam dość udowadniania, że zasługuję na szacunek. Teraz jestem królem i będę królem prawdziwym, nie malowanym. Tron jest tylko mój.

Zabrakło mi oddechu.

— Nie... nie rozumiem.

— Pozwól, że ci wyjaśnię. — Zaprowadził mnie do krzesła. Teczka wysunęła mi się z rąk. Nalał mi wina, wcisnął kielich w rękę i pochylił się po teczkę. Położył ją na stole i ukląkł przede mną, tak że szlafrok uniósł się wirem. Patrzył na mnie z taką czułością, że łzy wezbrały mi w oczach.

— Zrozum, nie jestem Karolem — rzekł łagodnie. — Chcę rządzić sam, *maman*. Teraz jestem królem Francji. Muszę sam podejmować decyzje.

Mało nie zemdlałam, siedząc bez słowa, gdy podniósł moją rękę i na krótko przytulił ją do ust.

— Musisz być bardzo zmęczona — mówił dalej. — Przez ostatnie piętnaście lat walczyłaś, ratując nas wszystkich przed zniszczeniem. Straciłaś męża, dwóch synów i wielu przyjaciół; czas, abyś oddała swój ciężar. Teraz ja rządę. Czy nie tego chciałaś? Czy nie



chciałaś syna zdolnego rządzić państwem, dla którego poświęciłaś tak wiele?

Kiwnęłam głową prawie sparaliżowana. Kielich trzymałam nie-  
tknięty. Moja druga dłoń spoczywała bezwładna w jego dłoni.

— Wiem, dlaczego się boisz — rzeki. — Wiem, że dlatego  
pozwoliłaś Nawarczykowi uciec. Chciałaś, żeby był bezpieczny, gdy-  
byśmy zawiedli. Jako że jest mężem Margot, masz nadzieję, że znów  
przyjmie katolicyzm, gdyby się okazało, że ma odziedziczyć tron.  
— Odsunęłam się gwałtownie. Uspokoił mnie. — Nie zaprzeczaj.  
Nie ganię cię. Kochasz Francję, a dwaj moi bracia umarli bezpo-  
tomnie. Herkules jest kaleką, a teraz wyobrażasz sobie, że zanie-  
dbam swój obowiązek. Nie bój się. Nie dopuszczę do tego, aby  
miłość do Guasta zaćmiła mi zdrowy rozsądek. Więcej, zamie-  
rzam wziąć ślub najszybciej, jak to możliwe, i spłodzić dziecko. Nikt  
nie będzie kwestionował mojej męskości. Bez względu na to, co  
ludzie myślą, jestem mężczyzną. Mam takie same narzędzia jak  
inni.

Znów mnie przejrzał. Zamierzałam zasłonić prawdę intrygami  
i kłamstwami, a w końcu nie ukryłam niczego. Jedyne co udało mi  
się przed nim zachować, to straszliwą zemstę Margot.

— Pomyśl o tym — uśmiechnął się. — Będiesz miała wnuka  
naszej krwi, nie jakiegoś mieszańca z ojca heretyka. Nawet wybra-  
łem sobie żonę; to będzie Ludwika de Vaudemont.

— Ależ to Gwizjuszka! — wykrzyknęłam. — Nie możesz znów  
ściągać nam na kark tej rodziny.

— Żadna tam Gwizjuszka; jest z domu lotaryńskiego, to hra-  
bianka, kuzynka męża Klaudii, mojej własnej siostry. Od dwunaste-  
go roku życia mieszka w Sabaudii. Ledwo zna Gwizjuszy. — Uścisnął  
mi rękę, hamując protesty. — I wie. Spędziliśmy jakiś czas razem  
w Sabaudii i odsłoniłem się przed nią. Powiedziała, że uczynię jej  
zaszczyt, robiąc ją królową Francji, i uczyni co w jej mocy, aby  
udowodnić, że jest tego warta. Musi tylko urodzić syna; a Lotaryń-  
czykom na pewno można przyznać jedno: mnożą się jak króliki.

Już omówił to z tą dziewczyną. Zaplanował jeszcze przed przy-  
jazdem. W głowie mi się kręciło; czułam się tak, jakbym zrobiła  
krok nad przepaścią i... trafiła w nieznanie. Instynktownie zdawałam  
sobie sprawę, że stawiając opór, usiłując odwieść go od powziętych  
zamysłów, tylko stracę jego zaufanie. Podjął pierwszą ważką decy-

zję po objęciu tronu i musiałam ją uszanować bez względu na to, jak było to dla mnie trudne.

Odstawiłam kielich i pochyliłam się. Ujęłam w dłonie jego głowę, wdychając zapach piżma zmieszany z drogą ambrawą, którą wcierał sobie we włosy.

— Czy na pewno jesteś przekonany co do tej dziewczyny?  
— spytałam.

Skinał głowę.

— Zajmiesz się tym, mamó? Uczynisz mi ten zaszczyt i przygotujesz moje małżeństwo? Nie znajduję nikogo innego, kto równie dobrze wypełniłby to zadanie.

Spojrzałam w jego oczy, tak ciemne i wyraziste, tak podobne do moich w czasach młodości, że miałam wrażenie, iż patrzę w zwierciadło.

— Tak — powiedziałam. — Zajmę się tym. Teraz idź odpocząć. Wróć do swojego Guasta.

Pocałował mnie i wstał. Ja również się podniosłam, a gdy sięgnęłam po teczkę, w której były moje zalecenia na radę, powiedział:

— Zostaw. Zajrzę do tego potem.

Uśmiechnęłam się i wyszłam, zmierzając prosto do pokoi Biraga. Pótleżał na kanapce, mycka przykrywała okrytą wątrobianymi plamami czaszkę. Obok stał przenośny pulpit. Jak zawsze Birago był pogrążony w pracy.

Opowiedziałam mu wszystko. Kiedy skończyłam, przez chwilę milczał, po czym rzekł:

— Może to najlepsze rozwiązanie.

Wytrzeszczyłam oczy.

— Chyba nie mówisz poważnie. Chce Gwizjuskę!

— Jak powiedział, formalnie biorąc, jest z domu lotaryńskiego. I trudno ją uznać za jakiekolwiek zagrożenie.

— Tak? A jeśli się myli? Jeśli kardynał weźmie ją pod swoje skrzydła, jak zrobił z Marią Stuart? — Ściszyłam głos. — Ona wie o Henryku; sam mi powiedział. Jeszcze się sprzymierzy z jego emincją i zrobią z niego pośmiewisko. Wolę nie myśleć, jakie zwyczajnie rozpanoszą się na dworze.

— *Madama*, moje zaufanie do jego emincji jest nie większe niż twoje, ale Ludwika de Yaudemont nie wnosi do tego małżeń-

stwa niczego poza brzuchem. A mężczyźni o predylekcjach Henryka nie są niezdolni wykazać się cielesnie wobec kobiety. Gdyby było inaczej, połowa małżeństw na tym świecie byłaby bezdzietna.

Drażyłam go wzrokiem, zastanawiając się, czy nie przeoczyłam podobnej skłonności u niego. Przez wszystkie lata służby nie słyszałam, aby choć raz zachował się nieprzystojnie, i przywykłam uważać go za istotę pozbawioną płci, chociaż oczywiście musiał mieć swoje potrzeby. Myśl, że mogłam nie znać jednego z moich najbliższych współpracowników tak dobrze, jak to sobie wyobrażałam, serdecznie mnie rozbawiła.

— Naprawdę myślisz, że Ludwika zgodzi się ustępować Guastowi miejsce w królewskim łożu?

— Jak najbardziej. Każdy królewski związek jest taki sam niezależnie od predylekcji małżonków i służy temu samemu celowi: spłodzeniu następcy trony. Książę Herkules jest następny w kolejce do tronu, ale wiemy, że nigdy nie będzie mógł rządzić ani płodzić dzieci; po nim mamy Nawarczyka. W innych okolicznościach nie upierałbym się, że Ludwika to idealny wybór, potrzebujemy jednak czasu na ustabilizowanie sytuacji w królestwie. Mamy nowego króla, ogromny deficyt, słabe zbiory i hugenotów przeciekających chyłkiem przez granicę. Nie stać nas na sprzeciwianie się jego wyborowi. Teraz on decyduje.

— Te twoje wyliczanki mogą doprowadzić do szału — burknęłam. — Wiem aż za dobrze, ile musieliśmy wycierpieć. Czy przez lata nie stałam za sterem kraju?

— *Madama*, nikt nie kwestionuje twojego poświęcenia. Wszakże teraz mamy pełnoletniego króla i ciężar władzy spoczywa na nim. — Przerwał. — Lwicy zawsze jest trudno wypuścić lwiątko poza rodzinne leże, lecz w końcu musi to uczynić. A lwiątko musi się nauczyć samodzielności. Królowi trzeba doświadczonych doradców, którzy nim pokierują, i królowej, która zadowolony się tym, co będzie mógł jej dać. Jeśli spróbujesz go stłamsić, może zacząć wierzgać. Wspomnij Karola. Nie stać nas na popełnienie tego samego błędu.

Nachmurzyłam się.

— Doskonale, ustąpię, ale dopiero gdy dowiesz się o niej wszystkiego. I przyjeżdża sama, bez tabunu braci i wujów szukających faworów. Nie życzę sobie najazdu całego klanu lotaryńskich Gwizjuszy. Zrozumiano?

— Jak najbardziej. Co z kardynałem? Spodziewa się za to miejsca w radzie.

— Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie. Jak ją sprowadzi, wróci do diecezji i będzie się opiekował swoją trzódką. Nie życzę sobie mieć go pod bokiem. Jedyne Gwizjusz, któremu ufam, to martwy Gwizjusz.

Sześć dni potem kardynał sam się objawił. Przyszedł się pożegnać.

Jadłam obiad w moich pokojach, kiedy poczułam chłód. Podniosłam oczy i zobaczyłam go stojącego pod ścianą, przezroczystą postać na tle gobelinu, kołyszącą się niczym czerwony płomień. Uniósł dłoń, a na twarzy wyrósł mu sardoniczny uśmiech. Zamrugłam i zniknął.

Lukrecja zadygotała i podeszła do draperii przy oknie.

— Czuję przeciąg.

— To nie przeciąg — powiedziałam. — Kardynał umarł.

Służące znieruchomiały. Ja jadłam dalej.

Następnego dnia przyszła wiadomość, że jego eminencja dostał gorączki podczas podróży do Sabaudii i musiał się położyć. Dokładnie o tej godzinie, o której go widziałam, umarł. Miał czterdzieści dziewięć lat.

Nie opłakiwałam jego odejścia; nie jestem aż taką hipokrytką. Ale myślę z przyjemnością, że w końcu uznał moje zwycięstwo, skoro złożył mi tę wizytę.

## R O Z D Z I A Ł 34

W lutym mieliśmy koronację mojego syna; dwa dni później poślubi! Ludwikę de Vaudemont.

Śledztwo Biraga potwierdziło jej godną podziwu cnotliwość. Nawet Klaudia, która niedawno urodziła drugą córeczkę i z racji niegroźnej gorączki nie mogła brać udziału w weselu, zaakceptowała Ludwikę. Nasza dziewiętnastoletnia panna młoda do tej pory wiodła życie pod kloszem, do śmierci ojca dotrzymując mu towarzystwa, a potem przebywając na sabaudzkim dworze mojej szwagierki Małgorzaty.

Nie miałam jej nic do zarzucenia poza tym, że była związana z Gwizjuszami. Jednakże gdy szła do ołtarza, delikatna dziewczyna w lawendowej sukni, zadałam sobie pytanie, jak zdoła utrzymać zainteresowanie mojego syna. Na razie Henryk wydawał się autentycznie zachwycony. Zerwał różę z girlandy i wetknął jej we włosy. Zarumieniła się; uniosła piwne oczy, patrząc na niego z uwielbieniem, a on obdarzył ją pocałunkiem i dwór zgotował im gorący aplauz.

Siedzący naprzeciwko Birago zetknął się ze mną wzrokiem i puścił do mnie oko.

Po weselu Henryk i ja poświęciliśmy lato na wybór członków rady, podczas gdy Birago sterował królem, unikając jakichkolwiek połajanek i czyniąc to tak usłużnie, że mój syn nie zdawał sobie sprawy, iż tak naprawdę jest wiedziony za rękę. Wbrew moim pierwotnym obawom Guast pozostał w cieniu, nawet gdy otrzymał tytuł i świetną garderobę, Ludwika tymczasem zdobywała pochwały za godną powściągliwość. Birago raportował, że mój syn odwiedza ją co najmniej dwa razy w tygodniu.

Pod koniec lipca przyszła wiadomość, że Klaudia słabuje na zdrowiu. Miała dopiero dwadzieścia siedem lat, ale trudy połogu i walka z gorączką odcisnęły się na niej. Natychmiast postanowiłam ją odwiedzić. W ostatniej chwili, gdy wraz z Lukrecją wsiadałyśmy do powozu, pojawiła się Margot z sakwą podróżną w ręce.

— Moją siostra jest chora — powiedziała. — Chcę ją zobaczyć.

Powstrzymałam się od cierpkiej uwagi, że nigdy wcześniej nie dbała o Klaudię. Moja druga córka wiodła tak ciche życie, dalekie od naszych burz, że czasem zupełnie o niej zapominaliśmy.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, odpoczywała; nie chcąc jej przeszkadzać, poprosiłam zięcia o pokazanie naszych pokoi. Podczas gdy siedziałam na wygodnym krześle, oparłszy zbolałe nogi na taboreciku, a Lukrecja rozpakowywała kufry, przyprowadził Kristinę i Karola, najstarszą dwójkę Klaudii.

Czteroletnia Kristina była repliką małej Klaudii, miała takie same pulchne ciało i piwne sarnie oczy. Jej brat wdał się w ojca, szczupły z młodzieńczym trądzikiem na myślącej twarzy. Zdawałam sobie sprawę, że mogą być onieśmieleni legendarną babką, o której niewątpliwie wiele słyszeli, lecz wtem Kristina zarzuciła mi na szyję ramionka jak wałeczki i wykrzyknęła:

— Babciu, jaka ty jesteś stareńka!

Nie mogła mnie pamiętać. Chociaż każdego roku posyłałam wnukom prezenty i pieniądze, zawsze pamiętając o urodzinach czy Bożym Narodzeniu, nigdy ich nie widziałam, gdyż nawet jeśli Klaudia pojawiała się na dworze, a czyniła to z rzadka, dzieci były trzymane z tyłu. Teraz niewinne słowa Kristiny wycisnęły mi łzy z oczu. Karol odchrząknął i rzekł:

— Witaj, pani babko.

Uśmiechnęłam się do niego.

— Moje dziecko, ale wyrosłeś. Prawie mężczyzna z ciebie. Chodźcie, mam dla was prezenty. — Moja wnuczka uśmiechnęła się zachwycona. — Lukrecjo, pokaż Kristinie nową sukienkę. Wydaje mi się, że będzie idealnie pasowała do jej oczu i włosów.

Podczas gdy Kristina piszczała, zachwycona różową aksamitną suknią, którą służące uszyły z mojej dworskiej kreacji, Anna Maria przyniosła oprawioną w jasnobrązową skórę książkę, którą zamówiłam we Włoszech specjalnie dla Karola. Na okładce kazałam umieścić jego imię otoczone złotymi liśćmi.

Podałam mu ją.

— To *Księżę Machiavellego* — powiedziałam. — Moja ulubiona książka. Sądzę, że jesteś już w tym wieku, że możesz docenić jej mądrość.

Wziął książkę i gładził ją niczym otrzymany w darze klejnot.

— Dziękuję — wyszeptał. Oczy błyszczały mu jak jego imiennikowi, mojemu świętej pamięci synowi, gdy dostawał nowego sokoła albo szczeniaka, który zapowiadał się na dobrego posokowca. Tyle że ten Karol wyraźnie miał upodobania naukowe; uwielbienie, z jakim wycofał się do okna i otworzył książkę, świadczyło, że nigdy nie zazna podobnej przyjemności, igrając łukiem czy mieczem.

Rozsiadłam się wygodnie i zamknęłam oczy, rozkoszując się zwykłą przyjemnością, jaką dawała mi obecność wnuków.

Wieczorem poszłam do Klaudii. Wystarczyło mi raz spojrzeć na jej wychudłą postać, łagodny uśmiech i serce osunęło mi się w piersiach. Ale jakby nigdy nic gderałam, krzątając się wokół niej, wydobylałam nowy kociołek, zioła i zaczęłam szykować rabarbarową miksturę, podczas gdy Lukrecja poganiała służące.

Przez dwa miesiące dzień w dzień po wstaniu z łóżka myłam córkę i siadywałam obok niej przy wychodzącym na ogród oknie. Czasem czytałam jej na głos. Kiedyś, gdy siedziałyśmy, patrząc na kwiaty i krzewy, uśmiechnęła się, słysząc młodszą córkę, która zaśmiewała się wraz z Margot.

— Moja siostra jest tak pełna życia, jakby sama była dzieckiem — powiedziała. — Byłaby z niej dobra matka. Musisz doprowadzić do połączenia jej z mężem. Powinna mieć własne dziecko.

Uśmiechnęłam się, mrugając i powstrzymując się od łez na myśl o tym, jaka jest spostrzegawcza i jak słabo ją znaleźliśmy.

Pewnego sierpniowego popołudnia otrząsnęłam się z drzemki, czując na sobie jej spojrzenie. Nigdy nie była piękna, ale teraz nabyła nieuchwytnego wdzięku. Duże szare oczy wyróżniały się w delikatnej twarzy.

— Jestem zmęczona, *maman* — powiedziała spokojnym głosem.

Ścisnęło mnie w gardle. Niebawem miałam stracić córkę, na którą do tej pory zwracałam najmniej uwagi i której stoickie poświęcenie dla dobra rodziny sprawiło, że nie musiała cierpieć ekscesów naszej rodziny. Poniewczasie dostrzegłam, że była najma-

drzejsza z nas wszystkich. Umiała uniknąć bólu i szaleństwa, które przeniknęły nasze życie.

Zaczęłam się podnosić, chcąc pomóc jej przejść do łóżka. Potrząsnęła głową.

— Nie, chcę zostać przy oknie. Poproś innych.

Przyszli jedno po drugim; pogrążony w żalu mąż, który kochał ją, jak niewielu mężczyzn kocha żony; ulubione sługi, oddana mamka, która opiekowała się najmłodszą córeczką, Antoniną, i Karol, któremu trząsał się podbródek. Kristina bawiła się z Anną Marią. Nie chciałam, by oglądała matkę w takim stanie, to byłoby zbyt bolesne dla dziecka.

Stałam, ściskając za rękę Lukrecję, gdy weszła Margot. Przypomniały mi się czasy, gdy ona i Klaudia były małymi dziewczynkami, jedna śmiała, zawsze spragniona pochwał, druga flegmatyczna i pospolita, zadowolająca się życiem z boku.

— Nigdy nie byłam ci siostrą — powiedziała Margot, klękając przed Klaudią. — Proszę, wybac mi.

— Nie ma nic do wybaczenia. — Klaudia położyła dłoń na policzku Margot. — Musisz być dobra dla matki. Szanuj ją i wspieraj, bo teraz ty jesteś jej jedyną córką. Obiecuj mi.

— Obiecuję. — Margot się odwróciła. Spojrzała mi w oczy i przez krótką chwilę przepaść między nami zniknęła.

Czekaliśmy razem. Przed zmierzchem Klaudia ucałowała męża i zamknęła oczy.

Po pogrzebie wymogłam na zięciu, aby zabrał dzieci do dziadków, w poblizkiej siedziby Gwizjuszy. Wraz ze służbą, Lukrecją i Margot spakowałam rzeczy Klaudii i przekazałam je w darze klasztorowi pod wezwaniem świętej Klary, której wspierała.

W wieczór przed wyjazdem stałam w swoim pokoju, doglądając pakowania kufrów, gdy odezwał się mój dar. Znieruchomiałam, wyciągając przed siebie ręce, ściany wokół mnie się rozplynęły.

*Stoję w oświetlonym pochodniami korytarzu, na zewnątrz wielkiej sali; słyszę brzęk lutni i dudnienie bębnów zmieszane z głośnym śmiechem i chociaż tego nie widzę, wiem, że dwór się bawi. Rozglądam się wkoło. Dlaczego tu jestem? Nagle widzę sześciu mężczyzn. Zmierzają*



ku mnie. Każdy w masce i płaszczu z kapturem. Pierwszy jest rozrośnięty w barach. Nie rozpoznaję go. Za nim Herkules, płaszcz wydyma się na garbie. Mijają mnie; oczy Herkulesowi błyszczą, gdy spogląda na przywódcę, rumieniec podniecenia gorzeje na dziobatej twarzy. Wyciągam ręce, aby go złapać, ale przechodzę przez niego, jakby był dymną sylwetką.

Wchodzą do tłumnej sali. Na tronowym podwyższeniu rozwala się Henryk ubrany w świetny czerwono-złoty kaftan. Uśmiecha się, patrząc na kogoś; idę za jego wzrokiem i widzę Guasta. Jest na środku sali, ma opaskę na oczach, a swawolne niewiasty śmieją się, bawiąc się z nim w ciuciubabkę. Guast wyciąga ręce, usiłując którąś złapać. Wszyscy się bawią, więc nikt nie widzi przybyłych ani tego, że przywódca wypycha Herkulesa na środek. Mój syn zdziera z twarzy Guasta przepaskę. Kurtyzany się cofają, śmiechy milkną. Guast jest zaskoczony.

— Czas umrzeć — powiada mój syn i gdy rozwieram usta, aby krzyknąć na alarm, a kurtyzany podnoszą wrzask, Herkules dobywa spod płaszcza sztylet. Guast gwałtownie podnosi ręce. Światło odbija się na ostrzu, zanim Herkules je wbije w brzuch Guasta.

Zapada cisza. Herkules stoi i tylko dyszy, czarne włosy sterczą mu jak nastroszone pióra. Guast patrzy z niewiarą na sterczącą mu z bebeczków rękojeść sztyletu. Czarna krew bucha z rany. Guast się zwija i pada na podłogę.

Krzyk Henryka rozdziera powietrze; gdy mój syn zataczając się, zbiega z podium, przywódca i pozostali odciągają Herkulesa. Dworzanie uciekają w panice. Zostaje tylko Henryk. Samotny.

Pada na kolana obok Guasta, nie zważając na krew, która grubym kożuchem zalewa podłogę...

Pokój w pałacu mojej nieżyjącej córki wirował. Klęczałam, wyciągając przed siebie stulone dłonie. Lukrecja pochylała się nade mną blada, wystraszona.

— Pani, co się dzieje?

— Boże, dopomóż — szepnęłam. — Herkules zabił Guasta.

Dotarliśmy do Luwru o północy, po dwóch dniach jazdy na złamanie karku. Na dziedzińcu pochodnie paliły się z trzaskiem, na próżno usiłując rozpędzić gęstą stojącą mgłę. Kiedy wysiada-

łyśmy z powozu i służba przybiegła po bagaże, kazałam Margot iść prosto do jej pokoi. Weszłam do głównej części pałacu.

Wyglądał na opuszczony. Kiedy szłam niewyraźnie oświetlonymi korytarzami, nie dostrzegłam żadnego dworzanina, nie usłyszałam niczyjego głosu. Powietrze było zimne, zastygłe; prowadzona światłem wiszących na ścianach pochodni i widokiem milczących gwardzistów stojących wzdłuż galerii, udałam się do królewskich apartamentów, gdzie ku swej uldze zastałam czekającego Biraga.

— Jestem tu, od kiedy się to stało — powiedział. Twarz miał zmęczoną, woskową. — Zamknął się w sypialni i nikogo nie wpuszcza.

— A Herkules...? — szepnęłam.

— Uciekł. Wysłałem ludzi na poszukiwania, ale do tej pory nikt go nie znalazł.

— Szukajcie dalej. Nie mógł uciec zbyt daleko. — Szczelniej otuliłam się płaszczem. — Dopilnuj, żeby rozpalono ogień w kominkach i przyniesiono ciepłe jedzenie. — Machnęłam ręką. — Idź. Zajmę się tym.

— *Madama*, lepiej, żebyś wiedziała — powiedział. — Król... jest z trupem.

Kiwnęłam głową, opanowując dreszcz, podeszłam do drzwi sypialni i zapukałam, mając przed oczami śpiącego Guasta, gdy byłam tu poprzedni raz.

Nie usłyszałam odpowiedzi. Zapukałam znowu, tym razem głośniej. Rozległo się echo, jakby cały pałac opustoszał.

— Henryku — powiedziałam. — To ja. Jestem tu. Otwórz drzwi, synu.

Wydało mi się, że słyszę kroki, a potem metaliczny brzęk, jakby odtracono coś na bok. Kiedy Henryk się odezwał, miał głos pozbawiony emocji.

— Odejdź.

— Nie. Henryku, proszę. Wpuść mnie. Chcę... go zobaczyć.

Zapadła długa cisza. Już się szykowałam, że będę musiała rozkazać wyważyć drzwi, jednak rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Wzięłam lichtarzyk z płonąca świeczką i pchnęłam drzwi.

Mimo zimna fetor dławił oddech w gardle. Na przyściennym stoliku stał kandelabr z wygaszonymi świecami. Zapaliłam je od mojego ogarka. Światło przegnało cienie. Henryk siedział na kra-

wędzi łożka, skołtunione włosy opadały mu na twarz. Nosił lśniący czerwono-złoty kaftan, który ujrzałam podczas wizji, tyle że rękawy były rozpięte, a mankiety koszuli brudne, zakrwawione.

Na łożu leżał wzdęty trup Guasta.

Serce mi pękało.

— Nie... nie pożegnał się — rzekł pełnym zdumienia głosem Henryk. — Mówiłem mu, że nie może odejść bez pożegnania...

— Uniósł głowę; z trudem mogłam wytrzymać spojrzenie jego udręczonych oczu. — Dlaczego, mamó? Jak mogli to zrobić?

— Nie wiem — wyszeptałam i podeszłam do niego. — Synu, musisz się z nim pożegnać. Usłyszysz cię, nawet jeśli nie może odpowiedzieć. Wtedy będziemy mogli go pochować jak...

Jęknął, zakrywając dłońmi twarz.

— Nie mogę! Nie mogę go skazać na ciemność. On nie cierpi ciemności. Zawsze... zawsze chciał, żeby w nocy przy łożku paliła się świeca.

— Będzie miał świeczkę — zapewniłam go ze spokojem, chociaż serce krajało mi się na myśl o tym, jak wielką przeżywa rozpacz, jak cierpi wskutek straty, która na zawsze pozostanie w jego pamięci. — Chodź ze mną. — Wzięłam go za rękę. Palce miał bezwładne, lodowate, pokryte zaschniętą krwią. Wyobraziłam sobie, jak niósł Guasta po schodach, przez galerię, do tego pokoju...

Zacisnął rękę.

— Chcę, żeby ujęto ich wszystkich i osadzono w Bastylii. Herkulesa, te potwory... wszystkich, którzy maczali w tym palce. A przede wszystkim chcę dopaść Nawarczyka.

Zastygłam, patrząc w jego rozszerzone oczy.

— Skąd... skąd wiesz, że to on?

Wstał, podszedł do komody i wyjął z niej jakiś przedmiot. Podał mi go: sztylet, którym zabito Guasta. Na ostrzu były ślady krwi. Widząc na rękojeści symbol Nawarry, srebrny łańcuch, nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

— To jego godło — powiedział Henryk. Jego głos przybrał lodowaty ton. — Posłużył się naszą małpką, ale on jest odpowiedzialny. On to zrobił. Zabił mojego Guasta. Chcę zemsty.

Bez słowa sięgnęłam po sztylet; zaciążył mi w dłoni. Za plecami usłyszałam dyskretne kaszlnięcie. Odwróciłam się zaskoczona. To był Birago. Trzymał tacę zakrytą serwetą. Poczuliśmy zapach po-

traw i łyzy pojawiły się w oczach Henryka. Trzymając się mnie, dał się wyprowadzić z cuchnącej komnaty, jakbym była ostatnią istotą na tym łożu padole, która mogła udzielić mu jakiegoś wsparcia.

Po wielu godzinach, gdy świt pojawił się na zastygłym zimowym niebie, wróciłam na swoje pokoje. Henryk, napojony miksturą z rabarbaru i maku, którą podał mu Pare, położył się do łóżka, daleko od sypialni, podczas gdy Birago zajął się wyniesieniem trupa i sprzątnięciem królewskich apartamentów.

Lukrecja i Anna Maria czekały na mnie. Podobnie Margot; siedziała na podnóżku, pieszcząc stareńką Muette. Kiedy powoli weszłam, tak zmęczona, że słańiałam się na nogach, Margot położyła suczkę na jej poduszce.

— Herkules jest w Chambord — powiedziała. — Rozpuściłam wieści tu i tam, że chcę z nim mówić. Wystarczyło kilka łąpówek.

Przyjrzałam się jej. Dostałam srogą nauczkę, że Margot nigdy nie działa bez powodu. Czemu teraz tak otwarcie mnie informuje?

— Chambord to zameczek myśliwski — rzekłam. — O tej porze roku stoi pusty. Czemu miałyby tam jechać?

— Bo nie jest sam. Są z nim inni. Mogą się tam pomieścić.

— Inni? Dokładnie ilu?

— Podobno zwołał armię i zamierza jej użyć przeciwko Henrykowi. — Chociaż nadrabiała miną, po raz pierwszy od czasu jej straszliwej zemsty usłyszałam w jej głosie drżenie. — Herkules to dureń. Nie wie, co robi. Nie chcę, żeby spotkała go... zbyt wielka kara. W tej rodzinie wylano już dość krwi.

— Tak? — Spojrzałam jej w oczy. — W takim razie jutro jedziemy do Chambord. I sugeruję, że jeśli naprawdę zależy ci na Herkulesie, przemów mu do rozsądku, zanim będzie za późno.

W eskorcie straży udaliśmy się do doliny Loary. Długo przepytawałam Margot i nie wyczułam w niej żadnej ukrytej motywacji, żadnej przyczyny działania poza autentycznym pragnieniem uratowania Herkulesa przed gniewem Henryka. Zastanawiałam się, czy nasz wspólny smutek po śmierci Klaudii otworzył jej oczy na fakt, że ma tylko rodzinę, że bez nas doprawdy będzie samotna. Nie potrafiłam pojąć istoty związku łączącego ją z Herkulesem. Wiedziałam tyle, że zrodził się po masakrze. Jednak świadczył, iż nie jest tak pozbawiona serca, jak się wydawało. Herkules cierpiał od dzieciństwa, oszepecony przez ospę, wyśmiewany na dworze, a obecnie podniesiony do godności, do której pełnienia się nie nadawał. Przypominając sobie słowa, które wymknęły się Margot po powrocie Henryka do Francji, zastanawiałam się, czy nie widzi w młodszym bracie jakiejś cząstki siebie, gdyż w pewnym sensie ona też żyła poza nawiasem, zamężna, ale bez męża, bezdzielna i bezsilna w świecie, w którym nie mogła już odgrywać roli uwielbianej muzy.

Tak czy siak potrzebowałam jej. Jeśli był ktoś zdolny przemówić mu do rozsądku, to tylko ona. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy powóz dojechał do terenów polowań Franciszka I i zobaczyłam morze namiotów, a także setki żołnierzy, kręcących się pod murami zameczku.

Powóz nagle się zatrzymał. Margot i ja wysiadliśmy przed szczerzącym się obleśnie żołdactwem. Wcześniej nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że Herkules jest w stanie zgromadzić tak liczne zastępy; było ich tyle, że śmiało mogłyby oblegać duże miasto. Czułam cuchnące ciała, widziałam wytrzeszczone, pożądliwe oczy. Wyrzutki spo-

łeczeństwa zaludniające boczne zaułki, chętne do każdej zbrodni, byle za odpowiednią cenę — taka była armia mojego syna, złodziejska banda zubożałych zagranicznych najemników, złodziejasków, morderców i zwykłych bandytów. Herkules nie miał w kalecie choćby na połowę żołądu dla tej godnej pogardy hołoty.

To zabiło mi ćwieka. Ktoś jednak musiał jej płacić. Nawarczyk? Od kiedy zobaczyłam sztylet, który zabił Guasta, nabrałam podejrzeń. Henryk Nawarski nigdy nie robił na mnie wrażenie lekkomyślnego człowieka. I tamci zakapturzeni mężczyźni, a teraz ta banda złodziei... to wszystko zainscenizowano, jakby ktoś chciał celowo mnie pchnąć na fałszywy trop.

Porozbijane beczki i dzbany, odpadki i kości leżały na podłogowych mozaikach zameczku; ogniska osmężyły ściany, nasze cenne dywany zerwano i użyto jako posłań. Wygłodniałe psy węszyły między szczątkami.

Margot wskazała ręką. Odwróciłam się. Szedł ku nam Herkules, w ogromnej sklepionej sali Chambord jeszcze bardziej karzełkowaty niż zwykle. Po części oczekiwałam, iż zacznie się jękać, że nie zrobił niczego celowo, że został zmuszony, ale zachował uparte milczenie. W końcu rzekłam zimno:

— Twój brat jest na ciebie wściekły. Ja też. Co cię opętało?

Zaczerwienił się. Staliśmy niemal nos w nos. Napinając ramiona, wydukał, jakby nauczył się tego na pamięć:

— Jak będziesz mi grozić, poprowadzę moją armię na Paryż.

Roześmiałam mu się w twarz.

— Ani mi się waź! Rozpuścisz tę swoją armię i przyczołgasz się na kolanach, błagając o przebaczenie.

Patrzył na mnie z nienawiścią w oczach.

Margot nas rozdzieliła.

— Herkulesie, posłuchaj, nie możesz poprowadzić armii przeciwko Henrykowi, to byłaby zdrada stanu.

Poruszył bezdźwięcznie ustami. W końcu się odezwał, mówiąc jednym tchem. Sprawilo to takie wrażenie, jakby się bał, że jeśli przerwie, nigdy więcej nie wydobędzie z siebie dźwięku.

— Rozpuszczę swoich żołnierzy, kiedy otrzymam uznanie, na jakie zasługuję.

Od razu wiedziałam, że to nie jego słowa; nie miał na tyle odwagi. Ktoś nim kierował; ktoś, komu chodziło o coś więcej niż zamor-

dowanie królewskiego faworyta. Nikt nie wydałby tyle pieniędzy, nie poświęciłby tyle czasu, by wykorzystać słabość Herkulesa, nie mając ukrytego motywu.

— Jak śmiesz mi dyktować, co mam robić? — spytałam ściszo-  
nym głosem.

Żułam dolną wargę, zerkając na Margot. Miałam tego dość. Złapa-  
łam go za ramię, zawlokłam do najbliższego wykusza i posadziłam,  
stając nad nim.

— Gdzie twój mocodawca, hę? Wydaje ci się, że w ogóle go  
obchodzisz? Wykorzysta cię do swoich celów i jak będzie po wszyst-  
kim, poświęci cię, nawet się nie zastanawiając. Kto to jest? — Zbli-  
żyłam do niego twarz. — Mów mi zaraz. Kto to jest? Dlaczego to  
robi?

Skulił się, oczy wylazły mu orbit. Margot przyskoczyła do nas.

— Przestań! Nie widzisz, że jest śmiertelnie przestraszony?

— To dobrze — odrzekłam groźnie. — Powinien być przestra-  
szony. Nie ma pojęcia, co mogę mu zrobić.

— Daj mu spokój! — Głos jej się łamał. — To nie jego wina.  
Nie...

— To Gwizjusz — wyszeptał Herkules. Powoli odwróciłam się  
do niego. — Gwizjusz kazał mi zabić przyjaciela Henryka.

Poczułam w żyłach lód. Margot zaczęła uciszać Herkulesa. Prze-  
rwałam jej gestem. Spiorunowała mnie wzrokiem, ale Herkules  
mówił dalej, rozpaczliwie pragnąc się wyzbyć ciężaru winy:

— Gwizjusz przyszedł do mnie. Powiedział, że Henryk grzeszy  
przeciwko Bogu i naturze. Powiedział, że Francja nigdy nie zniesie  
króla katamity albo heretyka, który miałby go zastąpić. Powiedział,  
że zostanę nagrodzony. Nawet... nawet dał mi sztylet.

Łzy spłynęły mu z oczu. Chociaż widziałam, że usiłuje się od  
tego powstrzymać, odwrócił wzrok do Margot, która skamie-  
niała.

Spojrzałam na nią.

— Wiedziałaś o tym?

Drgnęła.

— Oczywiście, że nie. Byłam z tobą, przy łożu śmierci siostry.  
Zamierzasz oskarżyć mnie o podjudzanie do tego czynu, gdy nawet  
nie byłam wtedy w Paryżu?

Wytrzymałam jej wzrok.

— Henryk chce wsadzić Herkulesa do Bastylii. Jeśli wiedziałaś cokolwiek o tamtym morderstwie i ukrywałaś to przede mną, zapewniam cię, że trafisz tam wraz z nim.

— Nie! — Herkules zerwał się z ławki i rzucił do moich stóp. Obejmował mnie za nogi i łkał. W głębi serca był tylko oszukany dzieckiem.

— Powiedziałam ci, że nie wiem o niczym — powtórzyła łamiącym się głosem Margot.

Podniosłam syna. Otarłam rękawem jego zapłakaną twarz.

— Nie maź się. Obiecuję, że nic złego cię nie spotka, tylko powiedz, co Gwizjusz ci obiecał.

Wytrzeszczył oczy.

— Przyrzekasz, że nie pozwolisz Henrykowi zamknąć mnie w Bastylii?

— Przyrzekam. A teraz mów, co powiedział Gwizjusz?

— Po-powiedział, że Henryk jest przeklęty i nigdy nie będzie miał syna. Powiedział, że jestem jedynym następcą, bo... — urwał i spuścił wzrok.

Ujęłam go za podbródek.

— Bo co? Co jeszcze powiedział?

— O Nawarczyku. Nawarczyku i jego heretykach. Gwizjusz powiada, że muszą zginąć. Wtedy będę mógł zostać królem.

Przeszył mnie lęk. Od nocy świętego Bartłomieja wiedziałam, że pewnego dnia będę musiała się uporać z Gwizjuszem, ale nie spodziewałam się, że runie na nas jak jego ojciec, celowo wywołując chaos, aby pogrążyć nas w wojnie z Nawarczykiem. Nie było żadnych wątpliwości: zamierzał wplątać Henryka Nawarskiego w zabójstwo Guasta, aby zasiać podejrzania i wątpliwości.

— Dziękuję ci, mój synu. — Zmusiłam się do pocałowania jego grubych warg. — Pamiętaj, Gwizjusz nie jest twoim przyjacielem. Nie jest niczym przyjacielem. Nigdy więcej nie możesz się z nim spotkać.

Herkules kiwał głową, patrząc na Margot, żaloszny i bezradny. Ona z kolei patrzyła na mnie.

— Co zrobisz? — zapytała i znów usłyszałam w jej głosie drżenie niepewności.

— Sama zajmę się Gwizjuszem — odparłam. I to nie były puste słowa.



Rozpuściłam hołotę spod Chambord (opróżniając do dna prywatny mieszek), po czym wróciłam z Herkulesem i Margot do Paryża. Kiedy wjechaliśmy do miasta, w którym zapowiedź śniegu wisiała nad lasem wieżyczek kościołów, a mróz ściął uliczne błoto, ułożyłam do końca swój plan.

Henryk spotkał się ze mną w Luwrze. Nie podobał mi się jego wygląd; nadal miał ściągniętą twarz i nosił czerń. Zgolił bródkę i wpadnięte policzki podkreślały nieustępliwy żar jego spojrzenia. Dobrze, że przynajmniej był na nogach. Birago powiedział mi, że chyba przewyciężył najgorszy smutek i nawet zaczął odwiedzać Ludwikę, chociaż gdy spojrzałam na nią, siedzącą na taborecie w kącie, daleką jak cień, zastanowiłam się, jaki był przebieg tych odwiedzin.

Mój najmłodszy syn padł na kolana przed zimnym jak skała Henrykiem i wyznał mu wszystko. Kiedy skończył, Henryk bez słowa wyciągnął ręką, każąc mu wyjść. Dopiero wtedy popatrzył na mnie. Z ulgą usłyszałam w jego głosie płomień dawnej arogancji.

— A więc mój brat idiota dał się zwieść Gwizjuszowi, a ten doprowadził do zamordowania Guasta, ponieważ wyobraża sobie, że nie jestem zdolny do rządzenia ani do spółdzenia syna.

— Jest coś więcej — rzekłam, patrząc mu w oczy. — Gwizjusz chce, byś zawiódł na całej linii. Użył sztyletu z herbem Nawarczyka, aby nas zmylić, skierować przeciwko niemu i pchnąć do wojny. — Przerwałam i ciągnęłam, starannie dobierając słowa: — Myślę, że powinniśmy podpisać traktat z Nawarczykiem. Potrzebuje ochrony przed Hiszpanią i możemy mu ją zapewnić. Będzie skłonny do współpracy.

Żyła na czole Henryka zapulsowała. Poderwał się na równe nogi, gestem przegonił Ludwikę. Pośpiesznie wyszła z pokoju. Podszedł do biurka.

— Traktat z Nawarczykiem — powtórzył. Roześmiał się ponuro i odwrócił do mnie. — Wiem, dlaczego Gwizjusz mnie nienawidzi. Może po prostu winienem ściąć temu pyszałkowi głowę, zamiast szukać zgody z Nawarczykiem.

— Nie, to ostatnia rzecz, którą powinienes zrobić. Jeśli zabijemy naszego pierwszego katolickiego pana, cała arystokracja i szlachta rzuci się przeciwko nam. Nie będziemy mieli żadnego dowodu oprócz

słów Herkulesa; Gwizjusz się o to postarał. Zapomniał jednak, że już raz przez to przechodziłam; wiem, że marzy mu się wojna religijna, tak jak wcześniej jego ojcu. Wykorzystał Herkulesa jako zasłonę dymną. Jeśli zawrzemy sojusz z Nawarczykiem, dobrze się zastanowi nad następnym krokiem. Nawarczyk w razie potrzeby może wezwać pod broń tysiące hugenotów.

Henryk zmrużył powieki.

— I myślisz, że Nawarczyk przyjmie cię po tym, co mu zgotowałam?

— Powiem, że przywiozę mu Margot. Zrozumie mój cel; przecież po Herkulesie jest dziedzicem tronu. Podobnie jak my nie życzy powodzenia Gwizjuszowi. — Zniżyłam głos. — A kiedy wyjadę, musisz się postarać, żeby Ludwika osiągnęła stan błogosławiony.

Zawahał się i prawie niedostrzegalnie skrzywił z obrzydzeniem. Nie naciskałam go. Znow pomyślałam o myszowatej królowej, którą odesłał z pokoju, i przypomniał mi się Guast w jego łożu, silny i nagi. Nie chciałam tego przyznać, lecz w głębi duszy już wyczuwałam najgorsze i zdałam sobie sprawę, że muszę się na to przygotować. Tymczasem jednak musiałam wspierać iluzoryczną fasadę, którą Henryk wznosił wokół swego małżeństwa.

Krótko skinął głową.

— Świetnie. Ale nie obiecuj niczego, czego potem mógłbym żałować.

— Oczywiście. — Przysunęłam się do niego. Przyjął w milczeniu mój pocałunek.

W przedpokoju zastałam Ludwikę. Trzymała różaniec. Zmierzyłam ją wzrokiem.

— Powinnaś polegać mniej na modlitwach, a więcej na innych zajęciach, pani. Czy wyrażam się jasno?

Nieśmiało skinęła głową, dygnęła i zniknęła w pokoju Henryka.

Przygotowałam się do podróży; mogła potrwać kilka miesięcy, powiadomiłam więc również Margot. Chyba przyjęła to z ulgą.

Henryk udał się z Ludwiką do Vincennes, pozostawiając mi zamknięcie Luvru na zimę. Stojąc w moich pokojach między spakowanymi kuframi, posłałam służące po posiłek, który przywróciłby nam siły po ciężkim, pracowitym przedpołudniu. Osamotniona powlokłam się do sypialni po Mulette. Moje osobiste rzeczy już spoczywały w skrzyniach z drewna sandałowego. Psina spała na swojej poduszce na krześle. Ślepa i głucha nie miała mi towarzyszyć, planowałam zostawić ją z Anną Marią. Chciałam ją jeszcze trochę popieścić; lecz gdy podeszłam do zwiniętej w kłębek suczki, zdałam sobie sprawę, że jest zupełnie nieruchoma.

Zastygłam w miejscu. Kiedy w końcu pogładziłam białe futerko, nadal równie sprężyste i gęste jak wtedy, gdy była szczeniciem, poczułam, że stygnie. Umarła przed chwilą.

Mój świat się zawalił. Była ostatnią żywą pamiątką po Elżbiecie, jej jedynym podarkiem dla mnie. Gdy stałam nad tym stworzonkiem, ujrzałam wszystkich, których kochałam i straciłam. Poczulałam, że ciężar moich licznych usiłowań miażdży mnie, i z piersi wydarł mi się okrzyk — świadectwo samotności.

Wbiegły Lukrecja i Anna Maria.

— Nie — powiedziałam, gdy zatrzymały się przy mnie. — Nie moja Mulette... — Lukrecja objęła mnie. Anna Maria zaczęła płakać. Słyszając jej rozpacz, wyciągnęłam ku niej ręce i łkałyśmy jak dzieci, tuląc się jedna do drugiej.

Po południu okryłam Mulette szalem i zanosłam do Tuleries, gdzie ogrodnicy z trudem wykopali dziurę w zmarzniętym gruncie. Ręce mi się trzęsły, gdy trzymałam ciało psinki; nie potrafiłam się z nią rozstać, tak że Lukrecja musiała mi ją wydrzeć. Odwróciłam oczy do ołowianego nieba. Wiatr ciął mi twarz, zgrzytały łopaty przerzucające ziemię.

— Do widzenia, moja Mulette — powiedziałam i marznące łyzy pociekły mi po zlodowaciałych pobrużdżonych policzkach.

Skończyłam sześćdziesiąt trzy lata. Całe życie miałam do czynienia ze śmiercią, pochowałam męża, czworo dzieci, zabiłam kochankę i niezliczonych wrogów; ale strata tego skromnego stworzenia kompletnie mnie załamała.

Gdyby tamtego dnia przyszła po mnie śmierć, przywitałabym ją z radością.

Trzy tygodnie zajęło nam przebycie Francji; kiedy w końcu dotarliśmy na zaśnieżony dziedziniec zamku w Nerac, Henryk Nawarski nas oczekiwał.

Nie wyjechał, aby być świadkiem uroczystości, które jego poddani przyszykowali na nasze przybycie, nie widział zachwyty na ich twarzach, gdy ujrzeli Margot na stępaku, wystrojona w wyszywaną złotem szkarłatną suknię i podbity gronostajami płaszcz. Ale wiedziałam, że docenił zamieszanie, jakie wzbudziła, i przywitał nas swoim sardonicznym uśmiechem, ubrany w zwykły czarny wełniany kaftan i sięgające kolan pludry. Pozostał nabity, silny; miedzianej barwy włosy wyglądały jak wronie gniazdo, w które piorun strzelił, gęsta broda podkreślała długi nos. Zielone oczy zalśniły radością, gdy pocałował Margot w usta. Zmarszczyła nosek. Chociaż nie był nieatrakcyjny, nawet z daleka czułam jego ostry capi odór i zrozumiałam, dlaczego Margot darzyła go pogardą. Nawarczyk wyraźnie nie miał zwyczaju regularnie się kąpać, podczas gdy ona pedantycznie dbała o czystość.

— Nie posiadam się z radości, znów cię widząc, moja droga — rzekł, cedząc słowa. Zmierzył wzrokiem nasze wozy wtaczające się na dziedziniec. — Czy przywiozłyście ze sobą cały Paryż?

Nie czekając na odpowiedź Margot, z szerokim uśmiechem odwrócił się do mnie, jakbyśmy się widzieli zaledwie tydzień temu.

— *Tante* Katarzyno, witam w moim skromnym królestwie.

Natychmiast wyczułam w nim zmianę. Mógł się zachowywać jakby nigdy nic, niefrasobliwy i lekkomyślny jak wtedy, gdy był przedmiotem uwielbienia paryskich kurew, lecz wyraźnie nabrał pewności siebie. Bezpieczny w swym górskim królestwie, otoczony wiernymi hugenotami, stał się samodzielnym władcą. Tym razem to ja byłam gościem na wrogim dworze.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

— Mój synu, jakże zdrowo się prezentujesz. Tutejsze powietrze ci służy.

— Bo powinno. — Zarechotał. — To moje powietrze. — Wziął za rękę Margot. — Wybacz mi, nasze powietrze. Wszystko co mam, jest twoje, królowo. Chodź, przygotowałem ci pokoje. — Zatrzymał się jeszcze. — Mam nadzieję, że będziesz usatysfakcjonowana. Obawiam się, że mój zameczek nie może konkurować ze wspaniałościami Luwru.

— Nigdy bym się tego nie spodziewała — odparła Margot, ujęła go pod ramię i dała się zaprowadzić do zamku, a mnie pozostało iść za nimi, zachowując obojętność mimo znaczących spojrzeń jego hugenockich doradców.

Nawarczyk zwlekał z naszymi oficjalnymi sprawami, tłumacząc się nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia. Zorganizował objazd, aby pochwalić się Margot, i jego lud podejmował nas czosnkową potrawką i świeżymi pstragami. Kiedy kołysałam się w lektyce za królewską parą, widziałam, jak pełen tężyzny ludek przygląda mi się z mieszanymi uczuciami. Dla tych protestantów z krwi i kości byłam potworem, królową matką, która doprowadziła do krwawych godów, i niektórzy posunęli się nawet do tego, że podnosili dwa palce, aby odegnać zły urok, gdy ich mijałam.

Jednakże nie interesowało mnie tak bardzo, co czują wobec mnie. Ważniejsze były ich uczucia względem króla. Niewątpliwie darzyli go miłością. Tłoczyli się wokół niego na każdym kroku, a on nigdy nie omieszkał okazać im uwagi, nie okazując strachu o swą osobę, gdy wysłuchiwał ich próśb i żali, skupiony bez reszty na tym, co mieli mu do powiedzenia. Było dla mnie jasne, że od opuszczenia Francji bardzo się starał, aby zniweczyć otaczającą go aurę nieudacznika, a w jej miejsce przybrać wizerunek króla rycerza, świadom, iż uwielbienie ludu jest najtęższą zbroją władcy. Myśląc dalej tym tropem,

doznawałam poczucia winy, atoli nie mogłam nie porównać jego życzliwego obejścia ze zdystansowaniem i pokrętnością zachowań Henryka. Podczas gdy mój syn musiał się zasłaniać przed ewentualnymi wrogami, Nawarczyk niczym się nie przejmował, a jego radość życia przyciągała doń każdego, kto tylko się pojawił. Nawet Margot topniała w jego obecności i zaczęła okazywać dziewczęcą kokieteryję. Na razie nic nie wskazywało, by dzielili łóżce, ale widząc, jak w jego obecności zalotnie trzepoce rzęsami, pomyślałam, że mimo capiego smrodku Nawarczyk niebawem ją podbije. A jeśli tylko stanie się brzemienna, łącząca ich więź nabierze mocy.

Poza wszystkim jednak nigdy nie przeżyłam równie ostrej zimy. Śnieg padał tygodniami bez końca, zakrywając cały świat. Wszelako gdy ja kuliłam się przed kominkiem w kamiennej fortecy, Nawarczyk przechadzał się w rozchełstanej koszuli, jakbyśmy mieli połowę lata. Jego odporność i swoboda niebawem zaczęły mnie drażnić, gdyż doprawdy zachowywał się tak, jakbyśmy przybyli z rodzinną wizytą, która może trwać wieki. Dodatkowo poruszyła mnie wieść od Biraga, że Elżbieta Tudor w końcu pozwoliła Herkulesowi rozpocząć starania o swoją rękę i że mój Henryk wysłał go do Anglii na pokładzie załadowanego podarkami galeonu. Byłam zirytowana, nie mogąc doglądać tego wyjazdu, i zdenerwowana, wyobrażając sobie, co też Herkules wyczynia, znalazłszy się z dala od domu.

Natomiast Margot poczuła się w Nerac jak u siebie.

Któregoś popołudnia obudziłam się z drzemki sztywniejsza i bardziej zziębnięta niż przed zaśnięciem. Razem z Lukrecją zeszałam do wielkiej sali, szukając ciepła, i zastałam moją córkę pośrodku pustego pomieszczenia, za to kierującą istną armią służących, którzy roznosili stosy skrzyń, mebli i dywanów. Nawarczyk siedział przy kominku na nowym złożonym krześle. Kręcił w palcach pucharem i uśmiechał się niefrasobliwie.

— *Dio mio, a cóż to?* — spytałam.

— A jak myślisz? — parsknęła Margot. — Przemeblowanie. Te wszystkie cegły i kamienie to... to barbarzyństwo. Jestem królową i muszę mieszkać, jak królowej przystało.

Spojrzałam na Nawarczyka. Wzruszył ramionami.

— W tym tempie jutro opróżni mój skarbiec, ale przynajmniej będziemy głodować w zbytku — zamruczał.

Wieczorem Margot przywdziała jedną ze swych niebywałych peruk, suknie, która więcej odsłaniała, niż zasłaniała, i czyniła honory pani domu w nowo urządzonej sali, zachwycona, że przy stole nie ma damy, która mogłaby ją przyćmić. Podano pięćdziesiąt dań. Później się dowiedziałam, że Nawarczyk i Margot w końcu poszli do łóżka, kojąc moje lęki, iż przeżyją resztę swych dni, nie bacząc na prawdziwy cel ich związku.

Rano Nawarczyk zawiadomił mnie, że chce się ze mną spotkać.

Weszłam do jego prywatnego gabinetu — urządzonego wedle męskich upodobań wyłożonego boazerią pokoju, którego Margot nie udało się zdemolować. Miał duże okno wyglądające na odkryte śniegiem góry, przetarty dywan na podłodze i jelenie poroża na ścianach.

Nawarczyk wskazał mi krzesło. Nalał do pucharków gorącego cydru z korzeniami, podsunął mi go i rzekł bez ogródek:

— Chcę, żebyśmy ustalili, co należy. Moje życie zostało wyrwcone do góry nogami. Wystarczy tego. Powiedz mi, po co przyjechałaś, a jeśli będę mógł ci to dać, spełnię twoje życzenia.

Łyknęłam cydru, zaskoczona tą bezpośredniością.

— Pragnęłabym, abyśmy osiągnęli porozumienie — zaczęłam.  
— Sądzę, że oboje wierzymy w pokój.

— Więc przyszedł czas, żebyśmy położyli krzyżyk na tym, co było?

Wytrzeszczyłam oczy.

— Kpisz sobie ze mnie?

— Bynajmniej. Ale nie przyjechałaś tu po pokój; przyjechałaś zawrzeć pakt. Chcesz sojuszu ze mną i pewności, że moje wojsko stawi się pod twoje sztandary, jeśli będziesz go potrzebowała przeciwko Gwizjuszowi; w zamian obiecasz, że zachowam prawo sukcesji. Mam rację?

Kiedy przyglądał mi się ze spokojem, czekając na odpowiedź, zdałam sobie sprawę, że zmaterializował się niejasny potencjał, który w nim dostrzegłam, gdy był dzieckiem. Henryk Nawarski jeszcze potrzebował ogłady, lecz gdyby sobie poradził z naturalną inklinacją młodego króla do upajania się heroicznymi wyczynami, z czasem mógłby się stać wspaniałym władcą. Ta myśl tyleż mnie podekscytowała, co zaniepokoiła, gdyż był doskonałym narzędziem przeciwko machinacjom Gwizjusza, nadal jednak heretykiem.

— Tak — powiedziałam, zadzierając podbródek. — Masz rację. Dlatego tu jestem.

Przeszedł do biurka.

— Doceniam twoją bezpośredniość. Ale biorąc pod uwagę, że to nie ja szukam rozlewu krwi, co zyskałbym, podporządkowując się twoim warunkom?

— Zatrzymasz Gwizjusza. Trzeba tylko, abyś się...

— Nawrócił? — Zaśmiał się. — Czemu miałbym to zrobić? Nie chcesz, abym odziedziczył tron Francji. Jedynie poszukujesz tymczasowego zbawcy, dopóki twój syn nie spłodzi następcy tronu. Wtedy pozbawisz mnie prawa do korony.

— To nieprawda — zaprzeczyłam namiętnie. — Nie masz pojęcia, co dla ciebie zrobiłam.

— Och, mam — rzekł ze spokojem. — Inni mogą utrzymywać, że żyjesz wyłącznie dla władzy, ale ja wiem, że robisz tylko to, co uważasz za niezbędne, aby zabezpieczyć władztwo swoich synów. Ty i ja tak bardzo się nie różnimy, chociaż nasze metody nie zawsze się zgadzają.

Wpiłam w niego wzrok.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzał na mnie z powagą.

— Chcę powiedzieć, że wiem, że tamtej nocy uratowałaś mi życie. Pozwoliłaś mi przeżyć, a potem uciec. Wtedy nie rozumiałem, dlaczego zachowałem życie, podczas gdy tak wielu je utraciło, teraz to rozumiem. Z jakiegoś powodu ty i ja mamy rozegrać tę grę. Dlatego pozostałem mężem twojej córki, dlatego nie zażądałem unieważnienia małżeństwa. Lecz przychodzi na mnie czas, w którym mężczyzna musi stanąć po stronie tego, w co wierzy, bez względu na to, ile by to miało go kosztować. I ja muszę stanąć po stronie swojej wiary.

Odwrócił się, wysunął szufladę biurka.

— Poza tym moje nawrócenie nic nie da. Widzisz, Gwizjusz przyjął zapłatę od Hiszpanii. Mają razem stworzyć Ligę Katolicką, która będzie skierowana przeciwko mnie.

Podał mi kawałek papieru i ogarnął mnie przeraźliwy lęk. Z trudem skupiłam na nim wzrok.



*Mój pan książę potwierdza przyjęcie 50 000 złotych talarów wyasygnowanych przez Jego Wysokość Króla Katolickiego na wypełnienie herezji. Jego Wysokość może być spokojny. Książę uczyni co w jego mocy, aby zapobiec powołaniu heretyka Henryka Nawarskiego...*

Reszty nie było.

— Skąd to masz? — zapytałam, nie potrafiąc ukryć drżenia w głosie.

— Moje patrole od czasu do czasu wyłapują nielegalnych kurierów przekraczających granicę; w ich sakwach można znaleźć wielce ciekawe rzeczy. Nie masz pojęcia, co ludzie potrafią zawierzyć obcym. Niestety, ten kurier zdołał uciec z resztą listu. — Uśmiechnął się. — Jak widzisz, którąkolwiek wiarę wybiorę, Gwizjusz nie spocznie, dopóki nie zobaczy mojego trupa.

Z trudem przełknęłam ślinę.

— Skąd... skąd wiesz, że to prawda? Każdy posłaniec z prawdziwego zdarzenia może sfałszować dokumenty, żeby zadowolić swojego pana.

— Wiem, że to prawda, bo znam Gwizjusza. I ty też. — Odszedł od biurka, ujął moją rękę i podniósł ją do ust. — Tak więc, *tante* Katarzyno, uważam, że twój syn cię potrzebuje. Jak już poradzisz sobie z Gwizjuszem, może znów będziemy mogli się spotkać.

Dotarłam do Paryża w połowie listopada po niemal rocznej nieobecności. Birago wyjechał, aby mnie przywitać. W czarnym adamaszku wyglądał jak krab. Sękatymi dłońmi wspierał się na lasce, gdy z trudem wsiadał do mojego powozu.

— Ulica wre — powiedział. — Wybuchła zaraza i jego wysokość oraz królowa zamknęli się w Vincennes. Choroba ogranicza się do uboższych dzielnic, ale król odmawia przybycia do Paryża, dopóki nie będzie pewien swojego bezpieczeństwa.

— Coś jeszcze? — zapytałam ze spokojem. Nie należało wyjeżdżać na tak długo; nie należało przerzucać na tego kruchego starca, mojego przyjaciela, ciężarów, które były moim udziałem. Ja powinnam doglądać króla i królestwa.

— Teraz druga sprawa, o której napomykałaś, pani — ciągnął. — Nie ma dowodów na to, że Hiszpania przekazała Gwizjuszowi

jakieś sumy, ale potajemnie spotykał się z innymi katolickimi panami. Wygląda na to, że tworzy ligę z Hiszpanią i Rzymem, wzorowaną na triumwiracie ojca.

— No tak — rzekłam zamyślona, patrząc na wieżyczki Notre Dame. — Mamy nowego Pokierszowanego. Nie spuszczaaj z niego oka. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Co robi, gdzie się udaje, z kim się spotyka. Kiedy przyjdzie czas, zajmę się nim.

Anna Maria nie posiadała się z radości na mój widok. Uściskałam ją. Zdjęłam płaszcz podróżny, Lukrecja również. Pomyślałam, jak wiele zawdzięczam tym dwóm kobietom. Od przybycia do Francji były moimi najwierniejszymi towarzyszkami, zawsze u mego boku, gdy ich potrzebowałam. Wyrzekły się mężów, dzieci i własnego domowego ogniska.

Wieczorem usiadłam przed lustrem. Poza tym, że miałam reumatyzm, opuchliznę kończyn i okresowe duszności, kompletnie osiwiąłam. Lukrecja krótko przycinała mi włosy, jako że pojawiając się publicznie, teraz zawsze nosiłam czepiec z welonem, więc nie widziałam potrzeby, aby nadal wpinać treski. Nie przeszkadzało mi to. Odetchnęłam z ulgą. Wreszcie nie musiałam tydzień w tydzień barwić włosów sokiem z orzecha włoskiego, zniknęły lokówki i wymyślne fryzury. Jednak gdy patrzyłam na swoje zmarniałe oblicze pokryte starczym meszkiem, nie mogłam udawać, że nie widzę upartych postępów niedołączenia. Podbródek mi zwisał, na czole i wokół kącików ust pojawiły się głębokie zmarszczki; ciemne oczy, kiedyś najpiękniejsza cecha mojej urody, były wiecznie podbite, matowe, z kurzymi łapkami.

Anna Maria podała mi nocny czepiec. Spytałam ją cicho:

— Nie myślisz, że jestem za stara?

Spojrzała na moje odbicie. Starość obeszła się z nią najwyrozumialej, lepiej niż ze mną czy Lukrecją. Jej ostre rysy niewiele się zmieniły, a drobny wzrost i ruchliwość stwarzały pozory wiecznej młodości. Uśmiechnęła się.

— Nigdy nie będziesz za stara, pani, bo Francja będzie cię wiecznie potrzebować.

Uściskałam jej rękę.

— Tak — zamruczałam. — Tak myślałam.

Poszłam do łóżka i zasnęłam wyczerpana. Śniłam.

*Krew kapie z sufitu. Leżę wyprostowana na łóżku, czuję, że rozwieram szeroko usta, chcę krzyknąć, ale nie słyszę siebie. Krople krwi odrywają się z malowanych desek i spadają na moje przykrycie. Tu jest śmierć. Otacza mnie. Czuję jej woń, zapach żelaza, niemal poznaję jej słony gorzki smak. Młóćę rękami i nogami, próbuję się chociaż trochę odsunąć, lecz krople padają coraz gęściej, gęściej, zamieniają się w deszcz, który mnie zalewa, wpada w otwarte oczy, usta...*

— Pani, obudź się! — Lukrecja potrząsała mną, pochylona nad łóżkiem.

Podciągnęłam się z wysiłkiem zlaną potem.

— *Dio mio*, co za potworny sen.

Przyglądała mi się badawczo.

— Krzyczałaś. Obudziłaś nas, chociaż spałyśmy w drugim pokoju.

— Która godzina? — mruknęłam.

Spojrzała na zgaszoną świeczkę przy łóżku, na której nacięcia wyznaczały godziny.

— Prawie świt. Pośpij jeszcze, pani.

— Nie. Muszę... muszę wstać. Dzisiaj mam jechać do Vincennes na spotkanie z Henrykiem. — Szybko się podniosłam, strzępki snu nadal czepiały się mojej głowy, gdy Lukrecja pomagała mi włożyć szlafrok. Rozpaliła ogień na kominku. Postawiła przy nim karafkę, żeby podgrzać poranne wino.

— Przynieść coś do jedzenia? — spytała z przejęciem w głosie.

— Lukrecjo, co się dzieje? — spytałam.

Znieruchomiała. Odwróciłam się i zobaczyłam w progu Henryka. Był chudy i blady, odziany w czarny kaftan bez ozdób.

— Chodzi o Herkulesa — rzekł cicho.

Poczułam ucisk w gardle.

— Przecież jest w Anglii, smali cholewki do Elżbiety.

— Nie. Odprawiła go z kwitkiem, więc popłynął do Niderlandów gasić luterańską rewoltę. Został wzięty w niewolę. Birago zapłacił za niego okup. Przyjechał kilka dni temu, ale... — Urwał.

— Mamo, musisz mu pomóc. Pare powiada, że umiera.

Stałam bez ruchu przekonana, że źle usłyszałam.

— Umiera?

— Tak. Został ranny w nogę; zagnieżdżyła się zgnilizna. Kazałem wszystkim przysiąc, że nie pisną ani słowa; chciałem sam ci o tym powiedzieć. Ale byłaś zmęczona po podróży. Potrzebujesz odpoczynku.

Zrzuciłam szlafrok i wskazałam Lukrecji suknię.

— Zabierz mnie do niego.

Birago i stary Pare byli przy jego łóżku. Patrzyli na mnie smutnymi oczami, słaniając się na nogach. Nie chcieli mnie budzić, więc sami doglądali mojego syna całą noc.

Podeszłam do łóżka. Herkules miał tak przezroczystą skórę, że prześwitywały przez nią żyły. Przemówił chrapliwym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu.

— Mamo, jesteś w domu.

Położyłam mu rękę na czole.

— Mówią mi, że jesteś ranny. Zobaczę, dobrze? — Mówiłam łagodnie, czując, że bucha gorączką. Spazm lęku wykrzywił mi twarz.

— Nie pozwól, żeby mi to zrobili. Nie pozwól, żeby odcięli mi nogę.

— Nie odetną. Obiecuję.

Medyk odsłonił przykrycie. Zdławiłam głośny okrzyk, który urósł mi w gardle na widok zaropiałej rany na prawym udzie; ciało było tak zaognione, jakby miało zaraz pęknąć. Ohydne czerwone linie jak macki ośmiornicy sięgały nabrzmiątego krocza.

— Widziałem takie rzeczy, pokłosisie bitew — rzekł Pare.

— Nieopatrzona rana rodzi zgniliznę, która wnika w krew. Był bardzo chory, zanim go tu dowieziono, i nie ważyłem się użyć noża. Teraz...

Powstrzymałam te wyjaśnienia.

— Nie winię cię. Idź po wodę, świeże szarpie i mak. — Strąciłam ze stołka ubrania, usiadłam i wzięłam Herkulesa za rękę. — Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. — Drugą ręką pogładziłam go po policzku. Zmierzwioną brodę miał gęstą i kędzierzawą, ale nie ukryła niepokojąco ściągniętej twarzy.

— Mamo, tak się boję.

Łzy zasłoniły mi wszystko. Był ciałem z mojego ciała, ostatnim owocem mojej miłości do Henryka. Nigdy nie dostał szansy, aby

stać się kimś; stygmat choroby sprawił, że żył bezradny w świecie, który znał wyłącznie okrucieństwo. A ja, która powinnam go strzec, która powinnam zapewnić mu bezpieczeństwo, zawiodłam go.

— Nie bój się — powiedziałam. — Jesteś bezpieczny. Kocham cię. Twój brat i siostra też cię kochają.

Spędziłam przy nim trzy dni, oczyszczając ranę i podając mu wielkie ilości maku i rabarbaru. Wychudł do tego stopnia, że kości sterczały mu pod skórą; wiedziałam, że nic nie może go uratować, starałam się więc, aby jak najmniej cierpiał. Kiedy zaczął płytko oddychać i noga mu szerniała, położyłam się obok niego i przytuliłam do piersi jego głowę. Śpiewałam mu kołysanki, które każda matka nuci dziecku; a on tajał przy mnie uspokojony moim głosem, nieustannym głaskaniem po włosach.

Kiedy w końcu ogarnął go bezwład, serce pękło mi na tysiąc kawałków, których nigdy nie dało się złożyć. Ścisnęłam martwe ciało i opłakiwałam go jak nigdy za życia, przeklinając w duchu obrzydliwy los, który nawet nie dał mu szansy spróbować sił w dorosłym życiu.

Ja straciłam syna. Henryk stracił następcę.

I gdyby Gwizjusz miał osiągnąć swój cel, Francja straciłaby wszystko.

Zostawiłam ciało do zabalsamowania i poszłam do Henryka. Wstał z krzesła, próbując odczytać z mojej twarzy, z czym przychodzę.

— Czy...?

Skinęłam głową. Kiedy jęknął i odwrócił się, powiedziałam:

— Musimy sporządzić plany. — Mój głos był bez wyrazu, daleki od bólu i rozpacz, które usiłowały nade mną zapanować. Musiałam być silna jak nigdy wcześniej. Henryk nie miał katolickiego następcy. Ta sytuacja stwarzała niebezpieczeństwo niemal nie do zażegnania.

— Plany? — Podniósł oczy. Zobaczyłam w nich strach. — Jakie plany? Co mi teraz pozostaje?

Spojrzałam na niego.

— Zaprosimy Nawarczyka na dwór. Jest twoim ewentualnym następcą. Chociaż powiedział mi, że nigdy znów się nie nawróci, musimy przemówić mu do rozumu.

Przeciagnął drżącą ręką po włosach.

— Zaprosić go na dwór? Jest heretykiem! Gwizjusz nigdy nie pozwoli, aby został wyznaczony następcą tronu. Wpierw go zabije.

— Może. — Zrobiłam pauzę. — Ale Ludwika jest jeszcze młoda, ty też. Jeśli obdarzysz ją dzieckiem... — Ucichłam, gdy roześmiał się szaleńczo.

Zaraz się jednak uspokoił.

— Nie rozumiesz — szepnął. — Próbowałem. Na Boga, próbowałem. Pieściłem ją i pieściłem, i... nic nie czułem. Nie potrafiłem... — Przełknął i spojrzał na mnie z bólem. — To nie jej wina, tylko moja... Kobiety nie mogą mnie pobudzić.

Te słowa zniszczyły ostatki iluzji, którą wzniosł między nami. Nie grzmiałam. Nie użalałam się nad nim, nie dodawałam mu otuchy. Podobnie jak ja nie potrafił na zawołanie wzbudzić w sobie pożądania. Tak byliśmy stworzeni. Musiałam pogodzić się z tym, że z jego lędźwi nie urodzi się dziecko.

Pozostawał nam król Nawarry. Musiał uratować nas przed Gwizjuszem.

Wyciągnęłam ramiona i roztrzęsiony Henryk przytulił się do mnie. Niezależnie od wszystkiego był moim synem. Niezależnie od wszystkiego był naszym królem.

I póki żył, **poty** była nadzieja.

— Zaufaj mi — powiedziałam. — Przy mnie jesteś bezpieczny. Będę walczyła za ciebie do ostatniego tchu.

Henryk i ja wyjechaliśmy z Paryża, by przywitać Nawarczyka. Opłakiwaliśmy Herkulesa, którego ciało spoczęło w kościele w Saint-Denis. Wcześniej opóźniliśmy pogrzeb, oczekując odpowiedzi na nasze zaproszenie. W końcu po wielu tygodniach Nawarczyk powiadomił nas, że bardzo chciałby z nami być w godzinie żałoby. Niebawem do nas dołączy; razem znajdziemy sposób, który pozwoli nam rozprawić się z Gwizjuszem.

Kiedy w dolinie pokazał się orszak, niepewnie wyteżyłam oczy. Był żałośnie skromny, nawet jak na skromne zwyczaje Nawarczyka — zaledwie kilka koni i wozów. Zbliżył się bardziej i Henryk zacisnął rękę na wodzach.

— Jest Margot — rzekł krótko. — Ale sama.

Moja córka stała w Hotel de la Reine, mając na sobie sięgającą kolan koszulę. Brudne ubranie leżało wokół niej. Zmęczone sługi wlewały wiadra gorącej wody do wyłożonej lnianą płachtą balii. Czekałam, stukając butem w podłogę. Służące dygnęły i wyszły. Margot z westchnieniem ulgi ułożyła się w balii.

— Na Boga, gdzie on się podziewa? — wybuchłam. — Czy nie zdaje sobie sprawy, że jest następcą tronu Francji?

Obmyła różaną wodą wydatne piersi. Ku swojemu żalowi ujrzałam, że brzuch ma płaski.

— Przesyła wyrazy żalu, ale rada królewska zgłosiła obiekcje i musiał przemyśleć twoją ofertę. Rada nie uważa, żeby był tu bezpieczny. I jeśli miałby zostać następcą tronu, znów musiałby się wyprzec swojej wiary, tak? Powiada, że to niełatwa decyzja. Przesy-

ła ci list. — Wskazała stos kufków przy łóżku. — Jest w moim sakwojażu.

Wspomniany sakwojaż leża! otwarty, ukazując buteleczki perfum i barwiczki. Pod emaliowanym lusterkiem znalazłam złożony pergamin z pieczęcią Nawarry.

*Przesyłam Waszej Królewskiej Mości najuniżeńsze pozdrowienia i wyrazy żalu, gdyż w tym smutnym czasie nie mogę przybyć na dwór, do boku Jego Królewskiej Wysokości mojego kuzyna. Głęboko boleję nad odejściem jego książęcej mości Herkulesa, księcia Alencon, wszakże sprawy wagi państwowej zmuszają mnie do pozostania w królestwie, dopóki moja rada nie zadecyduje inaczej. Ufam, że Wasza Królewska Mość nie zapomniła naszej ostatniej rozmowy, podczas której przekazałam stosowne ostrzeżenie, gdyż lojalni hugenoci we Francji informują mnie, iż pewien wielmoża nadal zmierza do nielegalnego powiększenia swej władzy, co może tylko zagrozić Jego Królewskiej Wysokości. Znajdziesz we mnie, Pani, przyjaźnie ustosunkowanego monarchę, któremu wielce leży na sercu dobro mego kuzyna króla Francji i który ma szczerą nadzieję, że Wasza Królewska Mość i Jego Królewska Wysokość uznają za właściwe ograniczenie ambicji wzmiankowanego wielmoży, zanim będzie za późno. Do tego czasu nie jest prawdopodobne, abym zyskał pozwolenie rady na podróż do Francji.*

— On ci nie ufa — powiedziała Margot, wbijając we mnie wzrok. — Myśli, że Gwizjusz go zabije, tak jak zabito Coligny'ego. W żaden sposób nie mogłam go przekonać, że jest inaczej.

— Trzeba było się bardziej starać. — Poskładałam list i włożyłam do kieszeni sukni.

— Łatwo ci mówić — odparła ostro. — Mam dość bębnienia mu do uszu! Traktuje mnie jak krzesło. Ledwo wyjechałaś, wrócił do pijaństw, polowań i nie chciał mi dać złamanego szeląga na prywatne wydatki. Nie zniosę takiego traktowania. Jestem jego żoną, królową.

Popatrzyłam na nią z obrzydzeniem.

— Nic a nic się nie zmieniłaś. Twój najmłodszy brat jeszcze nie spoczął w grobie, a ty myślisz tylko o sobie. Jeśli Nawarczyk nie chciał przyjechać, powinnaś była zostać.



Wyprostowała się tak gwałtownie, że woda chlusnęła przez brzegi balii.

— Nie waż się wykorzystywać Herkulesa przeciwko mnie!  
— Ku mojemu niedowierzaniu naprawdę była bliska płaczu.  
— Tylko on mnie kochał. Nikomu z was na nim nie zależało; nikt z was palcem nie kiwnął, żeby go uratować. Pozwoliłaś Henrykowi wysłać go do Anglii i teraz nie żyje. To twoja wina. To zawsze była twoja wina! Stawiasz Francję przed rodziną, przed Bogiem i wszystkim innym i patrz, dokąd nas to zaprowadziło!

Jej okrucieństwo, jej niebывałe odwołanie się do mojego poczucia winy odebrało mi mowę.

— Zrobiłam wszystko, co się dało — mówiła dalej, wychodząc z balii. — Powiedziałam Henrykowi, że jeśli przyjedzie do Paryża i zjawi się na mszy, uczynisz go następcą tronu. Błagałam go przez pamięć Herkulesa, żeby odłożył dzielące nas różnice, i co zrobił? Roześmiał mi się w twarz. Zawsze się śmieje, odgrywa wesołego monarchę, ile się tylko da.

Porwała ręcznik i owinęła się nim.

— Mam go po dziurki w nosie. Siedziałam na tym jego żałosnym dworze i uśmiechałam się, aż mnie zęby bolały. Wytrzymałam obelgi jego ministrów i ich smętne zawożenia; odgrywałam przykładną małżonkę, podczas gdy on sypiał z każdą wywłoką, która się nawinęła, zanim wziął sobie kochankę spośród moich dam dworu. Jest bez serca. Odprawił mnie do granicy, nie mówiąc słowa pożegnania; jego straż nie towarzyszyła mi przez Prowansję. Pozwolili, żebym jechała przez Francję jak wdowa, z paroma sługami. Niech zgnije. Nigdy do niego nie wrócę.

Podniosłam brwi. W żałobie czy nie, Margot nie zamierzała się zmienić — uparta głupia baba, która miała na względzie tylko własne dobro.

— Nie sądzę — powiedziałam. — Więcej, sugeruję, byś za bardzo się tu nie rozpakowywała, bo kiedy tylko skończy się oficjalna żałoba, sama cię do niego zawiozę.

Nie czekałam na odpowiedź. Odwróciłam się i wyszłam. Powinam była przewidzieć, że Nawarczyk nie ruszy się ze swojej cytadeli, nie zaryzykuje, że znów stanie się naszym więźniem lub ofiarą Gwizjusza. Ale jeśli on nie chciał przyjechać do mnie, w takim razie ja musiałam pojechać do niego.

Miałam koronę do zaoferowania i bez względu na to, ile miałoby go to kosztować, musiał się nawrócić i przyjąć ją.

Postarałam się, by pogrzeb Herkulesa był jak najwystawniejszy. Margot łkała, gdy spuszczano trumnę do krypty, ale już po kilku dniach zabawiała gości w moim pałacu. Świece i śmiechy przemieniały noc w dzień. Jej teatralne wyrazy żalu były diabła warte.

Wreszcie nadszedł kres długiej żałoby. Henryk i Ludwika mieli uroczyste otworzyć podwoje Luwru i udałam się do mojego pałacu, by zabrać Margot na uroczystości. Zastałam ją w czarnych aksamitach i wysokiej kryzie. Dekolt miała skrojony tak nisko, że niemal odsłaniał piersi. Na szyi sznury pereł, oczy podkreślone antymonem, usta — szkarłatną barwiczką.

— Wyglądasz jak zdzira — zganiłam ją. — Natychmiast się zakryj.

Spiorunowała mnie wzrokiem i porwała przejrzysty szal. Narzuciwszy go na siebie, poszła długim krokiem do czekającego powozu, tak że ledwo za nią nadażałam.

W Luwrze grube woskowe świece rzucały złote światło na dworzan. Sala audiencyjna nie była tak zatłoczona, jak się spodziewałam, żałoba i niepewny los naszej sukcesji sprawiły, że wielu możliwych wyniosło się do swoich majątków, lecz gdy Margot i ja zajęłyśmy miejsca na podwyższeniu, dostrzegłam kilku katolickich wielmożów. Gęste zarosty ledwo ukrywały szydercze uśmieški.

Napięcie wisiało w powietrzu, wyraźne jak dym bijący z kominów i zapach pieczonego dzika. Kiedy paź położył kawał mięsa na moim wielkim talerzu, żołądek podskoczył mi do gardła i odepchnęłam jedzenie. Rozglądając się po dworzanach, dostrzegłam samotną postać blisko pilastrów. Szkarłatny płaszcz skosem opinał szerokie ramiona.

Aż mną zatrzęsło, gdy uświadomiłam sobie, że widzę Gwizjusza.

Nie widziałam go od krwawych godów. Pod czerwienią płaszcza jego kaftan wyglądał jak ciemna aksamitna skóra opięta na muskularnym torsie, siwiejące blond włosy strzygł krótko, po wojskowemu, pociągła twarz tchnęła dumą. Krew jego ojca spełniła groźną zapowiedź i w wieku trzydziestu pięciu lat wyglądał niczym drugi Pokieszowany, chociaż promieniował fizyczną zmysłowością, której nie dostawało pierwowzorowi. Mogłam zrozumieć, czemu

Margot rozpacziała, utraciwszy go, i kiedy to sobie pomyślałam, spojrzałam na nią.

Siedziała odchylona na krześle, uśmiechnięta. Serce zaczęło mi mocno bić. Zerknęłam tam, gdzie siedział Henryk z Ludwiką; w bogatej szacie była blada i daleka jak cień, na przegubie zawiesiła różaniec. Henryk dostrzegł moje spojrzenie, a gdy je przeniosłam, poszedł za nim, ponad morzem dworaków, i popatrzył na pilastry. Zesztywniał. Krew uciekła mu z policzków.

Próbowałam jeść, ale mięso smakowało mi jak drewniana papka, gdy czułam przeszywające spojrzenie Gwizjusza. Margot rozmawiała swobodnie z siedzącą obok damą, raz za razem uzupełniając sobie kielich. Udawała, że nie wie o bliskiej obecności dawnego kochanka, chociaż co i rusz zerkała na niego po kryjomu. Wyczułam coś między nimi, niemal niedostrzegalną nić intrygi. Siedziałam jak na rozżarzonych węglach, gdy Henryk się podniósł. Śmierć Herkulesa wystawiła na niebezpieczeństwo ród Walezjuszy, który rządził przez niemal dwa wieki, toteż Henryk z moją pomocą starannie przygotował mowę.

Odziany w purpurowy płaszcz i koronę z szafirów, mówił z płynną elegancją. Jego głos rozlegał się echem, gdy z żalem wspominał Herkulesa i mówił o konieczności dalszego leczenia ran rozdartego niezgodą królestwa.

— I niech wszyscy moi wrogowie zapamiętają raz na zawsze, że w tym czasie zmagani nie będę tolerował niezgody — ogłosił na zakończone, skupiwszy wzrok na Gwizjuszu. — Francja musi iść pierwsza, przed wszystkim innym. W tym duchu — wskazał na Margot — niniejszym wyznaczam następcą tronu małżonka mojej siostry, mojego kuzyna i imiennika Henryka z Nawarry, pod warunkiem że przystanie na warunki, które ustalę, i że do tego czasu jej królewska mość moja małżonka nie urodzi syna.

Dwór zareagował na te słowa gorącymi oklaskami. Henryk już siadał, gdy Gwizjusz wystąpił przed resztę zgromadzonych.

— Wasza królewska wysokość — rozpoczął dźwięcznym władczym głosem, który skupił na nim uwagę wszystkich. Znieruchomieli. — Z radością witamy twoją gotowość do przedkładania Francji ponad wszystko inne, lecz obawiam się, że Francja potrzebuje pewniejszego rozwiązania niż poczyniony wybór następcy tronu.

Henryk zastygł. Szybko wstałam.

— Książę, właśnie ogłosiliśmy nasz...

— Pani, nie jestem głuchy — przerwał mi. Podeszedł pewnym krokiem do tronu. Kiedy się przed nim znalazł, wyjął spod płaszcza plik kartek. Nie mogłam oderwać oczu od jego wielkich żyłastych dłoni, które uśmierciły Coligny'ego i wyrzuciły ciało przez okno.

Gwizjusz uniósł plik.

— Mam tu błagania od burmistrzów miast sąsiadujących z Henrykiem Nawarskim. Napada na nie bezkarnie, usuwa naszych katolickich urzędników i zastępuje ich heretykami. Tak, opłakujemy stratę naszego delfina, ale on dbał o to, by każde miasto w zasięgu jego królestwa odpowiadało tylko przed nim.

Popatrzyłam na Margot. Odpowiedziała mi spojrzeniem. Oczy miała zimne jak onyks.

Henryk się nie poruszył, nie przemówił, wpatrywał się tylko w Gwizjusza. Na jego twarzy pojawiła się zawziętość. Zacisnął szczęki i zesnurował wargi.

— Wasza królewska wysokość — mówił dalej Gwizjusz — Nawarczyk kpi sobie z ciebie. Nigdy się nie zgodzi na twoje warunki. Kiedy przejmie twój tron, spuści na nas wszystkich heretycką zarzę.

Kiedy Henryk w końcu się odezwał, głos miał zimny jak lód.

— Powinieneś wiedzieć lepiej niż inni, że gdy nie ma żadnych dowodów, niesłuchanie łatwo je sfałszować. Jeśli to prawda, dlaczego nie słyszałem o tym wcześniej?

— Sam zaledwie kilka dni temu otrzymałem te wieści z zaufanego źródła. — Umiarkowanie i spokój Gwizjusza napełniły mnie strachem. W przeciwieństwie do ojca nauczył się samokontroli. — Przybyłem od razu, aby cię ostrzec, lecz od mojej posiadłości w Joimdlle długa droga. Jednak jeśli masz wątpliwości, sam je przeczytaj. — Złożył plik na podwyższeniu. — Przekonasz się, że nie ma mowy o pokoju, dopóki Nawarczyk żyje. Zagraża naszej wierze i stabilności...

Henryk przerwał mu drobnym ruchem palca.

— Nie rozpędzaj się, byś nie zabrnął za daleko. Masz szczęście, że nie jesteś w areszcie, biorąc pod uwagę twe przeszłe czyny.

Dostrzegłam, że Gwizjusz zacisnął szczęki.

— Mylnie mnie osądzasz. Jestem twoim lojalnym poddanym, ale przyszedł czas na działania, nie na słowa. Musimy zakończyć to, cośmy rozpoczęli.

— A ty z każdym dniem przemawiasz coraz bardziej jak twój ojciec — rzeki Henryk. — Stąd też bacz na słowa. Żaden Gwizjusz nie będzie rządził moim królestwem. Nie ścierpię tego.

W ciszy, która zapadła, słyszałam własny niespokojny oddech.

— Nie jest mym zamiarem rządzić Francją — rzekł łagodnie Gwizjusz. — Chcę ją ratować.

Henryk odprawił go machnięciem ręki.

— Przeczytam te pisma. Dopóki tego nie uczynię, rozkazuję ci wrócić do rodzinnego majątku i nie opuszczać go. Moja cierpliwość była nieprzebrana, ale nawet ona ma swoje granice.

Gwizjusz odwrócił się i wyszedł z sali. Jego ostrogi głośno dzwięczały w zapadłej ciszy. Kiedy Henryk szybkim krokiem oddalił się do najbliższej komnaty, syknęłam do Margot:

— Chodź ze mną.

Gdy tylko stanęłyśmy przed Henrykiem, spytał Margot:

— Czy to prawda? Czy twój mąż mnie oszukał?

— Skąd mam wiedzieć? — Wyglądziła zmarszczkę na rękawie.

— W tej chwili nie jestem przy nim, prawda?

— Więc skąd Gwizjusz się o tym dowiedział? — Wyciągnął plik arkuszy w jej kierunku. — Jak to możliwe, że on wie coś, o czym ja nie wiem? — Zastanowił się. Zmrużył oczy. — To twoja robota, prawda? Wiedziałaś, że Nawarczyk przejmie te miasta, ale nie powiedziałaś nam słowa. Za to wypaplałaś o wszystkim swojemu kochankowi.

Uniosła brwi.

— Czyżbyś myślał, że pomogę ci po tym, jak pozwoliłeś, żeby odebrano mi Gwizjusza?

Przeszywał ją wzrokiem. Przez straszną chwilę myślałam, że ją uderzy. Cisnął listy do jej stóp.

— Ponieważ jesteś moją siostrą, nie ukarzę cię tak, jak na to zasługujesz — rzekł drżącym od gniewu głosem. — Ale od tej pory nie masz wstępu na dwór. Nie wolno ci pozostać w Paryżu ani wrócić do Nawarry. — Spojrzał na mnie. — Dopilnujesz tego.

Wyszedł. Skierowałam oczy na Margot. W tamtym momencie byłam o krok od tego, aby ją znienawidzić.

— Czy spiskowałaś z Gwizjuszem przeciwko nam?

Trąciła bucikiem listy.

— Przeczytaj sama; to moje listy.

— Dobry Boże, dlaczego? — szepnęłam.

Uśmiechnęła się.

— Herkules nie żyje. Nie dbam o to, kto odziedziczy tron, byleście wyginęli.

Cofnęłam się od niej, od zimnego zła, którym tchnęły jej oczy. Usłyszałam słowa Kośmy, prorocze i złowieszcze: „To jałowe ziarno. Twoja rodzina... jest skazana na zatrącenie”.

Margot uniosła triumfalnie podbródek, jakby również je słyszała.

Styczeń runął na nas wirem wichrów i śnieżyc. Okutana w sobole i wełny stałam na podwórku, żegnając Margot. Wieziono ją do pałacu Usson w Owernii — odizolowanego dobrze strzeżonego zamku. Było to jedyne miejsce poza Bastylią, w którym nie mogła wyrządzić zła ani stać się jego ofiarą. Kiedy usłyszała, dokąd ma jechać, nie rzekła ani słowa.

Wyłoniła się z pałacu prowadzona przez strażników i podeszła do swojego stępaka. Patrzyłam, jak staje na drewnianym kłocu i z niewymuszonym wdziękiem wskakuje na siodło. Jej siła promieniowała z każdego ruchu, gdy ujęła wodze i odwróciła się do mnie.

Nagle mało się nie rozpłakałam. Nie rozumiałam jej; nie chciałam wiedzieć, jakim cudem rozwarła się między nami przepaść. Niemniej wiedziałam. Kochała całą duszą; oddała się bez reszty mężczyźnie, którego jej odmówiliśmy. Nie miało znaczenia, czy Gwizjusz doceni jej poświęcenie. Liczyło się to, że ona nigdy się go nie wyrzekła.

— Pamiętaj, kim jesteś — powiedziałam jej. — Pamiętaj, że krew królów płynie w twoich żyłach.

Uśmiechnęła się do mnie gorzko.

— Jak mogłabym o tym zapomnieć? To moje przekleństwo. — Spięła konia i odjechała, a straż krok za nią.

Niemal zaraz zniknęła w śnieżnej kurzawie.

Ostra zima ustąpiła głodnemu latu i deszczowej jesieni. Kiedy żniwa kolejny raz zgniły na pniu i w Paryżu wybuchły zamieszki spowodowane rosnącymi cenami chleba, sieć informatorów Biraga przysyłała nam codzienne raporty o zjazdach katolickich panów w posiadłościach Gwizjusza, wezwaniach kierowanych do najemni-

ków i rosnących arsenałach — wszystko za pieniądze Filipa Hiszpańskiego. Z drugiej strony kraju dochodziły równie niepokojące wieści o kolejnych miastach przejmowanych przez Nawarczyka, tysiącach hugenotów gromadzących się pod jego sztandarami i zagarnianiu każdej armaty w każdym zamku, który udało mu się zdobyć. Wojna była nieunikniona, wojna na śmierć i życie. Gdy deszcz bębnił o szyby, zamknięta w swoich pokojach pisałam list za listem, prosząc Nawarczyka o spotkanie, zanim będzie za późno.

Któregoś wieczoru siedziałam z palcami pokrwawionymi od ściskania pióra, gdy usłyszałam szelest drzwi. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Henryka. Po upokorzeniu w Luwrze wycofał się do Vincennes; chociaż co tydzień spotykał się z radą, nie odwiedzał mnie od tamtego incydentu.

— Wiesz, dlaczego on mnie nienawidzi? — spytał.

Patrzyłam na niego nieprzytomnym wzrokiem.

— Tak. Myśli, że spiskowałeś, aby wymordować jego braci w wierze i przyjaciół. Chociaż uratowałeś mu życie, nigdy nie zapomni tamtej okropnej nocy.

— Nie, chodzi mi o Gwizjusza. — Wszedł do środka. Długie włosy związał z tyłu, odsłaniając urzekającą twarz; gdy zbliżył się do trzydziestki, stała się wyrazistsza i bardziej pociągła niż u Walezjuszy; oczy natomiast zachował Medyceuszy — wyraziste, długorzęse, czarne i przepastne. Birago mówił, że codziennie ćwiczy łukiem i mieczem, popołudniami robi długie przejażdżki po lesie. Jego sprężysta muskulatura świadczyła, że te doniesienia są prawdziwe.

— Kiedyś go kochałem. — W blasku świec jego oblicze złagodniało. — Kiedy po raz pierwszy wyruszyliśmy na wojnę przeciwko hugenotom, jedliśmy razem, spaliliśmy w tym samym namiocie, byliśmy więcej niż przyjaciółmi. Był moim bratem, którego nigdy nie miałem we Franciszku, Karolu czy Herkulesie. Strzegł mnie na każdym kroku; twierdził, że prędej umrze, niż pozwoli, by ktokolwiek mnie skrzywdził.

Roześmiał się cicho.

— Zakochałem się w nim. Jak mogłem mu się oprzeć? Był piękny jak bóg, pełen ognia jak poganin. Miał w sobie wszystko, co chciałem osiąść. — Zamyślił się, przebiegając szczupłymi palcami wzdłuż krawędzi biurka z orzecha włoskiego, jakby przypominał sobie dotyk skóry ukochanego. — Kiedy w końcu zdobyłem się na

to, żeby mu powiedzieć, był przerażony. Och, dobrze to maskował. Zachował się jak należy, powiedział, że jest zaszczycony, ale niegodny, widziałem jednak w jego oczach nienawiść. Ledwo potrafił ją ukryć. Mogłem mu rozkazać, żeby przyszedł do mojego łóżka, mogłem go wziąć na czworakach jak psa, lecz wiedziałem, że gdybym nie był następcą tronu, zabiłby mnie. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak niewiele jest wart. Zabrał mi coś, co było dla mnie cenne, święte, i jednym spojrzeniem sprawił, że stało się haniebne. Przysięgłem, że nigdy więcej nie będę kochał, nigdy nie będę bezradny wobec czyjejś pogardy.

Podniósł rękę do gardła, jakby nadal czuł tamten ból.

— I nigdy więcej się nie zakochałem. Nikt nie wzbudził we mnie podobnej namiętności, nawet mój Guast.

Pochylił się. Tym samym cichym, intymnym tonem rzekł:

— Skończyłem z nim. Chcę, żebyś znalazła sposób, który pozwoli nam się go pozbyć. Wymyśl go szybko, zanim sam to zrobię.

Sięgnął pod kaftan, wyjął zapieczętowane pismo.

— Od Nawarczyka; zgadza się na spotkanie pod warunkiem, że ty się stawisz. Otrzymał wszystkie twoje listy i twierdzi, że tak jak my nie chce wojny. Powiedz, że jeśli się nawróci, uczynię go moim następcą i pošlę mu głowę Gwizjusza.

Wyciągnęłam ręce. Zanim udało mi się go objąć, cofnął się i wyszedł.

Była połowa grudnia, gdy dotarłam do cytadeli Saint-Brice w hugenockiej prowincji Cognac. Jechałam wśród zastygłego krajobrazu, obwieszonych sopłami drzew, a lodowaty wiatr ledwo poruszał zasy py wzdłuż drogi, tymczasem Henryk Nawarski przywitał mnie na dziedzińcu ubrany w swój codzienny wełniany kaftan, tyle że na głowie miał czarną czapkę ozdobioną dumnym białym piórem. Jej widok mnie uderzył, przypominając tę samą czapkę, którą dawno, dawno temu widziałam podczas wizji. Uśmiechnął się, dostrzegając moje baczne spojrzenie.

— Żeby wrogowie mogli mnie łatwiej dostrzec w bitwie — żartował, pochylając się do mnie. Gdy ucałował mnie w usta, poczułam jego ciepły oddech. Mnie ziało przeniknął do kości, on buchał żarem jak piec. — *Tante* Katarzyno, do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi ciebie brak.



Pozwoliłam sobie na uśmiech.

— A ja widzę, panie, że się nie zmieniłeś.

— Och, nie powiedziałbym. — Zadarł podbródek. — Spójrz tutaj. To dzięki uprzejmości Gwizjusza i jego Ligi. Nie miałem ani jednego siwego włosa, dopóki nie rzucili mi wyzwania.

Mówił niefrasobliwie, ale słyszałam w jego głosie dźwięk stali.

— W takim razie odnoszę wrażenie, że mamy wiele do omówienia — rzekłam z uśmiechem, dając się zaprowadzić na jego prywatne pokoje, gdzie przy kielichu wina z korzeniami mogłam się rozgrzać przed kominkiem.

Potem przystąpiliśmy do rozgrywki. Od razu wyczułam, że stał się nie lada dyplomata. Mimo moich ofert nie ustąpił w żadnym punkcie o cal. Zachowywał się tak, jakby naprawdę nie obchodziło go to, że będzie musiał oddać wszystko. W końcu walnęłam pięścią w stół.

— Dość tego. Siedzimy tu od dwóch godzin, męcząc ten sam nierozwiązywalny problem. Wiesz, że nie mogę aresztować Gwizjusza. Jest zbyt potężny; każdy katolik we Francji zwróciłby się przeciwko nam.

Nawarczyk rozsiadł się wygodniej, posyłając mi dziwny uśmiešek.

— Jest potężny tylko dlatego, że dając mu wolną rękę, nieskończenie wzmocniłaś jego pozycję. Co zyskam, godząc się na twoje żądania, poza tym, że Gwizjusz zaprzysięgnie mi zemstę do ostatniego tchu? Przecież nie marzy o niczym prócz tego, żeby mnie zniszczyć. — Wstał i poszedł napełnić kielich. — Myślę też, że gdybyś doprowadziła do trwałego pokoju, nie wiedziałabyś, co ze sobą począć. Tymczasem ja mam serdecznie dość tego konfliktu. Gdyby to ode mnie zależało, nie wypowiedziałbym następnej wojny.

Kiedy odwrócił się do mnie plecami, pomyślałam, iż to doprawdy ironia losu, że ten człowiek, którego wyniesienie na tron miało oznaczać niepowodzenie moich synów, może rozwiązać wszystkie moje problemy — może uratować Francję. Czy Nostradamus miał rację? Czy uratowałam króla Nawarry, ponieważ w istocie był moim dziedzicem?

Przyszedł czas się dowiedzieć, jak jest naprawdę. Teraz należało wykonać ostateczne posunięcie.

— Nie musisz iść na wojnę — rzekłam po chwili. — Nawróć się na naszą wiarę i zakończysz cały ten konflikt. Gwizjusz nie może walczyć z katolickim następcą tronu. Twój pobratymcy ci wybaczą. W końcu odziedziczysz przecież Francję.

Zachichotał.

— Czyżby to, co mówią o tobie, jednak miało być prawdą? Że gdy w grę wchodzi korona, żadne inne względy się nie liczą? — Jego uśmiech zniknął. — Powiedziałem: nie. Nie nawrócę się. Obawiam się, że jeśli nie masz innych propozycji, wojna jest nieunikniona.

Odstawiłam kielich na boczny stoliczek i wstałam, podchodząc wolno do okna. Wczesny zimowy zmierzch opadał jak gruby płaszcz, osłaniając czarnymi fałdami ziemię. Czułam noc w sercu, w ścięgnach, głęboko w kościach. Czasu ubywało. Udzielił mi takiej odpowiedzi, jakiej się spodziewałam. Nie mogłam się dłużej wahać.

— Co gdybym ci dała jego głowę? — spytałam, nie oglądając się. — Czy to by cię zadowoliło?

Słyszałam, jak drewno trzeszczy w kominku. Czekałam napięta do ostateczności. Kiedy w końcu usłyszałam, jak wzdycha, obejrzałam się przez ramię. Cienie tańczyły na jego pobrużdżonej twarzy.

— Wiesz, że jestem do tego zdolna — dodałam. — Robiłam już takie rzeczy.

Usta mu drgnęły. Postawił kielich na kominku i stał przed paleniskiem z rękami skrzyżowanymi na piersi, wpatrzony w płomienie.

— Admirał miał straszną śmierć — rzekł beznamiętnym głosem. — Moi bracia umierali w niewyobrażalnych mękach. Myślałem, że też zginę. Słyszałem krzyki i widziałem moich ludzi walczących z najemnikami Gwizjusza. Gdyby nie Margot... — Spojrzał na mnie. — On zasługuje na śmierć. Skapał się w hugenockiej krwi.

Popatrzyłam w jego zamyślane oczy.

— Świetnie — powiedział ze spokojem. — Zgadzam się. Jeśli dasz mi Gwizjusza, będę bronił twoich synów. A kiedy przyjdzie czas, Francja znajdzie we mnie obrońcę; wodza, który będzie dbał o tolerancję i pokój dla wszystkich poddanych, bez względu na wiarę.

Oddech, który na chwilę uwiązał mi w płucach, w końcu z nich się wydobył.

— W takim razie na ten czas musimy odgrywać wrogów. Przygotujesz się za moimi plecami do wojny. Gwizjusz się o tym dowie

i zaatakuje. Nie wolno ci wkraczać do Paryża ani zgłaszać roszczeń do tronu. Zrób, co do ciebie należy, i wracaj do swojego królestwa. Resztę zostaw mnie.

Wytrzymał moje spojrzenie. Cisza, która między nami zapadła, wypełniła się wspomnieniami. Zobaczyłam go takim, jakim był w przeddzień ślubu mojego Franciszka — ostrożne dziecko o mądrym spojrzeniu; w dzień, kiedy przybył poślubić Margot i kiedy przytuliłam go do siebie, czując jego ciepło. Przypomniałam sobie tamtą krwawą noc, gdy leżał przy Karolu, mając sztylet przy gardle; i wyobraziłam go sobie w dzień ucieczki, pędzącego do swej górskiej kryjówki przez nasz rozerwany wojną kraj. Ujrzałam go w każdym wcieleniu: dziecka, młodzieńca, mężczyzny, i wiedziałam bez żadnych wątpliwości, że nasze losy zostały z góry ustalone.

W rzeczy samej byliśmy połówkami całości.

Wysłałam Henrykowi dokładne instrukcje i spakowałam się na powrót do Paryża. Dzień przed moim wyjazdem przybył kurier, przywożąc ważne wieści. Złamałam pieczęć i przeczytałam list; nie potrafiłam stłumić mrocznej fali satysfakcji. Chociaż wydarzenie samo w sobie było potworne, nie mogło nastąpić w lepszym momencie.

Maria Stuart została ścięta na rozkaz Elżbiety. W testamencie przekazała Hiszpanii swoje domniemane prawa do tronu Anglii; teraz Filip mógł przybrać szatę mściciela i zesłać deszcz ognia na heretycką królową.

A Gwizjusz miał idealną wymówkę, aby wypowiedzieć wojnę Henrykowi Nawarskiemu.

Luwr wyłaniał się z gęstej mgły. Mimo że było południe, na fasadzie gorzały pochodnie, niewielkie kule światła rozjaśniające drogę przez dziedziniec. Nie pojawiła się żadna świta, aby przywitać mnie po powrocie; przyczłapał samotny Birago, stukając laską o kocie łby.

— Osobiście oddałem jego królewskiej wysokości twój list, pani, i król zrobił to, o co go prosiłaś — zamruczał, wiodąc mnie do pałacu. — Oczekuje cię w sali. Powinnaś wiedzieć, że ma nowego kompana, niejakiego Valette'a, syna drobnego paryskiego szlachcica. Jego królewska wysokość mianował go dowódcą gwardii, Czterdziestu Pięciu, jak ich nazywa. Drży przed skrytobójcami.

Skinęłam głową na znak, że go słucham. Kiedy szliśmy dziwnie cichymi korytarzami, przypomniałam sobie czasy, w których śmiechy i zjawiskowe stroje dworzan wypełniały każdą komnatę. Tułałam się tam, obce brzydkie kaczątko w wymyślnych sukniach, trawione pożądaniem wobec niechętnego męża i nienawiścią wobec jego kochanki. To były czasy, w których hugenoci stanowili drobne utrapienie, a na tronie zasiadał potężny i mądry król — ulotny sen.

W sali audiencyjnej płonęły wielkie świece. Opodal tronu stała grupa odzianych na czarno panów; w środku Gwizjusz, również od stóp do głów w czerni. Opanowałam śmiech, gdy nisko się skłonili, sami katolicycy wielmoże zaproszeni przez Henryka tak, jak mu poleciłam. Chociaż oficjalnym kolorem żałoby we Francji była biel, nałożyli hiszpańską czerń, tym sposobem wespół demonstrując rozpacz i wściekłość po męczeństwie Marii Stuart. Tymczasem Henryk

wypełnił moje instrukcję, ale pofolgował skłonności do teatralnej przesady.

Podeszłam do nich. Rozstąpili się. Podniosłam wzrok na króla.

Zwiesił nogę przez poręcz. Jako jedyny miał na sobie szatę z białego adamaszku, w uchu perłę, na przegubach koralowe bransolety. W dłoni trzymał *bilboquet*, zabawkę z polerowanego drewna, kijek z przywiązaną sznurkiem kulą. Podrzucał ją i nadziewał na kijek. Obok stał młodzieniec uderzającej urody o gęstych czarnych włosach i szafirowych oczach, pewnie ten nowy faworyt, Valette. Trzymał identyczną zabawkę i czujnie mi się przyglądał.

Stuk.

— Witaj w domu, *maman* — rzekł z uśmiechem Henryk.

— Ufam, że podróż miałaś bardzo owocną, a co najmniej przyjemną? — Podrzucił kulę.

Stuk.

Spojrzałam na Gwizjusza. Patrzył na mnie tak, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

Henryk wyrecytował słowo w słowo tekst, który mu przygotowałam:

— Jak widzisz, nosimy żałobę po naszej zamordowanej szwagierce Marii Stuart. Oto czego każdy katolik może się spodziewać, gdy heretyk obejmie tron: prześladowań i apostazji. Powiedziano mi, że sam Bóg pewnie zapłakał. — Wstał i zszedł z podwyższenia. Kiedy się do mnie zbliżył, poczułam woń fiołków. — Chodź, zobacz, cośmy zaplanowali.

Mężczyźni otoczyli mnie niemiłe ciasnym kręgiem. Spojrzałam na rozpostarty na stole wielki arkusz — mapę Francji opisaną w wybranych miejscach chorągiewkami. Chociaż sama zaproponowałam to Henrykowi, namacalny widok szczegółów mojej intrygi sprawił, że żołądek zwinął mi się w supeł. Jeśliby się nam nie udało, mielibyśmy potężne katolickie wojska w naszych progach.

— Trzy armie — rzekł Henryk. — Pierwsza pod wodzą mojego Valette'a zetrze się z niemieckimi najemnikami, których opłacił Nawarczyk, wzmacniając swe siły. Druga, prowadzona przez obecnego tu zacnego Gwizjusza, zaatakuje samego Nawarczyka. A trzecią powiodę sam, zajmując pozycję w tym miejscu — wskazał je — przy Loarze, i broniąc dostępu do Paryża. — Roześmiał się i podrzucił kulę. — Cudowne!

Stuk.

— Mówisz... mówisz o wojnie... — udałam wstrząs, czując, że Gwizjusz stanął mi za plecami. Był tak blisko, iż czułam na karku jego oddech. Przez chwilę myślałam sparaliżowana, że a nuż wyczuł, iż pragnę go zwieść.

— Skąd ta myśl, pani, że Nawarczyk będzie walczył honorowo? — spytał. — Kłamstwo przychodzi mu tak naturalnie jak oddech. Czy nie nawrócił się, by niebawem powrócić do herezji?

Skupiłam się na Henryku. Skłonił głowę na ramię.

— A więc Nawarczyk nie powiedział ci, że jest przygotowany do wojny?

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknęłam. — Pojechałam omówić z nim warunki rozejmu, a on...

— Zrobił z ciebie głupca. — Henryk okrążył stół. Valette zduślił ziewnięcie, z kocim wdziękiem kładąc rękę na tronie.

Stałam bez słowa, jakbym nie potrafiła objąć rozumem tego, że zostałam oszukana.

Henryk odwrócił się do Gwizjusza.

— Mój kuzyn to sprytna sztuka. Poprosił o spotkanie w cztery oczy z moją matką, ale bynajmniej jej nie wspomniał, że już zatrudnił najemników. — Uprzedzając Gwizjusza, rzekł do mnie: — W przeciwieństwie do ciebie wie, że między nami nie może być mowy o kompromisie.

— Przysięgam ci, nie wiedziałam. — Mało brakowało, a uwierzyłabym w swoje zdumienie.

Henryk się uśmiechnął.

— Rozumiemy — powiedział Gwizjusz. — Wasza królewska moc nie jest tym, kim była. Jest znużona dźwiganiem brzemienia spraw państwa. Teraz musi odpocząć i pozwolić nam przejąć obowiązki.

— Tak — poparł go Henryk. — Odpocznij, mamó. Dość zrobiłaś.

Odwrócił się ode mnie, dając znak, że jestem odprawiona. Pochyliłam głowę i powoli wyszłam z sali. Wykonaliśmy nasze posunięcie; nie było powrotu. Pierwszy raz w swoim długim życiu ściągnęłam na kraj wojnę. Jeśli Nawarczyk dotrzyma obietnicy, nie wkroczy do Francji, nie przejmie siłą tronu mego syna. Będzie walczył z Gwizjuszem, zabije go i wtedy, da Bóg, w końcu będziemy mieli pokój.

Z okien moich apartamentów przyglądałam się żołnierzom trującym się na podwórku. Doprowadzali miecze do morderczej ostrości, ładowali na wozy amunicję. Smok wojny nadymał się przed moimi oczami i chociaż wiedziałam, że przysłuży się mojemu celowi, czułam na szyi szpony lęku.

Noc po tym, jak oddziały Nawarczyka wyruszyły przeciwko nam, Henryk przyszedł do mnie. Ponieważ nasze stosunki na pozór były zamrożone, uściskał mnie dopiero po zamknięciu drzwi. Jego ciało stwardniało od ćwiczeń; kiedy spojrzał mi w oczy, wyglądał jak dawny Henryk.

— Wyjeżdżam jutro — oświadczył. — Naprawdę wierzysz, że Nawarczyk dotrzyma swojej części umowy?

Skinęłam głową.

— Dotrzyma. Tylko pamiętaj, nie wolno ci brać udziału w bitwie. Twoje bezpieczeństwo liczy się przede wszystkim. Niech Nawarczyk nacieszy się zwycięstwem. — Wspięłam się na palce i pocałowałam go w usta, zanurzając zeszywniałe palce w jego włosy i wdychając jego zapach.

Nigdy wcześniej ani potem nie byłam z niego tak dumna.

Wojsko wymaszerowało; w Paryżu nakazano wczesne gaszenie świateł i zabroniono przebywać nocą na ulicach. Tymczasem mój wierny Birago, osłabiony latami podagry, zemdlął u moich stóp i został zabrany do łóżka.

Natychmiast wezwałam doktora Pare.

Stary medyk mimo całej swej wiedzy nie trzymał się lepiej od reszty nas, utykał na jedną nogą i tracił wzrok; odsłonił podbity futrem szlafrok Biraga, przyłożył ucho do zapadłej piersi mojego przyjaciela i posłuchał. Kiedy się wyprostował, smutno potrząsnął głową.

Birago zaśmiał się słabo.

— Pomódl się za mnie, medyku. Jestem szczęśliwszy od innych, bo przez te wszystkie lata udało mi się uciec przed twoimi naparami i pijawkami. — Odwrócił się do mnie. — Nie musisz zostawać, *madama*. Francja potrzebuje cię bardziej niż ja.

— Bzdura. — Powstrzymałam piekące łzy, które napłynęły mi do oczu. — Służyłeś wiernie krajowi; teraz Francja może poczekać.

Nie ruszyłam się od jego boku. Unikaliśmy wszelkich wzmianek o terażniejszości lub przyszłości, natomiast znajduwaliśmy pocieszenie we wspólnych wspomnieniach: naszej burzliwej morskiej wyprawy, mojego ślubu i lat spędzonych razem, lat wspierania królestwa, kierowania szpiegami i nauczania moich synów. Ze wszystkich mężczyzn w moim życiu Birago był ze mną najdłużej. Nie potrafiłam wyobrazić sobie świata bez niego. A jednak przez kolejne dni widziałam, jak gaśnie. Podagra przemieniła mu nogi w rozognione grzęzawisko; miewał wysoką gorączkę i kłopoty z oddychaniem, tak więc Lukrecja i ja na zmianę sypiałyśmy na dostawianej pryczy w jego pokojach, niosąc ulgę męczarniom umierającego.

W dniu, w którym odszedł, oddychał płytko, chrapliwe. Uściskał mi dłoń kruchymi palcami. Na krótką chwilę jego wąty uśmiech pokonał ból.

— *Madama*, będzie mi ciebie brakowało — powiedział.

Umarł, jak żył, bez narzekań. Trzymałam jego coraz chłodniejszą rękę i patrzyłam, jak z twarzy znika mu niezachwiana stanowczość, tak że wydał się spokojny i znów młody.

Skłoniłam głowę.

— Nie oddalaj się zbytnio, mój przyjacielu — szepnęłam.  
— Zaczekaj na mnie.

Gorąco opłakiwałam Biraga. Czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek, budząc się każdego ranka i na wpół oczekując, że przykuśtyka ze swymi teczkami. Był moim sojusznikiem, moim doradcą, teraz odszedł na zawsze. Miałam wrażenie, iż zatraciłam kierunek działania, i czułam się zagubiona, pozbawiona jedynej osoby, która znała mnie lepiej niż ja sama.

Kiedy byłam pogrążona w smutku, przyszła wiadomość, że Gwizjusz starł się z Nawarczykiem na łące w pobliżu Loary. Śpiewając psalmy Dawidowe, hugenocka armia szła do bitwy za swoim królem, który nosił u czapki białe pióro. W niecałe cztery godziny niezliczone trupy zasłały przesiąkniętą krwią trawę. Przychodziły coraz świeższe wieści, ale były pogmatwane, niejasne. Żaden kurier nie umiał powiedzieć, czy Gwizjusz bądź Nawarczyk zostali ranni lub zabici. Ukłękłam i modliłam się. Przed nocą dotarł do mnie wysłany w tajemnicy list Nawarczyka. Otworzyłam go drżącymi rękami.



Był krótki i głosił katastrofę.

*Zawiodłem. Gwizjusz umknął mi i ogłosił się zwycięzcą. Postąpię zgodnie z obietnicą i wycofam się. Nie mogę ryzykować życia moich żołnierzy ani nie chcę Cię wystawić na dalsze niebezpieczeństwo, Pani. Bóg z Tobą.*

Nie było podpisu, środek ostrożności na wypadek, gdyby list wpadł w niepowołane ręce. Papier falował mi przed oczami. Staralam się nie zemdleć. Chciało mi się płakać, krzyczeć i przeklinać los. Wyobraziłam sobie najgorsze, siebie i Henryka na zawsze w niewoli Gwizjusza, bezradne pionki w jego grze, której finałem byłoby ucyńnienie z Francji katolickiej twierdzy. Francuzi podporządkowani Hiszpanii, hugenoci wymordowani do ostatniego; rządy mojego syna zwieńczone nie triumfem, lecz haniebną klęską. A tak byłam pewna sukcesu, tego, że proroctwo Nostradamusa sprzed wielu lat związało mnie z Henrykiem NawarskimL.

Ale żadna prawda względem przyszłości nie jest pewna, pomyślałam i przycisnęłam rękę do ust, dusząc wybuch gorzkiego śmiechu. Wyglądało na to, że nie ma okrutniejszego kuglarza nad los.

Potem wstałam i przygotowałam się na powitanie wracającego do domu syna. Nie robił nic, jedynie przyodziany w zbroję przeczeakał krótką wojnę. Gdy wjechał do Luwru, zobaczyłam wstrząs na jego spopielalej twarzy.

Ludwika uściskała go ze łzami w oczach.

— Boże, ratuj — powiedział, obejmując żonę. — Wszystko co miałem, leży teraz u stóp Gwizjusza.

Podeszłam do niego. Roztrzęsiony dał znak Ludwice, by odeszła. Zniżyłam głos.

— Pamiętaj, on nie wie, że cokolwiek planowaliśmy. Zaproszę go na dwór, jakbyście nadal byli sojusznikami.

— Ma armię na swoje rozkazy! Będzie chciał mojej duszy.

— Obiecuję ci, nie wygra. — Przygarnęłam syna. — Mamy jeszcze ostatnią szansę...

Nawet tkwiąc w Luwrze, słyszeliśmy przytłumione okrzyki na ulicach. Wyobraziłam sobie dzieci rzucające kwiaty, kobiety ocierające łzy, mężczyzn — wszystkich mężczyzn, garbarzy, sklepikarzy,

kupców i żebraków — wymachujących pięściami, gdy ryczeli: — Gwizjusz! — wynosząc pod niebiosa męża, który uwolni! Francję od hugenockiego zagrożenia. Uznałam za ponurą ironię losu, iż nie mieli pojęcia, kto wbrew swej woli pozwolił Gwizjuszowi na ten triumf.

Spojrzałam na Henryka w koronie i wysadzonym klejnotami płaszczu. Siedział sztywno, mając obok siebie Ludwikę, która splótła na podołku upierścienione palce. Siedziałam poniżej; pod ścianami sali stała cała gwardia Henryka, Czterdziestu Pięciu. Valette w kolczudze i z pistoletem za pasem strzegł złoconych drzwi.

Nagle dobiegły mnie rosnące odgłosy ciężkich kroków. Stężałam na krześle, mając przed oczami żywe wspomnienie tamtej chwili, w której Pokiereszowany zaatakował pałac i stawiał mu czoła w tej samej sali, mając u boku Karola. Wtedy byłam oszalała, butna; gotowa walczyć na śmierć i życie. Teraz moje pragnienie zemsty nie osłabło, ale czekałam ze spokojem jak pajak w starannie utkanej sieci.

Zatoczyliśmy pełny krąg, tyle że w przeciwieństwie do innych nauczyłam się na błędach.

Znów spojrzałam na Henryka; wyprostował ramiona, kiedy wszedł Gwizjusz, prowadząc grupę sześciu odzianych na czarno panów. Wydawał się niebywale wielki w białym kaftanie i rozcinanych pludrach. Na umięśnionych nogach miał wysokie skórzane buty, czerwony krótki płaszcz — swój znak wyróżniający — zgodnie z nową modą spiął na jednym ramieniu. Jasną bródkę przystrzygł w szpic; oczy w spalonej słońcem twarzy patrzyły bystro jak u drapieżnego ptaka. Tylko kilka zmarszczek zdradzało, że dobiega już czwartego krzyżyka.

Podszedł do tronu i skłonił się.

— Przybywam zgodnie z rozkazem jego królewskiej wysokości.

— Rozkazałem ci, byś stawił się przede mną sam, bez eskorty — odparł Henryk.

— Nic na to nie poradzę, że jestem otaczany tak wielką miłością

— rzekł Gwizjusz tak arogancko, że aż zgrzytnęłam zębami. — Jeśli wasza królewska wysokość wyrazi takie żądanie, polecę im się rozejść.

Henryk szybkim ruchem zerwał się z tronu. Wskazał palcem Gwizjusza.

— Kto tu jest królem, panie, ty czy ja? Natychmiast odeślesz swoich kompanów! — Kiedy mówił, przebiegł wzrokiem po katolickich wielmożach, których obszerne płaszcze mogły ukrywać mnogość broni. Czterdziestu Pięciu jak na zawołanie obnażyło miecze. Metaliczny syk odbił się echem od ścian i sufitu rozległej sali.

Krew uciekła z twarzy Gwizjusza. Doznałam ponurej radości, widząc, że nadal potrafimy wzbudzić w nim lęk. Nie zapomniał, jak łatwo w tych murach może popłynąć krew. Jednakże nie zwolnił eskorty. Sięgnął pod płaszcz i wyjął zwój.

— Liga pragnie tylko, aby uhonorowano nasze porozumienie. — Położył zwój na krawędzi tronowego podium. — Oto nasze warunki. Żądamy, królu, abyś ustanowił we Francji Świętą Inkwizycję, która oczyści kraj z hugenotów. Prosimy, aby Karol Lotaryński, syn twojej świętej pamięci siostry Klaudii, został mianowany następcą tronu, a heretyk Henryk Nawarski został pozbawiony prawa do sukcesji, ogłoszony zdrajcą i pod karą śmierci miał zakazany wstęp do tego królestwa.

Dojrzałam, że Henryk zaciska szczęki, i ogarnęła mnie nagła obawa. Po części spodziewałam się, że wyda rozkaz zabicia Gwizjusza, chociaż wcześniej ustaliliśmy — nie tutaj. Nie w katolickim Paryżu, którego ludność pomściłaby swego bohatera, gdyby spadł mu chociaż włos z głowy. Zdałam sobie sprawę, że Ludwika musi czuć to samo, gdyż ogarnięta przerażeniem bez słów spojrzała mi w oczy. Biedna Ludwika; nieprzygotowana do roli królowej, wprzęgnięta w beznamiętny związek, bezdzielna, tonęła bezradnie w kipielem nienawiści i oszustw. Henryk nie powinien być się z nią żenić. Tu nie było dla niej miejsca.

Mój syn w milczeniu wpatrywał się w Gwizjusza. Ku swej uldze dostrzegłam nieznaczny ruch podbródka, subtelną zmianę tonu głosu, gdy się schylił, biorąc zwój.

— Wygląda na to, że pomyślałeś o wszystkim — rzekł z wymuszonym śmiechem. — Ty i twoi panowie musicie dziś wieczór sięść z nami do uczy, abyśmy mogli dokładnie omówić te żądania.

Gwizjusz zmarszczył brwi. Serce uderzyło mi żywiej. Czy nie posunęliśmy się za daleko, stwarzając pozory uległości?

— Kiedy wasza królewska mość podpisze warunki, będzie wystarczająco dużo czasu na ucztowanie — powiedział. — Oczekuję odpowiedzi w ciągu trzech dni. — Bez słowa więcej odwrócił się

i wyszedł. Czerwony płaszcz wzdał się wysoko, otoczenie okoliło wodza.

Kiedy tylko zniknęli, Henryk cisnął na bok zwój, zszedł z podium i zbliżył się do okna. Z miejsca, gdzie stanął, słyszał wrzaski ludu, który znów się rozdarł na widok Gwizjusza i jego podwładnych wychodzących z Luwru.

— Niech żyje Gwizjusz! Niech żyje książę!

Podeszłam do syna.

— Bądź cierpliwy — powiedziałam. — Twoja godzina przyjdzie.

Nie popatrzył na mnie.

— Kiedy? — spytał napiętym szeptem.

— Niebawem — zapewniłam, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Sam zastawił na siebie pułapkę. Teraz wystarczy nam czekać, aż w nią wpadnie.

Burzowe chmury zebrały się na ołowianym niebie. Pioruny biły, ale deszcz nie spadał. Powietrze było wilgotne, przesiąknięte wonią siarki. Siedząc u siebie, rozpaczliwie czułam brak Biraga, gdy spływały godzinne raporty od jego nadal pracujących dla mnie informatorów. Gwizjusz, czekając, aż mój syn dostarczy mu podpisany zwój, symbol kapitulacji, nie tracił czasu i sprowadził do swej paryskiej rezydencji rodzinę. Lud gromadził się przed drzwiami jego pałacu, zachowując pełną szacunku ciszę, katolicycy najemnicy infiltrowali miasto.

Paryż, przez stulecia siedziba monarchii, stał się twierdzą Gwizjusza.

O świcie trzeciego dnia obudził mnie łomot bębnow. Szybko się ubrałam. Sięgałam po szal, gdy weszła Lukrecja, niosąc coś owiniętego w czarną szmatę. Podało mi zawiniątko.

— Użyj tego, pani — syknęła. — Wbij w czarne serce Gwizjusza. Nikt bardziej na to nie zasłużył.

Rozwinęłam szmatę i zobaczyłam sztylet z wygrawerowanym na rękojeści srebrnym łańcuchem. Nie widziałam go od śmierci Guasta; to nim Herkules zabił kochanka Henryka.

Owinęłam go i skinąwszy Lukrecji, ruszyłam ucichłymi korytarzami.

Henryk siedział u siebie. Zająłam miejsce obok niego i wsłuchaliśmy się w krzyki z zewnątrz, rosnące jak wycia dzikusów.

Informacje trafiały do nas sporadycznie; dowiedzieliśmy się, że większość pałacowych dostojników uciekła, kiedy się dowiedzieli, że Gwizjusz podjudził lud, by zarzucił ulice kłodami, broniąc nam drogi ucieczki. Poza niepatrolowanymi ogrodami Tuileries, zamkniętymi murami i bramami, każda ulica do pałacu była pod kontrolą najemników Gwizjusza. Powtarzał się scenariusz z czasów krwawych godów.

Wszystko było przygotowane na naszą klęskę. Nie spełniliśmy warunków Ligi, Gwizjusz zatem szykował się obalić nas siłą i osadzić na tronie siostrzeńca króla Henryka i mojego wnuka.

W końcu miał odsłonić swą prawdziwą twarz — zdrajcy. Będziemy mieli wolną rękę.

Wiadomość przyniósł jeden z jego najemników. Podał Henrykowi złożoną kartę i czekał z trwożą, co i rusz patrząc na stojących pod ścianą gwardzistów. Mój syn rozłożył list, przejrzał go i upuścił do stóp. Odprawił posłańca.

— Gwizjusz rozkazuje mi się podporządkować. — Podniósł ku mnie wzrok.

Czułam się tak, jakbym całe życie tylko szykowała się na tę chwilę. Podeszłam do stołu, zanurzyłam w atramencie pióro.

— W takim razie musisz przystać na to porozumienie. Podpisz je i zostaw tutaj. Ja je dostarczę. Spakuj to, co możesz sam zabrać, weź Ludwikę, Valette'a, gwardię i jak najszybciej ruszaj do pałacu w Blois. Możecie przejechać przez Tuileries przebrani za służbę. W tłumie nikt was nie rozpozna, to robactwo już postawiło na nas krzyżyk. — Podałam mu owinięty sztylet. — Kiedy przyjdzie twoja godzina, zrobisz z tego użytek ku pamięci twojego Guasta.

Długo patrzył na sztylet, zanim się pochylił nad biurkiem i złożył podpis na zwoju.

— A ty? — spytał, zagryzając wargę. — Jak mogę wyjechać, nie wiedząc, czy będziesz bezpieczna?

— Gwizjusz nie odważy się podnieść na mnie ręki — powiedziałam ze spokojem. — Jedź. I choćby się waliło i paliło, nie oglądaj się za siebie.

Gwizjusz nie zaatakował Luwru, chociaż napotkałby znikomy opór. Ci dworacy, służący i strażnicy, którzy jeszcze zostali, opuścili

nas, tak że pozostałam tylko z najbliższymi sługami, czekając na to, co los jeszcze trzymał dla nas w zanadrzu.

Kiedy siedziałam u siebie przed kominkiem, nie śpiąc, mając wokół na pryczach sługi czekające na moje skinienie, pierwszy raz pomyślałam o tamtej nocy, kiedy pozwoliłam Gwizjuszowi i Henrykowi zamordować Gasparda. Czy czekał w tamtym domu jak ja teraz, wiedząc, że koniec jest bliski? Czy na łożu śmierci modlił się do swojego beznamiętnego Boga, czy też błąkał pośród dymiących czeluści wspomnień, wracając do tamtego czasu w czarownym pałacu, gdzie natrafił na młodą narzeczoną innego, samotną i potrzebującą kogoś, w kogo mogłaby uwierzyć? I jeśli myślał o mnie w tamtej ostatniej chwili, zanim wyłamano z hukiem drzwi, czy uśmiechnął się choćby raz, krótko, wiedząc, że w końcu wszyscy trafimy przed ten sam sąd?

O świcie ogniska przygasły, a budowniczy barykad leżeli bez czucia, uspieni rozdawanym przez Gwizjusza winem. Wstałam, ubrałam się, rozkazałam przygotować lektykę. Wynurzyłam się na zimne poranne światło zalegające dziedziniec. Dwie przekupy płątały się przy bramach pałacu. Kiedy szłam do lektyki, usłyszałam, jak jedna z nich zasyczała:

— Wyszła ta królowa Jezabel.

Moja ręka zastygła na klamce drzwiczek.

— Jezabel! — wrzasnęła druga. — *Reine de la mort!* Królowa śmierci!

Patrzyłam beznamiętnie na wykrzywione gęby przyglądające mi się ze wściekłością zza żelaznego ogrodzenia, za którym upłynął szmat mojego życia, i nagle wróciła mi pamięć tamtego strasznego dnia w dzieciństwie, gdy tłuszcza wpadła po mnie do rodzinnego *palazzo*.

„Precz z Medyceuszami! Śmierć tyranom!”.

Odwróciłam się i założyłam kaptur. Anna Maria załamywała ręce; bała się, że zostanie uwięziona, chociaż miałam słowo Gwizjusza, że kiedy tylko dostarczę zwój, wypuści mnie. Uśmiechnęłam się, gdy Lukrecja pomagała mi włożyć rękawiczki na opuchnięte palce.

Uściskałyśmy się.

— Bóg z tobą, pani — szepnęła. — Spotkamy się w Blois.

— Pamiętaj. Puzdro z kosztownościami i porządna suknia, no, dwie — rzekłam ostro. — Reszta może zostać. Gwizjusze przetopią moje srebra na pamiątkowe medale.

Łza spłynęła po policzku Anny Marii. Lukrecja przytuliła ją, gdy weszłam do lektyki.

Wstające słońce przebiło się przez białe niebo. Oczekałam, zanim dałam znak do wyruszenia. Opuszczałam Luwr, scenę moich największych triumfów i najgorszych błędów, w końcu wygnana przez rodzinę, której mimo wszelkich moich pragnień nie udało mi się zmiażdżyć. Paryski lud spotwarzał moje imię, a mój syn w towarzystwie żony i najbliższego otoczenia galopował nad Loarę, zostawiając za sobą kołyszące się skrzydła bramy.

Kiedy po raz ostatni popatrzyłam na stary kamienny pałac, w wyrozumiałym świetle poranka przemieniony w popiele i róże, pożegnałam się z nim bez łez i żalu.

Przecież w końcu byłam Medyceuszką.

## R O Z D Z I A Ł 39

Arabskie podanie powiada, że dzień i sposób naszej śmierci są z góry ustalone i żadne usiłowania nie mogą tego zmienić. Wierzenia pogan ani nawet obietnice wiecznego życia głoszone przez mój Kościół nigdy nie budziły we mnie zbytniego przekonania. Widziałam zbyt wiele zrad popełnionych w imię takiej czy innej religii.

Niemniej miałam rozliczne okazje, aby się zastanowić nad niewidzialnym bytem, który kieruje naszymi ścieżkami, i zadawałam sobie pytanie, dlaczego uznał za stosowne tak mnie doświadczać. Czy nie starałam się o moich bliskich równie mocno jak każdy? Inni żyją krócej, wykonują ułamek mojej pracy, a jednak siedzą na tronach z aureolą wokół głowy, podczas gdy ja jak złoczyńca tonę w kalumniach, którymi jestem obrzucana.

Kiedy oczekuję nieuniknionego, widzę zmarłych. Pierwszego księcia Gwizjusza, Joannę Nawarską, Gasparda i Marię Stuart — moich niegdysiejszych wrogów i współników, męczenników swoich spraw. Ważni za życia, po śmierci stali się legendą.

Pytam siebie: jaką legendę historia napisze dla mnie?

W wielkiej sali zamku Blois, pełnej złożonych pilastrów i malowanych łuków, zebrali się członkowie Ligi, aby triumfować z okazji kapitulacji mojego syna. Moje posłowanie do Gwizjusza przyniosło owoce; jak się spodziewałam, nie pozbawił mnie wolności. Przyjął traktat i pozwolił mi przybyć w to miejsce, abym połączyła się z synem, chociaż podróż z Paryża po tylu miesiącach niepokoju wyczerpała resztę moich sił.



Nie znalazłam się więc w sali, ale posiałam tam Lukrecję i opowiedziała mi wszystko. Byli tam wszyscy, którzy bez wytchnienia spiskowali, aby doprowadzić do naszego upadku: katoliccy wielmoże, gubernatorzy i urzędnicy, przebiegłi ambasadorzy i oczywiście szpiedzy. Na podium stał odziany w gronostaje Henryk i pełnym spokojem głosem oddał mi hołd.

— Niewyobrażalne są przeciwności losu, z którymi musiała się uporać królowa matka dla dobra naszego królestwa. Myślę, że słusznym jest, aby podczas tego zgromadzenia wyrazić jej w imieniu Francji naszą wdzięczność. Jakich prac nie wykonała, aby pokonać nasze kłopoty? Kiedyż wiek czy słabe zdrowie sprawiły, że oszczędzała samą siebie? Czy nie poświęciła swojego dobra? Od niej nauczyłem się, jak być królem.

Żałuję, że nie mogłam oglądać twarzy naszych panów, na własne oczy zobaczyć ich męki podczas wysłuchiwania pochwał na cześć włoskiej Jezabel. Lecz jestem przykuta do łóżka, ból jak szczęki imadła za każdym oddechem ściska mi piersi, gorączka draży ciało, nogi opuchły mi od nagromadzonego płynu. Dolegliwości w końcu na dobre mnie dopadły. Medycy wmuszają we mnie paskudne mikstury, nakładają kompresy z ziołowymi naparami na spuchnięte kostki nóg. Zapewniają mnie, że wydobrzeję, że to chwilowa słabość.

Uśmiewam się. Nie śmią powiedzieć na głos tego, co już wiem.

Śpię zbyt dużo. Sypie śnieg, w pokojach moje służki podtrzymują ogień w koszach z polanami. Mam wszystko, moje tapiserie i srebrne naczynia, ulubione portrety i przenośne biurko — wszystko z Luwru trafiło tutaj. Lukrecja jest niepoprawna. Powiedziałam jej, żeby nie pakowała zbyt wiele, i co zrobiła? Na wozach i grzbietach mułów przetransportowała cały pokój.

Czasem budzę się w nocy i słyszę moje służki w przedpokoju. Anna Maria chciała spać w nogach łóżka, ale odmówiłam. Jest stara. Potrzebuje własnego łóżka, nie poduszki u moich stóp. Lukrecja ją zbeształa:

— Poza tym pani nawet nie zmruży oka, tak chrapiesz.

Anna Maria chrapie. Nigdy nie zauważyłam.

W najciemniejszych godzinach nocy, kiedy jestem sama ze swoimi myślami, zapalam świeczkę, stawiam ją na poplamionym atramentem pulpicyku przenośnego biurka i wyjmuję notatki. Pieszczę postrzępione karty, na które padały deszcze Loary i śnieg Nawarry,

świeciło słońce Bajonny. Czytam je z miłością, jeszcze raz przechodząc szlaki mojego życia. Od Florencji do Fontainebleau, od Chononceau do Luwru, księżna i żona delfina, królowa i królowa matka — odegrałam każdą rolę.

Czasem sen morzy mnie otoczoną stosami zapisków i gdy otwieram oczy, widzę, że zniknęły, ukryte w przeznaczonej im niszy. Lucrecja zawsze budzi się przede mną. Zna moje tajemnice i nigdy nie powiedziała słowa. Wiem, że kiedy przyjdzie czas, będę mogła jej zaufać. Spełni moją ostatnią wolę.

Co to za dzień? Nie mogę sobie przypomnieć. Święta Bożego Narodzenia muszą być blisko. Niegdyś czas wydawał mi się tak cenny, tak niestały, ulotny i wiecznie nieuchwytny. Teraz godziny wloką się jak nitki z kądzieli Penelopy, krążą wkoło, odpychając ostateczność.

Henryk odwiedza mnie, przynosząc woń piżma. Znów nazbyt wychudł. Nosi morwowy kaftan. Jest bardzo podniecony, grzebie między fiolkami na toaletce, gładzi szczotki, muska lusterko. Widzę, że bardzo mu się podoba, patrzy na nie z pożądaniem, jak wtedy gdy był chłopcem.

— Czemu on jeszcze żyje? — pytam.

Wzrusza ramionami, szczupłymi palcami pięści ozdobnie tłoczoną rączkę lusterka.

— Czekam — mówi.

— Czekasz? Na co?

Odkłada lusterko i podchodzi do łóżka. Twarz ma w rumieńcach, ale nie gniewu. To radość. Coś się wydarzyło.

— Zdradzić ci sekret? — Pochyliła się do mojego ucha. — Filip wysłał armadę, chciał zawojować Anglię. Elżbieta rozniosła ją w drzazgi. Cały Paryż śmieje się z Gwizjusza. Wziął od Filipa pieniądze, żeby zbudować Ligę. W mieście na każdym rogu wisi afisz: „Zagubiona niezwykła armada! Znalazca jest proszony o poinformowanie mojego pana księcia”.

Cofa się roześmiany.

— Czy to nie cudowne? Heretyczka Tudor triumfuje, a Filip jest zrujnowany. Gwizjusz stracił hiszpańskiego sojusznika.

Chcę podnieść się z łóżka, wezwać Biraga, żeby przejrzał raporty i znalazł potrzebne informacje. Birago jednak nie żyje, a ja nie

mogę się ruszyć. Mogę tylko patrzeć, jak mój syn wychodzi z pokoju, nucąc pod nosem:

— Zagubiona, zagubiona armada na morzu...

Tej nocy wróciła gorączka. Cienie przychodziły i odchodziły, szeptały:

— Płyn w płucach... trzeba jej upuścić krwi.

Czuję ich strach. Boją się o mnie. Myślą, że umrę. Chcę umrzeć. Pragnę na wieczność osunąć się w upragnioną nicość. Ale jeszcze nie.

Francja uczepiła się mnie; nie da mi spocząć.

Jest znak. Pojawił się.

Wczesnym rankiem budzą mnie nagłe krzyki i głośne tupoty nóg; w pokoju nade mną chyba wybuchła kłótnia. Na górze są apartamenty mojego syna; wpadają sługi nieprzytomne od snu. Szkarłatna kropla przesącza się między belkami sufitu. Wisi, przywierając do malowanych na szmaragdowo i złoto belek, zanim spadnie i rozbryzgnie się na kołdrze obok mojej ręki.

Zatchnęło mnie. Lukrecja podbiega do łóżka; po jej przejęciu, drzeniu ręki, którą kładzie mi na czole, wiem, że ani ona, ani Anna Maria nie widzą krwi, gdy spada kropla po kropli, głucho stuka, uderzając o łóżko. Ale ja ją widzę. Widzę krew. Kapie z sufitu tak, jak kiedyś widziałam we śnie, przed śmiercią Herkulesa.

Tyle że tym razem nie śpię.

Lukrecja bierze buteleczkę z wywarem makowym stojącą przy łóżku. Chce przygotować miksturę, myśląc, że mam bóle. Syczę:

— Nie. Idź zobaczyć, co się dzieje.

Lecz gdy zdumiona patrzy na Annę Marię, wchodzi Henryk. W ręce trzyma sztylet z zakrwawionym ostrzem. Rzuca go na łóżko. Moje służki kulą się i wzdrygają, kiedy na kołdrze wyrasta krwawa plama.

— Zrobione — mówi. — Walczył jak dzikie zwierzę w klatce, ale w moim sercu nie było dla niego miejsca.

Patrzę na niego bez słowa. Widzę krew na brodzie, z boku szyi.

— Zaprosiłem go na śniadanie — dodaje i głos mu się uspokaja, przechodzi w niemal melancholijny ton, jakby wspominał odległą przeszłość. — Przyszedł z bratem, lecz bez innych; naprawdę

myślał, że własnoręcznie go obsłużyć. I obsłużyłem. Zadałam pierwszy cios, zanim Czterdziestu Pięciu skończyło z nim raz na zawsze. Niestety, jego brat też musiał umrzeć.

Opuszczam powieki. Gwizdus nie żyje. Mój syn w końcu odzyskał tron.

Lukrecja bierze sztylet i wyciera do czysta o spódnice.

W nocy miałam sen. Widziałam w nim klęczących płaczących ludzi. I widziałam pokój, okryte kirem łóżko — czekające na mnie. Budzę się, dusząc, zaplątana w pościel. Wbiegają Anna Maria i Lukrecja. Nawet rozpalone kosze nie mogą rozpędzić zimna. Obłóczki oddechów moich służących wiszą w powietrzu. Anna Maria i Lukrecja stoją przy łóżku, patrzą na mnie, gdy mówię:

— Musicie mi pomóc wstać.

Próbują mnie zniechęcić, mówią o strasznym zimnie, gorączce, zaleganiu flegmy w płucach. Grożą, że wezwą medyków. Nic mnie nie zatrzyma. Sama zaczynam się podnosić, napędzana zdecydowaniem równie niespodziewanym dla mnie samej jak dla nich.

— Muszę — mówię. — Muszę.

Wkładają na mnie czarną suknię, narzucają mi na ramiona płaszcz i podają rękawiczki. Potrząsam głową.

— Nie, bez rękawiczek. Miałam gołe dłonie.

Patrzą na mnie, jakbym oszalała. Może oszalałam. Ale muszę to zobaczyć na własne oczy. Muszę się przekonać, że to co zobaczyłam wiele lat temu jako dziecko, we Florencji, w końcu się wydarzyło.

Idziemy zmrożonymi korytarzami, kapcie szurają na kamiennych płytach. Cały zamek znieruchomiał, lodowy labirynt. Skupiam się na stawianiu jednej stopy przed drugą. Moje nogi to granitowe słupki. Rzęzę. Czuję w ustach krew. W innych okolicznościach zemdlałabym.

Okrażam róg. Są. Otwarte drzwi. Słyszę dobiegające zza nich lamenty. Lukrecja łapie mnie za ramię, szepce, że to służbówka, nie ma powodu, żebyśmy tam wchodziły.

Potrząsam głową i pełznę do drzwi jak leniwy ślimak, jakbym przybyła ze świata duchów do świata śmiertelnego, w którym nic nie jest pewne. Zatrzymuję się, łapiąc framugi.

Nieznajomi odwracają się do mnie, mają na twarzach izy. Nie słyszę ich głosów, widzę wielkie łożo z baldachimem z kiru. Idę ku niemu, nie wydając żadnego dźwięku, pozbawione czucia stopy miażdżą wiosenne kwiaty, wciągam w płuca, choć jej nie czuję, kwaśną woń sitowia i kadzidła; wyciągam rękę, aby rozsunąć zasłony, i odsłaniam...

Wypuszczam długi oddech. Od dawna czekałam na ten widok.

Oczy Gwizjusza są zamknięte, przystojne oblicze jest oczyszczone z krwi, która zbryzgała je, gdy walczył o życie. Muskularne nogi wydają się wyrzeźbione z kości słoniowej, posągowe, doskonałe. Ciemne rany upstrzyły tors, znaki po czterdziestu pięciu sztyletach, które utkwily w ciele. W żyłastych dłoniach srebrny krucyfiks. Wydaje się nieprawdopodobne, że ten człowiek, którego życie złączyło się z moim, od kiedy po raz pierwszy bawił się z moimi dziećmi, którego widziałam po stracie ojca i podczas masakry rozpętanej przezeń w wigilię świętego Bartłomieja, może być tak nieruchomy. Był ostatni z rodu i chociaż rodzina Gwizjuszy jest potężna, nigdy nie dźwignie się na nogi.

W końcu, wbrew wszystkiemu, Francja zwyciężyła.

Cofam się. Odwracam. Gorączka pulsuje mocnej. Dusza mi rośnie.

Pozostał mi tylko ostatni obowiązek do spełnienia.

## BLOIS, ROK 1589

Skończyło się. Jak wiele lat temu przepowiedział stary mistrz, wypełniłam swoje przeznaczenie. Gorączka znów rośnie i czuję, że serce mi słabnie. Wkrótce domownicy przyjdą się pożegnać i syn usiądzie u mego boku, trzymając mnie za rękę, podczas gdy służące zapłaczą. Zacznie się czuwanie.

Zapiecztowałam ostatni list do Henryka. Przypominam mu, że droga do pokoju jest wolna. Jeśli poszuka porozumienia ze swym burbońskim kuzynem, Nawarczyk jemu zapewni bezpieczeństwo, a Francji pokój. Pozwoli Henrykowi rządzić, aż przyjdzie jego czas zasiąść na tronie.

Teraz muszę zakończyć te zapiski. Lukrecja wie, co robić. Mnie pozostaje obowiązek, ostatnia ofiara. Swoje sekrety muszę wziąć do grobu. Jednakże niechętnie zostawiam te karty wystrzępione, wybielone podczas pór roku mojego życia; pożegnać je to oddać wszystko, co kochałam i utraciłam.

To ostatnia stroniczka moich wyznań.

Zmieszam resztki daru mistrza z makowym wywarem. Fiolka jest zamglona, krucha, atoli, o dziwo, twarda; kiedy odbijam ze ścianek proszek i sypię go do kielicha, myślę: Jakie to dziwne, że ledwo szczypta może posiadać taką moc. Została odrobina; osłabiona latami czekania nie zdoła zabić od razu, ale może przyspieszy moje odejście.

Kiedy zbliża się mrok, zamykam oczy i po raz ostatni wzywam wizję Nawarczyka dosiadającego świetnego karego ogiera. Jeździec ma białe pióro u czapki, brodę gęstą, barwy miedzi, twarz stanowczą. Przybiega do niego paż i dysząc, mówi:

— Paryż się nie podda.

Płomień zniecierpliwienia błyska w oczach Nawarczyka. Słyszę odpowiedź. Tym razem nie muszę natężyć uszu; w ulotności bieżącej chwili nie gubię obietnicy przyszłości.

Odrzuca głowę i wybucha śmiechem.

— Odmawiają, co? No to muszę dać im to, czego chcą, hę?  
W końcu Paryż wart jest mszy!

Oddycham pełną piersią. Dokonało się.

## O D A U T O R A

Katarzyna Medycejska zmarła 5 stycznia 1589 roku w zamku Blois nad Loarą. Miała sześćdziesiąt dziewięć lat. W testamencie zostawiła legaty dla domowników, a większość nieruchomości oddała wnukom. Chenonceau poszło dla Ludwika. Druga synowa, wdowa po Karolu, Elżbieta Austriaczka, mieszkała tam z Ludwiką aż do śmierci, czyli do roku 1592.

Henryk odziedziczył pozostały dobytek matki. Katarzyna pominęła w testamencie Margot, która do roku 1599 przebywała uwięziona w Usson.

Ambasadorzy zagranicznych potęg w raportach ledwo napomknęli o śmierci Katarzyny, zajmując się bieżącymi sprawami. Była obiektem lęku i nienawiści, a miasto Paryż ostrzegło Henryka, że jeśli waży się pochować matkę w Saint-Denis, mieszczanie wygrzebią truchło i „ani się obejrzy”, jak cisną je do Sekwany. Po latach szczątki przeniesiono do Saint-Denis. Za rewolucji tłuszcza zbezczeszczyła bazylikę i wrzuciła królewskie szkielety do zbiorowego grobu. Jednak wspaniały marmurowy grobowiec, który Katarzyna zbudowała dla małżonka i siebie, można nadal podziwiać.

Kapucyn — podobno najęty przez żądną zemsty siostrę Gwizjusza — zasztyletował Henryka III w 1589 r. Ale król przed śmiercią zdążył zawrzeć porozumienie z Henrykiem Nawarskim; spekuluje się, że uczynił to pod wpływem ostatnich nalegań Katarzyny, lecz niezależnie od wszystkiego Nawarczyk wstąpił na tron jako Henryk IV i stał się jednym z najbardziej uwielbianych i tolerancyjnych władców. Zdobycie Paryża zajęło mu dziesięć lat. W końcu



nawrócił się na katolicyzm, pragnąc pozyskać stolicę. Ta decyzja zrodziła sławne powiedzenie: „Paryż wart jest mszy”.

Utworzona przez zamordowanego Gwizjusza Liga Katolicka działała dalej pod wodzą innego z braci; wywierała znaczący wpływ na katolicką Francję aż do stycznia 1596 roku, kiedy Henryk IV podpisał traktat, który zakończył jej istnienie.

Starsza linia Gwizjuszy wymarła w roku 1688.

Margot opuściła areszt domowy, dopiero gdy zgodziła się na unieważnienie małżeństwa. Wróciła do Paryża i mieszkała tam, coraz grubsza i otoczona coraz większym splendorem, legenda za życia i autorka wspomnień, których treść z rzadka pokrywała się z rzeczywistością. Umarła w 1615 roku, mając sześćdziesiąt jeden lat. Przeżyła eks-męża o pięć lat.

Henryk IV miał drugą żonę, Marię Medycejską, potomkinię bocznej gałęzi rodu. W 1601 roku urodziła mu przyszłego Ludwika XIII. Jak Katarzyna musiała znosić lata małżeńskiej niewierności, zanim zdobyła władzę jako królowa wdowa i królowa matka, regentka w imieniu niedorosłego syna.

Henryk IV rządził dwadzieścia jeden lat. Mimo nawrócenia zachował pewną tolerancję wobec hugenotów i robił co się dało, aby utrzymać religijną stabilizację. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat, podczas przejazdu kareta ulicą Saint-Honore, został zamordowany przez fanatycznego katolika. Wykrwawił się na śmierć. Wraz z jego śmiercią Francja znów się pogrążyła w religijnym zamieszaniu. Jego potomkowie, Burbonowie, utrzymali władzę aż do obalenia dynastii w roku 1793. Prześladowania hugenotów dobiegły kresu, gdy rewolucja 1789 roku dała wszystkim wyznaniom równe prawa.

Wokół Katarzyny Medycejskiej do dzisiejszego dnia krążą najfantastyczniejsze mity. Oskarżano ją o najohydniejsze zbrodnie XVI wieku, w tym o zamordowanie Joanny Nawarskiej i Gasparda Coligny'ego. Niektórzy twierdzą, że otruła starszego szwagra, dwóch najstarszych synów i cały zastęp drugorzędnych dworskich postaci, które nie były jej posłuszne lub okazały sprzeciw.

Czy te legendy są zgodne z prawdą? Czy Katarzyna bezlitośnie eliminowała każdego, kto stanął jej na drodze? Czy była żądna władzy? Ci, którzy znali ją osobiście, głosili przeciwstawne opinie; ci, którzy byli od niej daleko, podobnie. Elżbieta I wyraziła się kiedyś, że ze wszystkich władców Europy najbardziej lękała się

Katarzyny, gdyby zapytano o to samo Filipa II, z pewnością by się z nią zgodził. Co dziwne, nie kto inny, a Henryk IV odparł ostro na krytykę nieżyjącej teściowej: „Pytam was, co mogła zrobić kobieta, której po śmierci męża przyszło żyć z piątką dzieci, mając przeciwko sobie dwa potężne rody myślące tylko o tym, jak wydrzeć Walezjuszom koronę — mój ród Burbonów i Gwizjuszy? Dziwię się, że nie posunęła się do gorszych czynów”.

Chcąc sporządzić portret Katarzyny, musiałem wykroczyć poza historyczny archetyp okutanej w czerń wdowy knującej podłe spiski. Zostawiła stosy listów, podobnie jak jej współcześni. Zapoznałem się również z licznymi źródłami — współczesnymi i z epoki — aby lepiej zrozumieć zarówno osobę, jak i czasy, w których żyła.

Ku swojemu zaskoczeniu odkryłem dzielną młodą dziewczynę, która w dzieciństwie musiała stawić czoła licznym niebezpieczeństwom i uporała się z wieloma trudnościami w małżeństwie, by zostać kobietą o wielkim sercu, obdarzoną zdumiewającym talentem do kompromisu. Katarzyna nie cierpiała wojny i walczyła o pokój; była królową i matką, której pierwszym celem było zapewnić przetrwanie dynastii. Chociaż popełniła godne pożałowania błędy, nie wierzę, że zaplanowała masakrę w noc świętego Bartłomieja; raczej usiłowała wyeliminować Coligny'ego, który wedle standardów tamtej epoki niewątpliwie był zdrajcą. W pośpiechu i panice po pierwszej nieudanej próbie zabójstwa nie przewidziała, że napad Gwizjusza na rezydencję Coligny'ego doprowadzi do rzezi sześciu tysięcy ludzi w Paryżu i okolicy i na wieki oczerni jej imię. Chociaż niestuprocentowa pacyfistka, w sprawach religii zajmowała postawę odmienną od tej, którą prezentowali Gwizjusze głoszący hasło systematycznego prześladowania heretyków. Katarzyna przez całe życie sprzeciwiała się fanatyzmowi, który przeważał w Hiszpanii, i robiła co w jej mocy, aby ograniczyć go we Francji. Na jej nieszczęście niewielu ludzi w otoczeniu królowej podzielało to dążenie do zgody.

Jej zainteresowania okultyzmem są dobrze udokumentowane; jak większość ludzi renesansu wierzyła głęboko w tajemne moce. Jej wizje czy „widzenia” zostały utrwalone na piśmie przez rodzinę i bliskich; kilka opisanych przeze mnie epizodów zaczerpnąłem bezpośrednio z ich notatek. Była patronką Nostradamusa aż do jego śmierci. Kosma Ruggieri był jej osobistym astrologiem i naprawdę

ją zdradził. Jednak oskarżenia o stosowanie czarnej magii i trucielstwo wydają się wymysłem; z pewnością legenda, jakoby w Blois miała szafkę z truciznami, jest wymyślona. Skrytki, które można jeszcze dziś obejrzyć, służyły do przechowywania osobistych dokumentów, nie śmiertelnych mikstur. Nie znalazłem namacalnych dowodów na to, że Katarzyna kogokolwiek otruła lub uciekała się do czarnej magii; natomiast wiele przedmiotów, które znaleziono w Chambord po aresztowaniu Kośmy Ruggieriego, wskazuje, że w jego wypadku mogło być inaczej. Liczne dawne źródła potwierdzają hojność Katarzyny wobec bliskich, trwającą przez całe życie przyjaźń ze służącymi i Biragiem, niezwykle jak na owe czasy umiłowanie zwierząt.

Bezpłodność Katarzyny po wstąpieniu w związek małżeński z Henrykiem jest tematem niezliczonych spekulacji. Niektórzy wierzą, że była winą Henryka, który musiał się poddać drobnej operacji penisa korygującej dysfunkcję ejakulacji; inni twierdzą, iż Katarzyna miała tak twardą błonę dziewiczą, że nie obyło się bez interwencji chirurga. Oczywiście nie da się zweryfikować prawdziwości doniesień o takich anatomicznych anomaliach i jestem skłonny wierzyć, że najoczywistsze wyjaśnienie jest najbardziej prawdopodobne: Diana de Poitiers ograniczała mężowskie wizyty Henryka, aż całkowicie podporządkowała sobie Katarzynę i wręcz rządziła królewskim związkiem. To że Katarzyna nagle zaszła w ciążę i urodziła dziecko w okresie, kiedy od tego zależał jej dalszy status królewskiej małżonki, wydaje się aż nazbyt pomyślnym zbiegiem okoliczności. Urodziła siedmioro dzieci, które przeżyły; w tej powieści nie opisuję śmierci miesięcznego syna i poronienia dwóch bliźniaczek w 1556 r.

Katarzyna Medycejska prowadziła złożone życie w bardzo złożonej epoce i pragnąc oszczędzić czytelnikowi błędzenia w istnym labiryncie wydarzeń, nazwisk i tytułów, dokonałem pewnych drobnych zmian.\* Na przykład mówię tylko o trójce dzieci Klaudii, a miała ich dziewięcioro; najstarszy syn nosił imię Henryk, a drugi Karol. Zmieniłem imiona, aby uniknąć zamieszania, biorąc pod uwagę wielość Henryków zaludniających narrację. Nie wspominam

\* Niedobną wydaje się pominąć królowania późniejszego Henryka III (Henryka Walezego) na tronie Rzeczypospolitej.

również o nieślubnym synu Karola IX ani o pierwszym Franciszka I, również Karolu, który zmarł przed śmiercią ojca. Podczas gdy Filip II zaważył bardzo na życiu Katarzyny, ich spotkanie w Bajonie jest fikcyjne, chociaż jego kontekst nie. Katarzyna przeprowadziła niemal tę samą rozmowę z przedstawicielem Filipa, księciem Alby, bardzo twardym negocjatorem.

Sam rozmiar rodziny Gwizjuszy jest szczególnym wyzwaniem dla pisarza i w imię przejrzystości ograniczyłem do minimum liczbę jej członków. Co najistotniejsze, brat Pokiereszowanego nosił w rzeczywistości tytuł kardynała Lotaryngii. Dodatkowo, mimo że nie wszystkie źródła historyczne to potwierdzają, obaj Gwizjusze, Franciszek i jego syn Henryk, nosili przydomek „Pokiereszowany”, co zawdzięczali bliznom wyniesionym z bitew. Jak informuje część źródeł, blizna pierwszego z Gwizjuszy była znacznie większa, zniekształcała linię oka i policzka, podczas gdy w przypadku syna chodziło tylko o ranę na policzku. Ze względu na klarowność narracji zdecydowałem się używać przydomka „Pokiereszowany” jedynie w odniesieniu do pierwszego księcia.

Pomniejszyłem rolę książąt Burbonów. Antoni, książę małżonek królowej Nawarry i ojciec Henryka IV, doprowadził do poważnych zamieszek za panowania Franciszka II; on i jego brat Kondeusz zginęli w bitwach, które wydarzyły się w odstępie kilku lat. Dla ułatwienia przebiegu opowieści Antoni jest wspomniany przelotnie, Kondeusz — nie.

Wszystkie inne błędy, zmiany i braki, zarówno celowe, jak i przypadkowe, należy przypisać mojej osobie.

Gdyby ktoś chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Katarzynie i jej czasach, sugeruję następującą bibliografię:

Castries, książę de, *The Lives of the Kings and Queens of France*, Alfred A. Knopf, 1979.

Chamberlain, E. R., *Marguerite of Navarre*, The Dial Press, 1974.

Frieda, Leonie, *Catherine de Medici*, Weidenfeld & Nicolson, 2003.

Heritier, Jean, *Catherine de Medici*, St. Martin's Press, 1963 (wyd. pol. *Katarzyna Medycejska*, przeł. M. Skibniewska, PIW 1981).

Knecht, R. J., *The Rise and Fali of Renaissance France*, Fontana Press, 1996.

Mahoney, Irene, *Madame Catherine*, Coward, McCann and Geoghegan, Inc., 1975.

Roeder, Ralph, *Catherine de Medici and the Lost Revolution*, Garden City Publishing, 1939.

Sedgwick, Dwight Henry, *The House of Guise*, The Bobbs Merrill Company, 1938.

Seward, Desmond, *Francois I: Renaissance Prince*, McMillan Publishing Co., 1973.

Strange, Mark, *Women of Power*, Harcourt Brace Jovanovich, 1976.